

Janet Fitch

Pomaluj to na czarno

Dla Almy

Widzę czerwone drzwi i chcę, żeby ktoś pomalował je na czarno, Nie chcę już żadnych kolorów, niech wszystkie zamienią się w czerń...

Pomaluj to na czarno,

The Rolling Stones

1. Echo

Dotkliwie zimno zupełnie pozbawiło czucia czubek nosa Josie Tyrell oraz jej tyłek, a to dlatego, że znalazła się poza zasięgiem ciepła bijącego z ogrzewającego studio kaloryfera. Jedna noga kompletnie jej zdrętwiała. Josie zmieniała pozycję, leciutko, tylko na tyle, żeby rozluźnić napięte mięśnie i w żadnym wypadku nie zakłócić zajęć malarza, który pracował w poplamionej farbą kurtce a la Mao, z włosami splecionymi w sięgający do pasa warkocz. Henry'emu Ko nie szło tego dnia zbyt dobrze. Co parę minut przerywał, żeby otrzeć oczy wierzchem dłoni, podczas gdy z głośników sączyły się dźwięki Double Fantasy. Wszyscy puszczała teraz Double Fantasy. John Lennon został zastrzelony w Nowym Jorku i wszędzie, gdzie tylko zjawiała się Josie, ludzie słuchali tych samych pieprzonych piosenek Beatlesów, w kółko, do wyrzygania. W Double Fantasy słyszeć było także Yoko Ono, przynajmniej tyle.

Na okładce płyty, porzuconej na brudnej kanapie, John i Yoko tulili się do siebie w pocałunku, który miał trwać wiecznie. Wszyscy zawsze obrzucali błotem Yoko Ono, obwiniając ją o rozpad Beatlesów, ale Josie wiedziała, że po prostu byli zazdrośni, ponieważ John wołał Yoko od jakiejś grupy facetów z rozdmuchanym ego. Ludzie nie lubią zakochanych, bo miłość to prywatna impreza, na którą nikt poza głównymi bohaterami nie dostaje zaproszenia. Josie podobały się zdjęcia Yoko i Johna ze stojącymi hipisowskimi fryzurami, na białym łóżku. Uciekli do kraju, w którym było tylko dwoje obywateli. Z zewnątrz wyglądało to jak śmierć. Ludzie mogli do woli walić pięściami w ściany, ale nie mieli szans, by znaleźć drzwi.

Nikt nie był w stanie odgadnąć, jak wygląda ukryty za wysokimi murami ogród.

Z wysokich okien studia Henry ego Ko widać było wzgórze, a na nich, aż do Bulwaru Zachodzącego Słońca niechlujne domki parku Echo, wyglądające jak dziecinne zabawki. Kanciaste gałęzie ogołoconych przez zimę zakarand cięły widok prostymi liniami; tu i ówdzie zwisały z nich okrągłe gniazda nasienne, podobne do kastanietów. Henry ciągle opłakiwał Johna Lennona, lecz Josie dużo bardziej żał było Darby'ego Crasha. Darby zabił się w akcie desperackiego teatru, w geście, który przesłoniła śmierć eks-beatlesa. Dobrze chociaż, że Josie miała okazję go poznać, z jego nieśmiałością i krzywymi zębami, które odsłaniał w uśmiechu. Spotykała go w takich lokalach jak Masque czy Fuckhouse, no i na Carondelet. Darby nie był naturalnym performerem, musiał się zmarnować, pakując sobie do ust wszystko, co był w stanie przełknąć, a potem dając tak pełne napięcia, intensywne występy, że ich oglądanie było po prostu bolesne, sprawiało, że człowiek czuł się jak jakiś zboczony podglądacz. Darby'emu zależało przede wszystkim na tym, by ludzie go zauważali, żeby kogoś obchodziło to, co robi. Wszyscy jego przyjaciele poszli na pogrzeb, wszyscy z wyjątkiem Josie. Jego śmierć była tak przerażająco niepotrzebna, okazała się kretyńskim przedstawieniem, odegranym przez kogoś okropnie smutnego i popieprzonego, kto postanowił zabić się z potrzeby bycia dostrzeżonym. Josie uznała, że nie pójdzie na pogrzeb i stypę, bo brzydzi ją traktowanie czyjejś śmierci jako okazji do imprezy. A na koniec beatles zabrał Darby'emu nawet tę odrobinę uwagi, jaką poświęcił mu świat.

- Ale on chciał, żeby tak było - powiedziała Pen.

Robiła reportaż i zdjęcia z pogrzebu dla magazynu „Puke”, zupełnie jakby najważniejsze było to, kto uczestniczył w ceremonii. Jakby to był jakiś cholerny koncert.

Cóż, Darby zdobył przynajmniej odrobinę sławy, czego nie można powiedzieć o Henrym. Henry płacze teraz nad

Johnem Lennonem, którego w ogóle nie znał. W ubiegłym tygodniu w Griffith Park zebrały się wielkie tłumy, żeby oddać cześć zabitemu Beatlesowi. Josie, Pen i ich przyjaciele nie poszli, bo z góry było wiadomo, że będzie to hipisowska impreza pod hasłem miłości i „Give Peace a Chance”. Nie trzeba być geniuszem, by się zorientować, że nikt nigdy nie da szansy pieprzonemu pokojowi. I w najbliższym czasie nikt nie wróci do Woodstock, to pewne.

Josie nie miała jednak cienia wątpliwości, że stary Henry stawiał się tam jak na gwizdek, kopał kadzidełka, wydzwaniał cymbałkami i palił hasz ku pamięci Johna, jakżeby inaczej. Om rama rama. Czy John Lennon naprawdę chciał tego wszystkiego? Josie słyszała, że facet był całkiem bystry i dowcipny, więc czy rzeczywiście mogło mu zależeć na tym, by wystąpić w roli umarlaka tygodnia, miesiąca czy roku?

Artysta wreszcie odstąpił od sztalug, ciężko wzdychając.

- Co ty na to, żebyśmy dziś spakowali kramik, Josay?

Josie rozplotła nogi, czując, jak krew napływa do nich szybko i gwałtownie, budząc do życia setki drobnych, kłujących igiełek. Rozprostowała kruche ramiona o delikatnych, wyraźnie rysujących się pod skórą kościach. Miała drobne piersi o ciemnych brodawkach, czarny trójkąt łonowy, ostro kontrastujący z utlenionymi na niewiarygodnie jasny blond włosami, których ciemne odrosty zaczynały już wyrastać spod skóry. Ubrała się szybko - sukienka i czółenka na wysokich obcasach z ciuchlandu, podarte legginsy. Podczas gdy Henry czyścił pędzle, pomalowała usta krwawoczerwoną szminką, a potem usiadła obok niego na kanapie obitej pomarańczowym welwetem z brunatnymi obszyciami. Henry przygotował skręta ze specjalnej trawy, którą nazywał „Pajakiem” - jego kumple przysyłali mu te brązowe kłęбки z Hawajów. Starzy hipisi uwielbiali trawę. Josie nie miała nic

przeciwko temu, aby czasem się przyłączyć, ale nie widziała powodu, żeby robić z tego kult.

Kiedy palili, Henry dalej rozczulał się nad Johnem Lennonem. Mówił, że nie może uwierzyć w śmierć dawnego beatlesa. Zupełnie jakby facet był jakimś cholernym świętym...

- W końcu się odnalazł - powtarzał Henry. - Wreszcie odkrył, o co w tym wszystkim chodzi...

Josie paliła, siedząc obok Henry'ego, i myślała o gościu, który zastrzelił Lennona. Zamordowany przez oszalałego fana... W wiadomościach fani zawsze byli wariatami. Facet dostał od Lennona autograf, a potem go zastrzelił. Najsmutniejsze było to, że Josie nie była szczególnie wstrząśnięta. Jej zdaniem wszystko to razem układało się w spójną całość - Ronald Reagan, chłopcy w zielonych mundurach, uganiający się po całym świecie. Śmierć Lennona wydawała się drobnym detalem. Trzydzieści tysięcy ludzi zaginionych w Salwadorze, te zakonnice, mnóstwo innych nieszczęśników, a tymczasem wszyscy Amerykanie najbardziej przejmowali się tym, kto postrzelił JR z serialu Dallas.

Usadowiła się wygodniej. Musiała przyznać, że „Pająk” był pierwsza klasa. Henry powoli odwrócił opartą na poduszce głowę i popatrzył na nią małymi, zaczerwienionymi od trawy oczkami, które zawsze się uśmiechały, nawet kiedy był zły czy smutny. Pachniał tą dziwną maścią, którą sam robił i nacierał mięśnie naciągnięte po ćwiczeniach tai - chi, maścią złożoną ze zmiażdżonych korzonków, lukrecji i jakichś cholernych robali. Oparł rękę na jej kolanie.

- Nadal jesteś z tym gościem z Harvardu? - zapytał. Jego dłoń na jej kolanie. Henry Ko miał chyba ze trzydzieści pięć lat, co Josie miałyby robić z takim staruszką...

- Z Michaeliem. Tak, nadal jesteśmy razem.

W każdym razie taką miała nadzieję. Może Michael już wrócił... Tak, całkiem możliwe, że już jest w domu i czeka na nią. Nagle zaczęło jej się śpieszyć. Położyła swoją rękę na szorstkiej od terpentyny dłoni malarza.

- Ale dam ci znać, jeżeli ze sobą zerwiemy, słowo honoru, Henry...

Wróciła na Lemoyne swoim starym, wiecznie dygoczącym fordem falconem, pudrowobłękitnym reliktem z naklejkami różnych zespołów na bagażniku - X, Germs, Cramps. Zwykle jechała od Henry'ego trzy minuty, ale teraz wpakowała się w długą kolejkę samochodów z włączonymi światłami. Dlaczego tak się czołgali? Może znowu jakiś wiec ku czci Lennona albo coś w tym rodzaju... Trąbiła, zmieniała pasy i wymijała, aż w końcu znalazła się na czele korka i zobaczyła, że przyczyną całego zamieszania był powoli, dostojnie posuwający się karawan. Głęboko zawstydzona swoim zniecierpliwieniem, skręciła w boczną uliczkę i zatrzymała się. Policzki miała gorące i czerwone jak burak. Ale skąd mogła wiedzieć, że to pogrzeb? Czasami wydawało jej się, że minęły zaledwie dwa dni, odkąd jej siostra Luanne wysadziła ją z samochodu przy parku MacArthura.

Pozostałą część drogi przejechała poniżej dozwolonej prędkości, zaparkowała przed domem, wyjęła pocztę ze skrzynki i zamknęła furtkę na pętłę z kabla. Ostrożnie stąpając w pantoflach na wysokich obcasach, zeszła po chwiejnych schodkach do stojącego niżej malutkiego domku. Właściwie była to chatka, co tu dużo mówić, ale oni ją kochali, kochali ten spokój, ciszę, widok i rajski śpiew ptaków. Czuli się tu tak bezpiecznie, że nawet nie zawiesili zasłon.

Josie otworzyła drzwi, rzuciła klucz do czerwonej misy.

- Hej, Michael?

Cisza. Puste krzesła, obrazy na ścianach, zasłona z drewnianych koralii między pokojem a kuchnią. Jedyne

odgłosy dostawały się do wnętrza przez otwarte okno, wychodzące na ruchliwe szosy numer 2 i 5. Minęło pięć dni. Przed pięcioma dniami stał w drzwiach do kuchni oparty o odgarniętą na bok zasłonę z koralu na sznurkach i mełł kawę w tym swoim mosiężnym tureckim młynku w kształcie tuby. Powiedział, że wyjeżdża. Josie właśnie zbierała się do wyjścia, jechała na umówioną sesję w Northridge.

- Jadę na kilka dni do domu Meredith - oświadczył.

Jego matki nie było, wyjechała na koncerty w Urugwaju, Paragwaju czy gdzieś tam. I krzyżyk na drogę.

Josie przystanąła w przedpokoju, skończyła malować usta, bardzo dokładnie i równo, nawet bez lusterka.

- Po co? - zapytała.

- Zastanawiam się nad pewnym projektem - powiedział, nie przestając kręcić młynkiem. - Potrzebuję trochę czasu, żeby to spokojnie przemyśleć.

Powiedział to ot tak sobie. Patrzyła na niego w skupieniu, próbując zrozumieć, co naprawdę do niej mówi. Nigdy nie rozstawali się na dłużej niż parę godzin, nawet wtedy gdy się kłócili.

- Odkąd to przeszkadzam ci w pracy?

- Myślałem, że będziesz zadowolona, że w ogóle pracuję - odparł.

Ucieszyło ją to, owszem, ale dlaczego uważał, że musi wyjechać... Uparcie kręcił mosiężną rączką młynka, stojąc w drzwiach kuchni w luźnych dżinsach, boso, z długimi, pięknymi palcami u stóp, niczym u jakiejś greckiej rzeźby.

- Muszę mieć trochę przestrzeni, Josie. Postaraj się zrozumieć.

- Przecież zawsze malowałeś tutaj i nie narzekałeś...

Domek był malutki, to prawda. Michaelowi trudno było malować większe obrazy, choćby takiej wielkości jak pochód

ślepych kobiet z twarzą Meredith. A dom jego matki stał pusty, niedaleko, na pobliskim wzgórzu.

- Może pojechałabym z tobą...

Odstawił wreszcie młynek i objął ją mocno. Pocałował.

- Będę pracował, wiesz, jaki wtedy jestem. Zaufaj mi, tak będzie lepiej.

Trzymała go w ramionach, zamknęła oczy, wchłaniała jego zapach, aromat sosny, mchu i czegoś jeszcze, czegoś, czym pachniał tylko on, uzależniona od niego jak ćpun od swojej działki. Miała ochotę polizać go jak cukierek. Stali tak długo, Michael tulił ją do siebie z całej siły, prawie miażdżył, drapał jej policzki ostrym zarostem.

Okropnie za nim tęskniła. Wrzuciła listy do misy na niskiej szafce obok telefonu, który milczał jak zaklęty. Dzwoniła do niego już dwa razy, ale nie odpowiadał. Szczerze mówiąc, nie było w tym nic dziwnego. Odkąd go poznała, ani razu nie widziała, żeby podniósł słuchawkę. Tak czy inaczej, wiedziała, że jeśli wkrótce nie wróci do domu, ona pojedzie do niego. Potrzebował przestrzeni czy nie potrzebował, miała to gdzieś. Trzy dni to trzy dni, ale tydzień to długie rozstanie, separacja. Z trudem wytrzymała ten tydzień, chociaż robiła wszystko, żeby jak najmniej o nim myśleć - przyjęła dodatkowe sesje, poszła z Pen na występ grupy Weirdos w Hong Kong Cafe, na imprezę na Carondelet. Mogłoby się wydawać, że korzysta z życia i wolności, lecz ona tylko czekała na niego. Co takiego malował, że nie mógł malować tutaj? A może po prostu ją zostawił?

- Hej, pieprzyć jego i jego braci! - parsknęła Pen, kiedy Josie zwierzyła jej się ze swoich obaw na występie Weirdos. - Przecież jest świetnie, całkiem jak dawniej! Carpe diem, do kurwy nędzy!

Dziwnie czuła się sama w małym domku, w środku spokojnego popołudnia. Pierwszy raz w życiu naprawdę

mieszkała sama. Poprawiła poduszki na kanapie, przejrzała pocztę, włączyła płytę Clash Sandinista!, usiadła, wstała. Nie mogła znaleźć sobie miejsca. Dom wydawał się strasznie pusty, jej obecność wcale nie zmniejszała uczucia pustki. W rodzinnym domu w Bakersfield dzieliła pokój z Luanne i Corinne, na Carondelet mieszkała z Pen, Shirley i Paulem. Jeszcze później, w Fuckhouse, wokół niej zawsze tłoczyła się co najmniej połowa punkowego Hollywood. A teraz była sama, tylko z jego obrazami i rysunkami, z używanymi meblami, które uratowali ze śmietników, z kolekcjami zabawek, czapek i żelazek, pracowicie zbieranych. Bez niego dom przypominał teatralną dekorację bez aktorów. Przysiadła na niebieskiej kanapie i zaczęła przeglądać magazyn o sztuce. Facet, komponujący obrazy z potłuczonych talerzy... Widzieli jego wystawę w dzielnicowym muzeum. Duże płótna pokryte mieszkanką o chropowatej, ciężkiej fakturze dużo bardziej spodobały się Josie niż Michaelowi. Podziwiała ich pewną siebie, śmiałą urodę.

- Jedno wielkie gówno na pokaz - powiedział Michael. - Trzeba mieć jakąś myśl, nie tylko chęć imponowania...

Zawsze był tak krytycznie nastawiony do sztuki współczesnej, nie znosił wszystkiego, co robili artyści. Lubił tylko Francisa Bacona i Luciena Freuda, którzy malowali jak psy gończe, tropiące ludzkie niedoskonałości. I niezmiennie wielbił swojego ukochanego Schielego.

Dlaczego nie mógł spać tutaj, a malować tam? Inni malarze mieli przecież studia poza domem. Jeżeli ten pokój był dla niego za mały do pracy, mógłby przynajmniej wracać na noc. Bała się, że ta potrzeba przestrzeni była tylko wymówką. Że już postanowił, ostatecznie zdecydował, że nie chce z nią dłużej być. Pragnęła zadzwonić do niego, ale nie mogła znieść myśli, że telefon będzie dzwonił i dzwonił, a

Michael, być może, będzie stał obok i nie podnosił słuchawki, wiedząc, że to ona.

Usiadła na jego krześle przy oknie z widokiem na wzgórze, park Echo, Silverlake, a dalej wielki znak Hollywood i Griffith Park. Zielone miedziane kopuły obserwatorium ostro rysowały się na tle jasnoniebieskiego zimowego nieba. Uwielbiała przesiadywać tutaj razem z nim, obejmując go za szyję i sycąc się jego zapachem. Przycisnęła twarz do szorstkiego oparcia, usiłując schwytać ten aromat. Jej rzęsy drżały. Na moment poczuła zapach Michaela, lecz zaraz się ulotnił.

Wciąż trochę nawalona po „Pajaku”, przeszła do kuchni, wypila szklankę mleka, którą przed wyjściem postawiła przy zlewozmywaku, obrała banana wielkości palca. Starła się w ogóle nie patrzeć na drewniany kącik z wyciętymi sercami, gdzie jedli posiłki, ani na wiszący tam obraz, przedstawiający ją przy starej kuchni, oświetloną wpadającym przez kuchenne okno słonecznym blaskiem. Śmieszne, bo to Michael zawsze gotował, jej umiejętności kończyły się na podgrzaniu zupy z puszki.

Przeszła do sypialni i wyciągnęła się na łóżku, na pościeli, ciągle jeszcze pachnącej ich ostatnią miłością. Cztery ściany pokoju zdobił ich własny widok Montmartre. Zrzuciła pantofle i wczółgała się pod kołdrę, białą jak śnieg w bezbarwnym świetle. Zbliżało się Boże Narodzenie. Musiała wykończyć koszulę dla Michaela, koszulę w poprzeczne pasy, żeby była bardziej oryginalna. Zieloną, by pasowała do koloru jego oczu. Może znajdzie jeszcze jakąś przyjemną, leniwą muzykę w jednym z małych sklepików przy Bulwarze Hollywood, jakieś nagrania seksownego bluesa z lat dwudziestych. Mogłaby też udekorować dom papierowymi płatkami śniegu, zawiesić je pod sufitem, gęsto jak liście. Ale

się zdziwi, kiedy stanie w drzwiach i zobaczy te płatki... Jasne, że wróci. Na pewno wróci. Jeszcze jeden dzień, najwyżej dwa.

Myślała o płatkach śniegu, kiedy w dużym pokoju zadzwonił telefon. Zerwała się z łóżka tak szybko, że zakręciło jej się w głowie, dopadła do szafki i chwyciła słuchawkę.

- Michael, dzięki Bogu, chciałam już...

- Przepraszam bardzo, tu inspektor Brooks... Jakiś pieprzony urzędas.

- Dzwonię z biura lekarza sądowego okręgu Los Angeles. Z kim rozmawiam, jeśli można wiedzieć?

Cholera... Luanne, ta kretynka. Kiedy Josie ostatni raz widziała siostrę, Luanne ważyła czterdzieści pięć kilo. Choć oczywiście równie dobrze mogło chodzić o Jimmy'ego. Albo Tommy'ego. O którekolwiek z jej rodzeństwa...

- Mówi Josephine Tyrell. Co się stało?

- Znaleźliśmy pani numer telefonu w książce meldunkowej motelu... Jesteśmy w trakcie sprawdzania odcisków palców, ale proszę powiedzieć mi, czy ostatnio nie zaginął nikt z pani bliskich?

- Raczej nie...

W słuchawce rozległ się szelest kartek.

- Biały mężczyzna. Wpisał się do książki meldunkowej jako Oscar Wilde...

Teraz słyszała już tylko grzmiący ryk pulsującej w jej głowie krwi.

- Panno Tyrell?

Ledwo trzymała słuchawkę. W jednej chwili straciła władzę w rękach.

- Przychodzi pani do głowy, kim może być ta osoba? - Ten głos brzmiał zupełnie tak, jakby nic się nie stało.

- Tak - odpowiedziała. - Nie...

Szybko usiadła na włochatej kanapie, byle tylko nie upaść.

- Nie wiem... - wykrztusiła.

- W jakim wieku jest człowiek, którego ma pani na myśli? Spróbowała coś powiedzieć, ale tylko zachrypiała rozpaczliwie. Odchrząknęła.

- Dwadzieścia dwa lata.

- Wzrost?

- Mniej więcej metr dziewięćdziesiąt... - wyszeptała.

- Waga?

Nie wiedziała, ile ważył. Nie mieli w domu wagi.

- Raczej chudy...

- Kolor oczu?

- Zielony...

Proszę, błagam, niech ten facet powie, że to pomyłka, bo tamten ma brązowe oczy...

- Blizny albo tatuaże?

Pomyślała o jego ciele, przebiegła po nim pamięcią jak palcami.

- Blizna na prawej dłoni, między kciukiem i palcem wskazującym... - Potarła twarz, starając się nie upuścić słuchawki. Chciała uciszyć ogłuszający szum krwi w uszach. - Duże znamię, myszka, z prawej strony klatki piersiowej...

Była modelką, stale pozowała artystom, wyrobiła sobie doskonałą pamięć do ciał. Ta pamięć działa niezależnie od umysłu, który wyłączył się, odciął od świata. To niemożliwe... Niemożliwe. Takie rzeczy zdarzają się przecież tylko Tyrellom - wyścigi samochodowe na marnych drogach, pchnięcia nożem, strzelaniny. Potem identyfikacja zwłok.

W słuchawce zapadła cisza.

- Czy jest ktoś, kto mógłby pani towarzyszyć? Chcielibyśmy, żeby przyjechała pani do Zakładu Medycyny Sądowej.

Josie stała na chodniku, obejmując się ramionami, jakby się bała, że jej wnętrzności wyleją się na beton, jeśli chociaż

na moment rozluźni uścisk, i wpatrywała się w czerwone auto Pen. Jej przyjaciółka zahamowała przed domem, odgarnęła do tyłu fioletowe włosy, otworzyła drzwiczki.

- Przyjechałam najszybciej, jak się dało! Och, Josie, nie zakładaj niczego z góry, to może być ktokolwiek!

Josie wsiadła, Pen zatrzasnęła drzwi. Była godzina szczytu. Ominęły wjazd na autostradę i skręciły na biegnącą wzdłuż brzegu rzeki Riverside Drive. Minęły Piwiarnię, gdzie niecałe dwa tygodnie temu Josie pozowała Timowi Delauneyowi. Nie myśl, nie myśl, powtarzała sobie. To naprawdę może być ktokolwiek. Miała nadzieję, że tak będzie. Ktokolwiek inny, kurwa...

Stały u stóp góry z betonu, jaką był szpital ogólny Los Angeles, jednak biuro lekarza sądowego znajdowało się nie w szpitalu, a niżej, w prostokątnym dwupiętrowym budynku. Parkowały przed nim ciężarówki i lżejsze samochody, a umieszczony z boku napis głosił: ZAKŁAD MEDYCyny SĄDOWEJ W LOS ANGELES, Badania lekarskie, Laboratorium medycyny sądowej, Usługi publiczne.

Pen zaparkowała w poprzek dwóch miejsc. Wpadły do holu wyłożonego brązowym marmurem, z beżowym linoleum na podłodze i sufitem obitym wyciszającymi płytami, do złudzenia przypominającego wnętrze taniej przychodni dentystycznej. Siedząca za kontuarem otyła czarnoskóra kobieta oszołomionym wzrokiem zmierzyła fioletowe włosy i czarną szminkę Pen, uczesaną na punka tlenioną głowę i sztuczne żółte futerko Josie.

- Dostałam telefon... - zaczęła Josie.

Kobieta nadal patrzyła na nie z lekko rozchyłonymi wargami.

- Od jakiegoś inspektora - uzupełniła Pen.

- Brooksa - dokończyła Josie.

- Trzeba przejść łącznikiem do drugiego budynku - kobieta wskazała drzwi z mrożonego szkła. - Zaraz zawiadomię, że jest ktoś do niego...

Czekały na płóciennych krzesłach w mniejszym holu. Josie wcisnęła dłonie do kieszeni futerka, cała jej istota skurczyła się do maleńkiego punkciku bólu, do jądra atomu, które w każdej chwili mogło się rozpaść i rozsadzić cały świat. Nie myślała, nie czuła, tylko jej prawa stopa drgała nerwowo.

- Wszystko jest w jak największym porządku - powiedziała Pen, głaszcząc włosy i szyję Josie. - Oddychasz, wszystko jest w porządku... Dlaczego ten pierdolony idiota tak się grzebie...

Zerwała się, szarpnęła za klamkę, kopnęła ciężkim martensem w metalowe drzwi i wróciła na miejsce obok Josie.

- Zapal mi peta... - poprosiła Josie, nie wyjmując z kieszeni mocno zaciśniętych w pięści dłoni.

Czuła cebulkę każdego włosa w skórze głowy.

Pen pogrzebała w szkolnej torbie Josie, znalazła papierosy, gauloises bleues, zapaliła jednego i wetknęła go między wargi przyjaciółki. Josie siłą wdusiła dym do płuc, dzięki papierosowi przypomniawszy sobie, jak oddychać. Wyjęła jedną rękę z kieszeni, żeby przytrzymać papierosa. Jej umysł przypominał zaciśniętą pięść, nie wchodziła tam żadna myśl, żaden sygnał, tłukło się tylko jedno słowo: „nie, nie, nie, nie”. Czuła, że przeżywa najdłuższe pięć minut w historii.

- Wszystko będzie w porządku, będzie dobrze... - Pen zapaliła camela i małą poczekalnię wypełnił dym.

Za oknem zimowe niebo przybrało różowawy kolor. Jeżeli dopalę papierosa przed przyjściem tego gościa, to nie będzie Michael...

- Nienawidzę takich miejsc - westchnęła Pen. - Najchętniej wysadziłabym całe to gówno w powietrze...

Wpatrywały się w ciężkie drzwi prowadzące na korytarz, wyposażone w małe zakratowane okienko. Zanim Josie wypaliła papierosa do połowy, otworzyły się i do poczekalni wszedł czarnoskóry mężczyzna w niebieskim rozpinanym swetrze.

- Panna Tyrell? Josie wstała.

- Pójdzie pani ze mną, dobrze? Pani także, bardzo proszę...

Przeszli przez hol, skąpany w obrzydliwie zielonkawym świetle jarzeniówek. Biuro inspektora Brooksa było małe, pozbawione okien, zarzucone książkami, papierami i folderami, z mapami i czarną tablicą z magnesikami na ścianach. Josie i Pen usiadły na dwóch metalowych krzesłach, inspektor zajął miejsce za biurkiem.

- Dobrze się pani czuje, panno Tyrell?

- Nie, nie czuje się dobrze, do cholery! - odparła Pen. - Nie widzi pan, że mało nie rzyga ze strachu? Nie moglibyśmy od razu przejść do rzeczy?

Josie podniosła drżącą rękę do ust, zaciągnęła się papierosem. Jeśli nawet inspektorowi przeszkadzał dym, to nie zaprotestował.

- Kiedy ostatni raz widziała pani swojego chłopaka, panno Tyrell?

Zauważyła popielniczkę na biurku, strząsnęła do niej popiół. Jej górna warga zastygła, zeszywniała w odwróconym U.

- Pięć dni temu. W środę.

- A kiedy uświadomiła sobie pani, że zaginął?

Josie w milczeniu wpatrywała się w czubek papierosa. Kiedy uświadomiła sobie, że zaginął? W ogóle nie zdawała sobie sprawy, że coś się z nim stało. Po prostu w środę pożegnała się z nim, była świadkiem jego wyjazdu.

- Nie uświadomiłam sobie. Nadal nic nie wiem o tym, że zaginał...

Mężczyzna wydał pełne wargi, wyjął z szuflady biurka białe kartoniki.

- Muszę panią poprosić, żeby spojrzała pani na te fotografie - rzekł. - I ostrzegam, nie są to przyjemne zdjęcia, ale trzeba ustalić pewne fakty, dla dobra wszystkich zainteresowanych...

Białe prostokąty w jego rękach, rewersy dwóch zdjęć. Inspektor gadał i gadał, wyjaśniał, tłumaczył, co Josie zobaczy, że kula weszła do jamy ustnej i wyszła tyłem głowy, mówił coś o efekcie rany postrzałowej... Josie kilka razy skinęła głową, nawet przez chwilę nie skupiając się na słowach policjanta. Miała ochotę wyrwać mu fotografie z rąk, ale w końcu położył je przed nią na metalowym blacie biurka.

Twarz. Podsiniące oczy, zupełnie jak po jakiejś strasznej bójce. Zapuchnięte powieki, nie całkiem zamknięte, Boże, powinni zamknąć mu oczy... Niezależnie od tego, czyje to były oczy. Nie jego. Nie, to niemożliwe. Widziała kosmyk włosów, głowę obłożoną płótnem, te podsiniące oczy, odrobinę krwi wokół nozdrzy, usta, nie, nie miała pojęcia, kto to, bo na pewno nie Michael, ale skąd brała się w niej ta pewność, skąd mogła wiedzieć... Skąd? Kiedy widziała go ostatni raz, był żywy.

- Nie wiem... - szepnęła. - Po prostu nie wiem... Inspektor zebrał zdjęcia i włożył je do teczki z inicjałami

NN na okładce.

- Pani chłopak ma rodziców? - spytał.

- Ma. Jego ojcem jest Calvin Faraday, pisarz. Mieszka w Nowym Jorku.

Inspektor Brooks zapisał na kartce imię i nazwisko razem z numerem sprawy, danymi Michaela.

- Matka nazywa się Meredith Loewy... - Josie przeliterowała starannie. - Jest teraz w Ameryce Południowej, na tournée...

- Najpierw musimy ustalić, czy to faktycznie on... - Brooks wybrał krótki numer na tarczy zielonego telefonu. - Tak, jesteśmy gotowi - powiedział do słuchawki i wstał.

Josie zdusiła papierosa w popielniczce. Kiedy szli korytarzem, kurczowo trzymała się Pen, zdawała się na nią całkowicie, jak niewidomy na psa przewodnika. Przed oczami wciąż miała to zdjęcie z polaroidu, sine, obrzmiałe powieki. Nie przyszło jej do głowy, żeby sprawdzić, czy na górnej wardze była mała blizna, pewnie dlatego, że wszystko to razem nie miało nic wspólnego z rzeczywistością. Michael żył. Był w domu matki, malował w pokoju tuż obok swojej starej sypialni, w której spędził sporą część dzieciństwa. Josie wyobraziła go sobie przy sztalugach, starała się, żeby był to jak najbardziej szczegółowy obraz. Dęby za oknem. Jasny blask zimowego słońca. Ale będą się z tego później śmiali... Tylko pomyśl, przez ułamek sekundy wydawało mi się, że nie żyjesz... Jeżeli uda jej się zobaczyć go dokładnie i wyraźnie, sprawi, że tak właśnie będzie.

Pen mocno trzymała ją za rękę, gniotła jej palce. Czuła zapach skórzanej kurtki przyjaciółki.

- Pomożemy ci przez to przejść, wszystko jedno, co się okaże - odezwała się Pen. - Słyszysz mnie?

Inspektor Brooks przepuścił je przez drzwi w ścianie z brązowego marmuru. Znalazły się w brudnym korytarzu, pomalowanym na różowawy beż, wszystkie drzwi nosiły tu czarne ślady po kopnięciach u dołu. Dotarli do windy. Brooks wpuścił je do środka, wsiadł i przekręcił kluczyk w panelu. Drzwi zamknęły się, kabina ruszyła w dół. Josie martwym wzrokiem wpatrywała się w pasiaste linoleum. Proszę, Boże, tylko nie to...

Drzwi się rozsunęły. Dokładnie przed nimi, pod szarą ścianą, obok kranu pośrodku okrągłej umywalki, na metalowym wózku leżała ludzka postać przykryta białym prześcieradłem. Josie mocno ścisnęła ramię Pen, a może to Pen trzymała ją za rękę. To pomieszczenie miało dziwny zapach, zapach, jakiego nie znała, ciężki odór brudu i nieświeżego mięsa.

- Nie wygląda jak zwłoki w domach pogrzebowych, został umyty, ale mimo wszystko będzie taki jak na tych zdjęciach, rozumie pani? - mówił Brooks. - Zdejmę teraz prześcieradło, proszę się przygotować...

Odwinął górną część prześcieradła. Ciało owinięte było w jeszcze jeden kawałek płótna, zawiązany na środku klatki piersiowej w węzeł podobny do róży, ramiona były częściowo przykryte, głowa także, ale na prześcieradle widniały plamy krwi. Nie patrz na to, nie patrz, patrz tylko na twarz... Podsiniące oczy, sine usta, wargi ciemne, jakby pił atrament, ciemny zarost, piękne brwi, rzęsy, niezamknięte oczy... Osunęła się na kolana, stuknęła rzepekami o zimną podłogę. Inspektor i Pen chwycili ją pod ramiona, ale trochę się spóźnili.

- Jego oczy...

Najbardziej diaboliczna rzecz, jaką kiedykolwiek widziała. Zwymiotowała, na kurtkę, na kolana, na podłogę. Zastanawiam się nad pewnym projektem. Potrzebuję trochę czasu, żeby to spokojnie przemyśleć.

Podnieśli ją, pomogli usiąść na krześle. Pochyliła się nisko, wetknęła głowę między kolana. Pen przykucnęła obok, objęła ją, razem z wymiocinami i wszystkim. Jego zwłoki. Dygotała jak w febrze, nie mogła przestać. Jego zwłoki, niech go szlag! JEGO ZWŁOKI! Inspektor Brooks przykrył go, lecz ona zerwała się gwałtownie, szarpnęła prześcieradło i przytuliła twarz do jego najdroższej, potwornej twarzy. I zaraz

poderwała głowę, cofnęła się. Twarz Michaela była twarda, sztywna, zimna. Była przedmiotem, rzeczą. Zmienił się w rzecz. W pieprzony przedmiot.

- MICHAEL, TY KUTASIE, TY GŁUPI, PIERDOLONY KUTASIE! - krzyknęła mu prosto w twarz, ale niczego to nie zmieniło.

Nie obudził się. Dalej leżał tam z tą siną skórą i widocznymi spod powiek białkami oczu. Brooks znowu go przykrył, jego dłoń na tle prześcieradła była ciemna i żywa.

- Chodźmy... - Pen otoczyła Josie ramieniem. Inspektor przytrzymał drzwi windy, z korytarza do sali,

w której stał wózek, wszedł rosły brodaty facet z mopem. Wjechali na górę, znowu przeszli przez różowobeżowy hol. Policjant wskazał im ławkę.

- Proszę usiąść...

Josie usiadła obok Pen, zęby jej szczękały, starała się oddychać.

- Czy chciałaby pani o coś zapytać, panno Tyrell?

Co mogłaby zrobić, żeby to wszystko przestało się dziać? Żeby wyłączyć ten przeklęty film?

- Co teraz? - spytała Pen.

- Zawiadomimy jego rodziców, a oni zajmą się niezbędnymi formalnościami. Jestem pewien, że skontaktują się z panną Tyrell i poinformują ją, jakie podjęli decyzje...

Pen prychnęła wzgardliwie.

- Jasne, zaraz do niej zadzwonią, ma to jak w banku! Niech pan nie udaje Greka!

- W takim razie ja zadzwonię do niej, kiedy tylko czegoś się dowiem, w porządku? - Brooks przykucnął, położył swoją żywą dłoń na ręce Josie.

Miała ochotę go kopnąć, zdzielić pięścią w nos, zranić. Nienawidziła go za to, że jest ciepły, podczas gdy Michael jest sztywny i zimny, zawinięty w prześcieradło.

- Przekażę pani wszystko, czego sam się dowiem, panno Tyrell, obiecuję. Na pewno nie potrwa to długo.

Co nie potrwa długo? Co ten facet gada?

- Gdzie go znaleźliście? - zainteresowała się Pen.

- W motelu w Twentynine Palms. Naprawdę bardzo mi przykro, że spotkało panią coś takiego, panno Tyrell...

Michael w motelu w Twentynine Palms, z rewolwerem w dłoniach. Nie u Meredith, wcale niezajęty malowaniem, ogarnięty eksplozją świeżego natchnienia... Nie na Bulwarze Zachodzącego Słońca, gdzie często z zapalem grzebał w pojemnikach z płytami, nie w pralni, gdzie rozdzielał ciemne rzeczy od jasnych, nie na chińskim targu, gdzie starał się znaleźć najlepszą, najświeższą rybę, której oczy powinny być jeszcze lśniące. Nie w kinie Vista, gdzie oglądali stare filmy, nie w parku Echo, gdzie lubił szkicować. Michael był w pokoju motelowym w Twentynine Palms i wkładał sobie lufę do ust.

- Jedziemy do domu - odezwała się Pen.

Przecież on nawet nie prowadził samochodu, więc w jaki sposób dostał się do Twentynine Palms? Wszystko to było kompletnie bez sensu. Kompletnie bez sensu. Skąd wziął broń? Nie chciała jechać do domu. Dom przestał być domem, bo Michael był teraz tutaj, w tej piwnicy, owinięty białym prześcieradłem, które miejscami przesiąkło krwią. Nie ma już domu, jest tylko to ciało, wargi jak czarna skóra, ciemna smuga zarostu na policzkach i szczęce, ciemne sińce wokół oczu, na tle wyschniętej, żółtej jak wosk skóry. A gdzieś w Twentynine Palms znajdował się pokój zachlapany najcenniejszym szkarłatem... Nagle zapragnęła tam pojechać, zmyć tę czerwień z podłogi i ścian. Wydało jej się rzeczą nie do pomyślenia, że ktoś obcy, jakaś biedna kobieta z wiadrem, popatrzy na tę krew i pomyśli: „Boże, przecież te plamy nigdy nie zejda!”. I nie będzie miała pojęcia, że to był Michael

Faraday, nie dowie się, kto umarł w tym cuchnącym pokoiku, wykrwawiając się na śmierć na śmierdzący stęchlizną chodnik.

Podciągnęła kolana pod brodę, okryła je kurtką i położyła się na boku na ławce, wciąż dygocząc i nie mogąc przestać. Oparła głowę na czerwonej szkolnej torbie i walczyła z mdłościami. Ukryła twarz w kudłatym kołnierzu kurtki. Zameldował się jako Oscar Wilde. Pragnęła tylko jednego - żeby mogła obudzić się jak Dorothy i zobaczyć twarz Michaela, wychylającą się ku niej znad krawędzi łóżka, roześmianą. Popatrz, uderzyłeś się w głowę, och, jakie to szczęście, że nie stało się nic gorszego... Ale to nie był sen, Josie była w Los Angeles, nie w Kansas, a Michael miał już nigdy nie wrócić.

2. BASEN

Ocknęła się na niebieskiej kanapie, w wypełnionym cieniami pokoju, w którym paliła się jedna lampa. Była owinięta w gruby koc z afgańskiej wełny. Na drugim końcu kanapy leżała pogrążona w głębokim śnie Pen i donośnie chrapała. Josie zamrugła, usiłując sobie przypomnieć, dlaczego właściwie śpi w dużym pokoju i co robi tutaj Pen. Oparła się na łokciu. Światła odtwarzacza stereo błyszcząły, lampa odbijała się w ciemnych, niezastłoniętych oknach. Z głośników dobiegał przyciszony głos Iggy'ego. Iggy chciał być jej psem. Hau, hau, hau... Josie potarła twarz, zimną i dziwnie gumową, i sięgnęła po papierosa. Kiedy pstryknęła zapalniczką swojego ojca, rzeczywistość zaatakowała ją ze wszystkich stron, lodowata i okrutna jak mocno zacinający deszcz. Śpiąca w drugim rogu kanapy Pen, popielniczka, wódka...

Nie, nieprawda. Michael był u matki, a ona po prostu miała zły sen. Był u Meredith, malował, i niedługo powinien wrócić do domu, w każdym razie tak obiecał. Niedługo stanie w tych drzwiach, a ona powie do niego: „Myśleli, że nie żyjesz...”.

Ale Michael nie wróci. Nie ma go w domu Meredith. Pojechał do motelu w Twentynine Palms i się zastrzelił.

Zamknęła oczy, zasłoniła je ramieniem. W jej głowie jakiś głos ciągle powtarzał: „Nigdy więcej...”. Słowa z jakiegoś wiersza. „Nigdy więcej...” Co to był za wiersz? Michael na pewno by wiedział, co to za wiersz i kto go napisał. Wiedziałby, ale nie żyje.

Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

Michael jest w Los Angeles. Niedługo wróci. Tylko że nie wróci. Ty dupku! Ty pieprzony dupku! Ty durny, pieprzony dupku!

Zegar na fortepianie wskazywał 3.10. Świat się zmienił, ale do Josie jeszcze to nie trafiło. Michael nie żył, lecz jej nie mogło się to pomieścić w głowie. Po kilku tabletkach nasennych powinna spać jak zabita, jak Pen, tymczasem w środku nocy siedziała na kanapie, a Michael miał już nigdy nie stanąć w drzwiach.

Położyła się z gauloise'em w rękę. To Michael zawsze palił gauloise'y. Zapach Paryża. Wybierali się do Paryża... Nie, już nigdzie się nie wybierają. Ty przekłety, głupi skurwielu! Co on sobie wyobrażał? Co sobie myślał? Patrz, oto mój mroczny świat... Sama go teraz trochę podźwigaj, ja wysiadam...

Usiadła, znowu potarła twarz, spojrzała w ciemne okna i palące się na wzgórzach światła. Drogami numer 5 i 2 przemykały samochody. Iggy chciał być jej psem, a Michael leżał tam na zimnej metalowej tacy, podobny do mięsa z chłodni. Starła się nie myśleć o tym, jak wyglądała jego twarz, lecz jej umysł ciągle kręcił się w kółko i wracał w to samo miejsce. Co jest, Michael, do kurwy nędzy? Co ty sobie wyobrażałeś, do cholery?

Pod ścianą czekał jego fortepian z podniesionym wiekiem. Czekał na dotyk jego dłoni. Josie nagle zobaczyła Michaela przy fortepianie, grającego bluesy z lat dwudziestych, utwory Big Billa Broonzy'ego, Lucille Bogan... Popisującego się tym luzackim, specyficznym stylem. Tańczyli w promieniach słońca, przedostających się przez liście eukaliptusa. Oboje nadzy, Josie tylko w narzuconym pomarańczowym kimonie. Jego twardy penis obijał się o jej ciało. Muszę zarabiać na życie, wszystko mi jedno, dokąd pojedę...

Jej płuca chwyciły powietrze mocno, z całej siły, skurczyły się, zacisnęły jak palce przycięte drzwiami samochodu. Do diabła z tobą, Michael, do diabła z tobą... Sięgnęła po butelkę stolicznej, odkręciła kapsel i pociągnęła

duży łyk. Postawiła butelkę na podłodze, w miejscu, gdzie łatwo mogła trafić do niej dłonią. Pen chrapała z otwartymi ustami. Josie widziała jej podniebienie, migdałki i gardło. Hej, Błażeju, jak daleko stąd do Montmartre'u?

Michael nie chciał już Montmartre'u, Błażeja i małej Żanny, nie chciał już niczego, po prostu niczego. Zupełnie jakby życie było rysunkiem, który mu nie wyszedł. Ale teraz nie możesz już zacząć od nowa, Michael. Miałeś tylko ten jeden szkic, więcej ich nie będzie.

A może Michael został zamordowany, pomyślała nagle. Może to wcale nie było tak, jak się wydawało, tylko zupełnie inaczej...

Jednak w głębi duszy wiedziała, że nie było to morderstwo. Zorientowała się w chwili, gdy go zobaczyła. Rzucił ją, i tyle. Rzucił wszystko, czym byli, czym mogli być. Ona jest moją miłością, a inne kobiety mają tylko złote suknie na wielkich płomiennych ciałach... Kto kiedykolwiek myślał o niej w ten sposób? Kiedy ostatni raz komuś przyszła do głowy myśl: „Wiem, na co Josie miałaby ochotę. Kupię jej książkę. Tak, książkę. Zbiór wierszy nieżyjącego Francuza”. Kto tak o niej myślał? Gdy większość ludzi patrzyło na Josie Tyrell, dostrzegali tylko pewną kompozycję kości, strukturę form, które wypełniają przestrzeń, ale Michael zajrzał w głąb, pod usta i oczy, pod architekturę ciała, pod całą tę cielesną maskaradę. Innym chłopcom w zupełności wystarczał krótki pokaz, chcieli tylko zabawić się w cielesnym teatrze cieni, lecz Michael musiał zajrzeć za kulisy. Zszedł w ciemność i wyniósł stamtąd złoto, nowe „ja” Josie, jej lepsze „ja”. Tylko po co to zrobił, skoro i tak zamierzał zostawić ją samą?

Pociągnęła jeszcze jeden łyk wódki, zapragnęła, żeby alkohol wypalił w niej wszystko, aż do dna. Pożałowała, że nie jest to gorący воск, wrzący olej, benzyna. Chętnie wypiłaby coś takiego, byle tylko wróciło jej poczucie, że

jeszcze żyje. Michael zawsze ją widział. Tylko on. Patrzył na nią oczami koloru szkła w akwariu i widział ją. Tamtego dnia została dłużej w studiu Otisa. Studenci wychodzili powoli, a ona czekała. Zapaliła papierosa i stała spokojnie, żeby mógł do niej podejść, ten chłopak w tweedowej marynarce, z oczami koloru jasnozielonego szkła. Przyniósł jej duńską bułkę z cukierni U Victora Benesa. Tak, duńską bułkę, nie żaden z tych prezentów, które zwykle dawali jej chłopcy, jak naszyjnik z drewna, dobrego skręta czy wejściówkę na koncert. Pyszne duńskie ciastko z serem i białymi rodzynkami. Już wtedy wyczuł jej głód.

Razem wyszli na ulicę, gdzie po przeciwnej stronie czekał srebrzystoszary jaguar z ciemnowłosą kobietą za kierownicą. Josie pomyślała sobie, że pewnie chłopak ma bogatą kochankę, chociaż najczęściej bogatych kochanków miewali młodzi geje. Włożyła ciemne okulary, żeby nie widział, jaka jest niepewna i zawstydzona, a on przepuścił ją w przejściu, żeby nie widziała, jak wsiada do samochodu.

Josie utkwiała wzrok w obrazie wiszącym na ścianie naprzeciwko kanapy, tym, który Michael zatytułował Cywilizacja i jej ofiary. Ślepe kobiety wchodziły na białe schody nad miastem w ruinach, oświetlonym blaskiem księżycy, niosąc w ramionach owoce i jaszczurki, książki, małe dzieci oraz głowę Zygmunta Freuda. Wszystkie miały twarz Meredith. Josie pochylila się i zajrzała do torby Pen, żeby zażyć jeszcze jedną tabletkę środka nasennego, ale nie znalazła ani jednej.

Obok torby Pen na szafce stała misa z listami. Michael Faraday, Michael Faraday, Mr. Michael Faraday. Same reklamy i egzemplarz „Wiadomości o Sztuce”. Przesyłka z Francji - specjalne gumki do ołówków i pastele, które Michael bardzo lubił, a które można było dostać tylko w jednym sklepie w Paryżu. Kiedy pastele przyszły, Michael jeszcze żył.

Po co kupowałaś te pieprzone gumki, skoro i tak zamierzałaś się zabić, co? Inna dziewczyna na pewno otworzyłaby paczkę, ale nie Josie. Kochała go właśnie w ten sposób, nigdy nie otwierała jego poczty i nie przeglądała jego rzeczy, pozwalała mu mieć tajemnice.

Ty głupi kutasie. Ty durny, skretyniały kutasie.

Ogarnęła wzrokiem półki z książkami, uginające się pod tomami w miękkich i twardych okładkach, pod starymi woluminami oprawnymi w grubą skórę o ziarnistej fakturze albo mięciutką, cielecą, ze złożonymi literami. Wszystko to były książki z biblioteki jego matki, książki, które przysły tu z nim jak zabłąkane psy. Michael nie był w stanie przejść obok hipisa siedzącego na kocu i czekającego, aż ktoś kupi od niego trzy książki, po prostu musiał kupić co najmniej jedną. „Zbrodnia i kara” za dwadzieścia pięć centów, wyobrażasz sobie? Nie do wiary! Na najwyższej półce szereg notatników w czarnych okładkach, do których Josie nigdy nie zaglądała.

Teraz mogła je już przeczytać, ale co by w nich znalazła poza informacją, że była podłą suką, idiotką, głupią pizdą? Że powinna wiedzieć o pewnych sprawach, że mogła go uratować? Mogła, powinna... Trzeba było przeczytać te notatniki, i to dawno temu.

Ale ona nie potrafiła, nie mieściło jej się to w głowie. Gdzie się zatrzymasz, kiedy już raz zaczniesz kogoś szpiegować? Będziesz czytać jego listy, wypytywać go, gdzie był i co robił, chodzić za nim, węszyć, śledzić? Spać na progu domu, żeby nie mógł się wymknąć? Ufała mu, wierzyła, że wszystko będzie dobrze, naprawdę. Musiała wierzyć. Gdyby nie okazywała mu zaufania, znenawidziłby ją, odszedłby wiele miesięcy temu.

Otoczająca jej umysł mgiełka oparów wódki i pigułek ustępowała powoli, strach podnosił łeb, podobny do wielkiego czarnego węża. Rósł i rósł, dławił ją od środka. Wypiła resztkę

wódki, żeby sprawdzić, czy zdoła go powstrzymać. Skulił się na tyle, że udało jej się odetchnąć. Podniosła się z trudem i podeszła do stołu. Ciężko opadła na krzesło. Włączyła lampę, tę z abażurem z ryżowego papieru, który Michael ozdobił chińskimi znakami. Harmonia. Pokój. Tao. Ming. Ming, czyli przeznaczenie. Znak podobny do włosów z przedziałkiem na środku, z kreską jak zmarszczka na czole, dwoma kwadratowymi oczami i nosem. Ming znaczy także „śmierć”. Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, żeby zapytać, co robi ming obok pokoju i cnoty. Nie zapytała go o tyle rzeczy, chociaż miała szansę. Bała się. I kto tu był ślepy?

Wyjęła jeden z jego szkicowników i rozłożyła go na zniszczonym blacie. Szkice z natury, Michael Faraday. Adres jego matki na Via Paloma w Los Feliz, stary numer telefonu. Musnęła litery koniuszkami palców. Pochyłe, równe. „E” podobne do odwróconej 3, delikatne „d”, „g” trochę jak 8, „t” ze starannie narysowaną kreską. Nigdy więcej... Michael już nic nie napisze, w powietrzu już nigdy nie pojawią się fale, które towarzyszyły emisji jego głosu, dźwiękowi jego śmiechu.

Pen jęknęła przez sen i przewróciła się na drugi bok, odsłaniając mocno naciągnięte rajstopy na czerwonych majtkach.

- O cholera... - wymamrotała.

Po chwili znowu zaczęła chrapać. Vista del Mar. Josie otworzyła szkicownik w okładce w żółte, rozmazane smugi.

Kontury przedmiotów i postaci, spontaniczna, mocna linia. Rysunki Michaela już wtedy były pełne życia, proporcje dobre, ciała tryskające energią, gesty celowe i rzeczywiste. Dopiero zaczynał, ale tak szybko się uczył... Wszystko przychodziło mu z tak wielką łatwością...

Nieprawda.

Trudne rzeczy przychodziły mu łatwo, lecz łatwe sprawiały niewiarygodną trudność. Leciutko dotknęła czarnych śladów po zabrudzonych węglem palcach. Michael miał długie palce, prawie dwa razy dłuższe od samej dłoni. Takie piękne ręce... Jezu Chryste... Zapragnęła poczuć ich dotyk teraz, natychmiast, na nagiej skórze. Tylko to mogło poprawić jej nastrój. Michael zawsze wiedział, jak to zrobić, oczywiście jeżeli chciał... Pieprzę cię, ty skurwielu. Teraz była sama. Całkiem sama.

Skupiła wzrok na szkicach. Przewracała kartki ostrożnie, powoli, żeby nie podrzeć pożółkłego papieru, obserwowała jego drogę przez podręcznik Wstęp do rysunku z natury. Rozpoznawała większość modeli, był tu karzeł Frank, pełen agresywnej pewności siebie, z ogromnym penisem - Michael widział go jako postać mitologiczną, groźną, niczym widmo ze snu - była Colleen Keen o długich nogach i szerokich biodrach, o sylwetce podobnej do kropli wody, i Marguerite ze swoimi głupimi pozami, zaczerpniętymi z tańca nowoczesnego, dość zabawna... I Pen.

Nie wiedziała, że rysował Pen. Przez ramię zerknęła na przyjaciółkę, ze spódnicą zrolowaną na pupie, twarzą wtuloną w oparcie kanapy, oddychającą płytko, nieregularnie. Na papierze Pen była władcza i ostra, stała z ręką opartą na biodrze, z jedną stopą mocno wpartą w podłogę, zniecierpliwiona, zirytowana. Nawet jej włosy łonowe sterczały agresywnie. Co to właściwie znaczyło, że dwie osoby, które kochała najbardziej na świecie, nienawidziły się aż tak bardzo? Michael i Pen byli jak dwie strony jej charakteru, nie do pogodzenia.

I wreszcie Josie... Linia jej pleców, delikatnie zaznaczone kości, poważna twarz nad drobnym ramieniem. Jego srebrna lilia, muza poety.

Nagle zaatakował ją pewien obraz, podobny do schwytanego dzikiego, groźnego zwierzęcia, zaskakujący w swej sile. Michael opowiadał jej kiedyś, jak jego sławny ojciec polował na dziki na Hawajach. Tubylcy wzmacniali dzidy metalowymi dragami, żeby dzik nie złamał broni i nie nabił ich na kły. Ale ona chciała, żeby to wspomnienie ją poraniło. Pozwoliła mu podbiec bliżej i zatopić pożółkłe kły w jej ciele.

Dzień był tak upalny i duszny, że trudno było oddychać. Dogonił ją po zajęciach, zapytał, czy ma ochotę popływać.

- Musimy pojechać autobusem - powiedział. - Nie mam samochodu...

Wyjaśnił, że nie chce znaleźć się we władzy maszyny, lecz ona pomyślała, że zwyczajnie nie stać go na auto. Zaprosiła go do swojego samochodu, usiadła za kierownicą i ruszyła w górę Vermont, mijając warsztaty samochodowe, sklepiki z ubraniami w stylu punk i kawiarnie. Wciąż pamiętała, że z magnetofonu leciała Patti Smith, piosenka Frederick. Jeżeli Patti może być zakochana, to wszystko jest możliwe, pomyślała.

W rozwidleniu drogi nad Los Feliz rozciągał się niewielki park z ogromnymi magnoliami, ich korzenie wiły się jak węże. Na gigantycznych trawnikach stały domy wielkie jak hotele. Kiedy pokazał jej, gdzie ma skręcić, ogarnęła ją przemożna chęć, aby wziąć ten długi palec do ust, ale nie zrobiła tego. Nie знаła go jeszcze dobrze.

Droga wiła się stromo pod górę, Josie zgubiła się wśród olbrzymich posesji i rezydencji, aż w końcu Michael kazał jej zaparkować w cieniu bardzo wysokiego muru. Rosły pod nim drzewa pomarańczy i rozkudłane krzewiaste sosny, drogę na teren posiadłości zagradała koronkowo rzeźbiona żelazna brama. Michael się uśmiechnął. Zakochała się w nim właśnie wtedy, w tamtej chwili, kiedy podniósł łańcuch i pchnął bramę. Pokazał jej, że nie była naprawdę zamknięta, że

łańcuch był tylko owinięty wokół pręta drugiego skrzydła. Michael był tym, który dużo wiedział, wiedział, że często coś wygląda zupełnie inaczej, niż jest naprawdę.

Pod wieloma względami.

Nie, nie chciała o tym myśleć. To teraz było zbyt potężne, jak olbrzymia ciemna planeta, która przesłania horyzont. Wolą wrócić do tamtego dnia. Chłodny cień pod wysokimi drzewami, otaczającymi dom w hiszpańskim stylu, mech barwiący grube mury i nadający czerwonym dachówkom wygląd ciemnozielonego aksamitu... Wzięła go pod ramię, aby nie skreślić sobie nogi, ponieważ była w sandałach na wysokim obcasie.

- Czyj to dom? - spytała.

- Moich znajomych - odparł cicho, tym głosem, którego chciało się słuchać z uchem tuż przy jego wargach.

Słodki, miły zapach jego oddechu. Obeszła z nim dom dookoła, obejrzała rozległy, zaniedbany ogród, pełen nieprzycinanych krzewów białej róży, wspinających się wysoko na gałęzie drzew, ostrożnie stawiała kroki na chodniku pokrytym śliskimi liśćmi. Bogaci ludzie powinni lepiej dbać o swoje domy, pomyślała.

Wreszcie zobaczyła basen. Ciemny, z grubą warstwą liści na niezbyt czystym dnie i cieńszą na powierzchni. Z całą pewnością nie był to taki basen, jaki sobie wyobrażała - owalny, lśniący w słońcu jak starannie oszlifowana akwamaryna. Nie chcąc okazać rozczarowania, rozpięła sukienkę, zrzuciła bieliznę i zanurkowała gładko, płynnym ruchem, zupełnie jak aktorka na planie filmu. Woda okazała się tak zimna, że aż zaparło jej dech w piersi. Po paru sekundach wychyłała się na powierzchnię, z trudem chwytając powietrze. Nie uprzedził jej, że basen jest nieogrzewany.

Chciał sobie z niej zażartować? Pośmiać się jej kosztem? Chyba nie... Siedział przy malowanym na zielono metalowym stole, rozkładał swoje kredki, wyjmował szkicownik.

- Nie popływasz ze mną? - zapytała. - Woda jest po prostu cudowna...

Jeżeli ktoś miałby futro jak polarny niedźwiedź...

- Nie, dziękuję - odparł. - Nie jestem szczególnie usportowiony...

To ją rozbawiło. Chłopcy zawsze się przechwalali, jacy to są wysportowani, jak wspaniale potrafią robić rzeczy, które tak naprawdę wcale im nie wychodzą. Nie znała takich, którzy otwarcie przyznawali się do swoich braków.

- Nie trzeba być specjalnie usportowionym, żeby popływać w basenie! - prychnęła.

Potrząsnął głową, a ona znowu zanurkowała, błyskając nagim pośladkiem, kusząc go.

I teraz patrzyła na samą siebie, na swoje białe ciało pod ciemną wodą, o konturach lekko zamazanych jak na wpół świadoma myśl. Rozmyty biały kształt, mocniej zarysowane drobne piersi i twarz, wszystko wśród wielowarstwowej ciemności. Tak widział ją tamtego dnia - jak jasność otoczoną głęboką czernią.

Tkwiący w jej brzuchu wąż napiął mięśnie, zmienił pozycję. Musiała przestać patrzeć na rysunek, musiała złapać oddech. Michael dostrzegł w niej piękno, widział w niej rzadko spotykaną, tajemniczą istotę, tymczasem ona myślała tylko o tym, że wokół domu panuje taka wspaniała cisza, że jest tu tak inaczej niż w gwarnym, hałaśliwym, kłótlwym Fuckhouse, Popieprzonym Domu.

Opowiedział jej o głuchoniemych, o mieszkańcach domu, kobiecie i jej niepełnosprawnym synu. O samotnikach.

- Matka nie lubi, kiedy on kontaktuje się z innymi ludźmi
- rzekł, nanosząc węgiel na dużą kartkę. - Czasami daję mu lekcje.

- Gdzie teraz są?

- W szpitalu. Chłopak choruje na serce.

Liść spadł z drzewa, wirując w powietrzu, i osiadł na jego ciemnych, krótko obciętych lokach. Żółty liść... Dlaczego ona pamiętała taki szczegół, takie nic, a on zapomniał o całym ich wspólnym życiu, nie był w stanie przywołać z pamięci najdrobniejszej rzeczy...

- A jego ojciec? - spytała.

Nie zdawała sobie sprawy, że każde jej pytanie to potknięcie, każde słowo to zasadzka, mroczna jaskinia.

- Nie żyje - odparł Michael. - Był epileptykiem, miał ataki wściekłości i pewnego dnia jego mózg po prostu eksplodował. Chłopak znalazł go w gabinecie, na podłodze, z krwią lejącą się z uszu...

Szkicował szybko, śmiało tworząc na papierze obraz eukaliptusów i sosen.

Smutny dom. Wiedziała o tym już wtedy, na samym początku.

- Chcesz się rozejrzeć? - spytał. - No, chodź... Nie mieliby nic przeciwko temu.

Zamknął teczkę i wyciągnął rękę do Josie. Zawahała się, ale nie potrafiła oprzeć się pokusie - nigdy nie widziała takiego domu. Chwycił jej dłoń i jednym szybkim ruchem wyciągnął ją z basenu. Był bardzo silny. Nie przypuszczała, że w tym wysokim, chudym, rozleniwionym ciele drzemie tyle energii. Za jego plecami czaiła się milcząca bryła domu, pełne smutku oczy okien. Wytarła się sukienką, a potem włożyła ją i wsunęła stopy w sandały. Michael wyjął klucz spod wycieraczki.

Staroświeckie białe - czarne kafelki w dużej kuchni poważnie ją rozczarowały, podobnie jak zwyczajny zlewozmywak i kran przytwierdzony wprost do wychodzącej ze ściany rury. Nie było to eleganckie wnętrze. Talerze, miski i filiżanki poustawiane w stosy na nieco obwisłych półkach w oszklonych kredensach. Powietrze w domu miało dziwny zapach, pachniało pastą do podłogi, drzewem cedrowym i naftaliną. W jadalni, nad wielkim jak jezioro stołem, wisiał owinięty muślinem zyrandol, podobny do gniazda os. Srebrny serwis do herbaty kurzył się na blacie pod ścianą. Może o czystość dbają tylko ludzie z klasy średniej, pomyślała. Skąd mogła wiedzieć, jak to jest, ostatecznie dorastała na podwórku firmy holowniczej w Bakersfield...

Trzy stopnie w dół i salon, i wspaniały aromat drewnianej podłogi, przykrytej wielkimi, poprzecieranymi wschodnimi dywanami. Naprzeciwko wejścia lśniący fortepian, czarny i długi jak półciężarówka.

- Które z nich gra?

- Oboje - powiedział Michael. - Często grają na cztery ręce.

Głuchoniemi grający piosenki na cztery ręce, utwory, których żadne z nich i tak nie może usłyszeć...

Pod schodami ukryty był pokój, cały w czerwonej skórze. Josie nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego. Pokój natychmiast skojarzył jej się z macicą. Przy ścianach stały regały z książkami, wysokie, od sufitu do podłogi. Wyjęła jedną z książek. Był w niej zapis muzyki, ale nie taki jak zwykle, w pięciolinii, tylko inny - na pojedynczych liniach zapisane nazwy instrumentów: 2 Floten, 2 Oboen, 2 Klarinetten in B. Na marginesie notatki.

- To pokój ojca - rzekł Michael. - Umarł tutaj, na tym dywanie.

Ktoś na pewno tutaj umarł, ale nie ojciec. Dom był jak przeznaczenie, z przytłaczającymi schodami o żelaznej poręczy, z posadzkami z kamiennych płyt. Josie przeciągnęła dłonią po dziwnej, gąbczastej ścianie ze stiukami; nie mogła oprzeć się wrażeniu, że dom wyrósł tutaj wprost z ziemi, jak grzyb po deszczu. Michael otworzył drzwi u szczytu schodów, przepuścił ją pierwszą.

- To jego pokój - powiedział. - Tego chłopaka.

Pomieszczenie przypominało klasztorną bibliotekę. Na drewnianej podłodze nie było dywanów, w kącie stało proste biurko, naprzeciwko wąskie, ascetyczne żelazne łóżko przykryte grubym szarym kocem z pojedynczym czerwonym pasem. Nad łóżkiem wisiała malowana Madonna w stylu prymitywistów. Książki były wszędzie. Książki, książki, książki - zniszczone i w dobrym stanie, oprawne w skórę i tekturę, ustawione na półkach i poukładane w stosy.

- Szczęście, że jest głuchy, nie ślepy - powiedziała kpiąco.

Przez wysokie drzwi przeszli do gabinetu głuchoniemego, do pokoju, w którym miał pracować Michael. Mówił przecież, że potrzebuje przestrzeni, prosił, żeby postarała się go zrozumieć.

Ale ona nie rozumiała. Nie rozumiała. Może winna była wódka i tabletki nasenne, a może po prostu była za głupia, żeby zrozumieć. Może była ślepa, niema i głucha, i zapadała się w ciemność, ale naprawdę nic nie rozumiała. Znowu zaczął pracować, znowu było im ze sobą dobrze, nie działo się nic złego. Obiecał, że nie będzie go tylko parę dni.

Pamiętała to wszystko tak dokładnie... Pamiętała Michaela w studiu, pamiętała drzewa, które widziała wtedy z okna, stół do pracy, puszki pełne pędzli. Pamiętała zapach terpentyny i oleju lnianego, który czuła tamtego dnia. Próbowwała zajrzeć pod płócienną płachtę, okrywającą sztalugi, ale Michael ją powstrzymał.

- Ten głuchoniemy jest też malarzem? - spytała.

- Chciałby być - odparł, odwracając się do niej plecami. - Brakuje mu pewności siebie. Boi się, że nigdy nie zostanie wybitnym artystą... Postaraj się zrozumieć.

- Czy to ma aż takie znaczenie?

Ułożył kawałki węgla, które i tak już leżały prosto.

- Tylko to ma dla niego sens - trącił czubek pędzla, wystającego z puszki, przesunął kciukiem po czystych włoskach. - Gdyby nie potrafił malować naprawdę dobrze, po co w ogóle miałyby żyć...

- Chyba najważniejsze jest to, że lubi malować - zauważyła. - Nie powinien przejmować się tym, co myślą ludzie, bo wszystko mu się pokręci... - musnęła policzki pędzlem w kształcie wachlarza, jakby nakładała makijaż. - Kiedyś mieliśmy sąsiada... Był ranny w Wietnamie, stracił władzę w nogach. Wieczorami wyjeżdżał wózkem na ganek, pijany w trupa, i udawał, że do nas strzela...

Michael uśmiechnął się, nie odrywając wzroku od pędzli i kawałków węgla, tak porządnie poukładanych.

- Na broń podobno trzeba mieć pozwolenie...

A ona myślała, że poznała kogoś, kto rozumie i dostrzega rozmaite rzeczy... Poczowała w ustach suchy, brudny smak rozczarowania.

- To wcale nie było śmieszne! Facet wyobrażał sobie, że rozwala komuś łeb!

Dom tego cholernego dupka, butelki na ganku, popękane szyby, pozlepiane kawałkami gazet i papierową taśmą, odgłos jego śmiechu, kiedy „trafiał”... Jej bracia rzucali psie kupy na deski ganku, żeby śmierdzący brud przyklepał się do kół i przenosił na dywan.

- Chciał zabijać, nie rozumiesz? - dodała. - Naprawdę chciał! Gdyby miał broń, nie wahałby się ani chwili...

Wtedy strząsnął z twarzy uśmiech i ściągnął ciemne brwi nad jasnozielonymi oczami. Zaczął słuchać, słuchać naprawdę, tak że zrozumiała, iż może mu zaufać. Wzięła szkicownik, chciała zajrzeć do środka, ale on wyjął go jej z ręki.

- Nie rób tego, Josie...

Jo - cee. Nikt nigdy nie wymawiał jej imienia w ten sposób, w ustach innych „s” brzmiało dźwięcznie, ostro, bardziej jak „z” niż „s”. Bez słowa oddała mu szkicownik. Mogła zacząć się z nim drażnić, mogła przekroczyć tę cienką granicę, dzielącą ich od dotykania się i pocałunków, ale nigdy nie była z takim chłopakiem jak Michael. Chodziła tylko z chłopcami takimi jak jej bracia, chłopcami, którzy wypijali z dziewczyną puszkę piwa, dzielili się skrętem, a potem rozdzielali na niej ubranie, zbyt prymitywni, aby odpiąć guziki. W porównaniu z nimi Nick Nitro był prawdziwym bogiem. W towarzystwie Michaela czuła się nieswojo, onieśmielona i niepewna. Położyła rękę na jego policzku, dotknęła ostrego zarostu, pociągnęła jego głowę w dół, ku swojej. Zadrżał. Josie czuła się trochę tak, jakby to ona była chłopcem, a on dziewczyną, i to dodało jej odwagi. Nie poszła do college'u, to prawda, ale świetnie wiedziała, jak przytulić się do chłopaka, jak go obudzić.

Ten pocałunek... Wtopiony w jej ciało, przyszyty do ciała...

- Pokaż mi, co robić... - wyszeptał. - Pokaż, czego pragniesz...

Wzięła go za rękę i podeszła z nim do wąskiego mnisiego łóżka. Wyraz jego oczu, gdy rozpiniała sukienkę, ją także przyprawił o dreszcz. Wsunęła dłonie pod jego marynarkę, dotknęła palcami spodni. Był bardziej niż gotowy.

- Zaczekaj... - powiedział. - Chodź ze mną... Poprowadził ją w głąb korytarza, do ostatnich drzwi.

Rolety były tam opuszczone, powietrze przesycone dymnym aromatem perfum. Odsunął zasłony, podciągnął rolety, otworzył staroświeckie okna. Zdumiewający pokój. Luksusowy, kobiecy, biało - błękitny, z antycznymi białymi meblami o pozłacanych krawędziach. Michael zerwał narzutę z łóżka, odsłaniając niebieską pościel w białe prążki. Zrzucił ubranie i wyciągnął się na szerokim materacu tylko w białym, porozciągany podkoszulku i bokserkach, takich samych jak te, które matka Josie kupowała w paczkach po dwanaście sztuk dla jej braci. Długą chwilę patrzyła na jego kościste, kanciaste ramiona, krótko ostrzyżoną ciemną czuprynę, studnię między żebrami, linię włosów łonowych, cieszyła się jego skupieniem, uwagą, z jaką odpowiadał na jej spojrzenie. Och, gdyby tylko miała taki jego portret...

Wzięła jego długi palec do ust. Skóra miała lekki posmak grafitu. Powieki zasłaniające zielone oczy zadrżały jak u psa, który ma jakiś sen, z jego gardła wyrwał się jęk.

Dlaczego się zabił, skoro potrafiliśmy się tak kochać? Dlaczego?

Zdjęła sukienkę, wciąż jeszcze wilgotną po basenie, i powoli poprowadziła jego dłoń po swoim ciele prosto między nogi, w miejsce, gdzie sama czuła, jak pulsuje i faluje wokół jego palców. Patrzyła w jego twarz, kiedy uczył się jej na pamięć.

- Tam... - powiedziała. - Grałeś kiedyś na gitarze?

Miał takie silne ręce, potrafił pieścić ją godzinami. Czuła się zupełnie inaczej niż z innymi chłopakami. Jego piękne ciało, długie i szczupłe na niebieskiej pościeli...

Nie białe. Nie martwe i zimne, owinięte w prześcieradło z węzłem na piersiach... W głośnikach stereo pod ciemnymi oknami Richard Hell śpiewał Going, Going, Gone.

Gdyby tylko tamtego dnia zapomniała o ostrożności... Gdyby zaszła w ciążę, teraz miałyby przynajmniej jakiś

dowód, że Michael naprawdę istniał. Miałaby coś konkretnego zamiast tych świateł, kilku obrazów i całej reszty swojego przekłętego życia... Gdyby wiedziała, że zostanie sama... W końcu znalazła kogoś, kto mógł dać jej wszystko, lecz ten ktoś najpierw dał jej wszystko, a później wszystko zabrał. Po prostu zabrał... Ty skurwielu! Radość, zachwyt - gdzie się to wszystko podziało? Co zrobiłeś z moim sercem? Czuła ból w brzuchu, zupełnie jakby ktoś wydlubował z niej miłość czubkiem tępego noża. Potrzebowała go, pragnęła, żeby znowu napełnił ją radością, teraz, już, natychmiast. Ty skurwysynu! Pieprzony skurwielu!

Łzy kapały jej prosto na rysunki, niszcząc je, unicestwiając. Zamknęła szkiełko. Chciała zapamiętać go takim, jaki był, gdy leżał na niebieskiej pościeli, ale pamięć uparcie podsuwała jej obraz otoczonych szerniąłą skórą oczu, zsiniałych ust. Czy to były te same wargi, którymi ją całował? Jaki był, gdy trzymała go w ramionach, kiedy tańczyli do muzyki z płyty Louisa Armstronga? Takiego powinna go pamiętać. Powinna zapamiętać radość, jaką czerpali ze swojej bliskości, swojej obecności. Zapomniałeś, jak bardzo cię kochałam? Zapomniał. Oto historia jej życia - Bóg daje wszystko tylko po to, żeby zaraz to zabrać. Tylko po to, aby człowiek wiedział, co stracił.

Na pomarańczowej szafce rozdzwonił się telefon. Pen jęknęła, przewróciła się na drugi bok, nakryła głowę poduszką, jej ociężała ręka zsunęła się na podłogę. Josie podniosła się, zatoczyła, uderzyła golenią w szafkę, chwyciła słuchawkę.

- Tak?

Po drugiej stronie ciężki oddech, potem głęboki, zachrypnięty kobiecy głos.

- Po co ty w ogóle żyjesz? Po co komu ktoś taki jak Josie Tyrell, powiedz mi...

Powinna była nacisnąć widełki, rozłączyć się, ale w słuchawce był tylko smutek. Nie złość, nie nienawiść, tylko rozpacz. Zupełnie jakby w tym domu nie było dosyć rozpacz... Me życzymy sobie akwizytorów, nie kupujemy smutku. A jednak nie umiała odłożyć słuchawki. Ta kobieta знаła Michaela Faradaya. Wiedziała, jak to jest, kiedy się go straci. Obie były podłączone do tego samego respiratora na pozbawionej powietrza planecie.

- Powiedz mi... - mamrotała kobieta. - No, powiedz mi... Powiedz: „Gdyby Michael Faraday mnie nie poznał, dzisiaj nadal by żył”. Wszystko to twoja wina. Przeklinam macicę, z której wypełzłaś na świat...

Gdyby był to ktoś inny, może by przytaknęła. Oczywiście, że to jej wina, tak jest. Ale nie chciała tego robić, nie wobec tej kobiety.

- Nawet mnie pani nie zna...

Śmiech jak szczeknięcie, krótka, pojedyncza nuta.

- Nie znam cię? Jesteś jak plakat reklamowy, Josie Tyrell, nie trzeba się specjalnie starać, żeby się zorientować, co sobą przedstawiasz...

Wypluła jej imię z taką nienawiścią, jaka chyba nie zmieściłaby się w całym Bakersfield.

- Dlaczego nie zostałaś w tej cholernej dziurze, gdzie się urodziłaś? Ty i on nigdy nie powinniście byli zamienić choćby jednego zdania! Mój syn wcale cię nie kochał, po prostu naszła go ochota, żeby wybrać się na wycieczkę po slumsach!

Na wycieczkę po slumsach... Ślepa jak kret. Ślepe Meredith, wspinające się po białych schodach. Michael umierał w tamtym domu. Niepełnosprawny chłopak. Głuchoniemi. Matka i syn w gnijącym, rozkładającym się luksusie. Pieprzyliśmy się w twoim pokoju, Meredith. Przeżyliśmy orgazm na twojej błękitnej pościeli.

- Ta wycieczka po slumsach była dla niego chyba bardziej prawdziwa niż życie z tobą.

Cisza, jakieś szelesty. W tle skrzypcowa muzyka i ciężki oddech kogoś, kto długo płakał i wypił co najmniej pięć kieliszków koniaku albo dzinu, niewątpliwie bardzo drogiego.

- Mogłabym zadzwonić, teraz, natychmiast... Jeden mój telefon i w ciągu godziny ktoś zakończyłby twoje marne życie... Pięć setek i byłoby po tobie, znikłabyś bez śladu. Myślę, że warto byłoby wydać tę forszę...

Josie spojrzała na Pen, która leżała na brzuchu na kudłatej kanapie, ze zwiniętą na pupie spódnicą. Szew w jej rajstopach pękł w kilku miejscach.

- Ja też go kochałam, Meredith. Nie tylko ty.

Ale jego matka nie słyszała jej słów. Gadała i gadała, jak pijak, który tuż przed zamknięciem knajpy spiera się z duchami.

- Myślałaś, że załapałaś się na świetny układ w życiu, ale Michael wymknął się z twoich pazurów... Nie przyszło ci do głowy, że jakoś uda mu się to zrobić, ty mała dziwko...

- Mam nadzieję, że poprawiło ci to nastrój.

- Nie chcę mieć lepszego nastroju! Chcę, żebyś cierpiała tak, jak ja teraz cierpię!

- W takim razie nie musiałaś wcale dzwonić - odparła Josie, odkładając słuchawkę.

3. Pogrzeb

W piątek o dziewiątej czterdzieści pięć rano Josie Tyrell jechała przez Griffith Park, a warkot jej ledwo żywego, pokrytego rozmaitymi nalepkami falcona był jedynym dźwiękiem, jaki zakłócał panującą w okolicy ciszę. Mijała trawniki i stare drzewa Crystal Springs, przejechała obok nieruchomej karuzeli z dumnymi rumakami z drewna, osłoniętymi namiotem przed zimą. W ostatni weekend tysiące ludzi oplakiwało tu tragicznie zmarłego beatlesa, lecz dziś park był pusty - nikt nie siedział na obramowaniu piaskownicy i nikt nie kołysał się na huśtawkach. Uważnie czytając znaki, okrążyła parking przy zoo i znalazła się z drugiej strony góry, tam gdzie powietrze przesiąknięte było zapachem eukaliptusów i sumaków. I oto miała je przed sobą, dokładnie tak, jak powiedział, miała przed sobą wielkie miasto zmarłych. Najpierw Forest Lawn, potem Mount Sinai. Dotrzymał obietnicy i zadzwonił, słowny człowiek, ten inspektor Brooks.

- Pogrzeb odbędzie się na cmentarzu Mount Sinai - szepnął do słuchawki. - Jutro rano, o dziesiątej. Skręć w piątą aleję zaraz za Forest Lawn.

Mount Sinai w niczym nie przypominało cmentarza w Bakersfield. Nie było tu żadnych nagrobków, tylko całe akry zielonej trawy, porastające łagodne wzgórze, krótko przystrzyżonej, usianej kamiennymi tabliczkami, wmurowanymi płasko, tak żeby łatwo było przejechać kosiarką po całym terenie, także i po grobach. Zrobiło jej się niedobrze, kiedy o tym pomyślała. Michael i tak nie chciałby być tutaj pochowany, Josie nie miała cienia wątpliwości, że wolałby, aby jego ciało zostało poddane kremacji. Cóż, nie miał wyboru, nie miał już nic do powiedzenia. Me pomyślałeś o tym, prawda? Nikogo nie obchodzi, czego pragną zmarli. Teraz to jej spektakl i nikt nie zapyta cię o zdanie, do cholery...

Podjeżdżali samochodami na wielki parking przed masywnym budynkiem z piaskowca i ustawiali je ciasno, jeden luksusowy wóz obok drugiego, zupełnie jak przed największą salą koncertową w Hollywood. Zero szans na wcześniejszy odjazd. Jakiś młody mężczyzna z chorągiewką wskazał jej miejsce za cadillakiem. Pozbawione barwy światło podkreślało rysujące się na horyzoncie błękitne i jasnozłociste sylwetki gór oraz dziwną bladość nieba. Josie poprawiła czarne okulary i wysiadła. Pewnie nie powinna była łykać prochów po drodze, ale nie miała pojęcia, jak inaczej zdołałaby przejść przez to wszystko. Zresztą i tak na pewno ci, którzy tu przyjechali, łykali valium garściami, więc co za różnica, do diabła...

Lekko dotknęła nalepki z nazwą zespołu Germs, nie na szczęście, ze względu na pamięć. Zimne powietrze było zaskakująco świeże. Potężny zraszacz rytmicznie polewał sztywną trawę. Josie wiedziała, że lepiej by było, gdyby włożyła na siebie coś innego niż sztuczne żółte futerko, chociaż wyczyściła je starannie i po prostu nie miała żadnego innego ciepłego okrycia. Zdawała sobie sprawę, że w głębi jej serca kryje się uparta gotowość do buntu, która nie pozwalała postępować tak, jak się tego po niej spodziewano. Nawet teraz. Nawet dzisiaj.

Tamci, ubrani w ponure odcienie szarości i brązu, stali grupkami w słońcu i rozmawiali przyciszonymi głosami. Wsunęła kosmyk włosów pod beret i starając się sprawiać wrażenie całkowicie spokojnej, poszła za pasażerami cadillaca. Byli to ludzie w starszym wieku; mężczyzna miał na sobie elegancki garnitur i palto, kobieta długie futro. Dotarła z nimi aż do Sali Pamięci, lecz tam okazało się, że nie potrafi się zmusić, aby wejść do środka.

Stanęła z boku i zapaliła gauloise'a, przez duże kwadratowe okulary przyglądając się lśniącej bielą nagim

pniom eukaliptusów, ostro odcinającym się od ciemnej zieleni parku. Tyle razy spacerowali z drugiej strony tego wzgórza, tyle razy obserwowali zachód słońca ze szczytu Góry Dantego, tyle razy kochali się na piknikowym stole pod smętnym eukaliptusem...

Starsi mężczyźni stali na schodach, po dwóch lub trzech, zupełnie jakby wybierali się na biznesowy lunch. Wujowie, przyjaciele, koledzy po fachu Meredith. Josie nigdy nie poznała nikogo z krewnych Michaela, chociaż znała go lepiej niż ktokolwiek z nich. Widziała, że odwiedzali to miejsce już wcześniej, że byli obywatelami tej krainy, królestwa Śmierci. Znali zwyczaje i rytuały tego państwa. Mimo tego mężczyźni patrzyli na nią z mieszkanką zaciekawienia, pożądania i estetycznego osądu, rzucali jej spojrzenia, którymi zawsze obdarzali młode kobiety. Każdy z nich był podmiotem, a ona tylko przedmiotem, rzeczą, zwierzęciem. Udawała, że tego nie zauważa, zbyt wiele wysiłku kosztowałoby ją przypomnienie im, że jest osobą. Tak było zresztą lepiej, bo przecież przedmiotu nikt za nic nie wini. Rozejrzała się nerwowo, szukając wzrokiem Meredith, jej dumnej głowy, okrytej burzą ciemnych włosów. Jak mogła zaprosić ludzi na pogrzeb swego jedyne go syna? Jak mogła to znieść?

Josie zgmiotła papierosa obcasem i weszła do Sali Pamięci. Wewnątrz wszystko było beżowe i przytłumione, a światło brało się znikąd. Przy drzwiach zobaczyła niewielki stolik, a na nim pudełko z czarnymi czapeczkami, ale stojący obok mężczyzna wyjął śliski jedwab z jej dłoni.

- To nie dla pań - poinformował ją cicho.

Przyjęła ulotkę od młodego mężczyzny z różą w butonierce, smukłego facecika z niskim czołem. Dlaczego tak jej się przyglądał? Czy cuchnęła zielskiem, czy też może nie podobało mu się jej żółte futerko? A może wiedział, kim Josie

jest, może wiedział, że to ona pozwoliła wymknąć się Michaelowi... To wszystko twoja wina, Josie Tyrell.

Usiadła z tyłu, pod ścianą. Na scenie zamknięta trumna lśniła jak czarny fortepian. Josie była zadowolona, że jest zamknięta, że nie będzie musiała znowu patrzeć na Michaela takiego jak wtedy, w kostnicy Zakładu Medycyny Sądowej. Nie, zaraz, przecież i tak wyglądałby inaczej, bo na pewno odpowiednio przygotowali go do trumny, prawda? Nagle przez głowę przemknęła jej myśl, że Michael zaraz podniesie wieko, usiądzie i zabawnym drżącym głosem zaśpiewa Just a Gigolo, tak jak Bing Crosby na płycie wytwórni Twenties, albo wygłosi przemówienie, na przykład coś w rodzaju „Poznajcie pana Lincolna”, coś takiego, co słyszeli w Disneylandzie. Jak potwornie ryczeli ze śmiechu, kiedy Lincoln wstał i wygłosił Mowę gettysburską, o mało się nie posikali... Krępy, tęgawy przewodnik podszedł do nich i poprosił, żeby wyszli.

- To jest Ameryka! - syknął. - Okażcie odrobinę szacunku...

Nie powinna była palić tego zielska po drodze, bo teraz kompletnie traciła wątek. Michael nie usiądzie w trumnie i nie zaśpiewa żadnej piosenki. Nigdy już niczego nie zaśpiewa, nigdy. Leżał tam, zamknięty, i działo się to naprawdę, i miał pozostać tam już na zawsze. Na zawsze, na zawsze. Czy Meredith widziała go takiego jak Josie, na stole u koronera? Czy też zaczekała, aż przewiozą go do zakładu pogrzebowego i zrobią mu makijaż? Czy sama zamknęła wieko trumny, tak jak tyle razy opuszczała wieko swojego steinwaya? Zamknęła jego muzykę w środku... Gdyby Josie nie widziała jego ciała w piwnicy Zakładu Medycyny Sądowej, w inny sposób traktowałyby tę zatrzaśniętą trumnę, ale ona widziała dosyć. Myślę o pewnym projekcie, powiedział Michael. I właśnie to był jego projekt, ostatnie stworzone przez niego dzieło sztuki.

Delikatne dźwięki muzyki wydobywały się z niewidocznego źródła, przytłumione, ciche. Kilka starszych kobiet ze starannie ułożonymi włosami odwróciło się i utkwilo w Josie nieco zaskoczone spojrzenia. Dziewczyna poprawiła okulary. One wiedziały. Ciaśniej otuliła się sztucznym futerkiem, zadowolona, że je ma, bo chociaż wyglądało tak tandetnie, dobrze chroniło przed panującym wewnątrz chłodem, przesyconym zapachem zziębniętych kwiatów. Co ją to w końcu obchodziło, czy miała na sobie odpowiednie okrycie, czy nie, zasługiwała na to, aby tu być, ponieważ tylko ona знаła go naprawdę, tylko ona pieprzyła się z nim, trzymała go w ramionach nad ranem, śmiała się z nim, wymieniając milion drobnych żartów, stawiała czoło jego wściekłości i ponurym nastrojom. Kochała go bardziej niż wszyscy ci ludzie razem wzięci. Gapię się, ile chcecie, stare suki, pomyślała. Wydawało im się, że ją znają, że coś o niej wiedzą, ale nie wiedziały nic, po prostu nic.

Josie uważnie obejrzała ulotkę ze świecznikiem na okładce. Okazało się, że jest to program uroczystości. Brahms, potem Psalm 16, Psalm 32, Bach. Modlitwa, kadysz, zapisana podobnymi do płomyków hebrajskimi literami, niżej angielska wymowa i przekład. Dobrze, że miała tłumaczenie - nie będzie klaskać w niewłaściwym miejscu. Pamiętała tamten wieczór w sali koncertowej Dorothy Chandler Pavilion - Michael taki przystojny w kupionym w ciuchlandzie garniturze z opalizującej tkaniny i zielonym jedwabnym krawacie, ona w czarnej koronkowej sukni i pantoflach na bardzo wysokich obcasach, w stylu Lany Turner. Ze swoich miejsc na galerii patrzyli na muzyków, siedzących przy ustawionych w podkowę pulpitych. Kiedy przestali grać, Michael chwycił jej rękę, splótł swoje palce z jej palcami i pieszczotliwie ugryzł ich kostki. Gdyby tego nie zrobił, byłaby jedyną osobą w całej sali, która zaczęłaby bić brawo.

W sali zimne powietrze wydawało się gęste od kwiatów, pulpitów oraz stojaków z koszami, zupełnie jakby miała się tu odbyć uroczystość na cześć kogoś, kto wygrał wyścig Kentucky Derby czy coś w tym rodzaju. Beżowe zasłony drżały lekko. Z lewej strony, na specjalnie oddzielonych miejscach za tiulowymi firankami, siedzieli najbliżsi krewni zmarłego. Poprzez dźwięki muzyki Josie usłyszała stłumiony szloch. To ona powinna tak szlochać. Michael zasługiwał na kogoś lepszego, na dziewczynę, która wbiegłaby do sali i z okrzykiem rozpaczy rzuciła się na trumnę, nie na taką, która siedziała pod ścianą, naćpana, oderwana od rzeczywistości, jakby wszystko to dotyczyło kogoś innego, nie jej. Z przodu ludzie rozmawiali i wymieniali uściski dłoni, wszyscy dobrze się znali. Tylko Josie była wyrzutkiem. Tak wyglądał ten pierwszy świat Michaela, świat, którego nigdy dotąd nie widziała.

W wejściu stanął mężczyzna z lwią grzywą szpakowatych włosów, opalony, niebieskooki, ubrany w wygnieciony trencz. Po sali przebiegł szmer, ludzie podnosili się z miejsc, żeby uścisnąć mu rękę, poklepać go po ramieniu, objąć. Odgadła, że to ojciec Michaela, Calvin Faraday. Nie chciał przyjechać, kiedy Michael żył, ale jakimś cudem udało mu się przybyć na pogrzeb. Wspaniale. Postarał się o teatralne wejście, zabrakło tylko uroczystego, ogłuszającego tuszu na wielką orkiestrę. Rozdzielił dwie przejrzyste zasłony i znalazł się w przestrzeni przeznaczonej dla najbliższej rodziny. I nagle wszyscy usłyszeli wibrujący gniewem głos Meredith, ostry, pełen złości, przechodzący w krzyk. Po paru chwilach ojciec Michaela wyszedł na zewnątrz czerwony jak burak i palcami przecesał swoją wielką grzywę. Usiadł między starszami i włożył małą czapkę. Ekspresyjnie wrzucił szerokimi ramionami, wyraźnie zażenowany, przepraszący. Jego włosy, zbyt gęste i sztywne, nie mieściły się pod satynową

czapeczką, która zsuwała się z nich raz po raz; musiał przytrzymywać ją ręką.

W sali nie było tłoczno, od reszty żałobników Josie dzieliło z osiem, może dziesięć rzędów. Czyżby sławni rodzice Michaela nie znali miliona równie sławnych ludzi? Cóż, może nie chcieli rozgłaszać wiadomości o śmierci syna i zaprosili tylko kilku dawnych przyjaciół oraz krewnych. Rano w „Timesie” nie było nekrologu. Michaelowi byłoby naprawdę przykro - uwielbiał strony z nekrologami. Może Meredith nie była w stanie dzwonić do przyjaciół i znajomych... Ktoś powinien był to zrobić, ale kto miałby siłę, żeby tyle razy powtarzać coś tak strasznego, i to po podróży z Urugwaju czy skądś tam... Ojciec Michaela wyglądał marnie mimo opalenizny. Był starszy od Meredith i na pewno przyjechał prosto z lotniska. Josie szczerze mu współczuła, nie mogła nic na to poradzić - może i był głównianym ojcem, ale Meredith okropnie na niego nawrzeszczała, a to musiało go potwornie zdenerwować.

Przyciszona muzyka umilkła i na podium wyszło czterech starców z instrumentami w pokrowcach. Usiedli półkołem na składanych krzesłach, przed każdym stał stojak z rozłożonymi nutami. Czarne pokrowce otworzyły się i w starych dłoniach pojawiły się piękne, bursztynowe skrzypce. Zaczęli grać Brahmsa. Tak, Meredith słusznie wybrała właśnie tego kompozytora. Michael go uwielbiał. Miejscami w utworach Brahmsa pobrzmiwały echa muzyki Bacha. Michael puszczał jej utwory obu kompozytorów, aby mogła to usłyszeć.

- Bach uważał, że świat ma sens - wyjaśniał. - Wierzył w Boga. A teraz posłuchaj Brahmsa...

Nastawiał drugą płytę i zwijał się w kłębek obok niej na kudłatej niebieskiej kanapie. Słuchała uważnie i wychwytywała różnicę - tak, u Brahmsa można było

zauważyć ten sam melodyjny porządek co u Bacha, lecz ład szybko się rozpadał, dając efekt burzliwego chaosu.

- Zupełnie jakby chciał być Bachem, ale nie potrafił nad tym zapanować - powiedział Michael.

Sam Michael także taki był. Pragnął Boga, lecz był zbyt pełny nastrojów i wątpliwości. A teraz Josie straciła ten świat, świat, w którym mogła siedzieć na niebieskiej kanapie i z policzkiem przytulonym do jego piersi słuchać muzyki. Poczowała napływające łzy, ale nie poddała się im. Nie wiedziała, nad kim właściwie chce płakać - nad nim czy nad sobą.

Kwartet skończył grać, ale starzy mężczyźni pozostali na swoich miejscach, z instrumentami leżącymi na kolanach jak niemowlęta. Na podium wyszło dwóch rabinów, jeden pulchny, w średnim wieku, w okularach na nosie, drugi stary, z obwisłymi policzkami, w srebrzystym krawacie. Obaj mieli na sobie białe szale w niebieskie pasy z długimi frędzlami. Josie przyszła do głowy myśl, że ich udział w ceremonii zapewniała pewnie firma pogrzebowa, ponieważ mocno wątpiła, aby Meredith miała cokolwiek wspólnego z ich obecnością. Gruby rabin zaczął śpiewnie recytować modlitwy po hebrajsku, a ludzie włączyli się w śpiew, odczytując tekst z książeczek i kołysząc się do przodu i do tyłu. Chwilami wstawali, a później znowu siadali, całkiem jak na koncercie. Josie robiła to, co inni. Gdy wszyscy ucichli, przemówił starszy rabin. Jego brwi były bardzo ekspresyjne, głos zaś pompatyczny i sztucznie dobitny.

- Najdrożsi przyjaciele, zebraliśmy się dziś tutaj, aby pożegnać kochanego przez nas wszystkich Michaela Loewy Faradaya, obiecującego młodego człowieka, światło życia swoich rodziców, Meredith Elizabeth Loewy i Calvina Petera Faradaya...

Josie nie miała cienia wątpliwości, że rabin nie znał Michaela i nic o nim nie wiedział, że mówił tylko to, co jego zdaniem bliscy zmarłego chcieli usłyszeć. Wolałaby już raczej dalej słuchać hebrajskich modlitw, tak starych, że ich dźwięk i melodia drapały dno serca jak szczotka przypalony garnek.

- Kto potrafi odgadnąć zamiary Boga? Któż jest w stanie odczytać jego decyzje?

Patrzyła na trumnę, która tkwiła na środku sali niczym gigantyczny znak zapytania, jak monolit w Odysei kosmicznej Kubricka. Jak jedno wielkie, pieprzone pytanie. Tak czy inaczej, komu potrzebny był Bóg, który pozwolił Michaelowi zagubić się aż tak bardzo, że popełnił samobójstwo? I po co miałyby istnieć diabeł, skoro Bóg był właśnie taki? Może w ogóle istniał tylko szatan, prawdziwy bóg tego pieprzonego świata, a może nie ma ani Boga, ani diabła, ani nic i wszyscy modlą się do niczego, jak dzikie plemiona, które oddają cześć samolotom, ponieważ uważają wielkie maszyny za bóstwa. Jeden wielki, ogólnoswiatowy kult samolotów...

Poczuła ulgę, kiedy rabini poprosili wszystkich, aby wstali i odmówili kadysz, modlitwę za zmarłych. Czytała ją razem z innymi, wymawiając słowa zgodnie z angielską transkrypcją: Yit - gadal v'yit - kadash sh'mey raba b'alma dee - v'ra hirutey... Brzmiało to jak wymyślony język, gadanina dzieci, które udają, że mówią po eskimosku. W przekładzie nie było ani słowa o śmierci, wszystko tylko o Bogu - modlitwa pochwalna, dziękczynna. Gdzie był ten Bóg, kiedy Michael siedział w swoim pokoju w motelu w Twentynine Palms? Nagle przypomnieli jej się ci nieszczęśni irańscy zakładnicy. Podobno porwani często po pewnym czasie brali stronę porywaczy, nazywano to „syndromem sztokholmskim”. Cóż, Josie nie zamierzała wychwalać tego porywacza, tego terrorysty. Pieprzę cię, Boże, pomyślała.

Milcząca trumna była jak wyrzut sumienia. Jak Michael mógł wytrzymać to uczucie zamknięcia, on, który cierpiał na klaustrofobię... Na pewno wolałby stos na brzegu Gangesu... Kiedy miał dziesięć lat, pojechał z matką do Indii i widział ceremonię palenia zwłok.

- Ogień uwalnia duszę - tłumaczył. - Dopiero wtedy, uwolniona z ziemskich więzów, może przejść do innego życia...

Siedzieli wtedy w parku Echo, jedli truskawki i przyglądali się, jak kilku Latynosów próbuje złowić coś w stawie, w którym nie było ani jednej ryby. Na samym środku stawu unosiły się nenufary, samą odległością od brzegu doskonale zabezpieczone przed złodziejami.

- Naprawdę w to wierzysz? - zapytała, zlizując truskawkowy sok z poplamionych palców. - W reinkarnację?

Shirley K. bez przerwy gadała o filozofii Wschodu, o tym, że każdy musi „przerobić” swoją karmę i takich tam różnych bzdurach.

Michael wzruszył ramionami, patrząc, jak jaskółka zniża lot i nurkuje między różowawymi kwiatami.

- Nie wiem, czy wierzę, ale podoba mi się idea oczyszczenia ogniem, publicznej kremacji. W tamtej kulturze kości zmarłego są wystawione na widok publiczny, każdy może je zobaczyć. To trochę przerażające, stos, który widziałem w Indiach, śnił mi się przez wiele lat. Ogień nie zawsze pochłania całe ciało, niektórzy ludzie są zbyt biedni, aby kupić wystarczająco dużo drewna, i wtedy krewni wrzucają kości do rzeki, ale dobrze przygotowany stos budzi uczucie satysfakcji, zadowolenia. Nie chcę skończyć w ziemi.

A ona myślała wtedy: „Był w Indiach, to niesamowite!”. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Meredith pokazała płonący stos dziesięcioletniemu chłopcu. Co za matka zabiera dzieciaka na ceremonię palenia zwłok, na miłość boską? Czy

zdaniem Meredith było to coś w rodzaju ciekawostki dla turystów?

Josie się poruszyła, przesunęła na krawędź krzesła. Bolało ją całe ciało. Od tamtego telefonu spała najwyżej dwie godziny, może nawet mniej. Stary rabin mówił coś o wpłatach na rzecz jakiejś fundacji, a później muzycy znowu grali Bacha, sarabandę. Dźwięki wydobywające się z dwóch par skrzypiec wzlatywały wysoko ku niebu, jak ptaki. Po wątpliwościach Brahmsa salę wypełniła muzyka wyrażająca czystą tęsknotę Bacha. Josie wyobraziła sobie ciało Michaela na stosie i dym wznoszący się ku Bogu, który nie byłby obojętny.

Potem wszystko się skończyło i nikt nie powiedział ani słowa o tym, kim Michael był i jak umarł. Szczerze mówiąc, Josie i tak na to nie liczyła. Nie było przecież nic do powiedzenia poza tym, że Michael uznał życie za nieznośnie bolesne, pełne cierpienia, podobne do jakiegoś pieprzonego pustego pomieszczenia, i zrezygnował z dalszego udziału w tej całej imprezie, plując w oczy Bogu i jego paskudnemu Stworzeniu. Teraz żałobników czekała jednak jeszcze wyprawa na cmentarz, do grobu, więc może tam ktoś powie o nim coś ważnego i osobistego. A może nie... Josie nigdy wcześniej nie uczestniczyła w żydowskim pogrzebie, nie miała więc pojęcia, jak to się odbywa. Postanowiła, że będzie obserwować innych, klaskać w odpowiednich momentach - na grób Michaela zawsze może przecież przyjść później.

Staruszkowie spakowali instrumenty, a inni mężczyźni wysunęli się do przodu, między nimi Calvin Faraday. Razem dźwignęli trumnę na barki i ruszyli w stronę wyjścia. Josie współczuła Calvinowi, który niósł do grobu własnego syna.

Wyszła na zewnątrz, wtopiła się w tłum z nadzieją, że nikt jej nie zauważy, nikt nie odgadnie, kim jest, nie wpadnie na pomysł, że to właśnie ona nie zdołała go uratować i ponosi

winę za to, co się stało. Patrzyła, jak niosący trumnę stawiają ją na platformie karawanu. Dwaj starzy mężczyźni pomogli ubranej w czarny płaszcz i kapelusz z woalką Meredith wsiąść do czarnej limuzyny. Musieli ją podtrzymywać, prawie nieść.

Wszyscy wsiedli do samochodów, włączyli silniki i światła. Josie schowała się za deską rozdzielczą i kilka razy zaciągnęła się skrętem, który kupiła sobie na później. Nie mogła czekać, musiała zapalić od razu, natychmiast. Doszła do wniosku, że wypłacze się w domu. Miała mnóstwo czasu na łzy, całą resztę życia.

Karawan ruszył, wozy jechały za nim powoli w górę zbocza porośniętego starannie przystrzyganą trawą, z której w równych odstępach sterczały mosiężne tabliczki. Wyglądało to jak dywan śmierci. Zatrzymali się tuż pod szczytem wzgórza. Nawet tu bogaci mieli swoją ekskluzywną strefę, enklawę oddzieloną od pozostałej części cmentarza niskim murem z piaskowca. Zaparkowali wzdłuż krawężnika, równo, w tym samym porządku co poprzednio. Ziemia pachniała wilgocią, kiedy Josie zbliżała się do kamiennego ogrodzenia. Nad grobem czuwał szereg cyprysów, jak u van Gogha, a w kamieniu wykute było nazwisko LOEWY.

Zajęła miejsce z tyłu, za plecami innych żałobników. Słyszała o rodzinnych grobach, ale nie zdawała sobie sprawy, co to właściwie znaczy. Cała rodzina Michaela była pochowana właśnie tutaj. Tutaj leżał jego dziadek, tutaj przygotowano miejsca dla Meredith, Michaela, ich ewentualnych współmałżonków oraz dzieci. Wyglądało na to, że ten grób był tu od zawsze. Michael dorastał ze świadomością, że czeka na niego miejsce w grobie. Między innymi na tym polegało bycie członkiem rodziny Loewych. Josie zadrżała w zimnych promieniach słońca. Michael wiedział, że właśnie tutaj skończy, stos był tylko fantazją. Niezależnie od tego, co by zrobił, i tak nie uciekłby od tego

prostokątnego dołu w ziemi, od tego wzgórzka pyłu i piachu, przykrytego dywanem z trawy. Gdyby za niego wyszła, zostałaby tutaj pogrzebana, a gdyby mieli dziecko, ono także zakończyłoby swoją ziemską podróż w tym miejscu. To ci dopiero ming, pomyślała Josie. To ci dopiero pieprzone przeznaczenie...

Ale oni nie pobrali się i nie spłodzili dziecka. Nie ma już więcej Loewych, a Josie, gdyby teraz umarła, zostałaby przewieziona do Bakersfield. Tak, chyba właśnie tam. Więc i tak nie byłaby z Michaelem. Już nigdy.

Pod baldachimem czekało kilka krzeseł. Staruszkowie podprowadzili Meredith, pomogli jej usiąść. Trumnę zdjęto z platformy i ustawiono na krawędzi grobu. Josie zastanawiała się, jak ci starcy mogą nieść coś tak ciężkiego, ale zaraz pomyślała, że pewnie wiedzą, w jaki sposób należy dźwigać takie ciężary. Calvin potknął się, lecz od razu odzyskał równowagę. Serce Josie pękało powoli, miażdżone rozpaczą. Dlaczego zrobił to właśnie teraz, kiedy myślała, że wszystko im się jakoś ułoży... Kochała go, ale nie dosyć. Nie dość mocno, aby go powstrzymać.

Patrzyła na Meredith w czarnym płaszczu i perłach, opalizujących w jaskrawym słońcu, i zastanawiała się, czy matka Michaela widzi coś zza tej czarnej woalki. Miała nadzieję, że nie za dużo. Josie stanęła za starą kobietą w norkach, skuliła się, starając się zajmować jak najmniej miejsca. Pragnęła teraz tylko jednego - zostawić za sobą ten ranek, tę godzinę.

W oddali długi łańcuch gór - Santa Susana, Verdugo, San Gabriel - ciągnął się aż do Baldy, jaśniejąc w słońcu. Nie podobało jej się to. Powinien padać deszcz, ulewny i lodowaty, a wszyscy powinni kulić się pod parasolami, każdy w swoim własnym prywatnym zakątku, z nisko pochyloną głową. Bezchmurne błękitne niebo wydawało jej się zupełnie

nie na miejscu. Stary rabin stanął nad grobem i odczytał kolejną modlitwę. Prosił, aby Bóg dał pogrążonej w smutku rodzinie siłę i pocieszenie w Jego miłości i miłości bliskich ludzi, bla, bla, bla. Ani słowa o żalu czy o rozpacz. Umieścili trumnę na platformie windy i spuścili czarną skrzynię do grobu. Josie czuła, jak jej serce z każdą chwilą ścisza się coraz bardziej i bardziej, trochę jak samochód, który wielka prasa zgniata na złomowisku; metal wydyma się i pęka, szkło pryska. Nagle Meredith podbiegła do grobu, zupełnie jakby chciała skoczyć w dół za trumną. Chwycili ją, przytrzymali. Zanosła się szlochem, osunęła na ziemię, ale zaraz podnieśli ją, otrzepali ubrudzone ziemią i trawą kolana. Próbowali wcisnąć jej do ręki błyszczącą łopatkę, żeby rzuciła kilka grudek ziemi na trumnę, ale odepchnęła ją zdecydowanie.

Potem młody człowiek rozdał wszystkim białe róże, ułożone w dużym wiadrze. Żałobnicy podchodzili do grobu i rzucali kwiaty na trumnę. Josie zbliżyła się ze spuszczoną głową, ze wszystkich sił starała się być niewidoczna. Drgnęła, kiedy usłyszała krzyk Meredith.

- O Boże, tylko nie ona!

Naćpana, usiłowała wmówić sobie, że nic nie słyszy, chciała przecież tylko rzucić tę różę, nic więcej, tak mi przykro, Michael, powtarzała sobie, ale silne ręce jednym ruchem odwróciły ją w drugą stronę. Twarz Meredith w odległości kilkunastu centymetrów od jej twarzy przesłoniła Josie cały świat. Patrzyła w wielkie, przekrwione oczy, kompletnie szalone, przesłonięte czarnym tiulem. Meredith wyrwała różę z jej ręki, obciążone zamszowymi rękawiczkami palce kobiety zacisnęły się na szyi Josie, mocne, długie palce pianistki. Josie nie mogła złapać tchu. Oczy Meredith stawały się coraz większe i większe, dziewczyna dygotała jak kot schwytyany za kark przez potężnego psa.

- Jak śmiesz?! - wrzasnęła Meredith. - Dlaczego jeszcze żyjesz?! Jak śmiesz żyć, kiedy on umarł?!

Gdyby działo się to w Indiach, przy stosie ułożonym z drzewa sandałowego, Josie bez chwili wahania skoczyłaby prosto w ogień, spłonęłaby jak kartka papieru i razem z Michaeliem odpłynęłaby do innego świata, niesiona lekkim wiatrem. Byliby wolni, jak dwa ptaki... Jacyś ludzie oderwali w końcu dłonie Meredith od jej gardła. Ktoś odsunął Josie, objął ją ramieniem i odprowadził na bok.

- Jak śmiała tu przyjść! - krzyczała Meredith. - Jak śmiała!

Josie zachwiała się na wysokich obcasach, potknęła o brzeg jakiegoś grobu, jej gardło płonęło, zmiażdżone palcami w rękawiczkach. Ani przez chwilę nie wątpiła, że Meredith byłaby w stanie zabić ją przy grobie, na oczach wszystkich. Cóż, miałyby prawo to zrobić, Josie w pełni zasłużyła na taką karę. Nie uratowała Michaela, nie powinna była tutaj przychodzić...

- Nic ci nie jest? - zapytał mężczyzna.

Pokręciła głową. Z trudem trzymała się na nogach. Płakała, z nosa jej ciekło, trzęsącymi się rękami szukała w torbie papierosów. Wreszcie znalazła jednego i wetknęła sobie do ust, ale teraz nie mogła znaleźć zapalniczki. Nagle tuż przed jej oczami pojawił się płomyk, osłonięty od wiatru dużymi dłońmi.

Ojciec, Calvin Faraday.

- Nie miej jej tego za złe - powiedział. - Przeżywa cholernie ciężkie chwile.

Rozdygotanymi palcami przytrzymała papierosa, patrząc, jak ludzie przy grobie rzucają ziemię i piach na najbardziej fascynującą ludzką istotę, jaką dane jej było poznać.

- Ja też go kochałam... - wykrztusiła.

- Wiem - odparł Calvin Faraday. - Ale na twoim miejscu nie jechałbym na stypę.

Josie kiwnęła głową, zadowolona, że jest ktoś, kto nie czuje do niej nienawiści. Ojciec Michaela sięgnął do kieszeni marynarki i podał jej chusteczkę do nosa. Wytarła nos i oczy, nie oddała mu jednak chustki, bo wymazała ją tuszem do rzęs.

- Zatrzymaj ją sobie...

Kiedy wyjął portfel, przez głowę przebiegła jej myśl, że może chce dać jej pieniądze, ale on wyciągnął wizytówkę i napisał coś na niej grubym długopisem.

- Zatrzymałem się w hotelu Marmont - powiedział. - Zadzwoń do mnie, chciałbym z tobą porozmawiać.

Calvin Faraday. Ciekawe, co pomyślałby o jego propozycji Michael... Skinęła głową, obiecała, że zadzwoni. Jak czułby się Michael, gdyby wiedział, jaką ulgą nappełniła ją świadomość, że jest mężczyzna, dorosły mężczyzna, który chce i może ochronić ją przed rozmaitymi oskarżeniami? Byłby wściekły, ale przecież nie było go tutaj, a Josie wciąż czuła ból w miejscach, gdzie na jej szyi zacisnęły się palce Meredith. Wsiadła do samochodu, wyprowadziła wóz z parkingu i ruszyła w dół zbocza, całkiem sama, jak dzieciak wyrzucony z klasy za mniej lub bardziej ważne przewiny, upokorzona i wolna.

4. CAL

Po powrocie do domu nawet się nie przebrała. Zażyła tylko valium, które zostawiła dla niej Pen, i usiadła na ganku obok kuchni, popijając wódkę prosto z butelki i patrząc na wzgórze po drugiej stronie szosy, te widoczne na pierwszym planie i te dalsze, Verdugo, wyraźnie rysujące się na tle nieba. Michael był martwy, a słońce nadal świeciło. Wypuściła w górę strużkę dymu z papierosa. Miała nadzieję, że Michael czuje jego zapach i pamięta. Marzenie o Paryżu rozwiało się jak ten dym. Nie było już Błażeja ani małej Żanny. Nigdy nie zamieszkają na jednej z barek, zakotwiczonych u brzegu Sekwany, nie będą hodować pędów papirusa i nie usiądą na pokładzie, przytuleni, zasłuchani w plusk wody, uderzającej o burtę barki, zapatrzeni w zapalające się na paryskich mostach latarnie.

Nie zorientowała się, kiedy zasnęła. Gdy się ocknęła, między jej palcami tkwił wypalony papieros, twarz miała zziębniętą i dziwnie stwardniałą, a cienie były już bardzo długie. W pokoju dzwonił telefon. Potykając się, wpadła do środka i chwyciła słuchawkę.

- Halo? Josie? Tu Cal...

Cal? Cal Worthington i jego pies Spot? Na myśl przychodził jej tylko sprzedawca używanych samochodów, facet w kowbojskim kapeluszu, który prowadził na smyczy aligatora.

- Kto?

- Cal Faraday. Ojciec Michaela.

Cal. Cal Faraday. Wielki Człowiek. WC, jak mawiał o nim Michael. Skąd wziął jej numer, do cholery? Przycisnęła szczupłe palce do zmarzniętych warg. Oczywiście, przecież był to także numer Michaela... Oczywiście, że Cal go znał... Własne palce wydały jej się nagle zupełnie obce, jakby nie należały do ciała, jakby były częścią szkieletu, najpewniej

dziecięcego. Czowała się tak, jakby znalazła się w środku filmu Bunuela. Najpierw dusiła ją światowej sławy pianistka, a teraz telefonował do niej Calvin Faraday... Co dalej? Może lada chwila z jej dłoni zaczną wypełzać mrówki?

- Właśnie wychodzę od Meredith, ale muszę wrócić tu na szóstą, na shivah. Taki goj jak ja, wyobrażasz sobie? Tak czy inaczej, chciałbym z tobą porozmawiać. Możemy się umówić?

- Chyba tak...

O czym chciał z nią porozmawiać? Na parapecie okna paradował cyrk, przed ostatnim Bożym Narodzeniem Michael zrobił go z wyciorów do fajek - potykający się o własne nogi kłowni, tańczący pies.

- Gdzie teraz jesteś?

W słuchawce coś zaskrzypiało.

- W parku Echo - odparła.

Ta nazwa miała w sobie coś przejmująco smutnego, dziwne, że Josie nie zauważyła tego wcześniej. Echo... Śmierć dźwięku, który nie ma dokąd pójść i dlatego musi zawrócić z drogi...

- Daj mi dziesięć minut - powiedział.

Głos miał szorstki, niezbyt głęboki, zachodni. Wciąż jej się wydawało, że Cal jest nowojorczykiem, ale przecież on tylko tam mieszkał. Pochodził ze stanu Oregon, z jakiejś zabitej deskami dziury na wybrzeżu.

- Powiedz mi tylko, gdzie mamy się spotkać...

Josie rozejrzała się po mieszkaniu. W pokoju było czysto, lecz powietrze pachniało tu czymś złowrogim, może strachem, a może śmiercią.

- Wie pan, gdzie jest bar Lotus Room?

Bar przy Bulwarze Zachodzącego Słońca, tak mały i ciasny, że w godzinach szczytu klienci siadali na zewnątrz, pod namiotem, na zakręcie między parkiem Echo i Chinatown.

- Już jadę - mruknął i odłożył słuchawkę.

Szykowała się niemrawo, spowolniona działaniem alkoholu i środka uspokajającego, na dodatek pełna niechęci i wątpliwości, ponieważ nie wiedziała, co właściwie ma powiedzieć Calvinowi Faradayowi. Przebrała się w obcisłe spodnie i wysokie buty, włożyła poprzecieraną skórzaną kurtkę, pamiątkę dnia, który jeszcze niedawno uważała za najgorszy w życiu. Zdażyła się już nauczyć, że zawsze może być jeszcze gorzej. Zmyła makijaż z twarzy, bo nie chciała, aby Calvin Faraday pomyślał, że chce zrobić na nim wrażenie, że w ogóle obchodzi ją jego opinia na jej temat. Po drodze zaparkowała najzupełniej nieprawidłowo przed sklepem monopolowym przy Echo Park Avenue i pobiegła po paczkę gauloise'ów. Śmiała się z Michaela, kiedy zaczął zamawiać te papierosy, była absolutnie pewna, że taki marny sklepik nie sprowadzi francuskich fajek tylko dlatego, że ktoś o to prosi, i za każdym razem, kiedy widziała je na półce, przeżywała wstrząs. Przywykła do brania świata takim, jakim był, nigdy nie sądziła, że czasami wystarczy poprosić, aby dostać to, na czym człowiekowi zależy.

Zjechała w dół bulwaru, minęła Chiński Targ i zatrzymała się pod barem, ale nie wysiadła, oparła się o kierownicę i zasłuchiwała w piosenkę Going Down grupy The Germs. Wypaliła skręta. Zaczekała do chwili, kiedy trochę dalej przy krawężniku zaparkował biały Chevrolet z firmy wynajmującej samochody. Była czwarta po południu, światło zaczynało już blaknąć i zanikać. Z chevroleta wysiadł Cal Faraday, wciąż w tym samym wygniecionym trenczu, w którym był rano. Spojrzał na wejście do baru i rozwiązał krawat, zwinął go i schował do kieszeni.

Josie dała mu jeszcze minutę. W barze było ciemno, paru miejscowych pijaków tkwiło nad tanimi, marnymi drinkami. Wyglądali tak, jakby przyrosli do stołków i oglądali

wiadomości w telewizorze z wyłączonym dźwiękiem. Nowy prezydent Ronald Reagan, z plastikowymi włosami i uśmiechem idioty, machał do dziennikarzy i udawał, że nie dosłyszy ich pytań. We wnęce siedziała przytulona do siebie policzkami para Chińczyków. Oboje chichotali, a na blacie ich stolika panoszyła się cała armia szklaneczek z papierowymi parasoleczkami. Kobieta wetknęła sobie kolorową parasolkę we włosy. Z szafy grającej dobiegały pogodne nuty Bali Ha'i. Troje fanów punk rocka rozmawiało przyciszonymi głosami w kącie, nad śniadaniem złożonym z budweisera w dużych butelkach. O tej porze w barze nie było zwykle żadnej kelnerki, tylko Willie Woo, chiński barman.

Calvin Faraday siedział przy barze, z głową ukrytą w dłoniach.

Josie usiadła na stołku obok niego. Ojciec Michaela popijał coś brązowego z lodem, pewnie bourbon.

- Wódkę z tonikiem - powiedziała do Williego Woo.

- Masz jakiś dowód tożsamości? - zapytał, jak zwykle ostrym tonem.

Wyciągnęła swoją kartę identyfikacyjną, fałszywkę, którą Willie jak zwykle zlustrował czujnym spojrzeniem w słabym świetle. Josie miała skończyć dwadzieścia jeden lat następnego lata, ale teraz i tak straciło to dla niej wszelkie znaczenie. Wiedziała, że bez Michaela będzie to tylko jeszcze jeden pusty dzień, tak pusty jak muszla, którą przykładła się do ucha, żeby usłyszeć szum morza. Willie nalał jej drinka. Zapaliła gauloise'a i położyła niebieską paczkę na ladzie.

- Przyjemne miejsce - odezwał się Calvin Faraday.

- Lubię ten bar - odparła. - Wygląda tak samo wstrętne, jak ja się czuję.

Willie z rozmachem postawił przed nią szklanę, rozchlapując część alkoholu.

Więc tak wyglądał osławiony ojciec. Czują, jak obserwuje ją zaskakująco błękitnymi oczami. Zdawała sobie sprawę, że Cal Faraday próbuje wyobrazić sobie ją z Michaelem, może w łóżku. Tę dziewczynę wybrał mój syn... Pozwoliła mu patrzeć. Mężczyźni nigdy nie oceniali jej tak surowo jak kobiety. Calvin przyglądał się jej poprzecieranej, podartej kurtce, wysokim butom, srebrzystym włosom i ciemnym oczom, jej poważnej twarzy z ustami o opuszczonych kącikach. Wiedziała, co widzi.

- To nie twoja wina - powiedział. - Po prostu trafiłaś w sam środek najokropniejszej sytuacji, jaką można sobie wyobrazić. Michael miał problemy, o których nie masz pojęcia.

Nie miała pojęcia, akurat. Michael miał przede wszystkim obsesję na punkcie Calvina Faradaya, wielkiego pisarza, który ciągle był na tropie a to partyzantów frontu ludowego w Birmie, a to czteropalczastych niedźwiedzi workowatych w Amazonii. Pociągnęła łyk drinka. Tak jak wszystkie drinki w Lotus Room, ten także był słaby i miał smak mydła.

- Co to takiego shivah? - zapytała.

Trzymał szklanekę w szorstkich, zniszczonych dłoniach. Jego przedramiona, widoczne spod podwiniętych rękawów koszuli w biało - niebieskie paski, wyglądały na silne, były pocięte grubymi żyłami i bardzo mocno opalone jak na środek zimy

- Co wieczór przez cały tydzień dziesięciu mężczyzn gromadzi się na modlitwie w domu zmarłego. W gruncie rzeczy po prostu siedzą w pokoju i kibicują rodzinie, ale wcale nie jest to taki zły pomysł, jak by się mogło wydawać. - Przechylił szklanekę i zamieszał brązowawy płyn. - Skupiają na sobie uwagę pograżonych w żałobie najbliższych.

Zupełnie jakby on nie był pogrążony w żałobie... I ona także. Ale to całe zgromadzenie mężczyzn i tak nie mogło jej pomóc.

- Nie sądziłam, że Meredith jest religijna - mruknęła.

- Lekarz podał jej środek nasenny - ojciec Michaela zerknął na mułkę z rozłożystą brodą, który właśnie srożył się na ekranie telewizora. - Zresztą to bez znaczenia... Meredith nie musi nic robić, zebranie po prostu odbywa się u niej w domu. Poza mną modlą się sami przyjaciele jej ojca, którzy robili to już nie raz...

Ach, więc to ci staruszkowie, pomyślała. Lubiła mężczyzn, mężczyzn, którzy wiedzieli, co robić, którzy stawali na wysokości zadania, kiedy działo się coś złego. Takich jak jej ojciec, jak Calvin Faraday. Nigdy nie mówiła o tym Michaelowi, nigdy, tylko ten jeden, jedyny raz. Nie lubiła się do tego przyznawać, ale taka była prawda. A Michael nie radził sobie z trudnymi sytuacjami.

Cal zamieszał drinka grubym palcem. Jego ręce w niczym nie przypominały dłoni Michaela, dłoni godnych dzieł Michała Anioła, tak kształtnych i pięknych, że chciało się płakać. Calvin Faraday miał szerokie, silne, węzłaste, mocno owłosione ręce. Pomyślała, że takie dłonie potrafią trzymać łopatę i zmiażdżyć komuś nos. Dostrzegła Michaela w zarysie czoła i grubych prostych brwiach jego ojca, ale Calvin miał paskudną cerę, efekt młodzieńczego trądziku, a jego szpakowate włosy stały się podobne do sprężynek i wcale nie były już miękkie i ciemne. Obaj mieli jednak tę samą szczupłą, wyrazistą twarz bohatera, tę samą wysuniętą do przodu szczękę, ten sam upór i zdecydowanie w oczach.

Calvin otoczył szklankę dużymi dłońmi, jakby próbował je ogrzać.

- Zadzwoił do mnie ostatniego dnia... - Jego głowa zwisała bezwładnie nad szklanką w koszyku ze splecionych

palców, co wyglądało trochę tak, jakby się modlił. - Nie odebrałem tej wiadomości...

Przycisnęła ciężką dłoń do policzka. Josie nie potrafiła uwierzyć, że Michael zadzwonił do ojca, który nigdy nic dla niego nie zrobił. Zwłaszcza że do niej nie zadzwonił... Ta myśl przebiła jej serce jak ostry sztylet, pocięła je na plasterki jak maszynka do krojenia jajek na twardo, której używała babcia Ida. Zadzwonił do tego dupka, którego nienawidził, a do niej nie? Czy Cal właśnie to chciał jej powiedzieć? Że w ostatecznym rozrachunku wcale dla Michaela tak dużo nie znaczyła? Czy też postanowił jej dowieść, że mimo wszystko był kimś ważnym dla syna? Widziała, że Cal czeka, by coś powiedziała, ale ona była taką marną aktorką, nigdy nie mówiła tego, co powinna, najwyraźniej w jej naturze krył się jakiś perwersyjny cień. Zresztą i tak nie miała zielonego pojęcia, co właściwie powinna powiedzieć. Nie, to wcale nie twoja wina, Cal? Byłeś wspaniałym ojcem? Zawsze na zawołanie? Tak jest, i właśnie dlatego Michael się zastrzelił... Tak, szkoda, że cię tam nie było... A czy w ogóle kiedykolwiek byłeś przy nim, gdy cię potrzebował, dupku? Zostawiłeś go całkiem samego, zostawiłeś go mnie! Wszyscy go zostawiliście. Co miałam zrobić, przecież nie jestem jedną z was... Nie wiedziałam, jak poradzić sobie z Michaelem, jak mu pomóc...

Tak czy inaczej, Michael zadzwonił do ojca, którego nienawidził, a który tamtego dnia przebywał w Kuala Lumpur. Nie do niej.

- Właśnie wróciłem do hotelu, kiedy przekazano mi wiadomość z konsulatu - Cal podniósł szklanę i zagrzechotał kostkami lodu. - Mało brakowało, a nie zdążyłbym wrócić, specjalnie opóźnili odlot samolotu z Singapuru.

Josie nigdy nie była w Kuala Lumpur, Singapurze ani nawet w San Francisco. Niby dlaczego czyjaś śmierć miała

wydawać się bardziej tragiczna dlatego, że ktoś inny ledwo zdążył na samolot w dalekim kraju? Meredith ciągle dzwoniła do Michaela z Afryki Południowej, Pekinu albo jakiegoś równie odległego miejsca. Bogowie lądują na ziemi tylko na chwilę...

- O czym właściwie chciał pan ze mną porozmawiać? O swoich podróżach?

Dopiero wtedy spojrzał na nią inaczej, spod przymrużonych powiek. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że pierwsze wrażenie wprowadziło go w błąd. Josie nie była jednak taką miłą dziewczynką, jak mogłoby się wydawać. Utkwił wzrok w zawartości szklanki i zaczął wpatrywać się w nią z takim skupieniem, jakby była to kryształowa kula.

- Tak po prostu chciałem z tobą pogadać... Lepiej cię poznać, takie tam...

Czekała, aż powie coś więcej. Z całą pewnością nie chodziło mu o to, żeby ją poznać, przecież niczego nie potrafiła ukryć. Musiał mieć jakiś inny plan.

- Mówił o tobie, wiesz?

Rozmawiał o niej z Caivinem Faradayem?

- Tak? Kiedy?

- Dzwonił do mnie czasami, żeby powiedzieć, co u niego, jak mu leci.

Rozmawiał z ojcem, za jej plecami. Co jeszcze? Umiał prowadzić samochód i rozmawiał ze swoim starym - czego jeszcze nie wiedziała, do kurwy nędzy? Co mogła mieć przeciwko temu, że dzwonił do Cala, dlaczego ukrywał to przed nią? A może był to jakiś zwariowany wymysł Calvina Faradaya?

- Nigdy do pana nie dzwonił. Płaciłam rachunki, więc wiem.

- Zamawiał rozmowę na koszt rozmówcy. Nie przeszkadzało mi to. Co tam, byłem w siódmym niebie, że znowu chce ze mną gadać.

Powoli wypuściła powietrze z płuc. Próbowwała się uspokoić, pociągnęła łyk parszywego drinka.

- I o czym rozmawialiście?

- O tobie. Najwięcej mówił o tobie. Że jesteś oryginalna, inteligentna. Że cię kocha. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby w ten sposób mówił o dziewczynie, o kimkolwiek...

Cał przycisnął zimną szklankę do czoła, przetoczył ją w jedną i drugą stronę.

Gdyby tylko mogła w to uwierzyć... Ludzie, którzy kochają, nie wyjeżdżają z domu, żeby się zabić, i nie zostawiają ukochanej osoby, nie porzucają jej na pastwę losu, jak zepsuty samochód na poboczu drogi. Przecież wierzyli w swoją miłość. Wierzyli, że nawet jeżeli wszystko układa się źle, nawet jeżeli wszystko kompletnie się pieprzy, to można jakoś wytrzymać, warto wytrzymać, właśnie ze względu na miłość. Inteligentna. Oryginalna. Kto kiedykolwiek znowu opisze ją w taki sposób? Ja, Josie Tyrell, byle jaką dziewczynę, która przetrwa nawet koniec świata, razem z karaluchami. Jedyne człowiek, który dostrzegł w niej te cechy, był już martwy.

- Ucieszyłem się, kiedy powiedział, że ma dziewczynę, prawdziwą dziewczynę, nie jedną z tych hiperintelektualistek z Harvardu, które całymi dniami tylko kłapią gębą o Kierkegaardzie i Nietzsche...

Jakie znowu hiperintelektualistki z Harvardu? Miała ochotę chwycić go za klapy płaszcza i wrzasnąć: „Jakie hiperintelektualistki?!”. Michael nic nie mówił jej o żadnych dziewczynach z Harvardu. Był prawiczkim, na miłość boską... Pomyślała o tym, jak drżał w jej ramionach. Ale z drugiej strony uczył się tak szybko... Boże... Więc może tylko

udawał... Po co? Po co udawać, że jest się prawiczką, jeżeli wcale się nim nie jest? Czy Michael najzwyczajniej w świecie bawił się jej kosztem? Czego jeszcze o nim nie wiedziała?

- Byłaś dla niego dobra, Josie. Potrzebował właśnie kogoś takiego jak ty.

Dobra dla niego? Potrzebował kogoś takiego jak ona? Okazała się dla niego taka dobra, że TERAZ BYŁ MARTWY. Może powinien był trzymać się tych pieprzonych hiperintelektualistek z Harvardu... Doskonale wiedziała, co Cal miał na myśli, oczywiście. Była dla niego dobra, bo dawała mu dupy, a to pomaga pozbyć się trądziku i tak dalej.

- Byłaś prawdziwa - ciągnął Cal. - Byłaś człowiekiem z realnego świata, bardzo mu się to podobało. Mówił, że twój tata jeździ ciężarówką do holowania...

- Ma firmę holowniczą... - wymamrotała Josie, niepewna, czy może zaufać własnemu głosowi.

- Mój ojciec był rybakim z Coos Bay w Oregonie. Nie urodziłem się w książęcej rodzinie.

Josie wiedziała wszystko o Calvinie. Jako pierwszy w swojej rodzinie poszedł do college'u, a później na studia w Harvardzie, jako stypendysta. Rybak, drwal, przewodnik myśliwski, bramkarz w nocnym klubie, bla, bla, bla... Wydawcy umieszczali te interesujące fakty z życiorysu na obwolutach książek, a Michael zazdrościł mu jak cholera... Zniszczone dłonie Calvina mówiły wszystko o jego fascynującym życiu.

- Michael dusił się powietrzem w tym przeklętym Meredithville - kiwnął głową w kierunku, gdzie znajdowało się Los Feliz oraz imponujący dom przy Vista del Mar. - Chciał żyć jak normalny człowiek...

To, czego Calvin Faraday nie wiedział o swoim synu, mogłoby zapełnić obszerną encyklopedię. Miał wilgotne oczy,

intensywnie niebieskie źrenice dziwacznie kontrastowały z zaczerwienionymi białkami.

- Tylko nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać - zagrzechotał kostkami lodu w szklance.

- Dlaczego mu pan nie pokazał? - Dmuchnęła gorzkim dymem przez swoje drobne jak u dziecka palce, prosto w światło, rozchodzące się z ekranu telewizora. - Dlaczego nie zrobił pan nic, żeby mu pomóc?

Cal zwiesił dużą głowę, wzruszył potężnymi ramionami. Wyglądał jak pokonany byk.

- Łatwiej powiedzieć niż zrobić... - mruknął. - Ciagle dążył do tego, żeby ze mną walczyć... I był lojalny. Wobec niej. Wiesz, jak to z nimi było...

Otarł usta wierzchem dłoni. Chyba chciał powiedzieć coś więcej, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

Wiedziała, jak to z nimi było, lecz nie zamierzała się z tym zdradzać. A gównu!

- Widziałam ich razem tylko jeden raz, kiedy powiedział jej, że przeprowadza się do mnie. Że wynajęliśmy razem mieszkanie.

Calvin Faraday zapatrzył się na butelki za barem. Jego błękitne oczy znowu zwilgotniały, na otoczonych zmarszczkami ustach pojawił się uśmiech.

- Boże, dużo bym dał, żeby zobaczyć tę scenę... Szturm na Bastylie, vive la Liberté...

Po policzku spłynęła mu łza. Otarł ją z roztargnieniem.

- Była cholernie wściekła - powiedziała Josie.

- Wyobrażam sobie. Nie masz pojęcia, jak oni trzymali się razem. Tylko oni dwoje w swoim własnym małym świecie, ludzie z zewnątrz źle widziani... Oczywiście głównie chodziło o mnie... - zakasłał, napił się, znowu zaczął obracać szklankę w dłoniach. - Tak, nauczyła go życia w stylu diwy operowej... Staralem się do niego dotrzeć, nie wiesz, jak bardzo się

staralem... Ale ja nie jestem kumplem Arnolda Schönberga, tylko zwyczajnym facetem z zabitej deskami prowincji, więc Michael patrzył na mnie jak na kłowna... Mój własny syn...

Ruchem dłoni przywołał Williego Woo, zamówił jeszcze jedną whisky. Czy Cal miał kompleks niższości wobec syna? Josie otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale on nie dał jej dojść do słowa.

- Dobrze wiem, co o mnie myślał! Gardził mną, ponieważ nie potrafiłem poradzić sobie z jego matką. Kiedy chłopak widzi, jak matka odrzuca ojca, kompletnie niszczy go to wewnętrznie i wprawia w ruch cały ten łańcuch powiązań kompleksu Edypa...

Cal utkwiał wzrok w jednym z punków, którzy stali przy grającej szafie, próbując wybrać najbardziej łzawą płytę, jaka mogłaby stanowić akompaniament dla jego spóźnionego śniadania, złożonego z piwa oraz piwa. W barze Lotus Room zestaw płyt nie zmieniał się od 1963 roku. Chłopak wrzucił monety do otworu, w szafie coś zazgrzytało i Julie London zaczęła śpiewać Blue Moon. Willie Woo nucił piosenkę pod nosem, nalewając Calowi świeżego drinka i stawiając go przed nim na ladzie.

Josie pomyślała, że ludzie zawsze mówią o wszystkim, tylko nie o tym, co im naprawdę nie wyszło. Nie zamierzała dać się wciągnąć w scenariusz Cala, zbyt dobrze знаła Michaela, żeby teraz ktoś wpuszczał ją w maliny.

- I to dlatego nazwał go pan maminsynkiem? Żeby poczuł, jacy jesteście sobie bliscy?

- Naprawdę ciągle do tego wracał? - Cal przytknął szklankę do wąskich warg. - Niesamowite... Było trochę inaczej, powiedziałem, żeby nie był maminsynkiem. Michael celowo zmienił sens moich słów. Lubił dramatyzować, podobnie jak jego matka.

Papieros Josie zgasł i Calvin zapalił go jej własną zapalniczką, osłaniając płomyk szorstką, zniszczoną dłonią.

- A ta historia z piłką?

Z piłką do baseballu, którą Cal rzucił w Michaela, trafiając go prosto w czoło.

- Mógł ją złapać - rzekł Cal. - Po prostu miał wtedy ochotę urządzić scenę na oczach matki. Bywał podstępny, umiał manipulować ludźmi. W Ojai był w drużynie piłki ręcznej, w Harvardzie należał do najlepszych graczy. Grałem tam raz przeciwko niemu, w czasie Weekendu Rodziców. Był szybki, sprytny i złośliwy. Ograł mnie w tę i z powrotem.

Nie jestem szczególnie usportowiony. O czym ten Cal gadał?

- Michael nie uprawiał sportu...

Cal wyjął portfel, wyciągnął z przegródki zdjęcie. Chłopiec w białym stroju wyciągał rękę uzbrojoną w tenisową rakietę, aby zbić wysoką piłkę. Ciemne włosy, zaczerwienione od wysiłku policzki, ani śladu typowej dla nastolatków niezgrabności gestów, pewność siebie doświadczonego gracza... Za dużo tego wszystkiego, pomyślała. Za dużo, nic nie rozumiem. Miała ochotę położyć się i zasnąć.

Cal wsunął zdjęcie na miejsce, zasłaniając fotografię dwóch małych dziewczynek. Najnowszy zestaw Faradayków, dzieci z ostatniego małżeństwa z niejaką Harmony, którą Michael nazywał „Numero Quatro”, „Numer Cztery”. Zdjęcie na zdjęciu, warstwa na warstwie, trochę jak budowanie cywilizacji. Na pewno zazwyczaj Michael był na samym dnie, ale samobójstwo pomogło mu wypłynąć na powierzchnię. Nienawidził ojca właśnie za to, że potrafił nabałaganić, a potem odejść i zacząć jeszcze raz, od nowa. Zaprzątnąć uwagę następnej kobiety, spłodzić nowe dzieci, stworzyć świeżutki, nowy świat. Podczas gdy Michael nie umiał odwrócić się plecami do niczego.

Cóż, teraz Cal nie ma już szans odejść. Michaelowi w końcu udało się skupić na sobie całą uwagę ojca.

- Wiesz, trochę rozejrzałem się po domu, poszperałem tu i tam, bo miałem uczucie, że Meredith coś przede mną ukrywa...

Sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął szarą kopertę, a z niej dwie białe. Jedną położył na ładzie, drugą schował.

Josie Tyrell. Znajomy charakter pisma, znajome pochyłe litery, „e” podobne do „3”, mocna, zdecydowana kreska „T”. Koperta usiana brązowymi punkcikami, zupełnie jakby przez chwilę znalazła się w zasięgu kropel brunatnej wody, lecącej z prysznic.

- Znalazłem to w biurku w gabinecie jej ojca. Zamyka je, ale wiem, gdzie trzyma klucz.

Gabinet jej ojca, Mauritz Loewy'ego, który strzelił sobie w łeb. Gabinet z meblami obitymi czerwoną skórą, o którym Michael powiedział, że należał do ojca głuchoniemego chłopaka.

- Meredith nie zna takiego pojęcia jak granica. Tak została wychowana. Pamiętaj o tym, kiedy znowu ją spotkasz.

Josie odwróciła kopertę. Josie Tyrell. List do niej. Ogarnął ją lęk. Koperta była już otwierana, linię ciemnoniebieskiego tuszu przecięto.

- Czytała to?

- Ona albo koroner.

- A pan?

Ściągnął brwi, jego twarz przybrała wyraz litości i smutku.

- Nie, nie... Ja też dostałem list, to mi wystarczy.

- Co napisał do pana?

Cal Faraday ciężko westchnął, wypuścił powietrze przez usta. Sięgnął po papierosy Josie, zerknął na nią, szukając gestu sprzeciwu lub przyzwolenia. Kiedy skinęła głową, wyjął jednego z paczki i zapalił.

- Mój syn był pełny gniewu i buntu. Muszę przyjąć do wiadomości, że jestem częściowo odpowiedzialny za jego stan. Częściowo, nie w całości.

Josie zgmiotła papierosa i uniosła rozdarte skrzydło koperty. Mdliło ją ze strachu, ale wzięła się w garść, przygotowała na najgorsze. Josie, ty suko, zdrajczyni, podła glisto... Przeklinam dzień, w którym cię spotkałem.

- Dlaczego te listy były u niej?

Cal pokręcił głową.

- Musiała dostać je od koronera, ale jestem pewien, że Michael chciał, żeby je zobaczyła. Wiedział, że je otworzy, więc nie bierz wszystkiego dosłownie...

Josie wyjęła kartkę z koperty, rozłożyła ją i zmusiła się, żeby zacząć od samego początku. Motel Paradise, Highway 62, Twentynine Palms. Firmowa papeteria. Krople krwi przesiąkły przez kopertę, tworząc koszmarną konstelację na białoszarym papierze.

Droga Josie, kochaliśmy się... Przerwała, wstrzymała oddech, przeczytała raz jeszcze. Może jednak nie obwiniał jej o to, co zamierzał zrobić, może jednak nie zrobiła nic złego. Kochaliśmy się... Prawda? Nie mogę sobie przypomnieć. Będziesz musiała pamiętać za nas oboje. O Boże. O Boże, Boże Boże Boże Boże. Mam nadzieję, że znajdziesz kogoś, kto będzie umiał odpowiedzieć na twoje potrzeby lepiej niż ja. Nie jestem w stanie spełnić twoich pragnień. Do zobaczenia w następnym życiu. Michael.

Proste linijki pisma na kartce papieru wbijały się w jej serce, cięły głęboko i mocno, jak zimna brzytwa. Niżej, wśród kleksów, wpadającymi na siebie, zderzającymi się ze sobą literami (na pewno był przynajmniej trochę pijany) - Przepraszam. Przepraszam, przepraszam za wszystko. Bardzo, bardzo przepraszam, kurwa. Oparła czoło na dłoni, zasłoniła

twarz palcami, żeby Cal nie widział łez, które spływały jej po nosie i kapały na ładę.

Cal przykrył jej rękę swoją, ciepłą i pokrytą odciskami. Pozwoliła mu na to.

- To nie twoja wina - rzekł. - Niczyja wina... Wyrwała rękę, otarła oczy i jeszcze raz przeczytała list.

Ostatnie słowa, jakie napisał.

- Co można zrobić z czymś takim? Trzymać w szufladzie z bielizną? Razem z listami miłosnymi? Taszczyć to ze sobą przez całe życie?

- Nie wiem - odparł. - Dzisiaj nie jestem mistrzem mądrych odpowiedzi.

5. TAMTE dni

Josie leżała na brzuchu w niezbyt świeżym białym łóżku, które nadal pachniało Michaeliem, chociaż jego zapach z każdym dniem stawał się coraz słabszy, ubrana w jego zieloną flanelową koszulę, znaną na dnie kosza z brudną bielizną, pachnącą już tylko nią samą, cuchnącą smutkiem. Zamknęła oczy i wcisnęła twarz w jego poduszkę. Próbowwała uchwycić jego zapach, ale umykał jej, chwytając go tylko przypadkiem, chwilami, jak spojrzenie rzucone przez człowieka z tłumu. W dużym pokoju Louis Armstrong i Hot Five grali Big Butter and Egg Man, a serce Josie co sekundę rozpadało się na drobne kawałki, które układały się w przedziwne, pozbawione wszelkiego znaczenia mozaiki.

Odwróciła głowę i powędrowała wzrokiem po Syberii pościeli. Jej spojrzenie zatrzymało się na ścianie, na tej, na której zaczęli malować Montmartre. Była tam ich kawiarenka z małymi okrągłymi stolikami, Błażej i Żanna, ulica, przy której znajdowała się kawiarnia i sklepy, wszystko to namalowane w pierwszych tygodniach wspólnego życia w tym domu. W dniach, których Michael nie mógł sobie przypomnieć. Których już nie pragnął. Te ściany wprost błagały kiedyś o gwałt, zupełnie jak wyzywająca, pewna siebie dziewczyna. Josie poprosiła, żeby Michael coś na nich namalował.

- Pięknie by to wyglądało - powiedziała, rozkładając ramiona, aby objąć całą nagą powierzchnię. - No, proszę...

- Mae Fong surowo zabroniła - oświadczył Michael. Właścicielka domku, ostra sekretarka z miejskiego ratusza, dama po sześćdziesiątce i nałogowa palaczka, przykazała im, aby zostawili ściany w spokoju, ponieważ zostały dopiero co odmalowane farbą w złamanym odcieniu bieli, ku ogromnej satysfakcji Mae.

- Daj spokój, dobrze wiedziała, że je pomalujemy! - Josie wyjęła z szafy węgiel i ołówki Michaela. - Namaluj nas i Montmartre...

Spojrzał na nią, jakby urwała się z choinki. Studiował w Harvardzie, ale najwyraźniej nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby zlekceważyć polecenia osoby, od której wynajmuje mieszkanie.

- Co ona nam może zrobić, ta cała Mae? - zaśmiała się Josie. - Nic!

- Właśnie to tak w tobie uwielbiam... - Michael przycisnął czoło do jej czoła, objął ją za szyję. - Dajesz mi na coś pozwolenie i nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy...

- Dam ci coś więcej niż takie tam sobie zwykłe pozwolenie - powiedziała, kręcąc głową raz w tę, raz w drugą stronę i wchłaniając jego zapach, tę niepowtarzalną mieszankę aromatu sosny oraz mchu. - Pozwolę ci na wszystko, na wszystko...

Wziął do ręki sztyft i zaczął rysować na białych drzwiach szafy. Narysował kawiarnię, bar, przy stolikach cyrkowców, siłacza i kobietę z brodą, a w tle drobniutką balerinę, całkiem samą.

- Gdzie jej ukochany? - spytała. - Nie możesz pozwolić, żeby była taka samotna. Popatrz na nią, jest strasznie smutna...

- Jej ukochany zaraz przyjdzie. Zrywa fiołki, żeby mogła przypiąć sobie bukiet do płaszczyka.

- Niech się pośpieszy, bo inaczej ona odejdzie z siłaczem...

Roześmiał się swobodnie, błysnął dużymi białymi zębami. Szybko naszkicował siebie, artystę w obwisłym krawacie i wymiętej marynarce, z potarganymi włosami nad czołem, ze szkicownikiem, butelką wina i małą szklaneczką na stole.

Wymieszał farby akrylowe w jednorazowych kubeczkach i zaskoczył ją, podając jej pędzel.

- Zamaluj to czerwienią - powiedział, wskazując fragment ściany, na którym szkicował obrazy w ramach. - Sama tego chciałaś...

I malowali razem, ramię w ramię, słuchając Le Jazz Hot Louisa Armstronga. Django Reinhardt grał na swojej jazzującej cygańskiej gitarze. Piaf śpiewała o ulicach, które mają złamane serca. Michael malował trudne fragmenty, Josie łatwe - mury kamienic, podstawowe kształty, sylwetki, krzesła z giętkich prętów, zarysy postaci w tle, którym Michael dodawał twarze i ubrania, a także malutkie obrazki, walutę, jaką artyści płacili za napoje, kiedy nie mieli ani grosza przy duszy. Kilka pociągnięć pędzlem i na ścianie pojawił się Picasso - smutny kłown i jego dziewczyna, przygarbieni nad szklankami z winem. Podobne do czarnych świec drzewa van Gogha. Sacre Coeur. Znała te obrazy, oglądała je w albumach, gdzie szukała nowych pomysłów na pozy, ale to był ich Picasso, ich van Gogh. Codziennie wstawali i domalowywali nowe fragmenty, chodzili na spacer, kochali się. Kto umiałby odgadnąć, gdzie kończył się Montmartre i zaczynał park Echo... Kolory stapiały się, łączyły, zupełnie jak akwarele.

Jak mógł zapomnieć o tym wszystkim? Równie dobrze mógłby zapomnieć, jak się nazywa albo jaką barwę ma niebo. Josie pamiętała wszystko, wszystko. Jak przytargali ostatnie pudło z ulicy i bez tchu padli na olbrzymią kanapę, którą komuś jakimś cudem udało się tu wnieść. Jak światło kładło się pasmami na szerokich deskach podłogi i napełniało okna drzewami. Jak Michael tym szczególnym ruchem rozprostowywał szczupłe ramiona i plecy, wpychając przegub dłoni pod staw łokciowy drugiej ręki, powtarzając ćwiczenie na drugim ramieniu i ogarniając wzrokiem pełen pudeł i kartonów pokój oraz bale surowego drewna, podtrzymujące sufit. Jak obejmował ją ramieniem w pasie i przytulał głowę do jej głowy - właśnie to lubiła najbardziej, jeszcze bardziej

niż seks. Wcześniej nigdy by nie pomyślała, że taka drobna rzecz może napełnić ją całą niewypowiedzianą, trudną do opisania słodyczą, tak intensywną, że nie mogła jej w sobie pomieścić. Jeszcze teraz czuła twardość jego głowy, zapach jego potu, przyjemny jak aromat alkoholu, widziała drżący w blasku letniego słońca widok za oknem, długie, srebrzyste liście eukaliptusa, które powiewały na wietrze jak włosy dziewczyny. Nigdy wcześniej nie mieszkała w pokoju z widokiem i tutaj czuła się jak w domku na drzewie. Miała wrażenie, że wreszcie może odetchnąć pełną piersią, zupełnie jakby wielka czarna żaba, która przygniatała ją od urodzenia, w końcu sobie poszła.

Ale teraz wróciła. Usadowiła się na jej sercu, ciężka jak worek z piaskiem. W dużym pokoju rozdzwonił się pieprzony telefon.

- Odpierdol się... - mruknęła Josie.

Nie było tu nikogo, kto reagowałby na imię „Josie” czy jakiegokolwiek inne. Żadnych imion, żadnych numerów. Tylko Montmartre wciąż żył na ścianach sypialni. Ich pokój nad kawiarenką, brukowana uliczka, zbiegająca do mrowiska malarskich pracowni przy Bateau - Lavoir. Ich warzywniak i rzeźnik. Teatr cieni pana Rivière. Wszystko tak wyraźne, tak jasne. I kochankowie, którzy tam mieszkali - Błażej i mała Żanna, Picasso i Fernande, Toulouse - Lautrec i Suzanne Valadon. Ile wieczorów spędzili, siedząc w łóżku i popijając wino... Josie tylko w czarnych pończochach, które doprowadzały Michaela do szaleństwa, zasłuchana w wiersze... Czytał jej Valery'ego po francusku - *ce toit tranquille, où marchent des colombes, entre les pins palpites, entre les tombes...*

Groby. Wśród grobów, Jezu Chryste, wcześniej po prostu nie zwróciła na to uwagi.

Płyta Louisa się skończyła, w domu zapanowała cisza. Ce toit tranquille, entre les tombes... Nie mogła znieść tej ciszy. Potykając się, poszła do dużego pokoju i jeszcze raz puściła płytę. Muzyka chrypiała tęsknotą. Josie wyciągnęła się na niebieskiej kudłatej kanapie, otwarta jak porzucona książka, książka, którą знаła na pamięć, książka, z której wydarto wszystkie kartki. Leżała na plecach, zasłaniając oczy ramieniem i słuchając skargi klarnetu, do której zaraz dołączyła trąbka Louisa. „Samotny blues”. Próbowwała wyobrazić sobie, że Michael znowu tu jest, że tańczy z nią, całkiem nagi. Nigdy wcześniej nie mieszkała w tak prywatnym miejscu. Tutaj mogli robić, co tylko chcieli, nawet przy szeroko otwartych oknach. Pili szampana, który nie kipiał z butelki i puszczał tylko niewielki dymek. Michael napełniał kieliszki, szkło różowiało, wino było słodkie i zimne, a palce Michaela ciepłe, kiedy dotykał jej tak długo, aż w końcu zapominali o szampanie i kochali się znowu, i znowu.

Nie był prawiczką.

Prawiczek czy nie, jakie to w końcu miało znaczenie. Nie zamierzała pozwolić, aby ten dupek Cal pozbawił ją sensu wspomnień. Wspomnień o takich popołudniach jak to, kiedy po prostu leżeli na kanapie, nie rozmawiając i nie słuchając muzyki, przez otwarte okna obserwując, jak słońce zniża się coraz bardziej i bardziej, wzgórze zalewa fala pomarańczowego sorbetu. Mieli to. Naprawdę to mieli. Nadal czuła lekki powiew wiatru i dotyk jego palców, widziała jego twarz, zmarszczki wokół oczu, rzęsy drżące na policzkach, kiedy doprowadzał ją do orgazmu silnymi dłońmi pianisty i penisem, doświadczonej czy nie, co za różnica, kurwa, skoro i tak była to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek przeżyła... Teraz zaczęła udawać, że jej palce są jego palcami, kiedy tak dotykają jej piersi i sprawiają, że jej płeć tańczy jak

fałdowana spódnica w czasie flamenco. Była już prawie na szczycie, kiedy klucz zazgrzytał w zamku. Ledwo zdążyła poderwać rękę do góry, gdy w drzwiach stanęła Pen z opartą na biodrze torbą z zakupami.

Niechętnie obciągnęła koszulę Michaela i zasłoniła oczy ramieniem.

- Cały dzień leżysz tutaj, masturbujesz się i słuchasz starych płyt? - zapytała Pen.

Podeszła do stereo i wyrwała igłę z rowka płyty Hot Five.

- Nie da się tak żyć. Weź się w garść, Josie, dosyć tego. Telefon znowu zaczął dzwonić. Pen czekała chwilę, lecz

Josie nie miała najmniejszego zamiaru odbierać - wiedziała, że usłyszy ciężki oddech Meredith, a potem trzask przerwane połączenia. W ciągu ostatnich kilku dni przećwiczyła to już wielokrotnie. W końcu Pen podniosła słuchawkę.

- Do ciebie - powiedziała.

Kiedy Josie nie wzięła słuchawki, podsunęła ją przyjaciółce pod sam nos, a gdy ta mimo wszystko nie chciała jej dotknąć, położyła ją na jej twarzy.

Josie westchnęła ciężko.

- Tak? - odezwała się niechętnie.

Zdążyła się już nauczyć, że telefon oznacza raczej coś złego niż dobrego.

- Josie, tu Cal - usłyszała szorstki jak piasek głos człowieka z zachodniej części kraju. - Trzymasz się jakoś?

Ucieszyła się, że to on. Zaskoczyło ją to. Cóż, Cal wiedział, co to znaczy stracić Michaela Faradaya, tę szczególną istotę ludzką, ten wyjątkowy i cudowny efekt zderzenia biologii i historii, ducha i materii.

- Śniło mi się, że Michael żyje, że mieszka w białym mieście i niesie do wodopoju kożę... - powiedziała.

Wyglądał przepięknie, mocno opalony, tylko w szortach, z kożą o rudej sierści na ramionach.

- Wołałam do niego, ale nie słyszał, a potem na schody wyszło mnóstwo kobiet w białych sukniach i nie chciały mnie przepuścić...

Chyba była to jakaś religijna procesja, bo kobiety poruszały się powoli, dostojnie i niosły gipsową figurę jakiegoś świętego.

- Wiedziałam, że muszę dotrzeć do niego, zanim zejdzie na brzeg, bo na rzece kołysała się łódka, którą miał odpłynąć, ale one nie chciały mnie przepuścić...

- Rozumiem - rzekł Cal. - Mnie ciągle się śni, że opiekuję się nim po katastrofie samolotowej w Andach albo po trzęsieniu ziemi... - z jego piersi wyrwało się ciężkie westchnienie. - W nocy przespałem najwyżej trzy godziny... Słuchaj, chciałem się pożegnać...

Pożegnać się?

- Dokąd jedziesz?

- Do domu - odparł łagodnie. - Wylatuję o północy.

Do domu. Wracał do domu. Do Numero Quatro i jej dzieci, do Nowego Jorku. Rano będzie już z nią w łóżku... Nagle ogarnęła ją taka zazdrość, jakby była kochanką Cala. Jak śmie mieć jakieś inne życie! Już był w drodze, jego myśli już wędrowały ku nowej rodzinie i nowym planom, postanowił wziąć się w garść i żyć dalej, a ona leżała tu na niebieskiej kanapie i masturbowała się, podobna do wraku, który utknął na środku nieruchomego, martwego morza.

- Podam ci numer mojego telefonu. Gdybyś miała ochotę pogadać, dzwoń, o każdej porze...

Josie wiedziała, że nigdy do niego nie zadzwoni, bo gdyby to zrobiła, ktoś powiedziałby jej, że Cal właśnie bierze lekcje tanga w Buenos Aires albo z maczetą wędruje przez busz w Kuala Lumpur. Mimo tego pośpiesznie wygrzebała ołówek z

bałaganu na pomarańczowej szafce na buty. Łzy kompletnie ją oślepiały, ale jakoś zapisała ten pieprzony numer.

- Musimy iść dalej, Josie. Nie mamy wyboru. Znajdziemy drogę, zobaczysz.

Znajdziemy? Naprawdę, Cal? Ty pierdolony głupku! To ty znajdziesz drogę, nie ja! Odłożyła słuchawkę i długą chwilę siedziała nieruchomo, wpatrzona w telefon, który przytrzymała gołymi kolanami. Pen wyszła z kuchni, niosąc miseczkę z chipsami.

- Ubierz się - poleciła. - Zaraz przyjdą tu ludzie.

- Jacy ludzie? - zapytała Josie.

Nie umiała sobie wyobrazić, że na świecie jeszcze ktoś został.

- Twoi przyjaciele. Włóż na siebie jakieś szmaty, do cholery!

Przyszła Shirley Kamaguchi, Genghiz, jej szef ze sklepu, który sam uznał się za Azteka z Pico Rivera w czwartym pokoleniu, Ben Sinister i David Doll. Przynieśli parę opakowań sushi i usiedli przy rozchybotanym stole.

- Przyjemne mieszkanie - zauważył Ben, zerkając na chińskie znaki na lampie. Tao, ming. - Ty je namalowałaś?

- Michael - odrzekła Josie.

- Od początku robił na mnie wrażenie sympatycznego faceta - powiedziała Shirley, układając czerwone wargi w smutny ryjek. - Lubiłam go.

Pen milczała. Josie pomyślała, że jej przyjaciółka chyba pierwszy raz w życiu nie wypowiada swojej opinii, przemilcza swoje myśli.

Wydawało jej się zupełnie nierzeczywiste, że gości u siebie ich wszystkich. Nikt nigdy nie odwiedzał ich w domu, który traktowali jak swoje królestwo, krainę, gniazdo, klub i centrum wszechświata. Teraz czar prysnął i ludzie po prostu weszli do środka. Kiedy na dworze było już całkiem ciemno,

przyszedł Paul Angstrom z torbą tamale, oraz Mason i PJ z butelką wódki Stolicznaja i prażoną kukurydzą. Pen musiała zostawić wiadomość dla znajomych w Hong Kong Cafe. Wszyscy powtarzali, jak bardzo im przykro, i byli naprawdę mili, ale nikt z nich nie znał Michaela, nikt z nich nic o nim nie wiedział. Rozmawiali o swoich przyjaciółach, którzy także już nie żyli. Pen opowiedziała wszystkim, jak Meredith rzuciła się na Josie na pogrzebie, a Genghiz długo mówił o jednym ze swoich kolegów, który zabił się w czasie, gdy on przechodził terapię hormonalną przed operacją zmiany płci.

- Ciągle myślę o jego ostatnim telefonie... Śpieszyło mi się i obiecałem, że oddzwonię, ale nie zrobiłem tego, po prostu zapomniałem. A potem facet popełnił samobójstwo. Jasne, że to nie moja wina, ale może mogłem coś zrobić... Nie byliśmy tak naprawdę zaprzyjaźnieni, czasem chodziliśmy razem na kawę i tyle, ale może trzeba było wtedy się z nim spotkać...

To są moi przyjaciele, powtarzała sobie Josie.

Pili wódkę, PJ przyniósł trochę koki, a Genghiz jakieś łagodne piguły z jednego z klubów dla facetów przy Bulwarze Santa Monica. Josie wiedziała, że nie będzie po nich na takim haju, jakiego potrzebowała - chętnie wzięłaby kilka takich dużych czerwonych tabletek, ale cóż, w takiej sytuacji mogła tylko dziękować przyjaciołom, że w ogóle coś ma. Piguły z klubu dały jej pełny odlot na jakieś pięć minut, cudownie było pozbyć się wszystkich, ale to wszystkich myśli, mieć kompletnie pustą głowę. Krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach, raz czy dwa nawet się roześmiała. W tym stanie mogła sobie wyobrazić, że Michael wybrał się na zakupy na chiński targ albo do pralni, lada chwila stanie w drzwiach, nieogolony, w wymiętej tweedowej marynarce, i bardzo się zdziwi na widok bandy ludzi, których nigdy nie lubił. Ben Sinister wziął małą niebieską gitarę, którą Michael podarował jej na ostatnią

Gwiazdkę, i zagrał kilka piosenek Davida Bowie, Suffragette City, Spiders from Mars.

Paul usiadł przy starym, rozchwierutany fortepianie Michaela, oparł dłonie na klawiszach i zaczął cicho grać jakiś utwór, który rozpoznała, ale którego tytułu w pierwszej chwili za nic nie mogła sobie przypomnieć. Dopiero po paru powolnych frazach zorientowała się, że jest to Birdland Patti Smith. Paul zaśpiewał całą piosenkę. Opowiadała o chłopcu, któremu umarł tata i który wyobraża sobie, że widzi nadlatujący po niego statek kosmiczny z ukochanym ojcem za sterem. „Zabierz mnie ze sobą, tatusiu... Nie zostawiaj mnie tutaj samego...”

Właśnie coś takiego chciała usłyszeć. Usiadła w fotelu Michaela przy oknie, patrząc na usiany światłkami widok, który kochali tak bardzo, że nigdy nie powiesili zasłon. Jasne punkciki błyszczały przede wszystkim po stronie Silverlake, Hollywood. Josie pogładziła zniszczoną, podartą tapicerkę w miejscach, gdzie Michael skubał materiał, kiedy późną nocą patrzył w okno, w zamyśleniu popijając czerwone wino. Próbowwała go rozweselić. Siadała na oparciu fotela, przytulała policzek do jego policzka i razem z nim patrzyła na jarzące się w ciemności światła.

- Popatrz, jak to pięknie wygląda - mawiała.

- Zupełnie jak fragment obrazu Boscha - odpowiadał. I rzeczywiście tak było, kurwa.

Ben zaczął grać Satellite of Love, a Paul włączył się w melodię na fortepianie. Wszyscy znali słowa, ale Josie nie potrafiła się skupić, nie bardzo wiedziała, co się z nią dzieje. Jak mogła udawać, że nie zorientowała się, co Michael zamierza zrobić? Teraz widziała to dokładnie, aż nazbyt wyraźnie. Bosch był wszędzie. Odnajdywała jego ślady w zieloniutkiej trawie na cmentarzu Mount Sinai, w wypalonych oczach Michaela, w słowach: „Mam nadzieję, że znajdziesz

kogoś, kto będzie umiał lepiej odpowiedzieć na twoje potrzeby", w pokoju pełnym ludzi, którzy najwyraźniej troszczyli się o nią, chociaż naprawdę nie miała pojęcia dlaczego.

Kiedy zadzwonił telefon, Pen podniosła słuchawkę. Camel zwisał spomiędzy jej warg, co nadawało jej wygląd bohaterki czarnego kryminału, jakiejś cholernej femme fatale.

- Halo? Ja też cię pieprzę, wszystkiego najlepszego! Rzuciła słuchawkę na widełki.

- Znowu ta suka! - krzyknęła do Josie. - Twoja była przyszła teściowa!

Josie obserwowała odbicie Pen w szybie. Jej przyjaciółka podeszła, usiadła na ramieniu fotela i przytuliła głowę Josie do swojego T - shirta, gładząc jej brudne włosy.

- Słuchaj, rozmawiałam dziś rano z Maddie... Maddie była bookerką modelek u Otisa, zajmowała się organizacją ich sesji.

- Phil Baby potrzebuje modelki na wtorek, sesja u Callie McClain - ciągnęła Pen. - Powiedziałam jej, że weźmiesz to. Nie, nie upieraj się. Dobrze ci to zrobi, wierz mi.

Cała Pen... Zapisała ją na sesję, nie pytając o zgodę. Josie siedziała nieruchomo, z zamkniętymi oczami, oparta o przyjaciółkę, czując jej dłoń na swoich włosach. Wiedziała, że ma powody, aby nie wychodzić z domu. Z trudem trzymała się na nogach, z trudem oddychała. Nie pamiętała, jak się nazywa, nie umiała zapiąć bluzki. Była przezroczysta, całkiem możliwe, że niewidoczna dla ludzkiego oka, więc nie wiadomo, czy ją w ogóle zobaczą...

Ale dokąd to wszystko prowadziło? I tak musiała zapłacić czynsz, i tak musiała jeść. A Michael i tak nie żył. Nie żył, nie było go, niezależnie od tego, czy siedziała w domu, czy nie.

6. Otis

Josie przeszła przez hol Otisa, co krok napotykając swoje odbicie w oprawionych w szkło pracach studentów, eksponowanych na ścianach. Widziała swoje potargane, pozlepiane brudne włosy, bladą twarz i żółte futerko. Czowała się jak hiena, brzydka, obrzydliwa, jak wyrzutek, jak choroba. Ukojenie dawał jej tylko znajomy zapach studia, zapach węgla do rysowania i potu, skrzypienie grafitu o papier, widok Phila Baby, pochylonego nad jakąś dziewczyną i pokazującego jej, co powinna poprawić. Pen miała rację, Josie dobrze czuła się w tej zaniedbanej sali, gdzie tyle razy pozowała. Tu mogła dotknąć rzeczywistości. Phil Baby podniósł głowę i jego oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia, chociaż i tak były już okrągłe, przede wszystkim za sprawą małych okrągłych okularków. Podszedł do niej szybko.

- Mój Boże, co ty tutaj robisz, Josie? - zapytał szeptem, biorąc ją za rękę.

Pen nazwała go „Phil Baby”, ponieważ w okrągłych okularach, berecie i z przyciętą w szpic szpakowatą bródką wyglądał jak bitnik. Słodki Phil Baby. Teraz wołałaby, żeby nie patrzył na nią z takim wyrazem twarzy, nie mogła znieść sygnałów współczucia, ze wszystkich sił starała się nie stracić panowania nad sobą.

Wzruszyła ramionami.

- Powiedzieli mi, że potrzebujesz modelki.

- Tak, ale nie miałem na myśli ciebie! Chryste, dlaczego tu przyjechałaś, Josie?

Biedny Phil. Miał skłonność do zakochiwania się w najzupełniej nieodpowiednich dziewczynach, takich jak Josie.

- Zabijam czas.

Nie wiedziała, co robi z resztą życia, ale przynajmniej nie musiała martwić się o najbliższe trzy godziny. Nie powinna jednak zapominać, że Phil Baby to nie Henry Ko, który

zawsze widział ją jako wspaniałą misę owoców. Phil pragnął ją uściskać, przytulić, zaadoptować, dać jej klucz do swojej duszy, swojego mieszkania, rachunku bankowego. Chciał ją uratować.

- Wszystko w porządku, Phil. Muszę się przyzwyczaić do tej sytuacji.

Uwolniła rękę z jego ciemnej od grafitu dłoni, poprawiła torbę na ramieniu i ruszyła w stronę parawanu, za którym przebierały się modelki.

Phil Baby wrócił do studentki, dziewczyny w ogrodniczkach, która siedziała na miejscu Michaela, najbliższej okna. Josie zalała nagle fala najprawdziwszej wściekłości. Miała ochotę chwycić dziewczynę za szelki spodni, poderwać ją w górę, pchnąć, przewrócić na ziemię, kopnąć. Zdajesz sobie sprawę, czyje miejsce zajęłaś?! Nie, na pewno nie miała pojęcia, zresztą i tak nie było to już miejsce Michaela. Nie, Michael zrezygnował ze wszystkich miejsc. Wymeldował się ze wszystkich życiowych przestrzeni.

Na podium zmieniała właśnie pozę Callie o włosach jak płomień. Pochwyciła spojrzenie Josie nad ekstrawaganckimi fryzurami studentów malarstwa i w jej oczach natychmiast pojawił się wyraz współczucia. Josie nie chciała niczyjej litości. Nie rozumiała, dlaczego ludzie nie mogą zostawić jej w spokoju, dlaczego nie pozwolą jej stać się nieruchomym kształtem w przestrzeni. Tak czy inaczej, lubiła Callie, podobało jej się, że ciało starszej kobiety staje się wyzwaniem dla ideału piękna, jakie studenci nosili w wyobraźni. Callie miała obwisłe piersi, jej biodra i brzuch pocięte były rozstępami po kilku ciążach. Josie ceniła jej odwagę. Na początku uważała, że jeśli sama kiedykolwiek miałaby tak wyglądać, zamknęłaby się w domu, wychodziła tylko po zmroku i kochałaby się z mężczyzną przy zgaszonym świetle, lecz teraz pomyślała, jak mogła być tak głupia. Ciało

zmieniało się z upływem czasu, stawało się galerią blizn, tkaniną doświadczenia, zapisem życia oraz ludzkiej umiejętności stawiania mu czoła, i to było dobre, naturalne.

Weszła za parawan i rozebrała się. Wszystko nagle zaczęło się jej wydawać niebezpieczne i ostre - haczyki, wieszaki na ubrania, sterczące tu i ówdzie drzazgi, graffiti na szafkach: „Yolo '64, Ben + Harriet”. Czowała się jak staruszka, która zapomniała, do czego służą buty, w której oczach każdy gest, każda czynność kwestionuje znaczenie przedmiotów i sytuacji - rozpinanie guzików, oddychanie. Poruszała się coraz wolniej, jakby powietrze gwałtownie gęstniało. Niczego nie mogła uważać za pewne, ani faktu, że jej ręka dotyka bluzki, ani tego, że pod nogami ma podłogę.

Studenci wyglądali się, w sali rozbrzmiewały wybuchy śmiechu. Normalnie Josie nie miała nic przeciwko temu, ale dziś wolałaby pozować w prywatnym studiu Phila w Villa Elaine - kiedy Phil malował, puszczał płyty Coltrane'a i Milesa Davisa. Owinęła się w sarong z kwiecistego obrusa i wyszła na podium, żeby poobserwować Callie. Może i było to śmieszne, że zasłaniała ciało, skoro i tak za parę minut miała stanąć przed nimi naga jak ją Pan Bóg stworzył, ale taki był zwyczaj, a ona nie miała siły protestować.

Callie kończyła pozowanie, raczkujący artyści szkicowali jak szaleni. Każde z nich na pewno miało wyraźny obraz swojej przyszłości i nie zastanawiało się nad tym, że następnego dnia może zginąć. Przypomniała jej się modlitwa, którą Żydzi recytują w swój Nowy Rok, jak powiedział jej Michael: „W Rosz Haszana wszystko się otwiera, a w Jom Kippur zamyka, kto będzie żył i kto umrze, kto w ogniu, kto w wodzie i kto rozerwany przez dzikie zwierzęta...”. Patrzyła na studentów i zadawała sobie pytanie, kto z nich zginie w wypadku samochodowym, a kto trafiony przypadkową kulą w parku. Chłopak w wąziutkim krawacie? Dziewczyna z głową

ogoloną na Mohawka? Wszyscy wpatrywali się w modelkę z takimi minami, jakby sami nie mieli ciała, jakby sami nie mogli stanąć na podium. Ich zaciekawione oczy odmykały sekrety ludzkiej kondycji, byli jak Cal, który mówił o opłakujących zmarłego w taki sposób, jakby nie odnosiło się to do niego samego.

Przeszła między stolikami, spoglądając na prace. Niektórzy studenci upiększyli Callie, patrzyli na nią, mieli ją przed oczami, a jednak coś w ich umysłach nie pozwoliło im naprawdę zobaczyć jej obwisłych od karmienia piersi i zapisanych na brzuchu ciąż, natomiast inni przesadnie podkreślali te cechy, zachowywali się trochę jak dzielne dzieci w obliczu potwora, przedstawiając rozstępy jako straszliwe blizny po jakichś szponach. To ciało. Kto potrafił popatrzeć na nie i przyjąć takim, jakim było, nie upiększając go i nie podkreślając jego brzydoty? Tę grupę powinni uczyć szamani, nie nauczyciele rysunku.

Timer Callie rozdzwonił się ostrym jazgotem. Okryła się kimonem w kolorze zielonej oliwki, który sprawiał, że jej piegowata skóra jaśniała własnym blaskiem. Zeszła z podium i otoczyła Josie mocnymi ramionami. Pachniała potem i różami, jej płomienne włosy wydzielały łatwy do zidentyfikowania zapach odżywki Prell.

- Tak mi przykro, Josie... To był taki miły, dobry chłopiec, pamiętam go... - delikatnie przesunęła palcami po szyi Josie. - Co to?

Drabinka zielonkawych siniaków w miejscu, gdzie zacisnęły się szpony Meredith. Jak śmiesz...

- Nic takiego. Nieważne.

- Przecież to siniaki! - Oczy Callie pociemniały, pojawił się w nich wyraz zaniepokojenia.

- Nie warto się nimi przejmować - powiedziała Josie, ostrzej i chłodniej, niż zamierzała.

Callie zbladła, opuściła rękę, odsunęła się. Josie było przykro, że ją uraziła, ale pragnęła tylko jednego - żeby wszyscy zostawili ją w spokoju i pozwolili jej mocno trzymać się w ryzach. Nie potrzebowała manifestacji współczucia i troski, o nie. Musiała tkwić w swojej kryjówce, w tym zimnym jak lód, pozbawionym uczuć miejscu, a ciepła czułość innych ludzi mogła ją stamtąd wyrwać.

Wróciła na podium, ustawiła timer, strząsnęła z ramion obrus w kwiaty. Mały kaloryferek szumiał cicho. Rozpoczęła swój własny układ krótkich póz. Najbardziej lubiła trzydziestosekundowe, te, które pozwalały co parę chwil zmieniać oś równowagi, napinać mięśnie i rozciągać. Była w tym dobra. Kiedy człowiek zostawał z niczym i sam stawał się zerem, można było jeszcze odwołać się do ciała. Josie nadal mogła stworzyć interesujący kształt w przestrzeni, naga i bosa przed grupą obcych ludzi, nawet z pokrytą siniakami szyją i białą jak śnieg, porażoną rozpaczą twarzą. Mogła zrzucić samą siebie razem z ubraniem i po prostu być. Nie było to takie złe.

Słońce wpadało do środka przez brudny świetlik w suficie i ogrzewało jej ramiona i włosy. Studenci badali ją wzrokiem, jakby była układanką, której fragmenty trzeba do siebie dopasować. Josie zawsze podobało się to, że ich oczy skupiają się na niej, odnajdują piękno w układzie jej ciała, w karku, szyi, kolanach i ich zgięciach, w sękowatym fortepianie kręgosłupa. W okresie dorastania nikt nie uważał jej za piękność. Ludzie spoglądali na nią i już wiedzieli - jeszcze jedna z tych Tyrellów. Mnożą się jak szczury... Dlaczego ktoś nie umyje im twarzy? Cóż, podobno matka jest nie całkiem normalna. Ciągłe siedzi w domu, w ciągu dziesięciu lat nie wyszła chyba ani razu... Los Angeles dało Josie inną twarz, otuliło ją peleryną urody jak wspaniałym futrem z norek. I

właśnie dlatego Michael zakochał się w niej. Nie zdawał sobie sprawy, że pod warstwą piękna nie ma nic, nic.

Zmieniała pozy, koncentrując się na tworzeniu pozytywnej i negatywnej przestrzeni. To, czego nie ma, jest równie ważne jak to, co jest, często powtarzał Phil. To, czego nie ma... Dziewczyna siedząca na miejscu Michaela rysowała dużymi, dramatycznymi ruchami, jej ręka rzucała poszarpane linie na papier. Chłopak z trądzikiem pośpiesznie spuścił oczy na swoją pracę, kiedy napotkał wzrok Josie. Zawsze nieomylnie rozpoznawała tych, którzy byli w niej zakochani. Gdy już się ubrała, byli wyraźnie onieśmieleni albo próbowali rozmawiać z nią nienaturalnie normalnym tonem, jakby nigdy nie widzieli jej nagiej, jakby przypadkiem spotkali ją w supermarkecie. Ciało i jego swoboda dawały jej jedyną władzę, jaką kiedykolwiek posiadała.

Gdyby to był zwyczajny dzień, po sesji przeszłaby się po sali i obejrzała rysunki, które chętnie jej pokazywali. Niektórzy byli dumni ze swoich prac, inni spięci i niepewni. Kiedy tak patrzyła na ich dzieła, często przychodziło jej do głowy, że nikt nie istnieje w jakiś szczególny sposób, tylko tak po prostu, istnieje i już. Szkice studentów były tego dowodem. Jedni skupiali się na jej ciemnych włosach łonowych, podkreślając kontrast z utlenionymi na dziki blond włosami na głowie, inni woleli delikatność kości, budowy ciała albo trzeźwe spojrzenie i pozbawione uśmiechu usta. Marco, pierwszy chłopak Josie w Los Angeles, nazywał ją ekshibicjonistką i mówił, że powinna załatwić sobie pracę w lokalu ze striptizerkami, bo skoro tak bardzo lubi pozować, to mogłaby brać za to większe pieniądze. Josie faktycznie lubiła pozowanie, ale nigdy nie traktowała tego zajęcia jako naznaczonego seksualnością. Wręcz przeciwnie, uważała, że wchodząc na podium, składa pewne oświadczenie, osobiste, szczere, pozbawione chęci przypodobania się ludziom. Oto ja.

Taka jestem. To mój fakt. Potrafię to zrobić, a wy? Callie z rozstępami na brzuchu i udach, Frank, który był prawie karłem... Każde ciało skrywało prawdę, którą początkujący artyści powinni dostrzec i wyłowić. Nawet prawdę siedemnastoletniej uciekinierki z Bakersfield.

Dawniej strasznie im zazdrościła. Ktoś wykładał duże pieniądze na każde z tych miejsc w sali, na naukę, materiały i inne opłaty. Josie uciekła z Bakersfield i stworzyła sobie życie, o jakim zawsze marzyła, wspaniałe życie, była modelką, występowała w kręconych przez studentów filmach, poznawała ludzi, których warto znać, a mimo wszystko nie mogła uwolnić się od zazdrości. Zazdrościła im całego tego procesu nauki, tego, że każdy etap był tak starannie przemyślany i zaplanowany, że tacy ludzie jak Phil Baby otwierali przed nimi świat sztuki stopniowo, krok po kroku. Jej samej nikt niczego tak nie uczył, nikt niczego jej nie pokazał. Tylko Michael.

Teraz wiedziała jednak coś więcej. Wiedziała, że żadne wykształcenie, choćby nie wiem jak głębokie, po prostu nie wystarczy. Nie zawsze najważniejsze jest to, co się umie i wie. Michael studiował w Harvardzie, ale to nie utrzymało go przy życiu. Niewiedza, ignorancja była znajoma jak blask słońca, lecz teraz Josie miała świadomość, że można wiedzieć za dużo.

Pamiętała wiersze, które kiedyś pokazał jej Michael, wiersze napisane przez niego w dzieciństwie, piękne łańcuszki słów brzmiących jak muzyka, opisujących prawdziwy świat i odczucie obecności Boga, przekonanie, że On naprawdę jest, że czasami można Go zobaczyć jak twarz ukrytą za połyskliwą zasłoną.

- Są świetne! - powiedziała wtedy. - Musisz pisać dalej!

- To śmieci - odparł, wyjmując zeszyt z jej rąk. - Imitacje Eliota, przyprawione szczyptą Dylana Thomasa, ozdobione odrobiną Anne Sexton, wierszyki trzeciego gatunku.

Poruszyła się, rozłożyła ramiona, znieruchomiła w pozie tancerki, podpatrzonej w albumie Matisse'a. Czerwonawe ciała na niebieskim tle. Mogła wprowadzać najróżniejsze zmiany w tej pozie, która i tak zawsze była piękna, mimo że opatrzona. Jednak dla Michaela wszystko musiało być absolutnie oryginalne, lepsze od wszystkiego, co było wcześniej, lepsze od wszystkich istniejących obrazów, wierszy czy muzyki. Josie zawsze wierzyła, że wiedza pomaga w życiu, mobilizuje, natomiast Michaela wiedza pozbawiła odwagi i wolności.

- Moja matka powtarzała, że na świecie nie ma miejsca dla dobrych pianistów, ponieważ jest zbyt wielu geniuszy - mawiał.

W gruncie rzeczy oznaczało to, że tylko ignorant, człowiek ubogi w wiedzę może robić to, co chce, i nie zadręczać się porównywaniem swoich osiągnięć z tym, czego dokonano w przeszłości. Ten, który nic nie wie, jest wolny. Ten, który wie, jest przeżuty cierpiętniczą impotencją, rozplywa się w poczuciu niemożności jak perła w kwasie.

Znowu spojrzała na dziewczynę na miejscu Michaela. W każdym następnym semestrze to krzesło będzie zajmował ktoś inny, ktoś, kto nie ma pojęcia, że kiedyś siedział tam Michael Faraday, który zakochał się w modelce Josie Tyrell. Z którą nigdy nie powinien był zamienić choćby jednego słowa.

Timer zabrzączał donośnie. Josie owinęła się obrusem, podeszła do stolika, na którym stał termos z kawą, i naląła sobie kubek, bez cukru. Zastanawiała się, co stało się z jego kurtką. Meredith... Tak, na pewno ona ją ma. Miała listy, więc oczywiście także i kurtkę. Josie pobladła na wspomnienie sceny na cmentarzu. Meredith zaatakowała ją jak

rozwścieczone zwierzę, a przecież Josie miała prawo tam być, więcej niż tylko prawo. Niezależnie od tego, co wyobrażała sobie Meredith, Michael nie należał do niej. Pewnie lubiła tak myśleć, ale była to nieprawda, w każdym razie było tak od tamtego dnia w błękitnej sypialni. Powinna była powiedzieć Calowi, że chce mieć tę kurtkę, może wykradłby ją dla niej, kiedy Meredith leżała nieprzytomna w swojej jedwabnej pościeli. Josie dałaby wszystko, żeby poczuć pod palcami szorstki, grubo tkany materiał, dotknąć wspomnień, od których aż kręciło jej się w głowie.

Poczuła, jak otacza ją czyjeś ramię. Callie.

- Wszystko w porządku?

Skinęła głową, wpatrzona w swoje bose stopy, chude i drobne jak u dziecka. Dwa tygodnie wcześniej pomalowała paznokcie czarnym lakierem, który teraz odpadał kawałkami. Własna stopa wydała się jej nagle dziwną, obcą rzeczą, jakimś przypadkowym, przyklejonym do niej dodatkiem. Nie była pewna, czy wie, jak nią poruszyć. Było to strasznie głupie i bezsensowne. Zapomniała, do czego służy ta dziwaczna rzecz. Stopy Michaela były równie eleganckie i kształtne jak jego dłonie, o długich, szczupłych palcach. Doskonale pamiętała, jak pierwszy raz wzięła je do ust w pełnej ciepłej wody wannie. Michael był bardzo zaskoczony, zdziwiony, że przyszło jej do głowy coś takiego, że zechciała sprawić mu taką przyjemność, chociaż mogła zachować się zupełnie inaczej.

Byli szczęśliwi. Nawet gdyby mogła zapomnieć wszystko, dosłownie wszystko, chciałaby zachować to wspomnienie. Była teraz jedyną osobą, która nosiła je w sobie.

Weszła na podium razem z Callie. Szkicowanie dwóch modelek równocześnie stanowiło prawdziwe wyzwanie dla średnio zaawansowanych studentów. Tyle różnych kątów, tyle cieni. Callie ustawiła timer i przyjęły pozę, Callie na

taborecie, Josie za jej plecami, z ręką opartą na piegowatym ramieniu starszej kobiety. Poczwała ciało Callie pod dłonią, miękkie, tchnące ciepłem. Zupełnie inne niż ciało Michaela w kostnicy. Jego żywe ciało zmieniło się w martwy przedmiot. Zimną, sztywną jak drewno rzecz.

Callie lekko poruszyła ramieniem. Ciało. Ciało, które było źródłem tak wielkiej radości... Tak, było źródłem radości, ale ostatecznie okazało się kawałem zimnego, zlodowaciałego mięsa, prawda? Dziwną, obciążoną mięsem maszyną, która wciągała i wypuszczała powietrze, trawiła, srała, jakimś cholernym boschem na dwóch nogach, ożywionym koszmarem. Automatem, który może i pozwoli ci poruszać się i wykonywać życiowe funkcje przez parę dziesięcioleci, ale potem zacznie się psuć. Nie ma żadnej różnicy między takim ciałem a padliną, martwymi ciałami zwierząt, wywożonych ze schroniska. Pięćdziesiąt lat funkcjonowania takiej kukły, która w tym czasie robi inne kukiełki, mające zastąpić ją w przyszłości... Ta myśl była nie do zniesienia. Josie poczuła się nagle jak kobieta z obrazów Egona Schielego, ukochanego malarza Michaela, niebieskawobiała i surowa jak kawał mięcha.

- U niego wszyscy są szpetni, okropni - powiedziała kiedyś Michaelowi.

- Schiele nie jest sentymentalny, to wszystko - odparł.

Po zajęciach Phil Baby zatrzymał ją przy drzwiach.

- Jeżeli mógłbym coś zrobić... Cokolwiek...

- Dzięki, Phil, naprawdę - rzuciła i wyszła szybko, żeby się nie rozpłakać.

Wybiegła na wilgotny dziedziniec, wokół którego rosły potworne gumowate rośliny, przystanęła, zapaliła papierosa, ale nie podszedł do niej nikt z oczami koloru akwamaryny i nie podał ciastka z serem i białymi rodzynkami. Ruszyła dalej, na ulicę zalaną chłodnym zimowym słońcem.

Właśnie wtedy zobaczyła srebrzysty samochód przy krawężniku. Może to jakieś pieprzone déjà vu, pomyślała. Może teraz z budynku za jej plecami wyjdzie Michael i wszystko zacznie się od nowa. Nieświadomie podniosła dłoń do pokrytej siniakami szyi. Mogłabym kazać cię zabić, powiedziała jej Meredith. Chyba byłoby warto... Czy nie dosyć, że ta suka przeczytała pożegnalny list Michaela? Że nie dała jej nawet pożegnać się z nim w spokoju? Czy to kosztowałoby ją zbyt wiele? Nic by ją to nie kosztowało, kurwa mać. Więc co jeszcze zamierzała? Zastrzelić ją przed Otisem, na środku ulicy? Josie pomyślała o drugim wejściu do szkoły, tym przy Seventh Street. Wiedziała, że może odwrócić się, wbiec do budynku i wyjść innymi drzwiami, ale nagle poczuła, że ma to gdzieś. Pieprzyć Meredith Loewy. To było terytorium Josie - Otis, park MacArthura, pobliski Elks Club, gdzie odbywały się koncerty znanych zespołów punk rocka, Carondelet. Meredith może co najwyżej wrócić do Los Feliz oraz swojego wielkiego, zatechłego domu i zrobić sobie dobrze.

Wyszła na ulicę, szeroko rozłożyła ramiona osłonięte żółtym futerkiem. Normalnie nie znosiła scen, ale teraz miała już tego po dziurki w nosie.

- Co jest, Meredith?! Chcesz mnie tutaj zabić, kurwa, czy jak?! - wrzasnęła. - Zamierzasz mnie przejechać?! Proszę bardzo, zrób to przy świadkach! Sławna pianistka morduje kochankę syna, no, dalej, co jest, czekasz na dziennikarzy?! Pieprzę cię!

Czuła, że Meredith obserwuje ją uważnie zza przyciemnionych szyb. Ruszyła w kierunku samochodu, szła wzdłuż żółtej linii biegnącej przez środek Park View. Jakiś lump z wózkiem z supermarketu, pełnym puszek, przystanął, żeby popatrzeć.

- Zdecyduj się wreszcie, kurwa! - krzyknęła Josie. - Bo jak nie, za dwie sekundy skopię ci tyłek i zrobię befsztyk z gęby!

Widziała duże dłonie Meredith, mocno zaciśnięte na kierownicy, widziała jej twarz, przesłoniętą dużymi ciemnymi szklami, które Josie kojarzyły się z gwiazdami filmów pornograficznych. Patrzyła prosto w te matowe owale i szła dalej. Kiedy od Meredith dzieliło ją jakieś dziesięć metrów, srebrzysty samochód zamruczał i ruszył na jej spotkanie. W porządku, skończmy z tym, pomyślała Josie. Przystanęła w oczekiwaniu na uderzenie, wciąż z rozłożonymi ramionami, ale Meredith w ostatniej chwili skręciła i przejechała obok niej. Bryzgi gęstego błota chlusnęły prosto w twarz Josie. Meredith nawet się nie odwróciła, żeby spojrzeć na dziewczynę, która stała na środku ulicy, z wyciągniętym w górę środkowym palcem prawej dłoni.

7. Club RAT

W głębi dzielnicy magazynów Pen znalazła miejsce parkingowe pod platformą do ładowania towarów, obok hurtowni orzechów i suszonych owoców. Poszły przed siebie nieoświetloną ulicą, starając się nie trafić obcasem w przerwę między płytami, które położono tu na początku dwudziestego wieku. Ulica śmierdziała odpadami z pobliskiego targu przy San Pedro. Weszły do budynku nieoznaczonymi drzwiami. Siedzący w ciasnej kabinie kasy facet o twarzy jak siekiera zmierzył je lisim spojrzeniem - Josie w żółtym futerku, z opuchniętymi ze zmęczenia powiekami, i Pen z wargami pociągniętymi czarną szminką, pewną siebie w kurtce z fioletowego winylu i własnoręcznie uszytej wachlarzowatej spódniczce. Najpierw zażądał dowodów tożsamości, potem dziesięciu dolarów. Pen stanęła tuż obok Josie, oparła się o nią, przesunęła papierosa do kącika ust.

- Nie bądź takim dupkiem, facet, jestem z redakcji magazynu „Puke”. Pen Valadez, masz mnie na liście, idioto...

Pałała camela jak kryminalistka, kryjąc w dłoni prawie całego papierosa. Dmuchnęła dymem prosto w twarz kasjera.

Ledwo zerknął na listę.

- Powiedz swojej przyjaciółce, żeby dała mi buzi, to obie wejdziecie za friko!

- Pieprz się, kutasie! - Pen wypaliła czubkiem papierosa dziurę w blacie z formiki.

Ale Josie przechyliła się przez stół i pocałowała faceta. Była dziewczyną, której chłopak nie żył, więc jaką wartość miały jej pocałunki... Mogła je rozdawać, były jak zatrute landrynki.

Postawił na zewnętrznej stronie ich dłoni pieczętki z wizerunkiem chłopca, który odgryza łebek wielkanocnemu króliczkowi, i przez czarną kurtynę wpuścił je do ciemnego, hałaśliwego klubu. Właśnie kończył się występ zespołu Weak

Nellies. Punki miały się przed sceną, skinheadzi jak zwykle dominowali na sali, nawet przed koncertami tak ambitnych grup jak grupa Loli Loli. Ktoś miał już rozkrwawiony nos, stara podłoga jęczała pod ciężarem tłumu. Niewiele się tu zmieniło. Josie była tu ostatni raz tuż przed rozstaniem z Nickiem Nitro. Jego zespół, Nitrogenics, grywał tu bardzo często. Nerwowo rozejrzała się dookoła, modląc się, aby los oszczędził jej przynajmniej tego spotkania.

Ściany i sufit z pomalowanego na czarno drewna nadal wyglądały jak idealna pokusa dla podpalacza, a drobne, spocone kelnerki w gorsetach i pantoflach na wysokich obcasach wciąż przeciskały się wśród gości, dźwigając tace nad wysoko upiętymi kokami. Barman transwestyta przelotnie zerknął na dowód tożsamości Josie i rzucił go na blat z niewypowiedzianą pogardą. Cóż, on był starzejącą się królową baru, a ona ładną dziewczyną ze sfałszowaną kartą identyfikacyjną. Pen kupiła dwie tequile i dwie butelki piwa i przystąpiła do walki o miejsce przy barze. Najpierw postawiła na kontuarze swoją szklankę, potem wcisnęła łokieć między dwie osoby i odwróciła się bokiem, żeby zrobić miejsce także dla Josie. Josie wypiła całą tequilę, odstawiła szklankę i otarła usta wierzchem dłoni.

Dobrze się tu czuła, nic nie przypominało jej o Michaelu, który nigdy, za żadne skarby świata, nie wybrałby się do takiego lokalu. Nigdy, przenigdy, pomyślała, popijając piwo. Michael nienawdził tłumów i nie znosił kultury punk. Nie był w stanie zaakceptować obnażonej wściekłości, obecnej w tej subkulturze - jego własna furia była świetnie zakamuflowana, tak wyrafinowana i przetworzona, że nie dostrzegał podobieństwa między samym sobą a wrzeszczącym do mikrofonu Donniem Draino.

Zrzuciła futerko, ponieważ w klubie panował wilgotny upał. Jej drobne ramiona lśniły pod cienką koszulką, w

plisowanej spódnicy, podartych rajstopach i czerwonych gumowych kowbojkach wyglądała kusząco i dziwnie. Kątem oka widziała, jak twarze mężczyzn odwracają się ku niej z zainteresowaniem. Nawet teraz, kiedy czuła się tak przejrzysta jak mokry papier. Była potwornie zmęczona sobą, rozdrażniona, niespokojna, przyczajona jak wilk. Pamiętała, jak przyszła tu pierwszy raz; wtedy była pod wielkim wrażeniem, przepełniona podziwem i zachwytem, chociaż był to tylko zatłoczony, pełen hałasu i przesycony odorem potu klub. Zamówiła następną tequilę.

- Poprosimy dwie - powiedziała Pen.

Uniosły szklanki i trąciły się z brzękiem. Obrysowane grubą czarną kreską oczy Pen spoczęły na chwilę na Josie. To wystarczyło, żeby Pen zorientowała się, co czuje jej przyjaciółka. Pen Valadez, pierwsza osoba, jaką Josie poznała w Los Angeles. Josie przyjechała do miasta ze swoją siostrą Luanne, która umówiła się na randkę z poznanym na wyścigach samochodowych facetem, i postanowiła, że już nie wróci do Bakersfield. Doszła do wniosku, że nie ma po co wracać, bo nie czeka ją tam nic innego niż do tej pory. Po drodze zabrały autostopowicza, chłopaka ubranego jak rockman, który przedstawił im się jako student malarstwa - brzmiało to imponująco. Kiedy Luanne zatrzymała się pod szkołą Otisa, żeby go wysadzić, Josie chwyciła swoją torbę i także wysiadła. Kilkoro siedzących na schodach dzieciaków powiedziało jej, że pokój można wynająć w jednym z domów na Carondelet, rozpozna go po rosnącym na dziedzińcu drzewie kauczukowym. Znalazła dom bez trudu. Miał ciemne okiennice i wieżyczki oraz duży ganek. Drzwi były otwarte, na parterze śmierdziało psującymi się śmieciami, kocimi szczynami i skwaśniałym piwem. Na piętrze Latynoska o fioletowych włosach siusiała w toalecie, nie przejmując się

otwartymi drzwiami. Majtki miała tuż nad kostkami i myła zęby. - Szukasz pokoju? - zapytała.

Pokój okazał się niewiele większy od szafy, ale kosztował tylko siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie, no i nie było to Bakersfield.

To Pen pomogła Josie znaleźć pracę modelki w szkołach artystycznych, przedstawiła ją swoim przyjaciołom i znajomym, pokazała, jak wygląda życie w Los Angeles, jak wkroczyć do studenckich filmów i robić rzeczy dla ekskluzywnych butików z punkową modą. Pen zawsze była po stronie Josie, aż do dnia, kiedy Josie zakochała się w Michaelu. Mimo tego trzymała Josie za rękę w Zakładzie Medycyny Sądowej i ani razu nie wypomniała jej, że od samego początku przewidywała marny koniec tej historii. Dotrzymywała Josie towarzystwa, karmiła ją, spała na kanapie w domu, do którego nigdy nie została zaproszona. Krzyczała na Josie, mobilizowała ją do życia. Me masz co liczyć na to, że Michael szybko wstanie z martwych, Josie, więc równie dobrze możesz zwlec tyłek z tej pieprzonej kanapy.

Pen stała oparta o bar. Kiwała głową w rytm muzyki, obcasem wybijała rytm, stukając w metalowy pręt tuż nad podłogą. Na nogach miała podarte kabaretki.

Josie wpatrywała się w dłonie Pen. Były już trochę pomarszczone. Czas przepływał przez Pen, przez wszystkich ludzi. Przez Josie, Pen, barmana, bramkarza przy wejściu. Życie było fabryką dni, tygodni i lat. Tylko po co to wszystko, jeśli się wie, jak kończy się każda historia, jak wygląda produkt końcowy... Josie nie miałyby nic przeciwko temu, żeby cały lokal w tej sekundzie stanął w płomieniach. Żeby wszyscy spłonęli, żeby ich prochy się wymieszały... A gdyby tak sufit runął za dwie minuty, miażdżąc ich wszystkich? Wnętrze sali wyglądałoby niczym wielowarstwowa tortilla, jedna z tych, jakie robił Michael...

Rozejrzała się po klubie. Popatrzyła na chłopców pod sceną, na kelnerki w gorsetach i fartuszkach, na Donniego Draino, plującego piwem zza mikrofonu. Chętnie umarłaby właśnie tutaj, teraz, z tymi wszystkimi ludźmi. Lepiej tutaj niż w pustym, tanim motelowym pokoju w Twentynine Palms... Spojrzała na chłopaka w haftowanej kamizelce, na dziewczynę w trenczu z białej ceraty. Gdyby sklepienie runęło, zgmiotłoby ich wszystkich jak karaluchy. Wrzaski, krzyki, jęki, straszny ciężar, niemożność chwycenia oddechu... I koniec. Nie musiałyby już zmuszać się do wdychania i wydychania powietrza tysiące razy dziennie. Każdy człowiek, każda krowa, każdy zdychający pies, każde stworzenie na Ziemi oddychało tym samym zmęczonym powietrzem. Josie wolałaby, żeby to wszystko już się skończyło.

Weak Nellies zeszli ze sceny. Josie ogarnęło uczucie zdumienia, że nic się nie dzieje - nie ma trzęsienia ziemi, pożaru ani nic takiego. Uświadomiła sobie, że jest rozczarowana.

Paul i Shirley K. przepychali się przez tłum. Paul miał tak jasną cerę, że niektórzy brali go za albinosa, dosłownie świecił w panującym w sali półmroku. Lśniące japońskie włosy Shirley błyszcząły niebieskawo, obcięte prosto, z geometryczną precyzją. Oboje ucałowali Josie, a Shirley z zawodowego przyzwyczajenia poprawiła jej wilgotne loki. Josie pomyślała, że Pen dobrze zrobiła, wyciągając ją z domu, bo kiedy była sama, staczała się na dno. W klubie było głośno i tłoczno, nie dało się tu myśleć, można było po prostu być.

- Allo... - chłopak w T - shircie ze zdjęciem zespołu Sex Pistols, z podpiętymi agrafkami rękawami i zębami odsłoniętymi w trochę krzywym uśmiechu, dopchnął się do baru obok Josie.

Zamówił piwo, przedstawił się i powiedział, że przyjechał z Leeds w Anglii. Josie natychmiast zapomniała, jak mu na

imię, ale ucieszyła się, że może poznać kogoś nowego, kogoś, kto nie miał pojęcia, co się stało, kogoś, dla kogo jest to po prostu jeszcze jeden wtorkowy wieczór. Szybko okazało się, że chłopak z Leeds jest kumplem gitarzysty basowego z zespołu Loli Loli. Przyjechał z Anglii niedawno i parę dni wcześniej zaczął pracować w drukarni w Hollywood. Miał tak ciężki akcent, że Josie z trudem go rozumiała. Nie przeszkadzało jej to, ponieważ nie miała ochoty rozumieć, co mówią do niej inni. Znacznie prościej było kiwać głową i popijać piwo. Po co się wysilać, pomyślała. W ostatecznym rozrachunku zawsze się okazuje, że nic nie wiemy o tych, których uważamy za najbliższych. Na przykład ona nie miała pojęcia, że Michael chodził z hiperintelektualistkami z Harvardu.

- Dam głowę, że jesteś aktorką - oświadczył chłopak z Leeds.

- Kelnerką... - Josie odwróciła się do baru i zamówiła trzecią tequilę.

Nie lubiła ludzi, którzy próbują zrobić wrażenie, udając kogoś innego. Kiedy mówiła, że jest aktorką albo modelką, wszyscy natychmiast zaczynali wyobrażać sobie, że roznosi ją ambicja, że marzy o tym, aby trafić do telewizji i dostać jakiś program do prowadzenia, tymczasem ona miała w nosie całe to gówno. Jeżeli człowiek nie potrafił zaoferować innym czegoś naprawdę wspaniałego, rzucającego na kolana, to w ogóle nie I

powinien się odzywać. No, chyba że był Michaeliem Faradayem, na przykład... Uniosła szklanę z przejrzystym płynem w ironicznym geście toastu i szybko wypiła do dna.

- Mogłabyś pracować jako modelka - ciągnął chłopak. - Wiesz, znam ludzi, którzy kręcą filmy z koncertów zespołów, mogłabyś dla nich pracować...

Mogłaby, ale dostawałaby najwyżej dwadzieścia dolarów dziennie, a w Otisie zarabiała więcej za dwie godziny stania i zmieniania póż... Nie powiedziała jednak tego, bo nie chciała sprawiać przykrości chłopakowi, który po prostu starał się być miły.

- Jakie jest Leeds? - odezwała się.

- Takie jak Los Angeles, tyle że nie ma tam palm - odparł.

Parsknęła śmiechem. Zaskoczyło ją to. Nie sądziła, że jeszcze kiedykolwiek zdoła się roześmiać, choćby bardzo cicho. Podobał jej się sposób mówienia chłopaka z Leeds - lekko seplenił, trochę jak małe dziecko. Oboje obserwowali, jak obsługa techniczna przygotowuje scenę przed występem Loli Loli, ustawia instrumenty i dodatki, między innymi ogromną gumową sekslalkę.

- Widzisz tego faceta z zielonym pasmem we włosach? - zapytał Leeds, zbliżając wargi do jej ucha i wskazując chudego chłopaka w wymiętej koszulce, z oczami obrysowanymi czarną kreską. - Jeździ za nią wszędzie, mówi, że rzuciła na niego urok. Wszędzie, po całym świecie. Jeżeli Lola pojedzie do Japonii, to ten głupek też tam polec...

Zwariowany fan, zupełnie jak zabójca Johna Lennona. Josie zaczęła się zastanawiać, czy Meredith też ma takich wielbicieli, takich niewolników. I czy pieprzyła się z którymś z nich. Czy Meredith Loewy w ogóle ma życie seksualne? Ta lodowata piękność? Taka kobieta na pewno nadal otrzymuje rozmaite propozycje, nawet w tym wieku. Ciekawe, jakiego faceta wybrałaby Meredith... Josie wyobraziła sobie ciemnowłosego mężczyznę w ciemnym garniturze i śnieżnobiałej koszuli, który narzuca miękkie futro na ramiona Meredith i szepcze jej do ucha jakąś dowcipną uwagę. Tyle że Meredith wybrała Cala, który w niczym nie przypominał faceta z tego obrazka...

Światła przygasły, zespół wyszedł na scenę i zaczął grać pierwszy utwór, wolną, przejmującą melodię. Po chwili na środku stanęła tajemnicza postać w podartych rajstopach i peruce z czerwonej włóczki, ze sztucznymi penisami przypiętymi do spódnicy jak narzędzia do pasa stolarza. Makijaż czynił z jej twarzy maskę. Lola Lola została wyrzucona z NRD za obsceniczne występy oraz uparte obrażanie moralności socjalistycznej. Uznano, że nie ma szans, aby kiedykolwiek zmieniła się i wyrzekła swoich błędów. Josie rzuciła Pen pełne wdzięczności spojrzenie. A nie mówiłam, odpowiedziały oczy przyjaciółki.

Piosenkarka warczała i zawodziła nad głowami tłumu, rzucała swoje zaklęcia, wypowiadała klątwy, miętoszyła sztuczny członek, który zwisał z przodu jej krótkiej spódniczki bombki. Słynny niski głos to opadał do szeptu, to znów wybuchał potężną falą dźwięku. Teraz cały tłum był jednym ciałem, a Josie jego częścią. Zapomniała już, jak potężnym narkotykiem jest podekscytowany tłum. Właśnie po to ludzie przychodzili na koncerty, aby przestać być sobą i stać się częścią wielkiej grupy, wprawianej w drgania przez ciężki rytm, zafascynowanej piosenkarką o szerokich, dużych czerwonych ustach, zauroczonej jej niezwykłym, wibrującym magią głosem. Michael nienawidził tego, wtopienie się w masę było najgorszą rzeczą, jaką potrafił sobie wyobrazić, wydawało mu się niemożliwe, że można czerpać z tego jakąkolwiek przyjemność, był fragmentem układanki, który do niczego nie pasował. Pen miała rację, to było teraz najbardziej odpowiednie miejsce dla Josie, najlepsze miejsce. Będąc tutaj, mogła być nikim. Niczym. Chłopak z ufarbowanym na zielono pasmem włosów podskakiwał i rzucał się jak pod wpływem elektrowstrząsów.

Lola Lola zaśpiewała piosenkę Heard You Laughing, dedykowaną Ferdiemu Obstowi, w każdym razie tak Josie

słyszała. Podobno to właśnie Lola znalazła go w swojej garderobie po występie, z igłą wbitą w żyłę. Josie wiele by dała, żeby ją poznać. Lola Lola na pewno by zrozumiała, jak to było z Michaeliem, i Josie mogłaby powiedzieć jej rzeczy, o których nie mówiła nikomu, nawet Pen. Mogłaby opowiedzieć jej o głupich, idiotycznych słowach, jakie wykrzykuje się w deszczu, słowach, których nie da się cofnąć. Lola nie winałaby ją za to, co się stało, wiedziałyby, jak bardzo źle może być nawet wtedy, kiedy kocha się kogoś całym sercem, nad życie.

Chłopak z zielonym pasmem włosów krzyczał coś na całe gardło i próbował wskoczyć na scenę. Lola Lola kopnęła go czubkiem sznurowanego wysokiego buta, kiedy przechodziła samym brzegiem. Josie zastanawiała się, jak czuje się taka gwiazda, która potrafi rozbudzać w obcych ludziach najgłębiej skrywane fantazje, która ma fanów, gotowych dać wszystko, żeby wczłogać się na scenę tylko po to, by dotknąć jej ubrania. Jak intensywne muszą być przeżycia osoby, która jest uwielbiana, noszona na rękach, jak intensywne i jak mroczne. John Lennon postanowił żyć normalnym życiem i na tym polegał jego problem, bo ludzie wiedzieli, gdzie go znaleźć. Lola Lola najwyraźniej nie zamierzała popełnić takiego błędu, od lat żyła w niekończącej się trasie, nigdzie nie zatrzymywała się na dłużej, była jak te cudowne, śliczne ptaszki, które wylęgają się z jajka bez nóg, fruują aż do śmierci i śpią tylko wtedy, kiedy wiatr niesie je na swoich skrzydłach. Josie nagle przyszło do głowy, że Lola Lola pod wieloma względami przypomina Meredith Loewy - różni je może głównie to, że Lola bierze więcej narkotyków, mieszka w marniejszych hotelach i mniej pracuje.

- Po występie będzie impreza! - krzyknął Leeds. - Może masz ochotę się wybrać? Oczywiście z przyjaciółmi!

To była naprawdę niezła propozycja. Impreza mogła trwać całą noc, Josie wróciłaby do domu dopiero o świcie. W ciągu

dnia łatwiej było zasnąć. Poza tym miała szansę poznać Lolę Lolę. Kto wie, może piosenkarka poprosi, żeby Josie wyruszyła z nią w trasę... Mogłaby robić jej pranie, kupować narkotyki i w ogóle nie myśleć o powrocie...

Załadowali się do czerwonej impali: Pen, Josie i Leeds z tyłu, razem z Shirley i Paulem, z przodu przyjaciółka Pen Ikuko oraz facet, którego Pen poderwała, chudy gość o zapadniętej klatce piersiowej, z kozią bródką w stylu Maynarda G. Krebsa. Pracował dla organizacji Tree People, uczył dzieci przyrody. Zatrzymali się po drodze, żeby kupić trochę wódki i piwa, i pojechali do Hollywood, mijając oświetlony, podobny do stosu placków budynek Capitol Records i Cahuengę.

- Znasz ją? - zagadnęła Ikuko, która siedziała na kolanach faceta a la Maynard i co chwilę stukała głową w niski dach.

- Jest zupełnie sfiksowana, kurwa - odparł Leeds. - Ale nie do końca. Trochę jakby grała jakąś rolę, tylko że tak naprawdę nie jest to rola, a prawdziwe życie... Sami zobaczcie, co tu dużo gadać. O, już jesteśmy, zaczniście rozglądać się za jakimś miejscem parkingowym...

Był to stary budynek w stylu lat trzydziestych, na który Josie nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi. Sądząc po cuchnącym myszami holu i rozchwierutanej windzie, spodziewała się czegoś beznadziejnego, ale kiedy drzwi windy rozsunęły się, zobaczyła ogromny apartament, elegancki, przesycony smętną atmosferą Bulwaru Zachodzącego Słońca. Nie ulegało wątpliwości, że odbyło się tu już wiele podobnych przyjęć - w przyćmionym świetle można było nie zauważyć wypalonych papierosami dziur w meblach czy warstwy brudu na dywanie, lecz za dnia wszystko to razem musiało robić przygnębiające wrażenie. Wiele lat temu na pewno było to zupełnie inaczej. Teraz poduszki i wałki unosiły się na wielkim dywanie jak tratwy, na stołach tłoczyły się

opróżnione butelki. Pod lampą z różowym abażurem stał wazon pełen olbrzymich papierowych róż. Ludzie siedzieli na poduszkach i brzdąkali na gitarach, podśpiewywali Anarchy in the UK. Wszyscy, którzy byli na koncercie, zdążyli już przyjechać tutaj. Josie dobrze ich znała. Gapili się na nią, ale kiedy odpowiadała spojrzeniem, udawali, że są zajęci rozmową albo wpatrywaniem się w dno szklanki z drinkiem. Oczywiście wiedzieli, co się stało, i nie mieli pojęcia, jak się do niej odezwać. Zupełnie jakby miała raka.

Lola Lola jeszcze nie przyjechała. W kuchni ktoś napełnił butelkę po musującym winie błękitnym płynem do mycia szyb. Pen i pozostali nalali sobie niebieskiego świństwa do plastikowych kubeczków, ale Josie odmówiła. Nie wiedziała, co dodali do tego gówna, była jednak przekonana, że nie zrobi jej to dobrze. Potrzebowała alkoholu i proszków uspokajających, wina i chleba zapomnienia. Wyszli na dach. Na stołach czekał poczęstunek, sos ze zmiksowanej fasoli, krakersy, koreczki z żółtego sera i małe ekierki - organizatorzy występu Loli Loli sypnęli groszem.

- Hej, Josie! - usłyszała za plecami znajomy głos, którego wolałaby nigdy więcej nie słyszeć.

Nick Nitro z butelką jacka danielsa w ręku siedział na murku otaczającym ogródek na dachu. Zrobiło jej się niedobrze na widok jego wiecznie naprężonego, nerwowego ciała, cienkich jasnych włosów. Jakim cudem nie zauważyła go w klubie? Może nie było go na występie, może przyjechał prosto tutaj, na imprezę...

- Hej, słyszałem, co się stało! Co za straszne gówno! Ostatnio ciągle słyszeć o takich rzeczach, kurwa mać!

Pociągnął łyk alkoholu i starannie zakręcił butelkę. Nie ulegało wątpliwości, że w żadnym razie nie chciałby spaść z murku i rozlać whisky.

Podniosła dłoń, chcąc powstrzymać ewentualne próby okazywania nieszczerzego współczucia. Jezu, co Michael mógł obchodzić Nicka... Trudno jej było nawet przyjąć do wiadomości, że żyli na tym samym świecie. Pen próbowała unikać wzroku Josie, ale w końcu poddała się i z uśmiechem wzruszyła ramionami, co było oczywistym przyznaniem się do winy. Cóż, pod tym względem na Pen zawsze można było liczyć. Jeżeli ktoś chciał zachować jakiś fakt w tajemnicy, mógł być pewny, że Pen nagłośni jego sekret w całym Los Angeles, co tam, przekaże wiadomość jeszcze dalej, na Hawaje. Pen nie rozumiała, że komuś może zależeć na prywatności, że może nie życzyć sobie, aby historia jego życia stała się własnością publiczną. Pojęcie prywatności było jej całkowicie obce. Pen nigdy nie zdarzyło się zamknąć drzwi toalety, do której wchodziła.

- Zawsze możesz przenieść się do nas, do Fuckhouse - powiedział Nick. - Jeżeli samotność zacznie ci dokuczać...

Jeżeli samotność zacznie ci dokuczać... I pomyśleć, że kiedyś samotność naprawdę jej dokuczyła. Było to wtedy, gdy miała Michaela, a równocześnie wcale go nie miała. Teraz gorąco pragnęła, żeby ktoś wetknął szpilkę w jej mózg i porządnie zamieszał, tak jak robili to żabom na zajęciach z fizjologii w liceum. Poczwała smak żółci w gardle. Ludzie przyglądali się im, wiedzieli, że ona i Nick byli kiedyś parą, więc teraz liczyli na jakąś dramatyczną scenkę.

- Nigdy nie zacznie mi dokuczać aż tak bardzo.

- Uważaj, zaraz ci uwierzę! - Nick odwrócił się do Ritchiego, swojego keyboardzisty, i podał mu kanciastą butelkę. - Josie bez kutasa pod ręką, akurat!

Rzuciła się na niego, ale był zbyt szybki, uchylił się i chwycił ją za przegub dłoni, kiedy zamierzyła się drugi raz. Wyrwała mu się i uderzyła go lewą ręką.

- Hej, przecież powiedziałem, że mi przykro! - krzyknął, uchylając się przed jej ciosami. - Za co mnie bijesz, kurwa?! Nie zrobiłem ci nic złego, za to kilka razy zrobiłem ci naprawdę dobrze, może nie?! Może nie?!

- Zamknij się, zamknij się, kurwa!

Walila go pięściami z całej siły, dopóki Pen jej nie odciągnęła.

- Josie, przecież to nie wina Nicka! Przestań już, daj spokój!

Usiadła na murku, rozplakała się na oczach wszystkich. Pieprzyć ich. Nigdy nie zasługiwała na Michaela. Nie miała zielonego pojęcia, jak być z kimś takim, jak się nim opiekować. Mam nadzieję, że znajdziesz kogoś, kto lepiej odpowie na twoje potrzeby. Nick wiedział, kim była i jak ją traktować. Od początku traktował ją jak śmiecia.

- Nikomu nie wolno tu nikogo bić, tylko ja mogę robić takie rzeczy - zabrzmiał nagle głęboki, wibrujący głos z wyraźnym niemieckim akcentem.

Lola Lola stała w oszklonych drzwiach, prowadzących na taras, upozowana w progu jak Bette Davis, w długim, obszytym czerwonymi piórami płaszczu.

- Dlaczego ta dziewczyna płacze? Nick wzruszył ramionami.

- Jej chłopak popełnił samobójstwo, a ona chyba myśli, że to moja wina...

Josie wyszarpnęła się z ramion Pen.

- Nienawidzę cię, kurwa! Nick złapał się za krocze.

- Zrób mi łaskę, świetnie ci to wychodzi!

Lola Lola odwróciła się do Josie, zbliżyła twarz do jej twarzy tak blisko, że zasłoniła Nicka przed wzrokiem dziewczyny. Lola była wysoka, teraz nie miała już na głowie peruki z włóczki, jej włosy ułożone były w duże czerwone

skrzydła, oczy umalowane, źrenice ciemne jak nuty. Wzięła Josie za rękę.

- Jak ci na imię, Schatze?

Krew huczała Josie w głowie jak wodospad.

- Josie.

- Chodź do środka, Josie. Mamy wspaniałą haszysz, lubisz hasz? Kupiliśmy zapas w San Francisco. Afgański, z opium. Podobno narkotyki nie są rozwiązaniem problemu, ale na czym właściwie polega problem, pytam...

W pokoju siedzący dookoła hookah ludzie przesunęli się, żeby Lola mogła usiąść. Piosenkarka posadziła obok siebie Josie, która czuła się przy niej malutka, jeszcze mniejsza niż zwykle. Josie była pijana i smutna, makijaż wokół oczu rozmazał się, ciekło jej z nosa. Ktoś podał Loli Loli ustnik. Josie czuła się jak Alicja w Krainie Czarów. Zjadła pół grzyba, kurczyła się, a facet, który wyglądał jak Frank Zappa, w okularach w różowych ramkach, wrzucił zbrylone liście tytoniu do dużej misy hookah i przysypał je dużymi kawałkami haszyszu. Po chwili siedzący wokół zaczęli bulgotać. Lola miała płuca jak olimpijska pływaczka. Wszyscy przerywali w tej samej chwili, zatykając kciukami ustniki swoich rurek. Potem podawali je sąsiadom. Lola podsunęła swoją Josie. Po drugiej stronie siedziała dziewczyna z włosami ufarbowanymi w gepardzie cętki, przystojny ciemnoskóry chłopak w T - shircie z logo Bags Band i facet ostrzyżony na Sonny'ego Bono. Zaciągali się razem, dzieląc się oddechem w równym tempie, niczym chór. Josie od razu zaczęła odlatywać, zupełnie jak szybko startująca winda.

Lola wzięła ustnik, zaciągnęła się, podała go swojemu gitarzyście, który siedział po jej lewej ręce. Wszyscy wydawali odgłosy, które Josie kojarzyły się z przyjęciem dla dzieci - z zabawnym bulgotem ciągnęli hasz, jakby popijali

lemoniade przez rurki. Lola zrzuciła płaszcz i odór jej znużonego koncertem ciała okazał się równie intensywny jak narkotyk. Josie znowu zabalgotła. Lola zaczęła mówić, szybko i głośno, wciąż podniecona występem wylewała z siebie potok słów.

- Próbowali aresztować nas w Santa Barbara, słyszałaś? - zwróciła się do Josie. Jej oczy były czarne od haszyszu, a może czegoś innego, co wzięła wcześniej. - Byłaś kiedyś w Santa Barbara? Tamtejsi gliniarze są tacy uprzejmi i mili, och, och, i nigdy nie robią rewizji osobistych. Dobrze się składa, bo Eddie przez cały czas trzymał nasz hasz w dupie...

Podobny do Zappy facet skinął głową.

- Dla ciebie zrobiłbym wszystko, droga Lolu!

Josie pomyślała, że trochę dziwnie jest palić coś, co jeszcze niedawno ukryte było między pośladkami tego gościa. Nie czuła obrzydzenia, nie, nic z tych rzeczy, ostatecznie większość narkotyków transportowano właśnie w taki sposób, tyle że zwykle skrytką był tyłek kogoś zupełnie obcego, anonimowego, jakiegoś człowieka z Birmy czy La Paz. Tymczasem teraz miała przed sobą faceta w stylu Zappy, w różowych okularach, wysokiego i chudego. Zaczęła się zastanawiać, co jeszcze może znajdować się w jego tyłku. Może meble, antyki, złocone ikony... Ludzie, którzy legalnie nie mogą przedostać się przez granicę, jacyś nielegalni obcy... Właśnie czegoś takiego szukała.

- Dodaje to ekstrasmaczku, prawda? - powiedziała Lola swoim szorstkim głosem z niemieckim akcentem. - Jako rasa mamy duży pociąg do gówna. Wszystkie zwierzęta chętnie rozgrzebują swoje odchody i zjadają je, ale ludzie mają do tego bardziej złożony stosunek. Nie potrafimy przyznać, że uwielbiamy gówno, bo mamusia by nas zbiła, dałaby lanie niegrzecznym dzieciom, które rozsmarowują kupę po ścianie... No, powiedz mi, czy istnieje na świecie jakieś

dziecko, które nie bawi się własną kupą? Uwielbiamy jej zapach i konsystencję... - Lola potarła jedną dłoń o drugą, jakby rozgniatała kawałek gliny. - To budulec, twórcza substancja, nie? Ale wstydzimy się naszego upodobania do gówna, więc udajemy, że nas to brzydzi, chociaż w głębi serca czujemy zachwyty. Pomyśl tylko o toalecie, o toalecie w krajach Zachodu...

Josie leżała oparta o poduszki, przepełniona zaprawionym opium haszem i rozmyślała o życiu, o tym, jakie jest dziwne i nieodgadnione, jak bardzo podobne do filmów Felliniego. Michael nie żył, a ona siedziała tutaj i rozmawiała z Lolą Lolą o kiblach, chociaż naprawdę chciała dowiedzieć się od niej, jak dalej żyć. Nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że świat jest jak globus, który spadł z podstawki i teraz toczy się po podłodze.

Czerwone wargi, obszerne, ekspresyjne gesty, wszystko obliczone na wielkie sale, w których odbywały się koncerty. Lola Lola nadal była na scenie.

- Oczywiście w kraju komunistycznym, gdzie dorastałam, życie miało toczyć się zgodnie z sowieckim modelem, absolutnie spartańskim - żaden dobry komunista nie powinien interesować się indywidualnym produktem własnej dupy. Jednak na Zachodzie kibiel ma specjalną platformę, podobno ze względów zdrowotnych, aby każdy mógł sprawdzić, czy w jego gównie nie ma niebezpiecznych substancji. Tak naprawdę jest to piedestał, który ma ułatwić podziwianie kupy i oddawanie jej czci...

Wargi Loli, pokryte tłustą warstwą częściowo starej szminki, wyglądały jak gumowe czerwone zwierzątka, poruszające się na jej twarzy.

- Amerykanie dbają o swój układ wydalniczy, bardzo zależy im na odpowiedniej jakości gówna, dlatego pożerają mnóstwo zbożowych płatków, dostarczając organizmowi

blonnika. Wszystkie najlepsze, najdroższe perfumy mają w sobie akcent gówna, wiedziałas o tym?

Josie pokręciła głową. Malutkie gówienko pływające w Chanel No.5, coś takiego...

- Nie wierzysz mi? - czarne oczy Loli otworzyły się szeroko. - To ogólnie znany fakt, każdy spec od perfum potwierdzi, że tak jest... Jeżeli producent nie doda do perfum odrobiny gówna, wydają nam się nieciekawe, nudne. Tylko tanie zapachy nie mają tego szczególnego aromatu, dlatego są takie płytkie, pozbawione głębi. Zapach gówna albo jakiś jego ekwiwalent jest składnikiem wszystkich wielkich perfum. Jesteśmy jedynymi zwierzętami, które starają się pozbyć zwierzęcego zapachu, zacieramy odór własnego ciała i zastępujemy go sztucznym aromatem kwiatowym lub roślinnym, ale kiedy przychodzi co do czego, okazuje się, że perfumy nam się nie podobają, jeśli delikatnie nie zalatują gównem... Pewnie czulibyśmy się dużo lepiej, gdybyśmy mogli obwąchiwać sobie tyłki, dokładnie tak jak robią to psy. To bezpieczna metoda, nie wydaje ci się?

Josie opadła na poduszki. Nie była w stanie utrzymać głowy w pionie. Nigdy dotąd nie paliła nic równie mocnego jak ten afgański hasz. Ciekawe, dlaczego nie działał na Lolę... Musieli w drodze strzelić sobie po działce koki albo amfy. Chwilę myślała o ludziach obwąchujących sobie tyłki, ale to prowadziło do myśli o psach, a ona nie chciała myśleć o psach. Niech je wszystkie piekło pochłonie.

Lola mocno potrząsnęła ramieniem Josie.

- Dobry hasz, co? Mówiłam ci. Masz fajki?

- Tak, ale nie dam rady po nie sięgnąć, za bardzo się napaliłam. Są w mojej torebce.

Lola Lola sięgnęła po czerwoną, podobną do tornistra torbę Josie.

- Ooch, la, la... - powiedziała, wyjmując paczkę gauloise'ów

i pstrykając zapalniczką Josie.

Była to zapalniczka firmy Ronson, która kiedyś należała do jej ojca. Miniaturowy wybuch butanu. Josie uniosła rękę powoli jak we śnie, a Lola wetknęła zapalonego papierosa między jej palce i zapaliła drugiego dla siebie.

- Opowiedz mi o swoim chłopaku - poprosiła, wygodnie układając się na poduszkach. - O tym, który umarł.

Jak go opisać, jak podsumować... Nie mogła zacząć, nie umiała znaleźć słów. Jak opowiedzieć o kimś, kto wydaje się być czterema różnymi osobami... O jego genialnym umyśle, o jego urodzie. O tym, jak doprowadzał ją do szału i jaki był czuły i dobry. O tym, jak nigdy nie wyobrażała sobie, że mogłaby kogoś tak bardzo kochać, że w ogóle ma w sobie tyle miłości. I o tym, jak wszystko spieprzyła. Była przekonana, że właśnie Lola Lola, jak nikt inny, zrozumie ją całkowicie.

- Wierzył w prawdziwy świat. W świat, który istnieje za ścianami tego świata i prześwieca przez nie, jak zapalona świeca przez lampion...

- Prawdziwy świat... - Lola pokiwała głową. - To bardzo piękne...

Jej oczy błyszczały czernią, jak klawisze fortepianu. Josie stawiała na kokę - w drodze na imprezę Lola musiała wciągnąć coś naprawdę mocnego. Koka, na sto procent.

- Jaki jest ten świat?

Prawdziwy świat... Kiedy go widzieli, był jak błysk światła na powierzchni rzeki, jak lśnienie słońca na łagodnych falach. Właściwie nie chodziło o sam świat, ale o zdolność zobaczenia go, dostrzeżenia. Czasami patrzyli na prawdziwy świat w nocy, kiedy leżeli w łóżku i słuchali śpiewu kosów. Albo kiedy klęczeli na brzegu rzeki, a spośród trzciny wyszła

nagle błękitna czapla. To niezwykle uczucie, że czas staje w miejscu, że ta chwila będzie trwać wiecznie...

- Dostrzegasz piękno we wszystkim... Nie trwa to długo, widzisz prawdziwy świat tylko przez chwilę, i może dobrze, bo jest czymś tak niesamowitym, tak wspaniałym, że to po prostu nie mieści się w głowie... Czujesz się tak, jakby gęsta mgła w twojej głowie nagle się rozrzedziła i opadła. Świat przestaje być kukielkowym teatrem i wreszcie masz przed sobą ten prawdziwy, który pewnie jest tam przez cały czas, ale my go nie widzimy, dane nam są tylko te drobne przebłyski...

- To musiał być piękny człowiek - Lola z papierosem między palcami przyjęła pozę Marleny Dietrich. - Żałuję, że go nie poznałam...

Josie zaciągnęła się papierosem, żeby rozluźnić bolące z napięcia płuca, otarła twarz wierzchem dłoni.

- Ale później zapomniał, że czasami można zobaczyć ten świat - powiedziała. - Stracił zdolność oglądania go...

Poczuła zapach palącego się materiału i zobaczyła, jak Lola czubkiem papierosa wypala dziury w pończochach, odciągając dzianinę od skóry. Tłące się pończochy cuchnęły.

- A ty? - zapytała Lola Lola. - Wierzysz w ten prawdziwy świat?

Josie popatrzyła na bogato zdobiony sufit z motywem jelenia i liści palmowych pośrodku, w miejscu, z którego dawniej musiał zwisać żyrandol, tam gdzie teraz dyndała żarówka osłonięta abażurem z czerwonego papieru. Czy nadal wierzyła w prawdziwy świat? Sama już nie wiedziała, w co wierzy. Nie miała energii, żeby wierzyć.

- Kiedyś wierzyłam...

- Nie. Musisz dalej wierzyć - Lola oparła się na łokciu. Zaskoczyła Josie powagą, tonem, wyrazem twarzy. Nie przemawiała teraz do widowni, nie mówiła po to, aby podziwiać wspaniałe brzmienie swego głosu.

- Nie pozwól, żeby ci to odebrali, obiecaj mi...

Josie widziała cieniutki pasek folii, na którym trzymały się sztuczne rzęsy Loli. Patrzyły na siebie z bardzo bliska, oddech Loli pachniał wódką.

Jak mogła obiecać coś takiego? Prawdziwy świat odszedł milion lat świetlnych temu. Odwróciła głowę, żeby wypuścić dym z ust, nie dmuchnąć nim prosto w twarz Loli.

- Dlaczego?

Lola przejechała palcem po ciemnym wzorze na poduszce, obrysowała paznokciem kwiat, połączony z innymi kwiatami płataniną pnączy.

- Tam gdzie się wychowałam, nie było czegoś takiego jak prawdziwy świat. Istniało tylko Państwo i to, co było dobre dla Państwa. Każda chwila przeżywania piękna była bezcenna. Świat na pewno nie jest tylko tym, co widzimy na co dzień. Prawdziwy świat musi istnieć, jestem tego pewna...

Josie odgadła, że Lola nie myśli o Michaelu, ale o swoim chłopaku Ferdim Obscie, który zmarł w jej garderobie w Paryżu.

Teraz Lola Lola patrzyła na nią błyszczącymi czarnymi oczami osadzonymi w masce z czerni jak ktoś, kto wygląda z jaskini. Josie oparła czoło o swoje twarde kolana, jasne nogi w dziecięcej kraciastej spódniczce i czerwonych kowbojkach. Ze wszystkich sił starała się wyrzucić z pamięci obraz tych nóg, zaplecionych wokół Nicka, który pieprzył ją pod ścianą, podczas gdy Michael siedział w domu i patrzył na Boscha. Wiele by dała, by móc powiedzieć, że nie pamięta, wymazać to, ale pamiętała wszystko. Pamięć tkwiła w ciele, a jej ciało nigdy nie zapominało. Pamiętała więc, jak Michael odwrócił się od niej. On, który był wszystkim, czego pragnęła. Ale cóż, skoro nie mogła go mieć, to знаła kogoś, kto chciał ją wziąć, bez żadnych pytań i wątpliwości. Wytarzała się w gównie, tak, wytarzała się w gównie, by ukarać Michaela za to, że ją

odepchnął. I ukarać siebie, bo nie była dla niego dość dobra, dość inteligentna, dość interesująca. Tak. Znała swój poziom i mogła zniżyć się do niego w każdej chwili. Wrócić do tego, czym była. Nie miała prawa mówić o prawdziwym świecie. Zanieczyściłaby go, zasmrodziła nawet jedną swoją myślą. Prawdziwy świat istniał, ale świeca zgasła i Josie miała teraz tylko chiński lampion wyprodukowany w Meksyku, hecho en Mexico.

8. BOŻE NARODZENIE

Nie chciała wesołych świąt, nie chciała życzeń ani radości, nie chciała Merry Christmas ani Feliz Navidad. Była dopiero ósma i przed Josie rozciągała się cała noc. W mieście ludzie siadali właśnie do kolacji z indykiem i ponczem z żółtkami i korzeniami, podziwiając obwieszane ozdobami choinki. Mieli jeść i pić, aż zrobi im się niedobrze, aż zaczną rzygać. Josie prowadziła swojego falcona o słabym tłumiku po wzgórzach, w górę i w dół, przez park Echo, Silverlake i Angelino Heights. Piła i starannie omijała domek za dużym domem przy Lemoyne Street, gdzie nikt już nie mieszkał. Włączyła marny magnetofon i słuchała Germs, We Must Bleed. Może powinna była wybrać się do Fullerton z Pen, Shirley i Paulem na występ Black Flag, ale ostatnio nie czuła się z nimi zbyt dobrze. Phil Baby zaprosił ją na przyjęcie u siebie - śmiertelna nuda w pigułce, banda nauczycieli malarstwa, grafiki i rzeźby w okularach z grubymi oprawkami, popalających skręty i żłopiających gorące wino z cynamonem. Nie było takiego miejsca, w którym chciałaby być, miała tylko ochotę jeździć aż do wyczerpania paliwa i pić wódkę.

Przejechała Bulwarem Zachodzącego Słońca. Całe rodziny spacerowały szerokimi chodnikami, sklepy były udekorowane, wystawy wymalowane śniegiem w sprayu. Wszędzie Święty Mikołaj i renifery, Feliz Navidad. Stała pod chińskim sklepem. Parking był zapchany, ludzie w pośpiechu kupowali ryby i biszkopty. Oślepiąca fluorescencyjnym światłem Josie pchała wózek, co chwilę wpadając na kogoś. Dotarła do długich, zimnych alejek z warzywami i owocami, i postanowiła kupić dziwny duży owoc, który wyglądał jak jeżozwierz, ważył dobre dziesięć kilo i śmierdział jak spocone pachy. Michael kupiłby właśnie coś takiego. W sklepie nie było ani cienia świątecznej atmosfery, Boże błogosław Chińczykom. Faceci z wielkimi

tasakami, bez czerwonych czapek z białymi pomponami i dzwoneczków, rąbali kurczaki i połcie wieprzowiny w dziale mięsnym. Dwie drobniutkie, pomarszczone babcie stały nad metalowym zlewem, pełnym małych błękitnych krabów, które włożyły sobie na głowy, raz po raz podejmując beznadziejne próby ucieczki. Może właśnie tak zachowywał się Bóg - zerkał na świat znad zlewu, przyglądając się, jak ludzie usiłują się wydostać, i co jakiś czas wyciągając kogoś z pojemnika.

Dokupiła jeszcze kawałek fasolowego ciasta, które lubił Michael, i zaniósła zakupy do samochodu. Znowu ruszyła przed siebie, ściskając kolanami półlitrową butelkę wódki. Nie potrafiła pozbyć się uczucia, że lada chwila zobaczy go, jak idzie w tej swojej tweedowej marynarce, z rękami w kieszeniach, z postawionym kołnierzem, robionym na drutach szalikiem w paski owiniętym wokół szyi. Może tam, przy kiosku, albo tutaj, przed szkołą tańca Escuela de Baile senora Reynaldo.

Tyle razy robiła właśnie coś takiego, jeździła ulicami tak długo, aż w końcu go wypatrzyła. Szedł sam, wracał po pracy do domu, wczuwał się w atmosferę dzielnicy, wsłuchiwał się w nią jak w muzykę. Zatrzymywała się przy krawężniku, udając dziewczynę, której niespodziewanie po prostu spodobał się jakiś chłopak, proponowała, że go podwiezie i może zrobi coś jeszcze, jeśli oboje będą mieli na to ochotę.

- Hej! - wołała. - Hej, skarbie, podrzucić cię do domu? Na targu Pioneer Market wciąż jeżyły się kępy niesprzedanych choinek. Dokładnie dwanaście miesięcy temu kupili tu sobie drzewko. Nagle zobaczyła, jak idą ramię w ramię, wysoki chłopak o zmierzwionych włosach, w tweedowej marynarce z podniesionym kołnierzem, który trochę jednak chronił przed wiatrem, i dziewczyna w żółtym futerku, z utlenionymi włosami. Śmiali się, podglądali innych ludzi, zgadywali, kim mogą być, wymyślali różne historyjki. Jedyne pieprzone

święta, jakie mieli. Innych już nie będzie. Pojechali do domu z choinką przywiązaną do dachu falcona jak z upolowanym jeleniem, ostrożnie znieśli ją po stromych schodach. Siedzieli całą noc, robiąc ozdoby. Michael uformował cały cyrk z wyciorów do fajek - konie z jeźdźcami bez siodła, foki z piłkami na nosach, słonie, pieski w fartuszkach, malutkiego tresera w cylindrze i z pejczem, całe piramidy akrobatów i gimnastyków na trapezach. Josie zrobiła stado owieczek z kulek waty i aniołki z ligninowych chusteczek. Potem pili poncz z rumem i tańczyli w rytm piosenki Piaf La Vie en Rose, Michael owinięty wokół niej, z policzkiem wtulonym w jej włosy.

Wjechała na parking, zaparkowała krzywo, starając się dojrzeć coś przez łązy, które paliły jak chlorowy wybielacz, kiedy czasem pryśnie w oczy. Byli szczęśliwi, tak, byli, nie miała co do tego cienia wątpliwości. Wysiadła i zaczęła przepychać się między drzewkami, na oślep, rozgarniając rękami kleiste igły. Zapach żywicy dławiał ją, chwycił za ramiona. Pragnęła go rozpaczliwie, całą sobą, teraz, już, wydawało jej się, że nie przeżyje bez niego ani jednej sekundy więcej.

- Proszę pani? - sprzedawca choinek, krostowaty chłopak, patrzył na nią spomiędzy gałązek. - Dobrze się pani czuje?

- A wyglądam, jakbym dobrze się czuła? - wykrztusiła, chwytając się igieł dłońmi pachnącymi żywicą i stratą. - Wyglądam, jakbym dobrze się czuła, kurwa mać?!

Poddała się i pojechała do piekarni znanej w okolicy jako „Apteka bez recept”, która dziś robiła majątek na pan dulce oraz valium, diazepamie i innych środkach uspokajających. Położyła na tacy połówkę świeżutkiego pan dulce i owinęła dwudziestkę w dwa jednodolarowe banknoty, a niski Salwadorczyk z obojętną twarzą wsunął do jej torby małe co nieco.

Przy bulwarze budki telefoniczne i okna oklejone były plakatami. Club Bahia, Chicho Montoya y Gloria Nunez, Sabado 9 de Diciembre, 20.00, La Laguna Azul con Brooke Shields... Spokojny młody człowiek w bluzie z kapturem sprzedawał pomarańcze na rogu Alvarado. Musiał sprzedać je wszystkie, zanim wróci do domu, najpewniej obskurnego pokoju, który dzielił z trzema innymi emigrantami, gdzieś w Pico - Union. Czekwały go nie lepsze Navidad niż jej własne. Opuściła szybę i wyciągnęła rękę z dwoma dolarami. Przyniósł jej torbę owoców, małe, dobrze zapakowane zwłoki, i wziął pieniądze. Czowała zapach pomarańczy, aromat zimnej skórki i niedojrzałego wnętrza. Pachniały lepiej niż śmierdzący owoc, który kupiła w chińskim supermarkecie. Rzuciła torbę na siedzenie obok siebie, rozdarła ją, obrała jedną pomarańczową kulę, nie wypuszczając kierownicy z drugiej dłoni. Skórka była gruba, owoc mniejszy, niż powinien być, zimny i kwaśny, ale zjadła go, wiedząc, że gdzieś na świecie jest miejsce, gdzie pomarańcze mogą spokojnie dojrzewać, gdzie same spadają z drzew, bo są tak ciężkie od słodkiego soku. Zapach, który czuła, był zaledwie obietnicą. Powinni byli przeprowadzić się właśnie w takie miejsce, do takiego zakątka świata, gdzie wszystko spokojnie dojrzewa. Gdzie pomarańcze są słodkie jak pocałunki w raju.

W bocznych uliczkach świąteczne światełka spowijały domy, drzewa, balkony, zakratowane okna. W małych domkach małe rodziny szykowały się do świąt. Światełka wzdłuż krawędzi dachów migotały, przez okna widać było błyszczące choinki. Dlaczego nie mogło zostać tak, jak było rok wcześniej, ona i Michael, we dwoje, razem? Zaglądała przez okna do domów. Święta były takie ładne. Pragnienie światła w zimie było pełne nadziei, wiary, oczekiwania na cud. A ona siedziała sama w samochodzie, ze śmierdzącym

owocem na tylnym siedzeniu, z zimnym jak śnieg łóżkiem, które czekało na nią w domu.

Dlatego człowiek nie powinien się do niczego przyzwyczajać, bo pewnego dnia po przebudzeniu może spostrzec, że nie ma już tego, do czego przywykł. I zostaje mu tylko Bosch, kraby, chińskie babcie i sztuczny śnieg, Feliz Navidad.

A tu miała przed oczami te małe domki, ozdobione światełkami. Wiedziała, że prawdziwy świat jest właśnie gdzieś tam, ale nie dla niej. Tak czuł się Michael, kiedy patrzył przez okna na Boscha. I podziękował za to wszystko, skurwysyn.

Zatrzymała się przed sklepem Gala, kupiła jeszcze jedną butelkę wódki, dwie paczki gauloise'ów i wybiegła, zanim pani Ramirez zdążyła złożyć jej świąteczne życzenia. Dwie paczki fajek i butelka smirnoffa - to mówiło chyba prawie wszystko o życiu Josie. Zawróciła w stronę Bulwaru Zachodzącego Słońca, zaciskając lepkie od soku pomarańczy palce na kierownicy. Z magnetofonu wydobywał się wrzask Darby'ego: „Nie ma Boga, którego trzeba się bać, nie ma Boga, który wysłuchałby twojego krzyku...”.

Piesi pchali przed sobą dziecięce wózki, wchodzili do „Sklepu ze wszystkim po 99 centów”, do pralni. Josie otarła łzy wierzchem dłoni. Michael uwielbiał pralnię, uwielbiał wyjmować z suszarki jeszcze gorące ubrania i starannie je składać. Nie wrzucał ich bezładnie do płóciennego worka, jak zrobiłaby to Josie, ale rozprostowywał i układał, rozmawiając z Latynoskami, które czekały, aż skończy się ich pranie.

- To jest prawdziwe życie - powiedział kiedyś. - Ich życie, nie życie dupków z klasy średniej, którzy mają w domu pralki firmy Whirlpool i wszystkie inne udogodnienia.

Dla Josie było jasne, że każda z tych kobiet sprzedałaby duszę, żeby mieć w domu pralkę Whirlpool oraz inne

udogodnienia, i nie musieć raz na tydzień wlec się ulicami z brudnymi rzeczami, z dziećmi dźwigającymi torby pełne brudnych skarpetek lub kartonowe pudła z koszulami, jak w jakimś cholernym pochodzie, ale Michael kochał pralnię. Lubił tam siedzieć i uczyć się zwyczajnego życia od zwyczajnych ludzi. Najbardziej na świecie nienawidził zamkniętych drzwi, chociaż sam uparcie strzegł swoich tajemnic. O tak...

Minęła El Tigre i mały sklep zielarski z ziołami w doniczkach i świeczkami z podobiznami świętych. Powinna zatrzymać się, kupić mu świeczkę, odmówić modlitwę. Ale o co właściwie miała się teraz modlić? Spokojnych snów, dupku. Dzięki, że zostawiłeś mnie tutaj samą jak palec. W torbie z pieczywem miała valium, które dobrze by jej zrobiło, zwłaszcza popite wódką, jednak jeżeli miało wystarczyć na całą noc, musiała podzielić je na porcje.

Podkreśliła głośność, chciała teraz słyszeć tylko Darby ego, który zdierał sobie gardło do żywego, i gitarę, jęczącą pod palcami Pata Smeara. Pieprzę was wszystkich, dranie. Minęła restaurację Burrito King, bar Guadalajara z podświetlonym czarnym sombrero i bar tiki koło budynku stacji telewizyjnej, gdzie barman nigdy nie zaakceptował jej sfalszowanego dowodu tożsamości. Wjechała w Vermont, bardzo świąteczną ulicę, z owiniętymi aluminiową folią i wstążkami słupami przed włoskimi delikatesami i piekarniami. Przed wejściem do restauracji U Sarna tłoczyli się ludzie, ponieważ w U Sarna kelnerzy śpiewali arie operowe, podając lasagne, a czasami nawet sam właściciel stawał na środku sali i śpiewał. Miała ochotę zatrzymać się, kupić cannoli albo włoski biszkopt przyprawiany winem, oprzeć się o kontuar piekarni i posłuchać, nasycić się ciepłem, aromatami jedzenia i tym zdumiewającym pięknem, które wylewa się z zupełnie przeciętnych ludzi, ale wiedziała, że

czułaby się tam jak hiena, jak szakal, wstrętny padlinożerca, więc pojechała dalej.

Pół Los Angeles spacerowało po Bulwarze Los Feliz, gapiąc się na rezydencje ozdobione milionami lampek - w okresie świąt każdy z tych wielkich domów na pewno zużywał więcej elektryczności niż małe miasteczko w ciągu roku. Tutaj każdy dom starał się przyćmić sąsiada, było to obrzydliwe i nie miało nic wspólnego z prawdziwym światem, z pięknie oświetlonymi małymi domkami. Tutaj królowała rozrzutność i arogancja. Josie opuściła szybę, żeby mieszkańcy pałaców usłyszeli, co myślą o nich The Germs.

Skreśliła w boczną uliczkę, jeszcze raz w prawo i zaczęła pięć się pod górę. Znała cel swojej podróży, nie powinna tam jechać, ale chwilami miała wrażenie, że samochód jedzie sam, kierując się własną wolą. Światło biło ze wszystkich rezydencji, okna płonęły, Josie mogła zajrzeć do każdego jak do domu dla lalek. Dlaczego nie zaciągali zasłon? Gdyby była na ich miejscu, założyłaby grube aksamitne zasłony, żeby nikt nie zaglądał do środka. Trzeba mieć niezmierną pewność siebie, by tak eksponować swój bogaty, imponujący dom, kiedy w tym mieście są ludzie gotowi zabić za skórzaną kurtkę, pomyślała. Kolejna choinka, wysoka na jakieś siedem metrów. Ustawiona przy kominku, odbijała się w ogromnym lustrze w złoczonej ramie. Ktoś wydawał przyjęcie, na drzwiach wisiał wspaniały wieniec ze świerkowych gałęzi, goście wysiadali z samochodów, nieśli całe naręcza prezentów.

Jechała coraz wyżej i wyżej, aż w końcu oświetlone domy znikły. Nie było już choinek, kominków i białych salonów. Ściszyła muzykę, w końcu wyłączyła ją zupełnie. Tu domy kryły się za wysokimi ogrodzeniami i żywopłotami. Rozpoznała rzeźbioną bramę i dom w hiszpańskim stylu na szczycie wzgórza. Via Paloma. Lampy paliły się tylko w

salonie, którego okna częściowo zasłaniało potężne drzewo. Josie zjechała na bok i zaparkowała naprzeciwko żelaznej bramy. Tu wreszcie miała wielkość i mrok, których pragnęła. Grzybowata, gąbczasta miękkość starego muru z cegły i pleśniejący smutek tego miejsca, jego osamotnienie, zapach cedrów i żywicy - wszystko to przemawiało do jej serca. Czowała się tak, jakby od śmierci Michaela zataczała kręgi wokół jego domu, coraz mniejsze, coraz bardziej zbliżając się do środka.

Opuściła okno i odetchnęła zimnym, świeżym powietrzem nocy. Całkiem możliwe, że na dworze był lekki mróz. Gwiazdy lśniły jak białe migdałowe płatki na pokrytej czarną emalią patelni. Ktoś zaczął grać na fortepianie, przerwał, znowu zaczął, tę samą frazę, powoli, z namysłem. Josie obrała jeszcze jedną pomarańczę i wyrzuciła skórkę przez okno, które zostawiła otwarte, aby oddychać zapachem sosen i słyszeć muzykę. Tutaj, na wzgórzu, nikt nie odgadłby, że jest Boże Narodzenie. Pograżony w pełnej godności żałobie dom znajdował się poza zasięgiem świątecznej radości i nadziei zbawienia. Zza palm, kolczastych juk i cmentarnych cedrów znowu dobiegł jej ten sam fragment utworu, jakby ktoś z fatalną pamięcią usiłował przypomnieć sobie, co dalej.

Josie wzięła valium, popiła wódką, która już nie paliła jej gardła. Zapaliła gauloise'a. Patrząc na dom, na bramę, widziała małego chłopca, wyglądającego na świat spoza wykutych w żelazie ozdobnych zawijasów, małe palce zaciśnięte na prętach. Nigdy w życiu nie spotkała kogoś tak samotnego jak Michael. Samotnego i nienawidzącego swojej samotności, gardzącego tłumem i cały czas pełnego nadziei, że uda mu się nawiązać z ludźmi jakiś trwały kontakt. Dla niej samej w dzieciństwie samotność była tylko pogłoską, odległą krainą, położonym w wysokich, stromych i poszarpanych górach miejscem, gdzie rozrzedzone powietrze jest czyste jak

świeży śnieg. W tamtych czasach oddałaby wszystko za taką samotność, za uwolnienie jej od krzyków, rozmów i bezustannego wyrywania sobie przedmiotów, kłótni oraz wysłuchiwanie paskudnych rzeczy, jakie ludzie rzucali pod jej adresem wyłącznie dlatego, że nosiła nazwisko Tyrell. Michael mówił, że samotność jest straszną rzeczą, lecz ona mogła tylko wyobrażać sobie ciszę i ład, panujące w takim życiu. Określenie „jedynak” zaprawione było nutami luksusu, skupionej uwagi, wymarzonego spokoju.

Fortepian umilkł i Josie zobaczyła postać o ciemnych włosach, opuszczającą oświetlony łuk okna i przechodzącą w półmrok sąsiedniego. Zapaliła się mała lampa, która wydobyła z ciemności twarz Meredith. Matka Michaela podniosła słuchawkę, wybrała numer. Czekwała długo, a Josie wydawało się, że słyszy, jak telefon dzwoni w jej domku w parku Echo. Jaką wielką nienawiść czuła do niej ta kobieta... Josie popełniła zbrodnię - pokochała jej syna, ale nie dość mocno, aby go uratować.

Przerażała, zabijała ją myśl, że mogła uratować Michaela. On próbował ratować ją, ona próbowała ratować jego, ale nie udało im się osiągnąć celu. I ona, Josie, miałyby być właśnie taką osobą, jakiej Michael potrzebował? Cał wydał się jej nagle smętnym, godnym pożałowania błaznem, który sam nie wie, co gada.

Spojrzała na dwa oświetlone okna. Zaczęła się zastanawiać, jak by to było, gdyby dorastała w takim miejscu. Zawsze dziwiło ją, że Michael, który wyrósł w tym gnieździe luksusu, uważał, że jej życie jest bardziej autentyczne niż jego, kiedy w gruncie rzeczy było płytkie i blade, a cały jego urok polegał na udawaniu, że jest wspaniale. Doskonale pamiętała przerażająco uroczysty moment, kiedy dostała pierwszą nową sukienkę, kupioną w sklepie, różową i sztywną, z siateczką, która drapała skórę. Było to na

Gwiazdkę, kiedy Josie miała siedem lat. Mama wróciła do domu ze szpitala, ale tym razem nie przywiozła nowego dzidziusia.

- Wasza mama jest po prostu zmęczona - powtarzał ojciec, kiedy matka całymi tygodniami nie wychodziła z sypialni.

Josie bała się nawet usiąść w tej sukni, miała ją na sobie zaledwie dwa razy, zanim wyrosła z niej i oddała Corinne, która natychmiast poplamiała ją czerwonym ponczem. Trzeba było nosić sukienkę do zdarcia, pomyślała teraz. Codziennie, do szkoły i do zabawy. Może wtedy jej życie potoczyłoby się inaczej.

Michael miał prywatnych nauczycieli i hotele w Europie. Pokojówki. Podróże pierwszą klasą samolotu. Gdy skończył dwanaście lat, Meredith zapisała go do szkoły tańca Cotillion, gdzie tańczył z dziewczynkami, które nigdy w życiu nie odezwałyby się do kogoś takiego jak Josie Tyrell. Często widywała takie istotki, o lśniących, doskonale uczesanych włosach, z aparatami ortodontycznymi na zębach, w nowych skórzanych pantofelkach. Grały w tenisa w klubie sportowym w Stockdale. Josie i Corinne pojechały tam kiedyś na rowerach i usiadły za siatką, aby popatrzeć. Te stworzenia w eleganckich białych strojach wydawały się tak odległe, jakby pochodziły z innego świata - Josie i jej siostra nie potrafiły ich nawet znienawidzić. Połysk opalonych nóg w białych spódniczkach i sportowych butach, ciepłe lśnienie słońca na twarzach... Nigdy nie rozmawiała o tym z Corinne, lecz ten obraz na zawsze pozostał w jakimś zakamarku jej pamięci.

Popatrzyła na ciemny dom. Bardzo jej się podobał, taka była prawda. Surowy, z wykwinną, zardzewiałą bramą, otoczony starymi, ciemnymi drzewami. Jeszcze bardziej fascynujący niż tamten klub w Stockdale. Tu wychowywał się Michael, to miejsce wydało go na świat. Miał je we krwi,

podobnie jak grób rodziny Loewych na cmentarzu. Ming. Blask lamp przeświecał przez żelazne pręty i drzewa, przez przyciemniane szyby. Fortepian znowu się odezwał, z wahaniem, z bólem, powoli.

Josie podzieliła na części następną pomarańczę, odrywając gorzkie białe wnętrze skórki od bladawego mięszu. Z tylnego siedzenia dobiegał ją zapach zakupów - śmierdzącego owocu, fasolowego ciasta. Feliz Navidad. W zeszłym roku o tej porze Michael malował, tryskał energią i pomysłami, uczył ją tańczyć charlestona. W zeszłym roku o tej porze wydawało jej się, że podpisała umowę na dzierżawę działki w raju.

Meredith wróciła, z gracją usiadła na kanapie naprzeciwko nich, za murem obciążonego skórą stolika do kawy i krągłego wazonu z brązowymi chryzantemami. Wyciągnęła rękę i podniosła uschnięty płatek, wrzuciła go do pustego kominka. Boleśnie sztywna kobieta z czarnymi włosami mocno ściągniętymi w kok zeszła po schodach, dźwigając tacę zastawioną filiżankami i spodeczkami - serwis do kawy lśnił teraz blaskiem jedwabiu. Niosła tacę w taki sposób, jakby jej dłoniom powierzono królewską koronę na poduszce, wysoko unosząc głowę ozdobioną arystokratycznie garbatym nosem.

Michael odezwał się do niej po hiszpańsku. Josie widziała, że kobieta jest zachwycona jego wizytą, chociaż udaje, że wcale tak nie jest, i nawet na niego nie patrzy. Josie nigdy w życiu by nie zgadła, że ma przed sobą pokojówkę. W sukni z szarej wełny kobieta wyglądała raczej jak nauczycielka hiszpańskiego, przed którą uczniowie trzęsą się ze strachu. Postawiła tacę na stole, posłała Michaelowi spojrzenie pełne ukrytych znaczeń i odwróciła się do swej pracodawczyni.

- Mam nalać, senora?

- Nie, sama naleję - odparła Meredith. - Dziękuję, Sofio, na razie to wszystko.

Działo się to przed ponad rokiem, a jednak w pamięci Josie wciąż żywe było nawet to błyskawiczne, porozumiewawcze spojrzenie, jakie Michael wymienił z pokojówką. Pamiętała też, że była bardzo skrepowana i onieśmielona świadomością, iż znajduje się w pokoju, gdzie kiedyś Marcel Duchamp grał w szachy z dziadkiem Michaela. Nawet służąca zachowywała się tutaj jak osoba z królewskiego rodu.

- Więc tak... - Meredith założyła nogę na nogę, objęła dłońmi kolano w miękkiej, zielonej tkaninie. - Irv powiedział mi, że nie zamierzasz wracać na studia...

Irv, donosiciel.

- Tak. Chodzę do szkoły sztuk pięknych. Postanowiłem zostać malarzem.

Otoczył Josie ramieniem.

Meredith leciutko zmrużyła oczy, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi, w ramię Michaela na plecach Josie, w naturalne ciepło ich bliskości.

- Wcześniej nigdy nie malowałaś, więc skąd ta nagła pasja? - Napełniła filiżanki, ustawiła je na spodeczkach, podała czarną kawę synowi. - Ze śmietanką? - zwróciła się do Josie.

Josie pokręciła głową. Wzięła z rąk Meredith białą filiżankę w drobny błękitny deseń, ze spiczastym, koronkowym uszkiem.

- Bardzo podoba mi się ta szkoła - dodał Michael. - I całkiem nieźle mi idzie.

- Mnie całkiem nieźle idzie jedzenie lodów, ale nie zdecydowałabym się z tego powodu rzucić studiów na Harvardzie. - Matka Michaela tak mocno zacisnęła palce na brzegu talerzyka, że Josie widziała białe kości pod cienką skórą. - Zastanów się, mój drogi... Jak zamierzasz rywalizować z ludźmi, którzy mają prawdziwy talent? Z

ludźmi, którzy bez reszty poświęcili się uprawianiu sztuki, którzy posiadają ogromną siłę woli, pasję i dyscyplinę?

Josie wzięła z rąk Meredith filiżankę i spodeczek. Modliła się, aby Michael powiedział coś, cokolwiek, aby chociaż spróbował się bronić. Dlaczego nic nie mówił? Milczał jak zaklęty, pobladał tylko trochę i mocno zacisnął zęby, a jego matka gadała dalej.

- I przypuszczam, że oczekujesz ode mnie poparcia w tym małym przedsięwzięciu, ty i twoja mała przyjaciółka...

- Nazywa się Josie - powiedział Michael powoli i dobitnie. - Josie Tyrell.

- Oczywiście... - oczy Meredith przypominały zielone pochodnie. - Panna Tyrell... Panno Tyrell, czy zdaje sobie pani sprawę, że mój syn właśnie zrezygnował z dalszych studiów na Harvardzie, chociaż do dyplomu został mu już tylko rok?

Zupełnie jakby to była jej wina... Jakby miała cokolwiek wspólnego z wyborem, jakiego dokonał Michael... Josie zaczerwieniła się aż po korzonki włosów.

- Maluję, radzę sobie dość dobrze, więc o co chodzi? I tak nie zostałem prawnikiem czy kimś w tym rodzaju... - Michael łagodnym ruchem gładził puszyste włosy na karku Josie. - Ty jesteś artystką, Cal także...

- Ale ty nie, Michael. - Meredith oznajmiła to takim tonem, jakby niczym Bóg oddzielała światło od ciemności. - A ja nie znoszę dyletantów. Historia sztuki była dla ciebie idealnym wydziałem i kompletnie nie rozumiem tej nagłej zmiany.

- Nie chcę uczyć się o tym, co namalowali i malują inni. Chcę malować sam. Zawsze dużo rysowałem...

- Od niechcienia, prawą ręką do lewego ucha, w wolnych chwilach... - Meredith z ciężkim westchnieniem opadła na obfite poduchy kanapy. Mówiła teraz spokojnie i powoli, jak cierpliwa nauczycielka do przedszkolaków. Poranne światło

wlewało się do pokoju przez wysokie francuskie okna, złagodzone i przefiltrowane przez ogromne krzewy kamelii, wysokie na ponad trzy metry. Pociągnęła łyk kawy z niebiesko - białej filiżanki. - Malowanie nie jest zajęciem, którego można się nauczyć ot tak sobie, bo w tej chwili akurat to przyszło ci do głowy... Och, teraz będę malarzem, postanowiłem zostać artystą...

- Kandinsky miał czterdzieści lat, kiedy zaczął malować.

- Michael jest naprawdę świetny - wtrąciła Josie. - Powinna pani obejrzeć jego obrazy...

Matka Michaela przeniosła teraz spojrzenie na Josie i skupiła na niej uwagę z tak zaskoczonym wyrazem twarzy, jakby wcześniej w ogóle jej nie zauważyła. Dziewczyna mimo woli drgnęła nerwowo, ponieważ nagle poczuła się tak, jakby znalazła się w odległości metra od dzikiego, drapieżnego zwierzęcia, geparda albo tygrysa.

- Skąd konkretnie czerpie pani swoją wiedzę o sztuce, panno... Tyrell? - Meredith powiedziała to powoli i dobitnie, jakby nie była do końca pewna, czy Josie mówi po angielsku.

I znowu pociągnęła łyk kawy, trzymając prawie przejrzystą filiżankę i spodeczek z gracją, lecz zdecydowanie.

Josie znała ten ton. Wychwytywała go od dziecka, przez całe swoje życie. Jedna z tych Tyrellów, co?

- Jestem modelką w szkole sztuk pięknych. Widziałam wiele obrazów i wiem, że Michael jest świetny. Jego nauczyciele też tak uważają.

- Modelką... - powtórzyła Meredith.

Nie było to ani pytanie, ani stwierdzenie, ot, po prostu potwierdzenie, że ostatni fragment łamigłówki doskonale pasuje do pozostałych.

- Nie masz chyba problemów ze słuchem, Meredith, prawda? Więc o co ci właściwie chodzi? - Michael zdjął rękę z ramion Josie, zacisnął palce jednej dłoni wokół drugiej,

nachylił się nad wazonem z chryzantemami. - Cała ta sprawa wcale nie dotyczy Josie, moja decyzja nie ma nic wspólnego z naszym związkiem...

- Och, dobry Boże, nie bądź idiotą, Michael! - rzuciła Meredith. - Oczywiście, że twoja decyzja ma wiele wspólnego z waszym związkiem! Spotykamy dziewczynkę z zapalkami, rzucamy Harvard i nagle zaczynamy bawić się w La Boheme w parku Echo! Ach, nieszczęsna mała Mimi...

Dopiła kawę i postawiła filiżankę na stoliku o obitym skórą blacie, wyprostowała się na poduszce białej kanapy, szarpnęła staroświeckie frędzle.

- Wiesz, dlaczego malarze i inni artyści mieszkają na strychach, Michael?

- Bo lubią świeże powietrze?

Meredith nie odpowiedziała uśmiechem, w jej głosie zabrzmiała ostra nuta.

- Jeżeli artysta dostaje pieniądze z domu, to już nie jest La Boheme, rozumiemy się? Wracaj do Harvardu. Został ci niecały rok do dyplomu, nie możesz ciągle zmieniać zdania, zwłaszcza z takiego powodu...

Czyli z powodu Josie. Matka Michaela groziła, że nie da mu ani grosza, a wszystko to przez nią... Nagle, z zaskoczenia, ogarnęło ją bolesne poczucie winy. Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że Michael rzucił studia z jej powodu. Mówił, że nie chce robić dyplomu ze względu na malowanie. Chciał malować i tyle...

- Nie znosiłem Harvardu. Jest tam zimno, poza tym na liście lektur były książki, które czytałem, kiedy miałem dziewięć lat. Przez całe studia nie dowiedziałem się niczego, czego nie mógłbym się dowiedzieć w przeciętnie wyposażonej bibliotece publicznej...

- Tak, ale by osiągnąć jakąkolwiek pozycję w świecie sztuki, potrzebny ci będzie dyplom, dlatego proszę cię tylko o

jedno - skończ studia. Nie mam chyba zbyt wielkich wymagań, nie sądzisz? - Meredith usiadła prosto, nachyliła się ku niemu, zbliżyła niezwykłą twarz do jego twarzy, utkwiała inteligentne, gepardzie oczy w jego oczach. - Co prawda od rozpoczęcia roku akademickiego minęło już trochę czasu, ale przecież przeczytałeś wszystkie lektury, prawda? Jestem pewna, że szybko nadrobisz zaległości, jeżeli w ogóle jakieś masz... - rzuciła synowi szybki uśmiech. - Później możesz jechać, dokąd zechcesz - do Florencji, do Paryża, gdziekolwiek... Sorbona z pewnością ma odpowiedni program studiów dla absolwentów innych uczelni... Więc może razem z... - zawahała się chwilę, lecz zaraz odzyskała pewność siebie. - Razem z Josie... - uśmiech. - Może razem z Josie omówicie to sobie w drodze do domu, a potem zadzwonisz do mnie i powiesz mi, co postanowiliście...

Michael wyciągnął rękę nad stołem z blatem ze skóry i ujął dłoń Meredith. Ściągnęła brwi, zaskoczona tym gestem.

- Już postanowiłem - rzekł, patrząc jej prosto w oczy. W jej oczach błysnął zielony ogień. Jego przybrały kolor wzburzonego morza.

Deklaracja Niepodległości, szturm na Bastylie. Mężczyzna, którym zaczął stawać się tamtego dnia, kiedy pieprzył Josie w łóżku Meredith.

Odkręciła butelkę, pociągnęła łyk wódki, zaczekała, aż alkohol rozgrzeje ją do kości, napiła się znowu i znieruchomiała. Głośne, niemelodyjne zbitki nut zagrzmiały w ciemności. Meredith musiała walić w klawisze przedramionami albo łokciami, żeby wydobyć z nich takie dźwięki. Uschnięty liść sykomory osiadł na przedniej szybie, przylgnął do niej jak wyciągnięta w błagalnym geście ręka.

Tamtego dnia była taka dumna z niego... Siedział nieporuszony, wolny od lęku, patrzył prosto w twarz rozwścieczonej kobiety i wypowiadał jej posłuszeństwo.

Powiedział, że już nie potrzebuje jej aprobaty, że nie może dłużej trzymać go w niewoli.

Oczywiście była to tylko gra.

Kiedy wrócili do domu, padł na niebieską kanapę i opuścił długie ręce między kolanami.

- I co teraz zrobimy, kurwa? Przytuliła czoło do jego czoła.

- Weźmiemy się do roboty.

Siedzieli w milczeniu, oddychali jedno drugim. Wreszcie Michael westchnął i przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Powiem ci coś, czego dotąd nigdy nikomu nie mówiłem... Nigdy nie pracowałem. Jestem cholernie bezużyteczny, prawda?

Pogładziła jego policzki czubkami palców.

- Nie ma się czym przejmować. Znajdziesz coś.

- Na przykład co? - przeczesał potargane włosy palcami. - Zmywanie naczyń w knajpie? Wyprowadzanie psów na spacer?

- Jasne, na pewno wspaniale wyprowadzałybyś psy na spacer, dlaczego nie?

I natychmiast wymyśliła historyjkę o psach, jego podopiecznych, o tym, jak to będzie wyprowadzał po osiem zwierząt naraz, jak będą plątać mu się między nogami i powarkiwac na siebie, splatając osiem smyczy w gruby warkocz. Trochę go rozbawiła. Uznał, że praca to praca, nic takiego. Jednak po chwili ponury nastrój powrócił wielką falą.

- Myślmy realistycznie, Josie... Co umiem robić? Nic.

Wzruszyła ramionami. Co robią ludzie, żeby zarobić na życie? Cokolwiek.

- Możesz pracować jako kelner. Potarł policzek o jej włosy.

- I cały dzień słuchać różnych bzdur, które wygadują klienci? Patrząc, jak napychają sobie gęby żarciem? Wolałbym się zabić.

Ze wszystkich sił starała się go zrozumieć. Jasne, praca kelnera nie jest łatwa, człowiek musi być ciągle na nogach, ciągle w ruchu, w biegu, ale można nieźle zarobić, a poza tym w każdym zawodzie trzeba radzić sobie z gadającymi bzdury ludźmi, nie ma wyjątków. Jednak z drugiej strony, może on patrzył na to wszystko inaczej niż ona. Był wrażliwy i bardzo dumny. Łatwo było go urazić, a ludzie często mają pierdolca na punkcie żarcia, które zamawiają w restauracji. Faktycznie, trudno jej było wyobrazić go sobie w białym fartuchu i z bloczkiem w ręce.

- Więc może spróbowałbyś uczyć dzieci, dawać korki z matematyki albo innych przedmiotów...

- Nie mam samochodu - odparł. - Zresztą nie mam pojęcia, jak można zaklepać sobie taką robotę...

- Przykleić ogłoszenia na tablicach w supermarketach i takich tam miejscach?

Musnął pocałunkiem jej włosy. Chwilę siedzieli w milczeniu, przytuleni do siebie.

- Znajdę coś - powiedział.

I zaczął szukać. Zaznaczał ogłoszenia w gazecie. Spróbował nawet pracować jako kelner. Okazało się, że miał rację - wytrzymał mniej więcej pół dnia. Wreszcie pewnego dnia wróciła z sesji i zastała pusty dom. Pusta kuchnia - nie ma Michaela, siekającego rybę łby ostrym tasakiem na okrągłej desce. Pusty pokój - ani śladu Michaela, malującego przy oknie, boso, w poplamionych farbą białych spodniach i starym T - shircie. Minęła siedemnasta, osiemnasta, dziewiętnasta. Josie zaczęła się już niepokoić, kiedy stanął w drzwiach z wielkim bukietem słoneczników w ręku, chwycił

ją w ramiona i okręcił wysoko nad podłogą, gniotąc przy okazji kwiaty.

- Co się stało? Myślałam, że wpadłeś pod samochód!

- Załatwiłem sobie pracę - oświadczył, opuszczając ją na niebieską kanapę.

- Jako kto?

Nie odpowiedział. Usiadł przy fortepianie i zaczął grać jakąś jazzującą melodię, prawą ręką prowadząc melodię, drugą wybijając rytm.

- Michael, naprawdę dostałeś pracę? Jaką?

- Och, nie mów do mnie Michael, dobrze? Od dziś możesz nazywać mnie Senor Music - szybko przeszedł na prostego walca. - Senor Music, nauczyciel w szkole tańca Senora Reynaldo, w Escuela de Baile. Pracuję cztery popołudnia w tygodniu, od tres do seis y media, w soboty de diez a cuatro. Możliwe, że gram jak ostatnia noga, ale nie trzeba mieć umiejętności Serkina, żeby brzdąkać melodyjki dla grupy pięciolatków. Poza tym Senor Reynaldo od razu docenił artystyczny wygląd Senora Music...

Senor Reynaldo ze swoją armią maluchów, uczący dzieci skakać z gracją przez obręcze ozdobione kwiatami z jedwabiu... Michael uwielbiał tę pracę i był bardzo dumny z czeków drukowanych na liliowym papierze, które dostawał od Senora Reynaldo. Zaczął nawet uważać, że małe dzieci wcale nie są takie straszne, jakby się mogło wydawać. Banda brzydkich kaczątek, marzących o Jeziorze łabędzim... To były dobre, wspaniałe dni. Michael pracował i malował, ona jeździła na sesje i grała w kręconych przez studentów filmach. Rankami kochali się, w weekendy polowali na ciekawe rzeczy na garażowych wyprzedazach i wymianach. Nocami, otuleni kołdrą, czytali książki. The Pillow Book of Sei Shonagon. Ballada o więzieniu w Reading. Proza transsyberyjskiej kolei i

małej Żanny z Francji. Michael czytał jej na głos, a ona leżała z głową opartą na jego piersi.

Na Święto Dziękczynienia upiekł kaczkę. Josie pierwszy raz w życiu miała powody, aby czuć wdzięczność do Boga czy losu. Ich jedyne Boże Narodzenie, choinka w salonie, ozdobiona własnoręcznie wykonanymi zabawkami, małe świece w cynowych świecznikach. Prezenty. Josie podarowała Michaelowi koszulę z białego muślinu, którą uszyła dla niego w tajemnicy, oraz francuski składany nożyk z drewnianą rękojeścią, z ostrzem dość długim, aby bez trudu pokroić nim salami i chleb, bo przecież wybierali się do Francji. On dał jej miniaturową, ręcznie zszywaną książeczkę, której stronie odsłaniały fałdy pochwy, zatytułowaną Twoja książeczka oraz małą niebieską gitarę.

Mała książeczka, którą przeczytał od deski do deski, zdanie po zdaniu, bardzo uważnie, w skupieniu, zupełnie jak ciotka Cora Biblię... A jednak napisał: „Kochaliśmy się... Prawda?”.

Valium zaczęło działać. Josie opuściła oparcie, myśląc o tym, jak było pięknie, zanim wszystko się popieprzyło. Bo po pewnym czasie Michael zaczął wpatrywać się w okno, w widoczne za nim usiane plamami światła wzgórze z takim wyrazem twarzy, jakby był matematykiem, który zmagają się z wypisanym na tablicy zadaniem. Jego mózg przerabiał jakieś problemy, rozgniatał je, miażdżył jak ziarna w młynku, a ona widziała tylko plamy światła, zakreślające kształt wzgórze. Lubiała wyobrażać sobie, że przebywa w jakimś obcym, egzotycznym mieście, na przykład w Stambule czy Kairze, otoczona jazgotem nieznanymi słów, zapachami pieprzu i innych przypraw sprzedawanych na targu, papryki, kminku i cynamonu, ulicami, wśród których błądzi się tak długo, dopóki nie zapłaci się jakiemuś małemu łobuziakowi za wyprowadzenie z labiryntu, minaretami strzelistymi jak

cyprysy. Wyobrażała sobie to wszystko, oddychając słonawym zapachem jego włosów i starając się nie patrzeć, jak bezmyślnie szarpie nitki wystające z przetartego obicia fotela i dopija wino tylko po to, aby po chwili znowu napęłnić szklanekę.

Prawdziwy świat zniknął powoli, ciężkie zasłony odcinały ich od jeszcze niedawno wyraźnie widocznej twarzy Boga.

Przez uchylone okno samochodu wpadły do środka fragmenty melodii, już mniej rozbite. Josie rozpoznała jedno z intermezzów Brahmsa. Prosta rzecz, jedna z tych, którą uczniowie ćwiczą na lekcjach gry na fortepianie, lecz Josie wiedziała, że był to także jeden z ostatnich utworów napisanych przez Brahmsa. Michael grał go pięknie, ale nigdy w taki sposób. Meredith grała bardzo powoli, wolniej niż początkujący pianista, lecz każda nuta zawierała w sobie tak nieskończoną głębię smutku, że trudno było wytrzymać ten ciężar. Josie właśnie coś takiego chciała usłyszeć. Było to kompletne przeciwieństwo tamtego pojemnika z krabami, który widziała w sklepie. Meredith grała, jakby chciała powiedzieć, że człowiek może zacząć od nowa układać sobie rzeczy, które przydarzają mu się na tym świecie, że mimo smutku i rozpaczki istnieją także takie pojęcia jak porządek, spokój ducha i bezpieczeństwo. Josie czuła, że mogłaby spędzić pod domem Meredith całą noc, słuchając muzyki, która wybiegała spod jej palców. Zachciało jej się spać. Tak długo nie spała, nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz zamknęła oczy i odpłynęła w sen. Zawsze budziła się, zanim zdążyła zapaść w miękki, ciepły puch, lecz tutaj, pod tym domem, zasłuchana w tę muzykę, wreszcie poczuła ulgę. Zwinęła się w kłębek na siedzeniu i wpadła w nicość.

9. MEREDITH

Stukanie w okno wyrwało ją ze snu, ktoś świecił jej w oczy mocną latarką. Z całej siły zacisnęła powieki i podniosła rękę, osłaniając twarz przed ciepłym promieniem światła. Człowiek za oknem samochodu zapukał jeszcze raz, na migi pokazał Josie, żeby opuściła szybę. W lusterku dostrzegła stojący z tyłu czarno - biały wóz. Kurwa. Kurwa kurwa kurwa. Z trudem wyczołgała się na powierzchnię przyćmionej prochami i alkoholem przytomności. Gdy powoli opuszczała szybę, serce waliło jej jak szalone. Gliniarz schylił się, wetknął głowę w okno.

- Ma pani tutaj coś do roboty, panienko?

Josie zamrugwała, oblizwała wargi, suche i sztywne, jakby były z gumy. Przez moment wydawało jej się, że jakimś cudem uda jej się wydusić spomiędzy nich jakąś wymówkę. Kurwa.

- To dom mojej matki - powiedziała w końcu. - Pokłóciłyśmy się, dlatego siedzę tutaj.

- Aha...

Oślepiąca promieniem światła z latarki, nie widziała jego twarzy, bez trudu wychwyciła jednak nutę ironii, brzmiącą w jego głosie. Mądrała.

- Nie mieszkaś tutaj, dziewczyno.

Cholerni gliniarze. Nie spotkała dotąd takiego, któremu nie wydawałoby się, że jest szalenie zabawny i inteligentny. Wskazała palcem oświetlone okno.

- Mieszkam...

Skierował latarkę na tylne siedzenie, na moment zatrzymał krążek światła na butelce wódki i znowu przeniósł go na twarz Josie.

- Mogę zobaczyć pani prawo jazdy?

Niemożliwe, kurwa... Dlaczego właśnie teraz? Nic mu nie pokazuj, usłyszała głos ojca. Nie prowadziłaś przecież, do

cholery! Po co mu twoje prawo jazdy? Nie złapał cię na drodze, więc nie popełniłaś żadnego wykroczenia.

- Ja tylko siedzę sobie w samochodzie.

Po długiej chwili opuścił latarkę. Do kurtki przypięty miał identyfikator z podstawowymi danymi. Ignaciewicz, przeczytała Josie. Ciekawe, jak on to wymawia. Był koło trzydziestki, miał czarne wąsy, które bez przerwy skubał, popatrując to na dom, to na Josie. Nie wierzył jej, było to oczywiste. Wiedział, że to nie jej dzielnica, że przyjechała tu w jakimś celu i że ten cel z całą pewnością nie mieści się w granicach akceptacji stróżów prawa.

- Lepiej idź do mamusi i pogódź się z nią - pokiwał głową. - Nie powinnaś siedzieć całkiem sama. Wiezorami kręcą się tu różne nieciekawe typy...

Na przykład ona, Josie, rzecz jasna. Cholera.

- Nie jestem jeszcze gotowa, żeby porozmawiać z matką. Nie mogę tutaj po prostu chwilę posiedzieć?

Obserwował ją uważnie, spod oka. Dupek.

- To nie jest dobre wyjście. Proponuję dwa rozwiązania, do wyboru - albo pójdziesz do domu, i na twoim miejscu właśnie tak bym postąpił, albo włączysz silnik tego wraka i spłyniesz stąd...

A wtedy on zatrzyma ją dwie przecznice dalej i wlepi jej mandat. Kurewsko wesołe święta...

Darzyła gliniarzy czystą nienawiścią Tyrellów. Wiecznie się we wszystko wtrącali i odstawiali ważniaków, wyłącznie dlatego, że nosili odznaki. Miała wielką ochotę napluć mu w twarz, ale nie była aż taka głupia, nawet w tym stanie. Pen powiedziałaaby temu Ignaciewiczowi, żeby pocałował ją w jej meksykańską dupę, lecz Josie miała już na koncie parę mandatów i najzwyczajniej w świecie bała się, że gliniarz ją zaaresztuje. Kurwa... Co by powiedziała, gdyby naprawdę była córką Meredith? Co powiedziałaaby Michael?

- Cóż, skoro składa mi pan tak czarująco uprzejmą propozycję, postaram się nie sprawić panu zawodu...

Chwyciła torbę i wysiadła z samochodu. Starła się iść idealnie prosto i nie potykać się, powtarzała sobie, że jest absolutnie trzeźwa. Czowała wzrok gliniarza na swoich plecach, wiedziała, że tylko czeka, by coś spieprzyła. Pomógł jej dotyk zimnego powietrza na policzkach, zimna nienawiść i świadomość, że ten pieprzony gnojek uważa, iż wie o niej wszystko, skąd się wzięła i dlaczego tu przyjechała. Jesteś jak plakat reklamowy, Josie Tyrell. Nienawidziła tego, że ludzie identyfikują ją jednym taksującym spojrzeniem. Podniosła łańcuch, który zamykał furtkę tylko na niby. I jak się to panu podoba, panie policjancie, pomyślała. Jeżeli to nie mój dom, to skąd wiem, co zrobić z tym łańcuchem? Przeszła przez furtkę i zamknęła ją za sobą.

Powietrze pachniało świeżością. Mogłaby usiąść sobie pod tym drzewem i trochę posiedzieć, chyba nikomu by to nie przeszkadzało, ale czuła, że ten fiut wciąż ją obserwuje i czeka, nie musiała nawet się oglądać. Szła dalej, uważając, żeby przypadkiem nie potknąć się na ułożonej w jodełkę brukowej kostce. Głęboko odetchnęła gęstym aromatem sosnowej żywicy. Szła powoli, z każdym krokiem coraz bardziej wczuwała się w rolę. Była bohaterką jakiegoś filmu, dziewczyną, która wraca do domu po kłótni z matką i waha się, czy ustąpić, czy nie. Lubiła grać, czasami wychodziło jej to całkiem nieźle. Serce biło jej mocno i głucho, klatka piersiowa przypominała opustoszały plac albo ulicę.

Przystanąła pod drzwiami. Nie miała pojęcia, jak to się właściwie stało, że znalazła się w takiej sytuacji. Boże, mogła przecież pojechać do klubu Black Flag, zatopić się w tłumie i upić do nieprzytomności... Wytarła dłonie o spodnie. Serce dudniło jej w uszach. Gorączkowo starała się wymyślić, co

powie Meredith. Podniosła rękę i zapukała w drzwi ciężką kołatką.

Muzyka ucichła. Zapadła cisza, zapaliło się światło na ganku. Josie spróbowała wziąć się w garść. Czuła, że ktoś patrzy na nią przez judasza pod malutkim okratowanym okienkiem. W końcu drzwi się otworzyły, pasmo światła wybiegło na zewnątrz zza sylwetki w szlafroku z pikowanej satyny. Josie zmusiła się, żeby podnieść oczy i spojrzeć na kobietę. Meredith wyglądała jak duch. Twarz miała bladą i wymizerowaną, szerokie wargi bez śladu szminki, ciemne włosy ściągnięte w kucyk, oczy puste i wypalone w posiniałej skórze. Jej brwi ściągnęły się w jedną linię, jakby była krótkowidzem i nie mogła rozpoznać Josie.

- Co ty tu robisz? - zapytała.

Co tu robiła? Josie westchnęła ciężko i wyznała prawdę.

- Nie miałam dokąd pójść.

Była przekonana, że Meredith zatrzaśnie jej drzwi przed nosem, ale nic takiego się nie stało. Odwróciła się i odeszła w głąb domu, zostawiając otwarte drzwi i wlokąc za sobą po podłodze połę satynowego szlafroka.

I nagle Josie uświadomiła sobie, że właśnie tutaj chce być, że od samego początku pragnęła znaleźć się właśnie tu, w tym domu. Pokazała gliniarzowi środkowy palec i zamknęła drzwi za sobą.

Meredith przeszła przez hol i posiłkując się żelazną poręczą, pokonała trzy stopnie prowadzące do salonu, gdzie w kominku żarzyło się drewno. Wypastowana podłoga lśniła jak powierzchnia jakiegoś mrocznego jeziora, na przykład Loch Ness. Michael mówił, że Loch Ness ma ponad trzysta metrów głębokości. Josie weszła w ciemną wodę, idąc za Meredith, która co parę kroków potykała się w swoim gwiazdorskim szlafroku i wyglądała jak Myrna Loy w filmie sprzed kilkudziesięciu lat. Meredith chwyciła pękaty kieliszek i

podeszła do barku, żeby nalać sobie sporą porcję alkoholu. Nie zapytała Josie, czy ona także miałaby ochotę się napić, zresztą Josie wcale się tego nie spodziewała.

- Wszyscy wreszcie się wynieśli - mruknęła Meredith. - Już po wszystkim, dzięki Bogu. W końcu zostawili mnie samą, ha...

Jej głos załamywał się, ale nadal miał głęboką barwę i piękną melodię.

- Tylu przyjaciół... - ciągnęła. - Zapomniałam, jak on się nazywa, ten mój bliski znajomy... Zabawne, jak to się wszystko układa...

Ale wcale nie brzmiało to zabawnie. Josie nie była pewna, czy Meredith się spodziewa, że ona będzie jej słuchać, czy też mówi sama do siebie i do kryształowego kieliszka.

- Przykro nam, tak nam przykro... Współczujemy ci z powodu tej strasznej straty... A potem wychodzą i wracają do swoich domów, jedzą kolację, myją zęby, idą spać...

- Tak, wiem...

Josie zatrzymała się na najwyższym schodku. Nie wiedziała, czy może podejść bliżej. Jak Meredith zareaguje na jej obecność? Może gdzieś między butelkami schowała pistolet albo korkociąg z ostrym szpikulcem... Jednak świadomość ewentualnego zagrożenia okazała się słabsza niż dziwne uczucie spokoju, które nagle ją ogarnęło. Dobrze było mieć kogoś, kto do niej mówił, kogoś, kto wiedział, co się zdarzyło.

- Słyszałam, jak grałaś...

- To był Brahms. - Meredith postawiła kieliszek na wieku klawiatury, usiadła przy fortepianie i zagrała kilka pierwszych nut utworu, który Josie słyszała z ulicy. - Kiedy Michaela bolała głowa, zawsze musiałam mu grać Brahmsa, właśnie to...

Dziwne, że był ktoś jeszcze, kto tyle o nim wiedział... Gdy dopadała go migrena, czasami cały dzień leżał w sypialni, przy zasłoniętym oknie, popijając napój Mountain Dew, ponieważ wierzył, że kofeina łagodzi ból głowy, słuchając jednego intermezza Brahmsa po drugim...

Meredith pochyliła się nad klawiaturą. Grała spokojnie, łagodnie. Była pijana, ale każdy i tak zorientowałby się od razu, że jest wielką pianistką. Josie słyszała jej nagrania Liszta, wypełniające cały pokój rozmigotanymi dźwiękami, jej szybkiego, skoczego Szopena, jej skomplikowanego, usianego pauzami Schonberga. Brahmsa grała tak, jakby myślała, zastanawiała się, wybiegała myślą do przodu, wracała i powtarzała pewne motywy. Było to przedziwnie osobiste doświadczenie. Josie pomyślała o gondolach, tych długich, czarnych, podobnych do fortepianu łodziach, przedzierających się przez gęstą mgłę w wąskich kanałach. Plusk wody. Przyciszone głosy, domy po obu stronach. Michael zamierzał zabrać ją do Wenecji. Cóż, wyglądało na to, że chyba pojedą tam w innym życiu, następnym razem...

- Mój ojciec też je miewał. Takie ciężkie migreny...

Ojciec Meredith, kompozytor, który zastrzelił się w tym domu. Przyjechał aż z Wiednia po to, aby strzelić sobie w łeb w Los Angeles. Uciekł przed nazistami, lecz nie przed sobą. Michael nie zdążył go poznać, ale opowiadał o nim w taki sposób, jakby spędzili razem mnóstwo czasu. Meredith pochyliła się nad klawiszami z modlitewnym nabożeństwem. Jej oczy tak bardzo przypominały oczy Michaela... Miecze w kartach tarota. Josie wiedziała, jak mocno nienawidziła jej Meredith, ale czuła, że są sobie dziwnie bliskie. Bliskie, chociaż dalekie, jak Ziemia i Księżyc.

Oparła ciężką głowę o chłodny, gładki tynk ściany przy schodach. Wciąż nie miała odwagi wejść do salonu. Słuchając utworu Brahmsa w wykonaniu Meredith, czuła się tak, jakby

ktoś masował jej skronie i kark. Ten ktoś i Brahms, obaj pogrążeni w modlitwie o porządek, o ład, o wiarę.

Na rzeźbionym parapecie nad kominkiem w migotliwym świetle połyskiwały piękne przedmioty. Zegar w kopule ze szkła, porcelanowy wielbłąd, rzeczy, które powinny znajdować się w muzeum, w szklanej klatce. Meredith wiedziała, co robić z pięknymi rzeczami, rzeczami, których Josie bałaby się nawet dotknąć, nie mówiąc już o ich posiadaniu. Josie pomyślała nagle, że powinna była zostawić Michaela tutaj, nie zabierać go z tego domu, zostawić w spokoju głuchoniemą matkę i jej syna. Może Meredith udałoby się zapewnić mu bezpieczeństwo i teraz żyłby spokojnie tutaj jak w wyłożonej aksamitem szkatułce. Dlaczego nie mogłaś zostawić go w spokoju? Josie sama już nie wiedziała, czy to pytanie zadawała jej Meredith, kiedy do niej wydzwaniała, czy głos w jej własnej głowie.

Kiedy doszła do wniosku, że Meredith zatraciła się w Brahmsie i zupełnie o niej zapomniała, cicho zeszła po stopniach do salonu i po starych, poprzecieranych dywanach zbliżyła się do kominka. Nie chciała siadać, ponieważ uznała, że wskazywałoby to na zażyłe stosunki z panią domu. Zaczęła przyglądać się bibelotom ustawionym na parapecie. Mała terakotowa główka młodej kobiety, a może chłopca, ze stłuczonym jednym policzkiem i częścią nosa. Złoty zegar w szklanej osłonie, z wahadłem w kształcie harfy, zupełnie martwy. Obok rzeźbiona kula z kości słoniowej na podstawce z różanego drewna. Jedna kula w drugiej, i jeszcze jedna, wszystkie rzeźbione, mnóstwo kwiatów, postaci, domków i ścieżek, cały świat w kuli wielkości główki kapusty. Podniosła kulę, pewna, że Meredith zaraz każe odstawić ją na miejsce, lecz ta nie zwracała na nią najmniejszej uwagi, tak samo jak ignorowałaby psa, który wchodzi do pokoju, obwąchuje krzesło i stół i znowu wybiega.

Josie obróciła białą kulę w swoich dziecinnych dłoniach. Zdawała sobie sprawę, że trzyma stary, cenny przedmiot.

- Często się zastanawiałam... - odezwała się Meredith. - Jak ci się wydaje, co widział w tobie mój syn?

Josie drgnęła, zaskoczona, że Meredith jednak o niej nie zapomniła. Zwykle wyczuwała skupioną na sobie uwagę innych, ale Meredith ani na moment nie oderwała wzroku od klawiatury i swoich dłoni. Od swoich długich palców, takich samych jak palce Michaela. Jak to możliwe, żeby ktoś tak podobny do Michaela czuł do niej tak wielką nienawiść... Za każdym razem, gdy Josie spoglądała na Meredith, widziała Michaela.

Często się zastanawiałam... Josie nie miała cienia wątpliwości, że zadane przez Meredith pytanie miało ją urazić, obrazić, ale poczuła tylko lekkie ukłucie żalu, lekkie uderzenie. Wiedziała, że jest brudna i zaniedbana, była świadoma, że Meredith z obrzydzeniem patrzy na jej zniszczoną kurtkę, tlenione włosy w stylu punk i na twarz o rysach Tyrellów. Kiedy indziej może natychmiast by się rozplakała, ale nie dzisiaj.

- Chyba mu się wydawało, że może mnie uratować. I że jeżeli mu się uda, to może uratuje także i siebie...

Niech Meredith obraża ją do woli, co tam... Josie dotarła już do spokojnego miejsca, do zacisznego schronienia, czuła się trochę tak, jakby była małą kulą z kości słoniowej, ukrytą w pięciu większych. Powody różnych zachowań nakładały się jeden na drugi - nie wiadomo, która kula była prawdziwa, która pierwsza, najważniejsza...

- Rycerz Galahad... - powiedziała Meredith. - Wcale mnie to nie dziwi...

Dźwięki, które wydobywały się spod jej palców, były wolne od głębokiej goryczy, brzmiące w jej głosie.

- Tak, mógł sobie coś takiego wyobrazić...

- Mógł - przytaknęła Josie.
- Nikt go nie znał. Tylko ty.

Meredith wypowiedziała te słowa z ogromnym rozczarowaniem.

A jednak taka była prawda. Nikt go nie znał, tylko ona, Josie. Jak ciężko musi być jego matce przyjąć do wiadomości, że Michael był tak wielkim samotnikiem... Meredith dorastała wśród sławnych ludzi, widywała Billy'ego Wildera, Isherwooda, Gretę Garbo, i o to teraz musiała pogodzić się z tym, że jej syn nie żyje, a ona może tylko porozmawiać o nim z Josie Tyrell, jedyną osobą, która naprawdę go znała. Pod tym względem tworzyły dwuosobowe społeczeństwo, dwuosobowy naród, złożony z Josie Tyrell i Meredith Loewy.

Tropiąc palcami cudownie wyrzeźbione detale, Josie myślała o długich latach, w czasie których ktoś wydobywał ze słoniowego kła miniaturowe, delikatne figurki, tworząc przedmiot tak niezwykłej urody. Kupcy o wystających brzuchach. Książęta. Kobiety w długich szatach, z wachlarzami, warstwa pod warstwą. Po co robić coś, co jest właściwie zupełnie pozbawione celu i tak cenne? Wszystkie piękne rzeczy są właśnie takie. Technienie prawdziwego świata, piękno, które mówi, że istnieje coś więcej niż tylko jeden pieprzony przedmiot w drugim. Uświadomienie sobie, że warto na chwilę zatrzymać czas, powstrzymać cały ten bezsensowny pęd.

Cisza. Meredith nagle przestała grać. Z trzaskiem opuściła wieko fortepianu i podniosła się ze szklanką w dłoni. Podeszła do białych kanap i wyciągnęła się na jednej, opierając pękata szklankę na brzuchu.

- Opowiadał ci kiedyś o swoim ojcu? - spytała.
- Trochę...
- Wiesz, jak on nazywał Michaela? „Hej, pieszczoszku mamusi”, wołał i rzucał czymś w niego, a Michael prawie

nigdy tego nie łapał... - Meredith się roześmiała. Jej śmiech brzmiał trochę jak szczeknięcie, a trochę jakby zachłysnęła się śliną, jakby ktoś wbił jej nóż między żebra. - Mówił ci, co zrobił Cal, kiedy on miał trzynaście lat?

- Co zrobił? - Josie chciała usłyszeć z ust Meredith historię, która miała trzy różne wersje.

Meredith pociągnęła łyk alkoholu ze szklanki, uniosła głowę tylko na tyle, aby nie wylać go na siebie, i zaraz znowu opadła na poduszkę z frędzlami.

- Jechałam na recital do Nowego Jorku i pomyślałam, że zabiorę ze sobą Michaela, by spotkał się z ojcem, który mieszkał w Village. Cal miał dom przy Bank Street i był wtedy między jednym małżeństwem a drugim, o ile dobrze pamiętam... Nie był to długi okres, Cal zawsze szybko znajdował sobie następną żonę... Tak czy inaczej, Cal miał na biurku piłkę z podpisami wszystkich tych sławnych graczy, Babe Rutha i tak dalej. Gładził ją, kiedy pisał, Freud na pewno byłby zachwycony... No, nieważne. Siedzieliśmy w tym pokoju, rozmawiając o przyszłości Michaela, gdy Calowi nagle strzeliło do głowy, żeby rzucić piłką w naszego syna. „Orientuj się!", krzyknął i piłka trafiła Michaela prosto w czoło. Cal zachował się jak młodociany łobuz, źle wychowany prymityw. Myślałam, że Michael straci przytomność, ale nic mu się nie stało. Wiesz, co zrobił?

Josie wiedziała. To fascynujące słuchać, jak ktoś inny opowiada dobrze znaną jej historię.

- Chwycił piłkę i wyrzucił ją przez okno, wyobrażasz sobie? Babe Ruth i wszystkie te sławy, taplające się w błocie na Bank Street...

Meredith parsknęła śmiechem. Miała piękny uśmiech, w którym odsłaniała duże, proste zęby. Kiedy naprawdę się śmiała, marszczyła nos i zmarszczki w kącikach oczu rozpościerały się wachlarzykami na kościach policzkowych.

- To było fantastyczne... - nie siadając, pociągnęła duży łyk drinka, wytarła rozlany alkohol wierzchem dłoni. - Boże, przeżyłam wtedy jeden z najlepszych dni w całym moim życiu...

Josie przesunęła palcami po miniaturowych rzeźbach w kości słoniowej. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie powinna rzucić kuli w ogień albo przez okno nad fortepianem. Babe Ruth i wszystkie te sławy... Jej nogi powoli się rozgrzewały.

- Skoro tak bardzo go nienawidził, to dlaczego nosił jego marynarkę?

- Przeniesienie indywidualności - odparła niewyraźnie Meredith, zacierając sylaby. - Jak noszenie skóry zwierzęcia, przed którym czujesz lęk...

Znowu przytknęła szklanekę do ust, rozlała alkohol na szlafrok, musiała usiąść i strząsnąć płyn z jedwabnej tkaniny.

- Cal zawsze był o niego potwornie zazdrosny. Był zazdrosny o więź, jaka łączyła mnie z Michaeliem. Nigdy nie chciał dzielić się mną z dzieckiem. Chciał mieć mnie tylko dla siebie, sam był jak duże, rozpuszczone dziecko. Chore, co? Sądził, że będę włóczyć się za nim po świecie, z pietyzmem dźwigając jego maszynę do pisania, zupełnie jakby to był święty Graal...

Jej wąskie, kształtne nozdrza zafalowały lekko niczym poruszony podmuchem wiatru jedwab. Skrzyżowała długie nogi, białe jak marmur, porysowane cieniutkimi błękitnymi żyłkami.

Michael nie miał szans, pomyślała Josie. Nie miał szans z takim ojcem, z taką matką...

Meredith postawiła szklanekę na stole.

- Szkoda, że nie widziałas go, kiedy był dzieckiem, Josie. Ani mnie, ani Calowi nie brakowało inteligencji i zdolności, ale Michael... - Długie dłonie Meredith utworzyły piękny

podwójny wachlarz w powietrzu. - W wieku dwóch lat mówił pełnymi, złożonymi zdaniami. W wieku trzech lat zaczął czytać, gdy skończył pięć, sam uczył się greki z podręcznika. Z podręcznika, rozumiesz? Zostawiał mi karteczki z wiadomościami napisanymi starożytną greką. Musiałam poprosić kogoś z Uniwersytetu Kalifornijskiego, aby je dla mnie przetłumaczył. Okazało się, że były to przepiękne krótkie wierszyki...

Josie zazdrościła Michaelowi, nawet teraz. Zastanawiała się, jak to jest, kiedy ma się matkę, która bez wahania, bez zastanowienia mówi, że ona, jej mąż i dziecko są nieprzeciętnie inteligentni. Kim byłaby ona, Josie, gdyby to ta kobieta była jej matką, a nie biedna Janey Tyrell... Gdyby to był jej dom. Gdyby została wychowana w tym wszystkim. Po prostu nie potrafiła sobie tego wyobrazić ani trochę. Tyrellowie nie byli głupi, ale nie mobilizowali się do umysłowego wysiłku, co to, to nie. Gdy ktoś z rodziny miał błyskotliwy pomysł, inni wyśmiewali go bezlitośnie, więc w końcu wszyscy uczyli się sztuki „nie wychylać się”. W ten sposób Tyrellowie dbali, aby rodzina trzymała się razem, aby nikt nie wymknął się z domowego kręgu. A gdyby Michael przyszedł na świat jako Tyrell? Na pewno utopiliby go po pierwszym pełnym, złożonym zdaniu, które zdołałby wypowiedzieć w wieku dwóch lat. Nie dożyłby etapu pisania wierszyków w starożytnej grece...

- Mówił ci, że nie chciałam posyłać go do szkoły? - spytała Meredith, zapuszczając palec aż na dno szklanki i starannie go oblizując. - Że trzymałam go w domu, pod kluczem, wyłącznie dla siebie?

- Coś w tym rodzaju - mruknęła Josie.

- To nieprawda. - Meredith podwinęła pod siebie nogi. - To on błagał mnie, żeby nie wysyłać go do szkoły. Dopiero później zmienił wersję i wykreował mnie na czarny charakter.

Michael taki już był, często obwiniał mnie o to, czego sam bał się zrobić...

Josie potrząsnęła kulą, warstwy rzeźb obróciły się, kwiaty, dróżki i damy w powłóczystych szatach zawirowały. Jednak wewnętrzna, najmniejsza kula składała się z samych przerażających obrazów - stos martwych ciał, jeździec miażdżący kopytami rumaka wieśniaka na polu. Ta kula ukryta była najgłębiej, jakby z intencją, aby nabywca nie zwrócił na nią uwagi. Wszechogarniająca skłonność do mordy, prawie erotyczne okrucieństwo, fascynacja okropnościami, przyglądanie się rybom, pożerającym mniejsze rybki... Josie pośpiesznie odłożyła kulę na podstawkę z różanego drewna. Nagle wyobraziła sobie rzeźbiarza, zaśmiewającego się do rozpuku nad swoim małym sekretem...

- Josie? - Meredith wyciągnęła w jej stronę pustą szklankę. - Per favore?

Josie utkwiała martwy wzrok w ręce ze szklanką. Czyżby Meredith wyobrażała sobie, że ona będzie jej usługiwać? Dlatego że była nikiem, że pochodziła z białej biedoty? Zmarszczyła brwi, lecz w tej samej chwili dotarło do niej, że Meredith w taki sam sposób zwróciłaby się do Michaela, że w tym momencie potraktowała ją jak syna. Uświadomiła leż sobie, że Michael na pewno by się nie wahał, więc wyjęła ciężką szklankę z dłoni Meredith i podeszła do barku.

- Tego z jodłową gałązką - odezwała się Meredith. Josie naląła do szklanki sporą porcję bursztynowego płynu, pachnącego jak pogorzeliśko.

- Z lodem? - zapytała.

- Nein, Fraulein.

Josie bez zaproszenia naląła sobie wódki Stolicznaja, która nie miała w ogóle żadnego zapachu. Podała Meredith jej szklankę i usiadła na drugiej kanapie, nie przejmując się, że jej

spodnie zabrudzą białe obicie z adamaszku. Kobieta straciła syna, więc dlaczego miałyby przejmować się jakąś kanapą?

- Otrzymałam wspaniałe wykształcenie. - Meredith znowu się położyła, z drinkiem na brzuchu i ramieniem podłożonym pod głowę. Ostrożnie upiła jeden łyżeczek i postawiła szklanekę na stoliku do kawy. - Wszędzie go ze sobą zabierałam. Nie masz pojęcia, jak cholernie niewygodny może być grzbiet wielbłąda po trzech dniach jazdy... - potarła nos dłonią. - Jego pasją były ruiny, a ja nigdy nie odmawiałam niczego temu dziecku. Nigdy. Wiesz, że Fenicjanie składali bogom dzieci w ofierze? W Kartaginie archeolodzy znaleźli szczątki dzieci w murach świątyni. Tyle zapamiętałam z tego wszystkiego - że wynaleźli fiolet i żywcem zamurowywali dzieci... - Wyjęła ligninową chusteczkę z kieszeni i wydmuchała nos. - Zasłużyli sobie na to, aby ich cywilizacja przepadła...

Dzieci w murach świątyni. Dziadkowie na dywanie...

- Miał też okres grecki. Kiedy na rok zaproszono mnie do Londynu, Michael niemal zamieszkał w British Museum. Czerwone sylwetki, czarne sylwetki, malarz taki, śmaki... - poprawiła swoje długie ciało na kanapie, jedną rękę opuściła na podłogę, zerknęła na Josie, żeby sprawdzić, czy słucha. - Ceramika. Wazy. Michael i facet z działu ceramiki byli jak papużki nierozłączki... Jak on się nazywał? David. Davis... Och, nieważne! Boże, najprawdziwszy w świecie brytyjski naukowiec... Oddychał przez usta, bo zatoki miał wiecznie zapchane, nosił torbiaste sztruksy, które zwisały mu na tyłku. Raz zaprosił mnie na randkę, masz pojęcie? - roześmiała się, kompletnie pijana, pozwalając sobie na moment zapomnieć o śmierci Michaela. - Dziękowałam Bogu, kiedy Michael wszedł w okres renesansu. Mając dziewięć lat, umiał bezbłędnie rozróżniać szczegóły architektoniczne, wiedział, jak budowali kopuły, kto odlewał odrzwia, jaką metodą, na czyje zamówienie i na czyją cześć... - podparła się na łokciu,

żeby sięgnąć po szklankę. - Czytał Dantego po włosku, w żadnej szkole nie osiągnąłby takich wyników... - pociągnęła duży łyk. - Nie miał prawa narzekać. Takiego dziecka nie wysyła się do szkoły, ot tak, po prostu. Jego ojciec nie potrafił tego zrozumieć. „Powinien przebywać wśród chłopców w swoim wieku, Meredith!” - powiedziała to, doskonale naśladowując głos Cala. - Bez przerwy mi to powtarzał. I w końcu zgodziłam się, kompletnie zgłupiałam i wysłałam go do szkoły, jak najwspanialsze z całego stada cielę do rzeźni. Michael pisał do mnie listy i dawał je ukradkiem do wysłania dozorczy, bo szkoła cenzurowała pocztę uczniów, zupełnie jak w więzieniu. Paru chłopców zamknęło go na półtora dnia w pomieszczeniu, gdzie znajdował się piec i bojler, ale oczywiście nikt mi o tym nie powiedział. I tak zakończył się ten eksperyment. Zabrałam go stamtąd, chyba nie muszę ci mówić...

Michael opisywał jej tę scenę. On sam, ofiara bezlitosnych, głupich kolegów, wychowawca klasy, który łąił uczniów laską, sadystyczny nauczyciel wychowania fizycznego... Michael we flanelowej piżamie i Meredith w długim futrze, która wpadła do szkoły jak burza, jak mitologiczna niedźwiedzica, która ratuje swoje małe z opresji. Nietrudno było wyobrazić sobie, jak Meredith wyprowadza ubranego w piżamę Michaela i wsadza go do wynajętej limuzyny, zostawiając za sobą w mroźnym powietrzu smugę niezwyklej perfum.

Ale teraz Meredith z zagubionym wyrazem twarzy wpatrywała się w swojego drinka.

- Myślisz, że popełniłam błąd, Josie? Że powinnam była go namówić, by jednak tam został?

Podniosła zielone oczy na Josie, a jej spojrzenie było tak podobne do spojrzenia Michaela, że dziewczynie dreszcz przebiegł po plecach.

- Że ostatecznie wyszedłby z takiej szkoły silniejszy? Jego ojciec mówił, że wszyscy chłopcy przechodzą przez takie doświadczenia i nic im się nie dzieje... Że zawsze dręczą się nawzajem i walczą...

Była to ostatnia rzecz, jakiej Josie mogłaby się spodziewać. Meredith pytała ją o zdanie... Pytała, czy to ona ponosiła winę za problemy Michaela. Josie napiła się bezbarwnej stolicznej z nadzieją, że wódka roztopi lód w jej żyłach. Teraz mogłaby wymierzyć cios, powiedzieć Meredith, że wszystko to jej wina, lecz nagle odkryła, że nie stać ją na to, aby wpędzić matkę Michaela w jeszcze głębsze przygnębienie, w jeszcze gorszą rozpacz. Co z tego, że Meredith jej groziła, że próbowała udusić ją na pogrzebie Michaela, a później przejechać... Michael był martwy. Co niby mogła zyskać, jeszcze bardziej unieszczęśliwiając jego matkę?

- Tylko wariat zostawiłby go w takim miejscu - powiedziała. - Wariat albo sadysta.

Cisza ułożyła się między nimi jak ciepła, mięsista tkanina. Obie napiły się, ogień w kominku przygasł. Może właśnie taka była ostateczna prawda o świecie - nie ma żadnych odpowiedzi, a mądrość i doświadczenie liczą się mniej więcej tak samo jak rzut kostką.

- Dorzuc do ognia, dobrze? - odezwała się Meredith. - Zaraz zgaśnie...

Josie znalazła kudłaty kawałek drewna w metalowym koszu, przesunęła metalowy ekran i wrzuciła drewno do środka, poprawiła pogrzebaczem. Małe kudełki zapaliły się, zadymiły, coś trzasnęło i cały kawałek zajął się pomarańczowym płomieniem.

- Jeszcze jeden - poleciała Meredith. - Strasznie mi zimno.

Josie dorzuciła drugi kawałek drewna i ogień zgasł. Struga dymu wypłynęła z kominka, z oczu Josie popłynęły łzy.

- Popchnij je dalej, są za blisko.

Josie otarła oczy i pogrzebaczem przepchnęła drewno do tyłu.

- A teraz rozdziel je odrobinę, zrób między nimi trochę miejsca, ze trzy centymetry, żeby ogień chwycił...

Josie spełniła polecenie. Dym znowu się podniósł, lecz tym razem został w kominku, a zaraz potem płomyki rozpoczęły wspinaczkę po drewnie. Josie zapatrzyła się w lizące brunatną korę żółte i pomarańczowe języki. Meredith wyrażała się bardzo precyzyjnie, jak Michael. Jak Michael. Nagle poczuła się tak, jakby płomienie lizały ją od środka. Nie, wcale nie jak Michael! Wcale nie. Jego matka była wcielonym diabłem, nie można było jej ufać. Josie musiała bardzo się pilnować, żeby nie ulec fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa. Miała dosyć problemów, nie potrzebowała nowych. Pociągnęła duży łyk wódki, wylała resztę do kominka. Ogień skoczył w górę, zupełnie jak wtedy, kiedy jej ojciec polewał podpałkę pod grillem specjalnym płynem.

- Muszę już iść.

- Nie idź! - zaprotestowała szybko Meredith. - Zostań! Możesz przespać się w... - przerwała - gdziekolwiek... - dokończyła.

Josie uświadomiła sobie, że Meredith chciała powiedzieć: „W pokoju Michaela”. Jak w normalnej sytuacji, kiedy zaprasza się kogoś, aby przenocował w wolnym pokoju, którego właściciela akurat nie ma, bo wyjechał. Spojrzała na Meredith, która usiłowała się podnieść, oprzeć na poduszce, i pomyślała o zwłokach wewnątrz kuli z kości słoniowej. W tym domu było pełno duchów. W tym biednym, przeklętym domu... Nie tu było jej miejsce. Wstała, wyprostowała się. Musiała iść. Nie mogłaby zasnąć tutaj, w tym domu ludzie umierali, tracili rozum. Stawali się tacy jak ta szalona suka.

- Nie idź, Josie, proszę. Jeszcze zabijesz kogoś po drodze, zniszczysz komuś święta...

- Ho, ho, ho... - wymamrotała Josie.

Była bardzo pijana, ale jeszcze mogła się ruszać, więc powinna wyjść stąd jak najszybciej. Przeszła przez pokój, chwytając się mebli, krok za krokiem, krzesło, fotel, stojąca lampa...

- Nie bądź taka, Josie. Nie idź.

- Rudolf, Błyskawica... - mamrotała Josie.

Kilka razy zatoczyła się na otwartej przestrzeni, zacisnęła palce na poręczy schodów, przystanąła, zachwiała się. Musiała wyjść, uciekać. Czowała się jak zamknięta w tej bajce, której bohater spędza gdzieś noc i rano już nie może opuścić tego miejsca, zostaje tam na zawsze.

- Boże, jesteś tak samo nieznośna jak on...

Josie jakimś cudem pokonała schody i hol, dotarła do wejścia, otworzyła drzwi. Zimna ciemność pachniała roślinami. Szła wykładaną płytkami ścieżką i miała wrażenie, że powoli budzi się ze snu. W domu Meredith było bardzo ciepło, w kominku płonął ogień, blask płomieni ogrzewał ściany i meble. Na dworze było chłodno i ciemno, nie paliła się ani jedna latarnia. Josie potknęła się, upadła na wyciągnięte w obronnym geście ręce, usiadła. Nie tyle usiadła, co bezwładnie klapnęła na ziemię. Pomyślała, że jest jej zimno, ale była to właściwie myśl, nie uczucie. Spojrzała na swoje dłonie, tylko trochę jaśniejsze od panującej wokół ciemności, lecz nie mogła dostrzec, czy je podrapała, czy nie. Miała wrażenie, że jej ciało należy do kogoś innego, wcale nie do niej. Pomacała ręką dookoła w poszukiwaniu torby, ale nie mogła jej znaleźć i nie miała siły podnieść się na czworaki, więc zwinęła się w kłębek na ścieżce, oparła policzek na rękawie skórzanej kurtki i straciła przytomność.

10. Później

Jej głowa dotykała wgłębienia w tapicerce, czuła pod policzkiem twarde nici, którymi pikowano obicie. Przykryta była kocem z jakiejś kudłatej wełny. Skórzana kanapa, taka z guzikami. Otworzyła oczy. Szparki między opuchniętymi powiekami dopuściły do źrenic odrobinę rozproszonego światła, przedostającego się do pokoju spod ciężkich zasłon i zza ich brzegów. Geometryczne figury na podłodze. Orientalny dywan. Buty Josie, stojące przy kanapie, równiutko. Smród. Josie ostrożnie wyjrzała za krawędź kanapy, ostrożnie, ponieważ jej głowa była niczym urządzenie do wyłapywania nawet najmniejszych wstrząsów sejsmicznych, i zobaczyła stojący na podłodze kosz na śmieci. Usiadła powoli, bardzo powoli, zakrztusiła się smrodem i prawie biegiem dopadła okna. Sięgnęła pod zasłonę, znalazła metalową klamkę, otworzyła okno, łapczywie wciągnęła świeże powietrze. Wróciła na kanapę, opadła na nią, słaba jak dziecko. Nie miała pojęcia, która może być godzina. Pamiętała, że wyszła z domu Meredith, ale zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, jak i kiedy wróciła. Wszystkie te sławy, taplające się w błocie na Bank Street. Myślisz, że popełniłam błąd, Josie? Zamurowane dzieci.

Drzwi się otworzyły. Josie usłyszała dźwięki fortepianu dobiegające z salonu. Meredith już wstała. Do pokoju weszła pokojówka z tacą, postawiła ją na stoliku, rozsunała zasłony. Sztywno wyprostowana sylwetka rozmyła się w gwałtownym, atomowym błysku światła, zniknęła. Kobieta schyliła się, z obojętnym wyrazem twarzy podniosła kosz na śmieci i odwróciła się, nie obdarzając Josie ani jednym spojrzeniem.

- Bardzo przepraszam... - wychrypiała dziewczyna.

Służąca bez słowa zamknęła za sobą drzwi.

Josie czuła się jak robak, ale była zadowolona, że pokojówka zabrała kosz i że to, co przyniosła, nie wydziela

żadnego zapachu. Kiedy zamykała oczy, jej mózg wirował jak na karuzeli, a gdy je otwierała, miała wrażenie, że głowa pęka jej na drobniutkie kawałki. Masz dwie możliwości, pomyślała. Przez otwarte okno do pokoju wpadały czyste, krótkie odgłosy. Szszszt, szszst, szszst, szszst, szszszszt... - zraszacz do trawników. Klakson ciężarówki. Która może być godzina? Wargi miała wyschnięte, spękane, w ustach gorzki smak. Dotarła do stolika, spojrzała na tacę. Szklanka z kostkami lodu, puszka seven up, miseczka z dwiema tabletkami aspiryny. Kilka okrągłych krakersów, dwie grzanki, stojące pionowo, jak płyty na stojaku. Wszystko to na obszytej koronką serwetce.

Josie patrzyła na tacę i starała się zrozumieć. Michael był martwy. A tutaj ta porcelana. I niski wazonik, pełen malutkich kwiatków. Zaczęła płakać. Jak to możliwe, że na świecie były tak piękne rzeczy, skoro on nie żył?

Otworzyła puszkę, która wydała gniewne syknięcie, napiła się. Jej żołądek skurczył się i podskoczył. Skubnęła krążek krakersa. Pokojówka wiedziała, co przynieść osobie w takim stanie, to nie ulegało wątpliwości. Na pewno miała już do czynienia z podobnymi przypadkami. Josie przełknęła dwie aspiryny, odczekała chwilę, niepewna, czy zdecydują się pozostać w jej żołądku. Ciekawe, czy Meredith miała zwyczaj wypijać o jeden drink za dużo... Punkt tuż nad łukiem brwiowym Josie pulsował, skakał jak mały potwór, który szykuje się do wyjścia na zewnątrz. Nagle przypomniała sobie obrazy Michaela, rozmaite rzeczy, wypełzające z jego twarzy.

Byłby wściekły, gdyby wiedział, że ona jest tutaj, w jego domu. Że go szpieguje. Pozwala Meredith przedstawiać jej własną wersję jego życia. Inne wersje jego ulubionych historii. Że pozwala Meredith drzeć na strzępy jego portret, ten, który Josie trzymała w swojej głowie. Na przykład tę historię o szkole... O tym, że Meredith nie lubiła, kiedy wychodził do

świata, do ludzi. Josie przycisnęła zimną puszkę do czoła. Pulsujący potworek nadal usiłował wydostać się na zewnątrz. Z drugiej strony całkiem możliwe, że to Meredith kłamie. Całkiem możliwe. Myślisz, że popełniłam błąd, Josie? Ale kto mógłby mieć za złe takie kłamstwa? Jej syn umarł, odszedł na zawsze. Nikt nie lubi być czarnym charakterem.

Zresztą Josie i tak nie miała żadnej szansy na poznanie prawdy. Bo prawda była ukryta między nimi. Gdyby Michael nagle się tu zjawił, każde obstawałoby przy swojej wersji, przerzucaliby się oskarżeniami jak piłką. Meredith powiedziała, że Michael taki właśnie był, że często obarczał ją winą za rzeczy, których się bał. Tak, akurat to było prawdą. Czasami mówił o czymś z wielkim przekonaniem, a potem zaprzeczał, że w ogóle coś takiego powiedział. Zdarzało się nawet, że wkładał własne słowa w usta rozmówcy i zajmował przeciwne stanowisko.

Wzięła do ust kęs suchej grzanki, połknęła dwie aspiryny, zaczęła żuć następny kawałek grzanki. Posiłek w legowisku wroga. Michael opowiadał jej kiedyś o porwanej dziewczynie, która zjadła sześć nasionek granatu w podziemnej krainie i potem musiała tam zostać jako królowa zmarłych. Josie odłożyła grzankę, lecz zaraz zrobiło jej się głupio i znowu po nią sięgnęła. Była dziewczyną, która zje grzankę z przykrytej koronkową serwetą tacy, chociaż jej ukochany popełnił samobójstwo... W głębi duszy była zadowolona, że ma ochotę jeść, że jakaś część jej organizmu nadal działa.

Wypiła prawie cały napój z puszkii, zaczęła na relaksujące czknięcie, posmarowała masłem kawałek grzanki i zjadła powoli. Z parapetu nad kominkiem nieco wyłupiastymi zielonymi oczami przyglądał jej się porcelanowy jamnik.

- Na co się tak gapisz, kurwa? - warknęła.

W ustach czuła smak błota, udeptanego wieloma tysiącami buciorów. Znalazła torbę, zapaliła papierosa, strząsnęła popiół

do emaliowanej popielniczki ze złotymi literami ML, splecionymi w węzeł na dnie. Mauritz Loewy. Jego biurko. Wszystkie te rzędy inkrustowanych szufladek, podobne do sekretów w ludzkim umyśle. Pociągnęła za jedną z malutkich gałek, ale szufladka ani drgnęła. Było zamknięte, ale wiem, gdzie Meredith trzyma klucz. Meredith przeżyła to dwa razy - najpierw samobójstwo popełnił jej ojciec, potem syn. Nic dziwnego, że chciała, aby Josie z nią została.

Josie otworzyła obite krwistoczerwoną skórą drzwi. Z salonu słyhać było muzykę, dostrzegła krawędź olbrzymiego fortepianu. Słońce wpadało przez okno, bardziej złociste niż białe, co znaczyło, że jest później, niż myślała. Meredith zasługiwała na podziw, bez dwóch zdań. Jej syn był martwy, a ona, zamiast szukać ratunku w łóżku i kroplówce z morfiny, potrafiła zwrócić się ku swojej muzyce. Josie żałowała, że sama nie ma czegoś podobnego. Michael miał malarstwo, ale ostatecznie nie ufał nawet swojej pasji, która okazała się źródłem bólu, nie pocieszenia. A Josie nie miała nic, tylko notes z umówionymi sesjami, kuferek z kosmetykami do makijażu i własne kościste ciało.

Musiała iść do łazienki. Kibelek był w dawnym pokoju Michaela, tej bibliotece mnicha. Szybko weszła po kilku kamiennych schodkach. Zawahała się z zimną gałką z grubo rżniętego szkła w ręku, chwilę nasłuchiwała. Meredith grała dalej, pokojówki nie było w polu widzenia. Szybko weszła do środka. Ten ostry, żywiczny zapach... Mieszanka lnianego oleju, terpentyny, sosny i naftaliny. Wciągnęła głęboko powietrze. Co za wspaniały zapach... W pokoju wszystko wyglądało jak dawniej. Szary koc gładko rozpostarty na wąskim metalowym łóżku, Dziewica Maryja, prostymi pociągnięciami pędzla namalowana na drewnianej desce z łukowatym wykrojem u góry... Po co żydowskiemu

chłopakowi Dziewica Maryja? Luki na półkach po książkach, które Michael przewiózł do ich domku na Lemoyne.

Poczuła dziwny, bezcielesny opór, zupełnie jakby pokój nie był zadowolony z jej obecności. Prawie słyszała, jak drobiny kurzu wznoszą się w powietrze i znowu opadają. Michael, przepraszam... Proszę, uwierz mi. Żadnej odpowiedzi, tylko smutny uśmiech jego meksykańskiej Dziewicy. Josie skorzystała z toalety, umyła ręce i twarz, wytarła się zakurzonym, nieświeżym ręcznikiem. Nie takim frotte, ale płóciennym, tylko odrobinę większym od ścierki do naczyń. Musiał wisieć tu od czasu jego odejścia, od półtora roku. Meredith nie zmieniła go na świeży. Kiedyś Josie pewnie by pomyślała, że to szaleństwo tak długo zostawiać używany ręcznik, ale teraz wydawało jej się to absolutnie zrozumiałe. Sama także do tej pory nie tknęła jego rzeczy i nie mogła spać w ich łóżku. Może minie rok, a może więcej, zanim zdobędzie się na pranie koszul Michaela.

Jego stara szczoteczka do zębów stała w kubku nad umywalką. Josie miała wielką ochotę umyć zęby, lecz nie potrafiła się zmusić, żeby użyć jego szczoteczki. Michael odszedł, ale jego rzeczy nadal należały do niego. Nabrała na palec trochę proszku do zębów i potarła nim wnętrze ust. Mdły smak mięty przypominał jej Michaela, podobnie jak kawałek mydła do golenia w szklaneczce na brzegu umywalki. Mydło miało sosnowy zapach i produkowane było przez angielską firmę Lightfoot, Michael zamawiał je w Londynie. Co z ciebie byłby za mnich... Chyba nikt nie kochał staroświeckich rzeczy, rzeczy z minionej epoki, tak jak on. Proszek do mycia zębów, męskie koszule nocne, prawidła do butów, płócienne chusteczki do nosa. Co rano golił się tym mydłem, pędzlem z sierści borsuka i prostą brzytwą z rączką z szylkretu. Przechylając głowę na bok, golił skórę pod linią szczęki brzytwą tak ostrą, że można by poderżnąć nią sobie

gardło. Josie pamiętała, jak przyglądała się, kiedy golił się jej ojciec, także brzytwą. Glenn Tyrell robił to szybkimi, gniewnymi pociągnięciami, jakby nie chciał pozwolić sobie na możliwość odnalezienia przyjemności w tym prostym działaniu. Twardy facet. Michael, przeciwnie, golił się powoli, z rozkoszą, jego długie palce przeistaczały golenie w sztukę. Każdym ruchem demonstrował swoje umiłowanie schludności. Dwoma palcami unosił nos, żeby dokładnie oczyścić z piany górną wargę, wyciągał w górę szyję i delikatnie jeździł ostrzem po węzłach, ścięgnach i żyłach. Zawsze patrzyła na to zafascynowana, z przerażeniem, bo przecież brzytwa mogła tak łatwo przeciąć skórę i żyły... A jednak ostatecznie wybrał inny sposób.

W jego małym lustrze nad umywalką zobaczyła swoją zmęczoną twarz. Brudne jasne włosy sterczały we wszystkie strony po spędzonej na kanapie nocy, cienie do powiek rozmazały się i utworzyły ciemne plamy wokół oczu. Zgasiła światło i wróciła do jego pokoju, do Dziewicy Maryi, która czuwała nad łóżkiem. Wyobraziła sobie Michaela leżącego na wąskim materacu i modlącego się, aby Bóg uwolnił go od tych wszystkich błogosławieństw. Głuchoniemy, kaleka, który grał na fortepianie i w tenisa. Dotknęła naciągniętego na łóżku koca. Ciężar jego śmierci przygniatał jej serce jak stare żelazko, takie, jakiego nadal używała babcia Ida, stawiając je na piecu, żeby dobrze się rozgrzało.

Nie podobało jej się, że zagląda w zakamarki jego życia, że szpieguje, podgląda, ale ukrywał przed nią tyle rzeczy, a ona pragnęła poznać wszystko, co go dotyczyło, była głodna jego bliskości. W najwyższej szufladzie komody gnieździły się jedwabne skarpetki i krawaty starannie pozwijane w krążki, podobne do kwiatów. Przesunęła dłonią w powietrzu tuż nad nimi, nie chcąc zakłócać tego doskonałego porządku. Pudełko ze spinkami do mankietów oraz okrągłymi małymi

guziczkami ze spodami takimi jak w kolczykach, cieniutkimi zatyczkami z białego plastiku, Josie nie miała zielonego pojęcia, do czego mogłyby służyć. Otworzyła drzwi do garderoby Michaela i zamarła, zaskoczona i przerażona.

Garderoba była równie duża jak pokój, który dzieliła z siostrami w Bakersfield. Pod ścianami wisiały garnitury i perfekcyjnie wyprasowane koszule z długim rękawem. Zapach cedru i naftalinowych kulek uderzył jej do głowy. Delikatnie przejechała palcami po rękawach koszul, jakby trącała struny harfy. Nie mogła uwierzyć, że miał aż tyle ubrań. Ona widywała go tylko w dżinsowych koszulach, czasami wkładał swoją jedyną jedwabną, oliwkowozieloną, kupioną w ciuchlandzie. Tu miał garnitury - w jodełkę, czarne, jasnoszare, tweedowe, nawet smoking z błyszczącym kołnierzem, granatowe marynarki ze złotymi guzikami, jedną z białego jedwabiu, jedną skórzaną. W ich wspólnym życiu nosił tylko jedną marynarkę, tę, która należała do jego ojca, ojca, który nazwał go mięczakiem. Josie nie potrafiła wyobrazić sobie Michaela w tych ubraniach. Jej Michael uwielbiał ciuchlandy i garażowe wyprzedaje, kiedyś kupił sobie garnitur za trzy dolary, choć nigdy go nie nosił. W garderobie nie było tweedowej marynarki Cala. Meredith pewnie wkładała ją, kiedy była sama, w każdym razie Josie tak właśnie by robiła. Ciekawe, czy Meredith wiedziała, że w kieszeni marynarki jest małe, jednorazowe opakowanie musztardy, które kiedyś kupili sobie na piknik na szczycie Góry Dantego.

Buty zmarłych są najbardziej puste ze wszystkich pustych rzeczy na świecie, są najsmutniejszymi butami, jakie można sobie wyobrazić. Wypolerowane na wysoki połysk buty, czarne, z cienkimi podszewkami i sznurowadłami, do biznesowych garniturów, ze skóry w małe dziurki, oczywiście nie na wylot. Czy to możliwe, że Michael nosił

takie buty? Kim byłeś, Michaelu? Nie mogę uwierzyć, że w ogóle cię nie znałam... W kącie rakiety i kijki opierały się o torbę do golfa, obok stały trzy pary nart i wędka. Ale w La Boheme nie było miejsca na narty. W stawie w parku Echo nie było ryb.

Które życie Michaela było prawdziwe? To, w którym miał buty o skórzanych podeszwach i marynarki ze złotymi guzikami? Czy jednak ich wspólne życie, ich Montmartre w biednym domku na zboczu wzgórza?

- Josie!

Ostry półszept, zupełnie jakby ktoś przywoływał do porządku psa, który wbrew wcześniejszym zakazom zakradł się tam, gdzie nie powinien nawet zaglądać. Jezu Chryste... Josie wyłączyła światło w garderobie i wróciła do pokoju. Meredith stała w progu.

Josie dałaby wszystko, co miała, żeby tylko udało jej się nagle zniknąć. Po prostu zniknąć, rozwiać się w powietrzu. Meredith wyglądała lepiej niż poprzedniego wieczoru, umyła włosy, ale się nie umalowała, a beżowy sweter tylko podkreślał bladość twarzy. Wargi miała mocno zaciśnięte, pobielale z wściekłości.

- Co robiłaś w jego garderobie?! Nie powinnaś tu wchodzić! Kto ci pozwolił?!

- Ja... Ja musiałam... Musiałam skorzystać z toalety... Brzmiało to słabo i nieprzekonywająco nawet w jej uszach.

Garderoba to garderoba, łazienka to łazienka. Jej policzki oblał gorący rumieniec, czuła się tak, jakby ktoś przyłapał ją z buteleczką lakieru do paznokci w kieszeni przy wyjściu z działu kosmetyków u Woolwortha.

- Na dole też jest łazienka - Meredith odwróciła się bokiem, żeby Josie mogła przejść.

I wtedy dziewczyna pojęła, że Meredith nie jest w stanie wejść do pokoju syna.

- Przepraszam - mruknęła. - Nie wiedziałam...

Kłamczucha. Doskonale wiedziała, że na dole była łazienka.

- Nie powinno się chodzić samopas po cudzych domach - oznajmiła Meredith. - Świadczy to o złych manierach.

Na wypadek, gdybyś nie wiedziała, moja droga... Josie stała na środku pokoju Michaela, wyczerpana, skatowana bólem głowy, zawstydzona, upokorzona.

- Trafisz sama do wyjścia, prawda? - rzuciła Meredith, a jej nos wydał się Josie równie ostry jak głos. - Mam spotkanie o drugiej...

Odwróciła się i odeszła korytarzem, z wysoko podniesioną głową, podobna do wielkich aktorek z lat trzydziestych, Normy Shearer albo Joan Crawford, zostawiając za sobą w powietrzu smugę mrocznych, ciężkich perfum.

11. CMENTARZ

Zimne powietrze spływało z osnutych mgłą wzgórz, które po listopadowych deszczach znowu się zazieleniły. Josie była wykończona po pięciogodzinnej sesji w Pasadenie, gdzie pozowała grupie przyszłych rzeźbiarzy, ale jej nerwy wibrowały jak za mocno napięte struny tandetnej gitary. Dziękowała Bogu za chmury, za brak ostrego światła. W radiu zespół B - 52 śpiewał piosenkę Planet Claire: „Jeździła plymouthem satellite, pędziła szybciej niż dźwięk”. Josie bardzo lubiła tę grupę, lecz dziś ich radość życia budziła w niej chęć, by wypuścić z rąk kierownicę przed najbliższym zakrętem. Włączyła magnetofon, kasetę z etiudami Debussy'ego. Płynny sznureczek delikatnie wibrujących fraz ukoił ją asymetrycznym rozmarzeniem. Nie przeszkadzało jej, że było to nagranie Meredith Loewy. Ostatnio rozpaczliwie chwytła się każdego źdźbła piękna. Niektórzy ludzie uważali, że piękno to bzdura, taki tam plasterek przyklejony nad ciemną przepaścią, lecz Josie mocno wierzyła, że bardzo się mylą. Zgadzała się z Lolą Lolą, która twierdziła, że piękno ma znaczenie, że jest to jedyna rzecz, której można się trzymać, kiedy wszystko inne obraca się w gówno.

Nie powinna była myszkować po domu Meredith, dlaczego to zrobiła, kurwa... Trzeba było wejść do salonu i przywitać się. Przynajmniej raz mogła zachować się jak należy. Czego właściwie szukała w pokoju Michaela, co sobie wyobrażała? Chciała popatrzeć na krawaty chłopaka, który się zabił? Nie o to chodziło, prawda? Nie o to chodziło... I czego się dowiedziała? Odkryła, że wszystko, co o nim wiedziała, było łgarstwem. A jedyna osoba, która naprawdę go znała, zyskała potwierdzenie swojej opinii o Josie, głupiej suce z białej biedoty, takiej, co to rzyga do kosza na śmieci i traci przytomność na ścieżce przed domem. I myszkuje po domach ludzi, choć nikt jej nie zapraszał. Me powinien zamienić z

tobą ani jednego zdania... Poprzedniego wieczoru wyciągnęła do Meredith przyjazną dłoń, zrozumiała, że może są sobie nawzajem potrzebne. Trafisz sama do wyjścia, prawda? Słowa matki Michaela i ton jej głosu nadal piekły jak świeża rana.

Podniosła wzrok i zorientowała się, że jest już na tyłach Griffith Park. Popatrzyła na zielone wzgórza, tu i ówdzie wylaniające się z wieczornej mgły. Przegapiła zjazd z szosy i wjechała na teren wielkiego miasta umarłych. Jezu Chryste... Forest Lawn, przeczytała na tablicy z boku. Mount Sinai. Od dnia pogrzebu nie była tu ani razu, jakby to, że nie widzi jego grobu, mogło zaprzeczyć rzeczywistości. Dlaczego? Co za różnica, co pomyśli sobie pieprzona Meredith Loewy, co ją to obchodzi? Tu leżał Michael, ofiara ming. Przecięła dwa pasma i zjechała Forest Lawn Drive, przez bramę Sinai, obok długiego budynku, gdzie odbyło się nabożeństwo żałobne i gdzie Cal został wyrzucony z rodzinnej ławki. Minęła Sąd Wolności. W jakich sprawach wydawał wyroki ten sąd? Czy był sądem miłosiernym, czy sprawiedliwym?

Kiedy zaparkowała swój marny samochód z marnym tłumikiem, park znowu opieczętowała cisza. Obcasy Josie zapadły w zbyt obficie podlewaną trawę. Przez szachownicę mosiężnych tabliczek dotarła do świątyni z piaskowca, białego grobowca rodziny Loewy. Drzewa nisko opuściły ociężałe gałęzie, ze stoickim spokojem oplakiwały zmarłych. Ciemne sosny i cedry himalajskie rozumiały Josie, towarzyszyły jej w smutku.

Jego grób. To nie był sen ani wytwór wyobraźni. Nadal był tutaj, chociaż na kamieniu nagrobnym nie umieszczono jeszcze osobnej tabliczki. Krawędzie między kwadratami trawy już zarastały, zielone źdźbła zacierały czarne linie. Jeszcze parę tygodni i grób Michaela stopi się z całą resztą. We wbitym w trawę wazonie kwitły duże, szarofioletowe róże, smutne, piękne, jak z epoki wiktoriańskiej. Tak

doskonale i nikomu niepotrzebne, idealne dla nieżyjącego chłopaka. Na pewno przyniosła je Meredith, któż inny wyszukałby takie kwiaty? Josie schyliła się i powąchała je, zaskoczona intensywnością zapachu, wcale nie różanego, lecz korzennego, mocnego aromatu grzanego wina.

Ziemia zmarłych, ze smutnymi różami, mgłą o piątej po południu. Nowa kraina. Kiedyś czytali razem książkę dla dzieci, opowieść o złym księciu, który zimną, lodowatą dłonią zatrzymał wszystkie zegary w swoim zamku. Josie nigdy nie przyszło do głowy, że złym księciem była śmierć, lecz teraz wreszcie to do niej dotarło. Kraina zmarłych nie podlegała żadnym prawom, nie uznawała żadnych zmian, żyjącym pozostawały tylko rytuały, kiry o zachodzie słońca, pewien piknikowy stolik na szczycie Góry Dantego, Proza transsyberyjskiej kolei, Louis Armstrong i Hot Five.

Usiadła na ławce, zapaliła papierosa dla Michaela, żeby mógł poczuć tytoniowy dym, gdziekolwiek był. Obiecała sobie, że nie będzie płakać, ale rozplakała się, nie zdołała się opanować. Nie mogła uwierzyć, że człowiek może aż tak mocno szlochać. Teraz płakała przy byle okazji, z byle powodu. Wystarczyło, że nie może znaleźć adresu, pod który miała pojechać na sesję, że widzi gołębie, mieszkające w cylindrze po czerwonym świetle przy Alvarado i Beverly albo pantofel z wysokim obcasem, zwisający ze skrzynki na listy.

Shirley K. mówiła, że po przejściu na drugą stronę zmarli wszystko rozumieją i niczego już nie mają nikomu za złe. Josie miała nadzieję, że tak jest naprawdę, ale skłonność do wybaczenia raczej nie mieściła się w repertuarze Michaela, który nigdy nie umiał postawić się w sytuacji drugiego człowieka. Nigdy nikomu niczego nie wybaczał, a zwłaszcza sobie.

- Nie wierzysz we mnie, w moją pracę - powiedział Josie.

Jej, właśnie jej. Jej, dziewczynie, która zasuwała na trzech etatach, odkąd on rzucił pracę u Reynalda. Ale nie wierzyła w niego.

- Podkopujesz moją pewność siebie...

Mówił to wszystko, leżąc na kanapie, kiedy ona wychodziła do trzeciej pracy tego dnia. Po tym, jak powiedział jej, że Senor Music ma już po dziurki w nosie rozwrzeszczanych bachorów, grania piosenki Row, Row, Row Your Boat i bycia obłapywanym przez Senora Reynaldo. Znaczyło to, że teraz ona będzie musiała zarabiać na utrzymanie ich obojga, na czynsz, gaz i materiały malarskie. Jeżeli to nie stanowiło dowodu jej wiary w niego, to niby co mogło go przekonać? Ale on poddawał ją testowi, tak jak trąca się zęb z dziurą w środku, żeby sprawdzić, czy zaboli. Nie mógł jej wybaczyć, że stała się dla niego wsparciem, a z drugiej strony była mu zwyczajnie potrzebna. Nie miała mu tego za złe, nie rozumiała tylko, dlaczego jej dokuczają i źle ją traktuje. Przestał po nią sięgać, krzywił się, kiedy go dotykała. Co takiego zrobiła, czym zasłużyła na tak surową karę?

Stała nad jego grobem. Ziemia pachniała wilgocią, jak w dniu pogrzebu, gdy Josie z różą w ręku patrzyła prosto w ciemną dziurę. Przełknęła ślinę. Jeszcze dziś czuła ból w miejscach, gdzie palce Meredith zacisnęły się na jej gardle. Wszędzie dookoła niej, w ciasno upchanych grobach, oznaczonych mosiężnymi tabliczkami, zmarli mamrotali w swoich kwaterach. Wszyscy byli w jakiś sposób niezrozumiani albo źle zrozumiani, stopniowo zapominani, podczas gdy pamięć o ich życiu poddawano umiejętnemu retuszowi, aby dopasować wspomnienia do bardziej strawnej wersji rzeczywistości. Skomplikowana, trudna kobieta nagle stawała się dobrą żoną i matką. Zgorzkniały furjat przybierał oblicze łagodnego, cierpliwego męża. Josie nienawidziła powtarzanych historii, nie znosiła remake'ów filmów. Michael

mówił, że historia istnieje tylko w ludzkim umyśle, natomiast w kontakcie ze światem zewnętrznym stale poddawana jest poprawkom.

Będziesz musiała pamiętać za nas oboje.

Będzie musiała? Kto tak powiedział? Kto? Może ona także zdecyduje się na wysiadkę i wtedy nie zostanie już nikt, kto by pamiętał, do cholery.

Przecież nigdy nie opowiedział jej swojej prawdziwej historii! Ani słowa o superintelektualistkach z Harvardu, które pieprzył, chociaż jej pozwolił wierzyć, że jest prawiczką! Ani słowa, że to on nie chciał chodzić do szkoły z internatem, że Meredith miała z tym niewiele wspólnego! Ani słowa, że był tres sportif, bardzo usportowiony, że był cenionym sportowcem z kijami golfowymi i trzema parami nart! Co niby miała pamiętać, skoro tyle ukrywał, tak bardzo zmienił swoją historię? I niby jak miała go zrozumieć teraz, kiedy miała przed sobą wszystkie te nowe fragmenty układanki? Najwyraźniej wcale nie chciał, żeby go zrozumiała! I może dlatego nie potrafiła mu pomóc... Każdy mężczyzna zabija to, co kocha - tak twierdził Oscar Wilde.

- Dlaczego każdy mężczyzna zabija to, co kocha? - zapytała go tamtego dnia na szczycie Góry Dantego.

Było gorąco, nad miastem wisiał smog, słońce codziennie zachodziło odrobinę wcześniej, powietrze przesycone było ciężkim zapachem liści wawrzynu, gęstym, zielonym aromatem, tak charakterystycznym dla Kalifornii, który mieszał się z zapachem wody w małej oazie. Leżeli na piknikowych stolikach, w cieniu eukaliptusów, pod olbrzymimi, czterometrowymi agawami, mięsistymi, niebieskoszarymi i pokrytymi kolcami. Prehistoryczne drzewa patrzyły na nich z góry, a Michael szkicował Josie, której cieniutka, miękka sukienka falowała wokół ud. Rysował i czytał na głos Balladę o więzieniu w Reading, malutką

książeczkę z sową na okładce, z kartkami cienkimi jak skórka cebuli, opowieść o człowieku, który idzie na swoją egzekucję. Ten wers ciągle się powtarzał.

- Nie rozumiem... - powiedziała Josie. - Dlaczego ludzie zabijają to, co kochają?

Miękkość jego głosu... Jeszcze dziś, pod himalajskimi cedrami, ze stopami zanurzonymi w trawie rosnącej nad jego milczącym ciałem, miała w uszach jego głos, wyraźny, lecz tak miękki i cichy, że gdy mówił, trzeba było przerwać wykonywaną w danym momencie czynność i uważnie nadstawić ucha. Wtedy odpowiedział jej bardzo cicho, więc minęło parę sekund, zanim zarejestrowała jego słowa.

- Zabijają swoją miłość, zanim ona zabije ich.

Ale mylił się. Mylił się, mylił się, mylił się. Siedząc na ławce przed grobem rodziny Loewy, nie miała cienia wątpliwości, że człowiek najzupełniej przypadkowo zabija to, co kocha. Wydaje mu się, że robi coś innego. Na przykład ktoś wypuszcza z rąk ulubiony wazon podczas jego mycia. Dzwoni telefon i właściciel upuszcza wazon na ziemię. I wazon rozbija się na drobne kawałki, chociaż właścicielowi cały czas bardzo zależało, aby nie stało się z nim nic złego.

Otoczyła ramionami szczupłą talię, czując, jak jej brutalnie pusty żołądek kurczy się jeszcze bardziej. Nie mogła teraz jeść, nie była w stanie znieść jakiegokolwiek obciążenia własnego ciała. Me ma nawet ciała, jest taka biedna... Wiele by dała, aby w jej przypadku było to prawdą. Była zmęczona włóceniem swego ciała po mieście. Wszystkie zegary stanęły, nadal tykał tylko zegar w jej ciele. Zabiła to, co kochała, a sama wciąż tu była, dalej musiała jeść, spać i płacić za mieszkanie. Nie miała pojęcia, czym teraz jest, może bytem rzeczywistym, a może takim, który wyśnił Michael.

Pod górę z wysiłkiem wspinał się stary człowiek, otyły i zasapany. Zatrzymał się nad grobem przed Sądem Wolności,

Josie słyszała jego świszczący, szybki oddech. Nie miał kwiatów, a jego puste dłonie sprawiały wrażenie nienaturalnie dużych. Podniósł uschnięty liść z ziemi i z roztargnieniem gniótł go w palcach, nie odrywając wzroku od grobu. Josie wydawało się, że powiedział coś do niej.

- Słucham?

- Cuchnie.

- Słucham? - powtórzyła, niepewna, czy dobrze zrozumiała.

- Życie cuchnie. - Wyjął chusteczkę z kieszeni kurtki, wydmuchał w nią nos, złożył i schował. - Jest jak ustawiona gra, w której zawsze wygrywa kasyno. Warto o tym pamiętać. Ludzie tyle gadają o przyrodzie, o tym, jaka jest wspaniała i tak dalej. Natura to nie przelewki, wierz mi. Tutaj leży moja żona. Byliśmy razem pięćdziesiąt trzy lata. Umarła na raka trzustki.

Josie kiwnęła głową. Miesiąc temu byłaby zażenowana, że musi słuchać jego zwierzeń, lecz teraz czuła bliską więź, łączącą ją z tym człowiekiem. Stała się obywatelką nowej krainy, której nigdy wcześniej nie odwiedzała, o której słyszała tylko plotki. Przez tę krainę biegła szeroka, niewidzialna droga, jej granice obejmowały cały świat, zajmowały przestrzeń świata i przybierały jego kształt, ale poza tym wszystko było tu zupełnie inaczej. Jej nowa kraina miała inną atmosferę, każdy oddech przychodził tu człowiekowi z trudem, a ciało było boleśnie ciężkie, ciągnęło w dół jak siła ciężenia na Jowiszu. W obserwatorium astronomicznym była sala, w której ustawiono wagi wskazujące, jak zmienia się ciężar ciała człowieka na różnych planetach. Na Jowiszu Josie ważyłaby sto pięćdziesiąt kilo, więc chyba prawie nie mogłaby chodzić ani nawet stać. Nowy świat był właśnie taki.

Spojrzała na starego mężczyznę, który w gęstniejącym zmroku wciąż wpatrywał się w grób żony. Pięćdziesiąt trzy lata z jedną osobą.

- Pięćdziesiąt trzy lata to naprawdę długo - odezwała się.

- Nie powinienem mówić tak do młodej osoby - powiedział. Jego oczy, osłonięte okrągłymi okularami, patrzące spod daszku czapki w szkocką kratę, przypominały oczy sowy. - Ale życie to ustawiona gra, słowo daję. Pluję na to wszystko.

I rzeczywiście splunął na gładko przystrzyżoną trawę.

Josie zadrzała, ciaśniej otuliła się żółtym futerkiem. Szalowy kołnierz obramowywał jej drobną twarz. Nie mogła oderwać wzroku od srebrzystych róż.

- Mój chłopak się zabił...

Słowa zawisły w powietrzu, nietknięte przez wiatr ani wodę. Stary człowiek podrapał się po karku, spychając czapkę na czoło.

- Trudna sprawa - powiedział. - Nie mam żadnych gotowych odpowiedzi... - postukał gumową podeszwą brązowego buta o ziemię. - Wiesz, gdy moja żona szła do szpitala, przygotowała mi jedzenie na cały miesiąc, zapakowała posiłki do plastikowych pojemników i włożyła do zamrażarki. Wszystkie opisała - „czwartek”, „piątek”, „sobota”... - wyjął chusteczkę i wytarł oczy, nie zdejmując okularów. - Nie mogę tego jeść, chodzę do Burger Kinga...

- To bardzo niezdrowo. - Josie wyobraziła sobie, jak którejś nocy starszy pan umiera na atak serca wywołany niewłaściwą dietą.

Wyglądało na to, że jego zmarła żona także miała taką wizję, skoro mimo śmiertelnej choroby przed pójściem do szpitala ugotowała mu te wszystkie posiłki.

- Nie mogę spać w nocy - ciągnął. - Schodzę do baru Gardena i gram do wschodu słońca w pan. Potem wracam do

domu i zasypiam. Nie jestem w stanie znieść tej cholernej ciszy...

Kraina, w której zegary przestały tykać... Trwająca całą noc nieznośna nieobecność...

- Nigdy nie grałam w pan.

- To gra, która ciągnie się bez końca, ale mnie właśnie to najbardziej się w niej podoba. Mają także inne gry, same chińskie, bo to chiński bar. Kręcą się tam różni wariaci, ale ja zawsze gram w pan.

Josie mimo woli pomyślała, że jej rozmówca na pewno bardzo przypadłby do gustu Michaelowi. Michael uwielbiał gawędzić ze zwykłymi ludźmi, po prostu gawędzić. Czuł się wtedy zwyczajnym człowiekiem, wydawało mu się, że nawiązuje bliższy kontakt z ludźmi, że jednak nie jest aż tak wyobcowany, jak sądził.

- Lubiliśmy co jakiś czas wyskoczyć do Vegas, ja i Dotty. Zwykle zatrzymywaliśmy się w hotelu Caesar, bo podawali tam wspaniałe drugie śniadania... - mężczyzna uśmiechnął się, poprawił opadające sztruksy. - Mieli telefony w każdym pokoju, nawet w kibelku. Dotty uwielbiała dzwonić stamtąd do dzieci... Zgadnijcie, gdzie jesteśmy, mówiła zawsze...

Josie także się uśmiechnęła na myśl o swoim ojcu, który pewnie zachowywałby się podobnie. Nie miała cienia wątpliwości, że zadzwoniłby do niej z toalety w modnym, drogim hotelu i kazał zgadywać, skąd telefonuje.

- Moi rodzice pobrali się w Las Vegas...

- Tak, mają tam mnóstwo takich niby - kaplic. No i oczywiście wszyscy grają bez umiaru: „Czujesz, że szczęście ci dzisiaj sprzyja? Dalej, kup parę żetonów i weź ślub!” - roześmiał się, pokręcił głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że w takim miejscu małżeństwa zawierają tylko szaleńcy. - Nie, naturalnie nie ma w tym nic złego... Dotty uwielbiała blackjacka. Zawsze przegrywała, ale strasznie

lubiła po prostu grać. Mówiła, że kiedy gra, czuje się jak James Bond. Codziennie ustalała, ile może przegrać, sto dolarów albo dwieście... Boże, moja Dotty, nawet przegrywając, bawiła się lepiej niż większość ludzi, którzy wygrywają...

Może właśnie na tym polegała tajemnica... Kasyno zawsze wygrywa, ale ty czujesz się jak James Bond i świetnie się bawisz, przegrywając swoje dwie setki... Grasz i cieszysz się grą, zamiast siedzieć przy oknie i wpatrywać się w coś, co do złudzenia przypomina obrazy Boscha, i myśleć o tym, że musisz, musisz wygrać, bo jeśli nie wygrasz, to skonasz z rozpaczy...

Stary człowiek stał nieruchomo, za wzrokiem utkwionym w zielony koc, pod którym leżała jego żona.

- Raz przyszła do mnie, już po śmierci, wiesz? Pomyślisz sobie, że mam nie po kolei w głowie, ale widziałem ją. Była w sypialni, stała w nogach łóżka. Wyglądała jak zaraz po naszym ślubie, w Chicago... Jej ojciec miał ciężarówkę, przewoził wódkę dla miejscowego przemytnika. Dotty miała na sobie tę niebieską sukienkę, którą nosiła w tamtym czasie, a jej włosy znowu były ciemne. Była taka piękna... I powiedziała: „Morty, Morty, widziałam moją mamę i Artiego Cohena"... Artie Cohen to taki chłopak z sąsiedztwa, który wpadł pod tramwaj i zginął... Nie myślałem o nim z sześćdziesiąt lat...

Pokręcił głową.

Josie pomyślała nagle, że starzy ludzie znają pewnie więcej zmarłych niż żywych. Co za okropność - przeżywać to wciąż od nowa, aż w końcu nie ma już nikogo z bliskich, przyjaciół i znajomych... Przypomniała sobie staruszków, którzy uczestniczyli w pogrzebie Michaela. Na cmentarzu czuli się zupełnie swobodnie, pewnie jak u siebie w domu... Cal Faraday powiedział, że przez cały tydzień co wieczór

przychodzili do domu Meredith. Jak normalny człowiek może znieść coś takiego?

- Czy do pana domu też przychodzili przez tydzień na to...
Na te modły?

- Na shivah? A jakże.

- Pomogło to panu? Wzruszył ramionami.

- Dzięki temu ten pierwszy tydzień szybciej mija. Dopiero później dociera do ciebie, że masz przed sobą resztę życia...

Jego życie potrwa jeszcze parę lat, nie więcej, natomiast przed nią rozciąga się przestrzeń bez końca, trochę tak jak obraz w kolejnych lustrach, z których każde odbija to samo, tylko w trochę mniejszym wymiarze. Nagle zabrakło jej tchu. Przed nią wiele lat, mnóstwo lat... Cóż, nie musi przez to przechodzić. Michael pokazał jej wyjście. Cał twierdził, że nie ma wyboru, ale to nieprawda. Miała wybór, każdy ma wybór.

Sama myśl o tym budziła w niej strach.

Zrobiło się zimno, zanosilo się na deszcz. Zapadał zmierzch.

- Ma pan ochotę na drinka czy coś w tym rodzaju? - spytała.

- Nie, skarbie, ale twoja propozycja bardzo mi pochlebia - odparł, zapinając suwak kurtki. - Jadę na obiad do córki, a potem będę w Four Queens przy Normandii. Gdybyś nie mogła zasnąć, znajdziesz mnie tam codziennie po dziesiątej.

Patrzyła, jak powoli schodzi po zboczu, ostrożnie wymijając groby i starając się nie potknąć. Miała ochotę zawołać go, poprosić, żeby z nią został, ale przecież miał dokąd pójść, w przeciwieństwie do niej.

Brakowało jej starych mężczyzn, takich jak jej własny dziadek, dziadzius Jack, z jego brylantyną i wodą po goleniu Old Spice. Dziadzius Jack słuchał rano Paula Harveya, w lecie z zapartym tchem oglądał mecze dodgersów. Dziadzius Jack nie wiedział, że Josie mieszkała niemal dwa kroki od stadionu

dodgersów, chociaż nigdy nie wybrała się na żaden mecz. Miała nadzieję, że oboje byli w dobrej formie, dziadziuś Jack i babcia Ida. Nie znała tu żadnych starszych ludzi. Los Angeles nie lubiło starości, ukrywało ją, było zachwycające, ale i pozbawione korzeni, rozchwiane. Gdyby Michael miał dziadka takiego jak ten Morty, kogoś, kto powiedziałby mu: „Życie to ustawiona gra i kasyno zawsze wygrywa, ale warto posiedzieć przy stole i grać dla samej przyjemności grania"... Ale nie, Michael miał dziadka, który pokazał mu, jak umierać.

12. JEREMY

Neony Little Tokyo dopiero się zapalały, kiedy Josie podjechała pod Atomic Cafe, okropny bar dla punków na tym gorszym końcu First Street. Jedzenie było tu wstrętne, a obsługa jeszcze gorsza, ale Atomic mógł pochwalić się najlepszą szafą grającą w całym Los Angeles, no i w pobliżu znajdowało się Chinatown ze swoimi klubami. Przystanęła w progu i rozejrzała się, szukając wzrokiem Jeremy ego. Zauważyła go. Siedział przy trzecim stoliku pod oknem, okopany jak armia, ledwo widoczny zza piętrzącego się na blacie stosu papierów, notatek i książek. Przybrał pozę natchnionego twórcy, wysoki, jasnowłosy i atrakcyjnie roztargniony, z łokciem opadającym na czoło, w płaszczu narzuconym na ramiona jak peleryna. Josie wiedziała, że widział się w roli sławnego reżysera, siedzącego przed widownią wypełniającą ogromną salę, pogrążonego w dyskusji z młodymi, raczkującymi filmowcami, zasypującymi go pytaniami o początki jego własnej kariery, pierwsze filmy, narodziny sukcesu i sławy. Jeremy budził się rano, mając w uszach gromkie oklaski. Z głośników szafy dobiegał głos Toma Verlaine'a, śpiewającego See No Evil. Podobno Patti Smith nauczyła się śpiewać właśnie od Verlaine'a, starannie naśladowując nosowe brzmienie jego głosu i nieregularny, ciężki oddech.

Na widok Josie Jeremy podniósł się i zaraz znowu opadł na krzesło.

- Jezu kochany, Josie, co ci się stało?!

Wiedziała, o co mu chodzi. Zastanawiał się, czy ona ostro bierze, czy przeżywa załamanie. Zapaliła gauloise'a, patrząc, jak drobniutka japońska kelnerka z kokiem wysokim niczym wieża przekłada jakieś papierki za ladą w poszukiwaniu czegoś, o czym zdążyła już zapomnieć. Ta kelnerka była najprawdziwszym symbolem Atomic Cafe.

Jeremy uśmiechnął się, zbyt szeroko, zbyt bialo.

- Josie, oczywiście jak zwykle wyglądasz zachwycająco, ale chyba ostatnio nic nie jesz i w ogóle nie śpisz...

„Twój podrabiany Anglik” - tak mówił o Jeremym Michael. Matka Jeremy ego była Dunką, ojciec Anglikiem, a sam Jeremy uczył się w angielskiej szkole z internatem i stamtąd przywiózł swój akcent, więc nie był tak do końca „podrabianym” Anglikiem, chociaż mocno nadużywał i akcentu, i natchnionych spojrzeń.

- Nie przeszłaś chyba na wegetarianizm, co? Zamów sobie stek, chyba powinnaś przyjmować witaminę C i B... Znam kogoś, kto bez problemu robi ci serię zastrzyków...

- To jest to? - Josie sięgnęła po stos kartek z metalowymi wzmacniaczami na dziurkach.

Szklany dom. Przekartkowała maszynopis jak kolorowy magazyn. Wszystkie filmy Jeremy ego stanowiły wariacje na jeden temat, więc nie musiała czytać scenariusza. Była Dziewczyną w Nieznanym Mieście. Chodziła ciemnymi ulicami, polanymi wodą z węża, żeby w mokrych chodnikach i asfalcie odbijały się neony, ubrana w czarną skórę albo srebrzystą lamę i oczywiście buty na wysokim obcasie. Scenariusz nie miał zresztą żadnego znaczenia, ponieważ Jeremy i tak go wyrzucał. Powtarzał, że nie lubi czuć się spętany, lecz w gruncie rzeczy za każdym razem najzwyczajniej w świecie nie wiedział, co chce nakręcić, aż do chwili, kiedy już to nakręcił. Josie wcale to nie przeszkadzało, dobrze radziła sobie z improwizacjami. Wiedziała, jak będzie wyglądało kręcenie filmu i jaką rolę zagra. Dziewczyna patrzy. Dziewczyna idzie przed siebie. Dziewczyna zawsze była tajemnicza, fatalnie pociągająca i wzruszająca, i zawsze ginęła w tragicznych okolicznościach. Tym razem także będzie dużo biegać, oglądać się i rzucać palące spojrzenia.

- To dreszczowiec, psychologiczny thriller. Bardzo stylowy, z klasą, coś jakby połączenie Antonioniego i Bunuela...

Jeremy posługiwał się językiem, który przyprawiał Michaela o dreszcz obrzydzenia. Coś jakby połączenie Einsteina z Jayne Mansfield, Hitlera i Roya Rogersa... Pamiętała pierwsze spotkanie Michaela i Jeremy'ego, w holu kina Vagabond. Josie i Michael wyszli właśnie z sali po obejrzeniu dwóch filmów Felliniego. Josie płakała na La Stradzie, wzruszona historią silnego faceta i drobniutkiej dziewczyny-kłowna. „Nie ma ciała, jest taka biedna”... Jeremy zauważył ich w holu i spadł na nich niczym wielkie, chude ptaszysko, wciskając się między nią i Michaela. Gadał i gadał, rozplęwał się nad Fellinim, oświadczył, że La Strada jest „porażająca”.

- Naprawdę? - odezwał się Michael, biorąc Josie za rękę. - Tak cię poraziła, że padłeś na kolana? Czy może zważyłeś się w gacie?

Jeremy przerwał na moment, zupełnie jakby ktoś go wyłączył, ale zaraz znowu podjął temat. Udawał, że nie usłyszał, albo może rzeczywiście nie usłyszał, bo nigdy nie słuchał innych, skupiony wyłącznie na sobie, a Michael mówił cicho, zwłaszcza kiedy był zły.

- Bierzemy Angel Baby na festiwal w Toronto... Bierzemy, my... Jeremy już wtedy mówił o sobie w liczbie mnogiej, zupełnie jakby był wielką firmą, chociaż jego film był dwunastominutową krótkometrażówką nakręconą po drugim roku studiów reżyserskich na Uniwersytecie Kalifornijskim. Zdjęcia robili na Union Station i w tanim hoteliku obok Wall. Jeremy stał między nimi, wystudiowanym gestem trzymał na jednym palcu skórzaną marynarkę i co parę chwil odgarniał włosy z czoła.

- Nie weźmie udziału w pokazach festiwalowych, ale zorganizujemy projekcję poza konkursem...

- To wspaniale, Jeremy - powiedziała Josie, biorąc Michaela pod rękę i usiłując popchnąć go w stronę wyjścia, wszystko, byle tylko nie wdał się w ostrą kłótnię z Jeremym. - Daj znać, jak ci pójdzie...

Trudno jej było przejść do porządku dziennego nad tym, że Michael nie znosił wszystkich jej przyjaciół i znajomych, a już szczególnie upozowanych młodych mężczyzn, którzy nie kwestionowali sensu życia, mieli plan dla wszystkich i wszystkich w swoim planie.

- W przyszłym miesiącu kręcę nowy, strasznie mi zależy, żebyś w nim wystąpiła! - zawołał za nią Jeremy. - Zapłaca! Dwadzieścia dziennie, co ty na to?

- Dwadzieścia pięć! - odkrzyknęła. - Zadzwoń do ciebie!

Michael był tak wściekły, że z trudem dotrzymywała mu kroku, kiedy szli do samochodu, a wszystko dlatego, że Jeremy ją pocałował. Josie prawie tego nie zauważyła. Studenci wydziału filmowego zawsze całowali dziewczyny, byli prawdziwymi ekspertami od podrywania. Josie była do tego przyzwyczajona, ale Michael wpadł w okropny nastrój.

- Jak możesz przymilać się do takiego palanta?!

- Wcale nie jest taki okropny...

To fakt, że Jeremy wечно grał, ale nie był żadnym oszustem, naprawdę kręcił filmy, zrobił też kilka reklamówek, chociaż przecież jeszcze nie skończył studiów. Mnóstwo ludzi chciało coś zrobić, działać, a Jeremy po prostu zakasywał rękawy i brał się do roboty. Może i nie był tak wielkim geniuszem jak Michael, ale czy koniecznie trzeba być geniuszem, żeby zrobić coś konkretnego na tym świecie? Dla Josie ważne było, że Jeremy lubił obsadzać ją w swoich filmach, że zawsze miał dla niej rolę, że nazywał ją „Jeanne

Moreau w stylu punk" i uważał za swój talizman. I zawsze robił jej świetne zdjęcia, naprawdę doskonałe. Bawiło ją to. Nie miała najmniejszego zamiaru zostać gwiazdą filmową, ale czasami lubiła na krótko stać się kimś innym.

Przerzucając kartki Szklanego domu, z ulgą myślała o sobie jako o Dziewczynie z Filmu Jeremy'ego, dziewczynie, która nie będzie musiała myśleć, która będzie uciekać przed czymś, z wdziękiem postukując wysokimi obcasami, wypowiadać słowa napisane przez kogoś obcego i spokojnie czekać na koniec. Tym razem miała zginąć w wypadku samochodowym. Świetnie. Chciała pracować, jak najwięcej pracować i nigdy nie wracać do domu. Film Jeremy ego zajmie jej trochę czasu.

Za oknem przeszły dwie Japonki, stara i młoda, obie modnie uczesane, ale w kimonach. Stara miała najwyżej metr pięćdziesiąt wzrostu i ze sto lat; śmiała się, zasłaniała dłonią usta i mocno trzymała się ramienia młodej. Josie długo patrzyła za nimi, zastanawiała się, co takiego mogło zdarzyć się w życiu staruszki, że aż tak ją to rozbawiło. Z czego taka stara kobieta w ogóle mogła się śmiać? Ledwo trzymała się na nogach, zgarbiona, skulona i pomarszczona jak mokry krepon... Jakim cudem starzy ludzie znosili wszystkie te rzeczy, które robiło im życie?

Znalazła w torbie kilka ćwierćdolarowych monet, podeszła do szafy grającej i wybrała Richarda Helia z grupą Voidoids, śpiewających Going Going Gone oraz Lost Boys Love Dead Girls Loli Loli, piosenkę o Ediem Sedgwicku. Na pierwszy ogień poszła Lola Lola, jej mocny, zachrypnięty głos, śpiew przechodzący w monolog, trochę w stylu Marleny Dietrich. Sprechgesang. Boże, wiedziała nawet, jak to się fachowo nazywa... Całuje jej zdjęcie w podartym czasopiśmie, śpiewał dobrze znany głos, a kelnerka podjęła melodię, naśladowując

groźne powarkiwanie Loli. Ferdi, Edie i Darby, John Lennon... Najwyraźniej był to rok miłości do nieżyjących.

Drobniutka kelnerka wreszcie przyniosła ich zamówienie, w każdym razie przyniosła coś na talerzu, chociaż jak zwykle nie to, co chcieli. Josie zamiast grzybowej zupy dostała serowo - grzybowy omlet, Jeremy burgera, ale zimnego, z sałatką zamiast frytek. Nie próbowali protestować, bo w Atomic należało się liczyć z takimi pomyłkami. Człowiek składał zamówienie, a potem zjadał to, co przydzieliła mu kelnerka, kucharz albo los. Prawie nigdy nie dostawało się tego, co się zamówiło, lecz czasami na stół trafiało coś jadalnego - pod tym względem bar Atomic do złudzenia przypominał życie. Staruszek z Mount Sinai ze zrozumieniem pokiwałby głową. Josie nigdy nie zabierała Michaela do Atomie, bo wiedziała, że lubił dostawać dokładnie to, co zamawiał.

Myślała o tym, kiedy Jeremy gadał o swoim Pomyśle Filmu, o planie zdjęciowym w jakimś domu niedaleko Sunset Plaza, który podobno był „tak bardzo przesiąknięty aurą lat sześćdziesiątych, że aż głowa mała”. Josie wyobraziła sobie, jak wchodzi do tego domu i czuje, że ma za małą głowę.

- Ktoś powinien powiedzieć temu baranowi, że słowa mają znaczenie! - wściekał się Michael tamtego wieczoru po La Stradzie, kiedy wracali do samochodu. - Jak możesz go tolerować, Josie, jak możesz traktować go poważnie?

W gruncie rzeczy chodziło mu o to, że Josie pozwoliła, aby Jeremy ją pocałował.

- Myślisz, że Jeremy mi się podoba?

Michael nie odpowiedział, co oczywiście oznaczało, że tak właśnie myśli.

- To będzie świetny film, Josie - obwieścił Jeremy nad zimnym burgerem, odrzucając do tyłu włosy, które zasłaniały jego szeroko rozstawione błękitne oczy.

Mówił o filmie, dziwacznym psychologicznym dreszczowcu, a ona po prostu go obserwowała. Przypominało to oglądanie telewizji przy wyłączonym dźwięku. Że też Michael był zazdrosny o kogoś takiego... O Jeremy'ego Scotta, istotę całkowicie pozbawioną życia wewnętrznego. Jedyne uczuciem, jakie znał Jeremy, była ambicja. Planowanie, snucie wątków, wielkie marzenia. Wszystkie ludzkie pragnienia były kompletnie absurdalne. Wszystko na wielką skalę, w technikolorze... Tymczasem ona dostrzegała teraz sens tylko w takich rzeczach jak odcisk palca, pozostawiony na żółtej okładce szkicownika, kawałek mydła do golenia o sosnowym zapachu, ostatni ślad pocałunku.

Jeremy chciał zrobić z niej gwiazdę i strasznie się złościł, gdy mówiła mu, że już jest gwiazdą. Los Angeles było pełne młodych ludzi takich jak Jeremy - studentów wydziału filmowego i artystycznego, pisarzy, fotografów, rockmanów, modelek i aktorek. Kręciły się tu całe armie ambitnych. Dla nich przyszłość była czymś w rodzaju ogromnej maski tlenowej, zupełnie jakby nie mieli czym oddychać w teraźniejszości. W teraźniejszości, która była wszystkim, co naprawdę istniało i miało zaistnieć.

Przypomniała sobie, jak kiedyś zabrała Michaela na zdjęcia Silent Scream, zespołu grającego gotycki rock, kręczone w którymś garażu w Eagle Rock. Umierał z nudów już po pierwszej półgodzinie, a powtarzanie fraz utworów doprowadzało go do szału.

- Dlaczego to tak długo trwa? - pytał.

Josie rozumiała, o co mu chodziło, ostatecznie dwadzieścia razy powtórzyła scenę w sztucznej mgle ze świecy dymnej, która była tańsza od suchego lodu. Zjedz swoją głowę, zjedz swoją głowę... Przez następny miesiąc oboje słyszeli we śnie piosenki Silent Scream.

- Nie słuchasz mnie, Josie, a to poważna sprawa! - Jeremy wpatrywał się w nią ze zniecierpliwieniem, wytrzeszczając niebieskie oczy.

- Słucham cię. Słucham, słowo daję.

Jeremy śmiertelnie poważnie traktował wszystko, co dotyczyło robienia filmów. Kiedyś posadził Josie w fotelu i przedstawił plan całej jej aktorskiej kariery - adres szkoły aktorskiej, nazwiska agentów, z którymi powinna pomówić, fotografów, którzy mogliby jej zrobić lepsze zdjęcia do teczki. Musisz poważnie się nad tym zastanowić, Josie. Nienawidziła wstępnych przesłuchań. Zawsze były dla niej żenującym doświadczeniem, czuła się tak, jakby sprzedawała samą siebie niczym bluzkę czy sweter. Pozowanie miało w sobie przynajmniej cień zaangażowania osobistego, bo przecież zwykle znała artystę, który ją zatrudniał. Czy było coś złego w tym, że nie chciała robić kariery, piąć się na szczyt? Czy to było przestępstwo, oznaka braku patriotyzmu?

Prawda była jednak taka, że Josie by chciała być Kimś. Mieć jakiś prawdziwy talent, coś, co mogłaby komuś dać. Głęboko ukrywała tę prawdę. Dałaby wszystko, żeby być kimś takim jak Michael, z jego zdolnościami. Życie ambicjami było strasznie wyczerpujące, męczyło ją to, że chciała, aby inni dostrzegli w niej wyjątkowe umiejętności, gdy tymczasem w gruncie rzeczy była zupełnie zwyczajna. Tylko Michael uważał ją za kogoś lepszego, nie widział, że jest przeciętna. Oryginalna i inteligentna była tylko w jego obecności. To Michael był jak magnes, który zmienia pozycję skrawków metalu, unosi je w górę. Cóż, teraz znowu była skazana tylko na siebie...

- I jak, dalej jesteś z tym facetem? Jak on się nazywa? Jeremy doskonale wiedział, jak nazywa się Michael.

- Nie, nie jesteśmy już razem - powiedziała, słysząc swój własny głos.

Ostatecznie była to prawda, Michael odtrącił ją, odsunął na bok. Nawet nie podziękował za wspomnienia, zresztą jakie tam wspomnienia... Postanowiła nie mówić Jeremy'emu o śmierci Michaela. Łatwiej było żyć bez współczucia i poklepywania po plecach. Tak czy inaczej, co mogłaby usłyszeć od Jeremy'ego? Tak było lepiej, mogła skoncentrować się na byciu Dziewczyną.

Zapisał jej adres na scenariuszu. Dom w Topanga, znała to miejsce z lekcji rysunku prowadzonych przez Charliego Peacocka.

- Zaczynamy czternastego, dasz radę? Udało mi się zaklepać na ten dzień dwa samochody, więc nie możemy przekładać...

Zajrzała do notesu. Miała pozwać grupie studentów Glorii Reyes w Long Beach, ale mogła oddać to zlecenie Pen. Czternasty stycznia. Wydawało jej się niemożliwe, nieprawdopodobne, aby miała przeżyć najbliższy tydzień i jeszcze następny, i luty, i marzec... Cały kalendarz był jakimś absurdem, puste strony przypominały cienki pas asfaltu, biegnący przez cztery tysiące kilometrów pustyni.

Nagle pomyślała o tamtej roześmianej staruszce. Jak mogła się tak śmiać, skoro gra była ustawiona, nie można było wygrać, wszystko było ming... Taka stara kobieta, na pewno straciła więcej bliskich niż wszyscy w najbliższej okolicy razem wzięci... Obozy dla internowanych, Hiroszima, kto wie, przez co musiała przejść... A jednak żyła, była jakimś cholernym cudem i chociaż jedną nogą stała już w grobie, to mimo wszystko śmiała się wesoło.

13. HELMS

Josie zaparkowała pod od dawna niedziałającą piekarnią w Culver City, ozdobioną ogromną tablicą z napisem w stylu lat trzydziestych: „HELMS, PIECZYWO Z OLIMPU”, na tle gwiazdzistego sztandaru. Nick opowiadał jej, że kiedy był dzieckiem, razem ze swoją klasą zwiedzał piekarnię Helms. Pod koniec wycieczki wszystkie dzieciaki dostały miniaturowe bochenki chleba.

- Był dużo lepszy niż sałatka z tuńczyka, jaką poczęstowano nas w przetwórni Star - Kist - powiedział.

Jeszcze dziś wewnątrz budynku pachniało drożdżami i karmelizowanym cukrem. W sylwestra niedaleko stąd grał zespół Davida Dolla. Było to w dawnej fabryce samochodów elektrycznych, którą wydzierżawił hipis o ksywce Merlin, artysta laserowy, który urządzał pokazy świetlne i pozwalał muzycznym grupom grać u siebie za darmo. Do tej pory nie pozbyła się kaca - Paul Angstrom znalazł ją nieprzytomną w toalecie, z butelką wódki w ramionach.

Nigdy wcześniej nie pracowała dla tego fotografa. Miała pozować do reklamy skateboardów, wystąpić w roli dziewczyny skateboardzisty. Kiedy w czasie rozmowy telefonicznej zapytała, co ma na siebie włożyć, fotograf powiedział jej, żeby ubrała się tak jak zwykle na casting. Przyjechała w swoim żółtym futerku, skórzanych butach do kolan ze ściętymi obcasami, szkolnej spódnicy w kratę z ciuchlandu Goodwill, w dziecięcej koszulce z krótkim rękawem, z szalonymi włosami zaplecionymi w dwa króciutkie warkoczyki. Zwykle unikała swojej agencji jak trądu, nie lubiła tego hollywoodzkiego stylu, ale praca to praca, a ona bardzo potrzebowała teraz zajęcia.

Trochę to trwało, zanim znalazła studio w labiryncie warsztatów i pracowni artystycznych. Gdy weszła, z głośnika leciała piosenka Heart of Glass. Nic dziwnego, że spodobał

mu się jej wygląd, sam był facetem w stylu Blondie. Stał przy wysokim kontuarze i przerzucał zdjęcia na przeglądarce. Stary, na pewno po czterdziestce, wysportowany, z kręconymi ciemnymi włosami. Josie od razu się zorientowała, że sporo ćwiczył - nosił obcisły czarny T - shirt, żeby pochwalić się swoimi wypracowanymi w pocie czoła muskularni. Jak on się nazywał? Walker, Parker czy coś takiego... Podeszła bliżej i wtedy zobaczyła, że wcale nie ogląda zdjęć, ale podgarnia równiutkie linijki koki na szkle przeglądarki. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę swojej asystentki, elegancko ubranej dziewczyny o ciężkawych rysach twarzy, w okularach z rogowymi oprawkami, wciągnął dwie linijki i podał Josie zwinięty w tutkę banknot. Josie pośpiesznie skorzystała z zaproszenia. Facet rozwinął setkę, czubkiem palca zgarnął resztki koki ze szkła i wtarł je w dziąsła, a potem schował banknot do kieszeni. Popatrzył na Josie wzrokiem, w którym wyczytała zainteresowanie stanem jej cery, bynajmniej nie nią samą.

- Masz puder? - zapytał. - Trochę się błyszczysz.

Przypudrowała twarz przed lusterkiem na ścianie obok telefonu, czekając, aż asystentka fotografa ustawi światła. Po kokainie muzyka brzmiała głośniej, Josie miała w uszach przyjemne, wibrujące bzyczenie. Sprawdziła, czy wokół nozdrzy nie ma śladów białego proszku, i zaczęła się zastanawiać, ile dostaje pracująca w studiu dziewczyna. Wyglądała na inteligentną, całkiem możliwe, że skończyła jakąś szkołę artystyczną, ale ile zarabiała? Dziesięć, może dwanaście dolarów za godzinę? Tymczasem Josie, imitacja człowieka, zgarnia sto dolców i darmowy niuch koki za godzinę pozowania... Dziwny jest ten świat. Nie ma sensu doszukiwać się w nim sensu. Życie to pieprzona fala, na której trzeba surfować, bo nic więcej nie da się zrobić. Z lustra patrzyła na nią twarz prosto z obrazu Picassa, kubistyczny

koszmar. Gdyby nie miała kości policzkowych, jej twarz zwinęłaby się w kulkę jak mokra bibułka. Mogłabyś zrobić sobie parę zdjęć, znam kogoś...

Fotograf wskazał jej miejsce obok modela, chłopaka z deską, który nerwowo przestępował z nogi na nogę na białym papierze rozwiniętym z grubej rolki na ścianie. Josie pomyślała, że takim samym papierem przykrywa się ginekologiczne fotele.

- Stań za nim, przyjmij pózkę - polecił fotograf.

Przyjmij pózkę... Nagle usłyszała te same słowa, wypowiedziane pełnym sarkazmu głosem Michaela. Cóż, ona wiedziała, o co chodzi Parkerowi czy Walkerowi. Pozowanie do zdjęć niczym nie różniło się od pozowania do rysunku, polegało po prostu na tym, aby własnym ciałem stworzyć interesującą kombinację w przestrzeni. Wyobraziła sobie kształt złożony z niej samej oraz chłopaka z deską i od razu przekształciła ten obraz w negatyw.

- To nieprawdziwa deska - poinformował ją dzieciak, kiedy asystentka poprawiała reflektory i odbijające światło parasole.

Josie nie odpowiedziała. Delektowała się posmakiem kokainy, po raz pierwszy od dawna czuła się naprawdę dobrze.

- Nigdy wcześniej tego nie robiłem - chłopak strzelił kostkami palców, zdenerwowany jak uczeń przed egzaminem.

W innych okolicznościach pewnie próbowałaby mu pomóc, lecz teraz patrzyła na niego oczami fotografa i widziała tylko kształt w przestrzeni.

- Nie przejmuj się, facet ci powie, co robić - powiedziała. Zawsze był ktoś, kto mówił człowiekowi, co robić. W kłopoty wpada się dopiero wtedy, gdy próbuje się zrobić coś na własną rękę.

Kiedy światła zostały już ustawione, przesunięte i ustawione od nowa, asystentka podała fotografowi polaroid. Zrobił kilka fotek, obchodząc Josie i chłopaka dookoła, tanecznym krokiem poruszając się w rytm piosenki Blondie, wpadając w rytm American Gigolo. Fotografowie mieli zdecydowaną przewagę nad malarzami i rzeźbiarzami, ponieważ mogli bez trudu zmieniać perspektywę. Niektóre zdjęcia facet robił prawie z podłogi, ujmując dzieciaka i Josie z dołu.

- Taaak... - pokiwał głową, nie odrywając wzroku od wywołującej się w jego dłoni fotografii. - Właśnie o to mi chodziło...

Pokazał zdjęcie Josie, chłopak przechylił się przez jej ramię, żeby popatrzeć. Wyglądali na luzacką, trochę niebezpieczną parę, gdy tak górowali nad obserwatorem, z namalowanym w tle w stylu graffiti logo firmy produkującej deski.

- Tę deskę powinno się połamać na drobne kawałki i wyrzucić - oświadczył chłopak. - To straszne gówno...

Fotografa niewiele to obchodziło. Oboje z Josie nadawali na tych samych falach, wtopieni w świat Blondie z całym jego kosmopolitycznym wyrafinowaniem, wpatrzeni w ostre i wystylizowane wersje samych siebie. Jedyna różnica między nimi polegała na tym, że Josie doskonale wiedziała, iż ten wspaniały obraz powstał w rezultacie działania koki, a fotograf uważał, że jest to jego własne dzieło.

Josie przejechała językiem po zębach.

- Niby jak mam udawać wyluzowanego deskarza, kiedy mam do dyspozycji tylko to sztuczne gówno... - narzekał chłopak.

- Spróbuj poszukać sobie prawdziwej pracy - rzuciła Josie.

Co by teraz dała za jednego dymka...

- Czarno - białe - poinstruował asystentkę fotograf. Dziewczyna podała mu aparat, zabrała polaroid i posłała

Josie konspiracyjny uśmiech. Wiem, że to dupek, ale muszę pracować, a to w sumie nie najgorsza robota... Asystentki nie dostają koki gratis.

- Myślałem, że masz być moją dziewczyną - chłopak wydał wargi.

- Jestem twoją dziewczyną - odparła Josie. - Ze skłonnościami do dominacji...

I trąciła go w tyłek czubkiem buta.

- Świetny pomysł! - Fotograf przykucnął, schylił się niżej niż chłopak. - Wytrzymajcie tak chwilę...

Zaczął strzelać zdjęcie za zdjęciem. Trzy z jednej pozycji, dwa z niższej, z aparatem opartym na worku z piaskiem. Josie mimo woli podziwiała jego szczupłą, wysportowaną sylwetkę, opaloną skórę, ciasno opinającą wypracowane w siłowni mięśnie. Było to groteskowo fascynujące, czuła się tak, jakby z bliska obserwowała węża.

- Nogi mnie bołą - poskarżył się chłopak. - Mogę już wstać?

- Nie! - Fotograf zrobił jeszcze parę zdjęć i dopiero wtedy pozwolił dzieciakowi się wyprostować.

Josie była zadowolona, że ma na sobie futerko, bo w studiu było okropnie zimno. Chłopak zastygł nad nią, onieśmielony i prostoduszny, zainteresowany głównie sztuczną deską, dzieciak ze szkoły średniej, którego fotograf znalazł na spacerunku w centrum. Kiedy mógł już się ruszać, wykonał śmieszny taniec, żeby przywrócić krążenie w nogach.

- Nienawidzę tych igiełek, wiesz? - mruknął. - Prawie nie czuję stóp!

Zaczekali, aż skończy, a potem asystentka postawiła krzesło na rozwiniętym z rolki papierze i podała fotografowi aparat z kolorowym filmem. Zrobili kilka ujęć z Josie

pochyloną nad chłopakiem i muskającą pocałunkiem jego wargi, w zabawnej pozie w stylu lat pięćdziesiątych, z wypiętą pupą. Później fotograf kazał jej zrobić kilka kroków w bok i uchwycił chłopaka patrzącego za nią ze zmarszczonymi brwiami. Zakończyli sesję na zewnątrz, na przystanku autobusowym. Josie i chłopak siedzieli na ławce, deska stała między nimi.

- Strzał w dziesiątkę - oświadczył fotograf. - To pójdzie na reklamę. Od początku wiedziałem, że tak będzie.

- Więc po co robiłeś inne? - zapytała Josie.

- Żeby klient miał wybór.

Wypisał czek dla chłopaka. Josie miała odebrać pieniądze w agencji, która odliczała sobie sporą dołę.

- Klient musi mieć odpowiedni wybór, bo wtedy zawsze decyduje się na zdjęcie, które od początku dla niego przeznaczam - dodał fotograf. - Możesz zostać? Mam jeszcze trochę białego proszku. Joanne, nie zapomnij przypadkiem, że sesja zaczyna się o dziewiątej w porcie. Wstąp po Danny'ego, w porządku?

Asystentka miała już na sobie płaszcz. Podniosła rękę w hitlerowskim pozdrowieniu i odeszła.

Josie zarzuciła torbę na ramię, wyjęła papierosy i zapaliła. Tak, przydałoby się jeszcze trochę białego proszku. Dobrze by jej zrobił. Cholernie dobrze.

- Nie pal tutaj! - zdenerwował się fotograf. - Rzuciłem w zeszłym tygodniu!

Kiedy odwrócił się do niej plecami, pokazała mu środkowy palec. Naprawdę zamierzała zostać z tym Parkerem czy Walkerem dla jeszcze jednej porcji koki? Pozwolić mu, aby wziął ją w te swoje napakowane ramiona? Myśl, żeby po prostu dać unosić się fali, wydała jej się nagle wyjątkowo kusząca. Facet rozkazującym tonem wydawałby jej polecenia,

całkiem możliwe, że kazałby jej przebrać się w jakiś kostium i pieprzył ją w tyłek, żeby upokorzenie było całkowite.

Nagle kątem oka zauważyła chłopaka, który siedział na krawężniku i wyglądał tak, jakby na kogoś czekał. Może na swoją matkę... Obok niego leżała prawdziwa deska, z farbą startą do żywego drewna i krawędziami poobijanymi od uderzeń.

- Hej... - odezwał się z wahaniem.

Dopiero wtedy Josie zrozumiała, że czekał na nią.

Usiadła obok niego, starannie obciągając spódniczkę na udach, żeby nie narażać się na obleśne spojrzenia wszystkich przejeżdżających ulicą. Kierowcy mijali ich z prędkością światła. Serce Josie waliło mocno, nieregularnie, podskakiwało niezgrabnie w kulejącym galopie. Jej biedne, kulawe serce... Zaciągnęła się gauloise'em. A gdyby tak wstała i po prostu wyszła na środek ulicy? Tylko parę kroków, nie więcej, i jakiś samochód na pewno by w nią uderzył. Wzięłby ją na maskę, wyzwolił. Zrób to...

Nie. Co też przyszło jej do głowy... Wyrazistość obrazu, który powstał w jej umyśle, przeraziła ją do głębi. Zakrwawione, zmiażdżone ciało pod kołami samochodu... Czy właśnie tego pragnęła? Musiała pomyśleć o czymś innym.

Chłopak uśmiechał się do niej. Rzęsy podwinięte na końcach, pośrodku czoła na razie płytką bruzda.

- Wcale nie chciałam być taka niemila - odezwała się Josie, strząsając popiół. - Parę dni temu zmarł mój przyjaciel, to dlatego...

- Jejku... - zadziwił się chłopak. - Nigdy nie znałem nikogo, kto by zmarł...

Był taki młody, słodki i niewinny. Nagle zapragnęła przeczesać palcami jego sterczące włosy, pocałować go, zrobić mu laskę, ofiarować mu coś, co zapamiętałby na resztę życia.

- Na co umarł? - zapytał.

Josie westchnęła i wypuściła z ust kilka kółek dymu.

- Na śmierć.

Chłopak zakręcił kółkami swojej wysłużonej deski.

- Naprawdę jesteś modelką? Bo wiesz, zawsze mi się wydawało, że modelki muszą być wysokie...

Wszyscy jesteśmy drobnej budowy...

- Nie pozuję zbyt często. Mam sesje do różnych głupich katalogów, takich jak Penney i inne. Kazały mi wkładać do zdjęć peruki i wysokie obcasy.

- Moim zdaniem twoje włosy są super...

Metalowe uchwyty kółek zabrzczały, zaturkotały jak koła modlitw w Nepalu, o których kiedyś opowiadał jej Michael. Podobno w Katmandu mieli takie ogromne koło, wypisywali na nim modlitwy i kiedy wprawiali je w ruch, modlitwy wypływały we wszechświat, było to święte urządzenie. Josie podobał się pomysł, że coś modliło się za nią, kiedy ona nie mogła tego robić. Nie wierzyła w nic, już nie.

- Podaj mi deskę - powiedziała.

Podsunał jej sterany, poobijany kawałek drewna. Wyjęła z torby długopis i chwilę zastanawiała się, co napisać. Nie знаła żadnych modlitw. Ratunku, napisała na jednym kółku. Pomóż mi, Boże, na drugim. Przepraszam, na trzecim. Na ostatnim wypisała modlitwę, na którą było już i tak za późno.

- Chyba nie chcesz pieprzyć się z tym facetem, co? - zapytał niespokojnie chłopak, ruchem ręki wskazując studio. - To dupek. Przypomina mi mojego tatę.

Josie otoczyła kolana ramionami. Siedziała z tym dzieciakiem na krawężniku i czuła się okropnie stara. Zamierzała zostać, ale teraz widziała już, że po prostu nie potrafi.

- Nie, nie chcę się z nim pieprzyć. Ostatnio z nikim się nie pieprzę. Słuchaj, może cię gdzieś podwieźć?

Podrzuciła go do Mariny. Okazało się, że jego matka mieszka na osiedlu Marina City Club, w jednym z tych okrągłych jak wieża, podobnych do mrowiska bloków, ulubionym miejscu ludzi, którzy swoją młodość przeżywali w dekadzie Swinging Seventies, roztańczonych lat siedemdziesiątych, a teraz starzeli się tam powoli, pielęgnując swoje pożyczki na łysiejących głowach i coraz głębsze kurze łapki pod uczesaniem w stylu Farrah Fawcett. Josie zaparkowała w poprzek, na dwóch miejscach.

- Chcesz wejść? - zagadnął nieśmiało chłopak. - Mam trochę zielska, a mama wróci dopiero koło dziewiątej...

Typowa zagrywka licealistów, podryw na trawę z nabożeństwem przechowywaną w kieszeni spodni. Pogłaskała go po twarzy, przesunęła palcami po skórze równie miękkiej i delikatnej jak jej własna. Ile mógł mieć lat? Piętnaście, najwyżej szesnaście. Przechyliła się nad skrzynią biegów i pocałowała go. Wargi miał wąskie i spierzchnięte, wewnątrz ust miękkie, zaskoczone.

- Bądź grzeczny - powiedziała, otwierając drzwi po jego stronie.

Do środka samochodu wpadło zimne, wilgotne powietrze.

- Chodź, będzie fajnie, zobaczysz - uśmiechnął się zachęcająco. - Słowo! Mamy jacuzzi i różne takie...

Uśmiechnęła się bez słowa. Zaczekała, aż zgarnie swój plecak, deskę i wysiądzie.

- Mogłabyś mi przynajmniej dać swój numer, żeby kiedyś do ciebie zadzwonił?

Żeby do niej zadzwonił... Nigdy nie była dziewczyną, do której chłopcy dzwonią, aby umówić się na randkę. Była dziewczyną, po którą po prostu podjeżdżają samochodem i naciskają klakson, dziewczyną, którą zaprasza się na piwo albo kilka dymków, którą się pieprzy i odsyła do domu. Walker czy Parker wiedział, kim Josie jest, kim kiedyś była,

lecz ona sama zatraciła tę świadomość. Michael zobaczył w niej kogoś innego, ale później stracił tę osobę z oczu. Znalazła kawałek kartki na podłodze i zapisała na odwrocie numer Pen.

- Pomódl się za mnie - powiedziała.

Wyciągnęła rękę i zakręciła kółkiem jego deski, ostatnim, tym, na którym napisała: Prawdziwy Świat.

Przejechała obok domu, ale się nie zatrzymała. W domu były tylko obrazy, które Michael przestał malować, książki, które przestał czytać, łóżko, w którym już nigdy nie mieli się kochać, i czasopisma szepczące swoje tajemnice w ciemności. Kupiła ćwierć litra wódki w sklepie Gala i pojechała nad rzekę. Zostawiła samochód na końcu ślepej uliczki, zdjęła gruby łańcuch ze słupka i wyszła na nabrzeże. Ruszyła przed siebie w butach z popękanej skóry, patrząc, jak woda płynie po zarośniętym trawą dnie. Tu było jej trochę lepiej. Stado kaczek poderwało się w powietrze i poleciało w kierunku rezerwatu Silverlake. Przyroda zawsze była ta sama, nigdy człowieka nie opuszczała, żeby nie wiadomo co... Samochody gęstym sznurem sunęły po moście, wzdłuż Fletcher Street. Tysiące ludzi codziennie mijały to miejsce i nikt nie zwracał uwagi na mknącą po kamieniach wodę ani na miniaturowy las, który wyrastał z pęknięć w betonowym dnie rzeki. Josie pomyślała, że ta prawdziwa woda z gór, woda, której nikt nie wynalazł i nie wyprodukował, będzie płynęła tędy nawet wtedy, gdy miasto już dawno zniknie z powierzchni ziemi. I oby zniknęło jak najszybciej.

To tutaj tamtego promiennego poranka widzieli czapłę, wielkiego ptaka o niebieskawych piórach. Czapla stała w wodzie i rozgarniała dziobem trzciny porastające brzeg małej wysepki. Czas zatrzymał się wtedy na moment. Prawdziwy świat lśnił w porannym świetle, ptak, woda, kamienie i trzciny połyskiwały. Josie i Michael chwycili się za ręce, oboje wiedzieli, że patrzą na prawdziwy świat. Josie nie miała

pojęcia, jak długo tak stali, ponieważ czas przestał istnieć, ruszył dopiero wtedy, kiedy ptak poderwał się do lotu i zniknął pod łukiem mostu. Patrzyli za nim i czuli, że ta szczególna chwila minęła, ale przeżyli ją i zachowali w sercach. Świat był jak otwarte drzwi. Michael ułożył mały kopczyk z kamieni, żeby upamiętnić ten moment. Podobno taki stożek nazywano kaczką.

- W ten sposób oznacza się drogę na niezamieszkanym terenie - powiedział Michael. - Podróżujący szukają następnej „kaczki” i kiedy ją znajdują, wiedzą, że są na szlaku.

Ale kopczyk z kamyczków zniknął i w mroczniejącym świetle, które plamiło wodę smutnym odcieniem fioletu, świat sprawiał wrażenie zamkniętej księgi. Zboczyli ze szlaku, beznadziejnie zgubili drogę i nie mieli szans na znalezienie innych oznaczeń terenu, choćby nawet przeszli dwa tysiące kilometrów.

Josie usiadła na wybetonowanym brzegu i patrzyła na zimną, fioletową wodę. Otworzyła butelkę wódki. Koka przestała działać, pozostawiając uczucie nakręcenia, nieznośnego napięcia. Pociągnęła łyk alkoholu. Tyłek miała zimny jak lód. Na drugim brzegu, w dole rzeki, jacyś ludzie rozłożyli zniszczony materac ze sterczącymi sprężynami. Pieprzyli się na nim, nie przejmowali się, że ktoś może ich zobaczyć. Kobieta i mężczyzna, Josie widziała, jak pośladki faceta podnoszą się i opadają. Zapaliła gauloise'a i przyglądała się kopulującym poprzez smużki dymu z papierosa, wznoszące się do góry w nieruchomym powietrzu. Nie było to podniecające, przypominało raczej obserwację mrówek, które w pracowitym pośpiechu opróżniają cukierniczkę. Coś, co kiedyś znaczyło dla Josie tak dużo - seks - teraz wydawało jej się równie interesujące jak stara pompa olejowa.

Dopiero po dłuższej chwili w głowie zaświtała jej myśl, że może chodzi tu o coś innego. Może kobieta walczyła i

wyrywała się, a mężczyzna przytrzymywał ją siłą? Spokój, który czuła wcześniej, w tym króciutkim momencie zniknął bez śladu. Powinna coś zrobić, ale co? Jeżeli wezwie gliny i okaże się, że to po prostu bezdomna para, która nie ma się gdzie pieprzyć, wpakuje tylko siebie i ich w kłopoty.

Byli zresztą zbyt daleko, żeby naprawdę mogła się zorientować, co się między nimi dzieje.

I czy nie tak wyglądało to zawsze, niezależnie od sytuacji? Nigdy nie da się powiedzieć, co dzieje się z innym człowiekiem, więc pozwalamy, aby się działo.

Kiedy tamci się rozdzielili i mężczyzna stoczył się na bok, Josie nadal nie była pewna, czy kochali się za obopólną zgodą, czy doszło do gwałtu. Kobieta obciągnęła sukienkę na udach, a mężczyzna wstał i zapiął rozporek. Mówił coś do kobiety, która dalej leżała na zniszczonym materacu. Nawet wtedy Josie nie potrafiła rozpoznać, czy się znali i czy połączyła ich miłość, czy gwałt. Potem mężczyzna odszedł brzegiem w dół rzeki, a kobieta usiadła, obejmując ramionami kolana. Josie uświadomiła sobie, że nigdy się nie dowie, co zaszło między tamtymi. Może nawet oni sami tego nie wiedzieli, bo czasami oddzielająca miłość i gwałt linia była bardzo cienka.

Tak. Wróciła myślami do dnia, kiedy Tommy zabrał ją na przejażdżkę za miasto skradzionym samochodem. Jej najstarszy brat, ten, którego powinien dotyczyć telefon od koronera. Tommy Tyrell, ten, przez którego wszyscy osądzali innych Tyrellów w taki a nie inny sposób. Była wtedy w gimnazjum, a on ledwo parę tygodni wcześniej wrócił z poprawczaka. Podjechał po nią pod szkołę sportowym czerwonym wozem, a ona była dumna, że wszyscy znają tego jej złego brata, była dumna z otaczającej go szczególnej sławy.

- Skąd wzięłeś ten samochód? - spytała, głaszcząc palcem lśniący czerwony lakier.

Wzruszył ramionami.

- Pożyczyłem.

Miał przystojną twarz, usta z opuszczonymi kącikami, takie jak wszyscy Tyrellowie.

Pojechali na równinne pola za Pumpkin Center i zaparkowali w szerokim rowie pod starym pieprzowcem. Tommy wyjął puszkę piwa Olde English 800 i poczęstował ją, potem wypalili razem skręta. Trochę się najarali. Tommy zaczął opowiadać jej różne historie o obozie, na który go wysłano, o bójkach, o rzeczach, których się tam nauczył, o brudnych sztuczkiach, o tym, jak zrobić nóż ze sprężyny z materaca i jak przechowywać go w skarpecie. Słuchali zespołu Aerosmith, którego piosenki puszczała lokalna radiostacja. Profil Tommy'ego, patrzącego na wyschnięte pola, do złudzenia przypominał profil ich ojca, różnił ich tylko kolor oczu, bo Tommy miał brązowe.

- Zawsze byłaś ładna - powiedział. - Ile masz lat? Pachniał benzyną. Jego twarz była jej twarzą, wszyscy mieli podobne rysy - zadarty nos, błyszczące brązowe włosy, kształt oczu. Oczy Tommy'ego były surowe, twarde i pełne bólu.

- Trzyście - odparła.

- Jesteś strasznie mała jak na trzynastkę, nie?

- Wszyscy jesteśmy drobni...

Jego twarz pomroczyła, kiedy odwrócił się, aby na nią popatrzeć, i wtedy nagle dostrzegła to, co widzieli wszyscy, gdy patrzyli na Tyrellów - bunt i gniew, wynikające z przekonania, że jeszcze zanim przyszli na świat, zostali pozbawieni wszystkiego, co warto mieć, i żarłoczne pragnienie odzyskania chociaż części tych rzeczy. Tommy wyciągnął z kieszeni dzinsów nóż i otworzył go.

- Zdejmuj łachy! - szepnął. - Ale już!

I przytknął czubek noża do jej szyi. Poczwała leciutkie ukłucie, z pewnością mniej bolesne niż przy użądleniu

pszczoły czy osy. Nie bała się, w głębi serca nie czuła lęku. Rozumiała, że Tommy po prostu nie chce dłużej być małym chłopcem, więc zrobiła, co jej kazał. Nie obawiała się, że zrobi jej krzywdę, dokładnie wiedziała, co on czuje. Chodziło tylko o ciało, co za różnica czyje. I stało się to, co się stało, co miało się stać - jeszcze jedna smutna rzecz.

Nigdy nikomu o tym nie mówiła, powiedziała tylko Michaelowi. Wiedziała, że Michael zrozumie, że będzie wiedział, iż czasami człowiekowi przydarzają się różne rzeczy, które trudno nawet nazwać i określić, rzeczy, które są inne, niżby się mogło wydawać, niby takie, a jednak inne. I Michael rozumiał. Leżeli w łóżku, palili papierosy na swoim Montmartrze, rozmawiali o ciałach i o tym, co muszą znosić. Opowiedział jej wtedy o swoim ostatnim roku w elitarniej szkole prywatnej w Ojai, o tym, jak wysłano go do sanatorium Meadowlands.

- To było oszustwo do kwadratu - powiedział, splatając palce z jej palcami. - Ale z zewnątrz wyglądało ładnie, były tam kwiaty i błyszczące w słońcu fontanny, a Meredith nie interesowało nic więcej. Nie byłem wariatem, czułem tylko smutek, ale oni podawali mi torazynę i Bóg wie co jeszcze. Facet, który mieszkał ze mną w pokoju, nie mógł się oprzeć pokusie, jaką stworzyła moja bezradność... Pamiętam tylko, że ciągle myślałem o tym, jak głęboko żałosne jest ludzkie życie...

Tak, było żałosne. Tak. Żałosne, bezradne i bezsensowne. Josie patrzyła, jak słońce schodzi do linii horyzontu, zalewając błękit smutnym odcieniem czerwieni. Nie było żadnych kaczek, żadnej czapli, tylko samochody pędzące przez most, i woda, która płynęła, wciąż płynęła, chociaż Josie nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje. Nawet zgwałcona kobieta już poszła, został tylko poszarpany materac. Josie siedziała sama w błękitnawym zmroku, nad wodą zbyt zimną dla żab,

zachodzące słońce krwawiło, a rzeka lśniła, jaśniejsza niż jej brzegi.

14. BAR W WAGONIE

Przystanąła przed wejściem do Otisa i zapaliła papierosa. Dochodziło południe, powietrze było leciutko zamglone. Josie właśnie skończyła pozowanie do szkicu głowy dla grupy Meliny Vargna. Najlepszą rzeczą i takich sesjach było to, że nie musiała się rozbierać. Miała na sobie kilka warstw ubrań, spodnie, sukienkę, sweter, kurtkę i kapelusz. Ostatnio ciągle strasznie marzła. Światło raziło ją w oczy, chociaż teraz prawie bez przerwy nosiła ciemne okulary. Studenci wołali do niej, ale udawała, że nie słyszy. Park po drugiej stronie ulicy migotał we mgle. Fontanny strzelały wodą ze stawu, odświeżając jej upartą, zgęstniałą zieleń. Jakiś bezdomny ciągnął rozdygotany wózek ze sklepu, wyładowany butelkami i puszkami, mijał właśnie srebrzystego jaguara, zaparkowanego przy krawężniku. Pieprzyć to wszystko.

Szyba samochodu zjechała nisko, gładko i bezszelestnie, sterowana elektrycznym urządzeniem. Dumna głowa, burza ciemnych włosów.

- Josie? Josie, to ja!

Rozpoznałaby ten głos nawet na dnie morza. Czego znowu chciała od niej ta suka? Josie trafiła przecież wtedy do wyjścia i chyba nic nie wskazywało na to, aby Meredith żałowała, że wyszła, prawda? Popęłniła straszny błąd, wchodząc do tego domu, próbując szukać tam pocieszenia i spokoju. Wydawało się jej, że smutkiem można się podzielić, ale to była oczywista bzdura. Meredith i ona potrafiły tylko walczyć, szarpać swoją rozpacz na strzępy, jak kobiety wyrywające sobie bluzki koszulowe na dorocznej wyprzedaży w sklepie May Company. Josie i tak trudno było żyć ze wspomnieniami swoich błędów, wszystkich sytuacji, w których zawiodła Michaela. Nie miała najmniejszej ochoty na konfrontację. Odwróciła się i ruszyła w kierunku Seventh Street, głęboko

przekonana, że Meredith nigdy w życiu nie zniosłaby upokarzającej pogoni.

Pomyliła się. Usłyszała szybkie kroki za swoimi plecami, poczuła, jak Meredith chwyta ją za ramię.

- Proszę cię, Josie, zaczekaj...

Meredith nie miała na sobie odpowiedniego stroju do biegania - w czarnym płaszczu ze złotymi guzikami, nylonowych pończochach i czarnych czółenkach na wysokim obcasie wyglądała, jakby wybierała się do sądu. Josie dałaby sobie rękę uciąć, że sam płaszcz kosztował z pięćset dolarów, nie wspominając już o starej ozdobnej szpilce, która połyskiwała w jego klapie.

- Josie, proszę... Chcę cię tylko przeprosić!

Przejeżdżający samochód obsypał je obie drobnymi kamykami z pobocza. Meredith zerknęła przez ramię na swojego jaguara. Josie pomyślała, że chciała się upewnić, czy nie zniknął. Idź dalej, nie oglądaj się, powiedziała sobie. Nie miała cienia wątpliwości, że właśnie tak powinna się zachować, ale coś sprawiło, że się zawahała. Może był to ton głosu matki Michaela, brzmiąca w nim szczerłość, nuta prośby, prawie błagania i żalu. Spojrzała w ciemne szkła Meredith i zobaczyła swoje odbicie, i twarz samej Meredith, odbitą w jej własnych okularach, i tak dalej, i tak dalej, odbicia mnożyły się bez końca.

- Tamtego dnia nie odezwałam się do ciebie jak należy... Byłam nieuprzejma...

Meredith uśmiechnęła się, niepewna, zmieszana. Że też ktoś taki jak ona niepokoił się, co pomyśli o niej ktoś taki jak Josie Tyrell...

- Chciałabym zrobić ci jakąś drobną przyjemność, chociaż tyle... Chcę zaprosić cię na lunch, znam całkiem przyzwoitą restaurację niedaleko stąd...

Josie zaciągnęła się dymem z gauloise'a.

- Masz ochotę pozwiedzać slumsy? - zapytała.

Meredith zdjęła przeciwsłoneczne okulary. Cienka, delikatna skóra wokół oczu była ciemna, zupełnie jakby ktoś zbyt długo trzymał na niej saszetki z herbatą.

- Nie miej mi tego za złe, proszę... Wcale nie jestem taka, naprawdę, wierz mi. Po prostu nie jestem teraz sobą...

- Więc kim jesteś? - Josie uniosła brwi. Najwidoczniej Meredith była teraz kimś, kto czegoś od niej potrzebuje. Sławna pianistka stała na rogu ulicy w parku MacArthura i błagała zupełnie nieodpowiednią dziewczynę swojego syna, aby ta zgodziła się zjeść z nią lunch w jakimś drogim, eleganckim miejscu. A przecież Meredith była też kimś, kto za życia wspomnianego syna za żadne skarby świata nie wszedłby do pomieszczenia, gdzie znajdowała się wspomniana nieodpowiednia dziewczyna... Ironia losu, jak mawiał Michael, bywa piekielnie bolesna.

- Nie wiem - odparła Meredith, znowu wkładając okulary.

- Kiedyś byłam kimś, konkretną osobą, ale teraz nie pamiętam już kim... Chodź, pozwól zaprosić się na dobry lunch...

Josie nie była pewna, co będzie oznaczało przyjęcie zaproszenia, ale zabiegi Meredith mimo wszystko bardzo jej pochlebiały. Cała ta sytuacja naprawdę jej pochlebiała. To, że Meredith zadała sobie trud, aby ją odszukać, chociaż jeżeli wcześniej w ogóle o niej myślała, to chyba tylko życząc jej nagłej śmierci. Michael by się wściekł, gdyby wiedział, że jego matka i Josie idą razem na lunch... Josie uważnie spojrzała na kobietę w płaszczu ozdobionym starą, niewątpliwie koszmarnie drogą broszką, w pantoflach ze złotymi sprzączkami. Czego ta kobieta chce od takiej byle jakiej siusiumajtki jak ty usłyszała ostrzegawcze pytanie zadane głosem ojca. Nie lubi cię, ale jesteś jej do czegoś potrzebna. Uważaj. Jednak chodziło tu nie tylko o Meredith, lecz także o Josie. I o to, czego ona chciała.

Wnętrze jaguara pachniało perfumami Meredith, ciężkimi jak kadzidło, skórzanymi siedzeniami i domem w Los Felia cedrem i naftaliną, a pod tym wszystkim kryła się leciutka prawie kompletnie przygłuszona nuta zapachu Michaela. Josie musiała powstrzymać gwałtowne pragnienie, aby zanurzyć nos w rękawie płaszcza Meredith. Co by dała, żeby na zawsze zachować ten lekki zapach...

- Bardzo przepraszam cię za tamten ranek. - Meredith wyjechała na środek ulicy. - Naprawdę. Tak cieszyłam się, że wtedy mnie odwiedziłaś... Potrzebowałam towarzystwa, nawet nie wyobrażasz sobie jak bardzo. Możesz mi wierzyć...

Josie musiała przyznać się samej sobie, że była zachwycona, iż Meredith chce spędzić z nią trochę czasu. Wiedziała, że znowu zdradza Michaela, robi coś za jego plecami. Michael nie chciał, aby miała cokolwiek wspólnego z tą częścią jego życia, która związana była z Meredith. Dlaczego? Bo dzieliło je wszystko, dosłownie wszystko, a nie łączyło nic, dosłownie nic. Sprzączki na butach Meredith były błyszczące i kwadratowe, zupełnie jak w siedemnastowiecznych strojach. Josie, zaintrygowana, zastanawiała się, dokąd zabierze ją Meredith, czy nie będzie się wstydziła jej wyglądu. W głębi serca bardzo chciała poznać matkę Michaela, dowiedzieć się, co Meredith je, co zamawia, jak trzyma widelec...

Restauracja Pacific Dining Car znajdowała się na rogu Sixth Street i Whitmer, na obrzeżach centrum miasta. Urządzona w starym wagonie kolejowym, o tej porze pełna była biznesmenów, pożerających steki wielkości rękawic baseballowych. Meredith cichym głosem sprawdziła rezerwację u szefa sali. Josie od razu się zorientowała, że mężczyzna wie, co spotkało Meredith, ponieważ starannie unikał kontaktu wzrokowego, zupełnie jakby matka Michaela nosiła na twarzy blizny po potwornym poparzeniu lub została

w brutalny sposób okaleczona. Dziewczynę uderzyło, że Meredith zrobiła rezerwację. Najwidoczniej nie miała żadnych wątpliwości, że Josie przyjmie zaproszenie. Meredith odwróciła się i zaczęła, aż mężczyzna pomoże jej zdjąć płaszcz. Cała ta sytuacja przypomniała Josie zachowanie Michaela, którego zawsze otaczała aura przekonania, że inni mają mu świadczyć różnego rodzaju usługi. Zapragnęła sprawdzić, czy podziała to w jej przypadku, więc zsunęła lekko jeden rękaw swojej zniszczonej skórzanej kurtki. Szef sali w jednej chwili znalazł się przy niej i pomógł zdjąć okrycie. Cóż, nie miał wyboru.

Biznesmeni przyglądali im się, gdy przechodziły. Josie była pewna, że zastanawiają się, co łączy je obie, dziewczynę w szmatach i Bardzo Elegancką Panią. Niektórzy z nich pewnie doszli do wniosku, że jedna jest przedstawicielką trudnej młodzieży, a druga kuratorem sądowym, inni może myśleli, że patrzą na piosenkarkę rockową i jej agentkę. Wersja z gwiazdą rocka bardzo przypadła Josie do gustu. Zaczęła udawać lekko zażenowaną faktem, że znalazła się w miejscu tak ewidentnie „sztywniackim”. Ona i Michael byli artystami, prawdziwą arystokracją.

Krzesła były niskie, obite skórą, menu grube, w skórzanych okładkach ze złotymi chwaścikami. Josie się przestraszyła, że nazwy dań będą tylko po francusku i będzie musiała strzelać na ślepo, ale nie, listę wydrukowano w najnormalniejszym pod słońcem angielskim. Meredith tylko zerknęła na kartę, zupełnie jakby miała przed sobą katalog, z którego nie zamierza nic zamawiać, i odłożyła ją na brzeg stołu. Najwyraźniej wiedziała już, co chce zamówić.

Podszedł kelner, żeby przyjąć zamówienie na drinki. Upewnił się, czy Meredith życzy sobie dostać „to, co zwykle”, natomiast gdy Josie zamówiła wódkę z lodem, obrzucił ją sceptycznym wzrokiem, pewny, że ma do czynienia z osobą

nieletnią. Josie szykowała się już, żeby pokazać mu dowód, ale on spojrzał tylko na Meredith, która lekko uniosła brwi i skinęła głową. Kelner wzruszył ramionami i bez słowa zapisał zamówienie. Josie chciała zapamiętać wszystkie szczegóły, całą sekwencję tych drobnych gestów. Oto miała jak na dłoni różnicę między bogatymi i biednymi, podaną w tej jednej, prawie niezauważalnej wymianie spojrzeń. Więc jednak istniał pewien sekretny kod... Istniała konspiracja, o której zawsze mówił jej ojciec, linia, której biedni nie mogą przekroczyć, ponieważ nie znają odpowiednich form zachowania. W tym wypadku Meredith i kelner porozumieli się bez słów, i trzeba było bardzo uważać, aby dostrzec ich spojrzenia, ale słowa po prostu nie były im potrzebne. Więc jednak rzeczywiście można było wymieniać informacje właśnie w taki sposób... Właśnie tak naprawdę działał świat... Świat posługiwał się językiem maleńkich znaków i sygnałów, tak to faktycznie wszystko działało...

Josie obserwowała Meredith zza oprawionego w skórę menu. Matka Michaela miała na sobie bardzo prosty strój - białą bluzkę koszulową, czarny rozpinany sweter i prostą czarną spódnicę, ale krój i materiały, z których wykonano te rzeczy, były tak wykwintne i wysokogatunkowe, że Josie nie miała cienia wątpliwości co do ich pochodzenia. Meredith na pewno kupiła je w eleganckim sklepie, nie w katalogu Penneya. Jak wiele mogłaby się nauczyć od kogoś takiego jak Meredith... Hindusi mieli na to specjalne słowo, maya, oznaczające fałszywy i rozpraszający uwagę szczegół z powierzchni życia, czyli kompletną odwrotność prawdziwego świata. Jednak Josie nie była do końca przekonana, czy świat Meredith także nie był prawdziwym światem, tylko oczywiście innego rodzaju. Zastanawiała się, czy Meredith cieszy świadomość życia w takim świecie, czy też nawet o tym nie myśli. Michael powiedział kiedyś, że ryba nie ma

pojęcia, iż żyje w wodzie. Zauważyła sznur pereł na szyi Meredith, pod kołnierzykiem koszulowej bluzki. Połyskiwały różowawym beżem na tle skóry, każda wielkości paznokcia u kciuka Josie. I pomyśleć tylko, że ktoś ma takie perły i nosi je pod kołnierzykiem bluzki, pokazując tylko kilka z nich, w rozpięciu. Eleganckie rzeczy.

Kelner przyniósł im drinki i Meredith uniosła pękata szklanę.

- Wypijmy za... - przerwała. - Za nic.

Josie stuknęła się z nią szklaną i wypła. Ostatnio piła za dużo, chociaż rzadko zaczynała tak wcześnie. Wiedziała, że to niedobry pomysł, ale po śmierci Michaela nie widziała żadnego powodu, aby nie realizować któregoś z tych pomysłów, jakie przychodziły jej do głowy. Meredith zamówiła sałatkę z kaczką. Josie danie, które wydało jej się najbardziej odrażające z całego menu - cielecy mózdek. Zaskoczenie kelnera sprawiło jej przyjemność. Najwidoczniej spodziewał się, że ktoś taki jak ona zamówi cheeseburgera.

Na obitych czerwonym pluszem ścianach wagonu wisiały sztychy przedstawiające lokomotywy.

- Przychodziłaś tu z Michaeliem? - zapytała.

- Kiedy był mały, uwielbiał to miejsce, bo czuł się tu jak w pociągu, ale później nie mógł go znieść. Jego zdaniem zawsze było tu za dużo obleśnych bogaczy - dyskretnym ruchem dłoni, w której trzymała szklanę, ogarnęła salę. - Wolał stawić czoło salmonelli w barze Burrito Baron...

Josie zdziwiła się, że Meredith rozumiała lęk Michaela przed takimi ludźmi, przed mężczyznami w krawatach, o zaczerwienionych po goleniu twarzach. Meredith uśmiechnęła się lekko, jakby czytała w jej myślach.

- Oczywiście właśnie tego bał się najbardziej na świecie - życia w garniturze, ze skórzaną teczką i cygarem... Bał się, że

mógłby zostać członkiem jakiejś grupy... Chyba wolałby umrzeć niż...

Przerwała. Błada jak ściana, szybko pociągnęła duży łyk alkoholu.

- Wiem - odezwała się Josie. - Ja też to robię... Spojrzenie, jakie w tym momencie rzuciła jej Meredith znad brzegu szklanki, wstrząsnęło nią do głębi. Było to spojrzenie Michaela. Duże zielone oczy o zaskoczonym wyrazie, długie, podwinięte na końcach rzęsy, powolny ruch szerokiej powieki... Ból straty, tak ostry i przeszywający, jakby ktoś wdarł się w jej kości i wygarnął z nich szpik...

- Chciał być jednym ze zwyczajnych ludzi, ale na swój sposób był potwornym snobem - Meredith bawiła się solniczką, nieświadoma wrażenia, jakie wywiera na Josie jej fizyczne podobieństwo do syna, podobieństwo gestów i mimiki. - Założę się, że nigdy nie zaprosił cię do porządnej restauracji...

Wygięcie brwi, długość zagłębienia w górnej wardze, między nosem i ustami... Josie nie była pewna, czy zdoła to znieść.

- Jadaliśmy w domu - powiedziała, poruszając szklanką i patrząc, jak roztapiający się lód łączy się z cięższym alkoholem. - Michael był świetnym kucharzem.

Teraz to Meredith przeżyła chwilę zdumienia.

- Przecież Michael nie umiał zagotować wody w czajniku...

Josie się uśmiechnęła. Więc jednak było coś, czego Meredith o nim nie wiedziała, niesamowite...

- Chodził na wszystkie te małe targi i jeśli czegoś nie znał, to kupował i dowiadywał się, w jaki sposób to przyrządzić. Ma mnóstwo książek kucharskich, całą serię Cioci Ono. Ciocia Ono gotuje hawajskie potrawy, Ciocia Ono i boskie przysmaki... Robił moussakę i tamale, dania, których

przygotowanie zajmuje cały dzień. Ciemne aromatyczne małe, które opracował godzinami i przyrządzał w przyprawach ze sklepu na Grand Central... Ścierał na tarce, tłukł w moździerzu i smażył różne rodzaje papryk chili i czekolady, wszystko robił sam. Raz ugotował rybę z chińskiego targu, w całości, z głową i ogonem. Zjedliśmy nawet oczy, no i oczywiście policzki, bo to prawdziwy delikates...

Meredith słuchała, podpierając podbródek pięścią. Ta poza, Michael często właśnie tak siadał... Obserwowanie Meredith przypominało powolne wbijanie się samego siebie na pal.

- To straszne, że tak mało znałam własnego syna, nie sądzisz?

- Nikt nie wie wszystkiego o drugim człowieku, nawet najbliższym - odparła Josie, szczerze żałując, że jest to prawda.

Nagle do ich stolika podszedł mężczyzna, starszy, przystojny i smukły, o krótko przyciętych szpakowatych włosach. Powiedział, że wiosną był na recitalu Meredith w San Francisco, bardzo współczuje jej z powodu syna, jest wielkim wielbicielem jej stylu gry i tak dalej, i tak dalej, bla, bla, bla. Wielki wielbiciel, rzeczywiście... Meredith słuchała go z uprzejmym uśmiechem, zupełnie jak królowa. Absolutnie pewna, że zasługuje na te wszystkie zachwyty... Josie przemknęła myśl, że może da facetowi rękę do pocałowania. Jej fan nie był jednak żadnym tam pryszczatym chłopaczkiem, tylko dystygowanym mężczyzną, nosił spinki do mankietów, które wyglądały spod rękawa marynarki, a kontrast między jego szpakowatymi włosami i całkiem jeszcze młodą twarzą mógł spodobać się dojrzałej kobiecie, takiej jak Meredith. Facet bardzo współczuł Meredith, jasne, ale nie zapomniał poprosić o autograf na odwrocie swojej wizytówki. Potem

wrócił do stołu, lecz co jakiś czas odwracał się, żeby popatrzeć na Meredith.

- Zawsze chciałaś być sławna? - spytała Josie. Meredith popatrzyła na nią świetlistymi zielonymi oczami osadzonymi w bladej twarzy, uważnie, z namysłem. I znowu ten gest, dłoń pod podbródkiem, jeden palec na ustach, długi kciuk tuż pod szczęką. Matka i syn mieli tak podobne, duże dłonie...

- Chciałam być rozpoznawana przez cognoscenti i cieszyć się ich uznaniem.

W uszach Josie znowu zabrzmiał głos jej ojca. Widzisz, a nie mówiłem? Śmieje się z ciebie!

- Przepraszam, że jestem taką ignorantką, ale czy to ma być „tak”, czy „nie”?

Wyraz rozmarzenia w oczach Meredith zniknął, wróciło skupienie, skoncentrowana inteligencja.

- Przez niewielu ludzi, którzy doskonale znają się na czymś, w tym wypadku na muzyce i jej wykonywaniu. Cogno to po łacinie „rozpoznanie”, cogitato znaczy „myśleć”.

Zabolało, ale Josie rozumiała, że Meredith wcale nie stara się z niej kpić ani robić jej wodę z mózgu. Także i pod tym względem przypominała Michaela - zakładała, że rozmówca jest inteligentny, dawała mu szansę podciągnięcia się. Josie ceniła tę otwartość.

Kelner przyniósł zamówione danie i Josie się zdziwiła, że cielecy mózdzek wcale nie jest obrzydliwy. Był miękki i aksamitny, bez żadnych grudek, trochę podobny do wątróbki, ale pozbawiony tak mocnego, charakterystycznego smaku, zapieczony w maślanym sosie i podany z łagodną cebulą oraz puree z ziemniaków. Przypomniała sobie, że Jeremy radził jej, żeby wzięła serię zastrzyków witaminowych albo zjadła porządny stek. Ciekawe, jak to jest z mózdzkiem... Czy po zjedzeniu mózdzku człowiek wchodzi w posiadanie myśli i wiedzy zwierzęcia, które nosiło ten mózg w swojej głowie?

Chociaż niby co takiego mogłoby wiedzieć ciele... Dużo lepiej byłoby zjeść Meredith...

Meredith jadła widelcem i nożem, tak samo jak Michael. Josie także zaczęła jeść w ten sposób, było to eleganckie, ale teraz nie chciała, by Meredith pomyślała, że stara się jej zaimponować, zresztą i tak nie szło jej jeszcze dobrze. Nie tak jak Meredith, która z cudowną płynnością zwijała liście sałaty zębami widelca i zgrabnie wkładała do ust... Josie wiedziała, że sama rozmazałaby sos po całej twarzy.

- Więc nadal pozujesz - zauważyła Meredith.

Tak, Meredith, rozbieram się do naga przed obcymi. Dalej to robię. Tak jest.

- Między innymi.

- I starcza ci na czynsz?

- Tak.

Meredith przywołała kelnera, unosząc jeden palec i wskazując swoją pustą szklanę. Josie zdumiała się, że kelner obserwuje klientkę tak czujnie, iż jest w stanie zauważyć każdy jej gest, nawet najmniejszy. Ciekawe, jak to jest, kiedy człowiek ma tyle pewności siebie, niezachwiane przekonanie, że ktoś inny poświęca mu mnóstwo uwagi... Przypomniał jej się film, którego bohaterowie uczestniczyli w aukcji - któreś z nich przypadkiem kichnęło i w ten sposób stało się właścicielem koszmarnie drogiej wazy.

- Josie, długo o tym myślałam i... Powinnam była powiedzieć ci wcześniej... Gdybyś potrzebowała jakiegokolwiek pomocy, po prostu zadzwoń do mnie. Musisz zrozumieć, wtedy byłam wściekła na Michaela, wydawało mi się, że jeżeli nie będzie miał pieniędzy, wróci do domu...

- Wiem - powiedziała Josie.

Podobnie jak Michael, wołałaby podciąć sobie żyły niż przyjąć pieniądze od Meredith.

Kelner przyniósł Meredith świeżego drinka i zabrał pustą szklankę. Josie doszła do wniosku, że matka Michaela zamierza zalać się w trupa, bo teraz odsunęła sałatkę i sięgnęła po alkohol. Nie ulegało wątpliwości, że Meredith przyprowadziła tu Josie w jakimś celu, ale najwyraźniej musiała wlać w siebie odpowiednią ilość alkoholu, żeby powiedzieć to, co miała na wątrobie. Czyżby chodziło jej właśnie o to? Chciała wyrazić żal, że odcięła Michaela od pieniędzy? Czy może żal, że tamtego ranka w Los Feliz potraktowała Josie jak śmiecia? Josie wypła już prawie całego drinka i czuła się trochę tak, jakby otuliła się grubą warstwą waty.

- Ten szpakowaty gość ciągle się na ciebie gapi - zauważyła.

Meredith bez szczególnego zainteresowania zerknęła znad brzegu szklanki na swojego fana i jego biznesowych znajomych.

- Umawiasz się z facetami? - spytała Josie. - Nie teraz oczywiście, tylko w ogóle...

Kiedy słuchało się Michaela, można było odnieść wrażenie, że świat jego dzieciństwa i wczesnej młodości zamieszkiwał tylko on sam i matka. W jego opowieściach o podróżach nigdy nie pojawiał się żaden mężczyzna.

- Czy umawiam się z facetami... - powtórzyła Meredith, ujmując szklankę w obie dłonie i zaglądając do środka z takim zainteresowaniem, jakby spodziewała się znaleźć na dnie jakąś ważną wiadomość. - Brzmi to trochę młodzieżowo, nie wydaje ci się? Chodźmy do kawiarni na koktajl i takie tam rzeczy...

- Więc nie umawiasz się?

- Mam przyjaciół, nie żyję w celibacie.

- Michael myślał, że żyjesz...

Twarz Meredith rozjaśnił powolny uśmiech. Prawdziwy uśmiech, który uwydatnił zmarszczki wokół nosa i oczu.

- Cóż, nie chwaliłam się mu swoimi związkami... Kiedyś miałam romans z pewnym Czechem, skrzypkiem, i Michael zachowywał się po prostu niezdanie... Robił wszystko, co mógł, żebym zerwała z tym człowiekiem. - Zamieszała plastikowym patyczkiem drinka, przyglądając się, jak kostki lodu wirują w alkoholu. - Myślisz, że to był błąd? Że nie powinnam była trzymać go z dala od mojego życia seksualnego? Czy wtedy ochroniłabym go przed kompleksem Edypa? Czy może wręcz odwrotnie? Nie wiem. Byłam wszystkim, co miał, i nie mogłam przestać o tym myśleć...

Przecież sama stworzyła mu taki świat, pomyślała Josie. Mógł mieć ojca, wystarczyło, żeby mu tylko pozwoliła. A może nie, może wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Trudno było jej zdecydować, komu powinna wierzyć.

Meredith skrzyżowała ramiona, oparła je na brzegu stołu i pochyliła się do przodu. Perły wysunęły się spod kołnierzyka bluzki, wciągnęły całe światło, lśniły ciepło.

- Mam do ciebie ogromną prośbę, Josie... - Meredith zamknęła jedną dużą dłoń w drugiej i utkwiała w oczach dziewczyny nieruchome, lwe spojrzenie. - Chciałabym zobaczyć, gdzie mieszkał Michael...

Zawsze ukrywają jakieś karty w rękawie, usłyszała Josie głos ojca. We wszystkim, co robią i mówią, zawsze jest jakiś haczyk. Nie dostaniesz od nich nic, nic, słowo daję, chyba że zapłacisz... I faktycznie. Meredith wcale nie chciała ubliżyć się do niej, wcale nie zamierzała przekreślić swoich wcześniejszych wyobrażeń o dziewczynie Michaela czy zrozumieć tę część jego osobowości, która jej się wymknęła. Nie. Meredith chciała tylko zobaczyć miejsce, do którego uciekł Michael. Ten lunch to bynajmniej nie próba poznania się i dania Josie szansy. Oczy gwałtownie zapiekły ją od łez

upokorzenia. Ależ była głupia... Pokazano jej malutki kawałek tego wspaniałego świata, świata Meredith. Świata Michaela. I zaraz potem Meredith zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

- Dlaczego? Kiedy żył, nigdy nie chciałaś do nas przyjechać.

Tak, nigdy nie chciała obejrzeć ich mieszkania, wpaść na kolację, zaakceptować ich jako parę.

- Proszę cię, Josie... - prawie szepnęła Meredith. - Jego już nie ma. Chcę tylko zobaczyć... Zobaczyć jego dom.

Josie pociągnęła łyk wódki, chociaż w szklance został już tylko topniejący lód z lekkim posmakiem alkoholu. Meredith była naprawdę bezczelna. Prosić ją o coś takiego po tym, co wydarzyło się na cmentarzu, po tym, jak ukradła jej list. Po tym, jak groziła, że ją zabije, jak wyrzuciła ją z pokoju Michaela niczym złodziejkę...

Widziała, że tamta walczy z emocjami, że najchętniej znowu wyciągnęłaby ręce i chwyciła ją za gardło. Meredith miała takie duże dłonie, bez pierścionków, z krótko obciętymi paznokciami, nielakierowanymi, lśniącymi naturalnym połyskiem. Wyglądały jak dłonie z portretu. I patrzyła na nią błagalnie, z wargami ułożonymi w drżący uśmiech.

- Myślałam, że zamierzasz wynająć płatnego mordercę, by mnie załatwił. Zapomniałaś już, jak dzwoniłaś do mnie i groziłaś, że każesz mnie zabić?

Meredith przeprasząco wzruszyła ramionami.

- Josie, ludzie wygadują różne rzeczy, kiedy są w rozpacz...

- Więc teraz mam zabrać cię na wycieczkę po moim prywatnym życiu, tak?

- Jesteś taka podobna do Michaela... - Meredith przycisnęła palce do czoła, jakby chciała stłumić gwałtowny ból głowy. - Tyle w tobie oślego uporu... Proszę cię tylko,

żebyś pozwoliła mi zobaczyć wasze mieszkanie, nie chcę się tam wprowadzić, na miłość boską...

Josie ze wszystkich sił usiłowała być twarda, ale czuła już, jak z każdą chwilą coraz bardziej przechyla się w stronę Meredith, zupełnie jakby podłoga uniosła się z jednej strony. Ta kobieta miała nad nią władzę, podbijała ją swoją siłą woli, urodą, podobieństwem do Michaela. Za jego życia nie przyjechała ani razu, nie chciała zobaczyć go z dziewczyną, tworzącego własny dom, nie chciała widzieć w nim mężczyzny, a teraz błagała, aby Josie pozwoliła jej zwiedzić ruiny. Była jak turystka, która przyjeżdża do zniszczonego przez huragan miasta, spragniona widoku zburzonych domów.

- Proszę cię, Josie... Ty byłaś w moim domu, widziałaś jego pokój, widziałaś wszystko... - Meredith zniżyła głos, chociaż i tak mówiła już cicho. - Próbowałam wyobrazić sobie jego dom, ale nie potrafię... Tak bardzo za nim tęsknię... Proszę cię...

Josie czuła, jak wewnątrz ślizga się i traci równowagę, zupełnie jak pies na wypastowanej i wyfroterowanej podłodze. Ten niski hipnotyczny głos, kojący nerwy, nadający jej nową formę, nowy kształt, nową postać, kruchą i bierną. Wiedziała, że nie powinna wpuszczać Meredith do mieszkania, w którym Michael starał się żyć własnym życiem. W którym przeżywał jedyny okres swego istnienia wolny od bezpośredniego wpływu matki. Musiała szanować wolę Michaela, była mu to winna, prawda?

Meredith czekała na odpowiedź. Wyglądała na zrozpaczoną, rozbitą i kompletnie zagubioną, nawet mimo tych swoich pereł i kaszmirowego swetra. Grzywa ciemnych włosów, oczy, wszystko to było żywe, a Michael był martwy martwy. To on zostawił ją, Josie, samą. To on złamał obietnice, które jej złożył.

- W porządku - powiedziała. - Ale ja prowadzę.

15. Wycieczka

Meredith zostawiła jaguara na parkingu przed centrum handlowym Bullock's Wilshire. Josie podjechała falconem pod portyk z tyłu modnego sklepu, wyraźniej niż kiedykolwiek słysząc hałas spowodowany przez słaby tłumik. Razem z Pen wybrała się kiedyś do Bullocks, żeby zobaczyć, jak wyglądają wnętrza. Wszędzie wisiały lustra w stylu lat trzydziestych, drzwi zdobiły szyby z mrożonego, stylizowanego na secesję szkła. Nie stać ich było, żeby sobie cokolwiek kupić, Pen wyłudziła tylko od sprzedawczyni z działu kosmetyków próbkę wody toaletowej Lanvina. Josie była przekonana, że Meredith miała tu kartę rabatową i że większość sprzedawców dobrze ją znała. Dzień dobry, Miss Loewy, jak miło panią widzieć... Na pewno pamiętali, jakie rozmiary nosiła i jakie były jej ulubione kolory. Josie pośpiesznie przerzuciła leżące na siedzeniu z przodu rzeczy do tyłu, aby zrobić miejsce dla Meredith, która wsiadła, starannie otulając się czarnym płaszczem, pewnie przede wszystkim po to, by zminimalizować kontakt z siedzeniem. Wyraz jej ściągniętej twarzy przypominał Josie dzień, kiedy to razem z Laurie Smart wróciła z podwórka, gdzie bawiły się między ciężarówkami, i zastała matkę Laurie, siedzącą na kanapie zasypanej rzeczami do prania. Obie kobiety, Laurie wtedy i Meredith teraz, sprawiały wrażenie, jakby za wszelką cenę pragnęły się znaleźć gdzie indziej. Janey, starając się być dobrą gospodynią, częstowała gościa kilkoma ułożonymi na talerzu ciasteczkami.

Josie włączyła taśmę z nagraniem z koncertu Meredith, grającej utwór Pierrot Lunaire. Kanciaste frazy, mocny głos niemieckiej śpiewaczki... Słyszając pierwsze dźwięki, Meredith drgnęła i utkwiała wzrok w magnetofonie. Pewnie wyobrażała sobie, że Josie ogłuszy ją jakimś dudniącym rockiem, chociaż,

szczerze mówiąc, utwór Schonberga brzmiał chyba jeszcze dziwnej.

- Dobry Boże... - mruknęła Meredith, opierając się wygodniej i wsuwając dłonie do kieszeni. - Ta kobieta nigdy nie potrafiła wyraźnie artykułować wyrazów na końcu zdań... Tak to bywa ze śpiewaczkami...

Ruszyły w górę mrocznej od sadzy Alvarado, pełnej agencji turystycznych i meksykańskich barów, i wyjechały na Sunset. Właściciele kramików rozstawionych na szerokich chodnikach sprzedawali dosłownie wszystko - kokosy i juki, tamale, carne asada, lody w rożkach i wafelkach, trawkę w foliowych torebkach. Pod dachem ozdobionym wielkimi neonami firm, które przestały istnieć w latach dwudziestych (Jensens Recreation, Foster Brothers, Lux Vacuums), działały teraz duże hurtownie. W oczach Josie był to znak, że wszystko zmienia się i przemija, nie pozostawiając po sobie prawie żadnego śladu. Meredith postawiła kołnierz płaszcz, jakby temperatura spadła nagle o dziesięć stopni, lecz jej zielone oczy błyszczały inteligencją dzieci, siedzących w pierwszej ławce.

- To nasza panaderia - odezwała się Josie. Piekarnia z diazepamem, ludzie stojący w kolejce po wypiekany tylko tutaj chleb Tres Reyes oraz valium. I pralnia.

- Michael przychodził tu prać nasze rzeczy...

Jakaś kobieta przytrzymała drzwi, wypuszczając na ulicę gromadkę dzieci. Z opartego na jej biodrze kosza z bielizną unosiły się obłoczki pary. Josie znowu ogarnęło bardzo mocne uczucie, że z pralni wyjdzie zaraz Michael z niebiesko - czerwonym płóciennym workiem na ramieniu. Z trudem przełknęła ślinę.

- Zawsze wypytywał te kobiety, jakiego detergentu używają i co czytają w brukowcach...

Meredith zerknęła na mały budynek i schowała głowę w kołnierz niczym żółw, zupełnie jakby obawiała się, że ktoś ją rozpozna.

- Rzucił Harvard, żeby pracować rzeczy Josie Tyrell... Żeby rozmawiać o proszkach do prania i zmiękczaczkach z ubogimi kurami domowymi... - rozciągnęła szerokie wargi w ironicznym uśmiechu, podobnym do gorzkiego uśmieszku Michaela. - Zawsze bał się ludzi ze swojej własnej klasy, sądził, że ukryje się i odnajdzie wśród biednych... San Miguel z parku Echo...

Josie jednym krótkim spojrzeniem oceniła szerokość drogi, sprawdzając, czy uda jej się wykonać pełny obrót. Gwałtownie szarpnęła kierownicę, obróciła samochód o 180 stopni, w ostatniej chwili unikając zderzenia z białą ciężarówką, która wyjechała zza rogu.

- Jezu, zwariowałaś?! - Meredith chwyciła się deski. - Mogłyśmy zginąć!

- Całkiem możliwe, że świat tylko by na tym zyskał...

Meredith oparła głowę, zamknęła oczy. Falująca, dwunastotonowa nowoczesność tworzyła dziwną harmonię dźwięku z muzyką country, dobiegającą z głośników jadącego za nimi samochodu. Josie spojrzała przez okno na mężczyznę, który kierował wozem, trzymając na kolanach małego pieska chihuahua. Pies stał z przednimi łapami opartymi o kierownicę.

Michael od początku ostrzegał ją, że jego matce nie można ufać. Meredith była aktorką, która najlepszą część siebie zostawiała dla publiczności, czekającej z zapartym tchem na pierwsze uderzenia jej palców w czarne i białe klawisze. Nie miała prawa oglądać ich prywatnego świata, La Boheme, przedziału Błażeja i Żanny. Josie czuła się tak, jakby miała wpuścić ją do ich łóżka, pozwolić patrzeć, jak się kochają. Wyłączyła magnetofon.

Meredith położyła ukrytą w rękawiczce dłoń na rękawie kurtki Josie.

- Proszę cię, daj spokój... Przecież sama wiesz najlepiej, że Michael miał swoje fantazje na temat tak zwanego prawdziwego życia...

- Za to twoje życie jest takie prawdziwe, co? Nie wydaje mi się...

Minęły cuchnący zjełczałym olejem fast food z neonem „Chinese and American Food/Donuts”.

- Wybacz mi... Chcę zrozumieć, staram się... - Meredith ściszyła głos do gorączkowego, rozpaczliwego szeptu. - Naprawdę chcę zrozumieć, Josie... Bardzo cię przepraszam... Czasami zachowuję się jak potworna suka, ale nie robię tego celowo... Potem zawsze żałuję, że byłam wredna, możesz mi wierzyć...

I Josie zaczęła zwalniać. W głosie Meredith usłyszała nutę, która przemówiła do jej serca. Pomyślała o Calu. To niczyja wina... Dobrze chociaż, że Meredith nie wciskała jej podobnego kitu. Przejechały obok kiosku, gdzie starzy mężczyźni czytali hiszpańskojęzyczne gazety, palili papierosy i żartowali. Młody chłopak i dziewczyna szli objęci, szepcząc sobie coś do ucha i z rozbawieniem zerkając na starszków, dla których miłość należała już do przeszłości. Przed rokiem tak samo zachowywali się Josie i Michael. Dopiero później okazało się, że miłość jest rośliną, której czas dojrzewania przychodzi i przemija.

- Jeżeli cię tam zawiozę, nie chcę, żebyś cokolwiek mówiła - odezwała się Josie. - Myśl sobie, co chcesz, ale nic nie mów, zgadzasz się?

- Obiecuję - powiedziała Meredith. - Dziękuję ci.

Josie skrzyła w bok z Sunset i ruszyła w górę, mijając zamkniętą szkołę podstawową, gdzie na boisku bawili się starsi chłopcy. Wspinali się po założonych na specjalnej

ściance łańcuchach, grali w kosza i jeździli na rowerkach młodszych braci, przepelnieni uczuciem skradzionej swobody. W miarę jak samochód piał się pod górę, ulice zwężały się i Josie co chwilę musiała zjeżdżać na bok, by przepuścić samochód jadący z naprzeciwka. Stara kobieta o siwiejących włosach ściągniętych w koczek podlewała mały ogródek, ubrana w szlafrok, kaptcie i białe skarpetki. Chłopczyk ze zwisającą prawie do kolan pieluchą biegał w tę i z powrotem po chodniku, rozbawiony, rozdokazywany, drażniąc się z młodą matką. Trzej mężczyźni stali pochyleni nad otwartą maską rozbitej półciężarówki toyota, pochłonięci dyskusją o naprawie silnika. Popołudniowy klub pasjonatów, pomyślała Josie. Meredith trzymała głowę nisko, jak szpieg albo policjant w cywilu, ale uważnie rozglądała się dookoła. Tropikalne rośliny bujnie krzewiły się na zaniedbanych podwórkach. Z prawej i z lewej roztaczały się imponujące widoki, Hollywood, wzgórza, park Elysian, rosyjska cerkiew o połączonych cebulastych kopułach. Może Meredith starała się zapamiętać drogę na wypadek, gdyby Josie zostawiła ją gdzieś samą, kto wie... W sumie był to niezły pomysł. Josie mogłaby kazać tej stale podróżującej po świecie pianistce w perłach wysiąść tutaj albo gdziekolwiek indziej... Ciekawe, czy Meredith trafiłaby stąd do domu...

- Skąd wiesz, czy nie zawiozę cię dokądś i nie zostawię na poboczu?

Meredith lekko wzruszyła ramionami, bynajmniej nie przestraszona.

- Dobrze wiedzieć, że pielęgnujesz w wyobraźni takie marzenia... - mruknęła.

Ulica rozdzieliła się na dwie odnogi i znowu połączyła w jedną, wszystko po to, aby jakoś pokonać stromizną zbocza. W długim owalu ziemi między pasmami jezdni rosło geranium i inne rośliny w kępkach. Josie zwolniła,

zaparkowała. Stojący tuż przy ulicy dom, należący do Cesara i Veroniki zaniedbany bungalow, z którego płatami opadała niebieska farba, był częściowo ukryty za olbrzymim rajskim ptakiem. Wielkie ptaszysko sięgało głową ponad dach, miało wielki czarny dziób i jasnozielone pióra wielkości dorodnych bananów. Josie zawsze lubiła potężnego ptaka, wiedziała jednak, że Meredith wyda on się żałośnie tandetny. Była zadowolona, że zabroniła jej się odzywać. Poprowadziła matkę Michaela do furtki z boku i podniosła pętlę z kabla, która zastępowała zamek. Meredith musiała schodzić po stromych drewnianych schodach powoli, przytrzymując się metalowej poręczy. Przystanąły na ganku małego domku z tyłu, dyskretnie zasłoniętego przez dom Cesara i Veroniki. Josie otworzyła drzwi. Czuła obecność Meredith, która stała za jej plecami, wysokiej, szczupłej, sztywnej, o długich palcach, które nerwowo splatały się i rozplatały.

Josie wrzuciła klucze do miski stojącej na małym stoliku, który pomalowali czerwoną farbą, tym z zielonymi syrenami. Dobrze, że zdążyła trochę posprzątać poprzedniej nocy, kiedy nie mogła zasnąć... Meredith wciąż stała przy drzwiach, zupełnie bez ruchu, jakby ktoś przytknął jej lufę pistoletu do czoła. Przez głowę Josie przebiegła myśl, że zaraz podniesie ręce w geście kapitulacji. Podobne w kształcie do migdałów oczy Meredith chłoneły widok pokoju, przesyconego obecnością Michaela. Ściany pokryte jego malowidłami i rysunkami. Ich kolekcje dziwacznych czapek i kapeluszy, ohydnych krawatów i śmiesznych podpórek do zdjęć, pocztówek i książek, rozłożone na stołach i parapetach. Kulawa kanapa, którą Josie obiała niebieskim sztucznym futrem. I widok z okna - obserwatorium na szczycie wzgórza, podobne do siedzącego na tronie króla. Wielkie litery tworzące napis HOLLYWOOD, śmiesznie wyglądające w rozmytym zimowym świetle.

- Możesz zdjąć płaszcz - powiedziała.

Ale Meredith chyba nawet nie usłyszała. Ruszyła w stronę okna, powoli, jakby poruszała się we śnie i bała się obudzić, przerażona, że wszystko, co ją otacza, nagle zniknie. Położyła rękę na oparciu fotela, popatrzyła na zrobiony z wyciorów do fajki cyrk na parapecie. Wzięła do ręki słonia Baltazara, delikatnie go odwróciła, obejrzała pod światło. Podeszła do półki, przesunęła palcami po książkach i czasopismach. Otworzyła tomik wierszy Valéry ego. Josie miała ochotę wyrwać jej książkę z rąk. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jak przyjmie obecność Meredith w swoim domu. Jakie wrażenie wywrze na niej to wtargnięcie, oglądanie ich życia jak wystawy, dotykanie go. Czuła się tak, jakby Meredith każdym spojrzeniem, każdym dotykiem wymazywała kolejne rzeczy, pozbawiała je istnienia. Dom wydawał się kulić w sobie, zasłaniać przed jej wzrokiem. Wszystkie sprzęty i drobiazgi miały tu tak mało towarzystwa... Był to prawdziwy raj po chaosie poprzedniego mieszkania, chociaż Josie musiała przyznać, że była trochę zmęczona tym prywatnym, samotniczym życiem. Tkwiła tu, schwytana w pułapkę jego zmiennych nastrojów, jego chęci drażnienia się z nią, wypróbowywania jej cierpliwości. Świadomości, że oblewa kolejne egzaminy, które kazał jej zdawać, że kłamie i kręci, aby ich uniknąć, jak dziecko, wcale nie dwudziestoletnia kobieta, mogąca robić, co chce, i nie przeproszać za to, jak żyje.

Zostawiła Meredith samą. Pozwoliła jej nasycić zmysły życiem, którego wcześniej przecież nie chciała poznać, i poszła do kuchni przygotować herbatę. Nalała wody do czajnika, postawiła go na fajerce, zapaliła gaz.

- Jakie to piękne... - Meredith weszła do kuchni, rozgarniając zasłonę z koralików.

W rękę trzymała obraz, autoportret Michaela jako Maga z talii tarota. Jej Maga. Na stole przed Michaeliem spoczywały cztery emblematy, cztery symbole - puchar, miecz, różdżka i moneta.

- Mogę go sobie wziąć?

Woda zabulgotała w emaliowanym czajniku w kropki, który Michael bardzo lubił, bo czajnik nie gwizdał. Josie wyłączyła gaz i przeszła obok Meredith i jej zdobyczy.

- To nie zakupy - powiedziała.

Zbiegła po schodach do ogródka i zerwała trochę mięty, zasadzonej przez Michaela w donicy z samochodowych opon, które znalazł za ogrodzeniem. Ten świeży, mentolowy zapach... Kiedyś był to maleńki krzaczek, roślina za pięćdziesiąt centów. Michael nawadniał ją starannie, a potem przesadził do małego, cienistego ogrodu. Wszystkie rośliny zasadzili tu sami. Wspaniale było kupować je u ogrodnika i własnoręcznie „przeprowadzać” na wolność. Wcześniej Josie nigdy nie zasadziła choćby stokrotki. Ich dzungla miała przypominać rajski ogród. Teraz mięta sięgała do kolan, rozkrzewiona na szerokość prawie metra. Co za ironia - ten krzak czuł się tu doskonale, lecz chłopaka, który go zasadził, nie było już na świecie... Josie schowała liście pod sweter, robiąc z nich malutką poduszczkę.

Wszystko w ogródku wołało imię Michaela - skrzydlaste begonie, kalie, glorie, które później rosły wysoko jak drzewa. Wróciła do domu, gdzie Meredith przeglądała książki. Chyba czegoś szukała... Niech szuka, co tam... Josie zajęła się parzeniem herbaty, myśląc o tym, że w domu nie ma właściwie ani jednej rzeczy, która nie nosiłaby na sobie wyraźnego odcisku jego osobowości. Słoiki i puszki egzotycznych przypraw, ustawione na tle malowanych ceramicznych płytek, przypraw kupowanych w sklepikach tajskich, hinduskich, koreańskich, tureckich, salvadorskich,

etiopskich... Poobijane rondle, zwisające z koła od roweru, umocowanego nad kuchenką. Nie była w stanie uciec od Michaela. Mogła podać Meredith herbatę miętową, którą ona i Michael zawsze chętnie pili, albo earl greya, którego nie znosił, ale sam fakt, że nie lubił tego aromatu, nadawał mu znamię przynależności do niego, nie do kogoś innego. Powoli zaczynało do niej docierać, dlaczego ludzie sprzedają lub oddają wszystko, co mają, i wyjeżdżają z miasta, przeprowadzając się do pokoju w motelu gdzieś koło Bishop albo coś w tym rodzaju. Może powinna oddać wszystko Meredith i wyjść stąd bez niczego, tylko w ubraniu, które miała na sobie... Wrzuciła liście mięty do imbryczka, który kupili na zorganizowanej przez studentów wyprzedaży w Otis, imbryczka koloru kaczych jajek. Eleganckie rzeczy... Grali w taką grę, zaczerpnęli ten pomysł z książki Michaela. The Pillow Book of Sei Shonagon.

- Kacze jajka? - zdziwiła się. - To niby taki wytworny kolor?

- Mają szczególny, wyjątkowy odcień zieleni - odparł. - Bardzo piękny. Powinnaś wiedzieć, co to za barwa, przecież wychowałaś się na wsi, prawda?

Nie miał pojęcia, że zapchane ciężarówkami podwórko w Bakersfield miało mniej więcej tyle wspólnego ze wsią co Los Feliz. Josie napełniła imbryk wrzątkiem, uwolniła jasną świeżość prosto w powietrze. Parę sekund później usłyszała głos Meredith.

- O Boże...

Ostry ton zdławionego okrzyku sprawił, że szybko wytarła ręce ścierką do naczyń i pobiegła do pokoju. Meredith z dłonią przytkniętą do ust powoli osuwała się na niską kanapę, wyglądało to tak, jakby składała się wpół, tworząc twardy pakiet rozpacz i zaskoczenia. W końcu zauważyła duży obraz, któremu Michael nadał tytuł Cywilizacja i jej ofiary. Na

jej twarzy malowało się to samo paraliżujące przerażenie, które Josie dostrzegła w oczach Michaela tamtego dnia, kiedy zobaczyli potrąconego przez samochód psa. Pies wił się w błocie, a Michael nie potrafił nic zrobić, wpatrywał się tylko w zwierzę z dokładnie taką samą bezradnością. Stał nieruchomo, przykuty wzrokiem do nieszczęsnej ofiary, niezdolny zareagować, pomóc ani odwrócić się tyłem.

Dopiero teraz Meredith zobaczyła samą siebie, wspinającą się po schodach w sennym koszmarze swojego syna i dźwigającą w ramionach dziwne ciężary tego świata. Każda z namalowanych kobiet miała jej twarz, ślepą i znieruchomiałą w transie. Te wyidealizowane twarze nie nosiły piętna rozpacz, którym śmierć Michaela naznaczyła prawdziwą twarz jego matki. Meredith siedziała sztywno, ale coś wewnątrz niej wiło się w szalonym, spazmatycznym tańcu, zupełnie jak tamten pies.

Josie nie mogła powiedzieć nic, co mogłoby poprawić sytuację. Napełniła herbatą malutkie seledynowe filiżaneczki, pięknie glazurowane. Kiedyś ona i Michael użyli ich w prawdziwej ceremonii parzenia i picia herbaty, którą sami zorganizowali. Michael maleńkim mieszadełkiem ubijał gorzkawą, startą prawie na puder herbatę. Wszystko przebiegało powoli, cudownie powoli, rytuał przekreślał czas, zatrzymywał go, i człowiek przenosił się do wiecznej przestrzeni, a miejsce, gdzie się znajdował, stawało się Prawdziwym Światem. Meredith nie zauważyła tego, lecz Josie przed podaniem przekręciła filiżankę o 180 stopni, bo właśnie tak należało zrobić.

Meredith nie wzięła podanej filiżanki, nawet nie odwróciła głowy, nie oderwała wzroku od obrazu. Josie czuła się teraz tak, jakby Michael nagle wrócił do niej, tyle że w tym szczególnym nastroju, kiedy to nie mogła się do niego

odzywać, mogła tylko przebywać w pobliżu, aby miał świadomość, że nie jest sam.

Tak właśnie się czuła, chociaż on już nie żył. Nie miała cienia wątpliwości, że czeka ją jeszcze wiele takich chwil. Każdy dzień przynosił coś nowego, zupełnie jakby jedna śmierć nie wystarczała, jakby straszliwa sadzonka rozpaczy rozrastała się, jakby ktoś podawał Josie kolejne dania katastrofy, budził ból wciąż od nowa, na różne sposoby, których nie sposób było przewidzieć.

- Jak możesz mieszkać tutaj? - wyszeptała Meredith. - Ja nie jestem w stanie wejść do jego pokoju...

- Czasami udaję, że tak naprawdę wcale nie odszedł - Josie usiadła na kanapie i podała filiżankę Meredith, tym razem z powodzeniem. - Mówię sobie, że poszedł do sklepu albo do biblioteki, że lada chwila wróci. Czasami rozmawiam z nim tak, jakby był tutaj, tylko na moment zniknął mi z oczu...

Meredith zasłoniła twarz dłońmi, obejmując palcami boki i tył głowy.

- Nie zniosę tego... Już nie mogę...

Tak mawiał Michael. Josie spierała się z nim wtedy, przypominała mu, że te nastroje przemijają, że miał przecież w życiu dobre chwile, które wrócą także i tym razem, wystarczy tylko, że przestanie zapędzać się na samo dno smutku, że wyjdzie z domu, może wróci do pracy albo znowu sięgnie po pędzel. Dlaczego nie słuchała? Dlaczego nie słyszała? Coraz częściej przychodziło jej do głowy, że może rzeczywiście istnieje coś takiego jak karma, ta powtarzalność istnienia, że może człowiek musi przechodzić przez to samo doświadczenie raz, drugi, trzeci i czwarty, aż w końcu nauczy się przyjmować je obojętnie. Może w końcu przeżycia tracą na intensywności, może w końcu stają się niczym. Ale w jej wypadku wszystko stawało się coraz gorsze... Za oknem

pokoju dwa, nie, trzy kosy biły się o coś nad czerwonymi kwiatami malwy, wymieniając gwałtowne ciosy dziobami.

- Napij się herbaty, zanim wystygnie - powiedziała i pociągnęła łyk napoju, wdychając świeży, czysty zapach.

Meredith podniosła filiżankę do ust i napiła się mechanicznie. Nadal nie mogła oderwać oczu od obrazu. Wszystkie te ślepe Meredith, wchodzące po białych schodach. Ślepotą... Nie tylko Meredith była nią dotknięta, o, nie...

- Sami hodujemy miętę...

- Nie ma żadnego „my” - oznajmiła tępo Meredith. - Jesteś tylko ty...

Wszystko przypominało jej o jego śmierci, nawet najkrótsze, najmniej znaczące zdanie mogło być pułapką, mogło przywołać niekończące się wspomnienia. Lepiej w ogóle przestać mówić...

- To był chyba błąd... - Meredith postawiła filiżankę na stoliku.

Josie zrozumiała, że matka Michaela chce już wyjść, lecz teraz pragnęła ją zatrzymać.

- Myślałam, że chcesz obejrzeć mieszkanie...

Ciemne włosy opadły na twarz Meredith, kiedy pochyliła głowę, żeby spojrzeć na dwie leżące na jej kolanach książki, które wcześniej zdjęła z półki.

- Są moje - powiedziała znużonym, lecz nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Pierwszą z książek był zbiór wierszy Paula Valery'ego, po francusku. Meredith podniosła okładkę i położyła palec na swoim imieniu i nazwisku, wypisanym zdecydowanymi, trójkątnymi literami. Druga, oprawiona w zieloną skórę, nosiła złoty tytuł Jądro ciemności. Meredith otworzyła tom na samym końcu i pokazała Josie biały kwadrat z niebieskim rysunkiem stojaka na nuty, dyrygenckiej batuty i wykonanym w stylu lat trzydziestych napisem: „Z biblioteki Mauritz

Loewy'ego". „L" wyglądało zupełnie jak łabędź. Była to bardzo krótka powieść, historia człowieka, który wyrusza w górę afrykańskiej rzeki na poszukiwanie innego białego, samozwańczego władcy znajdującego się w dżungli państwa kanibali. Na podstawie tej książki Coppola zrobił film Czas apokalipsy, na który Michael i Josie wybrali się do kina Vagabond. Opowieść o podróży do siedziby białego, który oszalał, o śmierci, która panoszy się i czai dosłownie wszędzie, o przerażającej, okropnej krainie nad rzeką, krainie, gdzie wszystkie lęki stają się prawdą. Michael mówił, że każdy człowiek nosi w sobie Kurtza, a Josie spierała się z nim gorąco, jakby zaprzeczając, mogła odepchnąć ciemność, którą już wtedy w nim wyczuwała. Meredith z trzaskiem zamknęła książkę.

- Tylko właściwie po co mi ta książka? - Rzuciła ją na kanapę. - Kiedy będę czytać Conrada? Nigdy. Sprzedaj ją. Może dostaniesz za nią trochę pieniędzy, bo to pierwsze wydanie... - Znowu potoczyła wzrokiem po pokoju, spojrzała w okno. - Czy to Cal płacił za wynajęcie tego mieszkania? Zawsze się nad tym zastanawiałam... Przecież nie mieliście złamanego grosza!

- Pracowaliśmy - Josie postłodziła drugą filiżankę herbaty odrobiną miodu.

- Chcesz powiedzieć, że ty pracowałeś - szerokie wargi Meredith rozciągnęły się w sarkastycznym uśmiechu.

Te wargi...

- Michael też miał pracę - Josie pociągnęła łyk herbaty, z przyjemnością smakując jej świeżość.

- Michael?

Kobieta odwróciła się i popatrzyła na Josie w taki sposób, jakby ta przemówiła nagle do niej po chińsku. Dawno temu, we wczesnym dzieciństwie Josie poszła kiedyś z babcią Idą na nabożeństwo w duchu odnowy wiary i widziała, jak ludzie

rzucali się na ziemię, miotali w drgawkach i mówili obcymi językami, rzekomo pod wpływem głębokiego oczyszczenia i nawrócenia. Wtedy wydało jej się to śmieszne. Nie sądziła, aby to popołudnie i rozmowa z Meredith rozbawiły ją w jakikolwiek sposób, ale przecież nigdy nic nie wiadomo... Meredith uważała, że wie wszystko o Michaelu, jednak bardzo się myliła.

- Grał na fortepianie na lekcjach tańca dla dzieci - powiedziała. - Maluchy nazywały go „Senor Music”...

Teraz Meredith wybuchnęła śmiechem, odrzuciła głowę do tyłu i śmiała się z szeroko otwartymi ustami. Josie widziała jej duże kwadratowe zęby, takie jak zęby Michaela. Meredith śmiała się i śmiała, dziko, niepohamowanie i rozpaczliwie, aż w końcu łzy popłynęły z kącików jej migdałowych oczu, szukając schronienia wśród ciemnych włosów.

- Senor Music? Ale przecież Michael nienawidził dzieci, nawet gdy jeszcze sam był mały! Mali barbarzyńcy, tak zawsze o nich mówił...

- Dzięki tym zajęciom przestał ich nienawidzić. Rozmawialiśmy nawet o własnym dziecku.

Śmiech umilkł, rysy twarzy Meredith znowu ułożyły się w tragiczny wyraz.

- Dzięki Bogu za drobne łaski, dzięki Bogu, że nic z tego nie wyszło...

Ręce Josie zaczęły dygotać. Miała ochotę uderzyć tę kobietę, uderzyć ją z całej siły, choć na pewno szczerze cierpiała, patrząc na samą siebie, jak ślepa i blada niczym ściana wspina się po schodach ku nieznanemu celowi.

- Nie patrz tak na mnie... Potrafisz sobie wyobrazić, jak czułoby się dziecko, którego ojciec popełnił samobójstwo przed jego narodzinami? Które potem wychowywałaby jakaś niewykształcona, niedouczona Okie?

Okie... Okie, nędzarze z Oklahomy. Właśnie tak nazywano ubogich przybyszów z Oklahomy, między innymi rodziców jej ojca, którzy przyjechali do Kalifornii zbierać bawełnę i pomarańcze. Babcia Ida i dziadziuś Jack nie chcieli, żeby ich córka wyszła za tego Okie, Glenna Tyrella. Okie... Oto czym była Josie, nawet po tych wszystkich latach. Podobnie inni patrzyli na Meredith i myśleli: „Żydówka”. Niezależnie od tego, jak dobrze grała na fortepianie. Josie wstała i podeszła do drzwi. Prawdopodobnie była to pierwsza myśl, jaka zaświtała Meredith w głowie tamtego dnia, kiedy się poznały - strach, że taka dziewczyna wejdzie do rodziny Loewych tylnymi drzwiami, dzięki ciąży. Najstarsza bajka świata, prawda?

Ale gdyby Josie zaszła w ciążę, obie miałyby coś z Michaela. Michael żyłby dalej, a teraz odszedł na zawsze, zniknął bez śladu.

- Suka z ciebie, co? - Josie wróciła do stołu i podniosła tacę. - Chyba powinnaś już sobie pójść...

Wróciła z tacą do kuchni, postawiła ją na szorstkim drewnianym blacie, wylała resztę herbaty do zlewozmywaka, wyjęła miętowe liście z imbryczka i włożyła je do kompostowej puszki. Sama nie zbierała odpadków na kompost, to była działka Michaela. Kompostowanie było dla niego ważne, uważał, że w ten sposób człowiek może przywrócić ziemi cenne składniki odżywcze. Zupełnie jakby istniała jakaś przyszłość... Dlaczego ziemia nie miałaby w tym samym stopniu co wszystko inne być ofiarą gwałtu i bezpłodności?

Meredith rozgarnęła drewniane koraliki, stanęła obok lodówki.

- Przepraszam, Josie. Wybacz mi. Rzeczy, którymi dawniej tak się martwiłam, teraz nie mają już sensu...

- Nie chciałybyś mieć wnuka. Nie chciałybyś dziecka Michaela, bo byłoby także i moje... - Josie wyjęła gauloise'a z popielniczki stojącej na zlewozmywaku, zapaliła niedopałek. - Jesteś naprawdę pokrecona...

- Opowiedz mi coś jeszcze o Seniorze Music...

- Nie.

Matka Michaela przeczesowała sznury drewnianych kuleczek palcami, całkiem jak długie włosy.

- Josie, wszystko to razem okazało się dla mnie o wiele trudniejsze, niż myślałam... Ten obraz... - ostatnie dwa słowa wyszeptała cicho, ledwo dosłyszalnie. - Opowiedz mi, proszę... Opowiedz, jaki był Michael jako Senior Music...

Josie umyła imbryk, nie odrywając oczu od błękitnawych gór na północy, obrysowanych od góry białą linią śniegu.

- Lubił tę pracę, bo nie musiał być geniuszem, wystarczało, że przychodził na lekcje. Odkrył, że dobrze sobie radzi, i nie musiał robić nic więcej, nie musiał nikomu niczego udowadniać...

Josie nie była okrutna z natury, ale Michael nauczył ją, jak być bezlitosną. Nauczył ją wszystkiego, co wiedziała i umiała.

- Była to dla niego ogromna ulga. Miał dość demonstrowania, że jest najlepszy we wszystkim, do czego się bierze...

Meredith wpatrywała się w zniszczone linoleum, ciemne rzęsy rzucały cień na policzki. Wyglądała jak Michael w tych chwilach, kiedy unikał wzroku Josie, kiedy opuszczał powieki niczym żaluzje. Josie czuła się jak na torturach. Znowu widziała charakterystyczny dla Michaela wyraz twarzy i myślała, że zaraz oszaleje.

Matka Michaela przycisnęła długie palce do płaskiego miejsca na czole tuż nad brwiami, zupełnie jakby chciała wgnieść czaszkę i dotknąć mózgu.

- Uważasz, że stawiałam mu za duże wymagania...

Za oknem nad śniadaniowym kącikiem mały klucz kaczek przeciął blade zimowe niebo, zmierzając w kierunku gniazd nad rzeką. Ptaki leciały szybko, z wyciągniętymi szyjami. Josie pamiętała, jak ojciec i wujek Dave wieczorami jeździli polować na kaczki nad rzeką Kern. Wuj Dave miał czarnego labradora o imieniu Teddy, który przynosił mu ustrzelone kaczki. Michael nauczył ją rozpoznawać sylwetki ptaków właśnie z tego okna - jastrzębie, wrony, żurawie, gęsi, kaczki... Lubiła zwarte formacje, jakie tworzyły te ostatnie, natomiast Michael największą sympatią darzył jastrzębie, drapieżne ptaki o czerwonych ogonach, z szerokimi, trochę strzępiastymi skrzydłami. Jastrząb płonący znieruchomiał, przypomniały jej się słowa piosenki.

- Co cię obchodzi moja opinia? Nie udawaj...

- Więc co się stało? Wyrzucili go? - Meredith zniżyła głos. - Przez narkotyki? Chcę wiedzieć, naprawdę... Michael zawsze zaprzeczał, że bierze, ale nigdy nie byłam pewna...

Josie zaśmiała się, raz, krótko. Michael powiedział jej kiedyś, że Meredith od swoich dziewiętnastych urodzin nie przespaa ani jednej nocy bez proszka nasennego.

- Nie chodziło o narkotyki. Michael miał dosyć pracy u Reynalda i zrezygnował.

- Zawsze rezygnował - Meredith pokiwała głową. - Po jakimś czasie zrezygnowałby i z malowania, możesz mi wierzyć.

Czy powinna zaprzeczyć? A może ważniejsze było, żeby jak najprędzej i bez walki pozbyć się Meredith z domu?

- Nauczyciel tańca zakochał się w Michaelu, a on zaczął czuć się w tej sytuacji co najmniej nieswojo...

- Powinno mu to pochlebiać - zauważyła Meredith niskim, zachrypniętym głosem.

Jej świetliste oczy pełne były wiedzy o świecie, istniały jednak rzeczy, o których nie miała pojęcia. Było coś, co Josie

mogła powiedzieć, aby zetrzeć z jej twarzy ironiczny, pewny siebie uśmiezek. Michael zabiłby ją za to, ale Michaela już nie było.

- Nie, nie pochlebiało mu to. Bał się. I nic dziwnego, po tym gwałcie w Meadowlands...

Meredith wyciągnęła rękę, żeby podnieść kartkę starego kalendarza, który powiesili na bocznej ścianie lodówki, ale nie dokończyła tego gestu. Zamrugła szybko, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

Josie dalej myślała filiżanki.

- Po jakim gwałcie? Co ty wygadujesz?

Była wyraźnie zbита z tropu, zdekoncentrowana, zagubiona.

- Wolałabyś tak myśleć, prawda? - Josie obrzuciła ją uważnym spojrzeniem.

Z przyjemnością przetarła wewnątrz filiżanki mokrą ściereczką. Michael nie lubił gąbek. Woda podgrzewała się powoli, więc Josie umyła naczynia zimną, pod kranem, nie w misce, aby później wykorzystać wodę jeszcze raz, do podlania roślin. Teraz miała gdzieś, czy rośliny uschną, czy nie.

- Po jakim gwałcie? - powtórzyła Meredith.

- Zgwałcił go chłopak, z którym mieszkał w pokoju, przecież wiesz...

Matka Michaela osunęła się po krawędzi drzwi, aż w końcu usiadła na podłodze w tej swojej prostej czarnej spódnicy, kaszmirowym swetrze, z perłami, nogami wyciągniętymi przed siebie na pofalowanym linoleum, trochę jak lalka na półce. Zasłoniła dłonią szyję, jakby ktoś chciał poderżnąć jej gardło.

- Ten przyszczaty... - przycisnęła drugą dłoń do czoła, nie próbując nawet powstrzymać łez, które nagle popłynęły jej po policzkach. - Dlaczego mi nie powiedział?! - Błysk gniewu

przedarł się przez zasłonę smutku. - Ukrzyżowałabym ich wszystkich gołymi rękami!

Josie strząsnęła wodę z naczyń i porządnie ustawiła je na suszarce.

- Chciał mieć to już za sobą. Nikt cię nigdy nie zgwałcił, więc nie rozumiesz, jak to jest...

Meredith uderzyła się pięścią w czoło.

- O Boże... O Chryste...

Josie nie odrywała wzroku od rysujących się na północy i zachodzie wzgórz. Wszędzie ten Bosch, pomyślała, wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć...

- Dlaczego nic mi nie powiedział? - powtórzyła Meredith, chociaż powinna znać odpowiedź. - Jak mogłam nie wiedzieć, nie domyślić się? Mój własny syn...

Do Josie dotarło nagle, że zrobiła coś złego. Nie powinna była ranić Meredith w ten sposób, nie trzeba było mścić się na niej za ten głupi wyskok na temat biedoty z Oklahomy. Meredith to nie Calvin Faraday, pragnęła obwiniać samą siebie i wszystkich dookoła, co w gruncie rzeczy było dużo bardziej zrozumiałe. Josie stała długą chwilę nieruchomo, wpatrzona w cienie, szybko wydłużające się w krótkie zimowe popołudnie. Jak mogła nie wiedzieć, jak obie mogły nie wiedzieć? Ślepa Meredith, ślepa Josie. Nikt nie zna prywatnego świata drugiego człowieka, nawet najbliższego. I w ostatecznym rozrachunku każdy jest samotny, każdy jest jak skazaniec w celi śmierci. Czasami komuś uda się w lusterku złowić twarz innego skazańca, i to wszystko.

Usłyszała szybkie kroki i trzaśnięcie drzwi łazienki, potem szum wody i głęboki, rozdzierający szloch Meredith. Z szafki na przyprawy wyjęła swój mały zapas, wyszła na ganek, skąpany w płaskim, płytkim styczniowym świetle, zrobiła skręta z trawy od Pen i wypaliła go, patrząc na malutkie, uczipione wzgórz domy i słuchając zgrzytu kół pociągów,

pędzących przez Taylor Yards. Zdrapała kilka płatów farby z poręczy, którą pomalowali na turkusowo zaraz po wprowadzeniu się. Na początku farba trzymała się nieźle, ale później słońce wysuszyło ją i porobiło w niej bąble, które pękały, odsłaniając ukrytą pod spodem kredowobiałą warstwę. Jeden z jastrzębi wylądował na swoim ulubionym eukaliptusie, na nagiej gałęzi, mniej więcej na wysokości ganku. Jastrząb płonący znieruchomiał. Małe pisklęta, które wśród krzewów zatoki wątko „Pilliolili, „Daj nam śmierć” kwilą...

16. OdARTA

Deszcz wczoraj, deszcz przedwczoraj. Wszystkie odgłosy deszczu na dachu i w rynnach. Miała ochotę zwinąć się w małeńki, nieruchomy kłębek i w ogóle się nie odzywać, ale zadzwonił Jeremy, żeby pogadać o filmie tym swoim pogodnym niby - angielskim głosem, co chwilę rzucając banałami. Nie wiedział o śmierci Michaela i w jakiś sposób dzięki temu Josie była w stanie wyobrazić sobie inny, istniejący równolegle świat, w którym Michael wcale nie był martwy.

- Wystartujemy ze zdjęciami, kiedy tylko przestanie padać - oświadczył Jeremy. - Więc postaraj się jak najszybciej umówić z Kostiumami, w porządku? Laura miewa wspaniałe pomysły, absolutnie błyskotliwe...

Z Kostiumami... Jeremy mówił o swoich filmach w taki sposób, jakby już teraz był Francisem Fordem Coppolą. Mój Producent. Mój Redaktor Techniczny. Josie była przekonana, że oczami duszy widzi już, jak odbiera statuetkę Amerykańskiej Akademii Filmowej. Wiedziała, kim są Kostiumy. Była to faktycznie niezwykle sprawna zawodowo dziewczyna, rozpaczliwie zakochana w Sergiu, młodym płomiennookim Kubańczyku z San Diego, który robił zdjęcia do wszystkich filmów Jeremy'ego. Mój Kamerzysta. Czasami Josie zastanawiała się, czy Jeremy przypadkiem nie wybrał Sergia nie ze względu na jego osiągnięcia z kamerą, ale ze względu na niezliczoną rzeszę wielbicielek seksownie nachmurzonego Kubańczyka, gotowych zrobić dla niego absolutnie wszystko - wozić ekipę samochodem, przenosić i ustawiać reflektory, kupować jedzenie. Fanki Sergia tworzyły regularną mafię.

Nie chciało jej się wychodzić z domu, wolałaby siedzieć przy stole w kuchni i wyobrażać sobie, jak tańczy z Michaeliem w rytm Sweet Georgia Brown, śpiewanej przez

Ethel Waters, ale w końcu ubrała się i pojechała do Fairfax, gdzie kanały burzowe zawsze zapychały się w czasie deszczu i woda zalewała ulice aż po krawężnik. Zmęczone wycieraczki falcona tylko rozsmarowywały wodę po całej przedniej szybie, a rytm ich ruchu wytwornie synchronizował z utworami Joan Jett, które Josie puściła z kasety. Uwielbiała Joan i myślała o niej trochę jak o Luanne, starszej siostrze gotowej każdemu skopać tyłek w obronie młodszej. Tyle że Luanne ważyła teraz mniej więcej czterdzieści pięć kilo i raczej nie miała szans nikomu porządnie przyłożyć. Josie zauważyła pikapa, który szybko wycofywał się z parkingu, i natychmiast zajęła jego miejsce, wyprzedzając w tym wyścigu mercury cougara. Kątem oka dostrzegła, jak sfrustrowany kierowca pokazuje jej środkowy palec. Wciągnęła na głowę kaptur czarnej plastikowej kurtki, wysiadła z samochodu i pognęła w dół ulicy, do domu, w którym mieszkała Laura, ładnego budynku z dziedzińcem wyłożonym błyszczącymi hiszpańskimi kafelkami, z chwilowo wyłączoną fontanną, obstawioną petuniami w doniczkach. Woda sięgała jej powyżej połowy wysokości czerwonych gumowych kowbojek.

Kiedy Laura otworzyła drzwi, Josie poznała ją bez najmniejszego trudu. Dziewczyna miała rzymski nos i włosy ufarbowane na krzykliwie różowy odcień. Josie widywała ją czasami w klubach, a także w sklepie Fiorucci w Beverly Hills, gdzie bogate dzieciaki kupowały ubrania w stylu punk. Josie sprzedała tam kilka swoich wiszących kolczyków z kapsli oraz parę bransoletek i spinek, które zrobiła z kostek domino.

- Hej! - powiedziała Laura, wpuszczając Josie do środka i pozwalając, by woda kapiała z niej na podłogę z solidnych desek. - Świetne buty. Jesteś Eleną, prawda?

Elena, postać, którą Josie miała zagrać. Wszystkie bohaterki filmów Jeremy'ego miały takie imiona jak Elena, Chloe, Regine czy Marie Claire, imiona dziewczyn, których Josie nigdy nie miałyby szans spotkać w prawdziwym życiu. Josie chciała sprostować, powiedzieć, że wcale nie jest Elena, ale w końcu dała sobie spokój.

Laura wzięła ociekającą wodą kurtkę Josie, powiesiła ją na wieszaku w małym kąciku ze stolikiem i telefonem, i zaprowadziła dziewczynę do salonu. Josie była zachwycona mieszkaniem, prawdziwym apartamentem w stylu Joan Crawford, z belkowanym sufitem, podłogami z desek, żyrandolami i małymi balkonikami za francuskimi drzwiami. Wiedziała, że Michaelowi także bardzo by się tu podobało. Może w takim miejscu, gdzie nie było żadnych boschów, miejscu bardziej trwałym i solidnym niż lichego domek na wzgórzu, sprawy potoczyłyby się inaczej, w mniej niebezpieczny sposób.

Dziewczyny usiadły obok siebie na czerwonej aksamitnej kanapie, pokrytej grubą warstwą kociej sierści. Sukienki i halki wisały tu na ścianach jak obrazy, szary pers przechadzał się między stertami magazynów mody. Laura napełniła kieliszki szampanem.

- Z takich kieliszków piją w „Vogue” - powiedziała. Wypiły, Josie poczęstowała Laurę papierosem, a ta pokazała jej swoje błyskotliwe projekty strojów Eleny. Laura pracowała „u Fiorucciego”, ale rysowała też kostiumy do filmów kręconych przez studentów oraz do sztuk wystawianych w małym teatrze z widownią na sto miejsc. Zbierała liczne i zasłużone pochwały, jako że z pewnością nie była poddającym się panującym trendom kostiumologiem.

- Strasznie podobał mi się ten scenariusz - oświadczyła. - Jest naprawdę świetny, nie uważasz?

Josie przeczytała scenariusz dopiero przed dwoma dniami i do tej pory nie mogła się zorientować, w którym niby miejscu Antonioni spotyka się z Bunuelem. Może w sugestiach ujęć robionych pod dziwnym kątem, a może w przyciężkawej i dość oczywistej symbolice... No i oczywiście Elena umiera na końcu... Wszystkie heroiny Jeremy'ego obowiązkowo umierały na końcu filmu.

- Elena ginie w wypadku samochodowym, Josie, rozumiesz? - wyjaśnił jej Jeremy. - To efekt działania Losu, Przeznaczenia...

Ale co właściwie Jeremy Scott wiedział o Przeznaczeniu przez duże „P”, do kurwy nędzy? Dziadek, który strzelił sobie w łeb w domu, gdzie nadal mieszka twoja matka, oto pieprzone Przeznaczenie... Nie jakaś śmieszna historyjka o producencie filmowym, Dziewczynie i byłym chłopaku Dziewczyny, którego ona jakoby zabiła, a w każdym razie tak jej się wydaje, historyjka wymyślona wieczorem między jednym przebojem z szafy grającej a drugim, złożona z fragmentów geniuszu innych ludzi, posklejanych do kupy gumą do żucia...

Za oknami deszcz wzdychał, stukał o szyby i parapety, bulgotał w rynnach. W mieszkaniu Laury było zimno. Josie zadrżała, ściągnęła niżej rękawy swetra z golfem, patrząc, jak dziewczyna o różowych włosach kartkuje stare wydania „Vogue”.

- Miałam na myśli coś w tym stylu - odezwała się Laura, wskazując modelkę o wystających kościach miednicy, ubraną w białą, prostą sukienkę z przezroczystymi plastikowymi wstawkami. - Suknia francuskiej firmy Courreges. Elena jest elegancką, szykowną osobą, nosi się prosto i wytwornie. Tak ja ją widzę, a ty?

Wyrafinowanie szykowna dziedziczka wielkiej fortuny, cudownie prześladowana przez Przeznaczenie... Cóż, teraz

Josie mogła być nawet Eleną, co tam... Chociaż przecież w niej samej nie było nic wytwornego, była nie jak biały jedwab i przezroczysty plastik, tylko jak papier, jak szary papier, z którego robi się torby do sklepów. Po Elenie woda spływała jak po marmurze, jak po tych parasolkach z przezroczystej folii, popularnych w latach sześćdziesiątych, a Josie w jednej chwili nasiąkała niczym gąbka.

Josie z przyjemnością siedziała obok Laury i rozmawiała o garderobie Eleny do tego śmiesznego filmu, wdzięczna Jeremy'emu, że namówił ją, aby tu przyszła. Obie z Laurą upiły się hiszpańskim szampanem i gadały o aktualnych trendach. Laura dużo wiedziała o Ediem Sedgwicku i Andym Warholu, o folii aluminiowej, sztucznych rzęsach oraz zastrzykach z witamin i amfy. Bywała w klubach, gdzie grał zespół Velvet Underground, Lou Reed i Nico. Takie miejsca stanowiły centrum modnego świata. Laura pokazała Josie kurtkę w stylu Nehru, z żółtawego brokatu, która kiedyś należała do Raya Daviesa.

Josie podobała się prostota umysłu Laury. Laura nie myślała o Bogu i Prawdziwym Świecie, nie zastanawiała się, czy naprawdę każdy zabija to, co kocha najbardziej pod słońcem. Nie myślała o absurdzie ani o tym, co dzieje się z duszą po śmierci. Skupiała się na ubraniach, dodatkach, butach, kolczykach i włosach. Na subtelnych różnicach między stylem Mary Quant i Yves'a Saint - Laurenta. Dobrze jest spędzać czas z obcymi, pomyślała Josie. Obcy nie dają człowiekowi dobrych rad, nie mówią, co powinna zrobić, jak sobie radzić, nie oceniają, czy jeszcze się trzyma, czy już nie. To miłe, że czasami można myśleć tylko o rzęsach (dwóch kompletach sztucznych, kłujących rzęs à la Veruschka), przymierzać sukienkę z czarnym plastikowym gorsetem, okrągły kapelusik à la Courreges i skórzaną torebkę,

stylizowaną na pudło na kapelusze. I rozmawiać o tym, czy powinna ufarbować sobie odrosty albo obciąć włosy.

Gdyby tylko mogła tu zostać, w wielkich plastikowych kołach w uszach, należących do Laury, ubrana w top ze sztucznych piór i minispódniczkę, pijana, rozgrzana i lekko unosząca się na powierzchni świata... Przypomniała sobie, jak Shirley K. opowiadała jej o chińskich mistrzach lekkości, którzy potrafili przejść po kartce ryżowego papieru, rozpiętej między dwoma krzesłami. Czuła, że warto pracować, aby osiągnąć taki cel. Laura ubrała ją w niebiesko - zieloną, obszytą frędzlami sukienkę, która nie miała nic wspólnego z Eleną, i obie zaczęły tańczyć w rytm *To Sir, with Love*. Laura raz i drugi niby mimochodem wspomniała o Sergiu, pytała, jak długo Josie go zna i jakiego typu dziewczyny Sergio lubi. Słyszała, że Sergio ma znajomego, który mieszka w domu w Rosarito Beach, nad samiuteńkim morzem, dosłownie na plaży. Może wszyscy razem wybiorą się tam po skończonych zdjęciach, kto wie...

Josie czuła się naprawdę dobrze, kiedy otwierała boczną furtkę na Lemoyne, niosąc pod kurtką torbę z jedzeniem na wynos z baru *Canton Express*, pijana, z zadowoleniem rozchlapująca kałuże czerwonymi kowbojkami. Miała wrażenie, że może jakimś cudem uda jej się przez to przejść, że z czasem zostanie mistrzynią lekkości. Ostrożnie zeszła w ciemności po schodach, czując pod dłonią szorstką i mokrą drewnianą poręcz, i wsunęła klucz do zamka. Były otwarte. Zdziwiła się, ale nie bardzo, bo ostatnio ciągle o czymś zapominała, czasami zostawiała klucz w drzwiach albo torbę w toalecie. Weszła do środka, wrzuciła klucz do czerwonej miski i zapaliła światło.

Stała na progu własnego salonu, lecz pokój był kompletnie pusty. Nagie ściany, gołe haczyki po obrazach. Fortepian zniknął, półki na książki ziały pustką. Zabawki i drobiazgi na

stolikach, cyrk z wyciorów do fajki. Wszystkie książki i dzienniki Michaela, jego szkicowniki. Ich płyty. Wszystko. Josie oparła się o jedną z drewnianych belek, podtrzymujących sufit domku. Czuła się tak, jakby ktoś usunął fragment jej torsu, jak jedna z sukienek Laury, taka z dziurami w różnych miejscach. Nie mogła uwierzyć, że coś takiego naprawdę się dzieje. Przeszła do sypialni. Szafa była otwarta, wieszaki puste. Komoda, którą sami pomalowali, zniknęła. Jej ubrania leżały w stosach na łóżku. To i tamto, i jeszcze... Och, tak, ta komoda, to jego... Na pewno zamówiła firmę przeprowadzkową. Ekipa przyjechała i zabrała wszystko do dużego wozu.

Josie pomyślała, że mogłaby zadzwonić na policję, ale nienawidziła glin, a poza tym co miała im powiedzieć? Zostałam okradziona przez moją byłą przyszłą teściową. Dopiero mieliby się z czego śmiać nad kawą z pączkami... Jasne, ciekawe tylko, po co pianistce światowej sławy twoje stare śmieci, warte razem najwyżej sto dolców, panienko... Jednak nie chciała, nie potrafiła tak po prostu przejść do porządku dziennego nad myślą, że ta kobieta weszła do jej domu i wszystko zabrała. Musiała coś zrobić. Chciała coś zrobić. Tylko co?

Poszła do łazienki. Drzwiczki apteczki stały otworem. Pędzel do golenia z sierści borsuka, mydło do golenia w białym kubeczku, brzytwa dziadka Michaela... Nawet jego proszek do mycia zębów. Nie potrafiła przyjąć tego do wiadomości, nie tak od razu. Nagie ściany sprawiały, że mieszkanie wydawało się mniejsze. Nie zostawiła jej ani jednego obrazu, zabrała portret, ten przedstawiający ją samą nad klawiszami fortepianu, małą Jeanne z Francji i tę cholerną Cywilizację. zniknęły także te obrazy, których Josie serdecznie nie znosiła, ale do których zdążyła się przyzwyczaić, bo były częścią jej życia, przypominały

specjalne okna w ścianach. A teraz miała ściany bez okien, tylko łebki gwoździ i haki. Meredith zabrała też muzykę, wszystkie płyty i taśmy, nie tylko Michaela, ale również Josie i ich wspólne.

Stała na środku zgwałconego pokoju, czując, jak mieszanka oszołomionych uczuć przewala się po jej wnętrzu, jak pojedyncze wrażenia i odczucia szukają sobie odpowiedniego miejsca w jej głowie i sercu. Nie dosyć, że Michael umarł.

Teraz zniknęły również wszystkie rzeczy, które o nim przypominały. Będziesz musiała pamiętać za nas dwoje. Przejechała rękami po pustej półce. Powinna była przeczytać te dzienniki, kiedy miała możliwość. Co właściwie sobie wyobrażała? Że chroni prywatny świat nieżyjącego chłopaka? Teraz nie dostanie już drugiej szansy. Starła się regularnie oddychać, ale powietrze nie chciało wypełnić jej płuc, zupełnie jakby nagle znalazła się na księżycu.

Ciężko usiadła na kudłatej niebieskiej kanapie. W brzuchu jej burczało, ale teraz chińszczyzna miała obrzydliwy zapach. Trzęsa się z zimna, mdliło ją. Przecież ta robiła wrażenie takiej spokojnej, takiej zrezygnowanej, kiedy Josie podwoziła ją do jej jaguara... Wtedy Josie pomyślała nawet, że pewnie więcej się już nie zobaczą. Tymczasem Meredith najprawdopodobniej snuła już plany... Josie jeszcze nigdy nie czuła się taka głupia, taka naiwna.

Nie chciała znowu wychodzić w deszcz, ale nie mogła znieść widoku nagich ścian, zresztą i tak miała tylko trzy papierosy i zero szans, żeby przeżyć na nich do rana, więc wspięła się po mokrych stopniach i pojechała do sklepu Gala. Kupiła dwie paczki gauloise'ów i butelkę smirnoffa. Kiedy wróciła, przystanęła przed drzwiami, wyobrażając sobie, że zaraz je otworzy i przekona się, że miała zły sen, nic więcej. Często tak robiła - wyobrażała sobie Michaela siedzącego na

niebieskiej kanapie z otwartą książką w ręku, wmawiała sobie, że zobaczy go, gdy tylko stanie w progu.

Powoli otworzyła drzwi, lecz nic się nie zmieniło. Półki nadal były puste, ściany przeraźliwie gołe. Usiadła na krześle Michaela i otworzyła butelkę wódki. Wypiła łyk, jeden, drugi i trzeci. Nagle dopadła ją porażająca myśl. Pognała do sypialni i rzuciła się na górę ubrań na łóżku, odgarnęła część i znalazła bieliznę, wśród której ukryła tę kartkę. Nie było jej. Nie było nawet poplamionego krwią krótkiego listu. Meredith zabrała wszystko, wszystko...

Josie biegiem wróciła do salonu i chwyciła telefon. Ta suka...

Ta pierdolona suka... Wybrała numer, który znała na pamięć, jedyne, jaki został w jej pamięci. Telefon w Los Feliz dzwonił i dzwonił, ale nikt nie podnosił słuchawki, nawet ta skwaśniała hiszpańska pokojówka. Josie rzuciła słuchawkę na widełki, złapała ją znowu i znowu rzuciła, i znowu, i znowu.

Jednak nawet w ataku wściekłości miała świadomość, że częściowo sama ponosi winę za to, co się stało. Była okrutna, głupia i chciwa. Chciała zatrzymać wszystko. Powinna była dać Meredith obraz, o który prosiła, kilka książek. A w najgłębszej głębi duszy wiedziała też, że postąpiła bardzo źle, mówiąc Meredith o tym, co zdarzyło się w Meadowlands, zwłaszcza że zrobiła to ze złości, z zemsty. Było to dawno temu, więc niby co Meredith miała teraz z tym zrobić...

Wyszła z kuchni na dwór i głęboko odetchnęła nocnym powietrzem, zimnym i wilgotnym. Krzesła ociekały wodą, oparte o ścianę, światła były zamglone i przyćmione. Bosch, Bosch bez końca... Podniosła wódkę do ust, rozlała trochę, zaklęła. Została ukarana za to, że spędziła całkiem przyjemny dzień, że prawie przez całe popołudnie nie myślała o nim w każdej sekundzie, każdej minucie. Wydawało jej się, że dobrze sobie radzi, że robi postępy. To wszystko nigdy się nie

skończy. Gdy tylko sądziła, że nie może się czuć jeszcze bardziej samotna, świat odsłaniał przed jej oczami następną warstwę ciemności.

Patrzyła, jak jakiś samochód o rozmywających się w deszczu światłach sunie w górę zbocza. Życie jest takie kruche... Człowiek trzyma się istnienia dosłownie na włosku, który inni starają się przeciąć. Pomyślała o Calu Faradayu, o jego energii, aby iść dalej i zaczynać od początku. Gdzie znajdował odwagę i siłę, aby robić to raz, drugi, trzeci... Nagle zatęskniła za ojcem, za obecnością kogoś, kto zająłby się nią, kto wiedziałby, co zrobić.

Wyciągnęła się na niebieskiej kanapie w zimnym pokoju, owinęła kocem i zasłuchała w dobiegające z zewnątrz odgłosy deszczu. Kiedyś wyobrażała sobie, że chcą jej coś powiedzieć, ale dziś wiedziała, że jedynie drwią z niej i naśmiewają się do bólu. Nawet deszcz był jak u Boscha. Powinna pojechać do baru Gardena, znaleźć tego staruszka Morty'ego i grać z nim do wschodu słońca. Namówić Pen, żeby pojechała razem z nią. Ale w gruncie rzeczy wcale nie miała ochoty grać... Chciała porozmawiać z kimś, kto potrafiłby zrozumieć, co się stało, kto znał wszystkich graczy. Szybko wybrała nowojorski numer, który dał jej Cal.

- Halo?

Numer Cztery. Wysoki, dziewczęcy głos, głos kogoś w wieku Josie.

- Mówi Josie Tyrell... Dziewczyna Michaela...

- Och! - Pani Calowa gwałtownie wciągnęła powietrze. - Och, tak, oczywiście... Jak się czujesz? Wszystko w porządku? Tak mi przykro, to takie straszne... Przyjechałabym na pogrzeb, ale Becky miała gorączkę... Tak bardzo go kochaliśmy...

Josie wiedziała, że to kłamstwo. Numer Cztery widziała w Michaelu zagrożenie dla swoich dzieci. Michael opowiadał

kiedyś Josie, że w dawnych czasach starsze dzieci królów truły te młodsze, żeby nie mieć rywali do tronu.

- Czy Cal jest w domu?

Żona Cala przerwała. Chyba zastanawiała się gorączkowo, czy warto zawracać mu głowę. Josie była świadoma, że w jej głosie słycać przygnębienie i wypity alkohol.

- Rozumiesz chyba, że jest już bardzo późno, Josie - powiedziała Harmony tym wysokim, zabawnym głosem.

Właściwie to mówiła jak postać z kreskówki.

- Mówił, żebym zadzwoniła, jeśli będę chciała... Cisza. Na pewno byli już w łóżku. Josie wyobraziła sobie dłoń żony Cala zasłaniającą słuchawkę.

- Josie! - Cal tryskał energią, jakby wcale go nie obudziła albo nie przerwała mu intymnej chwili z Harmony. - Jak leci, mała?

Josie opowiedziała mu wszystko, o włamaniu, o tym, że Meredith zabrała wszystkie rzeczy, które jej zdaniem należały do Michaela, także te, które Josie dostała od niego w prezencie. Nawet ten ostatni list. Pomięła fakt, że nie pozwoliła Meredith wziąć jednego obrazu, że powiedziała jej o Meadowlands tylko po to, żeby się na niej zemścić. Część prawdy i nic więcej. Podobnie jak pomięła inne rzeczy, jakie zrobiła i które ściągnęły na nią nieszczęście. Starła się nie płakać, ale alkohol, który przecież miał ją znieczulić, budził tylko uczucie coraz większego zagubienia. Nienawidziła ludzi, którzy upijają się na smutno, a teraz sama płakała po wódce...

- Kompletnie straciła głowę, nie ma co - powiedział Cal. - Jezu kochany... No tak, takie przeżycia wyzwalają w ludziach najgorsze instynkty...

Gdzie on to przeczytał? W jakimś magazynie, który dostał w samolocie, żeby się nie nudził w czasie długiej podróży? Cal Faraday, doradca duchowy. Najprawdopodobniej nie

pamiętał imion wszystkich swoich dzieci, nie miał pojęcia, ile które ma lat i w jakiej klasie się uczy...

- Ona nie może tak po prostu wchodzić sobie do mojego domu, Cal!

- Posłuchaj, skarbie, wiem, że to oburzające, ale pomyśl sobie, przez co Meredith przeszła... Straciłaś coś ważnego? Coś cennego?

- Jego książki, obrazy, różne rzeczy. I ten list.

Josie usłyszała, jak Numer Cztery mówi coś do Calvina. Pewnie radziła mu, żeby odłożył słuchawkę i przestał rozmawiać z tą pijaczką. Wyobraziła ich sobie w łóżku, w sypialni urządzonej nowoczesnymi meblami, jeszcze nowymi, bo przecież byli małżeństwem dopiero parę lat. Cały dom z pewnością urządzone był w stylu Harmonii, bo Cal po trzech wcześniejszych małżeństwach niewątpliwie przywykł już do myśli, że po rozwodzie i tak oddaje dom kolejnej byłej żonie. Tak czy inaczej, raczej rzadko bywał chyba w domu, prawda? Josie pomyślała, że pewnie nosi piżamę, kapcie i szlafrok, bo właśnie tak, jej zdaniem, ubierali się w zaciszu domowym ludzie ze Wschodniego Wybrzeża.

- Może powinnam wezwać policję...

- Jezu Chryste, nie rób tego! - powiedział szybko. Krótka wymiana szeptów między nim i panią Calową -

Cal zasłaniał słuchawkę, ale nie dość dokładnie.

- Słuchaj, Josie, możliwe, że nie spodoba ci się to, co ci powiem, ale ostatecznie prosiłaś mnie o radę, tak? Niewykluczone, że jest to najlepsza rzecz, jaka mogła ci się przydarzyć.

- Ty kutasie!

Josie nie wierzyła własnym uszom. Łatwo mu było mówić. Siedział sobie w Nowym Jorku z żoną, małymi dziećmi, w środku całego tego swojego pieprzonego życia, w którym najbardziej liczyły się cholerne bestsellery.

- Nie, posłuchaj mnie uważnie! Pamiętasz, co powiedziałaś mi tamtego dnia? Co powiedziałaś o liście od Michaela? Pamiętasz?

- No, pamiętam.

- Zapytałaś mnie, co można zrobić z czymś takim, nosić ze sobą przez całe życie czy co? Więc teraz ktoś ułatwił ci sprawę. Nie, nic nie mów, słuchaj mnie! Jesteś bardzo młoda, Josie, i w jakiejś chwili zechcesz pójść dalej, zacząć żyć od nowa. To wszystko okaże się wtedy wielkim błogosławieństwem, chociaż teraz nie widzisz tego w ten sposób...

Josie słyszała, że Cal kończy temat, że szykuje się do odłożenia słuchawki. Sam chciał już iść dalej, zająć się własnym życiem, kurwa mać.

- Ona nadal cię kocha - powiedziała z rozpaczą w sercu. - Posłucha cię. Nie mógłbyś zadzwonić do niej i porozmawiać?

- Nie widziałaś, jak wyprosiła mnie z ławki na pogrzebie? Przykro mi, ale nic z tego nie będzie, Meredith na pewno mnie nie posłucha. Poza tym... No wiesz, musimy pamiętać, że w oczach prawa... Cóż, jest jego matką...

Josie poczuła się tak, jakby ktoś zamknął jej drzwi przed nosem.

- Słuchaj, Josie, jest już naprawdę bardzo późno, w Nowym Jorku mamy środek nocy. Możesz zadzwonić do mnie rano?

Obojętny, neutralny ton, jak w automatycznej sekretarce. Nagle przestraszyła się, że Cal zaraz powie: „Życzę miłego dnia!”.

- Idź spać, Cal, wiesz? Idź spać, odpocznij sobie. I pieprzę cię serdecznie.

Leżała w łóżku, pijana, zapadając w sen i co chwilę się budząc. Śniło jej się, że idzie przez ogromną salę, pełną siedzących przy stolikach Chińczyków, którzy grają w karty,

rzucają na zielone blaty kości, pieniądze i żetony, zielone i czerwone. Szukała starego Żyda, którego spotkała na cmentarzu. Kelnerki o obwisłych piersiach mijały ją, wioząc tace zastawione drinkami z parasoleczkami w kwiatki. Kilkudziesięciu Chińczyków zebrało się dookoła małego ringu. Krzyczeli i wymachiwali ściskanymi w rękach banknotami, przypominało to scenę z Łowcy jeleni, tę, w której Robert De Niro i Christopher Walken grają w rosyjską ruletkę, tyle że przy stoliku siedziały Josie i Meredith. Na blacie między nimi leżał pistolet, a ponad ich głowami w krzeselku ratownika tkwił Michael. Wszystko wskazywało na to, że nie poznaje Josie. Patrzył na nie obie przez duże niebieskie okulary, a chciwa ciekawość, malująca się na jego twarzy, natychmiast skojarzyła się Josie z tamtym wydarzeniem, kiedy patrzył na wijącego się na asfalcie psa. Meredith miała na nosie takie same okulary jak jej syn, i to ona kręciła pistoletem.

Josie rozpaczliwie rozejrzała się dookoła. Zastanawiała się, jak mogłaby się wycofać, bo wcale nie chciała grać, ale dookoła stolika utworzył się zwarty mur, byli tu nie tylko Chińczycy, lecz także Cal i staruszkowie z pogrzebu, nawet dziadzius Jack i dabcia Ida. Wszyscy robili zakłady, ich oczy lśniły żarłoczną ciekawością. Josie nie mogła się zorientować, jaki wynik obstawiają, i zaczęła płakać, przerażona myślą, że grają przeciwko niej. Przemknęła jej myśl, że gra jest zawsze ustawiona. Lufa pistoletu zatrzymała się naprzeciwko niej. Jej kolej.

- No, dalej - odezwała się Meredith. - Sama tego chciałaś.

Nie miała wyboru, musiała sięgnąć po pistolet. Przyłożyła sobie lufę do głowy. Metal był zimny, Josie wiedziała, że w magazynku czeka kula. Gra była ustawiona, we wszystkich otworach magazynka tkwiły kule, więc o co właściwie zakładali się ci wszyscy ludzie... Starła się wymyślić jakąś

wymówkę, jakiś sposób, dzięki któremu nie musiałaby pociągać za spust, była przecież za młoda. Tłum wrzeszczał ze złością, żeby wreszcie to zrobiła, ludzie potrząsali banknotami. Josie mocno zacisnęła powieki i nacisnęła spust.

17. Pokój MEREDITH

Deszcz przestał padać, ale drzewa wciąż ociekały wodą. W wysokich, oprawionych w żelazo oknach Ciemnego Zamku nie paliło się ani jedno światło. Josie podeszła do furtki, która już nie wydawała jej się koronkowa i świąteczna, tylko ciężka, zimna i przerażająca. Tym razem łańcuch był naprawdę zamknięty. Zawróciła do samochodu i długo siedziała, paląc papierosa i przyglądając się, jak malutki skrawek świtu rozszerza się i rośnie w bocznym lusterku. Przez cały czas z krwiożerczą cierpliwością obserwowała podjazd. Wiedziała, że wcześniej czy później ktoś będzie musiał otworzyć furtkę, chociażby po to, by wpuścić ogrodników, kucharza, masażystę czy stroiciela fortepianów. Ktoś zostanie wysłany do delikatesów po łososia i szkocką, na pewno. To tylko kwestia czasu, a czasu miała pod dostatkiem. W razie konieczności mogła tu czekać i cały dzień.

Pogrzebała w popielniczce i znalazła połówkę skręta. Zapaliła i włączyła stację radiową, nadającą muzykę klasyczną. Prezenter miał wyniosły, płaski głos, podobny do głosu nauczyciela angielskiego, pana Pella, który uczył Josie w siódmej klasie i kiedyś upokorzył ją przed pozostałymi uczniami, bo nie mogła sobie przypomnieć żadnego z głównych bohaterów Dwudziestu tysięcy mil podmorskiej żeglugi.

Kilka razy zapadała w drzemkę i budziła się. Starła się nie tracić z oka furtki i uparcie walczyła ze snem. Po nocy takiej jak ostatnia nie śpieszyło jej się, żeby znowu śnić. Co to może oznaczać, że we śnie człowiek umiera? Była przekonana, że to nie jest dobry znak. Nigdy wcześniej nie umarła we śnie. Kilka razy śniło jej się, że jest bliska śmierci, ale zawsze budziła się w ostatniej chwili. Nadal czuła chłód lufy pistoletu na skroni, niemożliwy do opisania ból, kiedy

kula wwiercała się w mózg, pewność, że jej życie już się skończyło. Koniec gry, żadnych powtórek.

Zdziwiła się, jak wielkim przerażeniem przejęło ją to uczucie, świadomość nagłej śmierci. Czyżby dalej aż tak bardzo pragnęła tego życia? Czy głęboko w sobie nosiła jakąś cechę Tyrellów, upór rodem z Oklahomy, który nie pozwalał jej się poddać? Co takiego zrobiła w czasie swego krótkiego pobytu na ziemi? Spotkała Michaela Faradaya i tyle, prawda? Wszystko w jej życiu wyglądało tak jak z gauloise'ami - nawet nie wiedziała, że istnieją, nie miała pojęcia, że może poprosić o nie w sklepie. Nie miała wykształcenia, nie znała języków. Nigdy nie wysunęła nosa poza Kalifornię. Jedyne, czym dysponowała, to tylko określony wygląd, w pewien sposób atrakcyjny, umiejętność stworzenia ciekawego kształtu w przestrzeni, no i jeszcze ciało, ciało, które zapamiętywało różne rzeczy...

Gdyby teraz umarła, zostałyby po niej tylko wizerunek, utrwalony w kilku poszarpanych szkicownikach, sylwetka uchwycona na kliszy w paru studenckich filmach. Może pamiętaliby o niej rodzice. Może. Jej bracia i siostry, zwłaszcza ci młodszy, Corinne i Bo. I Pen. I Meredith Loewy. Tak, Meredith nie zapomniałaby o niej szybko. Pamiętałaby Josie, jasno i wyraźnie, aż do dnia swojej śmierci.

Pikap przejechał powoli ulicą w szarym świetle świtu. Ubrani w ciepłe bluzy mężczyźni rzucali owinięte folią gazety na podjazdy domów. Jeden z nich rzucił pakiet za furtkę, ale paczka uwięzła między sztachetami i upadła w kałużę. Josie ogarnęło zdziwienie, że Meredith zamawia gazety, że interesują ją takie mało istotne, przemijające rzeczy. Gazeta Josie też nadal przychodziła, ale dziewczyna wyrzucała ją nieprzeczytaną, a na rachunku napisała: „Odbiorca zmarł”. W krainie zmarłych nie było żadnych wiadomości. Żadnych

ważnych spotkań głów państw. Żadnej prognozy pogody, żadnych wydarzeń sportowych.

Michael uwielbiał gazetę. Potrafił czytać ją prawie przez cały ranek, wygodnie wyciągnięty na błękitnej kanapie. Spierał się z autorami artykułów, rzucał błyskotliwe uwagi. Miał obsesję na punkcie nekrologów. Nie mógł uwierzyć, że ona wcześniej nigdy ich nie czytywała, kiedy mu to powiedziała, popatrzył na nią z takim zaskoczeniem, jakby nagle poinformowała go, że nigdy nie czytała komiksów. W rodzinnym mieście Josie nekrologi nie były niczym specjalnym, lecz w Los Angeles trzeba było być kimś, żeby zasłużyć na pośmiertną wzmiankę w gazecie. Nekrologi dotyczyły ludzi, którzy zrobili coś ważnego, którzy coś osiągnęli - byli wynalazcami, twórcami sztuki, założycielami wielkich firm. Czasami byli to ludzie tak sławni, że słyszała o nich nawet Josie. Michael zawsze chciał wiedzieć, z jakiego powodu umarli - od postrzału z broni, z przedawkowania, na raka. Tak naprawdę interesowało go, czy ten ktoś popełnił samobójstwo. Łzy napłynęły Josie do oczu, zapiekły jak gęsty dym. A ona w ogóle nie zastanawiała się nad tą jego niezdrową ciekawością, nie czuła najmniejszego niepokoju... Uważała, że to jeszcze jedno z zabawnych dziwactw. Nekrologi i ogłoszenia. W krainie zmarłych może i nie ma wiadomości, ale na pewno są tam ogłoszenia o sprzedaży. No bo co można zrobić z rzeczami po zmarłych? Cal zapytał ją, czy zamierza przez resztę życia dźwigać ze sobą rzeczy Michaela. Psy zmarłych staruszków, niemowlęce łóżeczko, z którego martwe dziecko nie miało szansy skorzystać... Stare hafty, książki... Nieruchomość na sprzedaż, ogólna wyprzedaż...

W sąsiednim domu zapaliło się światło. Niski drewniany aneks o kwadratowych oknach połączony był z domem z piaskowca, zwieńczonym stromym dachem. Na dziedzińcu

rósł duży figowiec. Josie pomyślała, że na pewno ktoś robi w kuchni śniadanie. U Meredith nadal panowała kompletna ciemność. Może lubiła spać w ciągu dnia, jak wszyscy muzycy. A może w ogóle nie sypiała... Może pojechała do Gardeny i przez całą noc grała w karty z Mortym. W karty albo w jakąś wersję rosyjskiej ruletki.

Siedziała za kierownicą, słuchając, jak Horowitz gra Schumanna. Była przekonana, że ani na chwilę nie spuszcza oka z furtki, ale kiedy się obudziła, słońce stało już dość wysoko na niebie, w każdym razie raczej nie zamierzało wspinać się wyżej. Dzień był ponury, w gałęziach drzew pokrzykiwały kawki. Musiała iść do toalety. Poza tym nie miała już papierosów, a w ustach czuła smak gnijącej kapusty. Powinna chyba poddać się i wracać do domu.

I właśnie w tej chwili pojawiła się pokojówka w brązowej sukience. Zdjęła łańcuch, podniosła leżącą w kałuży gazetę i znowu starannie założyła na sztachetę metalowe ogniwo, tyle że tym razem nie zamknęła dużej kłódki.

Po paru minutach Josie wysiadła, szybko podeszła do furtki i uniosła łańcuch. Metal zgrzytnął głośno, ale rano rozbrzmiewał już także innymi odgłosami, była więc nadzieja, że nikt nie zwróci uwagi na ten jeden dźwięk. Na Los Feliz Boulevard zaczął się normalny ruch, śmigła helikoptera jakiejś stacji telewizyjnej ubijały wiszące na niebie szare chmury. Josie wślizgnęła się za furtkę i założyła łańcuch. Przeszła przez podjazd i ukryła się między drzewami. Tam ściągnęła majtki, wysiusiała się, wciąż czujnie obserwując dom, i uporządkowała ubranie.

Podeszła od strony tarasu, od basenu, na którego dnie leżały gnijące liście, podobne do herbacianych fusów w masywnej filizance. Gdyby tylko mogła odczytać ich układ... Gdyby potrafiła powróżyć z nich sobie tamtego pierwszego dnia, kiedy pływała w zielonkawej wodzie, czując na sobie

oczy Michaela. Co by wtedy zrobiła? Zostawiła go czy mimo wszystko ruszyła w głąb ciemnego korytarza?

Podkraǳła się do tylnych drzwi, zajrzała do środka przez okno osłonięte zardzewiałą siatką. Wszystko wyglądało tak samo jak za pierwszym razem - czarno - białe kafelki, przeładowane serwantki i oszklone kredensy. Pokojówka siedziała przy małym stoliku, zajęta czytaniem przy filiżance kawy, z czarnymi włosami mocno, aż do bólu ściągniętymi w gładki kok. Josie ostrożnie nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte, wiedziała jednak, że nie zdoła niepostrzeżenie przemknąć obok kobiety. Michael wszedłby bez chwili wahania, z niemożliwą do zachwiania pewnością siebie, nawet jeżeli nie byłby to jego dom. I jeszcze jak nic poprosiłby służącą, żeby przygotowała mu śniadanie. Josie wiele razy miała okazję widzieć tę jego twarz, twarz Małego Księcia.

Obserwowała i czekała. W końcu zadzwonił telefon i pokojówka podniosła się, żeby odebrać. Położyła słuchawkę na blacie i wyszła. Josie błyskawicznie zdjęła buty i wślizgnęła się do korytarza, przytrzymując klamkę, aby zamek nie trzasnął. Z butami w rękę przebiegła przez kuchnię i ukryła się w małym pomieszczeniu z szafami na bieliznę stołową. Z holu dobiegł głos pokojówki.

- Senora śpi. Nie, wszystkie koncerty zostały odwołane. Nic o tym nie wiem, musi pan zadzwonić do senora Markoyskiego...

Josie zaczekała, aż kobieta wróci do kuchni, a potem przekraǳła się do jadalni. Pokój przypominał rozległe jezioro mahoni, żyrandol był teraz odsłonięty, szkło wychwytywało każdy błysk światła. Na palcach pokonała foyer, czując pod stopami zimne płytki, i wbiegła po schodach na piętro. Na moment zawahała się pod drzwiami pokoju Michaela, ale instynkt kazał jej iść dalej, do ostatnich drzwi.

Uchyliła je ostrożnie i weszła do środka. Ciężkie zasłony powstrzymywały światło, podłogę zakrywał gruby dywan, powietrze pachniało kadzidlanyimi perfumami i głębokim, nienaturalnym snem. Ciemna głowa wyraźnie odcinała się od subtelnie połyskującego satynowego zagłówek tego samego łóżka, w którym Josie tamtego pierwszego dnia kochała się z Michaeliem, korzystając z cudownych, doskonałych chwil. W ciemności nie można się było zorientować, jaki jest kolor jedwabiu, ale Josie pamiętała, że był błękitny, taki sam jak draperie opadające z ramy nad łóżkiem, w którym spała Meredith. Jej włosy kłębiły się na poduszce, gęste i splecione jak po nocy pełnej złych snów, na koszuli nocnej miała jedwabny szlafrok, cienka kołdra piętrzyła się jak łańcuch pagórków.

Josie stała nad śpiącą kobietą i myślała o tym, jakie to dziwne, że ludzie muszą robić to codziennie, że zamykają powieki i odchodzą w inny świat, zostawiając w tym swoje ciała. Ciekawe, gdzie Meredith spędzała swoje noce, ciekawe, czy ona także bywała w domu gry w Gardenie i siadała przy stoliku, trzymając w ręku naładowany pistolet... Nagle przyszło jej do głowy, że bardzo łatwo byłoby zabić pogrążoną we śnie osobę, wlać coś do otwartego, niczym niechronionego ucha, a potem niepostrzeżenie wymknąć się z domu. Leżąca w łóżku Meredith wyglądała tak bezbrannie... Kobieta, która tak bardzo nienawidziła Josie, którą Josie podziwiała, której się bała, którą pragnęła poznać wbrew samej sobie, wbrew własnemu instynktowi. Genialna, wybitna osoba. Gdyby Meredith teraz umarła, w „Timesie” wydrukowano by nekrolog na pół strony. Ktoś napisałby wiele słów o jej karierze, o ojcu, sławnym byłym mężu, tragicznej śmierci jedyne go syna. Skóra Meredith lśniła w półmroku, rzęsy spoczywały na policzkach, spomiędzy rozchylonych warg wydobywało się ciche pochrapywanie. Josie zapragnęła

nagle, żeby Meredith obudziła się i zobaczyła ją nad sobą. Chodziła po pokoju, stopy zapadały się w puszysty dywan, a ona nie starała się zachowywać szczególnie cicho. Oglądała perfumy stojące na szklanej tacce. Otworzyła parę flakoników, szukając tego zapachu, którego Meredith naprawdę używała. W końcu znalazła go w buteleczce z grubego szkła, zamkniętej szklanym korkiem z jedwabnym chwaścikiem, i roztarła odrobinę po wewnętrznej stronie przegubu dłoni. Na niej perfumy Meredith pachniały zupełnie inaczej.

W misie na komodzie leżało trochę biżuterii, na szafce nocnej tłoczyły się zdjęcia, czarno - białe, w srebrnych ramkach. Było tu zdjęcie Meredith w czarnej sukni, Meredith półleżącej na kanapie, uwydatniające jej imponujący profil. Zdjęcie Cala, Meredith i małego Michaela na szczycie jakiegoś budynku, z jakimś arabskim miastem w tle, z kopułami i płaskimi dachami. Cal i Meredith leżeli na szerokim szezlongu, ona w sukni z dekoltem i króciutkimi rękawkami, z mocno umalowanymi oczami, on w marynarce ze stójką, z ciemnymi włosami i bokobrodami. Na kolanach Meredith siedział malutki Michael i bawił się ogromnymi kolczykami matki. Tego rodzaju zdjęcia można było znaleźć w starych wydaniach „Vogue”, najczęściej pod nagłówkami typu „Sławni ludzie”. Tacy piękni, tacy doskonali... Wydawało im się, że są nietykalni, a mieli tyle do stracenia. I jeszcze zdjęcie Michaela, zrobione stosunkowo niedawno, ale z dłuższymi włosami. Stał oparty o ścianę budynku, z szalikiem okręconym dookoła szyi, i chyba myślał o czymś zabawnym, tak, Josie wyczytała to z układu jego warg. Zdjęcie z Harvardu. Powinien był tam zostać. Gdyby został w Harvardzie, nie spotkałby Josie. I tak by było najlepiej.

Wzięła do ręki sznur pereł i podniosła go do szyi. W lustrze białe kuleczki emanowały łagodnym blaskiem na tle jej dziurawego szarego swetra z golfem. Gdyby Josie miała

ciemne włosy, gdyby przykleiła sobie sztuczne rzęsy, byłaby całkiem podobna do Meredith ze zdjęcia. Nic nadzwyczajnego, po prostu kolejny kostium. Meredith jęknęła cicho. Josie pośpiesznie odłożyła perły i podeszła bliżej. Stojąc nad nią, wyobrażała sobie, jak wyglądało życie małego Michaela, kiedy jego matka spała przez całe ranki po koncertach, a on musiał zachowywać się bardzo, bardzo cicho. Na pewno jednocześnie miał nadzieję, że Meredith obudzi się, i czuł lęk, że rozzłości się, bo przerwał jej sen. Meredith nie otworzyła oczu. Josie pod wpływem impulsu zostawiła swoje stare buty przy łóżku, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie stała, w tej samej pozycji. I wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Wszystkie rzeczy, które Meredith zabrała z ich małego domku, znajdowały się w pokoju Michaela. Nieuporządkowane, niepokładne, ot, wrzucone byle jak. Obrazy, książki, nawet ten cholerny fortepian i przemalowana toaletka. Skąd Meredith wiedziała, że Josie aż tak długo nie będzie w domu? Od Veroniki, oczywiście. Meredith musiała zapłacić komuś za tę informację. Josie czuła piekący ból, kiedy myślała o Meredith, instruującej na schodach ludzi z firmy przeprowadzkowej, o Veronice, przyglądającej się jej spod oka i liczącej banknoty, które przed chwilą dostała. Na pewno dostała sto dolców, może nawet trochę więcej. Buty dla dzieciaków, paliwo do samochodu... Ale gdzie były dzienniki? To na nich najbardziej zależało Josie, podobnie jak Meredith. Dlaczego ich nie schowała, dlaczego nie przewidziała, co się stanie? Przekopała cały pagórek rzeczy, ich rzeczy. Znalazła cyrk z wyciorów do fajki, zapakowany do tekturowego pudełka. Szukała Ballady o więzieniu w Reading i Prozy transsyberyjskiej kolei, wierszy Paula Valery'ego, ale nie miała czasu ani siły, jej umysł już nie pracował, płomień determinacji dogasał. W końcu chwyciła pudełko z cyrkiem,

obraz przedstawiający Błażeja oraz Żannę, swój portret - Josie w fotelu Michaela przy oknie, z włosami jak złota burza.

Kiedy zeszła na dół, przerażająca pokojówka rozmawiała przez telefon w foyer.

- Dzień dobry - powiedziała Josie, nie przystając nawet na sekundę.

Szła boszo, lecz dumnie wyprostowana, nie tyle Josie, co raczej Elena, z pudełkiem pod jedną pachą i obrazami pod drugą.

- Proszę się nie fatygować, sama trafię do wyjścia - rzuciła wyniośle.

18. Ciuchland

Oto miała przed sobą dowód, to, czemu jego matka starała się zaprzeczyć, co próbowała zatrzeć. Ustawiła obrazy na krzesłach, swój portret i wizerunek Błażeja z małą Żanną, szesnastoletniego poety i jego niewinnej dziwki, kroczących prostą drogą do zatracenia. Miłość czysta i nieproszona jak dzikie kwiaty, wyrastające z pęknięć w chodniku... Błażeju, czy daleko jeszcze do Montmartre'u? Oto jest dowód, ale co z tego? On nie pamiętał, zapomniał.

Była zmęczona, nerwy miała napięte niczym druty, rozpalone do czerwoności, do bieli. Czuła się jak naszpikowany strzałami z łuku święty męczennik, wykrwawiała się powoli. Za oknami miasto budziło się niechętnie, niebo straciło błękitną barwę, poszarzało. Dzień już teraz był znużony, na samym początku. Nie mogła znieść myśli, że będzie musiała pojechać do Northridge i ustawiać ciało w tych samych wymęczonych, wypracowanych pozach, dla tych samych tryskających entuzjazmem studentów. Może przyszedł już czas, żeby się poddać. Po prostu skapitulować, dać sobie spokój. Była gotowa do wyjścia, ubrana, ze spakowaną torbą, ale skończyła w fotelu Michaela, obok małego cyrku, który znowu ustawiła na parapecie. Obok baleriny, obok foki z piłką. Nigdy nie odwoływała sesji, chlubiła się swoją solidnością, zawsze chciała dowieść, że jest inna od reszty Tyrellów, inna, niż się spodziewali, ale ostatnio robiła rzeczy, jakie wcześniej nawet nie przyszłyby jej do głowy, na przykład stała nad śpiącą kobietą i wyobrażała sobie, że mogłaby wlać jej coś do ucha. Zadzwoiła do bookerki z agencji w Northridge i wymówiła się chorobą, gripą, a może rakiem, trudno powiedzieć, czym naprawdę. Żałowała, że w ogóle musi podejmować jakieś decyzje. Wolalaby, żeby było już po wszystkim, ale ta myśl obudziła w niej strach, więc wypaliła skręta i pojechała do miasta.

Weszła do dużego centrum organizacji charytatywnej Goodwill, gdzie sprzedawano ubrania i sprzęty używane.

Chodziła długimi alejkami, słuchając historii szeptanych przez odpadki pozostałe po milionach miejskich istnień. Ona i Michael dzielali entuzjazm polowania na stare rzeczy, ratowania domowych urządzeń, naczyń i czasopism. Spędzili tu wiele szczęśliwych godzin. Hej, Josie, popatrz - Burroughs i Brion Gysin, pierwsze wydanie... Jego zielony garnitur, podobny do skóry z rekina, jej mała torebeczka w stylu Jeanne, ta z jedwabnymi stokrotkami kwitnącymi za pożółkłym plastikiem. Zdjęła z długiego wieszaka sukienkę z lat pięćdziesiątych, ze sztywną spódniczką z organzy i ramiączkami jak makaron, przyłożyła ją do siebie, wygładziła spódnicę, odwiesiła na miejsce. Kiedyś rzuciłaby się na tę sukienkę, lecz teraz kojarzyła jej się z dziewczyną, która wybiera się na randkę z chłopakiem jeżdżącym za szybko. Ta sukienka mieściła się w obrazie ostrego wirażu na Mulholland, upadku z poszarpanej skarpy, kałuży krwi.

Minęła ją latynoska rodzina. Matka zmierzyła ją złym okiem, poganiając dzieci, zwłaszcza najstarszą córkę, mniej więcej trzynastoletnią, zupełnie jakby to, co prezentowała sobą Josie, było zakaźną chorobą. Nie chciała, żeby jej dziecko patrzyło na tę niezrozumiałą białą dziewczynę w podartych legginsach i sięgającym do połowy ud musztardowym swetrze, z tlenionymi włosami o ciemnych odrostach, rzucających się w oczy jak flaga punkowców. Josie zawsze była dziewczyną, na którą rodzice innych dzieci patrzyli niechętnym wzrokiem, ale teraz świadomie podkreślała elementy tego wizerunku. Tylko nie skończ jak tamta, na miłość boską... Ciemnowłosa nastolatka wciąż oglądała się za nią, pewnie próbowała zapamiętać jej włosy, buty na wysokich obcasach.

Josie wiedziała, że stacza się na dno - zrezygnowała z sesji, nie wspominając już o tym, że stała nad łóżkiem Meredith, wyobrażając sobie, jak łatwo byłoby zabić pogrążoną we śnie osobę. Próbowwała przypomnieć sobie, jak czuła się z tymi myślami, ale miała wrażenie, że jej umysł osłania śliski płaszcz przeciwdeszczowy, który wymyka się spomiędzy palców.

Skupiła się więc na znalezieniu czegoś eleganckiego do filmu, czegoś, co pasowałoby do ultranowoczesnego domu wśród wzgórz. Idea poszukiwania robiła z niej dziewczynę z jasno określonym celem, nie kogoś, kto ukrywa się w sklepie Goodwill, bo nie ma pojęcia, co ze sobą zrobić. Lata sześćdziesiąte w rozkwicie, pomyślała. Nie hipisowskie lata sześćdziesiąte, nie falbany, cienka bawełna i tak dalej, tylko James Bond, pantofle na wysokich obcasach, Powiększenie Antonioniego i małe angielskie sportowe samochody. Edie i Warhol, amfa i witaminy na śniadanie. Różowa sukienka firmy Pucci z portfelowym zapięciem wyglądała obiecująco, niezła była też dżersejowa, w stylu stewardesy, czarno - biała z dodatkiem fioletu i błękitu, z szerokim zamkiem błyskawicznym i metalowym kółkiem z przodu. Szara sukienka miała rozdarty szew pod jedną pachą, ale ta dziura bez trudu dałaby się zaszyć. Josie przebiegła wzrokiem po rękawach i kołnierzykach sukienek tak brzydkich, że widok jednego skrawka materiału budził głębokie obrzydzenie. Jej spojrzenie zatrzymało się na kawałeczku granatu, przyćmionym błysku autentyku, czegoś równie prawdziwego i gustownego jak srebrna zastawa Meredith. Rękaw, bez żadnych ozdób, szeroki, długości trzy czwarte, rękaw żakietu bez kołnierza, z jedwabnej surówki, tworzący całość z dystygowaną, leciutko rozszerzaną spódnicą. Żakiet zapinał się asymetrycznie, na metalowe klamry, trochę takie jak na butach strażaków, schodzące od prawego ramienia w dół.

Rozpięła go, żeby obejrzeć podszewkę, wykończoną równie pięknie jak wierzch, francuskim szwem. Przeczytała przyszytą etykietkę: „Made in Hong Kong for I. Magnin”. Firma, o której nawet ona słyszała. W takim komplecie można śmiało przywołać kelnera albo przejechać kogoś swoim jaguarem. Można wynająć płatnego zabójcę albo polecieć do Madrytu pierwszą klasą, a wszystko to za dwanaście dolarów...

Wzięła wybrane rzeczy i podeszła z nimi do lustra. W Goodwillu było tylko jedno, chociaż sklep był ogromny. Niełatwo było tu sprawdzić, jak wygląda się w ciuchlandowskich kreacjach. Przymierzalni oczywiście nie było, człowiek musiał sobie radzić w otwartej przestrzeni. Dwie solidnie zbudowane czarnoskóre dziewczyny, które najwyraźniej zafundowały sobie lego dnia węgry, przymierzały suknie na bal z okazji zakończenia szkoły - zielona satyna, czerwona koronka, falbany w najmniej odpowiednich miejscach. Josie nigdy nie miała i nie nosiła takiej sukienki, sukienki dla dziewczyny, która wyobraża sobie, że jest księżniczką. Kiedy osiągnęła wiek tych wagarowiczek, na wyobrażanie sobie siebie w roli królowy było już za późno.

Po paru minutach grubaski dały sobie spokój. Zostawiły suknie na podłodze, wzgardziły fantazjami, którymi jeszcze niedawno tak się rozkoszowały. Na pewno wyobrażały sobie, że idą na bal w zielonej satynie, mają niewiarygodnie długie paznokcie, oczywiście akryłowe, błyszczące jak samochodowy lakier, i cudownie upięte włosy, lśniące od kryształków. Jakiś gwiazdor filmowy dostrzega je przypadkiem i zwraca na nie uwagę... Zaraz jednak ogarnęła je zaprawiona gniewem świadomość, że nigdy nie przeżyją czegoś takiego, że suknie i tak nie pasują, że nie umówiły się z chłopakami, którzy chcieliby pójść z nimi na bal, i porzuciły je, jak facet, który najpierw w chciwym pośpiechu pieprzy się

z biedną grubą dziewczyną, a zaraz potem zostawia ją bez słowa.

Josie wsunęła suknie na wieszaki i odwiesiła na miejsce, nie mogła znieść ich widoku na podłodze. Nie było ich winą, że okazały się brzydkie i za małe. Na krawędzi lustra zaczepiła wieszak z garsonką stewardesy i komplet z Hongkongu. Ściągając sweter, czuła na sobie gorące oczy pracującego w sklepie chłopaka, który rozwieszał właśnie świeżą dostawę ciuchów. Miał nadzieję, że zdoła dostrzec jej gołe cycki albo przynajmniej stanik. Rozebrała się do przybrudzonej koszulki, odsłaniając kępki czarnych włosów pod pachami z pełną świadomością, że ten widok raczej zniechęci podglądacza.

Celowo przymierzyła najpierw sukienki. Ta różowa, wzorzysta firmy Pucci leżała na niej po prostu idealnie. Był to rozmiar 34, rozmiar, z którego kobiety szybko „wyrastały”, dlatego w ciuchlandach można było dość łatwo znaleźć nieznoszone ubrania tej wielkości, często w bardzo przyzwoitym gatunku. Dodatkowym plusem było to, że niewiele dziewczyn nosiło 34, znacznie więcej miało rozmiary 36 lub 38. Głęboki spiczasty dekolt domagał się spięcia, chyba że zechciałaby stworzyć wizerunek dziwki, wtedy mogłaby włożyć pod nią czarny stanik. Ale Josie nigdy nie decydowała się na paskudny image, kiedy mogła wyglądać olśniewająco. W wywalonych na wierzch cyckach nie było cienia tajemnicy, gołe biusty można było zobaczyć wszędzie, i to w nadmiarze. Dzianinowa sukienka była na pewno warta swojej ceny, szkoda tylko, że fioletowe, błękitne i kremowe nitki niemal znikwały wśród czerni i bieli. Ale także leżała jak ulał, Josie wyglądała w niej jak Jean Seberg, jeszcze jedna zagubiona dusza. Na koniec zdjęła z wieszaka komplet z granatowego surowego jedwabiu. Rozpięła spódnicę, która nie budziła w niej takiego lęku, włożyła ją i podwinęła w pasie. Wiedziała,

że będzie musiała ją skrócić, w zestawieniu z legginsami wyglądała wyjątkowo śmiesznie. Była to spódnica dystygowanej damy, coś dla nauczycielki z elitarnej szkoły. Potem, nawet nie podnosząc wzroku, włożyła żakiet, zapięła metalowe klamry i wygładziła materiał. Dopiero wtedy wzięła głęboki oddech i spojrzała w lustro.

Nigdy w życiu nie widziała niczego tak pięknego. Miała na sobie komplet, na który nie zdecydowałyby się żadna kobieta z rodziny Tyrellów. Zamrugła nerwowo. Nagle dostrzegła szansę, która do tej pory umykała jej uwadze. Zobaczyła kobietę bardziej elegancką i fascynującą niż jakakolwiek gwiazda rocka. Widziała ją w lustrze, nawet mimo podartych legginsów, ohydnie sinych w świetle jarzeniówek. Była zadowolona, że jest sama, że nie patrzy na nią nikt, kogo znała, bo byłoby to pogwałcenie granicy najgłębszej prywatności. Swoje normalne ubrania zawsze traktowała jak coś w rodzaju kostiumu na kinderbal, dlatego chętnie kupowała zabawne znoszone sukienki, porozciągane swetry i buty o zdartych obcasach. Teraz patrzyła na elegancję w pełnym rozkwicie. Nie było w niej nic taniego ani tandetnego, może tylko to, iż nosiła ją Josie Tyrell. Ogarnęło ją pełne poczucie winy podniecenie, że w ogóle zastanawia się nad kupieniem kompletu „Made in Hong Kong for I. Magnin”.

Popatrzyła na siebie, na swoje niemożliwe włosy i wyobraziła sobie króciutki sznurek pereł na szyi, z kilkoma delikatnie lśniącoymi kuleczkami, widocznymi w wycięciu żakietu. Do tego skórzane czółenka na średnim obcasie, czarne rękawiczki do połowy przedramienia, duże ciemne okulary. Wąska torebka z krótkim paskiem i gest, który widziała kiedyś u Jackie Kennedy na starym zdjęciu, prawą dłoń dotykającą górnej krawędzi trzymanej w lewej ręce torebki.

Michael dałby wszystko, byle tylko nie myślała w ten sposób. Takie myśli nie były częścią ich układu. Josie miała nie pragnąć tego, co miał Michael, i tyle. Mieli być parą niedbających o takie głupstwa artystów. Mieli żyć świeżym powietrzem, gardzić wygodą i władzą, które gwarantowało posiadanie pieniędzy. Josie nigdy nie mogła powiedzieć, że chętnie by zobaczyła, jak to jest, kiedy należy się do tych, którzy się liczą, którzy potrafią odczytywać znaki i dawać sygnały. Michael ją kochał, ponieważ była tak daleko od tego wszystkiego, ponieważ nie przychodziło mu do głowy, że mogłaby tego zapragnąć. Było to jedno z kłamstw stanowiących część ich życia. Fakt, że ona odrzucała komfort i luksus, był kwestią prawidłowego działania instynktu samozachowawczego. Wiedziała, że tamci, ci inni, nigdy nie przyjmą jej do swojego zakłętego kręgu. A Michael się oszukiwał, wmawiając sobie, że Josie jest wszystkim, czego naprawdę pragnie. Wcześniej czy później wróciłby do swojego świata. Tak, wiedziała o tym, chociaż udawała, że nie wie.

Przypomniała sobie sen, jaki miała parę dni wcześniej. Michael siedział na widowni sali koncertowej razem z piękną, wyrafinowaną elegancką dziewczyną, ubraną w czarny garnitur, ze srebrzystym krawatem, niemożliwie wytworny. Siedzieli pośrodku rzędu foteli, a Josie stała w przejściu i usiłowała zwrócić na siebie uwagę Michaela, lecz nawet na nią nie spojrzał, pogrążony w cichej rozmowie z dziewczyną, której ciemna głowa dotykała jego głowy. Josie była przekonana, że Michael i jego towarzyszka znają się z Harvardu, nie miała co do tego cienia wątpliwości. Próbowwała przejść do Michaela, deptając po stopach posypanych ze zniecierpliwieniem ludzi, gdy nagle bileter zatrzymał ją i poprosił, by pokazała swój bilet. Okazało się, że Josie ma miejsce w innej, gorszej części sali i została tam natychmiast

odprowadzona, zupełnie jak złodziejka, którą wyprowadza się ze sklepu. Przeszła z bileterem do tyłu, daleko, tam gdzie praktycznie nie słychać było muzyki, gdzie wszyscy stali i rozmawiali półgłosem, i potracali się nawzajem. Josie zorientowała się, że jest boso, że po drodze musiała zgubić buty.

Ciemnowłosa dziewczyna była tą, której potrzebował, studiowała przecież w Harvardzie, i wiedziała to, co wiedział Michael, miała wszystko to, co i on. To tamta mogła włożyć taki kostium i nie obawiać się, że będzie wyglądała jak przebrana. Josie patrzyła na swoje odbicie i wyobrażała sobie, że jest nie sobą, lecz Eleną. Dziewczyną, która nigdy nie musiałaby pracować w trzech miejscach, żeby zarobić na czynsz i inne rachunki, podczas gdy jej kochanek w każdy wieczór siedziałby w fotelu przy oknie, pijąc i nerwowo skubiąc obicie. Dziewczyną, która nigdy by nie czekała, aż jej ukochany na jej oczach rozsypie się w kawałki, ponieważ on zrobiłby wszystko, byle tylko nie stracić miłości kogoś takiego jak ona.

Kim ty niby jesteś, do cholery, usłyszała nagle w głowie głos ojca. Zobaczyła jego usta o opuszczonych kącikach, podkreślonych opadającymi węsami. I zdecydowanym ruchem włożyła ciemne okulary. To, co mówił jej ojciec, nie miało już najmniejszego znaczenia. Była dziewczyną, która nie przejmuje się byle gównem, oto kim była. Osobą, która może mieć i ma odrobinę godności, osobą, która nosi w sobie jakąś treść, nie pustkę. Nie rozumiała tego, ale od samego początku powinna właśnie tak zachowywać się wobec Michaela. Myślała, że pragnie jej, ponieważ jest taka różna od Meredith, lecz koniec końców w jego oczach była tylko niewykształconą dziewczyną, tandetną, głupią i ostrą jak piwniczny szczur. W lustrze widziała teraz tę, która powinna była być z Michaelem. Miała na imię Elena.

19. Zdjęcia przy Topanga ROAD

Kilka ptaków przeleciało za przednią szybą, która wyglądała trochę jak otwarte nuty. Gdzieś na samej krawędzi pola widzenia Josie kołysał się pióropusz starego drzewa pieprzowego i jego kiście różowych owoców. Oto jak czuł się ktoś martwy, wpatrzony w rozbitą przednią szybę, wygięty w dziwacznej, ale nie boleśnie niewygodnej pozycji. Przez otwarte okno do środka samochodu przedostawał się przyciszony szum ulicznego ruchu, napływający od strony Old Topanga Road. Żadnego przerażenia, żadnej wściekłości, nadziei czy miłości. Po prostu nic, i tyle.

Była dobra w udawaniu martwej. Często grała trupa. Jeremy nigdy nie dał innego zakończenia żadnemu ze swoich filmów. Dziewczyna zwykle leżała na posadzce kolejowego dworca, z kulą w sercu, albo oparta o ścianę salonu, albo na łóżku, twarzą do poduszki, z flakonikiem pigułek nasennych w dłoni. Teraz tkwiła za kierownicą rozbitego bmw, znowu martwa. Granie takiej roli nie było trudne, przypominało pozowanie, układanie ciała w interesujący kształt i trwanie w przyjętej pozycji. Tak czy inaczej, Josie nigdy nie miała szczególnie wyraźnego poczucia, że ona sama i jej ciało stanowią jedno. Nawet w dzieciństwie potrafiła bez łez patrzeć, jak coś się z nią dzieje, na przykład tamtego dnia, kiedy głęboko rozcięła kolano i spokojnie przyglądała się, jak krew płynie z rany, a różowa tkanka rozprutego mięśnia drga leciutko. Właśnie na tym polegała jej tajemnica - nie była ciałem, które wszyscy widzieli, drobniutką dziewczyną o szalonych, tlenionych włosach. Była zagrzebana głęboko wewnątrz, jak moneta w piasku, jak najcichszy szept w środku muszli. Teraz szyję miała wygiętą pod nieprawdopodobnym kątem, ale nie czuła bólu. Bycie martwą wcale nie było takie okropne. Martwota ciała mogła chyba przynieść coś w rodzaju ulgi. Josie nie szukała bólu, nie chciała być ranna czy

poszarpana, nigdy nie strzeliłaby sobie w skroń ani nie skoczyła z okna czy dachu, ale bycie martwą nie było dla niej czymś niewyobrażalnym.

Przez przednią szybę widziała Sergia z szesnastomilimetrową kamerą na ramieniu. Jeden z dwóch asystentów kamerzysty (Bob, tak samo jak ten drugi) ciągnął go na wózku z supermarketu. Mucha przysiadła na słodkiej sztucznej krwi, którą Laura pomalowała twarz Josie. Dziewczyna czuła dotyk każdej z sześciu nóg insekta, ale nie poruszyła się, nawet nie drgnęła. Niby dlaczego trup miałby się przejmować jakąś muchą... Zwykle tak nudny proces kręcenia filmu tym razem okazał się zbawieniem. Josie wiedziała, że przez następne dziesięć dni ma przed sobą nie wolny czas, ale pusty horyzont. Będzie zajęta i jeżeli w ogóle o czymś pomyśli, to chyba tylko o przestrzeni. O przestrzeni bez czasu. Może właśnie tym jest Bóg. Jej martwe oczy dostrzegły Jeremy'ego, jego grzywę jasnych włosów, widoczną w bocznym lusterku. I pomyśleć, że Michael był zazdrosny o kogoś takiego... Jeremy myślał wyłącznie o tym, kogo zdoła namówić do obejrzenia swojego filmu i czy uda mu się wepchnąć swoje dzieło na listę etiud na festiwalu w Toronto.

Za przednią szybą spory jastrząb krążył wysoko na zimowym niebie. Josie przyglądała się zza popękane szkła, jak nagle runął w dół. Może sądził, że naprawdę wydarzył się wypadek, postanowił więc zniżyć lot i czekać, aż ludzie odjadą, zostawiając mu padlinę. Wyobraziła sobie, że ostry dziób rozdziera jej pozbawione czucia ciało. Tralala, chodź, umrzyjmy tutaj... Mucha łąziła jej po twarzy, zbierając owłosionymi nóżkami słodką sztuczną krew.

W końcu ujęcie zostało zrobione i Bob Numer Dwa otworzył drzwi zniszczonego samochodu od strony pasażera - wóz był zielony, choć był niebieski, lecz na czarno - białej

taśmie i tak niczym się nie różniły. Bob pomógł Josie wyjść na słabe zimowe słońce. Czowała się tak, jakby rozwijała całe ciało, niczym motyl w przyrodniczym filmie, który wyłania się z kokonu jeszcze oślizgły i zgnieciony, lecz potem rozprostowuje się w słońcu, rozkłada kruche skrzydła. Jeremy objął ją jak wyciągniętą z pudełka lalkę, najwspanialszy pod słońcem prezent. Wciąż trzymając rękę opartą na jej ramieniu, wezwał załogę do mobilizacji.

- Magiczna godzina, moi drodzy. Jeszcze dwa ujęcia i się zwijamy.

Magiczna godzina, czas, kiedy studenci wydziału filmowego starają się zrobić jak najwięcej zdjęć. Ta pora dnia, w której słońce zniża się do linii horyzontu i świat promienieje złotym blaskiem, najcieplejszą w zimie barwą światła. Josie wyciągnęła szyję, wykonała kilka skłonów głową w lewo i w prawo. Splotła ręce za plecami i uniosła je do góry, rozciągnęła ramiona, przy tej okazji strząsając zaborczą dłoń Jeremy'ego. Robi to w złej wierze.

- To było po prostu błyskotliwe, Josie, jesteś supergwiazdą - oznajmił Jeremy, całując ją, ściskając i przytulając.

Zawsze ją przytulał i dotykał, co doprowadzało Michaela do wściekłości. Kiedy próbowała mu to jakoś tłumaczyć, Michael mówił, że sama się oszukuje. Udawanie, że człowiek nie wie, co robi, było dla niego aktem złej wiary, tak zresztą jak pozwalanie, aby ktoś człowieka całował, i utrzymywanie, że to rzecz bez znaczenia, podobnie jak prowadzenie towarzyskiej rozmowy z kimś, kogo darzy się antypatią. Człowiek musi być prawdziwy, bo tylko w ten sposób możemy naprawdę rozpoznać swoje uczucia, powtarzał.

Nie ulegało wątpliwości, że Jeremy starał się wykorzystywać jej ugodowość. Pozwalała mu na pewne rzeczy, bo to był jego film, a wszystkie te czułości obchodziły

ją tyle co nic. Dotyczyły tylko ciała, które było czymś w rodzaju kostiumu, wypożyczonego stroju. Michael usiłował zmienić jej sposób myślenia, przekonać, że ciało należy do niej, że inni nie mają prawa z niego korzystać. Josie rozumiała i przyjmowała jego argumenty, dopóki Michael z nią był, ale teraz odszedł na zawsze i nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego nie powinna pozwalać Jeremy'emu na czułości. Nie mogła sobie przypomnieć, jakie znaczenie ma, czy ona sama coś robi, czy też nie.

- Po zdjęciach wybieramy się do Guadalajary - Jeremy pogłaskał jej obnażone ramię. - Pojedziesz z nami, prawda? I postawisz mi drinka?

Może faktycznie całe to poklepywanie dowodziło złej wiary, ale przynajmniej było jakąś formą kontaktu z drugim człowiekiem. Nieautentyczną, smutną, lecz na swój sposób prawdziwą.

- Może - odparła.

Odgarnęła z czoła bardzo jasne, prawie platynowe włosy, które Laura ufarbowała jej nad umywalką, likwidując odrosty i przeistaczając ją w hitchcockowsko - futurystyczną blondynkę.

Laura narzuciła jej płaszcz na ramiona.

- Wyglądasz fantastycznie - szepnęła, leciutko muskając końce sztucznych rzęs. - Świetnie się trzymają...

Ponad ramieniem Josie zerknęła na Sergia, który właśnie konferował z Jeremym i czekał, aż dwie z jego dziewczyn ustawią sprzęt do następnego ujęcia.

Aktor grający Conrada siedział na poboczu drogi i wchodził w rolę. Miał rude włosy o odcieniu truskawkowej czerwieni, jasnoniebieskie oczy, sylwetkę surfera, muskularną, lecz szczupłą, i był prawdziwym Aktorem. Zdecydował się zagrać w studenckim filmie, żeby „nie stracić świeżości”. Ktoś powiedział mu, że Jeremy pewnie zrobi karierę. Josie zwykle

z zaciekawieniem obserwowała, komu młodzi reżyserzy powierzają główne role męskie w swoich krótkometrażowych filmach. Uważała, że jest to temat na osobny film. Zawsze wybierali odtwórców o takich cechach, jakie sami chcieliby posiadać, gdyby tylko mogli. Wybrany przez Jeremy'ego Aktor był dość podobny do niego, tyle że dużo bardziej fotogeniczny i zaabsorbowany swoją fizycznością, a nie zdolnościami twórczymi.

Korzystając z chwili przerwy, w czasie której zespół przygotowywał się do ostatnich ujęć, Josie w białych skórzanych butach i dżersejowej sukience wspięła się na zbocze wzgórza. Rozgarniała sięgające jej nad głowę kępy pachnącego kopru włoskiego, aż w końcu usiadła pod rozdwojonym pnem figowca, którego białawe konary lśniły jasnym różem w świetle „magicznej godziny”. Na gałęziach zostało jeszcze kilka uschniętych liści w kształcie dłoni. Josie podobała się Topanga z wiejskim sklepem w hipisowskim stylu, z drzewami i strumieniem. Wszyscy studenci wydziału filmowego kręcili tutaj swoje utwory, ponieważ Topanga znajdowała się w odległości zaledwie piętnastu kilometrów od Hollywood i dawała złudzenie życia na wsi. Niebo miało tu odcień jasnego błękitu, charakterystyczny dla dawnego malarstwa krajobrazowego. Lekki wiatr targał obwieszone długimi liśćmi gałęzie eukaliptusów i pieprzowców, które wyglądały tak, jakby się gotowały.

Josie zastanawiała się, co robi teraz Meredith. Oczami wyobraźni widziała matkę Michaela, stojącą przy oknie w domu w Los Feliz i patrzącą na ozłocony w magicznej godzinie ogród. Tylko Meredith była w stanie zrozumieć, że tamtą kulą Michael zatrzymał czas, który teraz rozlał się jak wielka kałuża, jak malaryczne, szerokie ujście rzeki, stracił bieg, zostawiając je obie w znieruchomiłej łódce. Tkwiły w

niej, zagubione wśród trzciny, czekając na deszcz, trochę jak bohaterowie filmu Afrykańska królowa.

Wciąż miała na dłoniach intensywny zapach kopru. Pomyślała, że miło byłoby wyciągnąć się na materacu z pachnących łodyg, i oparła policzek o biały, welwetowy pień figowca. Członkowie zespołu Jeremy'ego kręcili się wokół rozbitego samochodu jak mrówki wokół stłuczonego słoika z dżemem. Cała uwaga jedenastoosobowej załogi, ciekawskich, kamery i podobnego do mopa wielkiego mikrofonu skoncentrowana była na jednym człowieku, siedzącym na poboczu drogi. Aktor był mniej więcej w wieku Michaela. Szalenie pewny siebie, zaliczył trzy tygodnie w serialu telewizyjnym. Też mi osiągnięcie, pomyślała Josie. W tej chwili Wczuwał się w Scenę, było to oczywiste. Kołysał się w przód i w tył, powoli wprowadzał się w trans. Na tym polegała Metoda - Josie wiedziała o niej wszystko od innego chłopaka z wydziału aktorskiego. Aktor musiał wymyślić serię wspomnień, które miały pomóc mu poznać uczucia i sposób myślenia bohatera.

- Aktor musi przez cały czas myśleć - powiedział jej tamten chłopak. - Nie można tak po prostu stać i udawać wkurzonego, trzeba się zastanowić, co właściwie czuje wkurzony i co wywołało u niego ten stan...

Natychmiast się zawstydziała, bo przecież ona tylko stała i udawała wkurzoną. Może częściowo dlatego, że żadnego młodego reżysera na dorobku w najmniejszym stopniu nie obchodzi, czy Dziewczyna wczuwa się w rolę, czy nie. Wymagali od niej tylko, żeby stała i udawała wkurzoną, otóż to... Postaraj się wyglądać, jakby coś cię przestraszyło, wyglądaj seksownie, wyglądaj spokojnie... I pamiętaj, gdzie masz trzymać ręce, na miłość boską... Jeremy przekonał Aktora, że film zostanie pokazany na festiwalu w Toronto, że dzięki niemu zrobi karierę. Josie nie powiedziała Aktorowi

prawdy. Nie wyjaśniła mu, że chodzi o piętnastominutową etiudę, którą może pokażą w kinie studyjnym Uniwersytetu Kalifornijskiego i ewentualnie na festiwalu w San Diego, chociaż to ostatnie było oczywiście mocno niepewne. Że film nikogo nie wepchnie na firmament wielkich gwiazd, że może, zdaniem Jeremy'ego, jest to połączenie Bunuela z Hitchcockiem, ale raczej takie, do którego w najlepszym razie dochodzi w nieposłanym łóżku Antonioniego... I że wszyscy odtwórcy głównych ról w dziełach Jeremy'ego pozostają nieznani, w każdym razie do tej pory.

Josie nigdy nie próbowała wczuwać się w rolę. Nigdy nie uczyła się swojego tekstu na pamięć. Zdażyła już zdenerwować Aktora w scenie przed wypadkiem samochodowym, ponieważ nie podrzuciła mu odpowiedniej kwestii. Nigdy nie grała, poruszała się tylko i tworzyła kształty. Może na tym polegał jej problem - nic nie czuła, naśladowała uczucia, to wszystko. Pod tym względem była w gruncie rzeczy bardzo podobna do Jeremy'ego. Kiedy tylko czuła coś przed kamerą, starała się stłumić to uczucie, bo nie chciała nic odczuwać i nie życzyła sobie, aby ludzie widzieli jej emocje. Dostała ataku kaszlu i szybko zasłoniła usta dłonią. Spojrzała na drogę, sprawdzając, czy zaczęli już kręcić. Gdyby tak było, Gil, facet od dźwięku, wściekłby się do nieprzytomności. Gil zawsze był w marnym nastroju, ponieważ Sergio miał Boba Numer Jeden i Numer Dwa oraz kilka swoich dziewczyn, a on miał gówna. Na szczęście członkowie zespołu nadal ustawiali jeszcze sprzęt.

Josie zapatrzyła się w wielką, pozbawioną liści pustkę, w niebo pocięte ciemnymi liniami nagich gałęzi i podobne do układanki. Ucieczka od życia w film była dobrą, pozytywną rzeczą, tak jak opuszczenie rozbitego bmw. Była zadowolona, że nikomu nie powiedziała o Michaelu. Czuła, że jeżeli będzie ostrożna, jeśli będzie stała tam, gdzie jej każą, będzie biegła

we wskazanym przez Jeremy'ego kierunku, pozwoli muchom chodzić po swojej twarzy, to może utrzyma ból w pewnej odległości od siebie, przynajmniej na te kilka dni, będzie go widziała, ale nie pozwoli, aby wsączył się pod jej skórę.

A gdzieś za tymi wzgórzami i jeszcze innymi wzniesieniami Meredith siedziała w swoim domu całkiem sama, z rzeczami po swoim synu wrzuconymi do pokoju, którego progu i tak nie była w stanie przekroczyć... Obejmowała się ramionami, tak samo jak Josie, i usiłowała nie obijać się o ostre jak szpile krawędzie rozpaczy...

Jastrząb przeleciał nisko nad wzgórzem i małe ptaki natychmiast ucichły.

- Tempo! - zawołał Gil, wyciągając mikrofon daleko przed siebie, niczym wędkę.

- Kręcimy - odezwał się łóżkowy głos Sergia, pełen artystycznego zapachu.

Jeremy wymierzył palec w Conrada.

- Akcja!

Aktor położył się w trawie i wydusił z gardła wybuch śmiechu. Na tym polegało jego wczucie się w smutek. Josie uważała, że wypadłby znacznie bardziej realistycznie, gdyby po prostu nie robił nic. Ostatecznie kiedy czyjaś dziewczyna ginie w wypadku samochodowym, musi upłynąć dłuższa chwila, zanim jej ukochany zda sobie sprawę, co się stało. Przyjęcie tego wydarzenia do wiadomości przychodzi później, gdy zrozumie, że już nigdy więcej jej nie zobaczy. Kiedy pójdzie do pralni i zobaczy jej rzeczy, i nie będzie w stanie podjąć decyzji, czy je uprać, czy nie, ale w końcu uzna, że jednak nie, bo jeśli zwyczajnie je wyrzuci i pozbędzie się ich, to na świecie zostanie mniej cząsteczek cienia zmarłej, a zapach jej ciała, na zawsze ukrytego pod grubą warstwą ziemi, zniknie raz na zawsze.

Po scenie Conrada Josie zeszła ze wzgórza, żeby przygotować się do swojej. Starannie wytarła białe buty, a Laura otrzepała jej sukienkę.

- Widzisz te spodnie? - szepnęła do ucha Josie, ruchem podbródka wskazując blondynkę w fioletowych legginsach. - Tobie byłoby w nich nieźle, ale nie takiej krowie z dupskiem jak wiadro...

Kiedy Laura pokryła wargi Josie świeżą warstwą szminki i podmalowała plamy ze sztucznej krwi, podszedł do nich Jeremy. Odchrząknął i znacząco zerknął na pozostałych członków ekipy.

- Josie, postanowiliśmy wypróbować nowe zakończenie - oświadczył cicho.

Dlaczego przyglądał się jej z tym podstępным uśmiechem na ustach? Najwyraźniej zamierzał ją w coś wrobić.

- Po prostu powiedz, o co chodzi.

Jeremy utkwiał wzrok w widocznym daleko na horyzoncie pasku morza i odgarnął włosy z czoła.

- Widzę Elenę, jak wydobywa się z wraku i idzie przed siebie drogą... Naga dusza, która odchodzi w Zaświaty...

Josie popatrzyła na Sergia i Boba Numer Jeden, dostrzegła zdziwienie, malujące się na ich twarzach, i już wiedziała, że „postanowiliśmy” oznacza zbiorowe „postanowiłem”, czyli kolejny genialny pomysł Jeremy'ego. Chciał mieć Elenę na golasa. „Naga dusza, która odchodzi w Zaświaty”, też coś... Krótko mówiąc, Jeremy uznał, że scena z nagą dziewczyną wzbogaci film o seksualny smaczek. Jeremy myśli kategoriami ludzi, którzy umieszczają zdjęcie dziewczyny z gołym biustem w reklamie części samochodowych. Nie ma to nic wspólnego z wizją, Jeremy robi to w złej wierze. Pozowanie nago do obrazu czy rzeźby to jedno, ale Josie

ogarnęła złość, że Jeremy chce wykorzystać ją w ten sposób, ponieważ wie, że już nieraz to robiła.

- Pieprzę cię, Jeremy!

- Och, dajże spokój! - Jeremy odrzuca włosy do tyłu, patrzy na nią trochę wylupiastymi niebieskimi oczami. - Nie masz przecież fałszywych zahamowań, rozbierasz się prawie codziennie! Słuchaj, jesteśmy tutaj przecież wszyscy jak w rodzinie...

O mało nie parsknęła śmiechem. Brzęk, brzęk... Dźwięk fałszywych monet, wypadających z jego ust jak z otworu automatu do gry w Vegas. Jakie Jeremy może mieć pojęcie o rodzinie? Czy jego zdaniem rodzina to coś, co kiedyś widział w telewizji?

Jeremy otacza jej barki ramieniem, zbliża twarz do jej twarzy. Musiał podpatrzeć ten gest w jakimś filmie...

- Elena jest czystą duszą, która idzie drogą przed siebie, aby odejść w Zaświaty. To byłoby rzucające na kolana zakończenie, Josie...

- Chodzi ci o zakończenie moich pleców, tak? Cofnęła się gwałtownie, zrzucając z siebie jego ramię.

- Czuję się boleśnie dotknięty - powiedział Jeremy. - Uraziłaś mnie, i to głęboko. Mam wizję duszy Eleny... - ułożył kciuk i palec wskazujący w „L”, jakby oglądał zdjęcia na przeglądarce. - Widzę, jak oddala się od nas, naga, bosa na wiejskiej drodze. Jest niewidzialna, Conrad nie może jej zobaczyć, przechodzi obok niego i idzie dalej, aż wreszcie znika w dalekim planie. Została uwolniona. Jest już po wszystkim. Ubranie i inne więzy łączące ją z poprzednim życiem, wszystko to opadło z niej. Czuje się uwolniona od oczekiwań, nadziei, wymagań. Proszę cię, błagam, zrób to dla mnie, dobrze?

Stała nieruchomo, ze skrzyżowanymi ramionami, wpatrzona w znikającą w oddali drogę, na której słońce kładło

różowozłociste cienie. Kogo to obchodzi, przecież to tylko ciało, pomyślała. Wypożyczony kostium. Ciała umierają, są gwałcone, miażdżone, kremowane, grzebane w rodzinnych grobach. Tak czy inaczej, Jeremy wkurzył ją, próbując bezczelnie wpuścić w maliny.

- Ile zapłacisz za tę swoją nagą wizję?

Teraz Jeremy przestał się zgrywać. Zerknął na nią czujnie, przywołał na twarz wyraz skrzywdzonego dziecka, którego rodzice wściekają się, bo przyniosło ze szkoły złą ocenę.

- I tak płacę ci najwyższą stawkę... Smutne spojrzenie, wygięcie warg.

- Myślałem, że wierzysz we mnie, w ten film...

- W porządku - Josie przeniosła ciężar ciała na drugą nogę, wbiła wysoki obcas w pył. - Pod warunkiem, że będziesz reżyserował nago. Że inni też się rozbiorą, że wszyscy będziemy na golasa, jak nagie dusze w Dzień Nagich Dusz...

Jeremy spojrział na pozostałą część ekipy, na pulchnego Gila, na obu Bobów, którzy prawdopodobnie nie bardzo mieli się czym pochwalić. Dziewczyny Sergia nie wyrażały sprzeciwu, podobnie jak sam Sergio, ale wszyscy inni szukali teraz wzrokiem interesujących obiektów, na przykład pieprzowców lub zarośli przy drodze. Jeremy podszedł bliżej.

- Dlaczego tak mnie nienawidzisz, Josie? Posłuchaj, tracimy najlepsze oświetlenie...

Nie odpowiedziała. Czekwała, obserwując, jak światło przybiera lekko błękitnawy odcień. Czekwała na następny ruch Jeremy'ego. I czuła się jak Elena.

- Gordo? Mamy tu małego problem! - zawołał Jeremy do Mojego Producenta, tłustego chłopaka z Denver, którego wuj wyłożył większość forsy na film.

Wuj grubasa był właścicielem sieci tanich przychodni dentystycznych w Arizonie i Nowym Meksyku. Gordo zbliżył

się, wydmuchując z ust chmurę niebieskiego dymu, idealnie pasującą do jego nachmurzonej facjaty. Jeremy odbył z nim krótką konferencję na stronie. Gordo otworzył portfel, przeliczył pieniądze i skinął głową.

- Sto dolców - powiedział Jeremy bardzo cicho, tuż nad uchem Josie. - Dodatkowa setka...

Josie i tak dostawała już pięćdziesiąt dolarów za dzień, o dwadzieścia pięć więcej niż reszta ekipy.

Miała ochotę zażądać czegoś jeszcze. Naprawdę chciała, żeby wszyscy dowiedzieli się, jak to jest, kiedy zrzuca się ubranie na oczach obcych, kiedy na parę minut trzeba stać się tylko ciałem, niczym więcej. Chciała, żeby oni także poznali to uczucie, żeby dotknęli jej rzeczywistości. Zależało jej, by Jeremy również wiedział, co ona czuje, ale jaki właściwie sens miało takie pragnienie... Jeremy był zajęty sobą w tym samym stopniu co raczkujące dziecko w piaskownicy. Josie zrozumiała, że lepiej będzie, jeśli po prostu weźmie dodatkową setkę i schowa ją do kieszeni, razem ze swoimi pragnieniami.

- Chcesz, żebym kazał ludziom zejść z planu? - zapytał Jeremy, jak zwykle profesjonalista w każdym calu.

Rozejrzała się. Zachciało jej się śmiać. Kto niby miał zejść z planu? Grupka studenciaków, wielbicielki Sergia, Gordo? Rozpięła zamek błyskawiczny dżersejowej sukienki, podała ją Laurze, dodała pończochy, buty, bieliznę. Laura była blada ze współczucia, najwyraźniej uważała Josie za bardzo dzielną, lecz ona, szczerze mówiąc, zawsze czuła się w większym stopniu sobą, kiedy była nago. Poszła drogą do wyznaczonego punktu. Wszyscy gapili się na nią jak zaczarowani. A niech się gapią... Była przecież martwą dziewczyną. Każdy może patrzeć do woli na ciało martwej dziewczyny, na jej trójkąt, na nagie piersi i drażnić je palcami, aż stwardnieją. Gliniarze, ludzie z kostnicy. Niektórzy z nich może nawet pieprzą

zwłoki, wiedząc, że teraz nie zdoła ich już odepchnąć. Jednak Elena była ponad tym wszystkim, wolna w taki sposób, w jaki wolni mogą być tylko zmarli. Taka była prawda, do kurwy nędzy... Josie zatrzymała się, odwróciła.

- Gotowa?! - zawołał Jeremy.

Gil włączył sprzęt, kamera zawarczała, Jeremy wymierzył palec w Josie.

- Akcja!

Ruszyła przed siebie, minęła Conrada, siedzącego z głową ukrytą w dłoniach i roniącego najprawdziwsze w świecie łzy. Jedwabisty, chłodny pył i ostre kamyki na zmianę koły i raniły jej podeszwy. Był styczeń, słońce zachodziło. Idealny dzień na śmierć, teraz mogła już spokojnie zapomnieć o żywych. Nie potrafiła sobie przypomnieć, czego chciała od tego chłopaka, którego łzy kapały na trawę. Pewnie tak to właśnie było, martwy człowiek był zimny, nie miał na sobie ubrania, nic nie pamiętał i tylko szedł przed siebie drogą... Przez głowę przebiegła jej myśl, że Jeremy pewnie jest rozczarowany, że w tak głupi sposób zmarnował setkę, bo widzi, jaka jest chuda, jak nieseksownie wypadnie jej ciało na ekranie, że jej uroda okazała się skąpa i cieniutka jak letnia sukienka. Wciąż szła przed siebie, zastanawiając się, czy za te sto dolców Jeremy każe jej iść aż do miasta. Szła i szła, aż wreszcie usłyszała głos Jeremy'ego.

- Cięcie!

Wyszedł po nią do połowy drogi i otulił kocem, trochę zapiaszczonym i pachnącym pleśnią i morzem. Objął ją, pocałował w policzek.

- Fantastycznie, Josie! Ta scena odmieni przyszłość filmu, zobaczysz! Masz moją dozgonną wdzięczność. Ludzie zapamiętają cię, słowo daję!

Zapamiętaj jej tyłek. Przynajmniej tyle.

Hałaśliwy bar przy Bulwarze Zachodzącego Słońca, w pobliżu Virgil, z czarnymi sombrerami zawieszonymi pod sufitem, wszystko skąpane w czarnym świetle. Zęby i koszule członków ekipy lśniły bielą. Josie nie miała pojęcia, dlaczego przyjechała, co robiła w towarzystwie tych obcych, wiedziała tylko, że nie chce wracać do domu. Była Dziewczyną z Filmu, dziewczyną, której chłopak dopiero co się zabił, dziewczyną, która wybrała się na drinka z ekipą filmową, piła tequilę i nikomu nie zdradzała źródła swojej rozpaczliwej wesołości. Dziewczyna była piękna i chłopcy tłoczyli się wokół niej, usiłując ją rozbawić. Dziewczyna z Filmu flirtowała z reżyserem, grała w jakieś idiotyczne barowe gry z asystentem kamerzysty i dziewczyną od kostiumów, która miała różowe włosy, wprawiała ćwierćdolarówki w wirowy ruch na blacie i wypijała całe piwo, nie odrywając ust od szklanki. Dziewczyna, której chłopak dopiero co się zabił, udawała, że słucha, jak przystojny młody aktor opowiada o pilocie telewizyjnego serialu, w którym miał wystąpić, i piła jedną tequilę za drugą, aż w końcu upiła się tak bardzo, że nie wiedziała, co mówi, i nic ją to nie obchodziło. Przystojny aktor był młody i sympatyczny, i tańczył z nią la bambę. Czowała, że reżyser nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy, bo był przecież reżyserem i Dziewczyna z Filmu powinna przypaść w udziale właśnie jemu, ale aktor był bardziej seksowny i przystojny, a poza tym po zakończeniu zdjęć miał zniknąć z horyzontu Dziewczyny, co nie było bez znaczenia.

Pojechał za nią. Jakoś stoczyli się po schodkach do jej domku za większym domem. W domku było pusto i zimno jak w dziale mrożonek w supermarkecie. Ściany straszyły nagimi hakami. Malarza nie było. Dziewczyna była zadowolona, że aktor jest z nią, że nie jest sama, i pieprzyła się z nim na Montmartrze, w białym łóżku, tym samym, gdzie inna dziewczyna i inny chłopak kochali się jak młodzi bogowie. Aż

przestali się kochać... Czy to łóżko miało już na zawsze być czymś w rodzaju świątyni?! Czy Dziewczyna powinna zachowywać się jak Meredith, umocować gruby sznur w drzwiach, zapalić świece, złożyć ofiarę? Aktor pieprzył ją i pieprzył, zbyt pijany, żeby osiągnąć orgazm, i nagle dziewczyna wyszła z gęstych oparów alkoholu i z roli Dziewczyny, i zrozumiała, że jest sobą, że to ją pieprzył jakiś obcy facet, a Michael nie żyje, ale wtedy było już za późno.

- Było cudownie - oświadczył aktor, kiedy w końcu doszedł.

Ciekawe, w jakim grał filmie, pomyślała Josie, wycierając się prześcieradłem.

20. SZWECJA

Ból głowy owinał się dookoła jej czoła, był jak korona z tequilowych cierni. Światło rozpałiło ogień w niezastłoniętych oknach. Zegar wskazywał trzecią, ale to dlatego, że zatrzymał się na tej godzinie. Była już pewnie siódma, może nawet później. Bijący z okna blask uderzył ją w oczy jak pas z metalową klamrą. Kapelusze sombrero, zawody, kto wypije więcej... A obok niej, na poduszce Michaela, spoczywała ruda głowa.

O Boże... Więc to nie był zły sen... Naprawdę pieprzyła się z obcym w łóżku Michaela.

Z trudem dotarła do łazienki, przykucnęła nad poplamioną rdzą toaletą, do której ktoś nasikał i nie spuścił wody, i zwymiotowała. Gorzkawa tequila buchnęła z niej żółtą falą. Odczekała chwilę i zwymiotowała jeszcze raz. I jeszcze.

Szczerze żałowała, że nie może wyrzygać całej siebie, tak żeby z Josie Tyrell została tylko wyschnięta skóra, truchło insekta, unoszone każdym powiewem wiatru.

Położyła się na zimnej podłodze, naciągnęła na siebie matę spod prysznic. Wiedziała, że jeśli teraz wstanie, znowu zwymiotuje, więc leżała na kafelkach, rozdygotana i słaba, i wyobrażała sobie, jak Michael obserwuje ją z tym facetem, aktorem, w jego łóżku. Tak mało ci na mnie zależało? Tak mało? Równie dobrze mogła skorzystać z propozycji, jaką Nick Nitro wysunął pod jej adresem na balandze u Loli Loli. Nick zabrałby ją do siebie, nie zrobiłaby tego tutaj. Albo może pieprzyłby się z nią na stojąco, w jakiejś alejce za śmietnikiem.

Podniosła się na kolana, ściągnęła wiszące na drzwiach kimono. Nie było ciepłe, ale nie chciała chodzić po mieszkaniu nago. Człowiek potrafi znieść tylko określoną porcję nagości, a ona miała już nagości po dziurki w nosie. Dźwignęła się jeszcze trochę, do klamki, i zawiązała pasek,

który wydał jej się dłuższy niż ostatnim razem, kiedy wkładała kimono. Była coraz chudsza, z każdym dniem traciła na wadze, zupełnie jak jakiś uchodźca. Puściła wodę i umyła zęby. Nowa pasta, kupiona kilka dni wcześniej, miała strasznie mocny smak, Josie przywykła do proszku Michaela, lecz pudełko proszku leżało teraz gdzieś w jego ciemnym dziecięcym pokoju.

Oparła się o framugę drzwi. Miała wielką ochotę wrócić do łóżka, ale nie mogła położyć się obok aktora. Kręciło jej się w głowie, była chyba chora, miała dreszcze, robiło jej się na zmianę gorąco i zimno.

- Wstawaj - powiedziała zachrypniętym głosem. Głowa nawet nie drgnęła.

- Wstawaj! - powtórzyła. - Budzonko!

Podeszła do łóżka i potrzęsnęła jego ramieniem. Jęknął.

- Boże, która godzina?

Sięgnął po leżący na stoliku przy łóżku zegarek, stracił wazonik z pawimi piórami, który spadł na podłogę i potoczył się pod łóżko. Zmrużył oczy, popatrzył na tarczę zegarka.

- Jeszcze wcześniej... - wymamrotał, osuwając się na poduszkę.

- Nie, już późno - rzekła Josie. - Musisz się zbierać. Oślonił oczy dłonią, ściągnął brwi, na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech.

- Cześć, dziewczyno...

- Wstawaj.

Zrzucił kołdrę, odsłaniając muskularne ciało, poranną erekcję. Biorąc pod uwagę, że nie był w najlepszym stanie, zasługiwał na gratulacje.

- Chodź do mnie, jest jeszcze naprawdę wcześniej... Pogłaskał się, ujął jajka w dłoń. Miał rude włosy łonowe.

Nie pamiętała tego.

Pozbierała jego ciuchy z podłogi i rzuciła na łóżko. Czy naprawdę sobie wyobrażał, że będzie się z nim znowu pieprzyć? Ze wszystkich sił walczyła, by się nie rozplakać. Czy wyrażała się jakoś mętnie, niewyraźnie?

- Przestań się pieścić i wstawaj. Muszę mieć trochę czasu dla siebie przed pracą.

Na sesji w Cal Arts powinna być na pierwszą, na planie filmu dopiero wieczorem, ale nie mogła znieść myśli, że ten facet ciągle tu jest, tu, gdzie widzą go balerina i malarz. Była gotowa podpalić łóżko, byle tylko sobie poszedł, żeby wreszcie się wyniósł, a przynajmniej podniósł głowę z poduszki Michaela...

- Byłem ci potrzebny tylko po to, żeby cię pieprzyć, a teraz mnie wyrzucasz? - z wyrzutem odął wargi.

Jak miał na imię? Conrad? Nie, tak nazywał się bohater, którego grał w filmie Jeremy'ego.

- Tak - odparła. - Przecież to marzenie każdego faceta, może nie?

- Nie znasz mnie - powiedział. - Nie zostawiłbym cię samej. Usmażę ci naleśniki, chcesz?

Po tyłu tequilach mógł jeszcze myśleć o jedzeniu? Wystarczyła sama myśl o naleśnikach, żeby Josie odbiło się skwaśniałym alkoholem.

- Ale najpierw zrobię ci dobrze - oznajmił, układając się na boku, z głową opartą na dłoni, w seksownej pozie, wszystko po to, żeby podkreślić rozmiar swojego kutasa.

Boże... Taka oczywista zagrywka, lecz najwyraźniej działa, skoro facet ją stosuje. Każda mała pokazuje takie sztuczki, za jakie dostaje banana... Josie wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Michael nigdy nie pozował, nigdy. Jego ciało było całkowicie naturalne, spięte lub rozluźnione, ale naturalne.

- Słuchaj, Wade... - zaczęła.

Wade, właśnie tak miał na imię. Nie znosiła grać, zwłaszcza teraz, kiedy zależało jej tylko na tym, żeby się go pozbyć, ale niech tam... Gdy facet sobie pójdzie, będzie mogła zadrzeć się na śmierć, a przecież właśnie o to jej chodziło, prawda?

- Bardzo mi się podobasz, kotku, ale teraz naprawdę muszę zostać sama. To należy do mojej metody...

Przypomniała sobie, co jedna dziewczyna opowiadała jej o swojej „metodzie”, i teraz doszła do wniosku, że jest to dobry pretekst do stawiania żądań bez przyznawania się, że wszystkie te rytuały i rutynowe zajęcia są najzwyczajniejszym w świecie kaprysem.

- Muszę zostać sama, żeby trochę pomedytować - dodała dla wzmocnienia efektu.

Dzięki Bogu, że Wade nic o niej nie wiedział. Nie była nawet prawdziwą aktorką. Nigdy w życiu nie medytowała. Kontakty z obcymi były naprawdę cudowne, obcy byli jak wielkie kartki czystego papieru, na których można było narysować wszystko, co człowiekowi przyszło do głowy. Czy Michael związał się z nią właśnie z tego powodu? Ależ tak, jasne! Tak.

Zaczekała, aż Wade podniósł się z łóżka, i wycofała się do kuchni.

Z okna nad zlewozmywakiem widziała, jak szyby w domach po drugiej stronie łąki błyszcząły w świetle wstającego słońca. Szosami numer 2 i 5 sunęły do miasta zwarte sznury samo chodów. Jak ludzie mogli to wytrzymać? Codziennie budzili się i zaczynali żyć własnym życiem. A tymczasem podobny do chińskiej babci Bóg zdejmował ich ze sceny, jedno po drugim, jedno po drugim... Jedno moje spojrzenie wystarczy, żeby coś stało się paskudne.

Malował swój autoportret przed lustrem. Twarz wydawała się długa i zniekształcona, oczy były za duże i osadzone zbyt

wysoko. Przez cały dzień zamienił z nią najwyżej trzy słowa. Unikał jej dotyku. Siedziała na brzegu wanny i malowała paznokcie u stóp niebieskim lakierem, próbowała poprawić mu jakoś nastrój, mieli za sobą takie okropne lato. Zachodziła w głowę, co takiego zrobiła, że był taki niedobry, taki zimny i jednocześnie wściekły. Włożyła błękitną haleczkę ze sklepu Fundacji św. Wincentego a Paulo, miała nadzieję, że go uwiedzie, bo przecież nadal był mężczyzną, mogła zmusić jego ciało do reakcji, gdyby tylko jej pozwolił.

- Dlaczego tak się oszpecasz? - zapytała.

- Jestem szpetny - odparł, nie odwracając się, nie odsuwając twarzy od lustra, zupełnie spokojnym głosem. - Pięćdziesiąt parę kilo mięcha i włosów. Nie wystarczyłoby nawet na abażur. Popatrz... - podniósł rękę do lustra.

Miał na sobie szorty, ale do pasa był nagi. Widziała jego piękne ramiona, klatkę piersiową z zapadniętym owalem pośrodku, kwadratowe, chociaż chude barki. Ostatnio marnie sypiał, jego cera miała niezdrowy odcień, pod oczami rysowały się cienie. Jego widok budził w niej lęk, zwłaszcza w tej chwili, kiedy tak wpatrywał się w swoje odbicie, zupełnie jakby miał przed sobą potwora.

- Chodźmy do parku, będziesz mógł malować kwiaty lotosu - zaproponowała. - Albo mostek...

Gdyby wybrali się do parku Echo, może popłynęliby łódką pod czerwonym chińskim mostkiem. Mogliby leniwie sunąć po powierzchni wody w cieniu palm rosnących na Canary Island, przecinać ciemne jeziora cienia. Michael grałby na jej małej błękitnej gitarze i śpiewał zabawne piosenki z lat dwudziestych, naśladowałby Louisa Armstronga w Big Butter and Egg Man albo Binga Crosby'ego w jego wersji Just a Gigolo.

- W parku będzie trochę chłodniej... - dodała. - Co ty na to?

- W domu jest wystarczająco chłodno.

Chyba w wykładanej kafelkami łazience, gdzie ostatnio przesiadywał całymi dniami.

- Zresztą i tak nie odważyłbym się malować - ciągnął. - Jedno moje spojrzenie wystarczy, żeby coś stało się paskudne. Jestem jak gorgona, wiesz? Nie możesz tu tak siedzieć, powinnaś zasłonić się tarczą...

Starał się jej pozbyć.

Teraz, patrząc na pędzące do miasta samochody, wreszcie zrozumiała, jak się wtedy czuł.

Łzy napłynęły jej do oczu. Pieprzyć to wszystko. Może Cal miał rację. Każdy drobiazg przywoływał wspomnienia o Michaelu, więc może faktycznie lepiej, że Meredith zabrała wszystko i zamknęła w jego starym pokoju niczym w sklepie ze starociami, którego właścicielką jest śmierć. Wszystkie obrazy, na dobre i na złe, te piękne i te okropne, ten przedstawiający emaliowany kran nad wanną, pokryty plamami rdzy, które wyglądały jak krew, i ten z szalonym mnichem w czarnej pelerynie, z pełnymi wściekłości oczami. Ona nie potrafiłaby się ich pozbyć, przypominałyby jej wiecznie, jaka okazała się bezużyteczna, kazałyby gorzko żałować, że nic nie powiedziała, że nie zareagowała, kiedy Michael oznajmił, że jedno jego spojrzenie wystarczy, aby coś stało się paskudne.

Aktor w końcu trafił do łazienki, słyszała, jak sikał do muszli, obficie i długo niczym koń.

- Nie zapomnij spuścić wody! - zawołała.

- Chodź tutaj i pomóż mi! - odkrzyknął.

Wyszła do ogrodu, gdzie w piasku leżały popękane kamienie, które układali razem starannie i wytrwale, usiłując dopasować je do siebie. Było to w czasach, kiedy wszystko robili we dwoje. Zerwała garść liści mięty. Dookoła panowała cisza, nawet pies u stóp wzgórza nie zaczął szczekać.

Wszędzie cudownie pachnąca zieleń, zupełnie inaczej niż ubiegłego lata, gdy potworny upał sprawiał, że widok za oknem łazienki drgał i migotał jak fatamorgana, a wszystkie kolory wydawały się sprane, pokryte białym nalotem.

Kiedy wróciła, aktor brał prysznic. Zaparzyła miętę w małym rondelku, przelała napar do kubka i zniosła do salonu, gdzie siedząc przy oknie, mogła patrzeć na sunące szosą samochody i ustawiony na parapecie miniaturowy cyrk. Wzięła do ręki konia i amazonkę, wyprostowała pióro na głowie zwierzęcia. Dlaczego nic nie zrobiła? Dlaczego nie zwróciła się do kogoś o pomoc dla Michaela? Może dlatego, że dopiero w lecie doświadczyła ciemnej strony jego natury, jego okrucieństwa, jego obsesji... Ale próbowała, prawda? Próbowała.

- Może chciałbyś się z kimś spotkać...

- Spotykam się z kimś codziennie. Z tobą.

Wskazał ją gestem w lustrze. Teraz zadrżała na wspomnienie jego spojrzenia. Patrzył na nią, jakby jej w ogóle nie znał, jego oczami spoglądał obcy człowiek. Nie widział jej już tak jak dawniej, nie widział Josie, małej Żanny, swojej ukochanej.

- Miałam na myśli psychiatrę albo kogoś w tym rodzaju...

Nachylił się nad płótnem, podmalował kości policzkowe zielenią.

- Nie ma żadnego lekarstwa na to, że jest się człowiekiem, Josie. Ani na stan, w jakim się znajdujemy. Wiesz, że w Hiszpanii podają danie o nazwie cipriones en su tinta? Słyszałaś o nim kiedyś?

Jezu, co to miało wspólnego z wizytą u cholernego psychiatry? Jego myśli podążały tak dziwnymi drogami, że aż głowa ją bolała.

- Nie, Michael, nigdy nie słyszałam o takim daniu. Oblałam twój mały egzamin?

- To kałamarnica - odparł. - Ugotowana we własnym sosie.

Milczała chwilę, niepewna, czy wyjaśni jej, o co mu chodzi, czy zostawi ją bez odpowiedzi, rozpaczliwie drapiącą się po głowie.

- No dobrze, i co z tego?

- To ty, Josie, nie widzisz tego? Ugotowana we własnym sosie.

Pragnęła go dotknąć, potrząsnąć nim, przypomnieć mu w jakiś sposób, że jest dziewczyną, którą kocha. Tą, która dała mu pozwolenie, z którą podróżował przez całą Syberię, aż do Japonii. Otworzyli razem wszystkie drzwi, prawda? Więc pragnęła go dotknąć, ale bała się oskarżeń, które wyczytała w jego jasnych oczach. Co takiego mu zrobiła, oczywiście poza tym, że go pokochała?

- Masz ochotę zdradzić mi, o czym mówisz? Przykro mi, że jestem taką pieprzoną ignorantką, ale po prostu nie rozumiem!

- Mówię o tym, że sama zwracasz uwagę na to, że powinienem się z kimś zobaczyć! A ja widzę kogoś, i to bardzo wyraźnie! Ciebie i twojego chłopaka, Jeremy'ego!

Westchnęła, odstawiła buteleczkę z niebieskim lakierem na pokrywę spłuczki.

- Wiesz, co do jednego masz rację... Wystarczy, że na coś spojrzysz, i to już staje się paskudne.

A jednak po plecach przebiegł jej lekki dreszcz strachu.

Michaelowi ani razu nie zaświtała w głowie myśl, że może to wcale nie Jeremy. Niby gardził Jeremym, ale w głębi duszy zazdrościł mu, bo Jeremy tworzył, nie martwiąc się, że jego dzieło nie jest najdoskonalszą rzeczą, jaka kiedykolwiek powstała. Tymczasem Nick Nitro żył po prostu poniżej pola widzenia Michaela - rozwrzeszczany punk, wiecznie naćpany

gitarzysta, który jeździł na rozklekotanym japońskim motorze i wyglądał jak mechanik samochodowy.

W tamtym okresie Josie wcale nie uważała, że pieprzenie się z Nickiem to romans. W gruncie rzeczy nie miała nawet wrażenia, że zaczęła coś nowego. Nie drżała, kiedy brała Nicka w siebie na jego brudnej pościeli. Uprawianie z nim seksu było raczej jak sięgnięcie po kurtkę albo płytę, którą zostawiła w korytarzu, albo zjedzenie zimnej pizzy, gdy była na haju. Kogo mogło obchodzić, co działo się między nimi... Wtedy myślała, że winę za to ponosi Michael. Gdyby tylko jej dotknął, uśmiechnął się... Kochał się z nią tak, jak potrafił, jeśli chciał... Jednak tamtego lata Michael chciał tylko jednego - mieć święty spokój, żeby malować okropne autoportrety przed lustrem i słuchać płyt Schonberga, tej poszarpanej, na wpół oszalałej muzyki.

Więc Josie zaczęła zaglądać do Franklin Fuckhouse. Niezbyt często, najwyżej trzy, cztery razy, i tylko po to, żeby odwlec chwilę powrotu do domu. Odetchnąć czymś innym niż ten czarny, coraz bardziej ponury nastrój.

Kłameczucha.

Sytuacja wyglądała dużo poważniej. Josie była wściekła i zraniona, i właśnie w ten sposób odpłacała Michaelowi za to, że traktował ją jak śmieć. Bo tak ją traktował, podczas gdy ona była gotowa zrobić dla niego wszystko, po prostu wszystko. Kupowała jedzenie, robiła pranie, płaciła za mieszkanie, za jego płótna i pieprzone farby, bo przecież nie miał ani grosza od dnia, kiedy rzucił pracę u Senora Reynaldo, nagle, bez żadnego wyraźnego powodu. Zaczęło mu się nie podobać, że Reynaldo ciągle kręci się w pobliżu, powiedział, że ma dosyć niezgrabnych bachorów i grania tych samych melodii raz po raz, tak długo, że w końcu słyszał je nawet we śnie. Tak twierdził. Biedny Reynaldo najprawdopodobniej nie miał zielonego pojęcia, dlaczego Senor Music nagle stał się

taki nadąsany, trudny i humorzasty. Tamtego lata Michael nienawidził wszystkich. Pozwalał, żeby Josie urabiała sobie ręce do łokci, gdy on malował swoje ohydne obrazy, ten swój prywatny przewodnik po świecie Boscha, i nawet jej nie pocałował, i kulił się pod jej dotknięciem, jakby go parzyło. Więc wolała pojechać do Fuckhouse i zafundować sobie porządny seks bez żadnych pytań. Szczerze mówiąc, w tamtym okresie Nick podobał jej się bardziej niż w czasie, kiedy faktycznie byli parą. Był idealnym anty - Michaeliem, nie miał żadnych pomysłów ani egzystencjalnych wątpliwości, nie twierdził, że seks ma jakiegokolwiek głębsze znaczenie. Nie zastanawiał się, czy wracają do siebie, i nawet nie zapytał, czy Josie przestała uważać go za dupka. To, co dawniej tak ją w nim drażniło, teraz okazało się jego mocną stroną. Michael zawsze powtarzał, że zalety mogą być wadami i odwrotnie, prawda?

Miała Michaela i nie mogła go mieć. Jednak dla Mamusi chętnie budził się z odrętwienia, o tak...

Ożywił się, kiedy zaczęła wydzwaniać do niego z Leningradu, z Danii i ze Szwecji. Znowu byli kumplami. Meredith świetnie wiedziała, jak go do siebie przyciągnąć, w jaki sposób powiedzieć mu, że czuje się samotna na tym tournée, że tęskni za nim. Z początku traktował ją chłodno, lecz potem ich rozmowy zaczęły się wydłużać. Im gorzej Michael się czuł, tym większą przyjemność sprawiał mu telefon od matki. Nadal nie chciał przyjąć od niej żadnych pieniędzy, o nie, na to był zbyt dumny, wolał, żeby Josie pracowała w trzech miejscach codziennie, to mu bynajmniej nie przeszkadzało, lecz Meredith doskonale go czuła, świetnie wiedziała, w jaki sposób i na co reaguje jej syn. Pod koniec lata znowu rozumieli się niczym para zgranych złodziei. Wiesz, jak to między nimi było, powiedział Cal. O tak, Josie wiedziała.

A kiedy Jej Wysokość dzwoniła, nawet nie witała się z Josie. Traktowała ją jak sekretarkę automatyczną, jak służącą Następcy Tronu.

- Halo? Mogę prosić Michaela?

W słuchawce rozległy się trzaski. Połączenie z zagranicą. Tym razem Meredith źle wybrała dzień na swoje numery. Josie miała tego dosyć.

- Mam na imię Josie... - syknęła. - Naucz się wymawiać moje imię albo całuj mnie w dupę!

I rzuciła słuchawkę na widełki. Co za fantastyczne uczucie!

Michael stanął w drzwiach. Ręce miał pokryte farbą, mrużył oczy jak kret, który przed sekundą wyjrzał z ciemnej nory.

- Kto to był?

Odwróciła się do niego, oparta na drewnianym blacie.

- A jak myślisz? Dzwoni i nawet nie powie „dzień dobry"! Odnosi się do mnie jak do pokojówki! Może ma wątpliwości, czy umiem mówić po angielsku!

- Czego chciała? - Rozgarnął zasłonę z koralików poplamionymi palcami.

- Nie wiem, odłożyłam słuchawkę... Podała mu szklanę z mrożoną herbatą.

Nie zrozumiał, jej słowa w ogóle do niego nie dotarły. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

- Odłożyłaś słuchawkę...

- Tak. Odłożyłam słuchawkę.

Serce biło jej mocno i szybko, bo teraz wreszcie ją widział. W końcu zdołała skupić na sobie jego uwagę. Ciekawe, co zrobi, pomyślała. Uderzy ją? Miała nadzieję, że tak. Uderzenie byłoby objawem życia, reakcją.

- Meredith jest w Szwecji - powiedział.

Josie postawiła szklanę z herbatą na blacie, cofnęła się.

- Meredith jest w Szwecji, alleluja... - mruknęła.

- To moja matka - zrobił krok w jej stronę. - Nie możesz ot tak sobie, odkładać słuchawki, kiedy dzwoni...

- Niby dlaczego nie, do diabła?!

Przywarła do blatu, wolną rękę oparła na biodrze sztucznie swobodnym gestem, przestraszona i podniecona oburzeniem na jego twarzy. Wreszcie wydusiła z niego jakieś uczucie, przebiła się przez tarczę lekceważącej obojętności. Pociągnęła łyk herbaty, zmierzyła go czujnym spojrzeniem, niepewna, co zrobi. Uderzy ją czy pojmie, jaki jest cholernie pompatyczny i nadęty? Miała ochotę popchnąć go mocno i zobaczyć, co będzie dalej, chociaż perspektywa tego, co mogło się stać, budziła w niej także lęk, nie była przekonana, czy naprawdę jest gotowa zrobić ten krok.

- Twoja matka jest nadętą suką i nie zamierzam dłużej znosić jej zachowania!

Telefon znowu zadzwonił. Michael przeszedł między koralikami i sam odebrał telefon, coś niesamowitego...

- Halo? Meredith? - Potarł czoło, nie przejmując się farbą, którą miał na rękę, i zostawiając zieloną smugę na skórze. - Wiem, wiem... Mamy tu straszne upały i oboje jesteśmy trochę rozdrażnieni...

- Powiedz jej, że już od roku jesteśmy razem, więc chyba czas, żeby do tego przywykła! - zawołała Josie z kuchni, ale Michael najwyraźniej znowu jej nie słuchał.

- Tak, wszystko w porządku - powiedział.

Dobrze chociaż, że był na tyle lojalny, by skłamać. Usadowił się na niebieskiej kanapie przed wentylatorem i zaczął wydłubywać sobie brud spod paznokci u stóp. Zanosilo się na dłuższą pogawędkę, bez dwóch zdań. Wyraz ponurego przygnębienia na jego twarzy zaczął znikać, rozwiewać się jak mgła pod wpływem słońca. Cóż, rozmawiał z miłością swojego życia, było to boleśnie widoczne. Josie zachciało się

płakać z zazdrości. Jak to możliwe, że kobieta, która dzwoni z miejsca odległego o cztery tysiące kilometrów, wywołuje w nim taką reakcję, gdy tymczasem ona nie może liczyć nawet na jedno przychylnie spojrzenie, chociaż biega po mieszkaniu tylko w cieniutkiej koszulce... Meredith nie odzywała się do Michaela przez parę miesięcy, za to teraz dzwoniła do niego prawie codziennie, opowiadając mu o tournée, dyrygentach i swoim ekscytującym życiu. Michael mówił, że sięgała po słuchawkę, kiedy była jeszcze mocno nakręcona po występie albo znudzona i samotna w hotelu, że nie chodziło o niego, że po prostu miała potrzebę zadzwonić do kogoś, kogokolwiek, i gadać bez końca. Jej rachunki telefoniczne niewiele różniły się od dochodu narodowego brutto małego państwa.

- Gdzie się zatrzymałaś? Jasne, że pamiętam pana Erikssona... Musi mieć już chyba dziewięćdziesiątkę na karku... Nadal pracuje, poważnie? Nie, w Szwecji jest północne słońce, białe noce są w Leningradzie...

W minutę powiedział więcej słów niż do Josie w ciągu ostatnich kilku tygodni.

- Jak tam Sofia?

Meredith zawsze zabierała pokojówkę na tournée, Sofia była jej potrzebna, żeby pakować rzeczy, organizować transport, zamawiać taksówki i rozmowy telefoniczne, odbierać pocztę w biurach American Express, robić zakupy i gotować. Zatrzymywała się w apartamentach z kuchnią, bo nie chciała jeść w trasie byle czego. Kiedy Michael był dzieckiem, Sofia i nauczyciel lecieli klasą ekonomiczną, a Meredith z synem pierwszą. To dużo mówiło o charakterze Wielkiej Pani Wirtuozki, prawda?

- Nie, nie mogę - powiedział Michael. - Tak, to brzmi kusząco, ale jesteśmy mocno zajęci...

Szybko zerknął na Josie i odwrócił wzrok.

Josie nie miała cienia wątpliwości, do czego zmierza Meredith. Zaprosiła Michaela, żeby przyjechał do Szwecji. Chciała znowu zwabić go w sieć starego życia, w świat pokojówek, hoteli i białych nocy. Po co masz tkwić w tej małej dusznej dziurze, skoro możesz być tutaj, w Sztokholmie... Tak bardzo chciałabym cię zobaczyć, więc może rzuć tę Mimi i przyjedź do mnie... Przyślę ci bilet. Nagle Josie ogarnęła fala gorącej miłości do Michaela, który mimo wszystko, mimo swoich zwariowanych oskarżeń, mimo nocy spędzanych w fotelu przy oknie, żeby nie kłaść się obok niej do łóżka, mimo tego, jak wzdrygał się, gdy go przypadkiem dotknęła, nie chciał jej zostawić, nie chciał uciec do matki, w blask północnego słońca. Masował swoje poplamione zieloną farbą czoło, ugniatał te wypukłości, które na autoportretach lubił przedstawiać jako guzy.

- Tak, ja też nie pasuję do tych ludzi, więc jest nas dwoje...

Nadal byli razem. Josie wiedziała, co mówi jego matka. Twoja przyjaciółka nie pasuje do naszego towarzystwa, nie jest taka jak my... Nie mam pojęcia, dlaczego się jej trzymasz, naprawdę... Ale mimo wszystko Michael wybrał właśnie ją i nadal ją kochał, tak, bo przecież nie chciał odejść, kuszony syrenią pieśnią Meredith. Josie przysięgła sobie, że nie będzie go więcej zdradzać, że jakoś poradzą sobie ze swoimi problemami, rozwiążą je. Zaczeka na Michaela. Przejdą przez to razem. Dopiero teraz dostrzegła, że na swój własny sposób poddała się rozpaczy tak samo jak on.

Spuściła ramięczko haleczki, odsłaniając pierś, brodawkę podobną do pączka kwiatu, żeby wreszcie przypomnieć sobie, co ona może dla niego zrobić, a czego nie może zrobić Meredith. Przewrócił oczami (Och, daj spokój...), sięgnął po leżący na pomarańczowej szafce szkicownik i przytrzymał słuchawkę ramieniem, aby słuchać i rysować.

- Wystawili mój obraz w Barnsdall, dostałaś wycinek? Skontaktował się też ze mną przedstawiciel galerii, która jest zainteresowana reprezentowaniem mnie na rynku...

Miejska Galeria Barnsdall Park to było naprawdę coś, wielu sławnych malarzy miało tam swoje pierwsze wystawy. A recenzentka „Weekly” z mnóstwa obrazów wyłowiła właśnie ten Michaela... Tak czy inaczej, Josie była bardzo zaskoczona, że Michael opowiada o tym Meredith. Kiedy ona napomknęła o tym, lekceważąco machnął ręką, zbył tym gestem wystawę, recenzję, wszystko.

- Wystawiają wszystkich, Josie - uśmiechnął się pogardliwie. - To nie Whitney Biennial, na tej wystawie znajdą się obrazy moje i jeszcze czterystu moich najbliższych przyjaciół...

Nie chciał pójść na otwarcie, ale go zmusiła. Ludziom strasznie podobał się jego obraz, akt Josie na kanapie, w czarnych pończochach i rudej peruce a la mała Żanna. Recenzentka napisała, że obraz utrzymany jest w duchu Schielego, co Michaelowi z jakiegoś powodu bardzo się nie podobało. Właściwie nazwał recenzentkę idiotką, a teraz chwalił się wystawą przed Meredith.

Ta cecha Michaela potwornie drażniła Josie - wypowiadał określone zdanie, a potem nagle je zmieniał. Nie znosił tego u innych, mówił, że odwracają kota ogonem, ale nie widział, że sam robi dokładnie tak samo. Jeszcze gorsze było to, że w nową wersję wierzył równie gorliwie jak w starą. Josie bała się, że pewnego dnia postąpi tak samo wobec niej, wobec historii ich miłości.

- Tak, cóż, fotografia nie należała do najlepszych...

Ściągnął brwi i odwrócił się od Josie, nie chcąc, żeby patrzyła, jak rozstrzyga poprawioną wersję rzeczywistości przed oczami matki. Najwyraźniej Meredith krytykowała obraz. Co za suka... Od początku nie chciała, aby Michael był

malarzem. Miał zostać znanym krytykiem sztuki, może kustoszem słynnego muzeum. Wtedy mógłby swobodnie podróżować z Mamusią, a ona by mówiła: „Och, mój syn przyjechał razem ze mną, ale jest tu ze względu na swoją pracę, musi wziąć udział w aukcji dzieł Schielego...”. Pieprzyć ją. Pewnie знаła Schielego i zdecydowała, że obraz Michaela nie jest dość schielowski. Josie czuła, że Michael odetchnąłby z ulgą, gdyby wyszła i pozwoliła mu na intymną rozmowę z matką, ale nie miała dokąd pójść, gdzie niby miałyby siedzieć, w ich rozpalonej, dusznej sypialni? Zresztą przecież to ona wynajmowała mieszkanie, więc była tu u siebie, mogła przebywać, gdzie jej się podobało. Usiadła w fotelu pod oknem, za którym wysoka trawa stała nieruchomo w ciężkim upale. Powietrze poruszał tylko wiatrak, powiewający niebieskimi i zielonymi wstążkami. Malutki jak zabawka samochód na malutkim z takiej odległości zboczu mijał malutkie domy, wszystko razem wyglądało jak makieta wyścigu samochodowego. W tle za woalem smogu widać było miasto. Może cały ten widok był tylko iluzją, zdjęciem w Muzeum Historii Naturalnej, a ona i Michael znaleźli się na nim jakimś dziwnym zrzędzeniem losu, na zawsze uwięzieni w dwuwymiarowym świecie. Oczywiście nie dotyczyło to Meredith, co to, to nie... Meredith żyła w trzech wymiarach, ze swoimi salami koncertowymi, Sztokholmem i ciągnącą od fiordów bryzą...

Tymczasem Michael gadał i gadał, zupełnie jakby wszystko było w porządku, wspaniale, idealnie. Josie żałowała, że nie załapuje się na wycieczkę do tego nieprawdziwego świata, że Michael uwięził ją w twardej rzeczywistości, w krainie jego męczących wątpliwości co do sensu życia i wszystkiego, co go otacza. Prawdziwy świat był bardzo daleko, Josie nie widziała go od dawna, żyła w ciemnym, gęstym codziennym gównie, w którym na dobre

utkwili. Musiała przyznać, że z ulgą słuchała jego pogodnego głosu, bo dzięki temu mogła znowu uwierzyć, że Michael nosi w sobie trochę radości, że jest zdolny do jej odczuwania. To była zasługa Meredith, bez dwóch zdań. Bo kiedy Michael wkładał tę maskę obcego człowieka i wpadał w złość z jednego ze swoich ulubionych powodów, czyli Jeremy'ego, albo innej zbrodni, jaką rzekomo popełniła, prawie nic nie było w stanie wyrwać go z tego nastroju.

Powinna była zmusić go, żeby poszedł do psychiatry. Pozwoliła, by rozproszył jej uwagę, odwrócił od najważniejszej sprawy, a nie wolno było tego robić. Trzeba było siłą zaciągnąć go do kogoś, kto mógłby mu pomóc, nawet gdyby ceną miało być zerwanie ich związku. Ale ona wcale nie paliła się do takich ryzykownych rozwiązań...

Aktor śpiewał pod prysznicem piosenkę Number One, falsetem, niezbyt czysto. Boże, kto by pomyślał, że w termie jest aż tyle gorącej wody... Josie pociągnęła łyk herbaty. Pozwoliła mu pieprzyć się w łóżku Michaela, jak to możliwe... Boże, Boże... Dobrze chociaż, że nie sprawiło jej to przyjemności.

Pamiętała, jak tamtego dnia usiadła obok Michaela na niebieskiej kanapie, dokładnie naprzeciwko wentylatora, jak rozłożyła nogi, aby powietrze chłodziło jej nagie krocze. Miała nadzieję, że w jakiś sposób przypomni mu, co w sobie widzieli, jak dobrze było im razem, ale on oparł sobie telefon na kolanach i odwrócił się, bez reszty skoncentrowany na Meredith w Szwecji, którą Josie widziała jako luźny kolaż jasnowłosych stewardes w błękitnych mundurkach, marnych zespołów disco w stylu Abby oraz spacerujących po skalistym wybrzeżu z filmów Bergmana mężczyzn i kobiet w okularach w rogowych oprawkach. Nic dziwnego, że Meredith namawiała Michaela, żeby do niej dołączył.

Nie chciał na nią choćby spojrzeć. Matka powiedziała coś zabawnego, bo roześmiał się, i chociaż Josie cieszyła się, że słyszy jego śmiech, jednocześnie mocno ją to wkurzało. Dlaczego potrafił wziąć się w garść dla Meredith, a nie dla niej? Męczyło ją, kiedy ich słuchała, od tych wszystkich słów powietrze stawało się jeszcze bardziej gorące i duszne, jak to możliwe, że mieli sobie tyle do powiedzenia...

Oparła stopę na rozporku jego szortów, chciała sprawdzić, czy zdoła podniecić go mimo tego, że nie zwracał na nią uwagi. Zmarszczył brwi, usiłując się skupić. Nacisnęła go lekko, masowała palcami i piętą, czuła, jak twardnieje. Dalej rozmawiał z matką, a ona spacerowała poduszczkami palców po jego członku. Gdyby jej pozwolił, mogłaby w ten sposób doprowadzić go do wytrysku. Gadaj sobie spokojnie, pomyślała. To przecież Meredith, twoja mamusia...

Nie patrzył na nią, ale osunął się niżej na kanapie, wypchnął biodra do przodu. Josie zaryzykowała i włożyła dłoń w rozporek szortów. Michael zasłonił słuchawkę, „przestań”, powiedział bezgłośnie, samym ruchem warg, ale sekundę potem z trudem przełknął ślinę, wyraźnie podniecony.

- Udawaj, że mnie tu nie ma... - szepnęła Josie.

Nic trudnego, pomyślała, robił to przecież od kilku tygodni. Chciała, żeby znowu zapragnął jej pieścizot, wiedziała, że tli się w nim jeszcze iskra, którą może rozpać. Całe to trzymanie jej na dystans było karą, Josie nie wiedziała tylko, dla kogo i za co. Kiedy kocha się kogoś tak jak ona Michaela, człowiek cierpi niezależnie od tego, kogo próbuje zranić ukochany. Miłość, radość - nie miała wątpliwości, że te uczucia istnieją, są gdzieś w ciele Michaela, pod skórą, w zielonych oczach. Żyła przecież nimi, znała je i naprawdę nie miała pojęcia, gdzie się nagle podziały.

Czuła aksamitną skórę jego członka, przynajmniej ta część Michaela nadal ją знаła, nadal ją pamiętała. Dotykała go lekko i łagodnie, nie rytmicznie, lecz mimo tego członek poruszał się pod jej palcami, samoczynnie, zupełnie jakby nie należał do Michaela. Michael w jej dłoni nie miał nic wspólnego z Michaeliem, który rozmawiał z dzwoniącą ze Szwecji matką, ale ten drugi też w końcu westchnął i zamknął oczy, udając, że Josie nie ma, że nie ma jego niewiernej kochanki, udając, że to tylko wiatr albo poruszenie jakas myśla, niezwiązane z kobietą podniecenie, rosnące i poszukujące. Może wyobrażał sobie, że jego przyczyną jest Meredith. Czy właśnie na tym polegał problem? To go podniecało? Jego nogi się rozluźniły, rozsunięły, chociaż twarz pozostawała odwrócona. Josie pochyliła głowę i wzięła go do ust. Michael ostro wciągnął powietrze i znowu zasłonił słuchawkę, pozwolił jednak, by pieściła językiem główkę członka, zdecydowanym ruchem zanurzył się w jej ustach, „ach...”, jęknął chrapliwie prosto w słuchawkę i zasłonił ją dokładniej, napiął mięśnie, wygiął się w łuk, ścięgna jego nóg były twarde jak korzenie, wyginał się i drżał, i jęczał, wreszcie zanurzył palce we włosach Josie, a Meredith dalej opowiadała mu historie zza morza...

- No, w porządku - powiedział Wade, wchodząc do pokoju w czarnych dżinsach, kowbojkach i skórzanej kurtce, wyświeżony i uczesany. - Do zobaczenia za parę dni...

- Tak - mruknęła Josie. Nie odwróciła się, żeby nie zobaczył płynących po jej policzkach łez. - Do zobaczenia...

Nadal go pragnęła. Gorąco, ogniście, jak tamtego dnia, jak wcześniej, na samym początku, w domu Meredith, jak zawsze. Michael był inny. Pieprzyła się z wieloma chłopakami, ale nigdy nie pragnęła żadnego z nich, taka była prawda. Nigdy nic nie czuła, do cholery. A teraz straciła go, te ręce na jej ciele, te kościste biodra, wargi na jej piersiach, język w jej wnętrzu, jego członek... Już nigdy, nigdy...

Do południa leżała na kanapie, płacząc i masturbując się, zupełnie jak zamknięta w szpitalu psychiatrycznym wariatka.

21. SUNSET PLAZA

Pomarańczowe lampy oświetlały świeżą warstwę asfaltu na Sunset Plaza, kiedy Josie pięła się w górę, reflektorami samochodu wydobywając z mroku frontony niskich nowoczesnych domów. Betonowe ściany ze zwojami bluszczu i kawałkami pokruszonego białego kwarcytu lśniły w sztucznym świetle. Zaparkowała dość daleko od planu filmowego i powoli zeszła w dół, niosąc torbę z rzeczami Eleny. Dopiero co wróciła z czterogodzinnej sesji w Palos Verdes, a teraz czekała ją długa noc. Greckie rzeźby stały po obu stronach podwójnych czarnych drzwi, które otworzyła bez pukania, z nadzieją, że dobrze zapamiętała adres. Z holu ze ścianami z mrożonego szkła przeszła prosto do olbrzymiego białego salonu z wielkim oknem. Totalne lata sześćdziesiąte, można zwariować, sama zobaczysz... W tle, za białą skórą i szkłem ogromnego pokoju, za starannie przystrzyżonym trawnikiem i jasno oświetlonym basenem rozciągał się widok na błyszczące jak klejnot Los Angeles nocą, rozpostarte szeroko, jak królowa nocnych klubów, która padła na łóżko kompletnie nieprzytomna, ze spódnicą poddartą wysoko, aż do pasa, wystawiona na pieszczoty wszystkich, którzy chcieliby ją posiąść, gotowa przyjąć seks w dowolny sposób.

Ekipa zdążyła już zabrudzić dywan, na którym widniały czarne ślady po kablach i popiół z papierosów, w kilku miejscach stały podparte workami z piaskiem stojaki na reflektory. Jeremy i Mój Producent, Gordo, siedzieli na obitej kremową skórą kanapie i rozmawiali, głowa tuż przy głowie.

- Czyj to dom? - zapytała Josie. - Ci ludzie chyba oszaleli, że pozwalają ci z niego korzystać!

Jeremy odgarnął proste włosy z czoła, jego lekko wyłupiaste oczy załśniły, pełne poczucia winy i podniecenia.

- Są teraz w Aspen - odparł. - Wyjechali na parę dni i zostawili mi klucze...

Nieszczęśni ludzie nie mieli pojęcia, na jakie niebezpieczeństwo naraża ich znajomość z początkującym reżyserem filmowym i ufny gest wręczenia mu kluczy do domu. Jeremy miał ich w nosie, natomiast płonął chęcią, by wykorzystać ich urządzone w stylu lat sześćdziesiątych dom w swoim filmie. Josie poczuła się jak włamywacz, ale po chwili zmieniła zdanie. Nie zamierzała współczuć ludziom, którzy uważali, że mogą odgrodzić się od świata szkłem i białą skórą. Mylili się. Doskonałość nie jest żadną ochroną. Katastrofa spada na człowieka wtedy, kiedy najmniej się jej spodziewa.

Koledzy Jeremy'ego tłoczyli się na planie, popijając kawę, rozsiewając wszędzie popiół z papierosów, przesuwanie lampy i ustawianie reflektory. Blondynka w spodniach w zebrowate paski, klęcząc, łączyła kable. Jej tyłek wyglądał jak wysepka dla pieszych na środku ruchliwej ulicy. Josie dałaby wszystko za parę godzin snu. Przeszła przez hol, znalazła sypialnię, całą w bieli. Na środku pokoju tkwiło łóżko z wodnym materacem i brzegami obitymi białą skórą, podobne do pulchnej, tłustej panny młodej. Josie położyła się na futrzanej narzucie, czując, jak woda przelewa się pod nią i kołysze, klepnęła brzeg, żeby znowu zahęstało. Nagle przypomniała sobie chłopaka z jej szkoły, który miał wodne łóżko, zaraz, zaraz, jak on się nazywał... Steve jakiś tam. Spotkali się w klubie Circle K i potem on zawiózł ją do siebie na motorze, takiej tandetnej hondzie. Przywołała z pamięci jego pokój, wielki plakat zespołu AC/DC, marną tkaninę na ścianie, przedstawiającą barana z potężnymi rogami, ale nie mogła przypomnieć sobie twarzy chłopaka. Pamiętała tylko kołysanie materaca, silne pchnięcia, którymi dźgał ją, postępując, i tego dostojnego barana nad łóżkiem.

Podniosła się i przebrała w sukienkę firmy Pucci, starannie spinając portfelowy dekolt - Elena nie należała do kobiet, które by chodziły z czarnym stanikiem na wierzchu.

Elena nigdy nie była w Circle K, nigdy nie leżała pod dywanikiem z wielkim baranem. Josie uważnie przyjrzała się swojej twarzy w lustrze. Po czterech godzinach w Palos Verdes i półgodzinnej jeździe musiała umyć się i nałożyć świeży makijaż. W lśniącej łazience przykleiła zdjęcie Veruschki do lustra pod kosmicznym panelem z lampami i dłuższą chwilę próbowała przypomnieć sobie, jak tworzy się taką twarz. Szkoda, że Laura rzuciła pracę w cholere, kiedy tamtego wieczoru Sergio wyszedł z baru z blondynką w spodniach w paski... Jeremy opowiedział wszystko Josie, ze szczegółami. Sam nie miał prywatnego życia, za to z entuzjazmem przeżywał dramaty innych.

Josie otworzyła kuferek z kosmetykami do makijażu, swoją szkatułkę ze sztuczkami, i rozpoczęła powolną transformację. Baza pod podkład wymazała wszelkie ślady jej osobowości - ciemne oczy patrzyły teraz na nią z jasnej maski. Potem zaczęła kłaść warstwę na warstwę, tworząc nową twarz, rozprowadzając ciemny podkład w zagłębieniach, zwłaszcza pod kośćmi policzkowymi i jarzmowymi, pokrywając bielą każdą kość. Dwa komplety sztucznych rzęs nadawały Elenie wyraz wypielegnowanej elegancji. Na powieki biały cień, grafitowy w załamaniu powieki. Dwie szerokie kreski wykonane linerem w płynie, gęsty tusz do rzęs. Szminka różowa, na nią dużo jaśniejsza. Josie wyszczotkowała świeżo utlenione włosy, zczesła je do góry, z tyłu uformowała gładziutki koczek wielkości dużej monety, spięła go szpilkami i utrwaliła lakierem w sprayu, potem zaś wsunęła w uszy plastikowe koła.

I oto miała przed sobą Elenę.

Patrzyła na nią uważnie, na tę dziewczynę, którą sama stworzyła. Kim jesteś? Co takiego wiesz, czego ja nie wiem? Elena odpowiedziała spokojnym spojrzeniem spod olśniewających rzęs, z uśmiechem Jeanne Moreau na ustach o lekko opuszczonych kącikach. Milczała. Była jak gotowy do wyjścia na scenę magik, ze wszystkimi asami w rękawie. Nie pozwalała sobie na bezsensowne przygnębienie. Michael powinien był znaleźć sobie właśnie taką dziewczynę, inteligentną i wyrafinowaną elegancką. Taką, która kochałaby go mniej, ale rozumiała lepiej, która potrafiłaby przewidzieć, co może mu być potrzebne, i miała do niego odpowiednie podejście. Michael myślał, że pragnie Josie Tyrell z jej przybrudzoną niewinnością, która mogłaby nadać nowe barwy jego snom, ale bardzo się mylił.

W salonie płonęły już reflektory, generator pod oknem warczał jak silnik. Josie wiedziała, że ten dźwięk przyprawi Gila o atak hemoroidów, jeżeli je miał. Jeremy stał za kamerą z Sergiem i dwoma Bobami, wskazując ręką jakiś punkt sceny. Na widok Josie wyprostował się i podszedł do niej na chudych bocianich nogach.

- Josie! - z zachwytem zajrzał jej w twarz. - Boże, jak tego dokonałaś?

Na białej kanapie siedział niski mężczyzna z truskawkowym znamieniem na policzku, wyraźnie zdenerwowany. Jego małe stopy w wypastowanych do połysku mokasynach ledwo sięgały podłogi.

- Kto to? - spytała Josie.

- Mój doradca bankowy - wyznał Jeremy swoją wersją przyciszonego głosu, świetnie słyszalną w całym pokoju.

Jeremy dysponował tylko dwoma poziomami dźwięku - głośnym i głośniejszym.

- Cudny, nie uważasz? - dorzucił, nie kryjąc swojej fascynacji deformacją małego człowieczka. - Bardzo w stylu Hitchcocka...

- Co z nim zrobisz? Wzruszył ramionami.

- Na razie nie wiem, ale na pewno coś wymyślę. Biedny doradca bankowy... Nie miał pojęcia, że Jeremy

wykorzystuje go, bo przypomina mu Petera Lorre i na dodatek nosi tupecik. W scenariuszu nie było dla niego roli, lecz Jeremy niewątpliwie go gdzieś wepchnie. Josie nie miała siły zastanawiać się nad potencjalnym okrucieństwem Jeremy'ego, było to zbyt bolesne, więc wyszła na dwór, mijając generator i basen. Powietrze było wilgotne i zimne. Objęła się w pasie chudymi ramionami, bo cienka sukienka nie stanowiła żadnej ochrony przed nocnym chłodem. Daleko w dole światła samochodów powoli sunęły wzdłuż Strip, pełnego prostytutek, oszołomionych turystów i podekscytowanych dzieciaków, za młodych, żeby pójść zabawić się do klubu, ale dość dużych, aby chcieć wtopić się w hollywoodzki tłum i może wypatrzeć gdzieś Debbie Harry albo Joeya Ramone. Josie nigdy nie wystawała pod klubami, czekając na pojawienie się znanego zespołu. Może i była zwyczajną wsiórką z Bakersfield, lecz zawsze wiedziała, jak dostać się do środka.

Poniżej Bulwaru Zachodzącego Słońca biegły podwójne pasma Bulwaru Santa Monica, gdzie przystojni, głodni chłopcy czujnie obserwowali rzekę samochodów, z nadzieją unosząc kciuki i trzymając w pogotowiu fiuty oraz tyłki. Tu za dwadzieścia pięć dolarów można było dostać dosłownie wszystko. Tyle zagubionych chłopców i dziewcząt, zagubionych jeszcze bardziej niż ona... Często podwoziła ich gdzieś, wysłuchiwała ich historii, czasami wciskała parę dolarów w brudne dłonie. Wysoko nad nimi, na plakacie reklamy Marlboro, gigantyczny, tryskający testosteronem

facet patrzył z surowo zmarszczonymi brwiami, niczym jakiś zagniewany bóg przyglądający się pogardliwie swojemu dziełu.

A gdzie był prawdziwy świat? Ukrył twarz za tym wszystkim, był jak zasłonięte chmurami gwiazdy. Jeżeli w ogóle istniał, czego Josie wcale nie była już taka pewna. Będziesz musiała pamiętać za nas oboje... Ale ona nie miała siły. Wyjęła z torby półlitrową butelkę smirnoffa, alkohol palił jej gardło, śluzówkę nosa. Nie pamiętała, od ilu dni nie spała, czuła się jak kukielka z twarzą, której nie potrafiła rozpoznać. Z tego trawnika mogła patrzeć z góry na Boga i być jeszcze bardziej obojętna niż On.

- Hej, cześć!

Wade stał obok niej z założonymi rękami, w swoim filmowym kostiumie - eleganckim ciemnym golfie i skórzanym płaszczu, w stylu modnego reżysera.

- Zobaczyłem cię z okna - dodał.

Josie schowała wódkę, nie poczęstowała go. Poważni Aktorzy nie piją w czasie Pracy. Tant pis, jak powiedziałyby Michael.

- Było mi z tobą świetnie - ciągnął Wade. - Tamtej nocy, no, wiesz...

Zlizła alkohol z warg i zajęła się szukaniem papierosów w torbie. Ciekawe, jak wypadłoby to w filmie, pomyślała. Oczami wyobraźni widziała zapisany w scenariuszu tekst Wade'a: „Było mi z tobą świetnie, tamtej nocy, no, wiesz...”.

- Zdaję sobie sprawę, że pracujemy razem... - Wade podszedł bliżej.

Josie czuła zapach jego wody po goleniu. Jovan Musk for Men.

- Zwykle uważam, że lepiej poczekać z tymi rzeczami do końca zdjęć, ale między nami naprawdę iskrzy, chyba też to czujesz, prawda?

- Nic nie iskrzy - odparła.

Znalazła paczkę papierosów, wetknęła sobie gauloise'a między wargi i zapaliła ronsonem swojego ojca. Może udałoby jej się podpalić przesycony oparami smirnoffa oddech, to na pewno skłoniłoby Wade'a do poważnego zastanowienia się nad swoimi uczuciami...

- Wypiłam tyle tequili, ile mam krwi w żyłach, to wszystko - dodała.

- Powinniśmy spróbować kiedyś jeszcze raz, ale bez tequili - uśmiechnął się. - Żadna kobieta jeszcze nigdy na mnie nie narzekała...

Josie się przestraszyła, że Wade zaraz znacząco poprawi sobie spodnie. Dzięki Bogu, że tylko odgarnął włosy z czoła...

Żadna się na niego nie skarżyła, naprawdę? Dziewczyny są naprawdę wielkoduszne, nie ma co... Żadna nie powiedziała mu: „Mało brakowało, a zasnęłabym. Gdybyś doszedł trochę wcześniej, pewnie w ogóle nie zauważyłabym, że uprawiałam seks...”. Kobiety przychodzą na świat ze świadomością, jak destrukcyjna potrafi być prawda. Uczą się ją ukrywać, tłumić, gasić, zupełnie jak proch w starej strzelbie. Lecz prawda w końcu zawsze wybucha człowiekowi prosto w twarz. Czasami zdarza się to w mokry od deszczu listopadowy dzień.

Conrad, Sławny Reżyser Filmowy, wraca do swojego pięknego domu w stylu lat sześćdziesiątych i do dziewczyny, Eleny. Jest zdenerwowany różnymi problemami, związanymi z filmem, nad którym pracuje, i opowiada o tym Elenie, a ona słucha i nic nie mówi, tajemnicza i niespokojna. Właśnie tak została opisana w scenariuszu: Tajemnicza i pełna wewnętrznego niepokoju.

- Przypomnij sobie Piękność dnia, Josie - powiedział Jeremy. - To ma być coś w rodzaju skrzyżowania Powiększenia z Pięknością dnia...

Pokiwała głową. Nie miała cienia wątpliwości, że Jeremy ma na myśli Antonioniego pieprzącego Bunuela w tyłek w piwniczce Hitchcocka...

Zaczęli kręcić. Josie podobała się postać Eleny. Była interesująca, widziała, że można coś z nią zrobić, a do tej pory nigdy nie przejmowała się bohaterkami, które grała. Za każdym razem po prostu była Dziewczyną, i tyle, jednak Elena kryła w sobie małe pomieszczenia, do których można było zajrzeć, chłód ukryty pod maską urody, a pod chłodem ostrość krawędzi kryształ. Bla, bla, bla, gadał Conrad, pochłonięty swoimi wrogami z filmowego studia oraz podejrzeniami, że usiłują odebrać mu film, gdy tymczasem Elena obserwowała go i udawała, że słucha. Josie czuła, że ta dziewczyna patrzy na Conrada nie oczami kochanki, ale geparda, który już teraz myśli o swoim następnym posiłku. Wyczuwała dystans Eleny, głównej gwiazdy bardzo osobistego filmu, który sama reżyserowała i dla którego była całą widownią. Elena podziwiała wyłącznie siebie. Josie wyobrażała sobie, że Elena osiąga orgazm, przeglądając się w oczach pieprzącego ją mężczyzny.

Nagle Wade rzucił się na nią, otoczył swoim zapachem skóry i piżma, wcisnął jej do ust tłusty język. Zakrztusiła się, szarpnęła, odepchnęła go. Dotyk jego języka, ten obcy smak... Miała ochotę splunąć, z trudem zapanowała nad odruchem obrzydzenia.

- Cięcie! - wrzasnął Jeremy. - Co jest? Co to było?

Na policzki Josie wypełził krwistoczerwony rumieniec, skóra paliła ją i piekła pod warstwą makijażu. Spieprzyła całą scenę, ale nic nie mogła poradzić na to, że jej usta wciąż pamiętały pocałunki Michaela. Michael przesuwiał językiem po wewnętrznej stronie jej górnej wargi albo tylko muskał ją lekkim pocałunkiem, tymczasem to, co przed chwilą przeżyła, przypominało pożeranie śmieci. Odkąd to przeszkadza ci

jedzenie śmieci? A jednak przeszkadzało... Zdumiewające, że coś lub ktoś ukryty w jej wnętrzu nie chciał więcej żywić się śmieciami. Chwilę gorączkowo szukała w myślach jakiejś wymówki.

- Słuchaj, przecież tak naprawdę ona wcale nie kocha tego gościa! - zaczęła. - Cały czas chodzi jej o tego drugiego, zaraz, jak on się nazywa... O tego Franca! Potrafi udawać, ale tylko do chwili, kiedy Conrad ją całuje!

- O mój Booże... - Jeremy spojrzał na zegarek. - Teraz masz własny pomysł, tak? Doceniam ten głęboki wgląd w charakter postaci, słowo daję, to bardzo ważne dla mnie i tak dalej, ale mamy przed sobą długą noc. Mogłabyś po prostu to zrobić, i już?

Oczywiście, że by mogła. Ostatecznie był to tylko film, cholerny film, więc jakie znaczenie miało, czy pieprzony Wade wepchnie jej język do gardła, czy do dupy, przecież i tak już się z nim przespala, prawda? Jak mogła myśleć, że w tej chwili popełnia zdradę, skoro zdradziła już wszystko, dosłownie wszystko? Dotyczyło to tylko ciała. Tylko ciała. Zawsze tak świetnie to czuła, ale nie teraz, tak jest... Teraz ciało przestało być po prostu ciałem. Bo kiedyś było kochane, obdarzane miłością. Jej ciało, tak.

- Elena zapomniała o Francu - odezwał się Wade. - W tej scenie koncentruje się wyłącznie na Conradzie...

Aktor był wyraźnie niezadowolony, jak każdy facet, którego pocałunki nie zostały przyjęte z entuzjazmem i wdzięcznością.

Jeremy popatrzył na Josie i Wade'a. Josie wiedziała, że Jeremy zastanawia się, kogo będzie mu łatwiej zgasić, ją czy Aktora. W końcu z westchnieniem odwrócił się do Wade'a.

- Może trochę więcej romantycznej aury, co ty na to? To powinno wyraźnie odróżnić Conrada od Franca. Nastaw się na

mniej frontalny atak. Wydaje mi się, że będzie to wiarygodne i uzasadnione, prawda?

Wade walczył o podtrzymanie swego męskiego ego, starał się udawać, że chodzi o różnicę zdań na płaszczyźnie artystycznej, nie o dziewczynę, która w oczywisty sposób miała ochotę zwymiotować dlatego, że ją pocałował.

- Zagrałem to tak, jak sugeruje scenariusz, nic więcej...

- W porządku, postarajmy się być elastyczni, ludzie.

Drugie ujęcie.

Nadal musiała zjeść porcję śmieci, ale przynajmniej nikt nie wpychał jej tego świństwa do gardła. Pomyślała nagle, że nie jest tak źle być Eleną, bo teraz inni wreszcie słuchali tego, co chciała powiedzieć. Posiadła kontrolę nad swoim ciałem, pewną władzę. Nie miała zielonego pojęcia, czy Elena ma coś jeszcze, czego jej samej brak, i nie mogła już się doczekać, kiedy się tego dowie.

Koło drugiej zrobili przerwę na kolację. Sam widok pizzy przyprawił Josie o mdłości - rozchlapany czerwony keczup i białawe pasma sera, tłuszcz zbierający się w jeziora na samym wierzchu. Gil i obaj Bobowie pożarli swoje kawałki jak uśmiechnięte hieny. Mały urzędnik bankowy przywiózł sobie z domu pojemnik jogurtu. Jadł metodycznie, opierając dno łyżeczki o dolną wargę, jak matka karmiąca grzeczne dziecko, i dosłownie promieniał zadowoleniem i podnieceniem, ponieważ znalazł się na planie zdjęciowym prawdziwego filmu. Wade mentorskim tonem opowiadał Josie o różnicach między Conradem i niebezpiecznym Frankiem, którego także grał, a Jeremy przeglądał następną scenę w scenariuszu razem z Sergiem, kapiąc tłuszczem na kartki. Sergio rzucał spojrzenia przez stół, całkowicie ignorując blondynkę w spodniach w paski oraz wiotką brunetkę. Obie dziewczyny dygotały ze zdenerwowania, przejęte rywalizacją o względy Sergia, natomiast ten wysyłał Josie seksualne

sygnały gorącymi oczami. Miała ochotę porządnie skopać mu tyłek. Sergio był jak właściciel sklepu ze słodyczami, który nigdy nie był głodny i nawet nie wie, co to głód. Chciała powiedzieć mu, że ludzie żyją, a nawet umierają dla miłości. Miłość to nie wisienka w czekoladzie, którą się nadgryza i odkłada do pudełka.

Wade najwyraźniej nie zamierzał się zamknąć, a ją bolała głowa. Wyszła do salonu, znalazła torbę i połknęła trzy aspiryny, popijając łykiem seven up z puszki. Przez okno dostrzegła kojota, który wybiegł z gęstych zarośli na jasno oświetlony trawnik. Przyłożyła zimną puszkę do czoła. Długonogie szare zwierzę przystanęło i popatrzyło wprost na nią. Mała głowa, trójkątny pysk, złociste oczy, szalone i pozbawione lęku. Kojot wybrał się na nocne polowanie, na kolację złożoną z piesków chihuahua i tłustych, przekarmionych kotów. Jego śmiałe spojrzenie wstrząsnęło Josie. Dlaczego się nie bał, co było z nim nie w porządku?

Zamarła w oczekiwaniu. Kojot także. Czego chciał? Dlaczego tak się w nią wpatrywał? Po plecach przebiegł jej dreszcz. Czy miała pobiec za nim do dzikiego lasu, na czworakach, tak jak w jednej z książek Castanedy, którą pożyczyła od Shirley K.? Może kojot był czarownikiem, a może Losem. Przeznaczeniem. Przeznaczenie Eleny spotkało ją na Old Topanga Road. Może to było przesłanie, na które czekała... Znak, że Michael jest blisko.

- Michael? - wyszeptała. - Michael?

Powoli i ostrożnie rozsunęła drzwi. Bała się, że zwierzę wbiegnie do domu. Szklana tafla przesunęła się, nie wydając żadnego dźwięku.

- Michael?

Wyszła na trawę, od kojota dzieliło ją najwyżej kilka metrów. Chciał jej coś powiedzieć, czuła to.

- O co chodzi?

Długą, bardzo długą chwilę stali w zimnej mgle, patrząc na siebie. Było to jak szept prawdziwego świata.

I wtedy Jeremy z rumorem wpadł do pokoju za jej plecami.

- Umrzesz z zachwytu, Josie! - ryknął donośnie, jak to on.
- Co za błyskotliwy pomysł...

- Nie! - krzyknęła, ale kojot już uciekał, przebiegł obok błękitnego basenu, kierując się w krzaki po drugiej stronie. -
Wracaj!

Ogon zwierzęcia zniknął w ciemności.

- Chodź tutaj i posłuchaj tego, Josie! - wrzeszczał Jeremy.

Kojot zniknął. W końcu otrzymała znak, ale ten cholerny Jeremy musiał wszystko spieprzyć. Sztywno odwróciła się twarzą do drzwi. Pragnęła umrzeć.

- Rick?

- Tak, jestem... - odparł schludny mały człowieczek z małymi rękami i stopami, ze złotym łańcuchem na przegubie dłoni.

Jeremy podniósł kartkę zapisaną notatkami i poplamioną tłuszczem. Odczytał z niej wspaniałe kwestie, które sam wymyślił, lecz Josie nie zrozumiała ani słowa.

- On gra Śmierć, która przychodzi wyrównać rachunki, kapujesz? - Jeremy wykonał palcami gest ujmowania w cudzysłów, oczywiście na wypadek, gdyby Josie dalej nic nie pojmowała. - Przychodzi zbilansować konto, jasne? Booooże, ależ ze mnie geniusz! Nie, nie, proszę nie klaskać!

Odgarnął z czoła wzburzone jasne włosy, które natychmiast znowu opadły.

Zdjęcia zaczęli w tym samym miejscu, co poprzednio kręcono scenę z Conradem. Jeremy sam ustawił małego człowieczka w odpowiednim punkcie.

- Stoisz tutaj - postukał czubkiem buta w podłogę w miejscu oznaczonym szeroką żółtą taśmą. - Wręczasz Elenie kopertę i mówisz: „Jestem z biura zarządu”. To wszystko.

- Jestem z biura zarządu, jestem z biura zarządu... Och, wiem, że się pomyłę, po prostu czuję, że coś poplącę... - Znamię na twarzy Ricka zapłonęło bardziej intensywną czerwienią.

Biedny mały urzędnik. Doradca bankowy Rick nie miał pojęcia, dlaczego to wszystko się dzieje, i w przerażeniu potrzasał dłońmi. Bob Numer Jeden mierzył odległość od oka kamery do jego znamienia.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - odezwała się w końcu Josie tym samym tonem, którym mówił Michael, kiedy robiło jej się smutno, gdy chciał ją pocieszyć.

Kiedy się bała, zawsze potrafił ją uspokoić, jeśli tylko chciał. Jak dobrze wtedy się czuła... Kiedy jeszcze chciał ją uspokoić... Spojrzała na biednego małego człowieczka, doradcę bankowego, który przyjeżdża na rozmowę z tą zimną kobietą w zimnym szklanym domu.

- Ma debet na koncie - dodała. - Wydała wszystko, co było na jej rachunku bankowym. Sądziła, że ma mnóstwo pieniędzy, ale wydała wszystko i jeszcze więcej. Musisz powiadomić ją, że nie może dłużej korzystać z konta...

Rick skinął głową. Doskonale wiedział, jak załatwia się takie sprawy.

- Nie powinien mieć teczki? - spytał. - Skoro przyjechał, żeby osobiście z nią porozmawiać, na pewno miałby ze sobą teczkę na dokumenty, prawda?

Oczywiście, pomyślała. Na pewno miałby teczkę, to jasne. Przerażało ją to, że film zaczyna nabierać sensu. Przekroczyła już granicę zmęczenia, znalazła się w strefie, gdzie wszystko miało sens w surrealistyczny sposób. Kojoty i Doradca Bankowy z Teczka Przeznaczenia.

- Gordo ma teczkę - powiedział Jeremy. - Gordo, pożyczysz na chwilę swojego samsonite'a?

Gordo podniósł wzrok z miejsca na kanapie, gdzie rozmawiał przez telefon, zapisując jakieś cyfry na kartce papieru. Obok niego stała popielniczka pełna niedopałków.

- Tylko mi jej nie podrapcie, dobra?

Z teczką w rękę mały urzędnik natychmiast i bez trudu wszedł w rolę. Wielki Doradca Bankowy, który przyszedł Zamknąć Jej Rachunek. Kapujesz? Zupełnie jak jakiś pieprzony Fellini... Blondynka w portkach w zebrowate paski włożyła kartkę do dużej koperty, którą Rick miał wręczyć Josie. Kiedy obaj Bobowie wygasili kilka lamp, a Sergio zmienił filtr na błękitny, Jeremy jeszcze raz przeczytał z nimi scenę.

- Jeżeli będziesz miał jakieś wątpliwości, po prostu trzymaj się roli - nachylił się nad małym człowieczkiem, otoczył ramieniem jego barki. - Nie wychodź z roli, graj dalej. I nie patrz w kamerę, na miłość boską!

Rick kiwnął głową. Włożył kopertę do teczki i wyjął ją, opierając twardą pokrywę na kolanie. Kilka razy powtórzył swoją kwestię, wykonał gest wręczania Josie śmiertelnie niebezpiecznego zawiadomienia.

Zajęli miejsca, Josie na kanapie, mały człowieczek przy drzwiach, gotowy wtargnąć w jej marzenia.

- Akcja! - krzyknął Jeremy.

Rick zrobił krok do przodu, mocno ściskając rączkę podniszczonej teczki Gorda. Patrzył na Josie wylupiastymi orzechowymi oczami, z czoła spływały mu duże krople potu. W myśli policzył do pięciu, zgodnie z zaleceniami Jeremy'ego.

- Jestem z biura zarządu... - wyszeptał.

Jaka poważna i zdenerwowana była ta mała Śmierć w mokasynach z chwaścikami... Josie czuła, jak Elena przygląda

mu się jej oczami. W oczach Eleny Doradca Bankowy był niegodnym uwagi robakiem, tak bardzo niegodnym uwagi, że nawet nie chciało jej się zgnieść go obcasem.

- Przykro mi, ale to jakaś pomyłka - odezwała się głosem Meredith.

Melodyjnym, lodowatym. W głębi duszy wiedziała jednak, że to nie pomyłka. To ona się myliła i dlatego stała się jeszcze bardziej wyniosła.

Podał jej kopertę.

Otworzyła. W środku znajdował się tylko kawałek papieru, na którym Gordo robił jakieś obliczenia, lecz Josie wyobraziła sobie, że jest to zawiadomienie o zamknięciu rachunku z powodu debetu. Debetu najgorszego rodzaju. Mam nadzieję, że znajdziesz kogoś, kto lepiej niż ja zrozumie twoje potrzeby. Miała debet na koncie, tak jest, wydała wszystko do ostatniego grosza i jeszcze więcej... Urzędnik dobrze o tym wiedział. Zarząd miał to wszystko w papierach. Mały biurokrata, wysłannik Śmierci w świeżutkiej białej koszuli miał powiadomić ją, że to koniec. Rachunek został zamknięty.

Opadła, złożyła się wpół na kanapie, jak fałdy akordeonu między deseczkami. Przycisnęła dłoń do czoła, walcząc z paniką.

- Może to jednak pomyłka...

Spuścił oczy, utkwiał wzrok w złotym łańcuchu otaczającym jego pulchny przegub, przekręcił bransoletę dłonią, w której trzymał teczkę.

- Może pani porozmawiać z dyrekcją - zaimprovizował.

- Przecież pan jest z biura zarządu! Na pewno może pan coś zrobić!

Stała pod ścianą, potrzebowała przyjaciela. Czowała przerażenie Eleny, niespodziewanie odsłonięte i natychmiast znowu przykryte warstwą pewności siebie. Wszystko było w porządku, pod kontrolą. Uśmiechnęła się, uwydatniła urodę

swoich warg, nóg, zanęciła go szelestem jedwabnych pończoch.

- Wiem, że może mi pan pomóc...

Wstała, podeszła do Wysłannika Śmierci, który chyba bardzo się bał, żeby nie wypaść z roli, musnęła palcami kłapy jego marynarki.

- Może mi pan pomóc, na pewno... Zesztywniał.

- Straciłbym pracę - odparł oficjalnym tonem.

Pedał. Nie interesowały go jej nogi ani zalotnie roztrzepotane rzęsy.

Ton jego głosu rozbudził jej wściekłość. Śmierć miała w nosie seks, miłość, ludzkie słabości. Miała to, na czym jej zależało - tupecik i złotą bransoletę, mokasyny z chwaścikami i rolę w filmie. Josie nigdy nie przypuszczała, że Śmierć może być taka małoduszna. Ta próżna mała istota zagarnęła też Michaela, i po co...

- Bardzo to lubisz, prawda? - wybuchnęła. - Uwielbiasz bawić się z nami wszystkimi! Masz ten swój mały kawałek władzy i tylko to cię obchodzi, ty... ty biurokrato!

Ujrzała błysk upokorzenia na jego uprzejmiutkiej twarzy i już wiedziała, że ma rację.

- Niepotrzebnie podchodzi pani do tego w tak osobisty sposób...

- A pan uważa, że to nie jest osobista sprawa?! - Uniosła kartkę, mówiła coraz bardziej podniesionym głosem. Mam nadzieję, że znajdziesz kogoś... - Trudno o bardziej osobistą sprawę!

Łzy popłynęły jej z oczu, sztuczne rzęsy zaczęły się odklejać, namalowane tuszem kreski rozmazały się. Nagle podniosła rękę i uderzyła go w twarz, mocno.

Oczy Wysłannika Śmierci otworzyły się szeroko. Odwrócił się na pięcie i wyszedł, niosąc teczkę Gorda.

- Cięcie! - ryknął Jeremy. - Och, Josie, mój ty aniele! Josie wyminęła Jeremy'ego i wstrząśniętego Wysłannika

Śmierci, który w holu rozcierał obolały policzek, i wyszła prosto w surrealistyczną noc. Ciemną ulicą wróciła do samochodu, otworzyła go i usiadła za kierownicą. Chwilę na słuchiwała. Wokół panowała cisza, tylko od Strip docierał przytłumiony szum. Uniosła twarz ku niebu i zawyła, odpowiedziały jej jednak tylko psy z drugiej strony ulicy, zanosząc się wściekłym ujadaniem. W popielniczce nie znalazła nawet jednego niedopałka. Czarnymi opuszkami palców przejechała po czole, myśląc o dzieciach z katolickich rodzin, których głowy ksiądz zawsze posypywał popiołem w Środę Popielcową. Przebacz nam...

Oczywiście Jeremy wykorzysta scenę, którą przeżyła, nie zagrała. Jego zdaniem nie było takiej rzeczy, która nie nadawałaby się do filmu. Film był czarną dziurą w środku wszechświata, w której wszystko znikało i nic nie wyłaniało się powtórnie.

Tajemniczy Telefon. Elena siedziała w fotelu z białej skóry, czytając czasopismo o sztuce. Jej nogi w wysokich białych butach krzyżowały się na podnóżku, tematem całego ujęcia były właśnie nogi Eleny. Zabrzęczał telefon, jak ostrzegawczy sygnał sumienia. Elena opuściła nogi, nylonowe pończochy zaszepotały dyskretnie, w powietrzu rozszedł się nieco zwierzęcy zapach surowego jedwabiu jej kostiumu, sztuczne perły kupione na wyprzedaży zastukały cichutko jedna o drugą, kiedy lekkim krokiem podchodziła do kanapy. Podniosła słuchawkę telefonu w stylu lat sześćdziesiątych, stojącego na stoliku do kawy.

- Tak? Cisza.

- Kto mówi? Słucham? Milczenie.

Wróciła na fotel, znowu skrzyżowała nogi w przyciągający uwagę, typowy dla Eleny sposób. Była

dziewczyną, która grała dla tylnych rzędów pustej widowni. Przerzucając kartki magazynu, na moment zatrzymała się na obrazie przedstawiającym chłopaka onanizującego się w gumowym basenie. Światło, które uchwycił malarz, przypominało oświetlenie basenu za domem, rozmyte i przyćmione. Ostatnio nikt z nas nie jest sobą, pomyślała. Znowu była widownią sama dla siebie.

Gdy telefon ponownie zadzwonił, podeszła do stolika ze zniecierpliwieniem.

- Halo? - odezwała się ostro. - Kto mówi? Cisza.

Powoli odłożyła słuchawkę, lecz zaraz znów po nią sięgnęła. Czowała, że telefon zaraz zadzwoni, ale nie zadzwonił. Cofnęła rękę i czekała, spokojna, ale zdenerwowana pod warstwą pozornego spokoju. Kiedyś widzieli w Venice Beach duży abstrakcyjny obraz, olej na płótnie, same pasy w różnych odcieniach zieleni. Josie nigdy nie rozumiała takiej sztuki, ale Michael wytłumaczył jej, o co chodzi.

- To nie jest zielony obraz, widzisz? Pod zielenią jest czerwona farba...

I wskazał brzegi, gdzie zieleń nie do końca pokrywała czerwień.

Taka była Elena. Czerwień pod zielenią. Surowość ledwo widoczna na krawędziach.

Siedziała cicho niczym kot, nieruchomy poza rytmicznie drgającym czubkiem ogona, zasłuchana w ciszę całym ciałem, ani na chwilę nie odrywając wzroku od telefonu. Jej numeru nie było w książce telefonicznej. Nikt nie wiedział, że jest tutaj, nie miała żadnych przyjaciół, tylko Reżysera Filmowego, którego tuczyła przed pożarciem. A jednak ktoś wiedział, gdzie ją znaleźć. Może nawet w tej chwili była przedmiotem czyjejs obserwacji, może ktoś obserwował ją przez okno. Podniosła oczy i zobaczyła samą siebie, odbitą w gładkiej powierzchni. Widziała koronę jasnych włosów,

kanapę, granatowy kostium made in Honkong. Spokojna, opanowana. Czerwień pod zielenią.

A jednak ktoś próbował nawiązać z nią kontakt. Pamiętasz mnie?

Elena wcale nie chciała pamiętać. Było jej dobrze. Miała wygodny dom, liczącego się w świecie chłopaka. Otworzyła pudełko na stole, pełne papierosów, kentów. Nawet markę papierosów ktoś dopasował do lat sześćdziesiątych... Josie włożyła jednego między wargi i pstryknęła zapalniczką o abstrakcyjnym kształcie. Nie miała cienia wątpliwości, że ludzie, którzy napełniają stylowe pudełko ulubionymi papierosami z lat sześćdziesiątych, dbają o to, aby zapalniczka działała. Zaciągnęła się dymem i wstała, pełna gracji i chłodna jak gepard na smyczy. Podeszła do okna. Lewa stopa do przodu, prawa stopa z lekkim skrzyżowaniem, tak jak robią to modelki na wybiegu. Elena miała wszystkie sztuczki w małym palcu.

Jej odbicie w szklanej tafli. Odbicie kobiety, która zrobiła sobie debet na osobistym koncie, debet najgorszego rodzaju. Jeszcze niedawno mknęła po powierzchni, przekonana, że nic nie może jej dotknąć, ale teraz nadchodził koniec. Bębniła w klawisze pianina, a w murach domu tkwiły zamurowane dzieci...

Kochał cię, a ty go zabiłaś. Jak to możliwe, że tak szybko zapomniałaś?

Jej twarz, gładka i spokojna, twarz, która mogła zadać komuś śmiertelną ranę i zostawić go krwawiącego na chodniku, w listopadzie... Chciała ją zranić, zrobić to naprawdę. Ty suko... Uderzyła czołem w szybę. Nie miała pojęcia, że zamierza powtórzyć ten ruch, ale zrobiła to, zaskakując samą siebie. Ty niegodziwa pizdo. Teraz chciała pociąć tę twarz, poranić ją szkłem o zielonych krawędziach. Ogarnęło ją szalone podniecenie. Wiedziała, że nie powinna,

że może stłuc szybę, ale nie przestawała. Przez głowę przemknęła jej myśl, że zaraz ktoś ją powstrzyma, lecz nikt do niej nie podbiegł. Bang. Bang. Ostatecznie szyba nie rozprysła się na drobne kawałki, ale ona poczuła ból i wyczerpała cały zapas wściekłości. Przycisnęła ramiona do szkła, oparła na nich głowę, odgarnęła włosy do tyłu i wypaliła do końca papierosa.

- Cięcie!

Wszyscy zaczęli klaskać, zupełnie jakby obejrzeni jakiś cholerny występ. Mogłaby przebić szybę głową, a nikt nie kiwnąłby palcem. Teraz była w prawdziwych kłopotach. Tańczyła na naprężonej linie w sztywnej spódniczce, z parasolką w ręku, na wysokości osiemdziesiątego piętra.

Jeremy chwycił ją w ramiona, podniósł, okręcił dookoła.

- Mój Booże, Josie! To było niesamowite, do kurwy nędzy! To jest dopiero aktorstwo!

Wyrywała się i kopała, wreszcie postawił ją na podłodze. Aktorstwo? Gra? Czy naprawdę tylko o to chodziło?

Wszyscy gadali równocześnie. Wiedziała, że nie powinna płakać, bo później przez pół godziny będzie poprawiała spaskudzony makijaż. Skoncentrowała się na tym, aby wetknąć koniec papierosa między drżące wargi. Jeremy utworzył z palców ramkę i obejmował nią odbicie w szybie, na pewno powtarzał w wyobraźni całe ujęcie, przewijając je do tyłu. Wade, z ciemnymi włosami, bo teraz miał scenę jako Franco, alter ego Conrada, zbliżył się i poklepał ją po ramieniu.

- Fantastycznie, Josie... - wyszeptał.

Uśmiechnęła się i cofnęła. Nie powinien nawet stać obok niej. Jej życie to teraz przechylona scena, z której w każdej chwili można się zsunąć w próżnię, nie wiedziała, co za moment zrobi. Powinni ją zamknąć. Mogła wyrządzić komuś krzywdę.

Wróciła do sypialni, zamknęła za sobą drzwi i usiadła przy toalecie. W lustrze widziała twarz, którą Michael na pewno by rozpoznał, tyle że przejrzyście białą i całą w kawałkach. Oczy za duże, czoło za wysokie. Widziała samą siebie tak jak on, z zaburzonymi proporcjami, popękana. W progu stanęła brunetka i podała Josie woreczek z lodem.

- Cały czas wstrzymywałam oddech - powiedziała. Josie lewą ręką przycisnęła lód do czoła, musnęła rzęsy czubkami palców prawej. Była pewna, że będzie miała potężnego siniaka, ale na razie nic nie było widać. Wyjęła butelkę i pociągnęła łyk wódki, uważnie przyglądając się twarzy Eleny, tej masce. Pod spodem była jej własna twarz, też maska.

A głębiej? Co było głębiej? Żanny z Montmartre'u? Daisy Mae? Coś szpetnego, coś, co Michael chciałby namalować? Może każdy człowiek zrywa kolejne warstwy, jedną za drugą, ale nigdy nie odsłania prawdziwej twarzy, która staje się coraz mniejsza i mniejsza, aż w końcu w ogóle znika.

22. Nick

Wróciła do domu dopiero koło południa, z nerwami rozdygotanymi jak rytmicznie poruszany ręką pęk kluczy. Jeszcze jedna scena, i jeszcze jedna, zawsze była jeszcze jakaś scena... Żałowała, że połknęła te tabletki z białym krzyżykiem, bo chociaż zwykle właśnie dzięki nim docierała do końca długich zdjęć, to wcale nie chciała być taka nakręcona. Założyła gumową pętlę na sztachetę furtki i zeszła do domku. Ostatnie stopnie pokonywała coraz wolniej, aż wreszcie przed drzwiami przystanąła, pełna wahania. Coś w jej wnętrzu nie chciało wchodzić do środka, zupełnie jakby czekało tam na nią coś przerażającego. Śmieszne... Zmusiła się do otworzenia drzwi. Pusty duży pokój z czterema nagimi ścianami, nie ma się czego bać. Weź się w garść, Josie, usłyszała w głowie głos Pen. Me wariuj mi tutaj. Tylko bez żadnych psychoz! Pojedziemy do Rose Bowl, kupimy sobie parę nowych rzeczy. Niby nic ekstra, ale da się żyć.

Była wyczerpana, nie spała dobre dwadzieścia osiem godzin, potrzebowała odpoczynku. Usiadła na niebieskiej kanapie i wypaliła papierosa, patrząc na skąpane w płaskim świetle zachmurzone niebo, dziwnie zielonkawe, podobne do starego siniaka. Odniosła wrażenie, że słyszy czyjeś kroki na schodach przed domkiem. Cholera jasna... Nagle zaczęła się tu czuć odsłonięta, obserwowana. Uniosła się, nasłuchując, ale na zewnątrz panowała cisza. Podeszła do drzwi i otworzyła je, lecz wszystko było jak zawsze, nierówne drewniane schody z poręczą, z której obłaziła farba, olbrzymie rajskie ptaki, fioletowe i w jakiś sposób kpiące. Zamknęła drzwi na klucz, chociaż wystarczył przecież solidny kopniak, żeby je wyłamać.

Okna bez zasłon wydały jej się nagle zupełnie gołe i surowe, nieprzyjemne. Było tak, jakby nigdy się tu nie wprowadzili. Dawniej zupełnie im to nie przeszkadzało, ale

teraz wszystkie domy na przeciwległym wzgórzu wpatrywały się w nią bez cienia współczucia i zrozumienia.

- Na co się tak gapicie?!

Chwyciła torbę i przeszła do kuchni, która była mniej odsłonięta. Usiadła w kącie śniadaniowym z wyciętymi w drewnie sercami i wypła resztę wódki, żałując, że nie zachomikowała sobie czegoś na czarną godzinę jeszcze przed zdjęciami. Powinna była wiedzieć, że po całej nocy będzie się czuła fatalnie. Co by teraz dała za jedną z tych mocnych pastylek przeciwbólowych... Może warto zgłosić się na pogotowie stomatologiczne z jakąś wymyśloną dolegliwością... Pomyślała o piekarni, gdzie zwykle kupowała prochy, ale było jeszcze za wcześnie, Salwadorczyk z kamienną twarzą stawał za ladą dopiero koło piątej po południu.

Brakowało jej obrazu, który przedstawiał ją w kuchni i zawsze wisiał właśnie tutaj, w tym zakątku. Zewsząd patrzyły na nią duchy nieobecnych przedmiotów - obrazów, naczyń, sprzętów. Gniewnym wzrokiem wpatrywał się w nią także duch chłopca, który je robił, kupował, kochał. To, czego nie ma... Nie chciała dłużej patrzeć na to wszystko, nienawidziła tego domu, powinna się wyprowadzić, gdyby tylko miała dokąd, ale przecież nie chciała z nikim rozmawiać i niczego wyjaśniać. Uciekła do sypialni, gdzie na ścianach ciągle trwał Montmartre. La Boheme. Szczęście, że Meredith nie przyszło do głowy, w jaki sposób ukraść ściany, ale wcześniej czy później na pewno coś wymyśli, wróci i wtedy ściany także znikną, zniknie cały dom, złożony i przeniesiony w inne miejsce jak zabawka.

Zaciągnęła pluszowe zasłony i położyła się na łóżku, siłą przywołując sen. Na tym samym łóżku, gdzie on leżał ze swoimi bólami głowy, z umysłem, który stopniowo ścierał go na miazgę, niszczył, zabijał. Książkę Mrocznego Zamku z

zamarzniętymi dłońmi. Musiała się przespać. Potrzebowała jakiegoś procha, Boże, najlepiej czegoś, co odebrałoby jej przytomność i pograżyło w słodkiej niewiedzy. W porównaniu z nią Michael był bardzo odważny. Zawsze szedł w kierunku tego, czego się bał. Siedział tu w fotelu i noc w noc patrzył w twarz temu, co napawało go przerażeniem. I malował to w lustrze, tymczasem ona tak niewiele potrafiła znieść. Gdyby tylko mogła zatrzymać to wszystko, gdyby mogła przestać żyć...

Wyszła i zadzwoniła do domu na Carondelet, ale nikt nie podnosił słuchawki. Zatelefonowała do Tilly's Cafe, lecz Pen także nie było. W salonie w Melrose zgłosił się Genghiz - Shirley była w pracy, ale miała ręce w farbie, więc może mogłaby zadzwonić do Josie trochę później... Wybrała numer automatu w Teriyaki Oki Dog, odpowiedział jakiś chłopak, Matt czy coś takiego, ale nie znalazł nikogo, kogo Josie by знаła. W końcu złapała Paula w Cashboksie, lecz Paul miał tylko sudafed, więc machnęła ręką. Zmyła naczynia, poskładała i uporządkowała ubrania, umyła podłogę w kuchni, posłała łóżko. Shirley nie oddzwoniła. O trzeciej po południu Josie ubrała się i pojechała do Fuckhouse.

Był to jednopiętrowy dom z szerokim gankiem, trochę w stylu Dzikiego Zachodu, stojący przy Franklin Avenue. Został wybudowany na początku dwudziestego wieku dla dużej, zamożnej rodziny, lecz od tamtych czasów ta część dzielnicy poważnie podupadła. Josie wspięła się po drewnianych schodach, tupiąc i robiąc strasznie dużo hałasu, tak jej się w każdym razie wydawało, minęła połamane meble na ganku i przez otwarte frontowe drzwi weszła do środka. W dużym pokoju nieznajomy chłopak o postawionych na sztorc rudych włosach siedział na kanapie i oglądał przyrodniczy film w telewizorze z wyłączonym dźwiękiem, słuchając zespołu Dead Kennedys. Na ekranie aligator pożerał czaplę.

Dom cuchnął śmieciami i papierosami. Na niskim stoliku tkwiła wypełniona po brzegi popielniczka, ale Josie już tu nie mieszkała, więc co ją to wszystko mogło obchodzić...

- Gdzie Nick? - spytała.

- Jeszcze nie zszedł - odparł chłopak. Dopiero teraz odwrócił głowę i zobaczył Josie ze świeżo utlenionymi włosami i w sukience firmy Pucci. - Ale ja tu jestem...

Zajrzała do kuchni, żeby sprawdzić, czy nie znajdzie tam Hectora albo Robbiego, siorbiących pierwszy kubek gęstej kawy, lecz zobaczyła tylko karaluchy, wyzerające coś z brudnych naczyń moczących się w zlewozmywaku. Na rozchwierutanim stole leżały stare wydania „Weekly”, „Creem”, „Crawdaddy” i „Puke”. Obok kuchennego wyjścia piętrzyły się worki pełne puszek po piwie i butelek, czekające, aż ktoś wymieni je na gotówkę, gdy z kasą zrobi się krucho. Kiedyś Josie też tak żyła, uważała nawet, że to fajny styl, takie życie wśród zespołów punkowych, zwariowanych chłopaków i okropnie wyglądających dziewczyn, była wtedy królową, główną bohaterką filmu kręconego przez jej własną wyobraźnię.

Ktoś na piętrze puścił wodę, ktoś brał prysznic w łazience. Weszła po nagich drewnianych stopniach, stukając białymi wysokimi butami. Ciekawe, o której oni wszyscy wrócili do domu, pomyślała. Ściany były pokryte farbą w sprayu, wyglądało to jak łzy spływające po brudnobiałej powierzchni. BOGA NIE MA. KOGO OBCHODZI ŚWIAT? NIKT NIE SŁYSZY TWOICH SKARG. Dotknęła własnego imienia wypisanego w graffiti - JoC, z przebitym sztyletem sercem wewnątrz C. Wszystko to należało do innego życia. Ruszyła do drzwi na końcu korytarza, tych oblepionych plakatami zespołów muzycznych i motocykli, dwóch największych miłości Nicka, i otworzyła je bez pukania.

Słońce usiłowało przeniknąć przez opuszczone czerwone rolety i napełniało pokój nieprzyjemnym dziennym półmrokiem. Powietrze cuchnęło tu siedmioma dniami seksu i trzema amfy, a Nick pieprzył jakąś pulchną brunetkę na pieska w swoim wygniecionym łóżku. Dziewczyna zacisnęła ręce na prześcieradle, do połowy ściągniętym z materaca. Nieszczęsna twarz Nicka wydawała się chuda, mizerna i zmęczona, lecz jego ciało było napięte jak drut i muskularne. Było to ciało, które jakiś artysta mógłby chcieć odlać w gorącym metalu.

Josie wiedziała, że powinna zamknąć drzwi z drugiej strony i pozwolić mu skończyć, ale czuła się jak primadonna, poza tym musiała przyznać, że z zaprawionym ekscytacją rozdrażnieniem patrzyła, jak jej były posuwa jakąś krowę... Wiedziała przecież, że dla Nicka nie miało znaczenia, jaką cipę pieprzy, dla niego wszystko było równie osobistym przeżyciem jak odlanie się w publicznej toalecie. Zrzuciła stertę ciuchów na podłogę i usiadła na szwedzkim fotelu pokrytym tkaniną w tygrysie paski, którą sama kupiła, kiedy jeszcze byli razem, skrzyżowała nogi jak Elena i zaczęła się przyglądać, jak Nick to robi, zupełnie jakby była w teatrze albo sali koncertowej. Zapaliła papierosa i rzuciła zapalniczkę na podłogę.

- Popatrz, zaraz doprowadzę ją do szału - powiedział. - Będzie wrzeszczała...

Zmienił rytm z powolnego na krótkie szybkie pchnięcia, a potem wjechał w brunetkę do końca, trzymając ją za brudne włosy jak jeździec końską grzywę. Nawet teraz Josie wiedziała, co tamta czuje, chociaż udawała, że wcale nie wie, że jest tylko obojętnym widzem. I rzeczywiście, brunetka szybko przeszła od głębokiego, niskiego pojękiwania do ogłuszającego wrzasku, którym przywitała orgazm.

Nick wygiął się do tyłu i znieruchomiał, ściskając tyłek dziewczyny tak mocno, że najprawdopodobniej narobił jej

mnóstwo siniaków, potem zaś padł na nią jak ropucha na kamień, z kutasem nadal nabrzmiałym w czerwonym świetle.

- Podoba ci się? - spytał, klepiąc brunetkę po wielkim tyłku. - Starczy dla wszystkich...

Kiedy czarnowłosa się odwróciła, Josie rozpoznała w niej czyjąś dziewczynę. Nazywała się Tammy albo Terri i pracowała jako kelnerka w Canter's Delicatessen.

- Cześć, Josie... - powiedziała, naciągając kołdrę na potężne cycki.

Wyglądała na zmieszaną, jakby nie była pewna, czy Nick i Josie przypadkiem znowu się nie zeszli. Trini, tak... Miała na imię Trini.

- Cześć, Trini - odparła Josie. - Nick, chciałabym zamienić z tobą parę słów.

Trini ziewnęła, przeciągnęła się i zwinęła w kłębek w brudnej pościeli, gotowa zapaść w drzemkę.

- No, to gadaj...

- W cztery oczy.

- Siedziałaś tu, przyglądałaś się, jak ją pieprzyłem, i nagle mamy jakieś tajemnice? - Nick uniósł brwi. - Daj szluga...

Rzuciła mu gauloise'a. Rozgrzebał śmieci na stoliku przy łóżku (wszystko wskazywało na to, że nie sprzątał, odkąd odeszła), znalazł tanią zapalniczkę, potrząsnął nią, zapalił, zaciągnął się papierosem, wytrzeszczył oczy.

- Kurde, co to za gówno? - Zdjął z języka kawałek tytoniu.

- Suszone bobki łośia - odpowiedziała Josie.

- Jasne, wierzę ci... A właściwie co tutaj robisz? Myślałem, że jesteś w żałobie. „Chodzi wśród wzgórz w długim czarnym welonie”, i tak dalej... - zmrużył oczy, podrażnione ostrym dymem, odgarnął długie tłuste włosy znad wyłupiastych niebieskich oczu. - Wtedy u Loli Loli nie chciałaś ze mną nawet rozmawiać, myślisz, że byłem za

bardzo naćpany, żeby to zapamiętać? Zachowałaś się jak prawdziwa suka...

- Przepraszam.

- I słusznie... - wymamrotał. - Nie możesz się tak na mnie wyżywać, przecież nawet nie znałem gościa...

- Był cudowny. Kochałam go.

- Jeszcze nie powód, żeby traktować mnie jak ostatniego śmiecia!

Josie milczała. Zza drzwi dobiegał ostry, głęboki kaszel Robbiego.

- Nie powiedziałam niczego takiego...

W zmęczonych niebieskich oczach Nicka wciąż malował się cień urazy.

- To czego ode mnie chcesz?

- Kto mówi, że czegoś od ciebie chcę? - Zgniotła rozżarzoną końcówkę papierosa o podeszwę buta.

- Jesteś tutaj, czyli musisz czegoś chcieć, nie? Jakoś nie zauważyłem, żebyś wpadała dla towarzystwa... - Machnął papierosem w kierunku stolika przy łóżku, siejąc dookoła popiołem. Przewiązał się w pasie prześcieradłem, wyciągnął drugą rękę i z zadowoleniem lekko poklepał krągłe biodro Trini. - No, o co chodzi? Nie, nie mów, niech zgadnę...

Josie patrzyła, jak Nick głaszcze się po chudej, ale umięśnionej piersi, jak przejeżdża dłonią po małych twardych brodawkach.

- Nie chcesz, żebym się z tobą pieprzył, czyli chodzi o prochy... Mam rację, Bob? Coś niedużego na uspokojenie nerwów, tak?

Męczyło ją to, że potrzebuje czegoś od innych. Nagle zapragnęła opowiedzieć mu o swojej bezsenności, o wrażeniu, że lada chwila stanie się coś złego. O tym, jak dzień i noc towarzyszyła jej śmierć Michaela, jak ciągle wracała myślami do ich kłótni, a także do tamtych chwil w kostnicy, kiedy

zobaczyła go martwego. Jak bardzo musiał cierpieć Michael, kiedy udawał, że wszystko jest w porządku, a tak naprawdę ważył swoje życie w dłoniach. Od początku powinna była wiedzieć, że tylko grał w jej obecności. Nie umiała już nawet określić, co jest rzeczywistością, a co nie. Stała nad śpiącą kobietą i myślała, jak łatwo byłoby ją zabić. Mało brakowało, a zbiłaby szybę głową. Sądziła, że kojoty schodzą ze wzgórz, żeby się z nią spotkać... Coś niedużego na uspokojenie nerwów?

- Coś w tym rodzaju - mruknęła.

Nick dmuchnął czerwonym dymem na czerwony pokój.

- A co zamierzasz dla mnie zrobić, Josie T.?

Dupek. I on uważał, że ją kocha, nie do wiary! Kochał Micka Wielkie Usta i gitarę d'Andrea. Nie miał pojęcia, co to znaczy kochać. Tak samo jak ona, zanim spotkała Michaela. I pomyśleć, że pieprzyła się z nim, kiedy Michael tkwił w domku przy Lemoyne, walcząc z ogarniającą go ciemnością. Kim był największy idiota na świecie, król kretyńców? Z całą pewnością nie była to Trini...

- Co, chcesz, żebym zrobiła ci laskę na oczach wszystkich twoich kumpli? Po co w ogóle zadajesz mi takie pytania?

Wrzucił niedopałek do puszki po piwie, najwyraźniej nie do końca opróżnionej, bo w środku zasyczało.

- W porządku, załatwię ci prochy... Ale nigdy więcej nie traktuj mnie tak, jakbym był psim gównem, które przyczepiło ci się do podeszwy, kapewu?

Zrzucił prześcieradło, odsłaniając drobne, napięte ciało z nieproporcjonalnie wielkim penisem, przełożył chude, złożone z samych ścięgien nogi przez krawędź łóżka, podniósł z podłogi dzinsy. Josie nie знаła ani jednego siedzącego w rock and rollu chłopaka, który nosiłby bieliznę.

- Może i nie uczyłem się w Harvardzie, ale przynajmniej nie dałem sobie w czapę. Nie zwałem na ciebie góry takiego

gówna. Naprawdę trochę mnie obchodzisz, powinnaś o tym wiedzieć. - Wstał, naciągnął spodnie, zapiał rozporek, poprawił suwak. - I na pewno nie odmówiłbym, gdybyś chciała zrobić mi loda na oczach wszystkich moich przyjaciół...

Podwoziła Nicka do jego kumpla Reda na Fountain Avenue. Red mieszkał nad starym targowiskiem, w najbardziej wiekowym budynku w całym Hollywood, dwupiętrowym, drewnianym, ze spadzistym dachem, wyglądającym trochę jak spichlerz. Josie została w samochodzie, ponieważ Red darzył ją antypatią datującą się z okresu, gdy mieszkał razem z nimi w Fuckhouse i robił sobie elektrowstrząsy zwojami kabli kuchenki elektrycznej. Josie szybko doszła do wniosku, że nie jest w stanie mieszkać pod jednym dachem z takim popieprzeńcem, i nakłoniła Nicka, żeby wyrzucił Reda.

- Skołuj mi prochy nasenne, tyle, ile będzie miał, i jeszcze trochę marychy - powiedziała, wręczając Nickowi pięćdziesiątkę.

- Po co ci prochy nasenne? To nie moja sprawa, jasne, ale chyba nie chodzi ci po głowie, żeby wyciąć taki numer jak Marilyn, co?

Numer w stylu Marilyn nie chodził jej po głowie, przynajmniej nie w tej chwili.

- Nie twoja sprawa, właśnie... - warknęła. - Ale nie, nie martw się, potrzebuję tylko czegoś na sen. Jestem taka nakręcona, że nie mogę zmrużyć oka.

Rzucił jej ekstratwarde spojrzenie, lecz wziął pieniądze i wszedł do środka. Po paru minutach wrócił z kopertą pełną proszków i zioła. Wygodnie usadowili się w samochodzie, Josie zrobiła skręta, zapaliła i włączyła kasetę. Nick popatrzył na nią ze zdziwieniem, kiedy usłyszał pierwsze tony.

- Co to takiego, do kurwy nędzy?!

- Rimski - Korsakow - odparła. - Elegia na cześć Czajkowskiego.

Parsknął śmiechem. Młoda twarz Nicka już teraz była naznaczona zmarszczkami i bruzdami. Josie bez trudu mogła wyobrazić sobie, jak jej były będzie wyglądał w wieku czterdziestu lat.

- Dawaj tego skręta, mała...

Pierwsza fala narkotyku przyniosła jej natychmiastowe rozluźnienie. Poczowała się tak lekko, jakby ktoś nagle zdjął z niej kilka grubych worków z piaskiem. Wyciągnęła rękę i podkręciła głośność.

Nick przestawił zewnętrzne lustro, uważnie przyjrzał się swoim oczom i tłustym jasnobrązowym włosom. Palcami uniósł kilka pasem, badawczym wzrokiem zlustrował linię włosów.

- Myślisz, że łysieję? - Ustawił lustro pod innym kątem i przekrzywił głowę. - Hej, widzisz tego szarego oldsmobila? Parkuje jakieś pięć wozów za nami, tak? Założyłbym się o setkę, że widziałem go, kiedy odjeżdżaliśmy spod Fuckhouse...

Słynna paranoja Nicka. Dopadała go głównie wtedy, kiedy się naćpał. Policja przymknęła go dwa razy i teraz wszędzie widział gliny. Josie zerknęła w lustro i znalazła samochód, który go zaniepokoił, szarego oldsmobila. Była pewna, że to tylko szajba Nicka, ale na wszelki wypadek wepchnęła torbę z prochami pod fotel.

- Jedź, zobaczymy, co robi - powiedział Nick. Ruszyła powoli, podjechała do znaku stop. Nie mieli za sobą żadnego samochodu.

- Marycha ci szkodzi - mruknęła.

- Błąd, skarbie! - rzucił Nick. - Patrz, już jedzie!

Szary wóz pełzł za nimi, trzymał się w odległości mniej więcej stu metrów. Josie pojechała w dół De Longpre, skręciła

w prawo w Las Palmas, w lewo na Santa Monica, znowu w lewo na Cahuengę. Oldsmobil przykleił się do nich jak guma do żucia do podeszwy. Był środek tygodnia, zima, dookoła panował całkowity spokój. Jakiś stary lump drzemał w słońcu, dwóch facetów w obcisłych białych dżinsach właśnie wchodziło do klubu Spotlight.

- Jeden gość - oznajmił Nick, czujnie patrząc w boczne lustro. - Przeciętniak, nikt nie zwróciłby na niego uwagi... Może uda ci się go zgubić w jakiejś alejce...

Josie skręciła w lewo, w boczną uliczkę, i przejechała z tyłu klubu Masque, wymijając dziury w nawierzchni, poustawiane z boku drewniane kubły oraz bezdomnego faceta z trzema kundlami, które spokojnie obsikiwały ścianę. Alejka była bardzo wąska, szeroki oldsmobil nie miał szans się w niej zmieścić. Pokonała jeszcze kilka uliczek, kilka razy zawróciła, z Selmy w Argyle, potem z Yukki w Gower i zanim ruszyła w górę, do Franklin, była już pewna, że zgubiła faceta. Zatrzymała się przy krawężniku przed Fuckhouse i wypuściła Nicka. Otworzył drzwi samochodu i odwrócił się do niej, odgarniając do tyłu posklejane włosy. Z wychudzonej twarzy spoglądały na nią zaskakująco poważne oczy.

- Jeżeli masz ochotę tu zostać, to możesz, serio - powiedział. - I chyba wiesz, że to nie jest jakaś pieprzona próba podrywu...

- Dzięki, Nick.

Wyciągnął rękę i pogłaskał jej policzek szorstkim od odcisków kciukiem gitarzysty.

- Cześć, Josie... Uważaj na siebie.

Wróciła do parku Echo, dygocząc w białych winylowych botkach i sukience z poliestru. Czego innego mogła się spodziewać - szarym oldsmobilem na pewno jechał za nimi gliniarz z brygady antynarkotykowej albo coś takiego. Mało brakowało, a trafiłaby do aresztu, jeszcze to było jej

potrzebne... Nad Tyrellami wisiała chyba najprawdziwsza klątwa, w każdym razie nad nią. Najpierw straciła Michaela Faradaya, a teraz policja zamknęłaby ją za narkotyki... Ojciec miał rację, ten świat nigdy nie daje szansy takim jak ona.

Kiedy była już blisko przyczepionego do zbocza wzgórza domu na Lemoyne, instynkt kazał jej nagle przejechać kwadratem ulic, tak jak robiła to w okresie, gdy mieszkała w Fuckhouse, tylko po to, aby zobaczyć, czy w okolicy nie dzieje się nic podejrzanego. I proszę bardzo, szary oldsmobil stał na Scott Road, parkował przed szkołą podstawową. A podróżującego nim przeciętniaczka nigdzie ani śladu...

Dopiero teraz dotarło do niej, że to wcale nie glina. Skąd znałby jej adres, gdyby chodziło o Reda i narkotyki? Pięć setek i już po tobie... Znikniesz bez śladu. Nerwowo przełknęła ślinę, wciąż czując tamte dłonie wokół swojej szyi, wściekłość w długich, mocnych palcach. Przypomniała sobie o butach, które zostawiła przy łóżku Meredith. Każdy może zwariować po samobójczej śmierci jedyne dziecko, prawda? Zresztą ona sama też dostała szajby, może nie? Stała przecież nad śpiącą Meredith i myślała, że mogłaby ją zabić. Co jej wtedy przyszło do głowy, dlaczego wdarła się do domu na Los Feliz? I jakiej właściwie reakcji spodziewała się po Meredith?

Prawda była taka, że w ogóle nie myślała, chciała tylko zranić Meredith w taki sam sposób, w jaki tamta ją zraniła, chciała przypomnieć jej, że nikt nie jest bezpieczny. Ostatecznie ta baba włamała się do jej domu i zabrała wszystko, czego dotyczył Michael! Jednak nawet nie przypuszczała, jak daleko Meredith może się posunąć. Sądziła, że taka bogata, imponująca i ogólnie podziwiana kobieta będzie osobą cywilizowaną, kulturalną, że wycofa się z walki. Cóż, najwyraźniej popełniła błąd w ocenie. Może powinna wlać Meredith coś do pogrążonego we śnie ucha,

skoro już miała taką okazję... Elena zrobiłaby to bez chwili wahania.

23. Śledzona

Josie stała w mrocznym korytarzu na tyłach Lotus Room. Na półeczce pod automatem telefonicznym czekał jej drink. Różowa ściana pokryta była numerami telefonów, erotycznymi graffiti oraz ulotkami reklamowymi, zapowiadającymi koncerty różnych zespołów. Dosłownie dławiała ją myśl, że Meredith czuła do niej aż tak wielką nienawiść, że chciała ją zabić, zobaczyć ją martwą, sztywną i zimną, taką jak Michael. Nie, to szaleństwo, wyobraźnia wymyka się spod kontroli... I nic dziwnego, przecież tak długo nie spała... A jednak nie mogła zapomnieć zachrypniętego szeptu w słuchawce: Pięć setek i już po tobie. I te silne, duże dłonie, zamykające się dookoła jej szyi niczym obręcz, uwalniająca się z nich wściekłość... Jej ciało zapamiętało tamte chwile - obolałe węzły w jej szyi, napięte ścięgna, oszalałe myśli tłukące się w głowie, jeszcze teraz robiło jej się zimno. Utkwiła wzrok w tarczy telefonu i usiłowała zdecydować, co zrobić.

Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi toalety, docierał do niej ostry, a jednocześnie mdlący zapach środków dezynfekcyjnych i ogarniała ją fala mdłości, ale przynajmniej bar wypełniał się ludźmi, którzy po pracy wpadali tu na słabego drinka albo żeberka po chińsku, prawie zawsze średnio świeże. Uznała, że tu jest w miarę bezpieczna, bo przecież nikt nie spróbuje zabić jej w barze, wśród wszystkich tych pracowników miejskiego ratusza, gości z koneksjami. Przerazająco chudą, zsiniałą ręką ułożyła kilka kupek monet na półce, upuszczając kilka na podłogę. Miała tak zziębnięte dłonie, że z trudem zginała palce. Jej umysł był równie sztywny jak palce i daremnie próbował poradzić sobie ze świadomością, że gdzieś tam na ulicy jeden facet ma robotę do wykonania, a tą robotą jest pozbawienie życia Josie Tyrell.

Zastrzeli ją czy złapie na schodach do domku lub w jakimś ciemnym zaułku i zadusi pętlą z drutu, tak jak robią to w filmach? Dygotała na całym ciele, nie była w stanie zapanować nad dreszczami, a przecież musiała jakoś włożyć pieniądze do otworu automatu... Pociągnęła łyk wódki i wrzuciła monety. Zabrzęczały w środku. Wybrała numer Pen, ale nikt nie podnosił słuchawki, telefon dzwonił dzwonił dzwonił, brzmiało to jak odpowiedź wszechświata na wołanie o pomoc, po prostu beznadzieja. Nikt nigdy nie podnosił słuchawki, robił to tylko schludnie ubrany dżentelmen ze śmiercią w oczach. Telefon dzwonił, a Josie wbrew samej sobie hodowała nadzieję, że może Pen właśnie wraca do domu i lada chwila się odezwie, zdyszana z pośpiechu.

Cisza, tylko jednostajny, żalony sygnał.

Odwiesiła słuchawkę i monety posypały się do otworu. Ze wszystkich sił starała się nie płakać, nie załamywać, musiała przecież coś zrobić, nie mogła akurat teraz ulec panice. Jakiś facet wszedł do toalety, obrzucając ją długim spojrzeniem.

Skrzywiła się, znowu zaatakowana zapachem chemii, odwróciła się plecami do drzwi. Zadzwoiła do informacji i poprosiła o numer Tilly'ego. Powtórzyła go sobie półgłosem, wybrała serię cyfr i odetchnęła z ulgą, słysząc niski, zachrypnięty od papierosów głos Tilly'ego. Tilly poszedł zawołać Pen. Josie słyszała, jak kucharz Dave krzyczy coś w tle, jak ktoś brzęczy i łomocze talerzami. I wreszcie w słuchawce odezwała się Pen.

- Pen, wydaje mi się, że matka Michaela nasłała na mnie płatnego zбира! Jestem u Sammy'ego i nie wiem, co robić... Groziła, że da na mnie zlecenie! Byłam z Nickiem i on zauważył tego faceta, a teraz ten bandyta jest pod moim domem!

Z piersi Pen wyrwało się ciężkie westchnienie, zupełnie jakby Josie gadała o najeźdźcach z Neptuna.

- Och, tylko nie szalej, do cholery! Spokojnie, spokojnie, zachowajmy rozsądek... Przecież wiesz, że nie napuściła na ciebie żadnego zbira? Przecież to wiesz, Josie, prawda? Spałaś w nocy choć trochę?

- Nie spałam, ale nie wymyśliłam sobie tego, przysięgam!

- Łyknij tabletkę i prześpij się trochę, tak będzie najlepiej, wierz mi. Nie trzeba było łapać się jeszcze i za ten film, mówiłam ci, żebyś dała sobie z tym spokój... Musisz po prostu odpocząć, kurwa, za dużo na ciebie spadło. Złap oddech, słyszysz?

Josie doskonale wiedziała, jak to wszystko brzmiało, i nie miała cienia wątpliwości, że każdy potraktowałby ją jak Nicka w ataku paranoi. Nic dziwnego, że nie uwierzyła jej nawet Pen, skoro nawet ona sama nie mogła oprzeć się wrażeniu, że kompletnie oszalała.

- W porządku - westchnęła. - Ale gdybym zginęła, powiedz glinom, że stoi za tym Meredith Loewy, dobra?

Usłyszała, jak kucharz wrzeszczy: „Hej, numer trzy, przestań robić sobie dobrze i bierz się do roboty!”.

- Dobra - zgodziła się Pen. - A teraz przysięgnij, że od razu pójdziesz spać! Zadzwoń do ciebie, kiedy zejdę ze zmiany. Wszystko będzie w porządku, zobaczysz, masz marny dzień, to wszystko...

Josie odwiesiła słuchawkę, zapaliła papierosa i oparła się o różową, lepka od brudu ścianę, żeby pozbierać myśli. W końcu korytarza, obok wejścia do kuchni, ołtarz Buddy lśnił w świetle migoczących świec w czerwonych wotywnych czarkach. Figura boga o wydatnym brzuchu otoczona była pomarańczami, prośbami wypisanymi złotym tuszem na czerwonych kartkach i zapachem kadzidełek. Josie nie wiedziała, jak się modlić, zwłaszcza do jakiejś zbieraniny drobiazgów ze sklepu „Wszystko po dziesięć centów”, ale postanowiła spróbować. Proszę, niech ktoś się tym przejmie,

pomyślała, mocno zaciskając dłonie. Nie chciała dzwonić do Nicka, nie chciała do tego wracać, już nie. Zbyt łatwo byłoby zacząć wszystko od początku. Zadzwoiła do Phila Baby w Otisie, wybrała jego numer domowy i numer Henry ego. Próbowwała złapać Shirley u Genghiza. Telefon w mieszkaniu Paula i Bena był wyłączony. Cóż, wszechświat przemówił do niej pełnym głosem... Nie miała nikogo, nie miała się do kogo zwrócić.

Na ścianie obok telefonu, pod numerem Kasjopei, ktoś napisał wielkimi literami: CZŁOWIEK NIE JEST W STANIE PRZETRAWIĆ ZBYT DUŻEJ PORCJI RZECZYWISTOŚCI. Josie odchyliła głowę do tyłu, oparła ją o ścianę, usiłując powstrzymać łzy. Najchętniej połknęłaby teraz kilka pigułek, które miała w torbie, i odleciała, chociaż na trochę, ale nie mogła przecież osunąć się na brudną podłogę i zasnąć z rozłożonymi nogami, niczym jakaś obsceniczna lalka. Musiała zachować względną przytomność, przeżyć ten moment, tak jak przeżywała wszystkie inne od śmierci Michaela, jedną bolesną sekundę po drugiej, choć wciąż miała uczucie, że znalazła się w rozpadlinie skalnej, z której nie może się wydobyć, albo że jest w środku potężnego łańcucha górskiego, gdzie szlaki nie zostały jeszcze wyznaczone.

Dlaczego Meredith musiała ją aż tak bardzo znienawidzić? Przecież obie straciły Michaela, powinno je to zbliżyć, a nie nastawiać przeciwko sobie... Nie powinny zachowywać się jak psy, które brat Josie Tommy razem z kolegami szczuł do walki na podwórku po zapadnięciu zmierzchu. Psy warczały i skakały sobie do gardeł, nie można było nie słyszeć ich pełnego wściekłości szczekania. Josie pragnęła rozmawiać z Meredith tak jak tamtej nocy w Los Feliz, chciała wymieniać dobre wspomnienia o Michaelu. Wtedy udało jej się dostrzec ludzką twarz Meredith. Zależało jej przecież tylko na tym,

żeby ta kobieta ją polubiła, ale Meredith już na samym początku zdecydowała, że wie, kim i czym jest Josie Tyrell i czego chce od jej syna. A Michael utwierdził matkę w tej opinii, wykorzystując Josie jako coś w rodzaju czerwonej płachty na byka.

Wypiła wodnistą wódkę wpatrzona w telefon, otoczony konstelacją wyskrobanych na ścianie wiadomości, numerów i genitaliów. Rodzina Loewych i Faradayów. Tacy ludzie... Należał do nich cały świat, więc dlaczego musieli pieprzyć się z takimi jak Josie? Nie wystarczało im, że mieli u stóp całe kontynenty, całą planetę? Nie. Michael miał wszystko, ale to wszystko eksplodowało w jego wnętrzu niczym podpalone laboratorium. Poczucie, że jest inny, rosło w nim, drażniło, ropiało, aż wreszcie zniszczyło wszystko, co dobre, i pozostawiło wielką pustkę, której Josie nie potrafiła wypełnić. A Meredith? Miała swoją muzykę, jasne, ale poza tym kim właściwie była? Przerażoną kobietą w średnim wieku, kobietą z pieniędzmi w banku, pieniędzmi, które nie mogły zapewnić jej bezpieczeństwa ani utrzymać Michaela przy życiu, pieniędzmi, które potrafiły tylko przywoływać śmierć.

Wpatrywała się w drzwi, czekała na faceta w płaskim kapeluszu. Korytarzem przeszła dziewczyna, niska, tęga lesba z łańcuszkiem kołyszącym się między kolczykami w nosie i uchu, i włosami wygolonymi na irokeza. Josie poznała ją - dziewczyna była perkusistką lesbijskiej kapeli, która czasami grała w Hong Kong Cafe. Przystanęła obok automatu telefonicznego, zobaczyła szklanę z drinkiem, monety i torbę. Josie szybko oderwała się od ściany i położyła dłoń na słuchawce, niepewna, czy dziewczyna nie zdzieli jej pięścią w twarz.

- Przepraszam, muszę zadzwonić w jeszcze jedno miejsce...

Lesba westchnęła ciężko, ale wykonała uprzejmy gest, zapraszając Josie do telefonu. Oparła się o ścianę i splotła na piersi potężnie umięśnione ramiona. Pod jej spojrzeniem Josie odwróciła się, wrzuciła monety do otworu, starając się żadnej nie upuścić, i wybrała numer.

- Rezydencja pani Loewy - zabrzmiał w słuchawce głos hiszpańskiej pokojówki.

- Tak, poproszę z panią Meredith Loewy - odezwała się Josie. - Proszę jej powiedzieć, że dzwoni Josie Tyrell...

Wyprostowała się, chcąc przynajmniej w ten sposób pokazać wystrzyżonej na irokeza, że heteroseksualne dziewczyny niekoniecznie muszą być gorsze.

Słyszała oddalające się kroki pokojówki, nasłuchiwała uważnie, skupiona i czujna. Chciała wiedzieć, jak potoczy się rozmowa. Dzwoni ta dziewczyna... Służąca na pewno nie musiała wyjaśniać swojej chlebodawczyni, o jaką dziewczynę chodzi. Josie usiłowała wyobrazić sobie reakcję Meredith na fakt, że ona nadal żyje. Szybko zamaskowana irytacja, czerwień pod zielenią. Czy Meredith porozmawia z nią, czy też Hiszpanka skłamie, powie, że jej pani nie ma w domu? W tle słyszała muzykę, utwór na instrumenty smyczkowe, coś słodkiego i delikatnego jak bita śmietana, może Mozart albo ten drugi gość, Haydn. Znowu kroki, grzechot w podnoszonej słuchawce.

- Josie?

W głosie Meredith brzmiało najprawdziwsze zdziwienie. Josie pociągnęła łyk wódki, kostki lodu uderzyły o brzeg szklanki.

- Josie? - ze zniecierpliwieniem powtórzyła Meredith. - To ty?

- Myślałaś, że już nie żyję? - Josie zerknęła na perkusistkę, która wydeła dolną wargę i wzniosła oczy w górę, jakby chciała powiedzieć: „Tego jeszcze nie słyszałam”.

W gruncie rzeczy była zadowolona z obecności solidnie zbudowanej dziewczyny, bo ta na pewno dałaby sobie radę z napastnikiem, gdyby zaszła taka potrzeba.

W słuchawce zapadło milczenie. Meredith odchrząknęła.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytała. - Planowałeś, że coś sobie zrobisz?

Josie szarpnęła owinięty metalową spiralą sznur, wyobrażając sobie, jak by się czuła, gdyby mogła zacisnąć go na szyi Meredith.

- Szary oldsmobil? - rzuciła. - Facet w płaskim kapeluszu?

- O czym ty mówisz, na miłość boską?!

Cały lęk Josie w jednym momencie przeistoczył się w gniew, wystarczyło, że usłyszała ten wyniosły, chłodny głos, w którym tak wyraźnie pobrzmiwała nuta wewnętrznego przekonania o własnej wyższości.

- Pięć setek, pamiętasz? Nie mogłaś lepiej spożytkować swojej forsy, nie mogłaś wydać tego na czyszczenie basenu albo coś w tym rodzaju? Możesz mnie zabić, ale na pewno nie odzyskasz Michaela!

Cisza.

- Naprawdę sądzisz, że jestem do tego zdolna? - Meredith oddychała spokojnie, cicho. - Przecież to były tylko pogrożki, nic więcej! Mój Boże, ty naprawdę wierzysz, że mogłabym... Posłuchaj, Josie, wyobraźnia trochę za bardzo cię ponosi, słowo daję!

Josie ściągnęła brwi. Uważnie wpatrywała się w faceta w białej koszuli, który właśnie wychodził z męskiej toalety i zapinał rozporek. Perkusistka zdecydowanym ruchem założyła ręce na piersi, jakby zamierzała bronić Josie przed jakimś nieżyczliwym gestem z jego strony albo może bronić swojego miejsca w kolejce. Facet powoli oddalił się korytarzem.

- Więc niby kim jest ten żartowniś, który się za mną włóczy, Świętym Mikołajem? - warknęła Josie.

Słyszała dobiegające z kuchni pokrzykiwania chińskiego kucharza, Budda uśmiechał się trochę kpiąco.

- Chcę, żebyś wiedziała, że uprzedziłam znajomych - podjęła. - Jeżeli coś mi się stanie, będą wiedzieli, że maczałaś w tym palce...

- Och, nie, dlaczego to zrobiłaś?!

Była to szybka, obronna reakcja. Zupełnie jakby Meredith wolno było wynająć płatnego zabójcę, natomiast Josie w żadnym razie nie powinna nikomu o tym mówić.

- Nie sądziłaś chyba, że ujdzie ci to na sucho, co? Meredith głęboko wciągnęła powietrze, Josie słyszała poszczególne etapy tego westchnienia.

- Myślisz, że wynajęłam kogoś, żeby cię zabił. Kompletnie zwariowałaś...

- Może. Tak czy inaczej, jeżeli coś mi się stanie, moi znajomi pójną prosto na policję, rozumiesz? Spadnę ze schodów, zjem nieświeżą kanapkę, wszystko jedno, mają cię na oku...

Dziewczyna z czubem a la irokez z aprobatą pokiwała głową.

- Dobrze, dobrze! - zawołała Meredith. - No dobrze, wynajęłam kogoś, ale nie po to, żeby cię zabił, uwierz mi, proszę... Spróbuj mi uwierzyć...

Josie niczego nie była już pewna. Dzień się kończył, była potwornie zmęczona i wcale nie chciała myśleć, że ta kobieta nienawidzi ją aż tak bardzo, że pragnie zobaczyć ją martwą. Co innego, kiedy podejrzewa się kogoś znajomego, że chce cię zamordować, a co innego dowiedzieć się, że to prawda. To duża, bardzo duża różnica. Ale przecież Josie była Eleną. Wiedziała już, że można być tak zimną i opanowaną, naprawdę można.

- Josie, postaraj się zrozumieć... Włamałaś się do mojego domu, weszłaś do mojego pokoju, kiedy spałam! Ty... No, powiedzmy, że robiłaś wrażenie trochę rozchwianej emocjonalnie... Wynajęłam prywatnego detektywa, żeby cię śledził. Chciałam tylko wiedzieć, gdzie jesteś i co robisz, nic więcej, wierz mi!

Brzmiało to w miarę rozsądnie. Meredith Loewy nie ryzykowałaby wszystkiego, co miała, żeby coś jej zrobić. Nie ryzykowałaby, prawda? Z drugiej strony obrabowała ją bez chwili wahania, tak czy nie? Ale czy wiedziałaby, gdzie znaleźć płatnego zabójcę, jak się do tego zabrać? Raczej nie obracała się w towarzystwie, gdzie załatwia się takie rzeczy. Prawdopodobnie Josie poszłoby to znacznie lepiej...

Zresztą nawet jeśli wyjaśnienia Meredith brzmiały rozsądnie, to wcale nie musiały być prawdziwe. Fakt, że zabójstwo na zlecenie wydawało się trochę zbyt dramatycznym krokiem, bynajmniej nie znaczył, że Meredith nie posunęła się tak daleko. Śmierć Michaela rzuciła ją na kolana, więc wszystko mogło się zdarzyć. Rozsądek bywał zwodniczy, wielu sytuacjom nadawał pozory prawdy, ale to byli sprytni, przebiegłi ludzie, Meredith i jej rodzina. Wiedzieli, jak nagiąć prawdę do swoich potrzeb. Josie czuła, jak jej serce cofa się przed przekonaniem o winie Meredith, jak ucieka niczym pies, który zwęszył trutkę w kawałku mięsa.

- Nie chodziłam do college'u, ale to nie znaczy, że jestem idiotką - powiedziała. - Gdybyś naprawdę się mnie bała, wynajęłabyś goryla, nie detektywa...

Obok niej precyzyjnie się Chinka po pięćdziesiątce. Perkusistka straciła już chyba wiarę, że kiedykolwiek dopcha się do telefonu, i teraz z zaciekawieniem chłoneła kolejne wypowiedzi Josie. W domu w Los Feliz rozbrzmiewał Mozart, a tutaj, w barze, z głośnika szafy grającej leciał Elvis.

- Potrafię dowieść, że mówię prawdę - odezwała się Meredith. - Umówmy się gdzieś, dobrze?

- Po co? Żeby facet w płaskim kapelutku mógł mnie znaleźć i dokończyć robotę?

Powiedziała tak, ale przecież zdawała sobie sprawę, że wynajęty przez Meredith gość raczej nie wpadnie do baru czy restauracji, żeby zastrzelić ją na oczach kilkunastu czy kilkudziesięciu osób. Nie, nic z tych rzeczy. Pewnie czekałby na nią gdzieś w pobliżu samochodu...

- Powiedziałaś swoim znajomym, pamiętasz? Nie zamierzam spędzić reszty życia w więzieniu. Źle wyglądałabym w pomarańczowym mundurku, więc daj spokój, Josie... Przyjadę, gdzie zechcesz, zgoda?

24. LOTUS ROOM

Josie popijała drugą wódkę przy stoliku w kącie sali, tam gdzie na początku zawsze siadywali z Michaeliem. Z głową przy głowie wymyślali niestworzone historie o innych klientach. Ze swojego miejsca Josie doskonale widziała wejście. Miała wielką ochotę wziąć chociaż jedną tabletkę, ale wiedziała, że nie jest to właściwy czas na przyćmienie. Chuchnęła na dłonie i zaczęła je rozcierać, żeby przywrócić czucie. Dookoła niej ludzie rozmawiali, śmiali się, wieszali marynarki i kurtki na oparciach krzeseł. Najwyraźniej nikomu poza nią nie było zimno. Kilka razy zgięła i rozprostowała palce, bo kompletnie zeszywniały, i rozlała trochę alkoholu na stół. Dobrze chociaż, że tutaj, w blasku kolorowych chińskich latarni, nic jej nie groziło. I zawsze mogła poprosić kogoś, żeby odprowadził ją do samochodu... Na przykład tego szpakowatego faceta w typie kierowcy autobusu albo perkusistkę lesbę, która co jakiś czas zerknęła na nią od baru. Ciekawe, jak szybko leci kula, pomyślała Josie. Czy w ogóle usłyszałaby jej świst?

Ciągle myślała o tamtej nocy, kiedy siedziały w dużym salonie i rozmawiały o Michaelu. Powinny zbliżyć się do siebie, ale Meredith była równie nieprzewidywalna jak jej syn. W jednej chwili były przyjaciółkami, lecz już w następnej Meredith kradła jej rzeczy i próbowała ją zabić. Co powiedziałby Michael o swojej matce, gdyby tu teraz był? Błagam, niech się okaże, że to nieprawda, modliła się Josie do pustego wszechświata. Chciała tylko, żeby zaakceptowali ją ludzie, których szanowała, i proszę bardzo, dokąd ją to zaprowadziło.

Drzwi Lotus Room otwierały się i zamykały, Josie miała na widoku każdą wchodzącą osobę. Czekwała na Faceta w Płaskim Kapeluszu albo może na kogoś, kogo nigdy w życiu nie widziała, ale w czarnym portalu pojawiali się tylko

pracownicy okolicznych firm, urzędnicy w formalnych garniturach. Meredith w końcu się zjawiała i Josie od razu ją dostrzegła. Wysoka, smukła postać w brązowym płaszczu, wąskich spodniach z wełny w tym samym kolorze i golfie. Josie zdążyła już zapomnieć, jak piękną kobietą jest Meredith, nawet jeszcze teraz, mimo swojego wieku. Przejrzyste oczy wychwytywały światło, skóra jaśniała nienaturalnym blaskiem, zupełnie jakby Meredith była jakąś świecącą rybą. Nawet siedzący przy barze pijacy podnieśli wzrok znad szklanek, zaskoczeni widokiem kogoś takiego. Meredith postąpiła kilka kroków do przodu, zamrugła, by przyzwyczaić się do światła, zmrużyła oczy. Nie zwracała uwagi na spojrzenia mężczyzn, nie, więcej, ona po prostu ich nie widziała, nie zauważała, jakby przyglądający się jej z podziwem ludzie byli drzewami albo krzakami.

Josie nie podniosła ręki, nie pomachała, żeby jej pomóc, przyglądała się, jak matka Michaela szuka jej w tłumie. Z jakiegoś powodu sprawiało jej to wielką przyjemność. Bo kiedyż to jakiś Loewy szukał Tyrella? Czekwała spokojnie, aż Meredith ją znajdzie.

- Josie! - Meredith usiadła naprzeciwko niej, położyła torebkę na kolanach.

Rozejrzała się dookoła, jasne oczy ogarnęły spojrzeniem urzędników w tandetnych marynarkach, pulsujące światła disco, podstarzałych wielbicieli rocka, Williego Woo, który właśnie beształ kogoś przy barze, ekran telewizora z serwisem informacyjnym bez dźwięku, uśmiechniętego Ronalda Reagana, surowych ajatollahów, białą grzywę włosów prezentera Jerry'ego Dunphy'ego.

- Wiesz, przechodziłam koło tego baru z tysiąc razy, ale nigdy nie zaglądałam do środka - powiedziała Meredith. - Wyglądasz inaczej, to chyba włosy...

Josie ucieszyła się, zupełnie bezwiednie, i zaraz stłumiła uczucie przyjemności złością. Spuściła oczy, żeby Meredith nie widziała, co się z nią dzieje. Jezu Chryste...

- Gram w filmie.

- Ładna sukienka - pochwaliła Meredith. - Miałam kiedyś podobną, teraz pewnie należy do czyjejs kolekcji...

Meredith miała taką sukienkę firmy Pucci? Josie nie życzyła sobie, żeby Meredith jej pochlebiała, a jednak przez chwilę czuła radość. Było jej miło, że Meredith widzi szykowną, dobrze ubraną Josie, i czuła wściekłość, że obchodzi ją, co myśli o niej ta kobieta, kobieta, która obrabowała jej mieszkanie, która weszła do jej domu bez chwili wahania czy niepewności, jakby Josie była tylko niewielką przeszkodą, małą niedogodnością, lokatorką mieszkającą tam „na dziko”. Kobieta, która chciała widzieć ją martwą, z aprobatą przyglądała się sukience.

- Chcesz ją? - spytała Josie. - Masz przecież wszystkie inne rzeczy, które do mnie należą...

Stara kelnerka Helen Chow, drobniutka i żywiołowa, w haftowanym swetrze, z ufarbowanymi na czarno włosami ułożonymi w skomplikowaną fryzurę, rzuciła serwetkę na stół przed Meredith i wysypała pety z popielniczki do worka przy pasku.

- Co wam przynieść, dziewczyny?

- Whisky z lodem - odezwała się Meredith niskim, pełnym elegancji głosem.

- Jeszcze jedną wódkę... - Josie opróżniła szklanekę i postawiła ją na tacy, którą Helen oparła na biodrze.

Meredith przesunęła palcem po poplamionej karcie drinków.

- Jakie jest tutaj jedzenie?

- Diaboliczne - odparła Josie.

Obie patrzyły, jak Helen odchodzi, chwiejąc się lekko na bardzo wysokich obcasach. Meredith skrzyżowała ramiona na blacie stolika i utkwiała wzrok w wiszącej tuż obok latarni. Przy sąsiednim stole siedzieli faceci w koszulach z krótkimi rękawami i paskudnych szerokich krawatach, wyglądali jak inżynierowie jakiejś podrzędnej firmy. Zerkali spod oka na Meredith, ale teraz szybko odwrócili wzrok, wyraźnie przestraszeni, co mogłoby się zdarzyć, gdyby przyłapała ich spojrzenia. Meredith była jak gorgona, której oczy obracały ludzi w kamień.

- Michael też tu przychodził?

- Bardzo często.

Tak, przychodził, oczarowany tandetnym wystrojem i szafą grającą, pełną kiczowatych starych nagrań, zachwycony Williem Woo i Helen Chow. Irytowała go tylko młoda klientela lokalu, ale cóż, Michael nigdy nie czuł się swobodnie w towarzystwie ludzi swojego pokolenia. Uważał, że oceniają go, więc odrzucał ich pierwszy, a fakt, że Josie obracała się głównie wśród młodych i bardzo młodych, pogłębiał w nim tylko uczucie wyobcowania. Dlatego z czasem zaglądał do Lotus Room coraz rzadziej i pił głównie w domu, w fotelu przy oknie.

Helen przyniosła drinki. Meredith umoczyła wargi w swoim i skrzywiła się rozpaczliwie.

- To chyba nie jest whisky dobrego gatunku... Helen bez cienia zmieszania wzruszyła ramionami.

- Przynieść pani coś innego?

- Nie mówiłam, że to dobry lokal - mruknęła Josie, popijając wódkę.

- Trudno, jest, jaki jest... - powiedziała Meredith.

Siedziały w milczeniu i piły swoje słabe drinki. Rysy Meredith wydawały się ostre i nagie w świetle latarni, wyglądała jak gwiazda starych, czarno - białych filmów,

sfotografowana w piękny, dramatyczny sposób, z głębokimi cieniami na skroniach i poniżej kości policzkowych. Bezgłośnie przejechała palcem po brzegu szklanki, raz, drugi i trzeci.

- Jestem zaskoczona, że nie zauważyłaś tego faceta wcześniej - oświadczyła. - Nie jesteś szczególnie spostrzegawcza.

Położyła na stole szarą kopertę i popchnęła ją ku Josie.

Josie otworzyła mosiężny klips, zobaczyła gruby plik zdjęć oraz zapisanych na maszynie kartek i przełknęła ślinę, czując, jak jej gardło ściska się boleśnie. Jak daleko można się posunąć... Nigdy nie umiała trafnie oceniać ludzi. Wciąż była tak cholernie naiwna, taka zielona... Rozłożyła fotografie na stole, nie przejmując się wilgotnymi plamami na blacie, wręcz z nadzieją, że brud zniweczy chociaż część efektu niewątpliwie kosztownej obserwacji, jakiej została poddana. Zdziwiła ją liczba tych zdjęć. Oto ona wychodząca z mieszkania, w żółtym futerku, które na fotografii było jasnoszare. Światło poranka, chmurka jej oddechu w zimnym powietrzu. Josie za kierownicą zmiażdżonego bmw, na planie filmowym przy Topanga Road. Josie nago, idąca przed siebie drogą. Zdjęcia były ziarniste, robione z daleka, detektyw musiał siedzieć gdzieś na zboczu wzgórza, niczym snajper z karabinem. Josie nad stawem w parku Echo, ubrana w obszerną bluzę z kapturem, podobna do mnicha w habicie. Josie i Pen, pijące kawę w prowadzonym przez scjentologów hamburgerowym barze na Fountain. Czego niby miało to dowodzić? Że Josie pije czarną kawę? Że daje niskie napiwki? Nagle poczuła się jak zbity pies, jak wypatroszona ryba, trochę tak jak tamtego dnia, kiedy wróciła do domu i zastała nagie, puste ściany. Meredith uważała, że morderstwo także ujdzie jej na sucho.

A tu Jeremy, obejmuje ją ramieniem i daje jakieś wskazówki. Całuje ją... Josie z trudem odepchnęła gwałtowną chęć wytłumaczenia się z tej sceny. Jeśli Meredith pragnęła włączyć z bucioremami w jej życie, to mogła sobie zgadywać, co to znaczy. Twój chłopak, Jeremy, fałszywy Anglik. Tutaj Josie przymierza ubrania w ciuchlandzie. Zupełnie jakby cały czas obserwował ją Bóg... Nie miała pojęcia, dlaczego ludzie widzą coś pocieszającego w tym, że Bóg nie spuszcza z nich oka. Świat przypominałby wtedy gigantyczny obóz jeniecki, a Bóg byłby komendantem oddziału strażników - aniołów.

- A gdzie jest twoje zdjęcie, jak kradniesz moje rzeczy? Popatrz na to całe gównno... - pchnęła plik zdjęć w stronę Meredith. - Czy dowodzi to czegoś więcej poza tym, że jesteś suką, która chce wszystkich zawsze mieć pod kontrolą? I co, znalazłaś tu coś ciekawego? Nie wiem nawet, czego szukałaś...

- Jesteś ostatnią częścią Michaela, jaka mi została. Chciałam cię lepiej poznać.

Josie szybko przekartkowała raporty: „Obserwowana spotyka się z młodym białym mężczyzną, lat dwadzieścia parę, w delikatesach. Obserwowana na koncercie z kobietą latynoskiego pochodzenia Penelope Valadez, w Palladium, Hollywood. Obserwowana na sesji rysunku, Uniwersytet Kalifornijski, Long Beach; nauczyciel grupy - Gloria Reyes". Daty, godziny. Film bez dźwięku, film z jej własnego życia, fragmenty opowieści, którą w całości znała tylko ona. Dla Meredith była zagadką, którą należy rozwiązać, chociaż żadna obserwacja, nawet najdokładniejsza, nie mogła jej w tym pomóc. Nie jesteś szczególnie spostrzegawcza. Tyle że Meredith mogła sobie oglądać te fotografie przez cały dzień, do upojenia, a i tak nie miałyby pojęcia, na co patrzy. Fascynujące, że ktoś interesował się Josie, aż tak bardzo, tak żarliwie, i że mimo tego nie miał najmniejszych szans na

rozwikłanie zagadki. Cóż, ostatecznie wszyscy byli właśnie tacy - stali pod budką telefoniczną i starali się podsłuchać i zrozumieć rozmowę kogoś obcego.

Nie zorientowała się, że ktoś ją obserwował, i to tak długo. Głupio. Teraz czuła się trochę tak, jakby zgwałcono ją we śnie. Josie na sesji w Otisie - jak ten facet ją tam sfotografował... W sali byli tylko studenci i modelki, nikt poza tym. Na zdjęciu Josie wyglądała na boleśnie zmęczoną i wychudzoną. Widać po niej stres. Rozmawiała z Philem Baby po zajęciach, o, proszę, jeszcze jedna fotografia, stoją blisko siebie, prawie dotykając się głowami... Jezu Chryste, ten facecik z aparatem nie spuszczał jej z oka, utrwał na kliszy każdą chwilę, kiedy ktoś zbliżał się do niej. Nic dziwnego, że Michael tak chętnie przeprowadził się do parku Echo, byle dalej od badawczych spojrzeń matki. Zdjęcia Josie i Pen w Elks Club... Obie są mokre od potu, Pen śmieje się z czegoś, Josie patrzy w drugą stronę, unosi szklanekę do ust...

- Jesteś bardzo fotogeniczna. - Meredith przekrzywiła głowę, żeby lepiej widzieć zdjęcie, jej gęste ciemne włosy opadły do przodu. - Nie miałam pojęcia...

Josie mimo woli przyjęła komplement z zadowoleniem i to jeszcze bardziej ją rozzłościło.

- Dorzuc to do listy rzeczy, o których nic nie wiesz! Meredith wyjęła jedno ze zdjęć spod spodu i stuknęła w nie palcem.

- Takich jak te?

Powinna była wyczuć, że na coś się zanosi, ale nie wyczuła. Aktor Wade, wychodzący przez furtkę pod jej domem. Prawie udało jej się o tym zapomnieć, a teraz znowu miała tamten ranek przed oczami. Wpatrywała się w swoje dłonie. Michael nie żył od pięciu tygodni, a ona już pieprzyła się z jakimś aktorem... Odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy. To był błąd, upiłam się, było inaczej, niż ci się wydaje... Ale

jak mogła to wyjaśnić? Gardło ją bolało. Czekwała na następne słowa Meredith. Ty dziwko, ty niewierna zdiro... Oto był dowód, na który Meredith niewątpliwie czekała, dowód, że tak naprawdę Josie nigdy nie zależało na Michaelu, że jej miłość to fikcja, że nie była w stanie dochować mu wierności, ani po śmierci, ani za życia. Jednak gdy otworzyła oczy, Meredith patrzyła na zdjęcie ze smutkiem, bez cienia satysfakcji. Wade w jaskrawym świetle poranka. Słońce na jego rudawych włosach, na eleganckiej skórzanej kurtce.

Meredith podniosła rękę do szyi.

- Nie mogłaś znaleźć nikogo lepszego? - wyszeptała. Miała zachrypnięty głos, zupełnie jakby kompletnie zdarła gardło.

Czy Meredith uważała, że ma monopol na żalobę? Czy sądziła, że rozpacz można przeżywać, tylko siedząc w domu, grając Brahmsa i spacerując po różanym ogrodzie?

- Michael nie żyje, niezależnie od tego, co zrobimy - powiedziała.

Meredith oparła głowę o tył krzesła, utkwiała wzrok w latarni. Jej skóra miała sinawy odcień. Przeniosła spojrzenie na stół, zasypany obrazkami z dni i nocy Josie, portretami jej przyjaciół i znajomych. Josie en face i z profilu, ubrana i naga, z tym mężczyzną i z tamtym.

- Co chciałam odkryć? Czego się dowiedzieć? - Meredith wzięła do ręki zdjęcie Josie w Elks Club. - Może wydawało mi się, że coś ukrywasz, ale o co właściwie mi chodziło?

Josie ogarnęła nagle fala wielkiego smutku. Nie chciała patrzeć na Meredith bezradną i tak wyraźnie zagubioną. Widok takiej Meredith przerażał ją bardziej niż Meredith silnej i w pełni opanowanej. Bo jeżeli Meredith kompletnie się pogubiła, to jak miała czuć się ona...

- Mogłaś po prostu zadzwonić...

- Nigdy nie podnosisz słuchawki.

Josie pomyślała o dzwoniących telefonach, o całym mieście dzwoniących telefonów, których nikt nie odbiera. Cały wszechświat ludzi, którzy czegoś potrzebują i szukają, i którym nikt nie przychodzi z pomocą...

- Myślę o śmierci - powiedziała Meredith, nie odrywając wzroku od swojej szklanki. - Ciągłe o tym myślę. Nie mogę znaleźć żadnego powodu, żeby dalej żyć...

- Znam to uczucie.

Inżynierowie przy stoliku obok wybuchnęli śmiechem, jeden rżał jak osioł, na wysokiej nucie, idiotycznie. Dziwne, że ludzie nadal potrafią się tak wesoło śmiać, pomyślała Josie. Czowała się jak Marsjanka wśród tych ludzi, którzy żyli normalnym życiem, pękali ze śmiechu razem z kolegami z pracy, wstępowali z nimi na drinka przed powrotem do rodzin albo pustych mieszkań, do swoich kotów i telewizorów. Tymczasem ona miała tylko Meredith, ta kobieta była jedyną osobą, która w pełni rozumiała, do jakiego stopnia pusty może być dom.

- Masz muzykę, to jednak coś - dodała. Meredith westchnęła.

- Byłam w twoim wieku, kiedy zabił się mój ojciec. Nie wiem, czy Michael ci o tym mówił...

- Trochę mi opowiadał.

Meredith ciaśniej otuliła się narzuconym na ramiona płaszczem. Tylko one dwie czuły chłód, wszystkim innym było za ciepło.

- Tuż przed śmiercią ojca pracowałam z Rudolfem Serkinem u Curtisa. - Meredith oparła łokcie na fotografiach. - Serkin to wybitny pianista, jeden z trzech największych tego pokolenia. Było to dla mnie okropnie ważne. Tak czy inaczej, Serkin miał grać z Orkiestrą Filadelfijską Drugi Koncert Brahmsa w Carnegie Hall w Nowym Jorku. I rozchorował się, nie pamiętam już nawet na co, ale polecił mnie Ormandy'emu

jako pianistkę, która może go zastąpić. Miałam dwadzieścia jeden lat i z jednodniowym wyprzedzeniem dowiedziałam się, że mam grać Brahmsa w Carnegie Hall... Drugi Koncert, monstrualnie trudny utwór, ogromna odpowiedzialność...

Wszystkie te nazwiska unoszące się jak boje w morzu rzeczy, o których Josie nie miała zielonego pojęcia. Serkin, Curtis, Ormandy... Tak czy inaczej, rozumiała, że Meredith była mniej więcej w jej wieku, kiedy nagle spadł na nią występ w Carnegie Hall. Musiało to być dla niej ogromne przeżycie.

- Wszystko potoczyło się jak w starym filmie, w którym gwiazda skręca sobie nogę w kostce i jej rolę dostaje młoda dziewczyna. Wielka szansa. Byłam tak zdenerwowana, że tuż przed rozpoczęciem koncertu zwymiotowałam, ale potem wyszłam na scenę i coś przejęło nade mną kontrolę. Czułam się tak, jakbym uniosła się wysoko w powietrze na szeroko rozłożonych skrzydłach. Arnold Schonberg nazwał mnie boginią. Następnego dnia Hurok podpisał ze mną kontrakt i w ciągu tygodnia zorganizował mi tournée. Wszystko działało się tak szybko, błyskawicznie, zupełnie jakby ktoś wsadził mnie do rakiety i wystrzelił w przestrzeń... Nagle zaczęło się spełniać wszystko, na co ciężko pracowałam od czwartego roku życia... Oddychałam pełną piersią, nie czułam siły ciężenia, fruwałam...

Josie wyobraziła sobie tamtą niezwykłą chwilę. Meredith wyszła na scenę, wyprostowana, pełna uroku, z ciemnymi włosami i jasną cerą, może w zielonej sukni, i usiadła przy olbrzymim czarnym fortepianie. Jak treserka lwów... I nagle odniosła wielki sukces, na oczach wszystkich. Pokazała, co w sobie nosi i rzuciła świat na kolana. Jakiej odwagi trzeba, by niemal bez uprzedzenia zagrać w jednej z największych sal koncertowych świata... Josie nigdy nie potrafiłaby się tak

zachować, nigdy. Osiągnąć sukces, od którego człowiekowi może zakręcić się w głowie...

Niespodziewanie rozpromieniona twarz Meredith pociemniała. Kobieta wypła resztę drinka, potrząsnęła lodem, utkwiała smutne spojrzenie w pustej szklance.

- Mój ojciec zastrzelił się miesiąc później.

Josie czuła ból Meredith, nawet teraz, po tylu latach. Fala rozpacz podpełzła do niej przez ciemny stół i błyszczące zdjęcia.

- Nie wiedział o twoim sukcesie?

Meredith roześmiała się gorzko, zamieszała topniejące kostki lodu długim, gładkim palcem.

- Jasne, że wiedział! Nie zczekał nawet na mój powrót z tournée...

Jej wargi wykrzywiły się w tym samym sardonicznym uśmiechu, jaki pojawiał się na twarzy Michaela, gdy wpadał w niebezpieczny nastrój.

- Zawsze musiał być gwiazdą. Chciał mieć pewność, że nie będę mogła cieszyć się swoim zwycięstwem, że wszystko i tak będzie kręcić się wokół niego...

Po policzku Meredith spłynęła łza, tylko jedna, zostawiając po sobie lśniąca smużkę wilgoci, niebieskawą w świetle latarni.

Josie chciała coś powiedzieć, ale jak można pocieszyć kogoś, czyj ojciec tak postąpił... Czasami rzeczy, które się dzieją, są zbyt ciężkie i masywne, aby je poruszyć, wydają się podobne do wielkiej szafy albo potężnej czarnej skrzyni, których nogi z biegiem lat dosłownie wbiły się w podłogę.

Meredith podparła czoło dłonią i spojrzała na Josie, nie próbując ukrywać twarzy. Jej rzęsy były mokre, nos czerwony. Wzięła serwetkę i wydmuchała nos.

- Nie byłam w stanie wrócić do Los Angeles, nie mogłam tego znieść - podjęła miękko, zachrypniętym głosem. - Nie

pojechałam na pogrzeb, pozwoliłam, żeby pochowali go jego przyjaciele, ci starszacy, których widziałas. I poprosiłam, żeby zamknęli dom. Potem wyruszyłam w trasę, zatrzymywałam się w hotelach albo u znajomych, stałam się wiecznym gościem. Grałam z von Karajanem, ze wszystkimi wielkimi orkiestrami, ale nie mogłam być sama w pokoju, po prostu nie mogłam...

Nie pojechała na pogrzeb ojca.

- Oczywiście miałam różnych mężczyzn. - Meredith dała znak Helen Chow, nie wykonała wyraźnego gestu jak inni ludzie, uniosła tylko jeden palec i wskazała swoją pustą szklanke.

I Helen skinęła głową. Najwyraźniej kod działał nawet tutaj, w takiej marnej knajpie jak Lotus Room.

- Z mężczyznami sprawa jest prosta. Chyba nie powinnam robić ci wyrzutów z tego powodu, naprawdę... Wiem, jak to jest, kiedy jesteś sama i bierzesz sobie kogoś tylko dlatego, że możesz to zrobić... - Odwróciła zdjęcie Wade'a spodem do góry, tak że widać było tylko pieczętkę „Biuro Detektywistyczne Freda Baumana” i adres w Culver City. - Tylko dlatego, że w środku masz wielką pustkę...

Josie nie chciała myśleć o Meredith w ramionach obcych mężczyzn, o jej starzejącym się ciele, nagim i kruchym w łóżku, w objęciach kochanka bez twarzy.

Helen przyniosła drinka dla Meredith, a ta upiła duży łyk, otarła usta wierzchem dłoni.

- Dopiero kiedy zakochałam się w Calu, zaczęłam myśleć, że może jednak uda się żyć bez tego bólu... Przyszło mi do głowy, że może już spłaciłam dług, odpokutowałam...

- Co odpokutowałaś? - spytała Josie. - Przecież go nie zabiłaś...

- Oczywiście, że go zabiłam, przynajmniej w mitologicznym sensie... Przyćmiłam jego blask, zaświeciłam

własnym, więc musiałam ponieść karę. Ale pewnego dnia zjawił się Cal i pomyślałam, że może to już koniec, już po wszystkim. Może odbyłam karę, mam jeszcze szansę na szczęście. - Narysowała na mokrym blacie pięciolinie i klucz wiolinowy. - Wróciliśmy do Los Angeles, otworzyłam dom, urodził się Michael... Przez chwilę wydawało mi się, że klątwa została zdjęta... - szybko nakreśliła kilka nut. - Później Cal mnie porzucił i już wiedziałam, że aż do dnia śmierci czeka mnie wyłącznie jedna katastrofa za drugą...

Michael powiedział Josie, że to Meredith odeszła od Cala. Nie wiedziała, komu wierzyć, jak odgadnąć prawdę. Wolała wierzyć Michaelowi, ale w końcu to wszystko działo się w życiu Meredith, prawda? To była jej historia, jej prawda, część mapy jej wewnętrznego krajobrazu. Zresztą właściwie i tak nie miało to znaczenia, bo kto potrafi określić, gdzie zaczyna się rozdzwięk między dwojgiem kochanków...

- Jednak zawsze miałam Michaela, w każdym razie do czasu, gdy poznał ciebie.

Jednym ruchem ręki starła pięciolinie, klucz i nuty.

Fakt, że mnie poznał, i tak niczego nie mógł zmienić, pomyślała Josie. Meredith była jak rak rozrastający się wewnątrz Michaela, ogarniający wszystkie organy jego ciała, jeden po drugim. I nie było na to żadnego sposobu leczenia, żadnej chemii, żadnych naświetlań.

Josie myślała o życiu Meredith, o połączeniu wielkiego majątku i ogromnego talentu, i o przecinającej to wszystko czarnej nici tragedii. Czy warto mieć wszystko i tak bardzo cierpieć? Natychmiast przypomniawszy sobie, że przecież biedni ludzie też przeżywają tragedie, chociaż nie grają koncertów w Carnegie Hall, nie podróżują po świecie ze swoją malowniczą rozpaczą i nie mają wyjątkowych zdolności, tych wielkich darów. Ból codziennie dopada ich w przyczepach i ubogich, zaniedbanych mieszkaniach, w slumsach. Dlaczego dramaty

nic nieznaczących ludzi są mniej ważne od przeżyć Meredith i Michaela? Co takiego kryje się w sławie, bogactwie i talencie, że tragedie tych ludzi wydają się o wiele bardziej tragiczne i barwne niż innych?

- Zastanawiam się nad sprzedażą domu - ciągnęła Meredith. - Mogłabym wynieść się stąd raz na zawsze, kupić mieszkanie w Nowym Jorku albo wrócić do Paryża...

Chciałaby sprzedać dom? Josie poczuła, że ogarnia ją przerażenie. Ten dom stanowił część Michaela. Jej popołudnie w basenie, łóżko z jedwabną pościelą, gdzie kochali się pierwszy raz. Sławni ludzie, którzy w tym domu bywali, Strawiński i Hedy Lamarr. Jego zapach, szczególna barwa światła we wnętrzu. Piękno, historia. Nie, Meredith nie mogła sprzedać domu! Josie kochała go, podobało jej się w nim dosłownie wszystko, nawet ta aura pleśni i tragedii. Gdyby Meredith pozbyła się domu, nie byłoby już Los Feliz, zostałyby tylko park Echo, pralnia i Lotus Room.

- To żadne rozwiązanie - odezwała się. - Co się stało, to się nie odstanie, ale dom...

- Dom jest przekleństwem. Pomyśl, jakie to dla mnie bolesne... Dorastałam tam, nie masz pojęcia, jak cudownie się czułam, mój ojciec znał najbardziej twórczych, zachwycających ludzi... Sposób, w jaki żyliśmy... A potem tam umarł i teraz mam już tylko wspomnienia...

- Ale jak mogłabyś go sprzedać?

- Do tej pory jakoś nie zrobiłam nic w tym kierunku, prawda? - Meredith spojrzała na Williego Woo, który wrzeszczał na jednego z pijaków przy barze, karcąc go w szorstkim, szczekliwym chińskim. - Czasami w nocy myślę, że powinnam podpalić ten dom, bo nie ma innego wyjścia. I najlepiej zamknąć się w środku, przynajmniej wszystko by się skończyło, raz na zawsze. Niestety, jestem zbyt wielkim

tchórzem. Gdybym miała więcej odwagi, zrobiłabym to już dawno.

W sali zaczęło się robić pusto. Pora koktajli dobiegła końca, pracownicy biurowi zmierzali do domów i tylko stali goście nadal siedzieli przy barze, popijając tanie drinki i oglądając wieczorne seriale telewizyjne.

Nagle Meredith zakrztusiła się łzami i zamknęła oczy. Leżące na jej policzkach rzęsy tworzyły takie same wachlarzyki jak rzęsy Michaela.

- Jesteśmy przekłeci, nad każdym z nas wisi klątwa, do cholery...

Josie objęła Meredith, usiłując dodać jej odwagi. Oparła czoło o ciemne loki matki Michaela. Aromat kadzidlanych perfum łączył się z zapachem domu w Los Feliz, zapachem Michaela, mieszanką cedru i naftaliny. Josie wiedziała, że powinna uciekać stąd jak najszybciej, ale nie mogła nasycić się tym zapachem, nacieszyć się nim, podobnie jak niskim mrużando tego wytwornego głosu, którego właścicielka pozwoliła jej zbliżyć się do siebie aż tak bardzo.

- Moja rodzina też jest przeklęta - przyznała.

Nie wiedziała, kto jest bardziej przeklęty, mali, zwyczajni ludzie czy ci wielcy. Co jest gorsze - mieć ojca kompozytora, który popełnia samobójstwo zaraz po twoim debiucie w Carnegie Hall, sławnego męża pisarza, który cię opuszcza, błyskotliwego syna, który także wybiera śmierć, czy dorastać w pustce, z niczym, nie mieć nic, być niczym, a wreszcie stracić jedyne dobro, jakie ci się przytrafiło...

Meredith wsunęła rękę w jej dłoń. Skórę miała tak samo zimną jak Josie i wilgotną od szklanki, dłoń dużą, lecz delikatną, taką jak jego dłoń. Josie drgnęła, przerażona i wstrząśnięta. Czowała się tak, jakby znowu trzymała rękę Michaela.

- Josie, nie zgodziłabyś się zamieszkać u mnie chociaż na parę dni? Zastanów się, dobrze? Jestem tam tak samotna, czasami wydaje mi się, że zaraz oszaleję...

Josie przycisnęła głowę do czaszki Meredith. Dwie twarde głowy, twarde jak kamienie. Wiedziała, że z jakiegoś powodu nie powinna zgadzać się na propozycję Meredith, ale nie mogła sobie uświadomić dlaczego.

25. Los Feliz

Ponad kołyszącymi się dębami i zardzewiałymi żaluzjami w starym pokoju Michaela pokazał się księżyc w pełni, rzucając cienie na milczące ściany. To tutaj Michael malował, w każdym razie tak to sobie wyobrażała. Blask księżycyca oblewał stary fortepian i złocił Madonnę, wydobywał z mroku stos płyt i obrazów oraz książki, które zajmowały tylko część tej przestrzeni co dawniej. Umierając, zabrał ze sobą całe światy. Zabrał więcej, niż Josie kiedykolwiek pozna, choćby nawet żyła jeszcze siedem razy. Każdy człowiek zabija to, co kocha, a Michael zabił to, co kłębiło się w jego głowie.

Przewróciła się na bok na wąskim łóżku. Poduszka pachniała Michaeliem i Josie wiedziała, że ten zapach już nigdy nie pojawi się nigdzie na świecie. Ranił ją, wypełniał i znowu ranił. Łzy spłynęły jej po nosie i wsiąkły w okryty cienkim płótnem gęsi puch. Ile jeszcze razy złowi jego zapach w swoich włosach, na swoim ciele, wkładając sukienkę albo ją zdejmując, i będzie musiała przerwać wykonywaną czynność, zaskoczona dziwną mocą tego aromatu. Pościel w tym pokoju nie była zmieniana przez cały czas nieobecności Michaela i wydawała się leciutko wilgotna i nieświeża, ale przesycona jego zapachem.

Mimo koców ze sfilcowanej wełny, dresu, golfu i białego rozpinanego swetra, znalezionego w biurku (takie swetry noszą tenisiści - nie jestem szczególnie usportowiony...), wciąż dygotała spazmatycznie. Można by pomyśleć, że ludzie tak bogaci jak Loewy będą mieli porządne ogrzewanie, lecz w tym pokoju panował nieprzyjemny chłód. Może uważali, że na piętrze ogrzewanie jest niepotrzebne, skoro są tam tylko sypialnie, kto wie... Ostatecznie Kalifornia to nie Wiedeń.

Kręciło jej się w głowie ze zmęczenia, ale sen był jak kochanek, który nie pozwala się dotknąć, bo chce całą noc malować ohydne obrazy i wpatrywać się w dzieła Boscha. Jak

kochanek, który trzyma się na dystans i cofa, gdy widzi, że ona pragnie podejść bliżej. Zanim się położyła, łyknęła jedną z uspokajających pastylek od Reda, ale do tej pory nie czuła ciepłej fali senności, muśnięcia tej przyjemnej puchowej nicości. Leżała bez ruchu, słuchając, jak jej zimne serce, lepkie od smoły rozpaczy i przeżarte rdzą smutku, wybija szybki rytm.

Naprzeciwno łóżka widziała całe stosy obrazów i rysunków, opartych jedne o drugie niczym karty, z których ktoś wzniósł dziwaczną budowlę. Chiński mostek z palmowym gajem i ślepe Meredith, wspinające się po białych schodach. Mała Żanna w czarnych pończochach, obraz, który Michael dał na wystawę w Galerii Barnsdall. Ten wyraz czystej, spokojnej ufności. Taka delikatność, bez śladu twardego zdecydowania Eleny i lisiego sprytu Tyrellów... Nie potrafiła już sobie nawet przypomnieć, jak się wtedy czuła. Nie pamiętała, podobnie jak Michael. Kochaliśmy się kiedyś, prawda? Obecna na obrazie miłość zniknęła, przestała istnieć, jak stracona na wojnie ręka, po której zostaje tylko uczucie braku, nieobecności. Jej twarz, twarz pełna wiary, że to wszystko będzie trwało i trwało, i nigdy się nie skończy...

Leżała pod ciężkimi starymi kocami, pachnącymi kurzem i piżmem, trzęsła się i usiłowała sobie przypomnieć miłość z tamtego okresu, kiedy w ich życiu panowało światło, pocałunki i muzyka, kiedy pokonywali przestrzeń i czas jednym wersem poezji, tamtą noc, gdy puścił płytę Louisa Armstronga i nauczył ją tańczyć charlestona. Jak dobrze tańczył, lekko i naturalnie, bez cienia sztuczności. Powiedział jej, że na lekcjach tańca nauczył się tylko rozmawiać z nudnymi dziewczętami, ale to była po prostu jeszcze jedna historia, jeszcze jeden autoportret namalowany do jej kolekcji.

I jak leżeli wyciągnięci na niebieskiej kanapie, w swoim własnym przedziale kolei transsyberyjskiej, mijając kopuły

Moskwy, gładkie jak migdały... Potok słów, tworzących świat, w którym mogli podróżować. Błażej i Żanna uchylają drzwi, wrzucają swoją jedyną walizkę na półkę, od domu dzieli ich siedem dni podróży, a Kreml był jak ogromne tatarskie ciastko... Teraz wszystko to stało się wodnistym cieniem, światem leżącym na dnie morza.

A jednak tamte dni istniały naprawdę, były rzeczywistością. Kochaliśmy się kiedyś... To ona miała pamiętać, takie zadanie przypadło jej w udziale. A wyraz twarzy małej Żanny? Tak, to był dowód. Obrazy oparte o stary fortepian, leżące na komodzie. Dama poety, uwielbiana za rysunek warg i linię kręgosłupa. Zaczytana w śniadaniowym kąciku, otulona słońcem jak szalem. Jeden moment wyrwany z czasu, uwieczony na kawałku płótna w postaci, która nigdy nie ulegnie zmianie, chociaż malarz już nie żyje, a jego muza próbuje pozbierać kawałki potrzaskanego życia i złożyć z nich jakąś całość. Przewracała się w pościeli, która owinęła się wokół niej niczym pajęczna sieć z sennego koszmaru. Pamiętała, że była w tej wypełnionej słońcem kuchni, ale nie mogła sobie przypomnieć, co wtedy czuła.

Ten rodzaj czułości nie może długo istnieć. Nic tak pięknego nie może trwać. Nie może. Każdemu dane jest jedynie posmakować, dowiedzieć się, czym jest doskonałość, a potem płacić za to przez resztę życia. Tak jak ten przykuty do skały facet, który ukradł ogień. Bogowie posłali orła, żeby przez całą wieczność szarpał jego wątrobę. Płacimy za każdą sekundę piękna, jaką uda nam się ukraść.

Przewracała się w nagrzewających się, szorstkich prześcieradłach, próbując znaleźć miejsce, gdzie jej serce nie będzie skręcać się z bólu jak mokre skarpetki w wyżymarce. Na szczęście dla niej Meredith nie podjęła próby uporządkowania łupów wywiezionych z domku przy Lemoyne. Pokój kalekiego chłopca był nie tyle świątynią, co

raczej magazynem, gdzie matka wrzuciła wszystkie fragmenty życia syna i zamknęła drzwi. Josie pękało serce, kiedy patrzyła na ten w pośpiechu złożony depozyt, ale zdawała sobie sprawę, że tak jest lepiej. Gdyby Meredith ułożyła malowane przez Michaela obrazy w porządku chronologicznym, poznałaby zmiany, jakie zachodziły w związku jej syna z dziewczyną, dużo dokładniej, niż Josie mogłaby sobie tego życzyć - wiedziałyby, jak mała Żanna, muza poety, powoli zmieniała się w dziewczynę o sinawej skórze, istotę o kubistycznym wzgórku Wenery i czerwonej, rozciętej jak nożem pochwie.

Przewróciła się na drugi bok, szukając wygodniejszej pozycji dla obolałego, rozpalonego ciała. Od tamtego dnia w kostnicy nie przespała spokojnie nawet jednej nocy i mięśnie bolały ją tak dotkliwie, jakby ktoś ją zbił. Tak musieli czuć się starzy ludzie. Starość nie polega na tym, że ciało się rozpada, ponieważ tak długo żyje, lecz na tym, że człowiek jest tak wyczerpany i zbity przez życie, iż w końcu z radością zamyka oczy, aby już nigdy więcej ich nie otworzyć.

Zadrżała, modląc się gorąco, aby ciepła fala uspokajającego seconalu w końcu ją zagarnęła. Przyszło jej do głowy, że może Red nie wiedział, dla kogo przeznaczone są pigułki, i dał Nickowi jakieś stare śmieci sprzed paru lat. Zamknęła oczy, usiłując przywołać sen w pachnącej ciemności tak samo, jak jeszcze niedawno próbowała wydobywać Michaela z jego czarnych nastrojów. Wtedy jej zabiegi okazywały się dość nieskuteczne, i teraz także. Jej powieki ciągle unosiły się niczym żaluzje z zepsutą zapadką. Otwierały się i musiała patrzeć na ten okropny autoportret, który Michael namalował jesienią. Mroczny mnich albo święty, odziany w rdzawoczarny habit, z oszalałymi, przesadnie dużymi jasnymi oczami w ciemnej twarzy, oczami, których oskarżycielskie spojrzenie podążało za człowiekiem

wszędzie, po całym pokoju. To spojrzenie oskarżało, obwiniało Josie o wszystko, wyrażało nienawiść. Myślała, że święci są miłosierni i wybaczący, że można zwrócić się do nich o ratunek w środku nocy, lecz Michael ukrył w tym morderczym świętym całą swoją furie.

Jak bardzo zmienił się jego styl malowania od chwili, gdy go poznała... Na lepsze? Możliwe, widziała przecież, jak tematyka obrazów Michaela przechodzi od małej Żanny i Błażeja do Meredith i przerażających mnichów, ale w ostatnich płótnach w miejsce miłości i czułości pojawiły się grube warstwy niesmaku, pogardy, wściekłości i nienawiści do samego siebie. Teraz nie będzie już nowych obrazów, nie ma szans na odkupienie, został tylko stos płócien w pokoju, do którego jego własna matka nie była w stanie wejść. Meredith zaproponowała Josie pokój gościnny, ale ona chciała być z Michaeliem, wśród jego rzeczy, jego zapachów, pragnęła czuć jego obecność, chociaż wszędzie dokoła była tylko śmierć.

Meredith powiedziała, że ma ochotę podpalić dom. Może teraz, właśnie w tej chwili, chodzi po pokojach i podkłada wszędzie kule z pogniecionych gazet, kto wie... Teraz, kiedy w domu była Josie, wszystkie sprawy wydawały się zakończone i mogła zająć się urządzeniem kremacji, której chciał Michael. Josie zmierzyła wzrokiem dębowe drzwi z grubymi poprzecznymi panelami i wyobraziła sobie, że są zamknięte od zewnątrz, a Meredith oblewa je benzyną, szepcząc ostatnią wykoślawioną modlitwę. A niby dlaczego nie? Skoro Michael nie żył, jaką różnicę mogła robić śmierć Josie? Nie musiałyby przynajmniej przechodzić przez całą tę masę pracy, sprzątanania, robienia zakupów i płacenia rachunków... Kto powiedział, że musi nadal żyć? Po co jej karta biblioteczna, rachunek za gaz, notes z umówionymi spotkaniami?

Jej oczy podążyły za księżycowym cieniem gałęzi dębu, rozciągającym się na ścianie, szerokim jak pień krzepkiego drzewa, ułożonym prawie równolegle do podłogi. Gałąź, która dosłownie prosiła się o pętlę z grubego, solidnego sznura... Dlaczego Michaelowi nie przyszło to do głowy, dlaczego musiał jechać aż do Twentynine Palms, kiedy mógł powiesić się tutaj. Mógł też poderżnąć sobie gardło brzytwą, której codziennie używał. I może właśnie o tym myślał codziennie rano, kiedy ostrożnie golił szyję. Dotykał brzytwy, trzymał ją w ręku, przyzwyczajając się do myśli o takiej śmierci, ale ostatecznie okazało się, że zadowolić go może tylko strzał prosto w głowę.

Och, Josie dużo wiedziała o wściekłości, bardzo dużo, nie miała jednak pojęcia, że wściekłość może rozrastać się wewnątrz człowieka, że może miażdżyć rzeczy, których nawet nie widzimy. Potem nosimy w sobie te potrzaskane fragmenty, które w pewnej chwili, czasami dopiero po wielu latach, wydobywają się przez skórę na zewnątrz, tak jak zdarzyło się to Dennyemu, przyjacielowi ojca Josie. Denny wszedł na minę w Wietnamie i kawałki szrapnela wyłaziły mu przez skórę przez całe lata. Kiedy sobie podpił, pokazywał sąsiadom czarne punkty pod pozbawioną włosów, błyszczącą od blizn skórą. Czy Michael właśnie tak czuł się przez cały ten czas, gdy byli razem? I jak ona będzie się czuła przez resztę życia, drżąc ze strachu, że kolejne kawałki tragedii lada chwila przebiją się na zewnątrz, rozcinając jej ciało od środka?

Cała była obolała, jakby przeżyła wypadek samochodowy. Bolały ją pachy, gardło, lędźwie, wszystkie stawy. Wstrząsały nią dreszcze, ale była wdzięczna losowi za ciszę i spokój. Żadnych dźwięków, nie docierał tu nawet szelest liści czy szum opon przejeżdżających samochodów. Tkwiła w kokonie nocy. W parku Echo hałas i zgiełk nigdy nie ustawały, zawsze słychać było helikoptery, wściekłe ujadanie psów, odgłosy

komentarzy z telewizyjnych transmisji meczów piłki nożnej z Ekwadoru czy Brazylii, wystrzały z broni palnej. Pamiętała, jak pieprzeni gliniarze w helikopterze schwycili ją w krąg światła z reflektora - była wtedy w bieliźnie, tuż pod domem, a oni krążyli nad nią, najwyraźniej zachwyceni nową rozrywką. Tutaj ciemność otulała dom jak futro z norek, w ogóle Los Feliz przypominało bogatą kobietę w żałobnym stroju, ciemnym, miękkim i eleganckim.

Powinien był zabrać ją ze sobą. Zabić ją pierwszą. Dlaczego zostawił samą? Nade wszystko pragnęła przecież być z nim, należeć do niego do końca świata. Nie powinien się dziwić, że znalazła drogę do domu w Los Feliz, do miejsca, gdzie rozpoczął życie. Chciała, żeby jej ubrania wisiały w szafie obok jego ubrań, jak zawsze. Jej rzeczy tęskniły za jego rzeczami. Podobało jej się, że to łóżko jest takie wąskie, jak kuszетка w pociągu, który podskakuje na szynach. Powiedz, Błażejku, jesteśmy bardzo daleko od Montmartre'u? Jego ramię obejmujące ją w pasie, jego wargi tuż przy uchu. Daleko, Żanno. Nie ma już nic, został tylko popiół...

Wreszcie poczuła, jak w jej żyłach rozpełza się ciepła fala seconalu. Sen nadleciał jak motyl, niewiarygodnie błękitny, roztańczony w pełnym księżycowego blasku pokoju i rozluźnił szpony świata, oderwał je od wyczerpanego ciała Josie, pozwolił odpłynąć. Czowała się tak, jakby była pogrzebana, jakby ziemia zamknęła się wokół niej, ciężka i miękka, przesycona cudowną ciszą. I otuliła się domem, grubością ścian, masywnych jak mury twierdzy, gąbczastych jak wnętrze potężnego drzewa korkowego. Czy nie tego pragnęła? Tak, przecież właśnie dlatego tu przyszła...

Śnił jej się piękny pociąg z zasłonkami w kwiatki w oknach, z kołyszącymi się małymi mosiężnymi latarniami. Podróżowali koleją transsyberyjską i Josie nie mogła uwierzyć, że jednak wyruszyli, że jednak im się udało.

Michael siedział obok niej. Żywy. Zajęty rozmową z innymi pasażerami, kiedy ona z całego serca pragnęła pozbyć się ich wszystkich i mieć go tylko dla siebie.

Wjechali na stację i Michael postanowił kupić wino i coś do jedzenia, ponieważ czekała ich bardzo długa podróż. Nie chciała, żeby wysiadał. Chciała się z nim kochać, ale on nie słuchał. Pocałował ją i wysiadł. Na zewnątrz dookoła pociągu zebrały się tłumy, ludzie błagali, żeby pozwolono im wsiąść, pojawili się żołnierze, a Michael nie wracał. Ludzie próbowali chwycić się uchylonych okien i dostać się do środka, lecz żołnierze bili ich kolbami karabinów i pistoletów. Dlaczego wysiadł właśnie tutaj, w miejscu, gdzie toczyła się wojna czy może raczej rewolucja... Josie opuściła szybę, żeby poszukać go wzrokiem na peronie, i jakiś zagłodzony człowiek zaczął wczołgiwać się do wagonu, czuła dotyk jego rąk, skóry, widziała oszalałe oczy i przytrzasnęła mu ramiona i szyję, żeby tylko puścił framugę okna, trzaskała raz po raz, wreszcie pociąg ruszył, powoli, powoli, szybciej, coraz szybciej. Odjeżdżali. Otworzyła okno i zaczęła krzyczeć, wołała Michaela, ale pociąg przyśpieszał, zostawiał za sobą miasto i Michaela.

Ktoś potrząsnął jej ramieniem.

- Boże, dlaczego tak krzyczysz?!

Meredith. Promienie księżycy na rozpuszczonych, wzburzonych ciemnych włosach, na pikowanym szlafroku w kolorze akwamaryny. Potok światła, kiedy zapaliła lampę. Palce Meredith na twarzy Josie, zupełnie jakby była ślepa i mogła rozpoznać ją tylko dotykiem.

- Masz gorączkę...

Rozłożyła jeszcze jeden koc, kiedy Josie było tak potwornie gorąco.

- Trzeba było umieścić cię w innym pokoju, wiedziałam... Dlaczego kaloryfery są tu wyłączone? Sophio!

Szalony mnich wpatrywał się w nią wściekłym wzrokiem. Jak mogłaś zostawić go na stacji?

Ale przecież ona nie chciała, żeby wysiadał, naprawdę nie chciała, nie tam, gdzie szalała wojna, mówiła mu, żeby tego nie robił...

- Mówiłam mu, żeby tego nie robił... Mówiłam mu...

A jednak pozwoliła mu wysiąść... Powinna była go powstrzymać, wszystko jedno jak...

- Co mu mówiłaś, Josie?

Umierający ludzie, którzy próbowali dostać się do wagonu przez okna i błagali, żeby ich ratowała... Ale ona nie mogła i zatrzasnęła okno, a Michael...

- Byliśmy w pociągu, prosiłam, żeby nie wysiadał...

Ciemne włosy Meredith rozpostarte jak płaszcz wokół twarzy w kształcie ciętego diamentu, bladej i nierzeczywistej, twarzy kobiety wspinającej się po białych schodach.

- Wiem, że prosiłaś - powiedziała.

Jej dłonie, pachnące kadzidlanyimi perfumami, chłodziły rozpalone czoło Josie.

- Na pewno go prosiłaś, wiem... Przeniesiemy cię do gościnnego pokoju, tutaj nie będzie ci dobrze...

- Nie, chcę zostać tutaj... - Josie chwyciła rękę Meredith. - Proszę...

Odwróciła głowę na bok, wtuliła policzek w poduszkę, która pachniała Michaelem. Wiedziała, że zasypiając tutaj, zwija się w kłębek wewnątrz jego umysłu. Była pewna, że zdoła usłyszeć szmer jego mózgu, bicie serca. Wszystko mogło się udać, tylko dlaczego nie zatrzymała go w pociągu...

- Josie, posłuchaj mnie...

- Nie... - gardło potwornie ją bolało. - Przepraszam, że krzyczałam... Miałam zły sen. Nie będę sprawiać żadnych kłopotów...

Chłodna dłoń Meredith na jej policzku.

- Leż spokojnie, dobrze?

- Proszę...

Odrzuciła przykrycie, próbowała się podnieść, ale ciało miała potwornie ciężkie i słabe jak woda. Meredith zrobiła coś z kocami, podwinęła brzeg poszwy, wyrównała płótno. Taki dobry, serdeczny gest. Coś takiego robi matka...

- Proszę...

Pokojówka wyłoniła się z mroku niczym duch, ubrana w kraciasty szlafrok, z włosami zwisającymi wokół twarzy, luźno opadającymi na ramiona. Josie zdziwiła się, że Sofia ma takie długie włosy.

- Potrzebna nam będzie aspiryna - powiedziała Meredith.

- I termometr. I coś do picia, woda, nie, lepiej herbata... I myjka. Ma okropnie spękane wargi...

Meredith, lśniaca w jedwabnym szlafroku, przysunęła krzesło do łóżka. Hiszpanka mocno zacisnęła usta, jej nozdrza zafalowały. Josie miała ważenie, że wręcz namacalnie czuje jej pogardę, oburzenie, że musi usługiwać komuś takiemu jak ona.

Meredith usiadła na krześle i położyła chłodną rękę na czole Josie, oblewając ją aromatem kadzidła i cedru.

- Kiedy byłam mała i chorowałam, moja matka zawsze kładła mi rękę na czole, właśnie tak, i śpiewała mi piosenkę...

Duża dłoń Meredith. Zachrypnięty głos.

- „Och, jaki piękny poranek...”.

Potwornie fałszowała. Smutne, że kobieta z duszą pełną najpiękniejszej muzyki nie umie śpiewać... W rodzinie Josie wszyscy dobrze śpiewali.

- „Spójrz, łąka skąpana jest w złocistych promieniach...”

Josie przemknęło przez głowę, czy też Meredith kiedykolwiek widziała łąkę skąpaną w złocistych promieniach porannego słońca. Wiosną, kiedy migdałowe drzewka zaczynają kwitnąć i nowe listki pojawiają się na pędach

winorośli, podwiązanych do góry jak Chrystus za przeguby dłoni. Obnażona nocna twarz Meredith, głębokie powieki lśniące w świetle lampy, głos załamujący się jak u gimnazjalisty. Josie chętnie powiedziałaaby jej, że to trudna piosenka, że trzeba mieć odpowiednio dużą skalę głosu i zdolność utrzymania tonacji, a Meredith nie posiadała żadnej z tych umiejętności.

Sophia przyniosła herbatę. Myjkę. Aspirynę, drapiącą w gardle i cierpką. Obie kobiety podparły Josie poduszkami, przytknęły filiżankę do jej warg. Płyn okazał się za gorący i rozlał się. Meredith nabrała herbaty na łyżeczkę i zaczęła dmuchać. Wydeła wargi, a były to jego wargi... Rozchyłała je, pojąc Josie i podsuwając dłoń pod podbródek dziewczyny. Oddech Meredith pachniał szkocką i rumiankiem. Zajmowała się Josie spokojnie i cierpliwie. Michael mówił, że Meredith nigdy nie opiekowała się nim w czasie choroby. Podobno śmiertelnie bała się, że się zarazi. Zbyt wiele ludzi było od niej uzależnionych, nie mogła pozwolić sobie na atak grypy czy czegoś w tym rodzaju. A jednak teraz siedziała przy Josie, studziła herbatę i łyżeczką wlewała do ust dziewczyny. Michael bardzo by się zdziwił. I byłby zazdrosny. Tak. Byłby zazdrosny, że jego matka opiekuje się Josie, gdy jemu nie okazywała takiej troskliwości. Nawet teraz na miejscu Josie powinien być Michael, ale Michael nie żył. Nie potrzebował już podawanej łyżeczką herbaty. Josie mogłaby stać się Michaelem, przynajmniej na trochę... Szalony mnich patrzył na nią z wściekłością znad ramienia Meredith. Uzurpatorka. Zignorowała go. Potrzebowała kogoś, a Michael już nie żył i nie była to jej wina, o nie, zresztą i tak była zbyt osłabiona, żeby protestować...

Pozwoliła się przebrać. Meredith i pokojówka podniosły ją jak dziecko, zdjęły wilgotne od potu rzeczy, tenisowy sweter, spodnie, wytarły ją ręcznikiem. Włożyły jej przez głowę

koszulę nocną z mięciutkiej flaneli, lekko pachnącej naftaliną. Josie zdawała sobie sprawę, że zrzuca skórę i otrzymuje nową. Zmieniły pościel i ułożyły ją na świeżej. Poczuli się lepiej i wygodniej w koszuli ze stójką, w niebiesko - zieloną kratkę, wyszywaną białą nicią pod szyją. Zasnęła i śniła o łodzi, o kanoe z kamienia, płynącym po ciemnej rzece. Od brzegu odpychało je troje ciemnoskórych ludzi o mocno skręconych włosach. Czy on tu jest, pytała. Czy jest blisko? Nikt jej nie odpowiedział. Bała się ciemnoskórych i niepewności, bo nie wiedziała, dokąd płyną.

Rano z dołu dotarła do niej muzyka. Wypełniła jasny pokój, skapała go w świetlistych dźwiękach, nasączyła melodią jak biszkopt ponczem. Panowie i panie poruszali się na tapecie, panie na huśtawkach, damy z parasolkami, kobiety z laskami, pasące stadka kudłatych owieczek. Co to za miejsce? Co to za pokój? Dopiero muzyka powiedziała jej, gdzie się znajduje. Była w pokoju gościnnym, musiały przenieść ją tutaj w nocy. W głębi serca była z tego zadowolona. Tamten pokój sprzyjał nocnym koszmarom, tam był stos ich smutnych rzeczy, szalony mnich, setki książek, które wcale nie pomogły Michaelowi żyć. Powinno się je gdzieś zamknąć, a klucz wrzucić do głębokiej rzeki. O wiele lepiej było jej w tym jasnym pomieszczeniu, w dobrym, przyjaznym miejscu, gdzie czuła się jak światełko we mgle.

Zapomniała o mgle. Bawili się kiedyś w taką grę z książki *The Pillow Book of Sie Shonagon*. Były tam wspaniałe, niezwykle pytania. „Jaki jest najlepszy rodzaj mgły w czerwcu? Jakie sceny zyskują na atrakcyjności, kiedy się je namaluje?”. W książce padały zdecydowane odpowiedzi, opinie. Michael także miał zdanie na każdy temat. Josie nigdy nie przyszłoby do głowy takie pytanie - jaki powinien być czerwiec, jaka powinna być czerwcową mgła... Zawsze musiała brać życie takim, jakie było. Bałaby się wyobrazić

sobie idealny czerwiec, idealną pogodę, w ogóle jakąkolwiek doskonałość, ponieważ wiedziała, że i tak nigdy nie osiągnie ideału.

Przysunęła głowę do jego spoczywającej na poduszce głowy, żeby móc zajrzeć do książki w zielone linie, którą trzymał nad ich głowami.

- Jaki jest najlepszy rodzaj mgły? - spytał. Próbowała zastanowić się nad rodzajami mgły.

- Kiedy świeci słońce i jednocześnie jest mgła - odparła. - Wtedy czujesz się tak, jakbyś siedział w środku papierowej latarni. Są moje urodziny, mam na sobie piękną sukienkę i siedzę w środku latarni... I wszystko jest promiennie jasne, wszędzie panuje jasność. I znikasz we mgle, rozplýwasz się...

Gdyby śmierć mogła być właśnie takim doznaniem... Rozplýnięciem się w delikatnej bieli.

Krople potu płynęły jej po plecach, wślizgiwały się w szczelinę między pośladkami. Podobało jej się, że w pokoju jest tak jasno, ale od światła bolała ją głowa. Przewróciła się na bok, zrzuciła kołdrę na podłogę, szukając chłodnego miejsca na prześcieradle, i znowu zapadła w sen. Śniło jej się, że leży w łóżku z matką i ogląda Olbrzyma w telewizji, ten fragment filmu, gdzie Elizabeth Taylor poznaje Jamesa Deana. Żona szefa i zwykły robotnik, pracujący przy wydobywaniu ropy... Patrzyła na Taylor i Deana, i w jakiś sposób wiedziała, że to jej matka i ojciec, i na odległość wyczuwała ich tragedię.

- Zginął zaraz po zakończeniu zdjęć do filmu - powiedziała matka w tym śnie. - Dlaczego wszyscy tak się śpieszycie? Wszyscy młodzi ludzie żyją w wiecznym pośpiechu, dlaczego?

Później przyszły hiszpańska pokojówka i Meredith, wytarły jej twarz chłodną myjką, nakarmiły ją jajkiem na miękko i zaprowadziły do łazienki, ale Josie nie mogła utrzymać się na nogach. Pod stopami czuła zimny marmur i

biały dywan. Muzyka. Kwiat w wazonie na tacy. Styczniowa róża, taka, co to nie pożyje długo, duża i rozwinięta. Michael uwielbiał takie rzeczy, delikatne, kruche, nietrwałe. Josie dotknęła srebrzyście różowych płatków, stu warstw kwiatu, podobnego do staroświeckiej halki. Japończycy uważają, że krótkotrwałość istnienia rzeczy przydaje im elegancji i piękna...

Ale Josie chciała mieć rzeczy, które można zamknąć, zabezpieczyć. Pragnęła zatrzymać czas. Taka róża mogła tylko jeszcze bardziej się rozwinąć, a potem zacząć gubić płatki, aż w końcu złamałaby serce Josie. Gdyby wcześniej wiedziała, że Michael taki będzie... Że prześlizgnie się przez jej palce jak rtęć ze stłuczonego termometru... Jaki jest najlepszy rodzaj mgły? Jaka powinna być pogoda w listopadzie? Jego urodziny, przypadające tego samego dnia, co urodziny Spiro Agnew i Hedy Lamarr, co kryształowa noc i rocznica śmierci Dylana Thomasa.

- Najładniejszy listopad? - zagadnęła, przerzucając nogę nad jego kolanami.

Michael był dobry w te klocki. Wiedział, jaki powinien być najładniejszy listopad i różne takie rzeczy, pod tym względem przypominał książkę.

- W Los Angeles w listopadzie powinno być wilgotno i ciepło - zaciągnął się papierosem. - Pod wieczór mgła powinna przybierać błękitnawy odcień, powietrze powinno być jakby przydymione. Zachód słońca powinien być czerwony jak krew, wzgórza powinny połyskiwać rozsianymi światełkami. Los Angeles w listopadzie przypomina czasami Stambuł albo Kair... Człowiek ma wtedy ochotę wybrać się w daleką podróż...

I Josie naprawdę widziała taki wieczór, patrzyła na odbłysek czerwonego nieba w jego oczach.

- Ja nigdy nigdzie nie wyjeżdżałam - powiedziała, obserwując, jak dym kreśli arabeski nad ich głowami, wśród malowanych latarni.

- A co z Paryżem? - oparł głowę o jej głowę.

Skroń przy skroni, miłość przepływająca między nimi, lepsza niż seks, lepsza niż cokolwiek innego. Pamiętam, Michael...

Ale prawda już przy niej była, prawda, ta zgorzkniała stara kobieta z rozchylonymi bezzębnymi ustami.

Nigdy nie było żadnego Paryża. Śniłaś tylko o nim na starym materacu, w pokoju z nierówną podłogą, opadającą w kierunku okna. Nie było Paryża, Japonii ani motyli z Brazylii, wszystko to tylko zasługa haszu, który wypaliłaś...

Josie odwróciła się, żeby popatrzeć, jak panie spływają po ścianie, damy i ich nadęci dworzanie. Takie kruche chwile... Ale przecież tamte chwile istniały naprawdę, zdarzyły się, a ona oddałaby wszystko, żeby je odzyskać. Jego pierś pod jej policzkiem, jego zapach. Sposób, w jaki opisywał swojego współlokatora z Harvardu, Obrzydliwego Thomasa, który wszędzie zostawiał kubki po kawie i nigdy ich nie mył ani nie wyrzucał. Zakładał w nich małe hodowle pleśni. Był naukowcem i wierzył wyłącznie w rozum, w ścisły umysł. Michael świetnie naśladował akcent bogatego chłopaka ze Wschodniego Wybrzeża, rozciągał sylaby tak jak tamten.

- Oto twóóój Bóóóg, chłoopczee... - recytował, podtykając jej pod nos nieistniejący zapleśniały kubek. - Oto twój plaatooński ideaaałł...

Śniło jej się, że wróciła do domu rodziców. I przyszedł po nią kojot, jego szalone oczy lśniły złotem. Przebiegł między samochodami na podwórku, a ona poszła za nim, w koszuli nocnej i boso. Kolce kaktusów chwytaly brzeg koszuli, chociaż w Bakersfield nigdy nie rosły kaktusy, Josie wiedziała to nawet we śnie. Znaleźli się na pustyni, w świetle gwiazd, i

nagle tuż nad nimi zawarczały helikoptery, które omiatały ziemię jasnymi reflektorami. Josie ukryła się za skałą, ale kojot nie zdażył. Jego oczy zapłonęły na moment żywym ogniem, jak oczy małego diabła, unieruchomionego reflektorem Boga, a potem zastrzelili go i Josie została sama w środku pustki.

- Josie... - Meredith potrząsnęła jej ramieniem. - To doktor Edelman, przyszedł cię zbadać...

Stary człowiek o intensywnie niebieskich oczach. Pochylił się nad nią, dłonie miał powykręcane jak korzenie, twarz przecinały głębokie kaniony. Znała go. Był na pogrzebie, niósł trumnę Michaela. Stare palce obmacały jej szyję, drewniana łyżeczka wniknęła do ust, doktor zajrzał do gardła, podrapał język. Meredith posadziła Josie i podtrzymała, żeby stary lekarz mógł osłuchać jej plecy zimnym stetoskopem i opukać je. Co robił tutaj człowiek, który nosi trumny... Czy nie powinien być doradcą bankowym? Dlaczego to nie Rick z biura zarządu?

Zrobił jej zastrzyk. Josie miała wrażenie, że jej ciało znajduje się gdzieś daleko, bardzo daleko od niej. Zafascynowały ją bruzdy na twarzy starca i promienna jasność jego oczu, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ta stara, pomarszczona twarz to tylko maska, pod którą kryje się prawdziwe oblicze. Lekarz i Meredith podeszli do drzwi, żeby porozmawiać, Josie wiedziała, że rozmawiają o niej. Co mówili? Poczowała ukłucie lęku. A jeżeli ten lekarz wcale nie jest lekarzem? Przecież prawdziwi lekarze też potrafią zabić człowieka w taki sposób, żeby nikt się nie zorientował... Kto wie, co było w tym zastrzyku... Czekwała, prawie pewna, że lada chwila poczuje się gorzej, że nagle zabraknie jej powietrza i przestanie oddychać.

Doktor Edelman wyszedł, a Meredith, ubrana w miękki błękitny sweter, podobny do obłoków na porannym niebie, usiadła na obitym białym jedwabiem krześle przy łóżku.

- Jesteś bardzo chora, dziecko - powiedziała.

Bardzo chore dziecko... Brzmiało to jak tytuł starego filmu, chociaż Josie nie miała pojęcia, dlaczego ma takie wrażenie. Josie Tyrell jako „bardzo chore dziecko”... Czy właśnie taką rolę miała tutaj zagrać? Meredith podsunęła butelkę seven up do jej ust, włożyła jej plastikową rurkę między wargi. Dziewczynka, która wymaga opieki... Te wydłużone, gepardzie oczy... Meredith przemyśla twarz i szyję Josie kawałkiem mokrego, zimnego płótna. Za każdym razem używała świeżej myjki, Josie nigdy nie czuła zapachu pleśni, zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy matka myła jej buzię w wannie, gdy kąpała ją razem z Corinne i Bo w brudnej wodzie.

- Lepiej się czujesz? - zapytała Meredith.

- Trochę - odparła Josie, chociaż wcale nie była pewna, czy mówi prawdę.

Jej lepsze samopoczucie spowodowane było obecnością Meredith, tym, że zajmowała się nią, skupiała na niej całą swoją uwagę.

- Wyszczotkuję ci włosy, dobrze? - Meredith trzymała w ręku srebrną szczotkę z pożółkłym ze starości włosiem. - Co ty na to?

Jej posklejane od potu, obrzydliwie brudne włosy? Stara szczotka nie rozczesze tlenionych kosmyków - kiedy były potargane, zbijały się w twardą masę niczym sfilcowana wełna. Jednak Meredith już zabrała się do pracy, powoli rozczesywała wilgotne, przepecone pasma, odgarniała je do tyłu i cały czas mówiła do Josie tak, jak mówi się do zdenerwowanego zabiegami higienicznymi psa, tylko po to, żeby wypełnić ciszę dźwiękiem. Jej głęboki głos hipnotyzował i kołysał jak muzyka.

- Wiesz, skąd mam tę nocną koszulę? Dawno temu na Wilshire w pobliżu Fairfax był sklep Lanz, w którym mój ojciec kupował mi wszystkie ubrania. Właściciel sklepu importował je z Europy. Musiałam mieć rzeczy odpowiednie dla młodej panienki z dobrego domu... - Meredith przerwała na chwilę, żeby palcami rozplątać jakiś kosmyk, i po chwili znowu zaczęła szczotkować włosy Josie. - Comme il faut, czyli odpowiednie, jak należy. Kompletnie staroświeckie. Ojciec chyba nigdy nie przyzwyczał się do życia w Kalifornii... To jego szczotka, wiesz? Ojciec i Michael mieli takie same włosy, o tym samym kolorze. Mój ojciec bardzo wcześnie osiwał, miał taką piękną srebrzystą grzywę... Był z niej bardzo dumny, bo wszyscy jego przyjaciele powoli łysieli...

Spokojny rytm ruchów szczotki, gładkie włosy, z góry do dołu, trochę jak na huśtawce... Josie poczuła senność.

- Oczywiście kobiety go uwielbiały - ciągnęła Meredith. - Wydawaliśmy tu wspaniałe przyjęcia, na które przychodzili sławni emigranci, pisarze, reżyserzy, aktorzy... Vicki Baum i Galka Scheyer... Rita Hayworth tańczyła tango z Rudolphem Schindlerem, tym architektem. Wiesz, kim była Hedy Lamarr?

- Gwiazdą filmową.

Hedy Lamarr pozwoliła sfotografować się nago na planie filmowym w latach trzydziestych. Josie widziała ten film z Michaeliem w kinie New Beverly. Hedy pływała na plecach w basenie, podobna do białej syreny w zielonkawej wodzie. W ciemnej wodzie. W latach czterdziestych ojciec Meredith kolekcjonował filmy Hedy Lamarr.

- Byli bliskimi przyjaciółmi. Czasami Hedy zostawała tu na noc, sypiała w tym pokoju, w tym łóżku...

Hedy i Michael, i Dylan Thomas, wszyscy połączeni jakimś tajemniczym wspólnym planem. Dylan Thomas skonał w nowojorskim barze po wypiciu osiemnastu whisky jedna po

drugiej. Chciał umrzeć, ale nie przyznawał się do tego, nawet przed samym sobą. Otyły mężczyzna o wylupiastych oczach, Josie widziała jego zdjęcie na okładce tomu poezji. Dylan Thomas nie był piękny, w przeciwieństwie do Hedy Lamarr, ale jego słowa wlatywały pod niebo jak muzyka. Ktoś obcy dzieli mój pokój w domu, ktoś, komu brak szóstej klepki, dziewczyna szalona jak ptaki... Michael uwielbiał ten wiersz. I to ona była tą pierzastą dziewczyną...

Była senna, przyjemnie rozgrzana i czysta, dłonie Meredith rozczesały nie tylko jej włosy, ale także splątane myśli. Zapach perfum Meredith i dźwięk jej głosu kojący, dobrze było być tutaj, w tym domu, nie gdzieś na pustyni, razem z martwym kojotem.

- Brakowało mi kogoś, kim mogłabym się zaopiekować - powiedziała Meredith.

Pieszczotliwy, uspokajający dotyk szczotki... Michael szkicował autoportrety z koszmarami ukrytymi wśród poskręcanych włosów.

- Zajmę się tobą najlepiej, jak potrafię. Jesteś teraz wszystkim, co mi zostało.

Jesteś teraz wszystkim, co mi zostało. Potrzebowały siebie nawzajem, to prawda. Kto jeszcze został? Mimo tego gdzieś spod grubej warstwy spokoju i zadowolenia, wywołanego zastrzykiem, wypełzał bunt i przerażenie. Me kupuj tego, mała. Przecież stałaś nad nią i myślałaś o tym, jak łatwo byłoby zabić ją we śnie. Ale głos Meredith był taki kojący, dotyk szczotki taki przyjemny. Poza tym Josie była już zmęczona uciekaniem przed Meredith, miała dosyć tego, że ciągle okrąża ją ostrożnie, że przygląda się jej urodzie i wdziękowi z podejrzliwością zbitego psa. Rytm szczotki, która należała do ojca Meredith i została przywieziona z Europy, comme il faut, i ten głęboki głos, zapraszający Josie do środka, dodający jej odwagi. Było to nieuniknione,

ostatecznie po to tu przyszła. Odrzuciła skrupuły i strach, i zanurzyła się w jasnej mgle. Zamknęła cichy głos w skrzyni i zatopiła ją na dnie morza.

26. PEN

Josie leżała pod ręcznie tkaną narzutą w chłodnym, jasnozielonym salonie, popijała chińską herbatę o dymnym aromacie i słuchała, jak Meredith gra Debussy'ego na czarnym fortepianie firmy Steinway. Po chorobie czuła się pusta i oczyszczona, lekka i wypłukana jak wyrzucony przez morze na brzeg kawałek drewna, jak pozostawione rzeczy ludzi, którzy doznali Uniesienia. Ciotka Cora często opowiadała Josie o Uniesieniu. O ludziach, którzy szli do Nieba żywi i zostawiali ubrania, samochody, wózki z zakupami, lody roztapiające się na parkingu. Josie nigdy nie zastanawiała się nad tym, czy pójdzie do Nieba i jak by to było, jej uwagę przykuł po prostu obraz tych zapomnianych wózków z zakupami. W każdym razie właśnie tak czuła się w salonie Meredith. Tutaj nie było żadnego „później”, żadnego „zaraz”. Wszystko, co miało się zdarzyć, już się zdarzyło. Co za cudowne poczucie bezpieczeństwa, co za ulga, że już jest po wszystkim.

Przez wysokie okna i ogromne, sześciometrowe krzewy kamelii, zielone nawet zimą, przedostawało się do środka światło południa. Kamelie były stare i wielkie jak potężne drzewa, obsypane białymi kwiatami, których garść pływała w kryształowej misie na stole. Josie nie pragnęła niczego więcej, chciała tylko leżeć spokojnie, dryfować na fali przyjemnej senności i słuchać Debussy'ego, ukryta przed jaskrawym blaskiem, który stawiał człowieka pod ścianą i świecił w oczy jak twardy gliniarz w czasie przesłuchania. Pragnęła teraz tylko odrobiny miękkości. I żeby czas stał w miejscu.

Popatrzyła na swoje wystające spod koca stopy. Jak absurdalnie małe wydawały się w pikowanych flanelowych kapciach, idealnie pasujących do koszuli w zielono - niebieską kratkę. Dotknęła włosów, umytych i gładko uczesanych, przewiązanych wstążką. Siedziała przed lustrem, podczas gdy

Meredith robiła w nich przedziałek i zaczesywała je do tyłu. Josie nie powiedziała jej, że nie nosi przedziałka z prawej strony. Nie miała cienia wątpliwości, że Meredith właśnie w taki sposób rozdzielała włosy Michaela i tak je czesała. Comme il faut.

Na kolanach trzymała tom poezji Dylana Thomasa, który znalazła na fortepianie w pokoju Michaela. Gruby mężczyzna o wyłupiastych oczach, który chciał umrzeć, ale ukrywał to pragnienie w najciemniejszym zakątku serca. Wśród pożółkłych kartek tkwiło mnóstwo małych karteczek z zapisanymi wyraźnym pismem Michaela uwagami. Josie czytała zaznaczone przez Michaela wiersze, których nieznane frazy pojawiały się przed oczami jak twarze w tłumie. W swoim świetle domu w połowie drogi pan leżał niczym w grobie ze swoimi furiami... Na marginesie Michael zapisał: „Śmierć w grobowcu Chrystusa. Przybity gwoździemi = Chrystus przybity do krzyża. Przypomnienie o eksperymencie stworzenia". Jak żarliwie, jak gniewnie pragnął wejść do środka świata i wyrzeć przez jego oczy... Płonął pragnieniem, za wszelką cenę chciał osiągnąć ten cel, zdobyć ten szczyt... A na jego rozwidleniu pies wśród wrózek... Michael leżał niczym w grobie ze swoimi furiami. Zostawił ją, jak psa, który biega w kółko z otwartym pyskiem...

- Michael uwielbiał ten utwór - odezwała się Meredith, zaczynając grać coś nowego, jakąś spokojną, pełną zamierzonego wahania melodię o nieco orientalnym brzmieniu. - Nazywa się Kołysanka Jimbo. Debussy napisał ją dla swojej córki Claude - Emmy. Jimbo był jej zabawką, małym słonikiem.

Jestem panem długiego świata, powiedział; dzielił moje łóżko z Koziorożcem i Rakiem.

- Jeżeli do dwudziestego ósmego poczujesz się lepiej, mogłybyśmy wybrać się na koncert Debussy'ego. Przyjeżdża Pierre Boulez i mają przysłać mi bilety.

Josie pomyślała, że włoży kostium Eleny z niebieskiego jedwabiu. I na pewno nie będzie klaskała w nieodpowiednich miejscach.

Weszła pokojówka w wykrochmalonym fartuszkach, z wykrochmaloną twarzą. Zajrzała do kominka, dołożyła kawałek drewna i pochyliła się nad niskim stolikiem do kawy, aby dolać Josie herbaty. Oczywiście nawet na nią nie spojrziała.

- Dziękuję - powiedziała Josie.

Miała nadzieję, że zasłuży na uśmiech Sofii, ale równie dobrze mogła być miła dla krzesła. Ta kobieta gardziła nią, traktowała jak psie gówno, które przyczepiło się do podeszwy Meredith.

Josie pociągnęła łyk aromatycznej herbaty Lapsang Souchong, oparta na pulchnych poduszkach, ubrana w koszulę nocną, szlafrok i kapcie od Lanza, wszystko z flaneli pachnącej naftaliną i upływem czasu. Dzieciństwem Meredith. Koszula była za długa, przez co czuła się trochę jak dziecko, jak rozpieszczona chora panią z epoki wiktoriańskiej, troskliwie sadzana w trzciniowym fotelu przy oknie, przez które do środka wlewa się złote słońce.

Meredith wyglądała prześlicznie, kiedy tak grała z piękną głową pochyloną nad klawiaturą, z podtrzymywanymi opaską ciemnymi włosami, które w lokach opadały na ramiona. Wydobywała z fortepianu odgłosy wodospadu, którego plusk koił jak lekki, pieszczotliwy dotyk palców. W przeciwieństwie do powątpiewającego, zadającego setki pytań Brahmsa Debussy dawał zapomnienie, marzenia, obietnicę życia łagodnego jak zielona woda. Meredith wiedziała, że utwór podoba się Josie, i popisywała się przed nią jak wałka,

rozkładająca nowy komplet skrzydełek. Nagle Josie pomyślała, ile bólu musiał znieść Michael, patrząc, jak ogromny talent matki wypływa z niej mocnym, czystym strumieniem niczym woda bijąca ze źródła. Jak bardzo musiał cierpieć... Michael także miał talent, może nawet był bardziej utalentowany niż Meredith, ale nie potrafił dać ujścia swoim zdolnościom. Nie umiał wylać ich z siebie. I niezależnie od tego, jak bardzo był dobry, jak genialny, i tak nigdy nie czuł się najlepszy i nie mógł znaleźć drogi, by tak się poczuć.

Rozległ się staroświecki dzwonek, osiem powtarzających się nut, ale Meredith nawet nie podniosła głowy. Josie nie mogła nie podziwiać jej wrodzonej, naturalnej pewności, że ktoś inny otworzy drzwi. Michael był taki sam. Może był to arystokratyczny egotyzm, a może przekonanie, że to, co robią, jest ważniejsze od wszystkiego innego, nie wiadomo. Josie poprawiła sobie koc na kolanach, wygodnie oparła się o poduszki. Nieważne, Sofia zaraz otworzy drzwi.

Dzwonek odezwał się drugi raz.

Pokojówka szybkim krokiem przeszła przez hol i po chwili Josie usłyszała męski głos, a zaraz potem wyższy, kobiecy. Prawie rozpoznała ten drugi głos, ale nie udało jej się go umiejscowić do chwili, kiedy goście weszli i zobaczyła ich na szczycie stopni.

Jakiś gliniarz i Pen.

Zaskoczenie malujące się na twarzy Pen musiało stanowić odbicie jej własnego. Usta Pen ułożyły się w duże O, obrysowane ciemną szminką. Jej twarz i ćwieki na kurtce błyszcząły w ciemnym holu. Pen objęła wszystko jednym spojrzeniem, szlafrok, herbatę i grzeczny przedziałek we włosach. Josie usłyszała wyrok tak głośno i dobitnie, jakby Pen wykrzyczała go na całe gardło. Co ty wyprawiasz, do jasnej cholery, Josie Tyrell?! Pokojówka wprowadziła Pen i policjanta do salonu. Położyła palec na ustach, sygnalizując,

żeby nie odzywali się, dopóki senora gra. Zupełnie jak w kościele.

Gliniarz usiadł na kanapie naprzeciwko Josie, Pen zaś z nieukrywanym zniecierpliwieniem przycupnęła obok, z twarzą bladą jak ściana i oczami pełnymi oburzenia. Josie skupiła się na czarnych słowach na białej kartce, starannie unikając wzroku Pen. Spieprzyła sprawę, nie ma co gadać... Kompletnie zapomniała o Pen i swoim poleceniu, by przyjaciółka zawiadomiła policję i tak dalej. Miała ochotę zniknąć, zapaść się pod ziemię. Zerknęła na Meredith, ale ta grała dalej, jakby poza nią nikogo nie było w pokoju. Josie wiele by dała, żeby wszyscy nagle o niej zapomnieli, ale czy Pen kiedykolwiek o czymś zapomniała? Nigdy w życiu.

Czuła gorącą falę wściekłości Pen, lecz nie odrywała wzroku od książki i gorączkowo szukała w myśli jakiejś wymówki, trochę jak kobieta grzebiąca w torbie w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych. No dobrze, popełniła błąd, ale przecież nie ponosiła za to winy... Była bardzo chorą dziewczynką, miała gorączkę i dlatego tutaj, w domu Meredith, zapomniała o całym świecie. Znalazła się w miejscu, gdzie wszystkie zegary stanęły. Ale Pen była zegarem, który zawsze tykał. Pen zaraz podniesie kurtynę i wyciągnie Josie na scenę, prosto w okrutne światło.

Może miała jeszcze halucynacje i to było przywidzenie, że widzi Pen siedzącą w salonie Meredith obok gliniarza... Gliniarz wyglądał absurdalnie, z szacunkiem zasłaniał czapką krocze i rozglądał się dookoła z takim wyrazem twarzy, jakby nigdy wcześniej nie widział pokoju. Ojciec Josie właśnie tak opisywał ludzi takich jak rodzina Loewy - jego zdaniem samą swoją obecnością zmuszali Zwykłego Człowieka, żeby ze zdjętą czapką czekał, aż oni skończą swoje niezwykle ważne zajęcia, swojego Debussy'ego. I Zwykły Człowiek stał albo siedział, i gapił się na piękne wnętrza jak jakiś burak. Josie

czuła zmieszanie gliniarza i z niesmakiem odbierała podziw, z jakim patrzył na Meredith. Jego oczy skakały z przedmiotu na przedmiot jak źle wychowany pies, z lustra w połączonych ramach na srebrny kandelabr, z kandelabru na chińskie konie, wielkie jak jelenie, z koni na olejny portret Meredith jako młodej dziewczyny przy fortepianie, z niebieską wstążką w długich ciemnych włosach. Josie nadal nie mogła się zdobyć, żeby nad obitym skórą stolikiem do kawy spojrzeć na Pen w nabijanej ćwiekami minispódniczce, z oczami jak pełne furii szparki. Pen doskonale wiedziała, co Josie tutaj robi i co zdradza. Zdradzała mały świat, stworzony z podartych skrawków i popękanych kawałków, podobnych do porzuconych dzieci, które mocno trzymają się za ręce i głośno śpiewają w ciemnym lesie, dając w ten sposób dowód wielkiej odwagi. W tamtym świecie nie było piękna ani pocieszenia, było tylko udawanie. Jednak Josie zdawała sobie sprawę, że Pen widzi to wszystko zupełnie inaczej, że dla niej tamten świat jest prawdziwy, a to, na co teraz patrzy, uważa za wyszukaną grę.

Skubała frędzle koca, słuchając ostatnich fraz utworu, które rozlewały się w powietrzu jeszcze długo po zapadnięciu ciszy. Meredith zorientowała się, że ma gości, dopiero gdy oderwała palce od klawiszy i podniosła głowę. Zamrugła, zupełnie jakby właśnie w tej chwili wysiadła z samolotu z Paragwaju.

- Tak, słucham?

Gliniarz poderwał się i przedstawił. Sierżant Ricketts był krępy młodym mężczyzną o zaczerwienionych od golenia policzkach, z kilkoma zmęczonymi pryszczami na linii szczęki.

- Otrzymaliśmy zgłoszenie o zaginięciu, proszę pani. Chodzi o niejaką Josephine Tyrell...

Josie podciągnęła koc wyżej, czekając, aż Pen i policjant znikną. Czekwała na to z taką nadzieją jak zakochani na zachód słońca albo narkomani na wyjście z odlotu po toksycznych prochach. Nie mogli przecież siedzieć tu w nieskończoność, w końcu będą musieli sobie pójść i zostawić ją w spokoju, a wtedy wróci spokój i muzyka...

- Minęło pięć dni, Josephine - odezwała się Pen. - Nikt cię nie widział, nikt nie miał od ciebie żadnych wiadomości, Josephine. Co niby miałam myśleć? Powiedziałaś, że nasłała na ciebie płatnego zbira, na miłość boską!

Josie zerknęła niepewnie na Meredith, która z gracją podniosła się od fortepianu, niczym nie zdradzając, że słyszała słowa Pen. Josie znowu uświadomiła sobie, że to właśnie Meredith była Eleną, zawsze opanowaną, chłodną i nieporuszoną. Jak bardzo różniła się od niej Pen, Pen ze swoimi fioletowymi pasemkami we włosach i szerokimi skórzanymi bransoletami na przegubach rąk, wściekła jak zazdrosna kochanka... Jak śmiesz tu leżeć, jak śmiesz szukać schronienia w norze wroga?! Śmiem i mogę, Pen. Oto jak zrzuca się starą skórę, oto jak wychodzi się na wiejską drogę i zostawia wszystko za sobą...

Meredith obeszła białą kanapę miękkim, płynnym krokiem, niczym skradający się kot, i stanęła za plecami Josie.

- To jakieś nieporozumienie - powiedziała, przykrywając dłońmi drobne ramiona Josie. - Ta dziewczyna zachorowała na gripę, miała bardzo wysoką gorączkę. Zaopiekowałam się nią.

Pen ściągnęła czarne brwi, rozchyliła usta w niedowierzaniu. Odwróciła się do policjanta.

- Moja przyjaciółka powiedziała, że ta suka wynajęła kogoś, kto miał ją załatwić! Wcześniej sama próbowała zabić ją na pogrzebie, szkoda, że nie widział pan tych siniaków! Josie strasznie się jej bała, powiedz mu, Josie...

Josie zbladła. Dałaby wszystko, żeby Pen przestała gadać, żeby się zorientowała, jak wygląda sytuacja, i dała sobie siana. Nie musiała przecież stawiać jej pod ścianą, zmuszać do kłamstwa.

- Ja... Ja byłam wtedy bardzo zdenerwowana, nie myślałam logicznie...

- Na jakim pogrzebie? - przerwał gliniarz. - Zaraz, chwileczkę...

Wyjął z kieszeni mały notes i rozłożył go na kolanie.

- Na pogrzebie mojego syna - usłyszała Josie głos Meredith. - Umarł piętnastego grudnia. Ta dziewczyna była... Była jego bardzo bliską przyjaciółką.

Ciepły ciężar dłoni Meredith na jej ramionach... Josie pomyślała, że chyba obie patrzą na policjanta z takim samym wyrazem twarzy.

- Bardzo pani współczuję... - sierżant Ricketts zapisał coś w notesie. - Przyczyna śmierci?

Cisza. Josie pierwszy raz spojrzała Pen w oczy. Me mów tego. Po prostu nie, i już. Pen odpowiedziała lekkim uniesieniem brwi. Ależ z ciebie pieprzona gówniara, mówiła jej twarz, ale nie wyrzekła słowa. Palce Meredith zacisnęły się na ramionach Josie. Gliniarz przeniósł wzrok z Josie na Meredith.

- Syn cierpiał na depresję - oznajmiła cicho Meredith, szybko opanowując łamiący się głos. - Miał... Miał pewne problemy ze zdrowiem psychicznym...

- Rozumiem. - Policjant zamknął notatnik i schował go do kieszeni. - Przepraszam, że panią niepokoił, pani Loewy. Proszę przyjąć wyrazy współczucia...

Rzucił Pen oskarżycielskie spojrzenie, które wyraźnie mówiło, żeby zabrała dupę w troki, i to szybko. Pen wstała. Miała dziurę w rajstopach na kolanie i czerwoną smugę na czubku ciężkiego czarnego buciora.

- Chciałabym zamienić parę słów z przyjaciółką - powiedziała. - Na osobności.

Sierżant pytająco popatrzył na Meredith, jakby była matką nieletniej.

- Oczywiście - rzekła Meredith głębokim, kulturalnym głosem. - Josie, możecie pójść do gabinetu. Proszę tylko, żeby pani jej nie zmęczyła, bo dopiero zaczyna dochodzić do siebie po chorobie...

- Och, na pewno jej nie zmęczone - oświadczyła Pen.

Josie nie miała najmniejszej ochoty iść do gabinetu, wolałaby zostać tutaj, jako bardzo chora dziewczynka, w tym pokoju, gdzie Meredith i policjant mogliby osłonić ją przed wściekłością Pen, ale Meredith skinęła głową i Josie poczuła się jak rozkapryszony dziecko, więc odrzuciła koc i usiadła. Zakreśliło jej się w głowie, ale zaraz wstała powoli, trzymając się oparcia kanapy, wzięła filiżankę ze spodeczkiem i unosząc rąbek szlafroka, szurając nogami, ruszyła ku drzwiom w za dużych kapciach, po poprzecieranych dywanach, bardzo cennych, o czym już wiedziała, z osiemnastego wieku. Przeszła przez wykładany płytami hol i pchnęła drzwi gabinetu, w którym Mauritz Loewy palnął sobie w łeb. Usiadła na skórzanej kanapie, postawiła filiżankę na stole, skrzyżowała ramiona na piersi i odeła wargi jak małe dziecko, przyłapanie na drobnym przestępstwie.

Pen zamknęła obite skórą drzwi.

- Co ty wyprawiasz, do jasnej cholery, Josephine?! Kurwa mać, martwiłam się o ciebie!

Stała nad Josie, na tym samym dywanie, w który wsiąkła krew ojca Meredith. Josie wyobraziła sobie, że w jasnej części tkaniny widzi zarys plamy w miejscu, które zabarwiła krew. Ale Pen nie patrzyła na dywan, o nie... Nie patrzyła też na złoczone grzbiety książek, frędzle, którymi obszyto zasłony, kryształowe karafki w barku ani na obraz przedstawiający

konia pełnej krwi o dziwnym, wydłużonym tułowiu. Pen wpatrywała się w nią, mierzyła ją wściekłym wzrokiem, a z oczu leciały jej iskry.

- W jakie gówno mnie wpuściłaś, co?! To ja zamartwiam się, co się z tobą dzieje, a ty siedzisz tu sobie spokojnie jak jakaś pieprzona mała księżniczka?! Co to znowu jest, kurwa mać?!

Josie wzruszyła ramionami.

- Rozchorowałam się, a ona doszła do wniosku, że chce się mną zaopiekować...

Spojrzała na swój za długi szlafrok, na kapcie, wiedząc, że wygląda jak idiotka pierwszej wody, ale przecież nigdy nie miała kapci z tego samego materiału co szlafrok i koszula nocna. Pen także nie, oczywiście, a Josie dobrze wiedziała, jak bardzo nienawidzi się rzeczy, których nie może się mieć. Taki drobiazg, naprawdę... Straciła Michaela, więc czy nie mogła mieć kapci i filizanki z herbatą, czy nie mogła przez chwilę wyobrazić sobie, jak by to było, gdyby była nim, nie sobą?

- Wiem, że to trochę dziwne... - dodała. - Ale ona jest bardzo samotna. Zapewniam jej jakieś zajęcie, chyba jestem czymś w rodzaju pracy społecznej... Mamy tylko siebie, bo tylko my dwie byłyśmy z nim tak blisko...

Pen rzuciła się na fotel, oparła stopy na stole, te swoje martensy z grubymi podeszwami.

- Co za bzdury, Josie! Co za koszmarnie bzdury! Spotkałaś się z nią wtedy wieczorem i nagle się rozchorowałaś, a ona przywiozła cię tutaj i traktuje jak jakaś pieprzoną inwalidkę? Nie wydaje ci się, że to trochę podejrzanę? A jeżeli truje cię tutaj, codziennie poi cię truczką na szczury albo czymś w tym rodzaju?

I wyzywająco popatrzyła na Josie, która właśnie podnosiła filizankę do ust.

Josie spojrzała na herbatę. Cóż, w gruncie rzeczy nie mogła tego wykluczyć... Lekarz i ten zastrzyk... Bardzo chora dziewczynka... Przełknęła jednak łyk herbaty, patrząc, jak malutkie kawałeczki lapsang souchong przyklejają się do cieniutkiej jak skorupka porcelany, do malowanych na dnie kwiatków, które nigdy nie zwiędną.

- Sęk w tym, że nic mnie to wszystko nie obchodzi, Pen. Jestem zmęczona życiem, do cholery...

- Nie gadaj bzdur! Jesteś przygnębiona, w porządku, ale ten pieprzony dom... Kurwa mać, Josie... - Pen wsunęła dłonie do kieszeni i zadrżała, chociaż w pokoju było bardzo ciepło. - To scenografia z pierdolonego horroru, a ta baba robi ci pranie mózgu, słowo daję! Rozejrzyj się tylko, popatrz, naprawdę mogliby tu nakręcić horror, dziewczyno! Na dodatek zachowujesz się, jakbyś była w transie! Musisz się stąd wyrwać! Pozbieraj swoje rzeczy i spływajmy, kurwa!

Josie spuściła wzrok i powoli pokręciła głową.

- Nigdzie się nie wybieram - powiedziała cicho. - Nie mam dokąd iść, Pen.

- Zwariowałaś?! - Pen zdjęła nogi ze stołu, pochyliła się do przodu, jej czarne oczy zabłysły jak cekiny. - Nie wygaduj takich rzeczy! Kurwa mać, Josie, przecież masz przyjaciół! Masz pracę, a ten gość od pieprzonych filmów szuka cię od paru dni! Na dodatek jesteś obrzydliwie śliczna! Jezu, na twoim miejscu z radości tarzałabym się po podłodze!

Tarzałyby się po podłodze... Pen siedziała naprzeciwko niej, mrugała i nie miała pojęcia, co to znaczy, kiedy w piersi nosi się wielką czarną dziurę po wyrwanym z korzeniami sercu, podczas gdy wszyscy oczekują, że będzie się normalnie żyć...

- Jakoś nie tarzam się po podłodze, wiesz? Naprawdę kochałam Michaela, kapujesz? I lubię przebywać w jego

domu, bo tutaj czuję, że nadal jestem blisko niego. Ten dom pachnie Michael'em, on wciąż tutaj jest...

- On nie żyje, kurwa mać - powiedziała Pen.

Wbijała paznokiec kciuka w oparcie fotela, rysowała nim dużą literę P. Jezu, zaraz wydrapie swoje imię na skórzanym fotelu Mauritz'a...

- Pen, nie rób tego.

Pen podniosła oczy, bardzo zdziwiona. Josie nigdy dotąd nie mówiła jej, co ma robić, a czego nie.

- Czego?

- Nie psuj fotela.

- Pieprzę ten pierdolony fotel! - Pen wstała i przewróciła fotel mocnym kopniakiem. Przewróciła stolik z czasopismami, filiżanką i spodkiem. Filiżanka pękła na trzy części. - Pierdołę ten dom, całe to gówno! Co się z tobą dzieje, kurwa?! Nie potrzebujesz tego wszystkiego! To nie twoja rodzina! - Chwyła Josie za ramię. - Ta wiedźma nie jest twoją przyjaciółką, kurwa mać! My jesteśmy twoimi przyjaciółmi! Ja, Shirley, Paul i Nick, Phil Baby i ten facet Jeremy, my jesteśmy twoim życiem! Nie to! A teraz zbieraj swoje rzeczy i zjeżdżajmy stąd! - szarpnęła Josie, próbując ściągnąć ją z kanapy. - Wstawaj, kurwa!

Josie się opierała, ale Pen była silniejsza, miała uchwyt mocny jak kajdanki. Zupełnie jak w domu, pomyślała Josie. Nikt nie rozmawia, wszyscy tylko ciągną człowieka tam, gdzie chcą go widzieć...

Nagle drzwi się otworzyły i w progu stanęli Meredith oraz gliniarz. Meredith jednym spojrzeniem ogarnęła wszystko - Pen ściskając ramię Josie, przewrócony fotel, rozrzucone gazety i stłuczoną filiżankę.

- Chyba już wystarczy - rzuciła Meredith.

- Josie, posłuchaj mnie... - błagalnie powiedziała Pen, ale rozluźniła uchwyt.

- Josie nie musi cię słuchać ani chwili dłużej. - Meredith minęła Pen i otoczyła Josie ramieniem. - Wydaje mi się, że powinnaś już wyjść. Wszystko w porządku, Josie?

Za długa koszula i szlafrok ułożyły się w fałdy na podłodze. Przewrócony stolik, filiżanka w trzech kawałkach...

- Tak, w porządku... - Josie oparła się na Meredith.

W głowie jej się kręciło, znowu była bardzo chorą dziewczynką. Meredith podprowadziła ją do drzwi, zostawiając cały bałagan, fotel, filiżankę, popielniczkę i czasopisma.

- Bardzo panią przepraszam - odezwał się policjant. - Pójdziemy już... Hej, ty, idziemy! - wyciągnął rękę, żeby chwycić Pen za ramię, ale ona się cofnęła.

- Całuj mnie w dupę, Josephine! - warknęła. - I pamiętaj, nawet nie myśl o mnie, kiedy znowu będziesz potrzebowała przyjaciółki!

Josie ostatni raz spojrzała na Pen, którą policjant prowadził już w stronę drzwi.

- Przepraszam... - powiedziała cicho.

Wiedziała, że dokonuje wyboru, wybiera Michaela kosztem Pen, Meredith kosztem Pen, Loewych kosztem Tyrellów. Zdrajczyni.

- Pieprz się, Josie! Chuj ci w dupę!

Policjant i Pen wyszli. Josie i Meredith wróciły do salonu, matka Michaela usiadła przy fortepianie i znowu zaczęła grać Debussy'ego, zupełnie jakby nic się nie stało. Josie sięgnęła po swojego Dylana Thomasa. Udawała, że czyta, ale ręce mocno jej się trzęsły. Pen odeszła. Zniknęło ostatnie ogniwo, łączące ją z tamtym światem. A ona była tutaj, w domu Meredith, i tu zamierzała pozostać.

27. TELEFON

Josie leżała na kanapie w gabinecie Mauritzza i paliła papierosa. Miała na sobie swoje własne rzeczy, które Sofia dzień wcześniej przywiozła z domu przy Lemoyne. Polubiła wykładany czerwoną boazerią pokój, zapach skóry i cedru, także dlatego, że zawsze panował tu przyjemny mrok, bo dęby prawie nie wpuszczały do środka popołudniowego słońca. Na jej kolanach leżały nuty, duże jak atlas, które zdjęła z półki Mauritzza: Schubert, Symphonie nr 8 h - moll D759, „Unvollendete”. Długa strona, pokryta zawieszonymi na pięcioliniach nutami, w jakiś sposób kojarzącymi się z suszonym na słońcu praniem. Każdej linii przypisano inny instrument, Ob., FL, Timp. Obój. Flet. Timpani. Nawet bęben miał swoją linię. Podobał jej się strumień nut, ich kształt na papierze, lubiła też wyobrażać sobie, jak by to wszystko razem brzmiało.

W każdej chwili każdy instrument wiedział, co ma grać. Każdy znał swoją rolę. Nikt nie mógł jednak zobaczyć całości, tylko swoją część. Zupełnie jak w życiu. Każdy człowiek był jak jedna linia muzyki, ale nikt nie wiedział, jak brzmi cała symfonia. Tylko dyrygent miał pełny zapis nutowy.

Rozległ się dzwonek, obcasy pokojówki zastukały o czerwone płyty, z holu dobiegły odgłosy uprzejmego powitania. Przez otwarte drzwi gabinetu Josie widziała wchodzących do domu staruszków z czarnymi pokrowcami na instrumenty. Meredith zbiegła po schodach, błysnęła smuga morskiej zieleni swetra, czerń spódnicy, delikatna linia pantofli na wysokich obcasach. Rozmawiała z nimi po niemiecku. Josie zawsze czuła się dziwnie, kiedy ktoś, kogo znała, mówił w innym języku, ponieważ wtedy wydawał się obcy. Mówiąca po niemiecku Meredith robiła bardziej dziewczęce wrażenie, nawet jej głos brzmiał wyżej. Była

dziewczyną, która dawno temu rozmawiała po niemiecku ze swoim ojcem.

Meredith stanęła w drzwiach gabinetu, patrząc przez ramię na starszych mężczyzn w holu. Przeniosła wzrok na zajętą lekturą Josie i uśmiechnęła się.

- Masz wolną chwilę, Josie? Chciałabym przedstawić cię moim bardzo bliskim przyjaciołom...

Czyżby cokolwiek wskazywało na to, że ma wolną chwilę? O nie, była zbyt zajęta, a jakże... Odłożyła nuty i ruszyła za Meredith do salonu, gdzie staruszkowie otwierali pokrowce na instrumenty i wieszali marynarki na wysokich oparciach czterech krzeseł. Pamiętała ich twarze z pogrzebu. Kwartet smyczkowy Śmierci...

- Herren, chciałabym przedstawić wam Josie Tyrell... - Meredith położyła rękę na ramieniu Josie. - Narzeczoną Michaela. Josie spędzi tu z nami trochę czasu.

Josie obserwowała ich twarze, chciała zobaczyć, jak zareagują na tę najnowszą wersję rzeczywistości, bo przecież widzieli, jak na pogrzebie Meredith chwyciła ją za gardło. Żaden ze staruszków nie okazał sceptycyzmu wobec nieoczekiwanego pojawienia się nowej synowej Meredith.

- Pan Weinstein... - Meredith wskazała kruchego starszego pana o delikatnej twarzy, który ujął palce Josie suchą, drobną dłonią. - Pan Cousineau...

Niski i pulchny, uśmiech pod chmurą siwych włosów. Miękka ręka z entuzjazmem uścisnęła jej dłoń. Josie przeżyła wstrząs, kiedy kątem oka zauważyła niebieskie cyfry na skórze przedramienia staruszka, tylko częściowo zasłonięte mankietem koszuli. Wiedziała, co to oznacza. Taki radosny, pogodny człowiek...

- To dla mnie ogromna przyjemność - powiedział, flirtując z nią roześmianym spojrzeniem.

- Pan Palevsky...

Wysoki, smutny mężczyzna o krzaczastych brwiach, z głęboko osadzonymi ciemnymi oczami nad olbrzymimi workami sinawej skóry wyciągnął do Josie wielką dłoń, usianą wątrobianymi plamami.

- Miło mi panią poznać...

Jeszcze inny akcent, którego nie potrafiła umiejscowić.

- I doktor Edelman, którego już poznałaś...

- Cieszę się, że pana widzę, doktorze - powiedziała Josie, spokojnie jak Elena.

Wszystkie te obce dłonie. Te niebieskie numery. Historia na wyciągnięcie dłoni... Właśnie to wyczuwała w tym domu, tę intensywną, gęstą aurę historii. To dlatego Meredith i Michael mieszkali właśnie tutaj, nie gdzie indziej. Historia na przedramieniu każdego z tych mężczyzn...

- Jak się pani czuje, moja droga? - zagadnął doktor Edelman.

Mówił z obcym akcentem, ale nie tak wyraźnym jak pan Cousineau.

- Dużo lepiej, bardzo dziękuję.

Nic nie wskazywało na to, aby któryś z nich zastanawiał się, co ona tu właściwie robi. Nie dostrzegła choćby cienia zdumienia czy rozbawienia na tych starych twarzach. Z pozycji pariasa awansowała na członka rodziny, wystarczył jeden gest Meredith.

- Taka okropna strata... - pokręcił głową Weinstein.

- Dziękuję... - szepnęła Josie.

Spojrzała na Meredith, która odpowiedziała uśmiechem. Jej nowa teściowa.

- Możesz się do nas przyłączyć - zaprosiła Meredith, siadając za wielkim fortepianem. - Gramy dziś Brahmsa, kwintet fortepianowy...

- Och, daj jej spokój, moja droga - zaprotestował Cousineau. - Zanudzilibyśmy to biedne stworzenie na śmierć...

Kłócimy się o każdy akord - wyjaśnił Josie. - Każdy popisuje się na swój własny sposób, kwartet to bardzo niebezpieczna formacja...

- Niestabilna - uzupełnił Palevsky.

- A jeśli dodamy jeszcze do tego pianistę... - Weinstein machnął ręką. - Na pewno już wiesz, jacy oni są. Nieznośni egoiści.

Czy zachowywali się tak za życia Michaela? Czy słuchał tych samych dowcipów? Może ta rutyna datowała się jeszcze z czasów Mauritza, którego obecność Josie wyczuwała w każdej części domu... Może właśnie w tamtych latach narodziła się tradycja przedstawiania muzyki w kategoriach niebezpiecznej misji.

- Jako amator staram się po prostu dotrzymać kroku kolegom i jestem szczęśliwy, jeśli mi się udaje - doktor Edelman usiadł na krześle, podciągając najpierw jedną, potem drugą nogawkę spodni i odsłaniając skarpetki.

Wyjął skrzypce z pokrowca i wsunął pod brodę.

Pozostali zaczęli stroić instrumenty - Weinstein także skrzypce, Cousineau wiolonczelę, Palevsky wiołę. Meredith przewróciła oczami, jakby chciała dać Josie do zrozumienia, że ona sama widzi to zupełnie inaczej. Josie uświadomiła sobie nagle, że nie jest to zwyczajne spotkanie, tylko coś w rodzaju muzycznego shivah. Staruszkowie postanowili dotrzymać Meredith towarzystwa najlepiej, jak umieli. Była to ich wersja trwania przy pogrążonej w żałobie, ich wersja wyprawy do Hong Kong Cafe.

- Co to znaczy: Unvollente? - zwróciła się do Meredith. - Znalazłam to w nutach Schuberta...

- Unvollendete - poprawiła ją Meredith. - „Niedokończona”.

Tyle muzyki... Josie usadowiła się na czerwonej skórzanej kanapie, przebiegła palcami po stronie nut Mauritza,

Symphonie nr 8, „Unvollendete”. Kształt nut, nanizanych na linię, podobnych do ptaków na drucie. Michael potrafił czytać nuty i wyobrazić sobie, jak zabrzmiały. Meredith także. I wszyscy ci ludzie... Popatrzyła na stronę, próbując wyobrazić sobie, jak można zagrać tę część utworu. Zbitki nut, duże grupy, powtarzające się fragmenty, mogła się domyślić, gdzie muzyka była szybka, a gdzie spokojna. Nuty zbijały się w gromadki pod liniami, wyglądały jak ludzie pod daszkami. Czuła się jak głuchoniema, która obserwuje pianistę. Zawsze siadają po lewej, żeby widzieć dłonie pianisty. Nawet nie znając nut, można się zorientować, co się dzieje.

Tak czy inaczej, Josie nie słyszała muzyki w głowie. Podobnie mogła grać Elenę, ale nie miała szans nią zostać.

Tamci grali Brahmsa, a ona wróciła do pierwszej strony. Franz Schubert. Symphonie nr 8 h - moll D759, „Unvollendete”. Niedokończona. Ciekawe dlaczego... Czy Schubert zmarł? Czy też symfonia nie przypadła mu do gustu? Może po prostu opuściło go natchnienie... Tak jak ona opuściła Jeremy'ego razem z jego filmem... Na pewno był potwornie sfrustrowany. I nic dziwnego, miał pomysł, Gordo władował w niego górę pieniędzy... Nie, nie powinna o tym myśleć. To nie był jej problem. Ostatecznie nie była aktorką, zabijała tylko w ten sposób czas.

Z salonu dobiegały głosy, Meredith i jej goście zażarcie dyskutowali o sposobie wykonania jakiegoś fragmentu utworu. Zagrały jedne skrzypce, potem odezwała się sama wiolonczela, w wolniejszym rytmie. Staruszkowie i Meredith spierali się dalej. Na potężnym biurku Mauritz, gdzie Cal znalazł samobójcze notatki Michaela, stał staroświecki bakelitowy telefon na wydzierganej szydełkiem serwetce, takiej, jakie robiła babcia Ida. Josie ogarnęło zdziwienie, że w ogóle pomyślała o filmie albo o czymkolwiek, co działo się w tamtym świecie, nie mogła jednak pozbyć się uczucia, że

tamtej nocy na Sunset Plaza wydarzyło się coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Nie była osobą twórczą, w przeciwieństwie do Michaela i Meredith, studentów szkół artystycznych, tych starszków czy nawet Jeremy'ego. Była po prostu osobą, która podporządkowywała się wskazówkom, pamiętała, jak zachowuje się jej ciało, umiała stanąć tam i sprawiać wrażenie zdenerwowanej. Potrafiła się interesująco ubrać i dobrze nałożyć makijaż. Ale czy wychodziło z niej coś, co świat zauważał? Jeżeli tak, to łączyło się to z poczuciem straty. Dziwne. Czasami człowiek oddaje rzeczy, na których utratę nie może sobie pozwolić. Rzeczy prywatne. Pokazuje się światu i już nie może odebrać tego, co dałaś... A jednak nie mogła przestać o tym myśleć, wciąż towarzyszyło jej uczucie ekscytacji. Stworzyła coś, czego wcześniej najzwyczajniej w świecie nie było, jakby namalowała obraz. Było to także jak muzyka, wydobywająca się z Meredith i tych jej starszków...

Podniosła słuchawkę, ciężką, zrobioną w czasach, kiedy aparaty telefoniczne wytwarzano z bakelitu, nie plastiku. Nie zamierzała wracać do tamtego świata ani nic w tym rodzaju, chciała tylko przeprosić. Zaproponować kogoś innego, kto mógłby dokończyć to, co sama zaczęła. Dwie różne dziewczyny, to stwarzało problemy, ale była przekonana, że Jeremy coś wymyśli.

Liczyła sygnały z nadzieją, że Jeremy jeszcze nie wyszedł z domu. Mało prawdopodobne, żeby wybrał się gdzieś tak wcześnie... Studenci szkoły filmowej, podobnie jak muzycy, byli prawdziwymi wampirami i nie wypuszczali się nigdzie przed zachodem słońca. Dziesięć, jedenaście...

- 'Lo? - w głosie Jeremy'ego brzmiała nuta lekkiego roztargnienia, jakby szukał okularów, chociaż nigdy ich nie nosił.

- To ja - powiedziała.

- Josie?! - Teraz był już całkowicie rozbudzony i przytomny. - Gdzie się podziewałaś? Twoja przyjaciółka Pen mówiła, że trzymają cię jako zakładniczkę w jakimś okropnym domu, całkiem jak z horroru! Wszystko w porządku? Jaka jest ta chałupa?

Musiła się uśmiechnąć. Jeremy już myślał o dodaniu do scenariusza sceny, w której przydałby się dom jak z horroru. Odwróciła się twarzą do ściany, zniżyła głos. W jakiś sposób wiedziała, że nie powinna dać się przyłapać na telefonowaniu. Na wyciąganiu ręki do światła żywych, na przekraczaniu kręgu smutku...

W tej samej chwili fortepian wyrzucił z siebie wielki wodospad dźwięku, struny drżały i gadały między sobą. Potem muzyka ucichła i artyści znowu zaczęli się spierać.

- Mieszkam u kogoś... Przepraszam, że nie zadzwoniłam wcześniej.

Prawie słyszała, jak starannie wybiera słowa. Wiedziała, że chciał wydusić z niej, co się dzieje, ale coś go powstrzymywało.

- Josie, dowiedziałem się o twoim chłopaku... - Miał tak ludzki głos, że wydało jej się to zupełnie nienormalne. - Powinnaś była sama mi powiedzieć...

Przesunęła dłonią po staroświeckim sznurze, prostym, nieskręconym w spiralę.

- Chyba wydawało mi się, że jeżeli inni nie będą wiedzieli, to jakoś sobie poradzę. Nie zniosłabym tego, gdyby wszyscy wiedzieli... W takich sytuacjach ludzie albo strasznie ci współczują, albo uważają, że to twoja wina...

W słuchawce coś gwałtownie zaszeleściło.

- O czym ty mówisz?! Nikomu nie przyszłoby do głowy, że to twoja wina! Nie popadaj w obsesję, Josie!

- Ale gdybym ci powiedziała, może jednak wolałbyś poszukać kogoś innego do tej roli...

Kogoś, kogo trochę łatwiej byłoby mu zrozumieć. Boże, wyglądasz koszmarnie... Powinnaś zażywać witaminę C, zjedz porządny stek albo coś w tym rodzaju...

Słyszała jego oddech. Nie zaprzeczył. Może i współczuł jej, ale sukces to pociąg, który zatrzymuje się tylko na stacjach uwzględnionych w rozkładzie jazdy.

- To rzecz poza dyskusją, zależało mi, żebyś ty wzięła tę rolę, i tyle - oznajmił wreszcie. - Tak czy inaczej, szukałem cię od kilku dni. Zmontowałem film i uważam, że naprawdę powinnaś go zobaczyć. W czasie oglądania bez przerwy zadawałem sobie pytanie, kim jest ta dziewczyna... - zaśmiał się krótko, przepraszająco. - Oczywiście zawsze byłaś dobra, ale, entre nous, do tej pory raczej nie dawałaś z siebie wszystkiego... Teraz jesteś po prostu fascynująca. Nie wiadomo, na co jeszcze cię stać... Wrócisz niedługo? Proszę, obiecaj, że nie będziesz siedzieć bez końca w tym gotyckim zamku, błagam cię...

- No, nie wiem... - westchnęła. - Posłuchaj, ja...

Nagle w progu stanęła Meredith z twarzą zarumienioną od wysiłku, jakiego wymagało granie Brahmsa.

- Słuchaj, muszę już kończyć - Josie odłożyła słuchawkę, nawet nie żegnając się z Jeremym.

Meredith odgarnęła włosy do tyłu, ściągnęła je mocno.

- Z kim rozmawiałaś?

- Z nikim - odparła Josie. - Jakaś pomyłka...

Sięgnęła po papierosy i przypomniała sobie, że wypaliła już wszystkie. Zgniotła pudełko i rzuciła do kosza na śmieci, ale kulka papieru tylko odbiła się od metalu i spadła na wypastowaną podłogę.

Sweter Meredith był dokładnie takiego koloru jak jej oczy.

Jego oczy. Josie czuła niepokój, bo im dłużej znała Meredith, tym trudniej jej było przywołać z pamięci obraz Michaela, może właśnie dlatego, że jego twarz była tak

podobna do twarzy matki. Ten sam leniwy urok, te same brwi, szerokie usta, ten sam uśmiech, tyle że oczy Meredith raczej się nie uśmiechały.

- Skończyliście grać?

- Pan Weinstein musiał skorzystać z toalety. Nie słyszałam telefonu...

Josie odwróciła się do okna, przez które widać było małe trójkącki błękitnego lutowego nieba. Otworzyła okno, wychyliła się, głęboko odetchnęła świeżym powietrzem.

- Musiałam załatwić taką tam jedną sprawę - powiedziała.

- Nie martw się, to nie była międzymiastowa...

Meredith oparła się o klamkę i skrzyżowała ramiona na piersi.

- Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała... - zaczęła. - Wolałabym, żebyś nie mówiła swoim przyjaciołom, gdzie jesteś... Oczywiście trudno sądzić wszystkich na podstawie zachowania tamtej dziewczyny, ale...

Josie nie odrywała wzroku od wzgórz i zielonych kopuł obserwatorium. Gdzieś tam wysoko, wśród kęp dębów i eukaliptusów, kochali się na piknikowym stoliku na szczycie Góry Dantego. Czy Meredith mogła ich stąd widzieć?

- Nikt tu nie przyjdzie, nie musisz się obawiać...

- Nie rozmawiałaś chyba z tym facetem ze zdjęcia, co? Josie uśmiechnęła się do siebie. Meredith chciała wiedzieć

coś więcej, szczególnie o mężczyźnie, do którego dzwoniła. Jesteś wszystkim, co mam. Meredith chciała ją mieć, najlepiej w całości. Teraz Josie zaczynała rozumieć, jak czuł się Michael, kiedy pytała go, gdzie był i co robił. Nienawidził takich pytań, a ona miała teraz przed sobą powód, przyczynę wszystkich tych jego starannie pozamykanych drzwi, wszystkich tajemnic - kobietę w zielonym swetrze, ciągle oszalamiająco piękną, nawet mimo zbliżającej się pięćdziesiątki.

- Nie, nie z nim - odparła. - Z kimś innym.

Czy Meredith podejrzewała ją o kłamstwo? Uśmiechnęła się lekko na tę myśl. Prywatny detektyw na zlecenie Meredith zrobił jej mnóstwo zdjęć, ale w gruncie rzeczy niewiele z tego wynikało. Na zewnątrz przekwitające róże mocno trzymały się jeszcze gałązek krzewów.

Meredith odwróciła się, nasłuchując dobiegających z salonu głosów.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, poproś Sofię, dobrze? Ten koncert trochę jeszcze potrwa...

Josie przeciągnęła się, splotła dłonie wysoko nad głową, wykonała lekki skłon najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

- Przydałyby mi się papierosy...

- To paskudny nawyk. Zresztą dopiero zaczynasz dochodzić do siebie po chorobie...

- Jestem nałogową palaczką.

Meredith spojrzała w okno, musnęła palcami miękkie rękawy swojego swetra. Słońce rzuciło plamy cieni na jej twarz.

- Cóż, może to nie najlepszy moment na wyrzeczenia... - mruknęła. - Powiedz Sofii, jakie palisz.

Josie schyliła się, podniosła z podłogi zgniecioną paczkę.

- Gauloise'y. Nie kupi ich w supermarkecie.

- Wiem, Josie.

- Michael mówił, że Paryż pachnie gauloise'ami i psimi kupami w deszczu...

Meredith oderwała wzrok od nut Schuberta, które Josie zostawiła na kanapie.

- Co z nimi robiłaś?

- Czytałam - odparła Josie. Meredith uniosła szerokie, kształtne brwi.

- To piękny utwór, może chciałabyś go kiedyś posłuchać? Mam kilka z najlepszych nagrań, Furtwänglera z Orkiestrą

Wiedeńską i Brunona Waltera z Chicagowską, coś wspaniałego, niewiele osób zna tę wersję... - Meredith podniosła nuty i przekartkowała je. - Jesteś strasznie blada, Josie, powinnaś posiedzieć trochę na słońcu. Nie chcę, żeby ktoś oskarżył mnie, że cię truję... - Odłożyła nuty na półkę, na której wcześniej leżały. - Powiedz Sofii, kiedy chciałabyś zjeść lunch.

- Sofia niespecjalnie mnie lubi, tak mi się w każdym razie wydaje...

Meredith roześmiała się perliście.

- A co to kogo obchodzi, moja droga? Zupełnie nieistotne, czy lubi cię Sofia, czy ktokolwiek inny, naprawdę!

Josie próbowała wyobrazić sobie osobę, która w ogóle nie dba o ludzką sympatię. Czy Meredith ją lubiła? Poila ją łyżeczką, głaskała po ramieniu...

- Nieistotne? Przecież większość ludzi chce, by inni ich lubili...

Meredith przysiadła na oparciu skórzanej kanapy, ciężka fala włosów opadła jej na jedno ramię.

- Kiedyś miałam garstkę ludzi, na których mi zależało. Ostatnio ich liczba powoli topnieje... - westchnęła, próbowała się uśmiechnąć, ale tylko przywołała na twarz dziwny grymas. - Tak czy inaczej, nie przejmuj się Sofią. To służąca, zrobi wszystko, co jej każesz.

Michael mówił Josie, że Sofia była młodą wdową, kiedy Meredith zatrudniła ją w Sewilli podczas swojego pierwszego europejskiego tournée w latach pięćdziesiątych. Josie nie przepadała za Sofią, ale nigdy dotąd nie słyszała, żeby ktoś został tak niedbale i bezwzględnie podsumowany. To służąca, zrobi wszystko, co jej każesz... Potrafiła wyobrazić sobie Elenę mówiącą coś podobnego. Zupełnie jakby służąca w jakiś sposób różniła się od normalnego człowieka. Zastanawiała się, co pomyślałaby Meredith, gdyby się

dowiedziała, że Josie szorowała toalety w motelu Sunnyvale i czyściła grill w barze Rollerama.

- Uraziłam cię, tak? - Meredith podniosła się, strzepnęła spódnice, jej gęste ciemne włosy utworzyły grubą ramę wokół twarzy. - Nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak bardzo w stylu Marii Antoniny, chodziło mi tylko o to, że po prostu tak żyjemy... Czy tak trudno jest przywyknąć do tego, że dostajesz to, co chcesz, wtedy, kiedy chcesz? Że ktoś spełnia twoje potrzeby?

Jej potrzeby. Jezu Chryste...

Teraz zaczęła zastanawiać się, kogo Meredith miała na myśli, mówiąc: „po prostu tak żyjemy”. Josie i Meredith? Meredith i Michaela? Mauritzka i Meredith? A może ludzi takich jak Loewy? Czy i ona mieściła się w tym królewskim „my”? Fakt, łatwo jest przywyknąć, że dostaje się to, czego się chce... Poczowała się bardzo dziwnie, chyba trochę jak pisklę, które pewnego dnia zrzuca puch i obrasta w ostre pióra, przekłuwające jego skórę od wewnątrz.

Zgodnie z poleceniem Meredith Josie wsunęła ciemne okulary i ułożyła się nad brzegiem basenu w plamie słabego zimowego słońca, ubrana w żółte futerko i szal, zawiązany wokół głowy i szyi w stylu Grace Kelly. Słuchała instrumentów, z których każdy przemawiał własnym głosem, raz w zgodzie z pozostałymi, raz zupełnie odrębnie. Czuła się zadbana, dopieszczona, zrelaksowana. W słońcu było ciepło, ale kiedy tylko bladą tarczę przesłaniała chmura, robiło się chłodno. Wpatrzona w powierzchnię ciemnej wody, falującą pod wpływem lekkiego wiatru, powoli zapadała w słodki letarg. Miała uczucie, że telefon do Jeremy'ego może okazać się ostatnim aktem jej woli, bo odtąd będzie już tylko unosić się jak liść na powierzchni basenu Meredith albo tańczyć w powietrzu jak fraza utworu Debussy'ego.

Po pewnym czasie usłyszała stukot obcasów o beton. Sofia podeszła, przystanąła i sztywno zapytała, czy Josie czegoś potrzebuje.

- Owszem, jestem trochę głodna - odparła Josie. Jeszcze parę godzin wcześniej dodałaby: „jeżeli można” albo „jeśli to nie kłopot”, lecz teraz zachowała się jak Michael. Nie powiedziała, co chciałyby zjeść, oznajmiła tylko, że ma określoną potrzebę, którą świat powinien natychmiast spełnić.

- Chce pani lunch?

Sofia nie patrzyła jej w oczy, wpatrywała się w jakiś punkt ponad głową. Zachowywała się tak, jakby Josie robiła kupę w jej obecności, udawała, że tak naprawdę wcale jej nie ma.

- Raczej śniadanie - powiedziała Josie.

Miała już na końcu języka to swoje „jeżeli można”, ale się powstrzymała. Każda próba przekonania Sofii, że jest dobrą osobą, i tak zawodziła. Może Hiszpanka wołała imperialny styl Loewych, kto wie... Albo może było jej wszystko jedno, chociaż Josie doprowadzało to do wściekłości.

- Nie lubisz mnie, prawda, Sofio?

Pełne wargi Sofii ułożyły się nagle w prawie prostą linię.

- Zrobiłam ci coś złego?

Kogo to obchodziło, czy Sofia ją lubi, czy nie? Może Meredith miała rację...

- Słuchaj, jestem tutaj, i już. I nigdzie się nie wybieram, więc może po prostu przywyknij do mnie, co?

- Zrobię śniadanie.

Niskie obcasy Sofii zastukały, gdy maszerowała w stronę domu.

- A gdybyś gdzieś jechała, kup mi papierosy! - zawołała za nią Josie. - Gauloise'y, w niebieskim pudełku!

Sofia przejechała dłonią po gładko uczesanych włosach, dotknęła koka i nawet się nie obejrzała.

Josie pomyślała, że pragnienie zdobycia sympatii nigdy nie daje pozytywnych wyników, bo ludzie lubią tych, którym na sympatii nie zależy. Dalej leżała w słońcu, chroniąc oczy ciemnymi okularami. Słuchała kłótni między wiewiórką i szpakiem, i Brahmsa. Było jej zimno. Michael zawsze był zmarznięty, może dlatego pojechał na pustynię. Może wcale nie wybrał się tam po to, żeby się zabić, może po prostu miał nadzieję, że tam będzie mu cieplej. Pustynia była dla Josie prawdziwą tajemnicą. Josie nie rozumiała, dlaczego ludzie odwiedzają miejsce, gdzie nie ma nic poza kupką skał. Pustynia nie była przecież piękna jak plaża albo rezerwat sekwoi. Po co tam pojechał? Dlaczego nie zrobił tego w ich domu? Może miał to być gest troski o nią... Nie chciał pochłapać mózgiem ścian ich sypialni, bo tam kochali się i płodzili marzenia... Ostatni akt czułości. Czułości albo obojętności, bo może w ten sposób chciał powiedzieć jej: „Pieprz się!”.

Po paru minutach wróciła Sofia z przykrytą lnianą serwetką tacą, na której znajdowało się jajko na miękko w kieliszku, talerzyk z grzanką i dwoma plasterkami cienutko krojonej suchej hiszpańskiej szynki, którą tak lubił Michael, i miseczka miodu. Postawiła tacę na małym stoliku obok fotela, nie obdarzając Josie ani jednym spojrzeniem. Tak, Sofia musiała podcierać tyłek Josie Tyrell, ale nadal traktowała ją jak gówno, którego nikt normalny nie chce dotknąć.

- Nie jestem taka zła, Sofio - odezwała się Josie.

Wtedy Sofia pierwszy raz spojrzała jej w oczy. Josie wyczytała na jej twarzy zaskoczenie. Nie nienawiść, tylko coś dziwnego, jakby litość. Dziewczyinę ogarnęła fala zmieszania, gniewu, upokorzenia. Litość? Dlaczego Sofia litowała się nad nią? Jak śmiała? I nagle wszystko zniknęło. Sofia wyprostowała się i ruszyła w stronę domu. Krzyżujące się na

plecach szarfy jej fartuszka były wykrochmalone równie sztywno jak serwetka.

28. Zdjęcie

Podczas gdy Meredith zajmowała się w salonie kwartetem smyczkowym, Josie przeglądała stos zrabowanych rzeczy w dawnym pokoju Michaela. Jego rzeczy. Ich rzeczy. Wszystko wymieszane, komoda, zabawki i obrazy, płyty i książki. Muszą gdzieś tu być, myślała, po prostu muszą, te czarne szkicowniki, w których mówił prawdę, wszystko to, czego o nim nie wiedziała. Musiała je znaleźć, myśl o nich dręczyła ją nocami, ale Meredith najwyraźniej schowała je gdzie indziej.

Pokonana, usiadła na łóżku, kontemplując masywną górę przedmiotów. Gdyby była malarką, narysowałaby to, ostre kąty obrazów i zwalonych byle jak książek, tu i ówdzie zwinięte w kłębki ubrania. Kubistyczna martwa natura. Ale ona nie była artystką i nie potrafiła przedstawić porzuconych rzeczy tak, jak zrobiłby to Michael, który umiał nadać szczególne znaczenie zwyczajnej rzeczy, sprawić, że poruszała człowieka.

Jego narzeczona. Wszystko by dała, żeby z czystym sumieniem móc nazwać się jego narzeczoną... Prawda była taka, że nigdy nie poruszali tego tematu. Zniszczyłoby to ich fantazję, obraz ich prywatnego, prawdziwego świata, który miał istnieć zawsze. Josie kochała ten sen i starała się nim żyć. Ich miłość była jak ważka, która sunie nad parkiem Echo i zniża lot, aby złożyć wizytę kwiatowi lotosu. Nie chcieli być tacy jak inni, nazywali się Błazej i Żanna, karmili się marzeniami i pili błękit nieba.

W studiu było jaśniej, wpadało tu zimowe światło, przefiltrowane przez liście dębu. Ostatni raz byli tu tuż przed przeprowadzką Michaela do domku na Lemoyne Street, pakowali wtedy jego rzeczy. Mieli dom tylko dla siebie. Michael zrobił Josie kolację i podał ją w wielkiej jadalni. A Josie wyobrażała sobie, że pewnego dnia wróci tu, tak, i zamieszka razem z Michaeliem, dlaczego nie...

Teraz była tutaj, ale bez Michaela. Co za ironia... Mogła rozplątać ten węzeł, oczyścić go, ukryć rzeczy, które sprawiały jej ból, w szafie - szalonego mnicha, wchodzące po schodach Meredith... Powiesić inne obrazy... Miała jednak poważne wątpliwości, czy Michael by tego chciał. Michael chciałby przejrzeć cały ten chaos, tego była pewna. Widzisz, co mi zrobiliście, atakował ją spojrzeniem szalony mnich. Wydranie... Musiała przyznać, że wolała miły komfort gościnnego pokoju, niebiesko - białą tapetę, pozłacane jasne drewno. Nagle w jej głowie rozległ się krzyk Pen: „Jesteś taka sama jak wszyscy!”. Może i była taka sama jak wszyscy, ale Michael wcale tak nie uważał. Tego musiała się trzymać.

Ale może to on widział siebie w Josie... Michael celowo urządził ten pokój w surowym, ascetycznym stylu, pragnąc zdystansować się od rozpieszczającej go matki. Chciał mieć coś bardziej czystego, przejrzystego, twardego. Chciał poczuć samego siebie, nie stworzoną przy współudziale Meredith projekcję. Wyciągnęła się na jego twardym, wąskim łóżku, z głową w nogach, i spojrzała na meksykańską Madonnę. Madonnę, która go nie uchroniła, nie otoczyła swymi skrzydłami i nie ukryła przed światłem. Jej kobiecy urok i duże brązowe oczy okazały się kompletnie bezużyteczne. Jeszcze jedna kobieta, która go zawiodła... Pod przeciwległą ścianą ślepe Meredith ciągle wspinały się na białe schody. Była tam też Josie w czarnych pończochach, z tą swoją idiotyczną czułością.

Żeby tylko Sofia przywiozła papierosy... Była to jedyna rzecz, jakiej potrzebowała od świata.

Wstała, podniosła z podłogi naręczce ubrań, otworzyła drzwi garderoby i zapaliła światło. Zaczęła wieszać koszule i spodnie, ale zapach szafy zupełnie ją obezwładnił, ten aromat sosny, mchu i cedru. Zielony jedwabny krawat, który Michael kupił za trzy dolary w ciuchlandzie i włożył na koncert.

Zawiesiła go sobie na szyi, wspominając, jak bardzo ten odcień podkreślał zieleń jego oczu. Były wtedy tak zielone, że prawie nie mogła w nie patrzeć... Przycisnęła jedwab do ust, jakby mogła pocałować go przez materiał. Stała przed lustrem wiszącym w garderobie i spróbowała zawiązać krawat w taki sposób, jak jej pokazywał, dookoła, dookoła i przeciągnąć przez środek węzła. Węzeł wypadł krzywo, krawat nierówno zwisał na jej swetrze. Oczami wyobraźni widziała jego palce przy węźle, równym i gładkim. Krawat za trzy dolary, ale te palce doskonale wiedziały, co z nim zrobić.

Spojrzała w lustro, to samo, które widziało go jako dziecko, później jako nastolatka z sypiącym się wąsem. Wchłonęło jego obraz dziesięć tysięcy razy. Oparła się o lustro, przytuliła twarz do zimnego szkła. Michael, dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego zostawiłeś mnie tutaj całkiem samą? Potarła mokrym policzkiem o szklaną tafłę i wtedy zobaczyła klamkę. Klamkę z rżniętego szkła, taką samą jak wszystkie w tym domu. Lustro zawieszane było na drzwiach, drzwiach w wewnętrznej ścianie garderoby. Położyła rękę na klamce i nacisnęła ją.

Po drugiej stronie znajdowała się druga garderoba, cała biała - malowane białą farbą drewno, biały dywan. Z pokoju, przy którym umieszczono garderobę, wlewało się do środka światło i napływające z dołu dźwięki Brahmsa, które podkreślały panującą tu ciszę. Zapach cedru i kadzidlanych perfum.

Połączone wewnętrznymi drzwiami garderoby. Jego i jej.

Nagle rozboleła ją głowa. Zmęczyło ją odkrywanie wciąż nowych prawd o Michaelu, ponieważ każda rewelacja zacierała obraz chłopaka, którego znała. Chciała zachować swoje wspomnienia, wszystko to, co uważała za prawdziwe. Traciła go i traciła, ciągle, bez końca. Była zmęczona prawdą.

A jednak nie mogła się powstrzymać, nie mogła nie wejść do tamtego pokoju.

Biała garderoba Meredith była większa od garderoby Michaela, miała okno i białą sofę. Wzdłuż ścian w równych rzędach wisiały ubrania, niektóre w foliowych pokrowcach, niżej na półkach stały buty i leżały torebki. W pikowanych torbach czekały długie suknie, zielona jak morze i ciemnozielona, czarna i bordowa, biała i kwiecista. Josie mimo woli przejechała dłonią po jedwabkach. Obłok zielonego szyfonu zaczepił się o wystający z bocznej ściany gwóźdź. Cholera, nie powinna dotykać tych rzeczy... Pośpiesznie zasunęła do końca błyskawiczny zamek torby. Meredith i tak się nie orientuje, zwłaszcza że minie sporo czasu, nim znowu włoży którąś z tych sukni.

Na sąsiedniej ścianie wisiało nie jedno futro, ale sześć - ciemnobrązowe, długie czarne norki, długowłose kudłate w cętki... Buty Meredith ustawiono jak na muzealnej wystawie, chyba ze sto par, ale tylko jedno sportowe, do tenisa, z trzema dziurkami do sznurowania, idealnie białe. Nawet podeszwy miały ze skóry. Josie nie zdołała oprzeć się pokusie i przymierzyła czarne satynowe sandały ze skomplikowanym węzłem na podbiciu. Uniosła nogawki dzinsów i stanęła przed lustrem. Sandały były sporo za duże, ale mimo tego miała w nich nogi gwiazdy filmowej.

Garsonki wełniane i jedwabne, uporządkowane kolorami, od bieli do perłowej szarości, zielenie, błękity, granat, czerń. Płaszcz, trenczowe i wąskie, skórzane kurtki, nawet długa peleryna z czarnego aksamitu, podbita czerwonym jedwabem. Jaka kobieta może swobodnie nosić długą do ziemi aksamitną pelerynę? Kto może wejść do pokoju i wziąć całą przestrzeń w posiadanie, kto jest przyzwyczajony do tego, że ludzie podnoszą się z miejsc, żeby się przywitać? Kto podpisuje

autografy z lekko roztargnionym uśmiechem, bez mrugnięcia okiem?

A po drugiej stronie drzwi jej syn... Na pewno często zaglądała do niego do pokoju, a on do niej. Prosiła, żeby zapiął jej suknię. Może uchylał drzwi i podglądał ją, kiedy się ubierała... Oczywiście, na pewno to robił. Nie mógł się oprzeć, pochwyciła jego oczy, uwięziła jak rybę na haczyku. Josie wcale nie chciała tego wszystkiego wiedzieć. Nie chciała wiedzieć, że Michael wchodził wtedy do pokoju matki, a ona do niego. Wiesz, jak to między nimi było... Te drzwi zawsze tutaj były. Ich sekretne przejście. Nie znał jej wtedy, ale ona mimo wszystko jako akt niewierności odbierała fakt, że nie zamknął tych drzwi, kiedy mógł to zrobić.

Przyszło jej do głowy, że może jego dzienniki są właśnie tutaj. Rozejrzała się dookoła, wysunęła kilka szuflad. Kapelusze i walizki, pudełka z listami, ale nie notatniki. Nie, Meredith na pewno zdążyła je już gdzieś ukryć... Na dole, w gabinecie ojca? Może jeszcze gdzie indziej. Ostatecznie Cal pokonał zabezpieczenia, prawda? Prawdopodobnie Meredith zawiozła je do swojego banku i zamknęła w sejfie. Kurwa mać... Powinna była wiedzieć, że Meredith stać na wszystko. Zawsze miała gotowy plan.

Światło przedostawało się do sypialni poprzez liście i lekko uniesione paski żaluzji, grube zasłony podwiązano po bokach, wewnątrz było świeże, niebiesko - białe. Plisowana niebieska satyna zagłówek, lśniący jedwab narzuty na łóżku, gdzie ona i Michael kochali się pierwszy raz, półtora roku temu. Jego przymknięte, drżące powieki... Pokaż mi, pokaż, czego pragniesz, szepnął. A ona myślała, że był prawiczkim. Boże, co za idiotka... Czy prawiczek mógłby tak się z nią kochać? Czy naprawdę sądziła, że tak szybko nauczyła go to robić?

To tutaj jego matka leżała nieruchomo, pogrążona w ciężkim, narkotycznym śnie, a Josie stała przy łóżku, myśląc o tym, jak łatwo byłoby ją zabić.

Ogarnęła pokój szybkim spojrzeniem. Słyszała dobiegającą z dołu muzykę, skomplikowane frazy Brahmsa. Wiedziała, że powinna stąd jak najszybciej wyjść, by nie narazić się na spotkanie z tą cholerną, podstępną pokojówką. Z drugiej strony była przecież teraz członkiem rodziny. Jego narzeczona. A członkowie rodziny powinni czuć się tutaj jak w domu, prawda? Michael nie wahałby się ani chwili. Próbowała sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby miała taki pokój z garderobą, komodą lśniąca subtelnie w świetle wczesnego popołudnia, ozdobioną inkrustacją przedstawiającą ułożone w koszu kwiaty w cyfamonowym odcieniu. Tyle pracy wyłącznie po to, żeby Meredith miała gdzie przechowywać bieliznę... Josie przesunęła dłońią po blacie komody, omijając tacę, na której stały flakoniki z perfumami. Widziała swoje odbicie w owalnym lustrze na ścianie. Na szyi krawat Michaela, stojące punkowe włosy z ciemnymi już odrostami. Wiedziała, że wkrótce będzie musiała zdecydować, czy chce być kobietą, która zasługuje na taki pokój, czy też pozostać niewiniątkiem w łachmanach, bo taką pokochał Michael.

W najwyższej szufladzie równiutkie kłębki pończoch Meredith spoczywały w podzielonym na kwadraty długim, obitym satyną pudełku, podobnym do plastra miodu, perfumowanym saszetkami z drzewem sandałowym i różanymi pączkami. Halki, wszystkie haftowane i piękne, starannie ułożone w miękkim stosik. Ostrożnie dotknęła gładkiego haftu na białej satynowej półhalce - kwiecista aplikacja, płatki opadające ku falistemu rąbkowi. Szybko oderwała palce od tkaniny, żeby szorstka, spierzchnięta skóra nie zaczepiła jedwabiu. Zaczzerwieniła się na wspomnienie

biustonosza, który kupiła w ciuchlandzie, żeby zrobić wrażenie na Michaelu. Jak żałośnie musiała wyglądać w tandetnej turkusowej koronce i podartych majtkach... W niższej szufladzie drzemały swetry z kaszmiru i jagnięcej wełny, cienkie, delikatne jak obłoki, jeszcze niżej grubsze swetry i szale.

Kim była Meredith Loewy? Kim była kobieta, która teraz w salonie władała steinwayem, która wiele razy wykonywała ten utwór Brahmsa w ogromnych salach koncertowych... Ta, która wychowała Michaela i w jednej chwili potrafiła nazwać kogoś służącą, która robi, co jej się każe, a w następnej błagać Josie, żeby nie zostawiała jej samej. W czyje ręce oddała się Josie? Nie rozumiała Meredith, tak samo jak wcześniej nie rozumiała Michaela. Oboje mieli tak głęboko skrywane sekrety... Josie nie była nawet pewna, czy potrafiłaby odczytać ich znaczenie, gdyby je dostrzegła. Może po prostu siedziałyby i patrzyła, nic nie rozumiejąc, tak jak niecałą godzinę temu „czytała” Niedokończoną symfonię w gabinecie Mauritzza... Może nawet w tej chwili miała przed sobą klucze i wskazówki, ale najzwyczajniej w świecie nie zdawała sobie z tego sprawy...

Brahms rozbrzmiewał czułymi nutami, tęsknotą skrzypiec, pierwsze grały wyżej, drugie niżej, jasnymi dźwiękami fortepianu, smutkiem wiolonczeli. Wszechobecny smutek. Josie siedziała w obitym jedwabiem fotelu Meredith i słuchała. Na nocnym stoliku tuż obok stały zdjęcia w srebrnych ramkach.

Michael patrzył w obiektyw znad swoich okrągłych okularów. W Harvardzie, gdzie pojechał dowieść, że jest lepszy od ojca. Jego zielone oczy lśniły drwiąco, Josie wiedziała, że właśnie miał powiedzieć coś dowcipnego. Dotknęła jego twarzy, kości policzkowych, małych dolin pod nimi, szerokich ust o uniesionych kącikach. W czym mnie nie

okłamałaś? Chętnie zabrałaby to zdjęcie, sama nie miała żadnych fotografii Michaela. Mogłaby bez trudu unieść mocujące haczyki z tyłu, wyjąć kartonik z ramek, ale nie zrobiła tego.

Ciekawe, kto zrobił to zdjęcie... Już była zazdrosna o tę osobę, na którą Michael patrzył z na wpół czułym, rozbawionym wyrazem twarzy, z opuszczoną gardą. Widziała już czasopismo z serią fotografii Loewych Faradayów z lat sześćdziesiątych, na dachu jakiegoś arabskiego miasta, ponad kopułami. Teraz jej uwagę przykuło zdjęcie Meredith w naszyjniku z pereł - siedziała na kanapie, jedno ramię uniesione za głowę. Kiedyś Michael rysował Josie w takiej dokładnie pozie, na kudłatej niebieskiej kanapie. A tu był oryginał... Meredith, trochę smutna, ale uwodzicielska, fascynująca i wyrafinowana w prostej lnianej sukience bez rękawów, z oczami obwiedzionymi ciemną kreską. Kobieta, dla której mężczyzna jest gotów kupić pierścienek z brylantem albo nowy samochód, wyłącznie po to, by poprawić jej humor. Josie próbowała odgadnąć wiek Meredith, ale było to bardzo trudne. Meredith chyba nigdy nie przybrała na wadze, a elegancka, prosta suknia mogła pochodzić z dowolnego okresu. Włosy rozpuszczone, do ramion. Zdjęcie mogło być zrobione poprzedniego dnia albo dwadzieścia lat wcześniej. Oświetlenie i czarno - biała klisza zacierały zmarszczki.

Kim był fotograf, który patrzył na nią z takim uwielbieniem, otaczał ją tak wielką czułością i współczuciem? Cal. Nagle Josie zrozumiała, że w ten sposób Meredith jednocześnie miała go i udawała, że wcale nie brakuje jej jego obecności. Najważniejsze jest to, czego pozornie nie ma, czego nie widać. Zdjęcie, na które chciała codziennie patrzeć. Oczywiście, na pewno podobał jej się sam portret, seksowna powaga jej twarzy, duże piersi, widoczne, lecz nie

podkreślone, ale przede wszystkim dzięki fotografii miała Cala i nie musiała się przyznawać, ani przed sobą, ani przed kimkolwiek, że nadal nie był jej obojętny.

Muzyka ucichła. Josie nasłuchiwała, wstrzymując oddech, ale tamci zrobili sobie tylko przerwę, żeby przedyskutować wykonanie jakiegoś fragmentu. Zaczekała, aż znowu zaczęli grać tę samą frazę, na której przerwali. Czuła się trochę tak, jak w Bakersfield, kiedy dotykała się w sypialni, którą dzieliła z siostrami, i czujnie nasłuchiwała, czy nikt nie nadchodzi.

Zorientowała się, że okrągły stolik, na którym stały zdjęcia, był małą obrotową półką na książki, wspartą na postumencie z białego drewna i mosiądzu, na trzech szponiastych nóżkach. Obróciła ją, szybko czytając tytuły. Nieśmiertelni ukochani, Anna Mahler, Arrau, biografie Horowitza i Rubinsteina, Życie i Liszt. Jej spojrzenie przyciągnęła grupa oprawnych w skórę tomów, czarnych, czerwonych, brązowych, zielonych, niebieskich. Wyjęła jeden z nich, w czarnej skórze. Był to album ze starymi fotografiami, mocowanymi na grubym czarnym papierze czarnymi narożnikami. Wszystkie zdjęcia były podpisane białym tuszem, ostrym, wyrazistym charakterem pisma. Strome dachy, domy, ludzie. Kawiarnie, zabawne staroświeckie samochody. Europa, na pewno. Josie myślała, że pojedzie do Europy z Michaelem, że będzie piła kawę w takich kawiarenkach.

Cafe Central, Wiedeń. Grupa pełnych życia ludzi, kobiety w szerokich kapeluszach i w pantoflach z paseczkami na podbiciu, w swetrach z futrzanymi kołnierzami, mężczyźni w płaszczach i kamizelkach, w krawatach. Zestawili kilka małych stolików i uśmiechali się do obiektywu znad kawy i papierosów, niżej wypisane były ich imiona - Schatze, Siggy, Jan, Hector, Kaspar, Mauritz, Lisbeth. Mauritz... Oto i on - młody, ożywiony, z falującymi czarnymi włosami i

seksownym uśmiechem, obejmujący ramieniem ciemnowłosą kobietę, Lisbeth. Josie widziała, dlaczego kobiety uganiały się za nim. Na innym zdjęciu stał pod murem, tuż obok innego mężczyzny, roześmiany, pogodny. Ile miał w sobie radości życia, uczucia, wolności, nigdy by nie pomyślała. Herrengasse, sierpień 1928. Mauritz przy stole w ulicznej kawiarni, z grupą ludzi, ze szklaneczką wina uniesioną w toaście. W mrocznym pokoju, piszący coś na papierze nutowym przy fortepianie, w koszuli z krawatem, ale bez marynarki. Klaviersonate cis - moll, 1929.

Ta kobieta, Lisbeth, była poważniejsza, jej spojrzenie wydawało się bardziej bezpośrednie i śmiałe, i prawie zawsze byli razem. Na spacerze nad rzeką. Tańcząc walca - Mauritz we fraku, Lisbeth w długiej sukni obszytej koronką. Musikverein Ball, 1929. Nie ulegało wątpliwości, że łączyło ich gorące, zmysłowe uczucie. Kobieta była trochę podobna do Meredith, ale nie mogła być jej matką, bo przecież Meredith urodziła się w Stanach, a jej matka miała na imię Pauline. Tacy przystojni, atrakcyjni... Rozmawiali, śmiali się, grali na rozmaitych instrumentach, jeździli na nartach w staroświeckich ciemnych okularach, na łyżwach, brali drinki z tac, które trzymali kelnerzy, także na łyżwach. Josie zazdrościła im tego radosnego marszu przez życie, wydarzeń uwiecznionych białym tuszem, ich imion, miejsc, w których bywali, chwil, którymi żyli. Ich twarze promieniały energią, życiem. Tamte czasy były dużo bardziej rzeczywiste, tamci ludzie bardziej żywi niż współcześni Josie. Teraz życie było martwe, a martwi byli żywi. Zazdrościła każdemu z nich, Mauritzowi i Lisbeth, Schatze, Kasparowi i Janowi. Wyobraziła sobie siebie i Michaela wśród nich, roześmianych i radosnych. Michael odnalazłby się tam bez trudu, nie miała co do tego cienia wątpliwości. Tak, tam powinni się przenieść, gdyby tylko istniał jakiś sposób... Michael dobrze czułby się w

towarzystwie Jana i Kaspara, to byłoby odpowiednie dla niego miejsce.

Następny album, w naturalnej skórze tłoczony w złote poprzeczne linie, zawierał zdjęcia z Los Angeles. Nie było żadnego przejścia, żadnych fotografii z pociągu albo statku, żadnych scen pożegnania, żadnej Statuy Wolności, żadnego „Witajcie w Kalifornii”. Josie zastanawiała się, co mieściło się między jednym a drugim albumem, nie mogła o tym nie myśleć. Tylko daty wskazywały, że jasny album był następny w kolejności. Kartki albumu, na którym przyklejono fotografie, były kremowe, podpisy wykonane czarnym tuszem, krągłym, bardziej dziecięcym charakterem pisma. W Kalifornii Mauritz był opalony, uśmiechał się, rozmawiał z nowymi przyjaciółmi. Stoły przykrywano białymi obrusami, tutaj, w tym domu. Kobieta w szortach śmiała się pod eukaliptusem. Galka Scheyer, 1933. Mauritz na plaży, mężczyźni w kostiumach kąpielowych, szortach i podkoszulkach, Salka i Eisenstein. Jednak Mauritz był już innym człowiekiem. Josie pomyślała, że przypominał dzisiejszy dzień - ciepły w słońcu, lecz pod tą cienką warstwą zimny jak ostry rzeczny prąd.

Na zdjęciach zaczęła pojawiać się blondynka z jasnymi oczami, szeroka w ramionach. Stała przy mikrofonie, jej włosy nad czołem ułożone były w piękne fale. Odpoczywała nad basenem, odsłaniając długie, wcale nie szczupłe nogi. Ambassador Hotel, 1933. Blondynka w gorsecie i koronkowej mantyli, Mauritz z ramieniem na jej karku - widać, że była wyższa od niego. Ich zdjęcie ślubne. Kwiecień 1934. Nawet na przyjęciu jakoś dziwnie nie pasowali do siebie, niby byli razem, ale w zupełnie inny sposób niż Mauritz i Lisbeth w Wiedniu. Blondynka robiła wrażenie zagubionej, nawet na własnym weselu, trochę jakby ktoś przyprowadził ją tam na siłę. Siedziała przy zastawionym drinkami stole wśród

palących cygara mężczyzn, lecz nie żyła przyjęciem, nie była jego częścią, w przeciwieństwie do Lisbeth z czarnego albumu. Po prostu towarzyszyła Mauritzowi, nic więcej.

I nagle, na następnej stronie, blondynka w obszytej koronką narzutce, z ciemnowłosym niemowlęciem na kolanach.

Josie pochyliła się nad zdjęciem, chcąc lepiej przyjrzeć się Meredith i jej matce. Te same oczy... Jednak dziwne, bo Meredith bardziej przypominała Lisbeth niż własną matkę... Dużo fotografii Mauritza na przyjęciach, Salka Viertel, Garbo, Huxley, 1937. Mauritz z Meredith w krótkiej sukieneczce w stylu Shirley Tempie ze sklepu Lanza, z fartuszkim z przodu, bardzo comme il faut. I tylko jedno wspólne zdjęcie ich trojga, przy stole w ogrodzie, za domem. Michael szkicował Josie przy tym samym stole, tamtego dnia, kiedy pływała w basenie. Mauritz trzymał Meredith na kolanach, a nadąsana Pauline paliła papierosa. Josie poznała tę minę, o tak... Pauline na przyjęciu z Mauritzem, który odwrócił się od żony, żeby porozmawiać z ciemnowłosą kobietą po swojej prawej ręce. Hedy Lamarr, u Billy'ego Wildera, 1939. Pauline miała na palcu duży brylant i taki wyraz twarzy jak kobieta w filmie Obywatel Kane, siedząca nad układanką w ogromnym pustym domu.

I nagle ani śladu Pauline... Co się z nią stało? Michael powiedział Josie tylko, że jego babka była piosenkarką, która zostawiła męża i malutką córeczkę. Teraz Josie nie wątpiła, że w tej historii kryło się coś. więcej. Nie była tylko pewna, czy Michael ją znał, ale nie chciał opowiedzieć, czy może przyjął wersję Meredith. Bo jaka kobieta zostawia małe dziecko z ojcem, naprawdę... Patrząc na twarz Pauline na zdjęciu w ogrodzie, naznaczoną mieszkanką znużenia, zniechęcenia i braku nadziei, Josie bez trudu wyobraziła sobie zupełnie inny scenariusz. Romans, może z muzykiem, trębaczem z zespołu

grającego w hotelu Ambassador, kimś, kto nie patrzył na nią z góry, nie gardził nią tylko dlatego, że była solidnie zbudowana, jasnowłosa i niewykształcona, że w porównaniu z Lisbeth była zwyczajną, postawną amerykańską dziewczyną. Jednak Pauline z pewnością nie uciekłaby, zostawiając dziecko Mauritzowi. Nie, Mauritz musiał odkryć jej romans, niewykluczone, że zaproponował pieniądze, byle tylko zniknęła z jego życia i zostawiła mu dziewczynkę. A Pauline przyjęła tę propozycję, bo Mauritz nigdy jej nie kochał, jej obecność przywodziła mu tylko na myśl Lisbeth, nie była mu już potrzebna.

Patrząc na obrazy z następnych lat, na procesję ludzi, na Meredith powoli przeobrażającą się w dziewczynkę, o jakiej marzy większość rodziców, z ciemnymi lokami i jasnymi oczami, których kolor był niewidoczny na biało - czarnych zdjęciach, lecz z pewnością był zielony zielony zielony, Josie nie mogła myśleć o Pauline. Myślała o tym, jak Pauline wzięła pieniądze, może banknoty w kopercie albo czek, a także swoje futra i pierścionek z brylantem, i jak otworzyła gdzieś bar, mały lokal z koktajlami, może na pustyni. Całkiem prawdopodobne, że prowadziła ten bar do dziś, otyła babcia, która każdemu potrafiła dogadać, kiedy trochę się napiła. Może uważała się za szczęściarę, że uciekła z domu w Los Feliz, ratując się przed szaleństwem. Może drugi raz wyszła za mąż, za trębacza, który został barmanem, i urodziła mu kilkoro dzieci, które miały zielone oczy, wszystkie, co do jednego. Tyle tylko, że ich oczy pozbawione były hipnotycznego uroku najstarszej córki Pauline. Zwyczajni ludzie, zwyczajne dzieci.

Josie podeszła do okna, wyjrzała. Czy właśnie taką tajemnicę ukrywała Meredith, czy to możliwe, że zastąpiła matkę w sercu ojca? Tak samo jak Michael zajął miejsce Cala... Kompleks Edypa, łańcuch popieprzonych powiązań...

Dębowe liście wirowały w powietrzu i opadały na wyłożoną cegłami ścieżkę. Wszystko było takie puste... Josie szybko przekartkowała czerwony album, potem zielony. Mała Meredith podająca rączkę jakimś ludziom, dygająca, siedząca przy olbrzymim fortepianie obok dumnego tatusia. Pierwszy recital, czerwiec 1942, Wilshire Ebell. Meredith przy fortepianie, w różnym wieku, uderzająco piękna dziewczynka w ciemnych sukienkach z białymi haftowanymi kołnierzami i mankietami. Lekcje gry, nauczyciele. Meredith z ojcem, teraz siwowłosym, trzymająca puchar albo dyplom. Przyjęcia. Arnold Schonberg, stary mężczyzna z wielkimi uszami i łysiną, o mizernej twarzy, z białą chusteczką w butonierce. Cyd Charisse, Igor i Vera Strawińscy.

Nauczyciele znikają, zostaje młoda kobieta, triumfująca, samotna. Teraz już wysoka, o posagowej, dramatycznej urodzie, z bardzo jasną skórą, fascynująco białą w zestawieniu z czarną suknią, z ciemnymi włosami rozplywającymi się w mrocznym tle sali koncertowej. Jasna, promienna twarz, skupiająca na sobie całe światło. Royce Hall, 1948. Zdjęcia na tle budynków z cegły i bezlistnych drzew. Meredith w ciemnym płaszczu, w towarzystwie starszego mężczyzny o tchnących rozpaczą oczach. Serkin, Curtis, zima 1954. Serkin, nauczyciel Meredith, wielka sława.

Zdjęcie tablicy - Carnegie Hall. Orkiestra Filadelfijska, Ormandy, Serkin, 27 października. Carnegie Hall... Wyglądało to inaczej, niż Josie sobie wyobrażała, chyba trochę mniej imponująco. Potem olbrzymi fortepian, dziewczyna w sukni bez rękawów, długie białe ramiona, za jej plecami orkiestra. Twarz Meredith prawie brzydka, rysy wyostrome od wysiłku. Na następnej fotografii zarumieniona i zwycięska, z bukietem róż, obok otyłego, uśmiechającego się do niej starego mężczyzny.

Kolejny denerwujący przeskok. Zdjęcia z podróży, miast, ważnych miejsc. Berlin. Covent Garden. Concertgebouw. Mężczyźni we frakach, ze wzburzonymi włosami i obco brzmiącymi nazwiskami. Von Karajan, Boulez, lipiec 1956. Boulez... Dwudziestego ósmego miały pójść na koncert Bouleza. Ten sam mężczyzna. Ten sam świat. Czy ona, Josie, także zostanie uwieczniona na takich zdjęciach, Josie i Boulez, 1981? Przerzuciła pocztówki ze zdjęciami gmachów operowych, hoteli - George V, Hotel de l'Europe. Meredith zajęta rozmową ze sławnymi ludźmi, ich sława była prawie namacalna, otaczała ich szczególna aura, nawet tłustych staruszków w grubych okularach. Teraz gwiazdy szukają okazji do zawarcia znajomości z Meredith - David Niven, Simone Signoret, Maria Callas, przystojna kobieta o wyrazistych, zwracających uwagę rysach, przy której Meredith wyglądała na bardzo młodą i eteryczną.

I ani śladu Mauritz, który zabił się w miesiąc po debiucie córki w Carnegie Hall.

Ani jednego zdjęcia z pogrzebu, w którym Meredith nie wzięła udziału, ani jednego zdjęcia grobu, żadnego nekrologu, żadnego zasuszonego kwiatka. Nie mówmy o tym więcej, idźmy dalej i nie oglądajmy się za siebie. Żadnego znaku, że stało się coś złego, tylko nieobecność Mauritza, wszędzie. Najpierw Lisbeth, potem Pauline, potem Mauritz. Śmierć, zniknięcie, coś, o czym się nie mówi, tak jak nie wspomina się o kanale odpływowym, który biegnie pod ulicą - zgnilizna i gówno są tam, nie widać ich, ale je czuć, bo przecież nie rozpływają się w powietrzu. Nieobecność w tle, zawsze i wszędzie. Na ostatniej stronie znajdowała się ta sama fotografia Meredith, która stała przy łóżku - Meredith na kanapie, z ręką założoną za kark. Teraz Josie widziała smutek i nieobecność w jej oczach, tuż pod ogrzaną promieniami słońca powierzchnią jej nowego życia.

Ludzie odsłaniają wszystko, starannie pomijając pewne rzeczy. Nie ma ojca, ale w zielonym albumie pojawia się już Cal. Cap d'Antibes, czerwiec 1957. Jak pięknie wyglądały te litery, jak niezwykle było wszystko, co oznaczały, miejsce, pora roku. Josie spróbowała powiedzieć te słowa przyciszonym głosem. Cap d'Antibes.

- Antib...

Mniej dziecinny charakter pisma, litery wyższe, mniej zaokrąglone. Cal i Meredith, oboje mocno opaleni, na tarasie restauracji, wieczorem. Oboje tacy przystojni... Włosy Cala ciemne jak włosy Meredith, dłuższe, niż nakazywała męska moda tamtych lat. Resztki posiłku na białym obrusie, talerze, butelki i kieliszki. Cal i Meredith siedzą bardzo blisko, Cal pewnie poprosił kelnera o zrobienie tego zdjęcia. Josie zauważyła, że ręka Cala tkwiła pod stołem, ciekawe, co robił, kiedy uśmiechali się do obiektywu... Twarz Meredith pewna siebie, spokojna, ale może ta ręka zawędrowała między jej uda... Może palce Cala zsunęły na bok koronkowe majtki, kiedy kelner prosił ich, żeby zbliżyli się do siebie, no, jeszcze trochę, jeszcze...

Cal i Meredith w bieli, na skuterze, jadą pod górę stromą brukowaną drogą. Grande Corniche, lipiec 1957.

- Grand Kornisz... - szepnęła Josie.

Meredith siedzi bokiem, w sukience, sandałach i dużych ciemnych okularach, mocno przytulona do pleców Cala. Serce Josie biło coraz szybciej. Nigdy nie była z Michaeliem tak intensywnie, tak żarliwie jak Meredith z Caliem. Było w nich tyle życia... Bogaci, sławni i młodzi, piękni jak para koni tej samej rasy.

Odwróciła kartkę i drgnęła, zaskoczona widokiem Meredith w stroju topless, wyciągniętej na leżaku w paski pod parasolem. Długie ciało Meredith, opalone, wyraźnie odcinające się od jaśniejszych pasków. Meredith oparła się na

łokciach, jej piersi były duże, brodawki ciemne i stwardniałe. Po prostu jedno z wielu zdjęć, podobnie jak inne przytwierdzone do papieru małymi czarnymi narożnikami... Josie nie odrywała wzroku od fotografii, próbując zrozumieć, jak Meredith, tak świetnie wychowana, tak *comme il faut*, Meredith, która własnoręcznie podpisywała wszystkie zdjęcia w rodzinnym albumie, tak starannie, jakby miały znaleźć się w podręczniku do historii, Meredith, która nie była w stanie pogodzić się z faktem, że jej syn zakochał się w modelce, mogła umieścić we wspomnianym albumie siebie na plaży z gołymi piersiami. Hipokrytka. A tu Cal w obcisłych, króciutkich kąpielówkach, z wyraźnie rysującym się pod dzianiną penisem... Josie wybiegła kilka kartek do przodu, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie znajdzie jakichś zdjęć Meredith i Cala w trakcie stosunku, obściskujących się nieprzyzwoicie, publicznie, na oczach wszystkich. O Boże, Josie, nie bądź taką wieśniaczką! Przecież to Saint - Tropez! Nie zachowuj się jak dziewczyna z prowincji, na miłość boską! Nie powinnaś w ogóle zauważyć, że Meredith nie ma biustonosza, a Cal z całą pewnością jest nieobrzezany...

I znowu zdjęcia z imprez. Meredith z Calem, Josie rozpoznała Leonarda Bernsteina, widywała jego twarz i gęstą grzywę włosów na okładkach płyt. Jednej fotografii przyjrzała się ze szczególną uwagą. Meredith miała na sobie suknię bez ramiączek, białe rękawiczki nad łokieć, i słuchała siedzącego po jej lewej ręce Bernsteina, który coś do niej mówił. Cal oparł ramię za jej plecami. Wyznaczający granice swego terytorium samiec... On także słuchał, ale nie z takim skupieniem jak Meredith. Chyba byli już małżeństwem, a wszędzie dookoła roіło się od mężczyzn zabiegających o względy Meredith. Problemy już się pojawiły, Josie wyczuwała istniejące między nimi napięcie.

Pojawienie się Michaela. Małe zawiadomienie o narodzinach, białe w błękitnej ramce. Data, waga, długość. Jezu, ile zdjęć można zrobić takiemu małemu dzieciakowi... Był śliczny i zabawny, z długimi rękami wyglądał jak niemowlak z kreskówki Disneya...

Zazdrościła mu, nic nie mogła na to poradzić. Ile zdjęć Josie przechowywali jej rodzice w albumie? Album z fotografiami rodziny Tyrell, pożał się Boże... Obszarpany album w płóciennych okładkach, z odbarwioną aplikacją z plastiku, która wiecznie się odklejała, z późniejszymi zdjęciami po prostu powtykanymi luzem między kartki... I trzy zdjęcia Josie. Jedno z Corinne oraz Bo w wannie. Jedno z Jimmym i ojcem w ciężarówce i ostatnie, to, na którym szesnastoletnia Josie na rolkach podaje colę w dyskotecce i restauracji Rollerama. To wszystko. Poczucie niesprawiedliwości mocno chwyciło ją za gardło, kiedy patrzyła na fotografię trojga Faradayów w hamaku pod wielkim dębem. Ci ludzie coś znaczyli, zakładali, że następne pokolenia będą chciały wiedzieć, co robili w czerwcu 1960 roku. Dokumentowali swoje życie, tymczasem zdjęcia w albumie rodziców Josie były zupełnie przypadkowe. Ktoś miał akurat pod ręką aparat fotograficzny, uznał, że coś jest zabawne, i pstryknął fotkę. Wujek Dave, który zasnął na kanapie w czasie imprezy, ktoś z miseczkami biustonosza na uszach, jakby to były nauszники...

Ale album Faradayów nie miał szans trafić w ręce następnych pokoleń. Rodzina wygasła. Dokumentowanie wydarzeń okazało się niepotrzebne. Meredith i Michael, szepczący sobie do ucha jakieś tajemnice na kanapie, mała dłoń dziecka na piersi matki. Boże, gdyby tak mogła mieć jego dziecko... Taki słodki malec... Pośpiesznie odwróciła kartkę. Cal na spotkaniu z czytelnikami, podpisujący książkę. Cal, palący papierosa nad maszyną do pisania, przy biurku w

gabinecie Mauritza, przystojny, w niedbałym stylu... Każde zdjęcie nadawało się na okładkę. Meredith na huśtawce za domem, czytająca książeczkę Michaelowi w pieluszce. Meredith z Michaeliem na kolanach przy wielkim fortepianie w salonie, jego małe rączki na klawiszach, jej duże dłonie po bokach. Wiesz, jak to z nimi było... Michael w samolocie, w marynarczce i szortach, poważnie rozmawiający z pilotem. Cztero- lub pięcioletni Michael nagi w hamaku, czytający książkę, nie książeczkę dla dzieci, ale książkę w twardej okładce, z roztargnieniem, może nieświadomie bawiący się siusiakiem. Książka na pewno była ciężka, bo oparł ją o hamak. Gdyby był to inny chłopiec i nie onanizowałby się, można by pomyśleć, że zdjęcie zostało celowo upozowane. Chmura ciemnych loków i długie rzęsy, wyglądał jak bohater bajki, jak mały Tarzan.

Sześćcioletni Michael z palcami wplątanymi we włosy Meredith, ssący kciuk. Meredith słuchająca niskiego czarnoskórego mężczyzny w marynarce i krawacie, oboje z drinkami w ręku. I dalej już ani jednego zdjęcia Cala. Następny marynarz za burtą. Koniec z mężem.

Zniknięcie Cala dało początek drugiemu okresowi wypraw. British Museum, styczeń 1964. Biblioteka Bodleian. Michael i jakiś młody człowiek, oglądający coś przy stole pod wysokim oknem, wśród cieni gałęzi drzew. Bloomsbury. Michael naprzeciwko kudłatego, szeroko uśmiechniętego Hindusa, pochylony w charakterystycznym ukłonie, z czubkami palców przyciśniętymi do czoła, Maharishi Mahesh Yogi. Przyjęcia, barwnie ubrani ludzie, płócienne namioty, kapelusze o szerokich, opadających rondach. Meredith w czarnej sukni, potrząsająca dłonią młodej kobiety o końskiej twarzy. Występ w Windsorze, kwiecień 1964. Meredith siedząca na stopniach greckiej świątyni. Partenon. Długie ciemne włosy, jasna sukienka na ramiączkach i sandały

wiązane na rzemyki do połowy łydki. Głębokie rozcięcie z boku odsłaniało białą koronkę majtek.

Oni dwoje, Meredith i Michael, bardzo opaleni, na koniu, na wielbłądzie, w malutkim samolocie. Popękane kolumny na pustyni, podobne do szkieletu gigantycznego dinozaura. Palmyra. Zniszczone dwupiętrowe domy z okiennicami na krętych uliczkach. Konstantynopol. Ptaki w klatkach, lśniąca kopuła. Isfahan. Dymiący stos na schodach tuż nad rzeką. Benares. Stosy na brzegu Gangesu... Płonące zwłoki, wyraźnie widoczne, czarne jak mięso na grillu. Inaczej to sobie wyobrażała, zupełnie inaczej. Ciało zmarłego naprawdę było widać wśród płomieni.

Michael tańczący z blondynką w minispódnicze, chyba na jakimś balu, wpatrzony w jakiś punkt nad ramieniem dziewczyny, która utkwiała wzrok w jego twarzy. Kotylion, 1970. Michael grający w tenisa, to samo zdjęcie, które nosił w portfelu jego ojciec. Nie jestem szczególnie usportowiony... Michael na nartach. Josie czuła, jak jej gniew narasta powoli, stopniowo. Dlaczego chciał, żeby widziała go jako kalekę, skoro potrafił jeździć konno, grać w tenisa, pływać, prowadzić samochód? Co go w tym kręciło? Czy cały czas udawał i śmiał się z niej w duchu? Czy to możliwe, że kochała kogoś, kto nigdy nie istniał, stworzoną przez niego kukłę naturalnych rozmiarów, którą umiejętnie poruszał, pociągając za sznurki?

Michael z bukietem czerwonych kwiatów. Siena, 1971. Michael zaczytany na kanapie. Kolonia, 1972. Meredith w kawiarni, obserwująca sunące ulicą samochody, z obnażonym ramieniem. Cafe de Flore. I jeszcze jedno zdjęcie Meredith i Michaela, na pewno zrobione przez kelnera. Michael już starszy, może piętnastoletni. Stykają się głowami, te same oczy, ten sam wyraz twarzy.

Meredith i Michael na szerokim leżaku w pasy pod plażowym parasolem, z białymi żaglami w tle. Saint - Tropez,

lipiec 1973. Meredith z nastoletnim synem, ubrana tylko w wiązane na biodrach figi od kostiumu bikini. Wychylona do przodu, z piersiami na wierzchu, już nie tak jędrnymi, ale nadal pięknymi, Michael klęczący za nią, rozsmarowujący olejek do opalania na jej plecach. Meredith odwróciła głowę, mówi coś do niego. Dwie ciemne głowy, twarze zbliżone na taką odległość, że mogliby się pocałować...

Josie poczuła, jak jej płuca sztywnieją, naciskają na serce. Zmrużyła oczy, przyjrzała się tchnącej spokojem twarzy Meredith. Wyglądali jak kochankowie. Boże, naprawdę wyglądali jak kochankowie... Wróciła do zdjęcia w kawiarni, tam też to wyczuwała, jakiś wspólny sekret. Głowy tak blisko, skroń w skroń... To nie był chłopak z matką. Chłopak z matką powinien być odrobinę znudzony, trochę nadąsany, pełen zrozumienia, w najlepszym razie czułości. Wróciła do Saint - Tropez, wpatrywała się w fotografię tak długo, aż obraz zaczął się rozmywać przed jej oczami. Jego twarz, rzęsy na policzkach, jakby był pogrążony we śnie... Znała ten wyraz jego twarzy, rozmarzony, zmysłowy.

Och, nie bądź śmieszna... Przecież ktoś zrobił im to zdjęcie, jakiś przyjaciel czy znajomy... Nie byli tam sami. A jednak jej umysł wciąż atakował to zdjęcie, uderzał w nie jak fala w skalisty brzeg. To nie byli ludzie, z jakimi zwykle miała do czynienia. Może przypominali rasowe psy albo konie wyścigowe, nagradzane na wystawach zwierzęta, tak bardzo rasowe, że mogą pieprzyć się tylko ze sobą... Uważali, że to ludzie tacy jak Tyrellowie żenili się w rodzinach, głównie z kuzynami, gdy tymczasem to oni sami robili takie rzeczy...

Odwróciła kartkę, ale dalej wszystko już było normalnie, jakby nic się nie stało. Michael w szkole, w stajni, z koniem, oparty o ogrodzenie. Obrażony na cały świat, rozparty na krześle. Meredith ze znajomymi, w wieczorowej sukni. Ale teraz Josie wiedziała już, czego szukać. Historia kryła się nie

w zdjęciach, lecz w lukach między nimi. W tym, czego pozornie nie było. Nagle Meredith i Michael przestali razem podróżować, Michael trafił do szkoły w Ojai, skończyły się intymne pogawędki w kawiarniach i nacieranie pleców olejkiem na francuskiej plaży. Josie spojrzała na zdjęcie w srebrnej ramce. Michael patrzył w obiektyw znad okrągłych okularów, oparty o porośniętą powojem ścianę budynku w Harvardzie. Ten wyraz twarzy... Cała ta ironia, mieszanka smutku, poczucia humoru i Boscha... Czy przyczyną tego wszystkiego było Saint - Tropez, lipiec 1973?

Dotknęła jego twarzy, jego warg, szerokich ust o uniesionych kącikach. Czy kiedykolwiek naprawdę należał do niej? Czy też jedyna osoba, którą kochał, stała za obiektywem? Cień Meredith kładł się na wszystkim, co ich łączyło.

Odłożyła album na miejsce. Teraz całym sercem żałowała, że Meredith nie spaliła domu aż do fundamentów. Że nie zrobiła tego dużo wcześniej, kiedy ich miłość żyła, biedna, zmęczona, lecz jeszcze do uratowania. Teraz nie zostało już nic poza paskudną, niemożliwą do zamaskowania prawdą, że była dla niego niczym. Zerem. Chwilową aberracją, błędem w ocenie, może rozpaczliwą próbą odepchnięcia nocy.

Cóż, i tak o tym wiedziała... Czy nie zadawała sobie pytania, co najmniej milion razy, po co mu taka dziewczyna? No i okazało się, że jemu w ogóle nie chodziło o nią. Absurdalne. Śmieszne. Miała służyć jedynie odwróceniu uwagi, była czymś, co wyrzuca się z samochodu, żeby powstrzymać gliniarzy i uciec.

Przeszła przez obie garderoby i wyszła do holu. Pokojówka niosła właśnie do łazienki cały stos ręczników. Podniosła wzrok dokładnie w tym momencie, kiedy Josie stanęła w progu pokoju Michaela.

Josie odezwała się pierwsza.

- Było między nimi coś więcej niż uczucie matki i syna, prawda? We Francji... Byłaś tam, więc wiesz...

Sofia milczała. Bez słowa podała Josie dwie paczki papierosów, niebieskich gauloise'ów.

- Nie powinnaś tu być - powiedziała w końcu. - To nie jest twój dom... - sięgnęła ręką za plecy Josie i zamknęła drzwi pokoju Michaela. - Zostaw nas.

- Może tak zrobię... Może tak zrobię, kurwa mać... Poszła do siebie, do gościnnego pokoju, który przywykła

już uważać za własny, otworzyła paczkę papierosów i zapaliła. Cal mówił prawdę, od samego początku wszystko kręciło się wokół Michaela i Meredith. Josie mogła opowiadać sobie różne piękne historyjki, ale w gruncie rzeczy nie była lepsza od matki, która żyła w świecie filmowych fantazji z Elizabeth Taylor, Jamesem Deanem i Natalie Wood w rolach głównych, chociaż mieszkała na środku placu zastawionego ciężarówkami. Od matki, która w ogóle nie zdawała sobie sprawy, że żyje w krainie ułudy, nie rzeczywistości.

29. Paryż

Josie odpoczywała na leżaku w plamie powoli zachodzącego słońca. W domu kwintet przestał grać, tym razem chyba na dobre. Trzymała w ręku tamto zdjęcie. Jej walizka była spakowana, miała w niej tylko te rzeczy, które Sofia przywiozła z domku na Lemoyne, nie zamierzała brać niczego, co dostała od Meredith. Słońce przesunęło się w kierunku obserwatorium, zmrok już czaił się za drzewami. Ulotność piękna... Odchyliła głowę do tyłu, wystawiła twarz na ostatnie ciepłe promienie. Ostatnio stała się bardzo elegancka. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że tajemnicą elegancji jest chłód. Plamy światła tańczyły na powierzchni basenu, złociste kropki na ciemnym tle.

W końcu Meredith wyszła przez francuskie okno na taras nad basenem, podobna do wychodzącej na scenę aktorki. Przeciągnęła się, uniosła ramiona nad głowę, rozłożyła dłonie, splotła je, zrobiła skłon najpierw w jedną, potem w drugą stronę, opuściła ręce, westchnęła z zadowoleniem.

- Ach, było cudownie, tak długo już nie grałam... Co porabiałaś, Josie?

I wtedy zauważyła walizkę.

Josie czekała. Właśnie tak należy grać, trzeba kontrolować milczenie. Założyła nogę na nogę, jak Elena, i zapaliła papierosa. Zimna wściekłość kłębiła się w jej sercu, kiedy tak patrzyła na Meredith, na jej ciało, tak podobne do jego ciała. Ta sama gracia ruchów, długie nogi, długie ręce, miękkość stawów bioder, barków i przegubów dłoni. Ten wielki, niezmierny egoizm. Patrzyła na swoją rywalkę, miała ją przed sobą. Przez cały czas. Powachlowała się trzymanym w ręku zdjęciem, przyciągając uwagę Meredith, chociaż ta udawała, że niczego nie widzi. Zerwała kilka uschniętych liści z krzewu rosnącego w kamiennej urnie, jednej z dwóch ustawionych przy schodach prowadzących do basenu.

- Jest strasznie tajemnicza - powiedziała Meredith do rośliny. - Nie ma to jak przyjemna tajemnica na koniec dnia...

Sofia stanęła w drzwiach kuchni, ubrana w prostą sukienkę i pantofle na obcasach, w wykrochmalonym fartuszkach, z tacą, na której stały dwie szklanki. Szkocka z lodem dla Meredith, w drugiej coś bezbarwnego. Postawiła tacę na stole, na tarasie, tam gdzie matka Meredith siedziała kiedyś z Mauritzem i malutką ciemnowłosą dziewczynką, a potem podała drugiego drinka Josie, która siedziała nad basenem. Podsunęła Josie tacę w taki sposób, żeby dziewczyna sama zdjęła z niej szklankę. Na wąskiej twarzy kobiety malował się wysiłek ukrywania informacji. Josie zorientowała się, że Sofia nie powiedziała Meredith o tym, iż przyłapała ją w drzwiach pokoju Michaela. Zostaw nas, mówiły oczy Sofii, w których Josie widziała swoje odbicie - żółte sztuczne futerko, biała kropka tlenionych włosów, ciemne okulary w stylu Jackie O.

Meredith usiadła przy stole i pociągnęła łyk drinka, a Josie wyobraziła sobie geparda, wyciągniętego na jednej z tych grubych gałęzi nad jej głową, czekającego na jakiś łakomy kąsek, na który można by skoczyć. Wielkiego kota, obojętnego jak Bóg, chociaż oczywiście wcale nieobojętnego w oczach jelenia, który miał wziąć na siebie ten skok, jelenia, który siłą rzeczy musiał potraktować ten atak jako sprawę bardzo osobistą.

Napiła się wódki z lodem. Alkohol sparzył śluzówkę nosa i gardła. Właśnie tego potrzebowała, tego parzącego ciepła, które w końcu ją rozgrzało. Właśnie coś takiego należy pić w czasie wyprawy na Syberię, gdzie stosy trupów leżą przy torach kolejowych. Albo przed wejściem do klatki tygrysa.

Meredith podniosła się i zaczęła chodzić po górnym tarasie. Chwilę patrzyła na korony drzew i kopuły obserwatorium, potem zbiegła po schodach, lekko i cicho,

wciąż jak wielki kot. Josie znowu się napiła, nie spuszczać oczu z Meredith. Nie mogła oderwać od niej wzroku, doskonale rozumiała, w jaki sposób matka Michaela bierze w posiadanie koncertowe sale, skupiając na sobie uwagę całej widowni. Teraz szła z drinkiem w dłoni wzdłuż brzegu basenu, za jej plecami złociste promienie zachodzącego słońca barwiły grube gałęzie dębów, ciemne włosy zapłonęły. Przystanęła, żeby zerwać kilka zbrązowiałych kwiatów z krzewu różowej kamelii, rzuciła je na trawę. Schyliła się i zgmiotła w palcach jakiś liść, powąchała go.

- Uwielbiam pachnące geranium, wszystkie odmiany - powiedziała. - Mamy tu cytrynę, miętę pieprzową i nawet czekoladę... Wąchałaś to?

Podeszła do Josie z wyciągniętą ręką, tak blisko, że widać było wilgotne włosy, efekt zmęczenia po domowym koncercie.

- Opowiedz mi o Saint - Tropez.

Meredith zatrzymała się w pół kroku, na ułamek sekundy, ale Josie dokładnie widziała każdy jej gest jak w powiększeniu, zauważyła też, jak skuliły się jej źrenice. Potem Meredith uśmiechnęła się, rozluźniła, podniosła rozgnieciony liść geranium do nosa.

- Takie sobie uzdrowisko, już trochę niemodne. Wszyscy jeżdżą teraz na Ibizę. Dlaczego pytasz?

Josie wiedziała, że Meredith widzi fotografię. I że udaje niewiniątko, podczas gdy jej giętkie gepardzie ciało jest coraz bliżej i bliżej.

Przełknęła duży łyk wódki, poczuła uderzenie fali gorąca w głowie. Nie było jej już zimno. Ciepło wypełniło żyły, kiedy patrzyła na matkę Michaela, przyczynę całego nieszczęścia.

- W siedemdziesiątym trzecim też było niemodne? Wtedy, gdy byłaś tam z Michael'em?

Josie postukała paznokciem w brzeg zdjęcia.

- Może... - powiedziała Meredith. - Ale my byliśmy wierni naszym własnym tradycjom... Michael kochał rytuały, zwyczaje i tradycje. Wydaje mi się, że dzięki nim czuł się silniejszy, znajdował w nich oparcie, bo w gruncie rzeczy jesteśmy koczowniczym, wędrownym plemieniem...

- Tamtego lata zdarzyło się coś innego. - Josie czuła, jak po wódce krew pulsuje jej w uszach.

Ostatnio była taka spokojna, jakby pogrążona w letargu. Teraz cieszyła się przyływem energii, szybkim rytmem serca, pełnego krwi i wzburzenia.

- Może... - Meredith przeszła za plecami Josie. Dziewczyna słyszała, jak kostki lodu grzechoczą w jej szklance. Nie chciała przechylać się do tyłu, żeby widzieć Meredith, przekręciła tylko głowę. Nie podobało się jej, że Meredith stoi za nią. Nie powinno się spuszczać ich z oczu, ani na chwilę, ani na sekundę.

- Co takiego stało się w Saint - Tropez, że już tam więcej nie pojechaliście?

Wilgotne prześcieradła, zapach morza, tylko oni dwoje. Kto by się domyślił? Mogli udawać, że nic się nie stało. Oboje uwielbiali przecież udawać, grać.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz...

Teraz Josie widziała Meredith. Kobieta podeszła na brzeg basenu, przykucnęła, zanurzyła palce w wodzie. Potem spojrzała na Josie, przyszpiliła ją do leżaka zielonymi oczami.

- Zawsze się zastanawiałam, na czym polega twoja władza nad nim, i nic nie mogłam wymyślić... Czasami myślałam, że jesteś jak heroina, której nie da się odstawić...

Meredith wreszcie przestała udawać, że bada temperaturę wody, na dworze było zimno, więc woda w basenie musiała być lodowata, nie trzeba mieć dyplomu, żeby się zorientować, jak jest. Wyprostowała się bardzo szybko, zaskakująco

szybko. Przez głowę Josie przemknęła myśl, że Meredith zaraz ją uderzy, ale ona tylko strząsnęła krople wody z dłoni.

- Skąd się to wszystko wzięło? Naprawdę, Josie, cztery godziny temu byłaś szczęśliwa jak skowronek... Może jednak nie powinnaś popijać lekarstw alkoholem, co?

Podeszła bliżej i usiadła obok na leżaku.

Josie wypuściła z ust kółko z dymu, potem drugie, mniejsze, które znalazło się w środku pierwszego. Warstwa pod warstwą. Tak to tutaj rozgrywali, jedno kółko w drugim. Czerwień pod zielenią, kiedy człowiekowi już wydawało się, że wie, o co chodzi.

- Powiem ci coś o twoim synu... - Josie wypła wódkę do dna, dmuchnęła dymem. - Wiesz, co lubił? Lubiał coś robić, kiedy udawał, że robi coś zupełnie innego... - postawiła szklankę na stoliku między nimi, przechyliła się nad blatem, tak że jej twarz znalazła się w odległości kilku centymetrów od twarzy Meredith, i zniżyła głos do szeptu. - Uwielbiał na przykład, żebym pieściła go, gdy rozmawiał z tobą przez telefon...

Teraz wreszcie dotarła do Meredith. Nie zamierzała dać się dłużej zwodzić tym gównianym pozorom wielkiej klasy. Nie zamierzała dłużej podporządkowywać się woli matki Michaela. Czowała gęsty aromat jej perfum, zmieszany z zapachem potu po koncercie ze staruszkami.

Meredith zamrugnęła, postawiła swoją szkocką na stole, utkwiała zielone spojrzenie w oczach Josie.

- Dlaczego próbujesz mnie zranić? Przyjęłam cię do domu, zaopiekowałam się tobą jak własnym dzieckiem...

- Co stało się w Saint - Tropez?

Josie zagięła róg fotografii. Meredith i jej gepardzi syn, on nacierał ją olejkiem, ona mruzczała z rozkoszy. Meredith nie patrzyła na zdjęcie, wpatrywała się tylko w Josie takim

wzrokiem, jakby spodziewała się, że lada chwila wyrośnie jej druga głowa.

- Michael nigdy nie odzyskał równowagi po tamtych wakacjach - oznajmiła Josie.

- Tak ci powiedział? - zapytała ostro Meredith.

I zaraz się wycofała, pociągnęła łyk szkockiej z topniejącym lodem, która pachniała jak płonący las. Uśmiechnęła się.

- Och, Josie, sama wiesz, jaki był Michael... Jak strasznie histeryzował i dramatyzował...

Czerwień pod zielenią. Więc jednak była to prawda.

- Pieprzyłaś się z nim. W Saint - Tropez. Josie położyła zdjęcie na stole.

Meredith popatrzyła na nie, ale nie wyciągnęła ręki, nie dotknęła. Wzięła długi oddech, zmysłowy wdech, wolny, głęboki wydech.

- Skąd to masz? Grzebałaś w moich rzeczach?

- Nagle zależy ci na prywatności? Tobie, właśnie tobie? - Josie stuknęła wskazującym palcem w fotografię. - Wyjaśnij mi to, jeśli potrafisz.

Meredith uśmiechnęła się szerzej, parsknęła śmiechem, odsłaniając wspaniałe białe zęby, równe jak płyty chodnikowe, wyginając w łuk długą kolumnę szyi.

- Josie Tyrell, ależ jesteś pruderyjna... Kto by pomyślał? Codziennie rozbierasz się do rosołu, ale wystarczy jedno spojrzenie na zdjęcie matki, która opala się razem z synem, i już stajesz się rzecznikiem moralności, mój ty Boże... - otarła kąćki oczu, załzawione ze śmiechu. - Boże, Boże, jesteś tak typową Amerykanką... Amerykanie boją się ciała, boją się seksu, a jednocześnie mają obsesję na tym punkcie... Co cię najbardziej boli? Że cię tam nie było czy że ktoś w moim wieku mimo wszystko dobrze czuje się we własnej skórze?

Josie pomyślała, że mogłaby ją zabić. Saint - Tropez, lipiec 1973.

- Chyba aż za dobrze! - wybuchnęła, wskazując zdjęcie palcem. Miała wielką ochotę wcisnąć twarz Meredith w błyszczący kartonik. - Aż za dobrze, cholera jasna! Obok ciebie był twój syn, nie obcy człowiek!

Meredith spojrzała na fotografię, na siebie i Michaela, i smutek zastąpił uśmiech, który na moment pojawił się na jej ustach.

- Nasze ostatnie dobre lato... - powiedziała, odgarniając do tyłu ciemne włosy. - Może kiedyś będziesz miała syna i wtedy zrozumiesz, że jest to wyjątkowy związek...

Josie chwyciła zdjęcie i podsunęła je przed oczy Meredith, żeby mogła dokładnie mu się przyjrzeć.

- Nie chciałaś, żeby miał dziewczynę! Spieprzyłaś wszystko, co mogłaś spieprzyć, i teraz już wiem, dlaczego tak się stało!

„Cywilizacja i jej negatywne strony”. Trzymała przed sobą zdjęcie tak, jak policjant trzyma swoją odznakę. Spróbuj mi to wytłumaczyć, kurwa mać...

Meredith nie patrzyła już na fotografię, tylko na Josie. Jej oczy były chłodne i zupełnie spokojne.

- Postaraj się mnie zrozumieć. Straciłam tyłu bliskich. Byliśmy ze sobą mocno związani, to prawda, czy kiedykolwiek mówiłam ci coś innego? I to prawda, że nie akceptowałam ciebie, uważałam, że mógłby znaleźć sobie kogoś lepszego. Może popełniłam błąd, zresztą nie tylko ten jeden. Przyznałam ci się do tego, chyba pamiętasz... Ale to, co sobie w tej chwili wyobrażasz, wykracza poza granice wszystkiego, do czego byłabym zdolna. Naprawdę. Musisz mi uwierzyć.

Josie wciąż trzymała fotografię, lecz teraz była już trochę mniej pewna swoich racji. Sięgnęła po szklanę, ale nie było w niej ani kropli alkoholu.

Meredith położyła chłodną rękę na jej przegubie i delikatnie przycisnęła. Josie zaskoczył widok tej dużej dłoni na jej ręce, która wyglądała jak gałązka pod potężną tygrysią łapą. Nagle ogarnęło ją wielkie zmęczenie.

- W Europie kobiety opalają się razem ze swoimi rodzinami i nikt nie myśli, że uprawiają seks, przysięgam...

Łagodnie wyjęła zdjęcie z palców Josie i wstała, odwracając się twarzą do zachodzącego słońca. Ostatnie promienie lizwały kopuły obserwatorium, dęby i basen, wszystko to przypominało plakat przedstawiający Kalifornię z czasów, gdy jeszcze rosły tu pomarańczowe gaje.

- Nie przeszkadza mi nawet, że przeglądałaś moje rzeczy. Przejrzyj wszystko, nie ma to już dla mnie żadnego znaczenia, weź sobie moje ubrania, jeśli chcesz... Tylko przestań myśleć o mnie jako o potworze za każdym razem, kiedy zobaczysz coś, czego nie rozumiesz...

Wcześniej czuła to tak wyraźnie, ale teraz nie była już pewna. Może faktycznie wcale się nie pieprzyli... Może rzeczywiście było tak, jak mówiła Meredith, może łączyła ich tylko wyjątkowo gorąca miłość matki i syna, może takie uczucie od tego nienormalnego dzieliła linia tak cienka, że prawie nieistniejąca... Jeszcze jedna smutna rzecz, coś, czego Josie nigdy nie pozna do końca. Ostatecznie nie była tam z nimi, prawda? Więc nie mogła być pewna... A jeżeli jednak było tak, jak sądziła? Co z tego? Teraz nikt już nic na to nie poradzi, nie da się cofnąć czasu ani odwrócić zdarzeń. Linia jej pleców, tak podobnych do pleców Michaela... Wyprostowane ramiona, siła ukryta w smukłym kształcie... Tak bardzo za nim tęskniła... Była strasznie zmęczona, chciało jej się płakać.

Meredith zerknęła na zdjęcie i szybko wsunęła je do kieszeni spódnicy.

- Jest coś, o czym chciałam z tobą porozmawiać... - usiadła na leżaku Josie, w nogach. - Postanowiłam zamknąć dom. Wybieram się na tournée.

Zamknąć dom? Chwilę wcześniej Josie była gotowa zabić Meredith, a teraz poczuła się opuszczona. Meredith wyjeżdżała? Tak samo jak Cal. Brali się w garść i ruszali w trasę. Buenos Aires, Bombaj... Meredith chciała zostawić ją tutaj, porzuconą, zapomnianą. Tak samo jak zostawił ją Michael. Ci ludzie wyciągali cię na moment z kąta, bawili się tobą, a potem zostawiali w kałuży, na deszczu. Meredith wybierała się na tournée. Aplauz, wielbicie i hotele pięciogwiazdkowe, a Josie? No właśnie, co z Josie? Miała wrócić do tekturowego domku na Lemoyne. Do bezsenności i martwych snów, sunących po podłodze pustych pokoiów jak wyschnięte liście.

- Kiedy postanowiłaś wyjechać?

- Dosłownie przed chwilą...

Szybko wymierzała karę. Jezu Chryste...

- To przeze mnie... Przez to...

- Nie! Nie, Josie... - Meredith zamknęła drobne dłonie Josie w swoich dużych. - Jestem pianistką, to jedyny powód. To jedyna motywacja mojej decyzji, naprawdę... - Delikatnie zdjęła ciemne okulary z nosa Josie i zajrzała do jej serca wzrokiem, który był jak dotyk. - Posłuchaj, tutaj nie czeka już na mnie nic dobrego... Przeżywałam już żałobę, więc możesz mi wierzyć. Ludzie mówią, że czas leczy wszystkie rany, ale to nieprawda... - Położyła okulary na stole, obok mokrych szklanek. - Może pomyślisz, że jestem bez serca, ale to nie tak...

Josie nie znosiła, kiedy ludzie zakładali, że wiedzą, co ona myśli.

- Skąd możesz wiedzieć, co pomyślę?

- Komuś mogłoby się wydawać, że czeka mnie jedna wielka zabawa... Obsługa hotelowa na życzenie, uroczyste przyjęcia, bankiety, limuzyny... To tylko pozory. Tournée to niekończąca się seria sal koncertowych i prób, i więcej taksówek oraz dworców kolejowych, niż potrafisz sobie wyobrazić...

Właśnie tak to sobie wyobrażała, lecz jakie miało to teraz znaczenie? Meredith postanowiła zabrać zabawki i wracać do domu... Sofia zasłoni kandelabry, żyrandole i meble pokrowcami, zamknie drzwi i razem ze swoją panią wyruszy do Tunezji albo Timbaktu. Zupełnie jak pieprzony Cal... Znowu będą w drodze. Co za cholerni ludzie... Zostawią ją tutaj, ze śmiercią Michaela na kolanach... Otworzyła szkolną torbę, żeby poszukać papierosów.

Gdy Meredith wyciągnęła rękę, Josie instynktownie szarpnęła głowę do tyłu, ale tamta tylko uniosła jej podbródek, żeby spojrzeć w oczy.

- Chciałabym, żebyś pojechała ze mną.

Josie usłyszała te słowa, ale w głowie tak jej szumiało, że nie była pewna, czy ich sobie nie wyobraziła.

- To, że spędziłaś tu trochę czasu, miało dla mnie ogromne znaczenie. Może i jesteś upierdliwa, ale nie mam nikogo poza tobą...

Świat, który chwilę wcześniej skurczył się do wielkości ziarnka grochu, teraz znowu rozkwitł. Miałaby pojechać z Meredith na tournée? Wiedeń, Hamburg, Edynburg, Concertgebouw? Ona? Czy Meredith mówiła poważnie? Serce biło jej tak głośno, że jego uderzenia zagłuszały wszystkie inne dźwięki. Próbowwała powtarzać sobie, że to jest kobieta, która pożarła go żywcem, zniszczyła, skazała na katastrofę, ale dużo bardziej bała się tego, że zostanie sama. Zdawała sobie sprawę, że Meredith każe jej zapomnieć o wszystkim, co

wiedziała, a w zamian zaoferuje coś, czego nigdy nie miała, ale kto mógłby mieć jej za złe, że jest gotowa przyjąć tę propozycję i dobić targu... Kto? Każdy. Ale niby dlaczego ktokolwiek miałby się wtrącać w jej sprawy? Nic nie mogło stanąć jej na drodze. Kos przeleciał nad cichym basenem, odezwał się spośród kamelii.

- Ale co ja tam będę robić, kiedy ty będziesz zajęta próbami i dawaniem koncertów?

Meredith roześmiała się lekko, pogłaskała policzek Josie wierzchem wskazującego palca.

- A co robisz tutaj?

Josie próbowała coś wymyślić, odgadnąć, o co chodzi Meredith, ale w głosie miała tylko jasny, pusty ekran i nawet nie wiedziała, o co zapytać.

Meredith objęła ją. Wzięła w ramiona, razem ze sztucznym futerkiem i całą resztą. Josie czuła siłę matki Michaela, wdychała jej zapach, aromat szkockiej, którą piła.

- Josie, jesteś narzeczoną mojego syna. Moją synową. Jedyną bliską osobą, jaką mam. Postaramy się, żebyś się dobrze bawiła, obiecuję...

W głowie Josie odezwał się cichy głos, zazdrosny głos jej ojca. „Masz własną rodzinę. I wiesz, jak i gdzie kończą jej bliscy"... Ale gdzie skończyła rodzina Josie? W Bakersfield. Na pseudoreligijnych spotkaniach, gdzie przemawiali nawiedzeni kaznodzieje. W zakładach poprawczych. W marnych firmach.

- Jak długo nas nie będzie?

Meredith nie zdjęła ręki z ramion Josie, nadal ją obejmowała.

- Nie wydaje mi się, żebym miała tu jeszcze wrócić... Raczej nie. Mam dosyć tego miejsca. Mam nadzieję, że całe to przeklęte miasto zapadnie się do morza...

Czy naprawdę mogła tak po prostu spakować się i wyjechać? Nigdy w życiu. Brzmiało to tak zdecydowanie, tak ostatecznie. A jednak było to możliwe, takie rzeczy naprawdę się działy. Zdarzały się sytuacje ostateczne, oszałamiające, rzucające na kolana. Nigdy w życiu. Osoba, którą kochamy najbardziej na świecie, umiera, a my wyjeżdżamy i nigdy już nie wracamy.

- I jak? Chcesz ze mną jechać?

Josie wzięła głęboki oddech, skinęła głową. Było to bardzo słabe skinięcie, ale widoczne i zrozumiałe. Znaki i sygnały.

- Dobrze, zadzwonię do Markovskiego... Niedługo będziemy gotowe do drogi, zobaczysz... - Meredith zacisnęła palce na jej ramieniu, wstała. - Zaczniemy od Paryża. Wiem, że będziesz zachwycona. Mam mieszkanie w szesnastej dzielnicy, tuż obok Avenue Foch... - strzepnęła spódnicę. - Szczerze mówiąc, dziwię się, że Michael nigdy cię tam nie zabrał...

Mieszkanie w szesnastej dzielnicy, tuż obok Avenue Foch... Josie czuła się tak, jakby nagle trafił w nią piorun i rozdarł ją na pół, od góry do dołu. Wszystkie te wieczory, które spędzili w swoim marnym mieszkanku przy Lemoyne, marząc o Paryżu... A mogli po prostu wsiąść do samolotu i polecieć do Paryża, tak? Kurwa mać... Josie harowała jak wół, żeby zarobić na czynsz, jedzenie i materiały malarskie, a w paryskiej szesnastce czekało mieszkanie? Daleko od Montmartre'u, pieprzony dupku? Bardzo daleko? Mogli pojechać tam w każdej chwili, ale on nie chciał! Nie zależało mu, żeby wpuścić ją do środka, ochronić przed zimnem, ułatwić życie! Wolał hodować ją w ciemnej piwnicy jak jakiegoś przekłętą ziemniaka! I czekał, aż ich życie zamknie się wokół nich!

Dobrze, że robiło się już ciemno, bo jej policzki płonęły gniewnym rumieńcem, a oczy paliły od łez. Kim ty właściwie byłeś, do ciężkiej cholery?! Wytworem wyobraźni? Ale czyjej? Jej? Jego? Czy raczej wspólnie stworzoną iluzją?

Meredith mówiła dalej, przechadzając się nad brzegiem basenu, zrywając uschnięte kwiaty z krzewów.

- Zatrzymamy się na trochę w Paryżu, żeby złapać oddech, a potem pojedziemy do Frankfurtu i tam zaczniemy tournée. Sześć tygodni w Niemczech, trzy w Szwajcarii, na zakończenie Wiedeń. Będziemy mieszkać w hotelu Imperial, zobaczysz, jaki piękny... Gram Drugą Symfonię Brahmsa, Bóg wie, dlaczego akurat to, sama rzucam się na pożarcie lwom, ale przy ustalaniu szczegółów wydawało mi się, że to dobry pomysł...

Cafe Central, Wiedeń.

- Nie mam paszportu.

- Tak podejrzewałam... - Meredith roześmiała się, wróciła do stołu, zabrała dwie puste szklanki. - Nie przejmuj się, Markovsky wie, jak przyspieszyć formalności. Załatwienie paszportu na pewno nie potrwa długo.

Nawet rząd ustępował wobec siły woli Meredith. Josie powinna czuć oburzenie, ale teraz była już po drugiej stronie. Nie wlokła się psującą się wciąż ciężarówką, z materacem i kuchenką przywiązaną sznurkiem do dachu, o nie, nic z tych rzeczy... Teraz czekało na nią mieszkanie w szesnastej dzielnicy Paryża, tuż obok Avenue Foch. Nie mogła mieć Michaela, ale mogła zająć jego miejsce w pociągu, w pierwszej klasie samolotu. Otworzyła sobie wszystkie drzwi.

Podniosła walizkę. Teraz cała ta sytuacja wydawała się śmieszna, rozumiała, że zachowała się jak dziecko, które ucieka z domu z pluszowym misiem i kanapką z masłem orzechowym. Nie zamierzała popełniać więcej głupstw. Wyruszała w daleką podróż.

30. NA Dnie

Czas pędził jak szalony. I wszystko było nie tak. Josie jeszcze nigdy nie czuła się tak bardzo nie na miejscu, tak bardzo nieswojo. Dom w Los Feliz miał być miejscem, gdzie wszystkie zegary stanęły, ale teraz znowu ruszyły. Tik - tak, tik - tak. Specjalny kurier przywiózł jej paszport. Była grzeczną dziewczynką i pozwoliła, żeby fryzjerzy z salonu w Beverly Hills ufarbowali jej odrosty, w rezultacie zobaczyła w lustrze osobę, której nie poznawała. Wylatywały we wtorek rano, pierwszą klasą, samolotem linii Air France. Premiere classe. Meredith spędzała mnóstwo czasu w swoim pokoju, przy telefonie. Potrafiła przegadać pół nocy. Odkąd postanowiła wyjechać, zachowywała się jak kobieta na amfie. Rozmawiała ze znajomymi z całej Europy, z Brukseli, Berlina, Wiednia... Tryskała coraz większą energią, była jak radioaktywny mutant z horroru. Wstawiała przed dziewięcią, grała do trzeciej po południu utwory z repertuaru na tournée, Bacha, Schuberta, Beethovena, Mendelssohna, Schumanna, Dworzaka i Bartóka, a przede wszystkim wielką Drugą Symfonię, codziennie to samo. Muzyka brzmiała w głowie Josie, dławiała ją, więc czasami siadała nad basenem i grała na swojej niebieskiej gitarze coś innego, cokolwiek, żeby tylko usłyszeć inną melodię. „Kobieta z Saint Louis wkłada swoje pierścionki z brylantami” ...

Grała i grała, nuciła pod nosem. Zaciągała się papierosem, który wtykała między struny, tak jak robił to ojciec, i starała się nie myśleć o Europie, gnającej prosto na nią jak ciężarówka z uszkodzonymi hamulcami. Ani o ubraniach, które Meredith kupiła jej u Saksa, w butikach Magnin's i Bullock's Wilshire, wiszących teraz w szafie na górze. Były to ciepłe ubrania na europejską zimę, Boże, przecież ona nigdy nie widziała śniegu, tylko tamten jeden jedyny raz, kiedy razem z Michaeliem wjechali na Angeles Crest... Tamten śnieg

był twardy i skrzypiący, lepili z niego śnieżki i obrzucali się nimi...

- Musisz mieć ciepłe rzeczy - powtarzała Meredith. - Jesteś strasznie chudziutka, zamarzniesz tam...

Teraz Josie miała wełniane spodnie na podszewce, długie spódnice i wysokie skórzane buty, puchową kurtkę, pelerynę i brązowo - białą futrzaną kurtkę, która kosztowała pięćset dolarów. Miała też suknie na przyjęcia i uroczyste kolacje, aksamity, szyfony i nawet wieczorową kreację.

Do Los Angeles przyjechał Boulez i Meredith z Josie poszły na próbę jego koncertu w Music Center. Boulez bezustannie krytykował orkiestrę, wytykał muzykom wszystkie błędy, nawet najdrobniejsze, coś okropnego. Wywołał trzeciego trębacza i drugiego skrzypka, i kazał im powtarzać jedną frazę trzy razy, na oczach wszystkich, aż w końcu doszedł do wniosku, że jest nieźle.

- Zawsze zachowują się tak potwornie? - spytała Josie Meredith, która siedziała obok niej na pustej widowni.

Meredith nachyliła się do niej z uśmiechem.

- Boulez ma wizję, wie, jak powinien zabrzmieć ten utwór - wyjaśniła przyciszonym głosem. - W ten sposób kształtuje koncert. Powinnaś zobaczyć kilku innych, zwłaszcza tych, którzy nie cierpią kobiet. Uwielbiają sprawdzać, w jaki sposób można doprowadzić cię do płaczu...

Josie wyobraziła sobie jakiegoś starca, który próbuje doprowadzić Meredith do łez. Mógłby tak próbować do usranej śmierci...

Z bliska Boulez okazał się mniej straszny, niż sądziła. Był całkiem sympatycznym starszym panem z głębokimi bruzdami na policzkach i lśniącymi brązowymi oczami. Meredith i tym razem przedstawiła Josie jako narzeczoną swojego syna.

- Proszę przyjąć serdeczne wyrazy współczucia, moja droga - powiedział Boulez, ujmując dłonie Josie.

Musiała przyznać, że wysłuchanie koncertu po próbie, na której rozebrał Berga na drobne cząstki, było naprawdę fascynującym doświadczeniem. Teraz wiedziała, czego słuchać ze szczególną uwagą. Po koncercie pojechały na kolację z Boulezem i innymi osobami do niewiarygodnie drogiej restauracji z panelami z mrożonego szkła, takiego, z jakiego robi się flakoniki na eleganckie perfumy. Josie siedziała między Boulezem i jakimś facetem z Music Center. Z początku pochlebiało jej, że Boulez wypytuje ją o jej tak zwaną karierę aktorki i modelki, i opowiada jej trochę o Bergu, ale potem włączył się krytyk i zaraz wszyscy zaczęli gadać o podejściu innego dyrygenta do Berga, i dyskusja przerodziła się w wymianę soczystych plotek o wspomnianym dyrygencie, a później rozmawiali o sztuce teatralnej, którą wszyscy widzieli, o cyklu pieśni, prezentowanym na festiwalu Schuberta, przerzucali się nazwiskami i nazwami miejscowości, Salzburg, Aspen i Bayreuth, i oceniali czyjeś nagrania Poulenca. W pewnym momencie Josie pomyślała, że równie dobrze mogłaby być pięknie ubranym manekinem, posadzonym na krześle przy stole jako atrapa człowieka. Uświadomiła sobie, że w świecie Meredith nie ma znaczenia uroda, elegancja, inteligencja ani oryginalność - jeżeli nie byłeś Kimś, to się nie liczyłeś i nie miałeś do powiedzenia nic, czego inni chcieliby wysłuchać. Dopiero po powrocie do domu odkryła, że strasznie się upiła.

A teraz wyjeżdżały. Albo raczej wyjeżdżał ktoś, kto w paszporcie miał wpisane imię i nazwisko Josephine Tyrell. Ta Josephine zostawiała Michaela w jego grobie na wzgórzu. Zostawiała za sobą wszystko, co do tej pory miało dla niej jakieś znaczenie.

Był wieczór, a ona siedziała nad basenem i przyglądała się, jak chmury płyną po niebie, podobne do kłaczek waty, poprzyczepianych do korpusu wyleniałego wypchanego zwierzaka. Jasny księżyc wydobywał z ciemności kształty obłoków na tle nocy. Josie obserwowała powierzchnię basenu i widziała tam niebo. Wreszcie była na przyjemnym hajku, osiągnęła idealną równowagę między prochami i alkoholem. Była lekka jak piórko, zawieszona między dwiema jasnościami. Za dnia basen był ciemny, lecz w nocy awansował do rangi jasności, która świeci w gęstym mroku. Josie skoncentrowała się na prostych zmianach nut. „Kobieta z Saint Louis wkłada swoje pierścionki z brylantami”...

Przechyliła się przez brzeg basenu, zanurzyła palce w zimnej wodzie, wzburzyła gładką powierzchnię nieba.

- I co ty na to, Michael? - zwróciła się do ciemnej wody. - Jadę do Paryyyyzaaa... Będę spać w twoim łóżku, co ty na to?

Rozdygotane odbicie jej twarzy wyjrzało z ciemnego lustra, biała skóra, srebrzysty blask włosów.

- Szkoda, że nie jedziemy razem...

Mogli pojechać, w każdej chwili, ale nie, on chciał zatrzymać ją w parku Echo, wołał, żeby siedziała tam jak jakaś cholerna przestraszona kura, jak to ona... Łzy napłynęły jej do oczu. Wypiła już za dużo, czuła, że rano będzie nieprzytomna. Przejechała wierzchem dłoni po mokrych policzkach, wytarła nos.

Jej twarz w wodzie przypominała księżyc w pełni nad kłębkim sztucznego żółtego futerka. Ta sama pieprzona twarz, ta sama...

- Czego się gapisz, gówniaro? Zamknij się, kurwa mać... Zajęła jego miejsce, jeszcze ciepłe... Zamieszkała z ludźmi - gepardami, czuła się wśród nich coraz swobodniej.

Teraz w Paryżu był dzień. O tym powinna pamiętać, nie o jakichś bzdurach. Ludzie pędzili do pracy na rowerach,

wsiadali do metra, pili pernod w kawiarenkach. Dolewali wody do przejrzystego płynu i patrzyli, jak staje się biały, tak jak dawniej oni w parku Echo. Teraz Josie zobaczy prawdziwy Paryż, ale nie z nim. I nie sama. Gdyby miała chociaż odrobinę honoru, wskrobałaby parę dolców i poleciała sama. Meredith nie miała monopolu na podróże samolotami. Ale nie, Josie nie tego chciała. Nie na tym jej zależało. Woląa wejść w jego świat, żyć jego życiem.

- Nie trzeba było mówić, że mnie kochasz, jeśli nie była to prawda... - szepnęła do niego, sama wśród drzew, w środku nocy. - Jeżeli w głębi serca pragnąłeś być z nią, nie ze mną...

Schyliła się i podniosła szklankę z wódką, stojącą na samej krawędzi basenu. Poczua, że zaraz wypadnie z leżaka, i w ostatniej chwili złapała równowagę. Nawet nie rozlała drinka.

- Grałeś w tenisa, tak? Grałeś we wszystko... Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Opowiadał jej o wszystkim, ale nie o Meredith. Nie o Saint - Tropez, 1973. A teraz Josie zamierzała wskoczyć w jego buty. Wprowadzić się do jego pokoju. Tak, nie wątpiła, że z czasem poczuje się tam jak u siebie. I zostawi go w ciemnym łóżu, całkiem samego.

Cóż, czy nie tego chciałaś, od samego początku, szepnął jakiś głos.

Nieprawda, co za głupstwa, skądże, kurwa mać... Boże, kochała go przecież mocniej, niż potrafiła sobie wyobrazić...

Ale coraz mniej o tym pamiętała. Będiesz musiała pamiętać za nas oboje. Chciała pamiętać, lecz nie bardzo jej to wychodziło, bo była sama, sama, sama... Było jej ciężko, musiała pamiętać i zapomnieć jednocześnie. Cienka linia... Obecność Meredith komplikowała sytuację jeszcze bardziej. Meredith była tak podobna do Michaela, że Josie powoli zapominała, jak wyglądał. Nie mogła sobie przypomnieć, jak

brzmiał jego głos. Nie wiedziała już nawet, kogo właściwie opłakuje, czasami nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wymyśliła go sobie.

Nie kochałaś go. Chciałaś tylko być taka jak on. Chciałaś być nim.

Nie! To kłamstwo! A jeżeli... Jeżeli to jednak prawda? Może rzeczywiście w głębi serca kochała to, kim był, co sobą reprezentował, nie jego samego? Może zależało jej tylko na tym, by zająć jego miejsce, sięgnąć po jego łyżkę... Jej odbicie załśniło na ciemnym tle, podobne do nieznanego księżyca.

Przecież nie chciała, żeby umarł, dlaczego myślała o takich rzeczach... Kochała go! Kochała go zawsze, nawet wtedy, gdy było źle, ostatniego lata, kiedy odsuwał się od niej coraz bardziej, zupełnie jakby mogła zarazić go jakąś straszną chorobą, przez sam dotyk. Kiedy zadreślał ją swoimi wątpliwościami. Tak bardzo starała się zbudować w nim pewność, przekonać go o swojej miłości, walczyła o to od tamtego pierwszego dnia, kiedy pływała w tym basenie, zanurzona w zieleni jego spojrzenia. Zazdrościłaś mu. Zazdrościłaś mu lat spędzonych w Europie, rodziny, paszportów i pokojówek z Sewilli. Próbowowałaś go zniszczyć.

Cholera jasna! Odłożyła gitarę. To nie były jej myśli. Przerazały ją, wyłaniały się znikąd. A jak było naprawdę? Sama nie wiedziała już, jak było naprawdę. Przełknęła kolejny łyk dobrej wódki Meredith, zapaliła papierosa, wypuściła dym przez nos. Prochy nie działały tak, jak powinny, Red musiał sprzedać Nickowi jakieś przeterminowane świństwo. Więc jeszcze jeden łyk transsyberyjskiej wody ognistej... Byłem w Moskwie, mieście tysiąca trzech dzwonnicy...

I teraz wybierała się do Europy. Ona, Josie Tyrell z Bakersfield, Zero Pierwszej Klasy, Nic, Rien, Niente, Null. Nic. Zero.

- Jadę - oznajmiła czarnym gwiazdom. - Słyszysz? A jeśli coś ci się nie podoba, to się pieprz!

Ale on już nie mógł się pieprzyć.

- Zero pieprzenia - powiedziała Josie. - Nigdy więcej, zakrakał kruk...

To piękne ciało, które mogła pieścić cały dzień, jeśli jej pozwolił... Chciała go przynajmniej dotknąć... Ale on nie chciał.

Właśnie wtedy zjawił się ten pieprzony pies. Podobno każdy kundel musi przeżyć swoją wielką chwilę w blasku reflektorów, więc tego też nie mogło to ominąć...

Nachyliła się, żeby spojrzeć na swoją twarz w świetlistej wodzie. Jaki zdradliwy obraz, ona i jej księżycowa twarz, wielkie niewinne oczy... Splunęła na siebie, lecz twarz zaraz znowu się pozbierała w całość z drobnych kawałków, nie chciała zniknąć.

W listopadzie powinno być przyjemnie i ciepło, ale wcale tak nie było, było zimno i deszczowo. Michael siedział skulony na fotelu pasażera, milczący i ponury, zachowywał się tak od samego rana. Wybrali się do muzeum, bo myślała, że może on poczuje się lepiej, jeśli wyjdą z domu, lecz jemu nic się nie podobało, ani wystawa, ani kawa, którą sobie kupił - wypił jeden łyk i wrzucił kubek do kosza na śmieci. Wpatrywał się w deszcz, rozmazywany na przedniej szybie rytmicznym ruchem wycieraczek. I wtedy pies wybiegł na ulicę. Byłby już po przeciwnej stronie, gdyby ze wzgórza nie zjechała właśnie szara toyota w ciapki z ciemniejszego lakieru. Na widok toyoty cholerny pchlarz wpadł w panikę i zawrócił. A tamten kierowca nawet się nie zatrzymał...

Powinna była jechać dalej, przejechać pieprzonego psa i nawet się nie obejrzeć, właśnie tak należało zrobić. Ale ona oczywiście musiała zahamować, cholerna dobra samarytanka,

do usług. I podbiegła do psa, który zwijał się przy krawężniku, rozpaczliwie pływając połamanymi nogami.

- Hej, piesku, spokojnie, spokojnie...

Wyciągnęła do niego rękę, tak jak trzeba do psa, ale nieszczęsny kundel warknął i kłapnął zębami, cały czas wymachując tylnymi łapami, Josie pomyślała teraz, że nigdy nie zapomni, jak rozgarniał brudną wodę w kałuży. Był poraniony i brzydki jak noc, ale wciąż żył, więc musieli coś zrobić, tylko co, Josie zwykle nie miała pojęcia, jak rozwiązać trudną sytuację, i nienawidziła tego u siebie, nie znosiła, że jest tak głupia i bezużyteczna... Oszołomiona własną bezradnością, zawołała Michaela.

Dlaczego nie został w samochodzie? Gdyby tylko pogłośnił radio i udawał, że nie słyszy, ale on wysiadł i stanął obok niej, gapiąc się na psa, który niezmordowanie poruszał zmiażdżonymi tylnymi łapami.

- Co robić? Michael, co mamy robić?

Ale on po prostu stał i patrzył, jakby miał przed sobą obraz w muzeum czy galerii, grafikę Luciena Freuda albo Francisa Bacona, wpatrywał się w psa jak we własne odbicie, sparaliżowany i ogłupiały. Josie potrząsnęła rękami, jakby chciała pozbyć się czegoś, co przykleiło się do nich.

- Zrób coś! Zrób coś, przynajmniej raz, na miłość boską!

Ale on nie potrafił. Był taki jak ona, bezużyteczny, lecz w jego wypadku wyglądało to gorzej, bo był mężczyzną. Josie chciała, żeby coś zrobił, ale on nie potrafił... Po tylu nocach, które spędził, gapiąc się w okno, tak jak teraz wpatrywał się w tego kundla, po długich tygodniach jego humorów, depresji i rozmów z tą jego pieprzoną matką, po tylu dniach, kiedy ona urabiała sobie ręce po łokcie, a on nawet się z nią nie pieprzył, teraz mógłby przynajmniej zrobić coś z tym cholernym rannym psem, zamiast odlatywać gdzieś, nie wiadomo gdzie, i zostawiać wszystko na jej głowie... Boże kochany, jej mały

braciszek Bo był facetem w większym stopniu niż ten gnojek...

Więc zaczęła krzyczeć.

- Do niczego się nie nadajesz! Zrób coś, przynajmniej ten jeden jedyny raz, zrób coś, do cholery!

Chciała, żeby nawrzeszczał na nią, żeby zaczął walczyć, obudził się, lecz on tylko patrzył na psa, który kręcił się w kółko, skomlał i warczał, pokrywając błotem brunatną sierść... Josie nie panowała już nad narastającą wściekłością, chciała, żeby Michael coś zrobił, cokolwiek... I wyrzuciła z siebie wszystko, wszystkie pretensje i żale, które gromadziła przez te okropne miesiące.

- Ty bezużyteczny skurwysynu! Po co ty żyjesz, do cholery?! Nie pieprzysz się, nie pracujesz, zużywasz tylko powietrze, którym mógłby pooddychać ktoś inny! Ty maminsynku, ty pedale!

Odwróciła się i zaczęła krzyczeć w stronę domów na wzgórzu, których okna były pozamykane, bo przecież padał deszcz.

- Nie ma tu gdzieś prawdziwego faceta?! Czy zawsze ja muszę sprzątać wszystkie brudy?!

Podbiegła do samochodu, gwałtownym szarpnięciem otworzyła bagażnik. Szukała czegoś, czym mogłaby się posłużyć, żeby uwolnić pieprzonego psa od cierpienia. Zwierzak był jak opętany, a ona nie mogła już tego wytrzymać.

Właśnie tamten wieczór starała się ze wszystkich sił zapomnieć, zepchnąć w głąb podświadomości, a teraz wspomnienia wyłaziły z niej jak wyczarowane przez kłowna chusteczki do nosa, jedna za drugą, związane ze sobą, jeden moment, drugi, trzeci i czwarty... Dopadła wtedy do bagażnika tego swojego gównianego, rozsypującego się falcona, który ciągle się psuł, a przecież on w każdej chwili mógł kupić jej

nowy samochód, ale nie, wszystko musiała zrobić sama, każdą pieprzoną rzecz, zamsze, zawsze sama, własnymi rękami... Nie wiedziała, czego szuka, może łomu, może czegoś innego, lecz w bagażniku była tylko cegła, więc Josie zerwała z siebie skórzaną kurtkę i owineła nią zaciśniętą w rękę cegłę. Lało jak z cebra i było cholernie zimno. Odepchnęła Michaela i uderzyła cegłą w czaszkę zwierzęcia, twardą i okrągłą jak kolano, pies wbił zęby w kurtkę, a ona waliła go cegłą raz za razem, dając ujście wściekłości na Michaela i wszystkich facetów, którzy nie stanęli na wysokości zadania, na cały świat, na wszystkich, którzy mieli w dupie tego przekłętego psa i kazali rozwiązywać problemy ludziom takim jak ona, którzy nie wiedzieli, co robić, skóra wokół cegły była mokra od deszczu i krwi, krew płynęła po kurtce i rękach Josie, która uderzała i uderzała, aż pies w końcu skonał.

Dyszała ciężko i szlochała, stała po kostki w wodzie, mokra, z martwym psem u stóp, i wtedy Michael położył dłoń na jej ramieniu, zrobił to z czułością, jakiej nie okazywał przez wiele tygodni. A ona obnażyła zęby i warknęła, zupełnie jak ten pies, mało brakowało, a zatopiłaby kły w jego ręce.

- Nie dotykaj mnie! - powiedziała z twarzą wykrzywioną złością i pogardą. - Mam dosyć tego, że wiecznie muszę być facetem! Pójdę i poszukam sobie kogoś z wielkim kutasem i będę się z nim pieprzyć do nieprzytomności, i zapomnę o tobie, słowo daję... Wracaj do mamusi, niech ona sprząta po tobie, bo ja nie zamierzam dłużej tego robić, kurwa mać! Nie podpisywałam umowy na wycieranie ci nosa, myślałam, że jesteś facetem, ale najwyraźniej pomyliłam się, i to bardzo...

Chciała, żeby jej przerwał, żeby ją powstrzymał, ale nie, on nigdy nie umiał dać jej tego, czego potrzebowała... Wiedziała, że powinna przestać, lecz słowa wypływały z niej wielką falą, gorącą i gorzką, i sprawiało jej to piekielną przyjemność.

- Przestań, Josie, proszę...

Wyprostował się, żeby nie widziała jego oczu zza okrągłych okularów, ale wargi drżały mu spazmatycznie.

- Co przestań?! Co, kurwa?! Nie kobieta ci potrzebna, tylko jakaś cholerna pielęgniarka, pieprzona niania! Dlaczego na samym początku nie powiedziałeś mi, że kochasz się we własnej mamusi, skurwysynu?! Może powinieneś wrócić do domu i pieprzyć się z nią! Może zresztą to robiłeś, w Szwecji albo gdzie indziej, kiedy nie wiedzieliście, czym się zająć, żeby nie umrzeć z nudów!

Kręciło jej się w głowie, więc oparła ją o kolana. Tak, wykrzyczała to wtedy, naprawdę... Nagle zaczęła płakać. Nie miała pojęcia, nie wiedziała, co mówi, ale gdyby wiedziała, i tak rzuciłaby mu to w twarz, mimo wszystko. Była wtedy potworem, wyciągała z siebie całe zło, znalazła swoje własne jądro ciemności.

- Miałeś rację, wiesz?! Sypiam z kimś, tak, ale nie z Jeremym, tylko z Nickiem, i co ty na to?! Pieprzy mnie na stojąco, pod śmietnikiem, i bardzo mi się to podoba! Mam ciebie tak dosyć, że chce mi się rzygać, gdy cię widzę!

Dygotał jak eukaliptus na wietrze i patrzył na nią tak, jak chwilę wcześniej na tego cholernego psa.

- Josie, nie rób tego...

Błagał ją, żeby nie zabijała ich miłości, mieli problemy, ale nie musiała przecież tłuc ich uczucia cegłą... Nie wiedział, że w tamtym momencie była taką kobietą, jakich zawsze wiele było w jej rodzinie, kobietą, która krzyczała na swojego mężczyznę, poniewierała go słowami, czekała na cios, lecz nie ustępowała, bo przynajmniej raz miała szansę zwyciężyć. Jednak Michael nie mógł i nie chciał uderzyć, cofał się i cofał, a ona potrzebowała kogoś, kto by ją powstrzymał.

- Tak, czasami lubię, żeby ktoś wypieprzył mnie do bólu, nie mogę żyć samą poezją, srebrnymi liliami i całym tym

gównem! Czasami czekam, żeby ktoś mnie porządnie wyjechał, Michael! A czy ty kiedykolwiek zrobiłeś to, czego potrzebowałam, czy w jakiejkolwiek sytuacji mogłam na ciebie liczyć?! Nigdy!

Czuła się jak kowal, który wbija hufnale w podkowę, wali młotem i wali, ze wszystkich sił.

- Nie potrzebujesz kobiety, o nie! Ty powinieneś mieć kogoś, kto będzie chodził dookoła ciebie na paluszkach i zastanawiał się, co pomyślisz, co zrobisz, czy będziesz miał dobry humor, czy może nie! Ale ja mam to wszystko w dupie, nie obchodzi mnie już, czy jesteś cierpiący, czy zadowolony z życia, słowo daję! Gówno mnie to obchodzi!

Miała to we krwi, wiedziała, jak ranić i upokarzać, dorastała wśród ludzi, którzy umieli robić takie rzeczy, i teraz, proszę, wylewała z siebie ten jad niczym benzynę z dystrybutora, zadawała ból człowiekowi, którego kochała najbardziej na świecie, i nie mogła się powstrzymać.

- Nie jestem srebrzystą lilią, co?! Jestem białą biedotą, białą tandetą, dokładnie tak, jak mówiła ci mamusia! Więc najlepiej wracaj do mamusi, a kiedy przypadkiem wyhodujesz sobie porządne jaja, daj mi znać, dobra?!

Zrobiła to. Zabiła to, co kochała najmocniej.

Próbowała go tylko obudzić, chciała, żeby zobaczył, do czego ją doprowadził. Wsiadła do samochodu i pojechała do domu, zostawiając go na drodze. Pieprzyć go, pomyślała.

A teraz, w ciemności nad basenem, z księżycową twarzą opartą na kolanach, szlochając i kołysząc się w przód i w tył, przypomniawszy sobie to wszystko. Powinien był ją wtedy uderzyć. Powinien był ją powstrzymać. Tylko o to jej chodziło, żeby uciszył jej wściekłość, powiedział, że nie ma racji, żeby wziął ją w ramiona jak facet i zapewnił o swojej miłości. Kiedy wróciła do domu, panująca w mieszkaniu cisza zaatakowała ją jak wyrzut sumienia. Jego obrazy na ścianach,

dziewczyna przy fortepianie, Błażej i Żanna na niebieskiej kanapie w przedziale pociągu, wpatrzeni w nią...

Płakała z twarzą ukrytą w dłoniach, szlochała głęboko, powoli, bo była już trochę pijana, ale boleśnie. Dlaczego sama nie przestała tamtego dnia, dlaczego po prostu nie wróciła z nim do domu, mogli przecież napić się razem herbaty, mogła spróbować go rozweselić, zapytać o coś, Boże, przecież on tak lubił uczyć ją różnych rzeczy... Po prostu nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była rozwścieczona, nie miała pojęcia, że mogłaby wyrządzić taką krzywdę chłopcu, którego tak kochała... Wpisał się do książki meldunkowej jako Oscar Wilde. Tak, Wilde wiedział, czym jest cierpienie, z całą pewnością...

Kiedy wreszcie dotarł do domu, przemoczony i zziębnięty, padła na kolana i błagała go o wybaczenie, ale było już za późno. Nie słyszał jej wtedy, już nie. Położył się na kanapie, zimny i sztywny, wpatrzony w sufit.

- Nawet nie próbuj - powiedział.

Starła się wytłumaczyć mu, że straciła głowę ze złości, że była gotowa powiedzieć absolutnie wszystko, pytała, w jaki sposób może mu to wynagrodzić. Tkwiła na klęczkach przy kanapie i prosiła, żeby jej wybaczył.

- Byłam wściekła, wcale tak nie myślałam, naprawdę...

- Myślałaś - odparł.

- Chciałam, żebyś mi przerwał. Żebyś powiedział, że mnie kochasz.

Roześmiał się przez łzy.

- Pomyślę o tym, kiedy wyhoduję sobie porządne jaja...

To był błąd, którego nie miała szansy naprawić. Michael udawał, że wszystko jest w porządku, ale tylko udawał.

A teraz ona wybierała się do Europy z jego matką... Czuła się tak, jakby zamordowała kogoś i wprowadziła się do jego

domu, zajęła jego miejsce pracy, zabrała najbliższą mu osobę, zjadła jego zapasy i zaczęła sypiać w jego łóżku.

Sięgnęła po swoją wódkę z lodem i nagle wszystko potoczyło się jak w zwolnionym tempie, kolejne sekundy ułożyły się w serię zdjęć. Krzesło się przewróciło, Josie upadła, widziała, jak ciemna woda zbliża się do niej coraz bardziej, widziała swoje jasne odbicie. Wpadła do basenu głową naprzód, lodowata woda oszołomiła ją, potem zimno objęło jej ramiona i klatkę piersiową. No, już, pomyślała. Sądziła, że będzie unosić się na powierzchni, ale nie, futerko natychmiast nasiąkło wodą i pociągnęło ją w dół, zdumiewająco ciężkie. Woda zamknęła się nad nią jak książka.

Płyn, dotarła do niej niewyraźna myśl z bardzo, bardzo daleka. Przez wodę widziała księżyc, świecący wysoko na niebie, wiedziała, że powinna płynąć, ale była za ciężka, a księżyc był za daleko. Ogarnęło ją uczucie potwornego zmęczenia, łatwiej było pójść na dno niż poruszać rękami i nogami. Tak było lepiej, sensowniej. Zdawała sobie sprawę, że jeśli przestanie walczyć, wszystko wreszcie się skończy.

31. Sofia

Spadaj, powiedziała, albo może tylko wydawało jej się, że powiedziała. Wzięła głęboki oddech i zwymiotowała. Leżała bezwładnie, zziębnięta i mokra. Rozplakała się. Nie wiedziała, dlaczego płacze, lecz jej smutek był głęboki i szczery, obezwładniająco silny, jak fala, która podnosi się z dna morza. Josie dygotała na ceglach, wstrząsana dreszczami.

- Dlaczego nie poszłaś sobie? Powiedziałaś, że pójdziesz, a potem zostałam...

Ktoś trzymał ją za włosy.

- Dlaczego zostałam?

Josie skuliła się, zwinęła w kłębek. Pieprzona Sofia... Powinna była zostawić ją w wodzie, była przecież gotowa przyjąć śmierć...

- Gdzie moja kurtka, kurwa mać... - wykrztusiła. Sofia z pełnym zniecierpliwienia syknięciem wypuściła powietrze z płuc, podniosła się i zaczęła wyzymać swoje długie włosy. Krople wody uderzyły o cegły. Josie podniosła wzrok. Z tej perspektywy Sofia wydawała jej się strasznie wysoka. I była wściekła, co do tego Josie nie miała najmniejszych wątpliwości. No to co? Pieprzyć ją.

Nagle Sofia szarpnęła ją, poderwała do pionu. Nogi załamały się pod Josie, ale tamta ją podtrzymała, nie pozwoliła upaść. Jasna powierzchnia basenu była usiana chmurami. Ciemność pod jasnością. Ciemność czekała na nią, była obietnicą spokoju. Pod wodą Josie nie miała żadnych problemów. Gdzie była jej gitara? Jej mała gitara... Ach, tam... Josie wychyliła się, żeby ją chwycić, ale Sofia złapała ją w pól i wykręciła jej ramię do tyłu, kiedy zaczęła znowu tracić równowagę. Boże, była kompletnie popieprzona...

Trzymała małą gitarę mocno, z całej siły, a Sofia ciągnęła ją do domu. Popychała ją, wlokła. Dlaczego wszyscy zawsze ją popychali? Dlaczego nie zostawili jej w spokoju, do

cholery? Jeżeli Josie miała ochotę zwinąć się w kłębek na dnie basenu i zasnąć, to dlaczego ta pieprzona suka musiała się wtrącić? Sofia po prostu nie chciała, żeby Josie kopnęła w kalendarz na terenie posiadłości Meredith, bo mogłoby to zepsuć wizerunek jej szefowej. Josie czuła wewnątrz siebie to zgniłe życie, ciężkie i nieprzyjemne jak niestrawny posiłek. Miała ochotę wyrzygać to wszystko. Jej złe życie, życie wulgarnej dziewczuchy, która nic nie wie i nic nie umie... W porównaniu z nią Michael nigdy nie zrobił nikomu nic złego.

Hiszpanka popchnęła ją na krzesło w kuchni i wyszła. Drzwi kołysały się w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Josie popatrzyła na ułożone w szachownicę płytki na podłodze. Może zawarte w nich było jakieś przesłanie, kto wie... Warcaby, szachy... Marcel Duchamp grał... Ale kim była ona? Jaką figurą i w jakiej grze? Zadrżała gwałtownie, chociaż nic nie czuła. Najchętniej zapaliłaby teraz papierosa. Przycisnęła palce do policzka. Znowu zaczęła płakać. O Boże, o mój Boże... Ale przecież Boga nie było. Nie było też odpoczynku, piękna ani prawdy.

Po chwili Sofia wróciła z naręczem ubrań. Zaciągnęła Josie do pokoju, w którym dziewczyna nigdy wcześniej nie była, małego i żółtego, z wysokimi oknami, chyba raczej wyższego niż szerszego. W kącie stało wąskie łóżko z ramą z błyszczącego metalu. Na ścianie wisiał krzyż, a na komodzie stało zdjęcie Michaela, który pogodnie patrzył na świat, oparty o mur w Harvardzie. Sofia otoczyła go świeczkami w wysokich szklanych świecznikach, postawiła przed nim różową różę.

Wyglądało to jak ołtarzyk. Josie nie przyszło do głowy, żeby zrobić coś takiego, nie miała ołtarzyka ani świeczek. Nie wiedziałyby, jak urządzić taką kapliczkę, umiała tylko zabijać to, co kochała. Wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że dużo

wcześniej wiedział, co Josie zrobi i jak to wszystko się skończy. Ming.

- Dlaczego mnie uratowałaś? - odezwała się. - Trzeba było mnie tam zostawić...

Sofia potrząsnęła głową, zdarła z niej mokre rzeczy i zaczęła mocno nacierać ją ręcznikiem.

- Hej, uważaj... - mruknęła Josie. - Auććć...

Kobieta działała szybko i sprawnie. Włożyła Josie w sweter, przewlekając go przez chwiejącą się na wszystkie strony głowę, wciągnęła na nią majtki, džinsy, starą skórzaną kurtkę. Nie tę futrzaną, elegancką od Saksa, za pięćset dolarów.

Potem posadziła Josie na łóżku. Dziewczyna osunęła się na bok i obserwowała Sofię, która rozebrała się, odwrócona do niej plecami, i dokładnie wytarła się ręcznikiem. Na szyi nosiła krzyżyk. Ciało miała chude, piersi obwisłe, tyłek płaski jak patelnia. Pośpiesznie włożyła szpetny biały biustonosz i majtki, sukienkę z czarnej wełny, beżowe zakolanówki i czółenka. Znowu posadziła Josie i powiesiła jej na szyi torebkę. Wyglądała jak pieprzony bernardyn z piersiówką, pomyślała Josie. Była pod dużym wrażeniem sprawności Sofii, która teraz zdjęła mokre buty z jej nóg i włożyła suche martensy.

Chwyciła dziewczynę pod pachy i wyprowadziła na zewnątrz, popychając i przestawiając jak doświadczony gliniarz. Josie miała ochotę wrócić do żółtego pokoju, gdzie był ołtarzyk, ale się nie opierała. Potykając się, wyszła z domu w ciemność, do garażu. Ogarnął ją piżmowy, oleisty sosnowy zapach, mocny i mroczny. Zapach mokrych drzew. Sofia oparła ją o błotnik pikapa. W garażu stały jeszcze stary chrysler, mały sportowy wóz i jaguar. Hiszpanka otworzyła drzwi samochodu i wepchnęła Josie do środka. Dziewczyna położyła się na tylnym siedzeniu, materiał, którym je obito,

był ciepły i pachniał trochę jak kanapa w domu, było to bardzo przyjemne i Josie pomyślała, że może nawet zdrzemnie się trochę. Sofia usiadła za kierownicą i na tylnym biegu wyjechała przez otwartą bramę prosto w noc.

- Hej... - odezwała się Josie.

Wypowiedzenie tej jednej sylaby trwało naprawdę długo. Nie chciała wyjeżdżać z domu. Dokąd zabierała ją ta kobieta? Wcale nie chciała tam wracać... Usiadła i sięgnęła do klamki.

Sofia wyciągnęła rękę do tyłu i zatrzasnęła drzwi. Josie spróbowała je otworzyć, Hiszpanka znowu jej przeszkodziła i zaczęły się szarpać. Sofia uderzyła Josie w twarz.

- Siedź spokojnie, ty niedobra!

Josie puściła klamkę. Wyjedziemy i nigdy już nie wrócimy. Oparła się o szybę i nieprzytomnym wzrokiem wpatrywała się w rozmazane światła. Jechały pustymi ulicami Los Feliz, mijały piękne rezydencje, oświetlone jak domki dla lalek. Poskręcane pasma mokrych włosów Sofii leżały na jej prostej czarnej sukience. W oczach Hiszpanki lśniła determinacja, wyglądała tak, jakby uciekała przed pożarem.

- Dlaczego tak mnie nienawidzisz? - spytała Josie.

- Głupia, wszystko ci się pomieszało - Sofia pokręciła głową. - Kto cię nienawidzi, a kto nie...

Duże domy znikwały z tyłu. Jasne okna, nienaturalnie zielone trawniki pod ulicznymi latarniami. Wargi Sofii były mocno zaciśnięte w wyrazie czystej pogardy.

- Zabiera mnie ze sobą. Do Paryża.

Sofia syknęła jak czajnik, w którym lada chwila zagotuje się woda. Josie w milczeniu patrzyła na domy. Mijały właśnie rezydencję w stylu Wielkiego Gatsby'ego, z kauczukowcem na pochyłym trawniku przed wejściem, z pasiastymi markizami nad oknami i zapalonymi światłami we wszystkich oknach.

Nocne niebo stawało się coraz ciemniejsze, kłębki chmur zlepiały się w smutny koc, który powoli zasłaniał księżyc, już nie taki piękny jak jeszcze parę minut wcześniej, cały rozmazany. Stare fikusy rosnące wokół podjazdu lśniły żółtym światłem staroświeckich lamp, monstrualnie wielkie korzenie krzewów wystawały z ziemi na co najmniej pół metra.

Zjechały ze wzgórza na szeroki Los Feliz Boulevard, obsadzony imponującymi deodarami. Sofia włączyła boczne światło, zwolniła. Josie była tylko częściowo przytomna, ale męczyła się, patrząc, jak Hiszpanka prowadzi. Sofia należała do tych kierowców, którzy przysuwają fotel jak najbliżej do przodu i garbią się nad kierownicą, ściskając ją z całej siły.

- Pieprzyła się z nim? - spytała Josie, wyciągając palec w kierunku ostrego nosa Hiszpanki, jedynej części jej twarzy, jaką wyraźnie widziała. - Ty wiesz, jak było...

Z boku zrobiło się luźno, ale Sofia nie skorzystała z okazji. Siedziała nieruchomo i wpatrywała się w światła. Kąciki jej ust opadły, tworząc surową linię.

- Biedny Miguel... Nienawidził się za to, że kochał ją w taki sposób...

Światło migało rytmicznie, tik, tik, a one patrzyły przez przednią szybę na pustą ulicę i duże domy, jeszcze niedawno udekorowane tysiącami światełek, lecz teraz ciemne i milczące. Czy Michael w ogóle kochał Josie? Czy kiedykolwiek naprawdę ją kochał?

- Kochałam go, Sofio... Tak bardzo...

- Si, wiem... - Hiszpanka westchnęła ciężko. - Miguel... On miał za dużo alma... Wiesz, co to takiego?

Alma. Imię, nic więcej.

- Nie.

- „Alma” znaczy „dusza”... Zadbaj o swoją duszę, Djossie... - pierwszy raz zwróciła się do Josie po imieniu. - Miej więcej szacunku do siebie...

Wreszcie ostrożnie skręciła w prawo.

- Myślisz, że mam duszę? - Josie osunęła się niżej na siedzeniu, zrezygnowana, świadoma, że nie ucieknie z samochodu. - Może tylko pożyczyłam sobie coś w rodzaju duszy...

- Biedna jesteś, głupia.

Jechały dalej. Obok wielkiej fontanny w kamiennym pierścieniu skręciły w Riverside Drive. Fontanna, której wodna korona lśniła wszystkimi kolorami tęczy, została zbudowana na cześć Williama Mulhollanda, tego z Chinatown. Mulholland umarł, chociaż tak naprawdę doszło do tego inaczej niż w filmie. Tama puściła i Mulholland umarł z powodu wyrzutów sumienia. Cholera jasna, Josie doskonale wiedziała, że jest to możliwe. Tak, cholera, tak...

Tyle pomników... Całe miasto było pełne pomników. Mosty, kamienne rzeźby i gmachy. Michael był jedynym człowiekiem, którego te rzeczy coś obchodziły. Jedynym, który pamiętał. Będziesz musiała pamiętać za nas dwoje... Ale jak, skoro o niczym nie miała pojęcia, dysponowała tak ubogą wiedzą, więc niby jak mogła pamiętać, sama, całkiem sama... Ona, która zabiła to, co kochała najmocniej...

Długie milczące bloki, ostatni fragment Griffith Park. Most Bohaterów Pierwszej Wojny Światowej, długi, długi budynek pod numerem 5, gdzie mieszkali bezdomni. Ich stare furgonetki i ciężarówki, w krzakach miasto namiotów, zbocze wzgórza zbiegające aż do ulicy, przechodzące w Riverside Drive. Przednie światła samochodu wydobyły z ciemności okropnego, potarganego lumpa, który przechodził przez ulicę, ubrany w za krótkie spodnie, prowadząc psa na sznurku przywiązany do swojego pasa. Sofia musiała skręcić, żeby ich ominąć. Josie jeszcze chwilę patrzyła przez tylną szybę na mężczyznę. Czy na tym polegała Śmierć? Może ten człowiek

gdzieś po drodze zgubił swoje dokumenty i peruczkę, mokasyny z chwaścikami i pracę w banku...

Skreśliły w Allesandro. Nie zamierzała pomagać Sofii, niech ta cholerna baba sama szuka jej domku... Pomyślała, że jeśli Sofia nie trafi, będą musiały wrócić, ale kobieta skreśliła dokładnie tam, gdzie należało, obok szkoły z betonowym murem, pokrytym rysunkami dzieci, tuż za wiaduktem, pod którym drzemały ciche traktory. Nie ulegało wątpliwości, że Sofia doskonale zna drogę.

- Byłaś z nią, kiedy kradła moje rzeczy? - zapytała, walcząc z opadającymi powiekami. - Dlaczego jej na to pozwoliłaś?

Sofia znowu zaświstała jak czajnik i nawet na moment nie zwolniła. Ty głupia... Okoliczne domy wyglądały gorzej niż zwykle, zupełnie jak tandetne zabawki, poprzyczepiane do wzgórz, a drzewa i krzewy wydawały się jeszcze marniejsze.

Josie była potwornie zmęczona, co chwilę szła na dno i znowu się wyłaniała. Nic jej nie wychodziło, nawet utopić się nie potrafiła... Sofia powinna była po prostu zostawić ją w wodzie razem z tym, co zostało z jej almy... Co z tego, że ma duszę, skoro zrobiła tyle złych rzeczy?

- Dlaczego się mną przejmujesz?

- Bo jesteś jak... Jak taki człowiek, co to chodzi we śnie. Mówisz, że pójdziesz sobie, ale zostajesz, więc pomyślałam, że coś stało się z tą dziewczyną... Dlatego przyglądałam ci się, nie spuszczałam z ciebie oka, tak to się mówi?

Spory skunks przebiegł z boku drogi, wyraźnie widoczny w pomarańczowych ulicznych światłach. Góry śmieci i porzucone samochody... Josie znowu była w domu.

- Czy ona ma almę? Meredith? Sofia znowu zasyczała.

- Ona ma muzykę. To wszystko, es todo.

Josie oczami wyobraźni ujrzała scenę z horroru, w której wampir patrzy w lustro i nie widzi odbicia.

- Więc dlaczego pracujesz dla niej, skoro nie ma duszy? Hiszpanka wzruszyła ramionami. Josie pomyślała, że Sofia jest przystojną kobietą. Jej rozpuszczone włosy zaczynały kręcić się, w miarę jak wysychały, ostry nos miał kształtny garb i wąski koniec, ciemne oczy były naprawdę piękne.

- Pracuję dla niej od dawna. Dobrze ją znam. Dużo wycierpiała. Jej życie jest bardzo smutne. Czasami robi złe rzeczy, wiem, ale ja ją znam... Tobie tylko by zaszkodziła.

Zatrzymały się przed domem, małym, zaniedbanym i ciemnym, otoczonym siatką, która ugięła się pod ciężarem roślin. Sofia zaparkowała za białym samochodem Cesara i wyciągnęła Josie na ulicę. Na wpół ją poprowadziła, na wpół przeniosła przez furtkę i długimi schodami w dół. Powietrze pachniało wilgocią. Drzwi były otwarte. Powoli przeszły przez duży pokój, podobne do czteronogiego zwierzęcia, i znalazły się w sypialni. Sofia posadziła Josie na łóżku i próbowała wyjąć z jej rąk gitarę, ale nic z tego nie wyszło. Więc się poddała, zdjęła z Josie spodnie i martensy, i przykryła ją kocami.

- Śpij. I pilnuj swojej almy, bo teraz masz już tylko ją. Zaciągnęła pluszowe zasłony, zgasła światło i zamknęła za sobą drzwi.

32. DUSZA

Śniło jej się, że jest więźniarką na wyspie, która była jednym wielkim zakładem karnym. Otaczały ją malaryczne bagna, świat w rozmaitych odcieniach szarości i ponurej zieleni. Całe kilometry martwej wody, labirynt korzeni wodnych roślin. Kompletna beznadzieja, żadnej możliwości ucieczki. Jednak wśród więźniów krążyła opowieść o miejscu, przez które można przedostać się na zewnątrz, o dziurze na samym dnie mokradeł, którą można przepłynąć do świata, gdzie woda jest czysta, a niebo błękitne i promienne. Oczywiście była to tylko czcza gadanina, ale pewnego dnia Josie natrafiła na to miejsce, w każdym razie tak jej się wydawało. Zanurzyła się w czarnej wodzie, zanurkowała, schodziła coraz niżej i niżej, coraz bardziej oddalała się od słońca i światła, i wreszcie zobaczyła wejście do jaskini. Była już naprawdę blisko, gdy nagle zabrakło jej powietrza. Uświadomiła sobie, że nie da rady. Zawróciła, ale nie mogła odnaleźć drogi, wiedziała, że przeliczyła się z siłami. Tonąła.

Z trudem otrząsnęła się ze snu. Wciąż czuła odór bagniska, ohydnej martwej wody. W pierwszej chwili nie miała pojęcia, gdzie jest. Płuca ją bolały, głowa także, powinna łyknąć aspirynę, ale nie chciało jej się ruszać. Przewróciła się na brzuch i wtuliła twarz w poduszkę. Pamięć stopniowo podsuwała jej obrazy z ostatniego dnia. Czarny basen, ciemność i zapomnienie. Tamta chwila rezygnacji.

Ty durna krowo, wpadłaś do basenu, bo nazarłaś się prochów i popiłaś je wodą! Nie jesteś lepsza od głupich rockandrollowców, którzy przypadkiem popełniają samobójstwo! Gdyby nie ta Hiszpanka z płaską dupą, byłabyś już sztywna!

Tak jest, leżałaby na dnie basenu Meredith Loewy, zupełnie jak Marianne Faithfull w tym filmie według sztuki Szekspira, biedna, zwariowana dziewczyna, która utopiła się

w strumieniu, bo jakiś cholerny ksiązę nie chciał się z nią pieprzyć... Kurwa mać... Żyje wyłącznie dzięki przypadkowi. Wciąż pamiętała, co czuła, kiedy szła na dno. Tak, tak jest dobrze, myślała. To odpowiednie dla mnie miejsce.

Leżała w nieświeżej pościeli, w zatechłym pokoju i poprzez ciemność wpatrywała się w ścianę, przy której kiedyś stała ich komoda, zielona komoda ze srebrzystymi zdobieniami. Komoda była teraz u Meredith, podobnie jak wszystkie inne rzeczy. Pasemko światła prawie w ogóle nie rozjaśniało mroku w pustej sypialni. Nie ma przypadków, powtarzała zawsze Shirley K. Jeżeli gubisz kurtkę albo wpadasz na słup, to znaczy, że w głębi serca właśnie tego chciałaś. Josie leżała na łóżku jak wyciągnięty na plażę wrak. Płuca nadal ją bolały, po policzkach spływały łzy. Czy naprawdę właśnie tego chciała, umrzeć i już? I tyle? Popłynąć za Michaeliem na dno? Jak pieprzony Dylan Thomas, ten, który zapił się na śmierć w Nowym Jorku, bo chciał umrzeć, chociaż nie chciał wiedzieć, że do tego dąży? Gdyby nie Sofia, byłaby już wzdętym jak gnijący ziemniak trupem w kurtce ze sztucznego futra... Bo przecież tego naprawdę chciała - zapomnieć tak dokładnie, żeby już nigdy nie mieć żadnych wspomnień, nigdy, nigdy więcej. Klin klinem.

Po plecach przebiegł jej dreszcz. Zrobiło jej się zimno, poza tym wciąż czuła zatechły smród bagna. Pilnuj swojej duszy. Jej dusza... Próbowwała wyobrazić sobie duszę. Białe pierzaste coś ze skrzydełkami w kształcie płuc. Tyle że jej dusza na pewno przypominała raczej stary kostium kąpielowy, który pokrył się pleśnią, wisząc na haku. Zapleśniała starą szmatę, która nadawała się wyłącznie do wyrzucenia, bo nawet diabeł nie chciałby przyjąć czegoś takiego.

Co ona tutaj jeszcze robiła, żywa i w gruncie rzeczy zdrowa, gdy tymczasem Michael odszedł ze świata razem ze swoją piękną duszą? To on przywiązywał wagę do takich

rzeczy jak prawdziwy świat, Bóg, dusza... Ale co obudziło tę cholerną Sofię w środku nocy, co kazało jej ratować Josie? Bóg? Przeznaczenie? Czy po prostu pieprzony czysty przypadek...

Z nosa jej ciekło, chciało jej się pić, musiała się wysuszyć. Przewróciła się na bok, usiadła ostrożnie, czekając, aż miną zawroty głowy. Męczyła ją migrena najgorsza z możliwych, kac po prochach uspokajających, miała wrażenie, że czaszka pęknie na dwoje, niczym skorupka jajka. Kaczego jajka... Kolor skorupki nie jest dziś już tak bardzo elegancki, Michael. Wcale nieelegancki, prawdę mówiąc.

Wstała, trzymając się za czoło. Jakoś dotarła do łazienki, powoli suwając bosymi stopami po zimnej podłodze, ulżyła sobie, spróbowała nawiązać kontakt z rzeczywistością. Wanna przypominała ogromny sarkofag, pustą łódź. Ile godzin tutaj spędzili... Wypuszczali wodę, kiedy już wystygła, i dolewali gorącej. Jak dzieciaki bawili się armią plastikowych zabawek, całymi flotyllami łódeczek. Raz Michael odegrał tu dla niej całą bitwę pod Trafalgarem. Większe łódeczki były hiszpańskimi okrętami, mniejsze angielskimi. Angielskie były szybsze, a dowódca, lord Nelson, ciągle wymiotował. Umierał ze słowami: „Pocałuj mnie, Hardy”.

Josie wylegiwała się w ciepłej wodzie, oparta o Michaela, i marzyła o Montmartrze, o małym pokoiku w cieniu Sacre Coeur. O miniaturowej kuchence za zasłoną, mosiężnym podwójnym łóżku z opadającym jak mokry naleśnik materacem, o roztaczającym się z okna widoku na cały Paryż.

Nagle zrobiło jej się niedobrze. O tylu rzeczach nigdy jej nie powiedział, na przykład o mieszkaniu w szesnastej dzielnicy, tuż obok Avenue Foch...

Głowa bolała ją okropnie, jak zmiażdżony w drzwiach palec. Spuściła wodę i podeszła do apteczki, która wisiała tak wysoko, że ona musiała stawać na palcach, żeby zobaczyć

swoje odbicie w lustrzanych drzwiczkach. Michael musiał zawiesić inne lustro nad toaletą, żeby mogła się malować. Dziwne, ale teraz bez większego trudu zobaczyła swoje zmatowiałe włosy, szarą, wychudzoną twarz, opryszczkę na górnej wardze. Wyjęła aspirynę, wytrząsnęła cztery tabletki na dłoń i połknęła je, po dwie, popijając wodą z kranu. Kim była? Kim był Michael? Nic już nie było oczywiste, niczego nie mogła być pewna.

Wróciła do sypialni i otworzyła okna. Było zimno, ale musiała pozbyć się tego bagnistego smrodu, który unosił się nad łóżkiem. Zagrzebała się pod kocami, przywołując wspomnienia Montmartre'u. Pamiętała, jak Michael parzył rano kawę i na tacy przynosił parujący kubek do łóżka. Potem wślizgiwał się pod przykrycie i opowiadał różne historie. O kafejce na rogu, gdzie pili kawę z mlekiem z dużych miseczek, stojąc przy barze. O właścicielce kawiarni, madame Sorel, karlicy, która kazała robotnikom zbudować platformę po drugiej stronie lady, żeby mogła patrzeć klientom prosto w oczy.

- Ale dlaczego wstaliśmy tak wcześnie? - Josie uszczypnęła Michaela w sutek, bo bardzo to lubił. - Dopiero nad ranem wróciliśmy z przyjęcia u Cocteau, pamiętasz? Ty byłeś Pierrotem, a ja Kolombiną...

Pijany kłown z twarzą jak księżyc i jego srebrzysta dama...

Trzymał tuż nad nią kiść winogron, żeby mogła wargami zrywać je po jednym.

- Musimy iść do sklepu - powiedział. - Zanim ludzie wykupią najlepsze kawałki mięsa. Monsieur Clemenceau, le boucher, rzeźnik, zawsze próbuje sprzedać nam najgorsze. Wiemy, że jeśli stara się wcisnąć nam cielecinę, to musi już być raczej nieświeża. Co mówimy w takiej sytuacji? Nie, panie Clemenceau, poprosimy parę jagnięcych kotletów... Non, monsieur, les cotelettes d'agneau, s'il vous plaît...

- Ty idź do sklepu, a ja zostanę w domu... - pociągnęła łyk kawy, którą miał w mosiężnej tubie, kupionej na targu w Stambule.

- Ach, ale ja czasami zapominam, po co poszedłem... Ostatnim razem żonkile były takie śliczne, że wydałem na nie całe nasze pieniądze, pamiętasz? Przyniosłem całe naręcze i obsypałem cię nimi, kiedy spałaś...

Wyobraziła go sobie, niosącego naręcze kwiatów i rzucającego je na łóżko w małym pokoiku, żeby ją obudzić. Tyle żółtych, słonecznych główek, tyle światła... Mogli to mieć. Mogli tam pojechać. Łzy spłynęły jej po skroniach, zmoczyły włosy. Nie potrafiła zrozumieć. Wszystko to było w zasięgu ich rąk, lecz on okazał się tak cholernie przewrotny, wolał marzyć, zamiast spełniać marzenia.

Oczywiście w mieszkaniu Meredith w szesnastej dzielnicy trudno byłoby grać w La Boheme... Josie wyobrażała sobie, jak tam było - sufit z ozdobnymi liśćmi, zasłony z jedwabiu w szerokie pasy, meble obite tym samym materiałem, krzesła z wyginanymi jasnymi nogami. Zupełnie inaczej niż w ich pokoiku na Montmartrze, ale czy nie bawiliby się równie dobrze w luksusowym apartamencie tuż obok Avenue Foch, z antykami i tapetami, czystą pościelą i pokojówką...

Może. Jej to wszystko na pewno by nie przeszkadzało, wiedziała jednak, że on chciał czegoś innego. Chciał mieć swój Montmartre, gdzie mógłby być młodym artystą, który próbuje wywalczyć miejsce w świecie i odnaleźć drogę do samego siebie. Montmartre z ich marzeń, miejsce, gdzie byliby tylko we dwoje, gdzie własnymi siłami zarabialiby na życie. Gdzie on grałby na fortepianie w kafejkach, a ona pozowałaby artystom i śpiewała w barach, czyli mniej więcej to samo, co robili w parku Echo. Ale w mieszkaniu w paryskiej szesnastce znowu byłby synem Meredith, księciem, jednocześnie ważnym i nieważnym. Jego wartość polegałaby

na więziach łączących go z matką, natomiast Michael ze wszystkich sił starał się sam zapracować na swoją pozycję. Właśnie to robił tutaj, w swoim dopiero zaczynającym się życiu. Prawdziwy Paryż, ten, do którego w każdej chwili mogli wyruszyć na pokładzie samolotu, nie był ich Paryżem. W prawdziwym Paryżu nie było już Cocteau, który umarł wiele lat wcześniej, nie było Duchampa ani Apollinaire'a, Błazeja ani Żanny, zwłaszcza że ci ostatni byli bohaterami utworu literackiego. Całkiem możliwe, że w Sacre Coeur mieściła się teraz dyskoteka, wszystko było możliwe...

Leżała na zatechłym łóżku, wpatrzona w sufit odarty z chińskich papierowych latarni, malowanych klatek dla ptaków i spiralnych chwaścików, które znaleźli w skrzyni na Alvarado i przyczepili tutaj. To był ich Montmartre, właśnie tutaj. Miejsce, które sami stworzyli. Te popołudnia, które spędzali w tym łóżku, kochając się tak powoli i żarliwie, że był to już nie seks, ale odrębny świat. Michael czytał jej książki, wypełniał ją światłem, zmieniał ją, wymarzył ją sobie i oto zaczęła istnieć. Nie powiedział jej o mieszkaniu w szesnastce, bo wtedy by nie zrozumiała, że ich Paryż był tutaj.

Nie rozumiała go nawet na tyle... Miała teraz przed oczami rozmiar swojej płytkości i głupoty... Łzy znowu popłynęły jej po policzkach.

Więc dlaczego mieszkanie przy Lemoyne przestało być schronieniem, a stało się czymś innym - areną walk, torem wyścigowym, gdzie nie mógł ukryć się przed swoim mrocznym dramatem? Wszystko zmieniło się w lipcu albo w sierpniu, wcześniej nie działo się nic złego. Żyli jak zwykle, Michael miał tę wystawę i recenzję w „Weekly”... Namalował obraz przedstawiający wstępujące po schodach ślepe Meredith, odprawił egzorcyzm. Więc dlaczego? Dlatego, że kręciła film z Jeremym? Czy z powodu Reynalda, z powodu zbyt wielkiego stresu w pracy, konieczności zarabiania na

życie? Najpierw rzucił pracę, potem zaczął malować szalonych mnichów i wreszcie w ogóle przestał malować. Jego zmienne nastroje, różne odcienie ciemności, od zmroku po północ... Przypomniała sobie, jak na Cerro Gordo przechodzili obok wielkiego pojemnika na wodę i jak wtedy pokazała mu odciśnięte w betonowym chodniku wzory liści, tyle nieoczekiwanego piękna, a on powiedział: „To tylko kilka liści, które upadły na mokry beton, Josie, żaden cud...”. Świat, który był przesycony boskim blaskiem, nagle został zredukowany do garści prochu...

To Michael nauczył ją szukać śladów prawdziwego świata i to on nieoczekiwanie zaczął zachowywać się tak, jakby prawdziwego świata nigdy nie było... Josie została sama, a on robił się sztywny, kiedy go dotykała, chociaż jeszcze niedawno chwyciłby ją w ramiona...

- Co takiego zrobiłam?

- Po prostu nie lubię, kiedy ktoś mnie obmacuje, to wszystko.

Nie umiała odgadnąć, czym sobie na to zasłużyła. Myślała, że to przez jego obrazy, przez to, że szło mu coraz trudniej. Niedługo potem przyszedł czas oskarżeń i zazdrości bez powodu. Zarzucał jej kłamstwa, gdy to on cały czas ją okłamywał. Od samego początku. Udawał, że był prawiczkim. Mówił, że nie jest usportowiony. Pozwolił jej wierzyć, że nie miał żadnych dziewczyn, że nie rozmawiał z ojcem. Tak, okłamywał ją od pierwszego dnia. Malował swój autoportret, który z prawdziwym Michaelem łączyło tylko kilka cech. Wiele rzeczy pomijał, przemilczał. Zależało mu, by uważała go za dużo bardziej bezradnego, niż był w rzeczywistości. I z całą pewnością nie ufał jej na tyle, żeby opowiedzieć o Saint - Tropez.

Nienawidził tego, że kochał ją w ten sposób... Otóż to... Możliwe, że Josie rozbudziła w nim rozpacz i pragnienie

autodestrukcji, ale to Meredith zasiała w nim te uczucia. Rzecz nie do pomyślenia... Ale właściwie dlaczego nie? Na tym świecie działy się najróżniejsze rzeczy, brat, siostra, matka, syn... Josie potrafiła to sobie wyobrazić, nie musiała nawet specjalnie się wysilać.

Hotelowy pokój z okiennicami, jak z obrazu Matisse'a. Meredith wchodzi, żeby życzyć Michaelowi dobrej nocy, pogadać o dobiegającym końca dniu. Sąsiadują ze sobą, ich pokoje łączą wspólne drzwi, nie trzeba wychodzić na korytarz. Linia tak cienka, że prawie niewidoczna... Josie widziała to oczami wyobraźni. Meredith staje w drzwiach, Michael czyta książkę. I pieści się - lubił to robić, lubił robić dwie rzeczy jednocześnie i udawać, że robi tylko jedną. Meredith w lekkim szlafroku, może z mokrymi włosami, owiniętymi ręcznikiem.

- Jesteś zajęty?

Może na leciutkim gazie, kto wie, Meredith była bardzo zdyscyplinowana, ale nie zawsze. Samotna. W Saint - Tropez nie było żadnego mężczyzny, który by jej pochlebiał, był tylko jej syn. Dostrzega, że Michael wyciągnął rękę spod prześcieradła, ale udaje, że niczego nie zauważyła, tak, pod tym względem byli do siebie podobni... Rozmawia z nim w taki sposób, jakby nic się nie stało. Gada, chodzi po pokoju, jej szlafrok rozchyła się lekko...

Michael zawsze mówił, że uwielbia delikatność Josie, jej smukłość, drobną budowę ciała. Bo to ona jest moją miłością, inne kobiety są tylko wielkimi ciałami z płomieni... Ale może po prostu szukał kogoś, kto nie przypominałby mu Meredith i tamtej nocy w Saint - Tropez, kobiety, która stanęła w progu jego snu... Czy chodziło ci tylko o to, Michael? Byłam dla ciebie tylko kimś w rodzaju anty - Meredith?

Zaczął się od tych cholernych telefonów. Sztokholm, Rejkiawik, Hamburg. Lipiec, sierpień. Chociaż niewykluczone, że przez cały czas wydzwaniał do Meredith na

jej koszt, skąd mogła wiedzieć, co robił... Była dziesięć razy bardziej ślepa niż niewidome Meredith z jego obrazu. Był wtedy niespokojny, źle sypiał, malowanie mu nie szło. Czy tęsknił za Meredith, za pokojem w Saint - Tropez, jej ciepłym, dużym ciałem, wyraźnie widocznym przez cieniutki materiał? Jego oczy wciąż wracające do ciemnego trójkąta między jej udami, Meredith pytająca z leciutkim uśmiechem: „Uważałbyś mnie za atrakcyjną, gdybyśmy byli sobie obcy?”.

Michael nie powstrzymałby biegu wydarzeń. Zawsze szedł w stronę tego, czego najbardziej się obawiał. Wiesz, jak to z nimi było... Chłopak kaleka, głuchoniemi... Kiedyś Michael powiedział Josie, że Meredith lubiła udawać przed obcymi jego kochankę, była to gra, którą uprawiali w kawiarniach i galeriach - przystojny chłopiec i elegancka kobieta, gra, ale i nie - gra. Granice zatarte, cienkie linie, które tak łatwo przekroczyć. Od dziecka uczono go, że jest inny, że wszyscy oni, ci Loewy, są inni, że reguły i zasady odnoszą się do wszystkich poza nimi. Dotknął jej ciała, Michael? Czy jej zapach sprawił, że zakręciło ci się w głowie? Zapach tak znajomy, dymny, kadzidlany, mroczny. Piżmowy aromat jej ciała? Na tę noc zbierało się od lat, jak na burzę. Michael po prostu nie miał pojęcia, jak to będzie, jak będzie się czuł, bez przerwy nosząc w sercu wyrok wydany na samego siebie.

Jego erekcja wyraźnie widoczna pod przykryciem, nabrzmiała, wsparta na brzuchu... Może położyła głowę na poduszce, może jej pierś wysunęła się spod cieniutkiego materiału.

- Ciekawe, jak by to było, gdybyśmy nie byli matką i synem...

Michael uwielbiał udawać. Jej dłoń pieściła jego twarz, tak, właśnie tak mogło się to zacząć... Może pocałowała go rozchyłonymi wargami, pozwalając sobie na moment zapomnieć, że to jej syn... Może w chwili szaleństwa chciała

widzieć w nim tylko przystojnego młodego człowieka, poczuła, jak poruszył się pod prześcieradłem, jej włosy rozpostarte na poduszce jak wzburzony wachlarz... Była ciepła, znajoma, jej pierś w jego dłoni, to tylko sen, Michael, to nie dzieje się naprawdę... Może potajemnie marzył o tym, marzył i bał się jednocześnie... Potem zanurzył się w odgłosie uderzających o brzeg fal. Szszsz, nie myśl o tym, nic nie mów... Jej ręka na jego ustach...

Nienawidził siebie za to, że kochał ją w taki sposób, ale był bezradny, nie potrafił tego powstrzymać. Pieprzone smutne przeznaczenie. Pieprzone ming.

A kiedy następnego dnia Meredith spróbowała otworzyć drzwi łączące ich pokoje, pierwszy raz okazały się zamknięte. Może pukala i wołała, ale on nie odpowiedział, nie otworzył, już nie i nigdy więcej. Gdy zszedł na śniadanie, nie patrzył jej w oczy i monosylabami reagował na uwagi. Tego dnia nie poszedł na plażę, został w hotelu, zamówił rozmowę z ojcem na jego koszt i powiedział, że chce wracać do domu, że chciałby pójść gdzieś do szkoły, czy Cal mógłby mu to załatwić? Chciał być jak inni chłopcy, chociaż już było za późno. Ojciec zapisał go do Ojai, tak, to musiał być Cal... A ona puściła go, bo wiedziała, że posunęła się za daleko, że straciła go bezpowrotnie, nieodwołalnie. Nie chciał dłużej być jej małym mężusiem, bo teraz stało się to zbyt rzeczywiste, zbyt prawdziwe. Więc uciekł. Rzucił się w szkołę, grał w piłkę ręczną, tak, i ogrywał wszystkich w tę i z powrotem. A później przyszło to, co i tak musiało przyjść.

Josie rozumiała, dlaczego nie mógł jej powiedzieć. Nie mógł, nie umiał, ponieważ kochał tę mroczną, nieszczęśliwą kobietę. Nie był w stanie zdradzić tej, która jego zdradziła w najgorszy możliwy sposób. Zaczął dzwonić do ojca, głównie po to, aby pogadać i oderwać się od tego, co tak strasznie go dręczyło, lecz nigdy nie przyznał się, do jakiego stopnia

skomplikowały się sprawy między nim i matką. Jego lojalność wobec Meredith była absolutna, niezachwiana do samego końca. Tak.

Więc jaką rolę tak naprawdę odegrała w tej historii Josie Tyrell? Kogoś, kto nie rozbudza niebezpiecznych wspomnień, kto może pomóc zerwać trującą więź? I to wszystko? Kochaliśmy się kiedyś... Prawda? Jeszcze parę godzin wcześniej bez wahania powiedziałyby: „Tak, oczywiście, jak możesz pytać?”, ale teraz nie była już tego taka pewna. Bo może tamtego lata, kiedy Meredith wydzwaniała do niego z Hamburga i Danii, zaczął widzieć Josie taką, jaka była naprawdę, nie jako zadanie do wykonania, nie jako plan, lecz samą Josie, niewyrafinowaną, nieoczytaną, niewykształconą, prawie analfabetkę, pozbawioną szczególnych zalet. I może uświadomił sobie, że świat, który wybrał, jest naprawdę bardzo mały i ciasny. Może znużyła go zabawa w mieszkających na strychu artystów, dokładnie tak, jak przewidziała Meredith, a nie umiał przerwać tej gry. Napięcie narastało. Popełnił błąd. Chciał się rozstać z Josie, ale nie potrafił zmobilizować się, aby to zrobić. Uważał, że nie może zdradzić swoich marzeń o niezależnym życiu.

Josie sięgnęła po wiszącą na klamce torbę, ale cholerne papierosy leżały przecież na dnie basenu Meredith. Mogłaby podjechać do sklepu Gala, lecz nie chciała wychodzić w to słońce, chyba nie zniosłaby blasku. Czowała się bezbronna, odsłonięta, jak jeden z bohaterów Odysei kosmicznej 2001, za którym komputer zamyka drzwi statku. Odcięta w głębokiej przestrzeni.

Zwlokła się z łóżka i poszła do dużego pokoju, który cuchnął bagnem i martwymi, gnijącymi roślinami. Światło było tak jasne, że kompletnie ją poraziło, przecięło na pół. Znalazła kilka długich niedopałków w popielniczce, otworzyła je i zrobiła z resztek tytoniu skręta o smaku śmieci i palącej

się gumy. Wiedziała, że powinna pójść do kuchni i wyrzucić to, co tak potwornie tam cuchnęło, ale zużyła już całą energię, do ostatniej odrobiny. Ciężko usiadła przy obłazącym z farby stole, zaciągnęła się okropnym papierosem, otworzyła szufladę z nadzieją, że może tam znajdzie jakąś nieotwartą paczkę, ale zobaczyła tylko nożyczki, pinezki i swoją starą talię tarota, zawiniętą w marokański szal z farbowanej tkaniny.

Michael miał zaprojektować dla niej nową talię, zdążył jednak namalować tylko jeden obrazek i zrobił serię szkiców. Rozłożyła karty na stole. Nie zamierzała sobie wróżyć, chciała tylko na nie popatrzeć, jak na starych przyjaciół, na Cesarzową, Rydwan, Głupca. Głupiec z oszołomioną twarzą, uniesioną ku niebu, z jedną stopą wiszącą nad krawędzią skały... To wcale nie był Michael, tylko ona. Ty głupia... Wierzchem dłoni powoli otarła łzy.

A kim był on? Magiem? Chyba tak. Bo przecież miał wszystko, świat kręcił się na jego małym palcu. Albo Pustelnikiem z latarnią, szukającym prawdziwego świata. Chociaż nie, to był Michael... Dwunasta karta. Wisielec. Przywiązany do drzewa, odwrócony do góry nogami, niezdolny do wykonania żadnego ruchu.

Zadzwoił telefon stojący na pomarańczowej szafce. Michael opowiadał jej kiedyś o paradoksie Zeno, który wskazywał, że w każdej czynności kryje się nieskończona liczba drobnych ruchów, którą można dzielić i dzielić, i nigdy nie dotrzeć do rozwiązania. Płyniesz w kierunku powierzchni, ale nie możesz pokonać tej odległości. Josie zobaczyła nagle samą siebie, wykonującą nieskończoną liczbę drobnych gestów, aby w końcu sięgnąć po słuchawkę. Oui, c'est moi.

- Josie? Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało! Meredith. Radosna jak wróbelek.

- Zajrzałam do twojego pokoju, bo wiedziałam, że na pewno już nie śpisz, a ciebie nie było. Sofia powiedziała, że pojechałaś do domu. Co się stało, zapomniałaś czegoś?

Kim była Meredith? Cesarzową? Kapłanką? Czy tylko Królową Mieczów, niszczącą wszystko, czego dotknie, złowrogą nosicielką ming?

- Musiałam przemyśleć parę spraw.

- Nie denerwujesz się chyba, co? Wierz mi, Josie, wszystko będzie dobrze. Będiesz miała czym się zająć, a ja będę pod ręką i zawsze pokażę ci, co robić...

Co robić... Meredith pokaże jej, co robić i jak się zachowywać... Tak jak pokazała Wisielcowi, przywiązanemu do swego fatalnego krzyża?

- Josie? Jesteś tam?

Znalazła Królową Mieczów, która w jednej ręce ścisła miecz, a drugą wyciąga do patrzącego, przywołując go, zachęcając, aby się zbliżył.

- Zastanawiam się nad tym wszystkim... Przerzuciła karty, znalazła Świat. Położyła go między

Królową i Głupcem. Mogła mieć świat, ale za jaką cenę... Wisielec patrzył na nią z miejsca kaźni.

- Posłuchaj mnie, nie ma się nad czym zastanawiać! To nie zgoda na wykorzystanie organów do transplantacji. Za cztery dni będziemy w Europie i zabiorę cię na najlepszą kolację, jaką kiedykolwiek jadłaś...

A co z jej biedną, poszarpaną duszą? Przecież wszędzie będzie jakiś mroczny basen, ponure bagno, nawet w Zurychu, Wiedniu, mieszkaniu w paryskiej szesnastce... Jak daleko trzeba uciec, żeby zapomnieć o pogrzebanym na Mount Sinai chłopcu?

- Naprawdę masz prawo podarować sobie coś dobrego, zwłaszcza po tym, co przeszłaś...

Głos Meredith był cichy, intymny, przekonujący. Miał piękne brzmienie, był czuły i pełen zrozumienia.

- Zaslugujesz na to. A co do niego, to przecież jest martwy, niezależnie od tego, gdzie będziemy, sama tak powiedziałaś...

Jednak Josie nie mogła pozbyć się straszego uczucia, że skała kruszy się jej pod stopami. Jak tamtego wieczoru, kiedy pojechały na kolację z Boulezem. Wszystko, co Michael w niej kochał, zniknęło. Inteligentna, oryginalna. Tamtego wieczoru na pewno by jej nie poznał.

- Masz przed sobą nowe życie, możesz zacząć wszystko od początku, pomyśl o tym...

Josie przesunęła palcami po skrzyconym kablu słuchawki. Wyobraziła sobie małą Żannę i Błażeja w niebieskim przedziale kolejowym. Siedzieli, stykając się głowami, i przyglądali się jej uważnie. Pamiętaj.

- Nie wiem, czy mogę...

Meredith zniżyła głos do szeptu, Josie miała wrażenie, że wypowiedane przez nią słowa dobiegają ze środka jej głowy.

- Pomyśl, co czujesz, jeżeli nie wsiądziesz do samolotu... Za parę lat będziesz zmywała naczynia w przyczepie samochodowej, gdzieś w Lancaster... Twojej spódnicy trzymać się będzie czwórka wrzeszczących bachorów, a ty wyjrzysz przez okno, popatrzysz na suszące się na podwórku pranie i pomyślisz: „Mogłam mieć lepsze życie. Mogłam mieć coś lepszego”...

Tak jak Pauline? Josie miała ochotę to powiedzieć, ale ugryzła się w język. Matka Meredith poznała wszystkich tych sławnych ludzi i próbowała jakoś się do nich dopasować, podciągnąć. Zaczęła jako ktoś, a stała się nikim, niczym. W końcu dostrzegła szansę uratowania jakiejś wciąż jeszcze żywej części siebie, zastawiła ten cholerny pierścionek i oddaliła się w nieznanym kierunku. Zostawiła dziecko, oto jak

mocno pragnęła uciec... Josie przejechała palcem po sztucznym futrze kanapy, rozdzieliła je jak plewy, wśród których szuka się ziarna. Chciała zadać Meredith to pytanie, lecz uznała, że zrobiła już dość złych rzeczy.

- Muszę po prostu przemyśleć parę spraw.

- Zupełnie cię nie rozumiem! - wybuchnęła Meredith. - Masz zarezerwowane miejsce w samolocie, ja mam twój paszport! Daję ci wszystko! Co się z tobą dzieje, do diabła?

Meredith myślała, że człowiek może uciec od przeszłości. Że ona może uciec od Michaela, swojego ojca, matki, Lisbeth i Wiednia, 1934. Od Saint - Tropez. Od wszystkiego. Sądziła, że musi tylko ciągle przemieszczać się z miejsca na miejsce i tkwić w kręgu światła reflektorów. Cóż, tak naprawdę od niczego nie da się uciec, wszędzie czeka jakiś basen. Można pojechać do Paryża, Bejrutu czy Wschodniego Zadupia, ale co z tego... Meredith była najbardziej przestraszoną osobą, jaką Josie kiedykolwiek spotkała.

- Słuchaj, Meredith, we wtorek albo będę na lotnisku, albo nie. Teraz muszę wyjść.

Słyszała oddech Meredith, jej wargi znajdowały się tuż przy jej uchu, a kiedy wreszcie się odezwała, jej głos był spokojny, chłodny, zdecydowany.

- Wtorek, dziesiąta rano, samolot linii Air France. Teraz wszystko zależy od ciebie.

Sofia ostrzegła ją, żeby nie zgubiła swojej duszy, bo nie ma już nic poza nią. Josie pozbierała karty i owinęła je chustą.

33. Podróż

Zakorkowane arterie trasy 210 prowadziły w kierunku wschodnim, przez Pasadenę, Arcadię i Monrovię, podmiejskie dzielnice, których światła drobnymi kroplami opryskiwały ciemną masę San Gabriels niczym woda wylana na brudną podłogę. Jazda nie była trudna, trzeba było po prostu zająć miejsce w kolejce. Tysiące ludzi, wszyscy widziani tylko z profilu, zamknięci w swoich ruchomych puszkach. Każda twarz w każdym samochodzie niosła smutek, znudzenie, wściekłość. Ktoś rozważał możliwość popełnienia morderstwa. Ktoś, dokładnie w tej chwili, samotny w swoim akwarium, przesuwał palcami paciorki samobójstwa, modląc się na nich jak na różańcu. Ktoś błagał o pomoc Boga, w którego nie do końca wierzył, ale po prostu nie miał nikogo, do kogo mógłby się zwrócić. Pozostali myśleli tylko o kolacji, o wieczornym odcinku serialu Dallas, porannej kłótni z szefem.

W alternatywnej rzeczywistości Josie wracałaby właśnie z pracy w banku, w lokalnym Auto Clubie lub w jakiejś innej firmie i myślałaby o dzieciach, o tym, co przygotowuje na kolację w kuchni swojego podmiejskiego domu w El Monte. Zapiekanekę z tuńczykiem, posypaną frytkami? Może. Jej mąż, młody jak i ona, odbierałby dzieci z przedszkola. I co w tym złego? Proste, normalne życie, osiągalne, dostępne. Pewnie chciała za dużo i właśnie na tym polegała jej wina, nie wystarczała jej miłość Michaela, bo pragnęła mieć wszystko wszystko wszystko. Zdolności, bogactwo, kulturę, sztukę i sukcesy, całe to gówno spod znaku rodziny Loewy. Gdyby tylko opamiętała się w porę i zdjęła z oczu opaskę magicznego myślenia...

Z głośnika magnetofonu dobiegał głos Patsy Cline, która śpiewała: „Rozpadam się na kawałki za każdym razem, kiedy cię znowu spotykam...”. Josie kupiła kasetę na stacji

benzynowej w Glendale, bo była to najbardziej zbliżona do bluesa rzecz, jaką mieli. Pen pękłaby ze śmiechu, gdyby ją teraz zobaczyła, śpiewającą razem z Patsy... Znała na pamięć każde słowo, każde zachłyśnięcie, każdy okrzyk, znała je jak rytm własnego serca, potrafiła zaśpiewać każdą wysoką nutę i naśladować drzenie głosu piosenkarki oraz jej brawurę. Patsy to Piaf we frędzlach i wysokich białych butach. Ale Meredith miała nie tylko Piaf, miała także Louisa, Django i Binga, nie mówiąc już o Brahmsie i Bartóku, mało tego, Meredith złapała w swoją sieć nawet starą Merle Haggard, która przecież należała do Josie. Wszystkie te płyty leżały teraz w starym pokoju Michaela, rzucone byle jak, bez ładu i składu. Meredith powiedziała, że raczej nie wróci już do Los Feliz. Zamierzała zamknąć dom i po prostu nie wrócić. Minie pięćdziesiąt lat, a płyty i inne rzeczy nadal tam będą, tyle że pokryte grubą jak filc warstwą kurzu. Nie będzie Mauritza, Michaela ani Meredith i być może Josie, ale ich rzeczy wciąż będą czekać w tamtym pokoju, płyty dalej będą nadawały się do odtwarzania. W czyje ręce trafią po śmierci Meredith? O ile Josie znała tę kobietę, podatki za rezydencję w Los Feliz będzie płacił jakiś bank, a sam dom powoli i w milczeniu rozsypie się w proch.

Josie powinna myśleć o własnej duszy, o tym, co zrobi z tą nieszczęsną zapleśniałą i dziurawą istotą. Była brudna i poplamiona, ledwo żywa. Nie potrafiła postąpić tak jak Meredith, zamknąć dom i wyjechać z miasta, nie zostawiając żadnego adresu. Była dziewczyną, która zabiła to, co kochała, to prawda, ale mogła zrobić jedną rzecz, której ta śmiertelnie przerażona kobieta nie była w stanie zrobić - mogła pójść za nim aż do samego końca. Do końca.

Samochody pełzły w dół doliny, przez Azusę i Glendore. W czasach pomarańczowych gajów były to prawdziwe miasta, każde z własną stacją kolejową i sklepem, lecz teraz cała

okolica przeistoczyła się w jeden długi podmiejski szlak, jedno wielkie pasmo dzielnic, których mieszkańcy wracają do domów tylko na noc. Mimo tego nie było rzeczy, której Josie nie zdecydowałaby się oddać w zamian za kawałek tego zwyczajnego życia, życia dzielonego z ukochanym chłopakiem, życia dzielonego jak bochenek ciepłego, chrupiącego chleba.

W Pomonie okropne białe balony wisiały na tle nocnego nieba nad rozłożonymi wzdłuż drogi autokomisami. Dziwaczne białe surrealistyczne grona, szarpiące się na uwieży. Czowała to samo napięcie w gardle, w klatce piersiowej. Czarne pnie palm wystrzelały wysoko, ciemniejsze od nieba. Księżyc wyłaniał się zza zbitego kożucha chmur, podobny do gigantycznej, uśmiechniętej twarzy Czarownika z Krainy Oz. Czy Bóg jest właśnie taki, zastanawiała się, czy przypomina ukrytego za kurtyną człowieka, który doskonale wie, za jaki sznurek pociągnąć i którą dźwignię przesunąć, gdy przecież sam ukrywa swoje niedoskonałości? Czy jest jak marny wideoklip, nakręcony w czyimś garażu, z mnóstwem sztucznej mgły i słabym oświetleniem?

Michael jechał tą samą drogą, mijał te same autokomisysy, te same palmy. Czy wiedział, dokąd jedzie? Czy może po prostu pożyczył samochód w hotelu Ambassador i rzucił kluczykami niczym kośćmi? Jeśli upadną bolcem na wschód, pojedzie na pustynię, ku martwemu morzu, solnym równinom, wielkim terenom, na których odbywały się próbne wybuchy broni jądrowej. Czy wiedział, że zatrzyma się w Twentynine Palms, czy po prostu mijał kolejne zjazdy z autostrady, czekając na dotknięcie fatalnego instynktu? Dlaczego nie zdecydował się na któryś z ośmiu zjazdów do Pomony? Josie czytała ustawione przy zjazdach tablice: FAIRGROUNDS, GARVEY, TOWNE, INDIAN HILL, ETIWANDA... Dlaczego nie Etiwanda albo Montclair, albo Ontario?

Dlaczego uznał, że musi jechać aż tak daleko, aby stanąć twarzą w twarz z tym, co mógł spotkać w ich domku przy Lemoyne?

W końcu przedmieścia rozluźniły chwyt, ruch w kierunku Colton wyraźnie osłabł. Josie bez trudu doszła do wniosku, że najwyraźniej w Colton nie mieszka wielu ludzi, którzy dojeżdżają do pracy w innych miejscowościach. Stąd ludzie nie dojeżdżali nawet do Pomony. Wielkie plakaty reklamowały teraz nie kluby, parkingi i osiedla mieszkaniowe, lecz agencje turystyczne, ozdobione zdjęciami kobiet w piórach lub pływających w luksusowych basenach, oraz mężczyzn w białych spodniach, grających w golfa. Ogromne spa i hotele Palm Springs i Las Vegas. Czujesz, że sprzyja ci dziś szczęście? Pomyślała o starym Mortym i jego żonie, o tym, jak jeździli tędy do Vegas swoim potężnym cadillakiem, słuchając piosenek Franka Sinatry z czterech małych głośników. Z przyjemnością przypominała sobie, że Morty pewnie nie śpi, że pewnie spędza noc w barze w Gardenie i dopiero nad ranem wróci do domu, żeby się przespać. Ciekawe, czy myślał o niej, kiedy przyjeżdżał na grób żony. Czy kiedykolwiek spoglądał na nagrobek Michaela i zastanawiał się, co dzieje się z dziewczyną w żółtym futerku, która nie знаła nikogo tak osieroczonego jak on i ona? Teraz wydawało jej się to niewiarygodne, że była aż tak nieświadoma i niedoświadczona, niewinna jak dziewczyna z bajki.

Torowisko w Fontanie drzemało pod pomarańczowymi lampami. Puste wagony czekały na bocznicach, pełne poruszały się powoli jak we śnie, zmierzając gdzieś ze swoim ładunkiem stali albo pomarańczy, połączone w niekończące się łańcuchy. Żaden z nich nie należał jednak do ich pociągu, pociągu Błażeja i Żanny, który wyjeżdżał z Paryża i przecinał całą ogarniętą wojną Syberię, żeby w końcu dotrzeć do

nadmorskiego Harbinu w Chinach. Kreml był jak olbrzymie ciastko... Łatwo byłoby umrzeć w Fontanie, wystarczyłoby położyć się na torach i czekać, aż koła jakiegoś pociągu rozetną cię na trzy części. Albo sprowokować bójkę w barze, rzucić jakąś niewiele znaczącą obelgę i pozwolić komuś innemu dokończyć sprawę, pozwolić, aby rozbił ci czaszkę o betonowy krawężnik na parkingu...

Nawet w tej sekundzie mogłaby szarpnąć kierownicą w lewo, tylko odrobinę... Tyle by wystarczyło, aby szesnastokołowa ciężarówka z błyszczącą szoferką zmiażdżyła jej falcona niczym papierek po cukierku. Dłonie miała mokre od potu. Starła się myśleć o czymś innym, ale nie mogła się powstrzymać, ciągle wracała do tego, jak by się wtedy czuła i jak długo by to trwało. Po prostu wypadek... Nie musiałyby nawet być w pełni świadoma, co robi, mogłaby wszystkiemu zaprzeczyć. Zasnęłam na sekundę, i już... Cóż, łatwo jest nazreć się środków uspokajających, popić je wódką i wpaść do basenu, o wiele trudniej przyznać się, powiedzieć: „Miałam już wszystkiego dosyć, do cholery!”. Trudniej jest wsadzić sobie lufę do ust i nacisnąć spust. Robią to, durnie, i nie jest to żaden wypadek. Patrzcie, tak się to robi... Jeżeli człowiek chce popełnić samobójstwo, powinien wiedzieć, że właśnie taki ma plan, nie inny. Powinien zrobić to z szeroko otwartymi oczami.

Pokonała serpentynę i węzeł łączący jej trasę z innymi, potem krzyżówkę dróg 10 i 15, jedną prowadzącą do Beaumont, Banning oraz Indio, drugą wiodącą na północ, do Las Vegas. Na moment ogarnęło ją przerażenie, kiedy wyobraziła sobie, jak Morty i Dotty skręcają tutaj na północ, zostawiając ją samą. Prawie uwierzyła, że jadą razem z nią...

REDLANDS 15 KM. Pomyślała o Pen, która dorastała właśnie tutaj, szalona, pochłonięta marzeniami o Los Angeles do tego stopnia, że pewnie czuła smak wielkiego miasta.

Brakowało jej Pen tak, jakby brakowało odciętej ręki. Tęskniła za Pen z jej wielką, namiętą miłością życia, poczuciem humoru i szorstkim, praktycznym podejściem do rzeczywistości, Pen z jej szczerbatym uśmiechem. Pen nigdy nie przyszło do głowy, że mogłaby wziąć dodatkową pigułkę albo pięć i przejechać na pasmo gnających z przeciwnej strony samochodów. Trudno byłoby opisać jej wściekłość, gdyby widziała, jak Josie poddaje się magii Meredith Loewy, jak ulega rzucanym przez matkę Michaela czarom. Nigdy nie potrafiłaby wytłumaczyć Pen, dlaczego jedzie do Twentynine Palms, dlaczego musi dowiedzieć się, jak to było, raz na zawsze. Dlaczego musi dotrzeć aż do końca tej drogi. Sama zresztą tego nie rozumiała, czuła tylko, że jeżeli ma mieć jakąkolwiek szansę na uratowanie fragmentu duszy, który jej jeszcze pozostał, to naprawdę musi jechać, musi sięgnąć samego dna, odbytu śmierci.

W Redlands małe wesołe miasteczko wirowało i błyskało z zapalem. Karuzela, miniaturowy rollercoaster, ulubiona rozrywka Josie. Nie zatrzymała się jednak, żeby je obejrzeć. Michael nie szukał wesołego miasteczka. Nie szukał karnawałowych zabaw. Karnawał, ucza przed wielkim postem, przygotowaniem do Wielkanocy, śmierci Chrystusa i Jego cudownego zmartwychwstania.

Na wiosnę Michael zabrał ją na wielkanocną mszę w kościele z różowej cegły na Vermont. Zaskoczyło ją to, ale nie protestowała, bo bardzo lubiła jego pomysły, nawet te najdziwniejsze. Włożyła ładną sukienkę i pantofle na wysokich obcasach.

- A jeżeli to naprawdę się zdarzyło? - zagadnął, kiedy byli już w drodze. - Jeżeli naprawdę odwalili kamień i znaleźli pusty grób?

Weszli spóźnieni i usiedli z tyłu. Kościół był wypełniony ludźmi o różnych kolorach skóry, włosów, strojów. Ogromne

bukiety kwiatów, ustawione przed ołtarzem, przesycały powietrze w całej świątyni intensywnym zapachem, świece płonęły, chór śpiewał pełnym głosem. Olbrzymi, realistycznie wyrzeźbiony Chrystus zwisał z krzyża. Był strasznie wychudzony, okropnie kruchy. Zniszczony, połamany, zapomniany. Kapłan mówił, zgromadzenie odpowiadało. Nagle wszyscy zaczęli odwracać się do sąsiadów i podawać im dłonie, mówiąc: „Pokój z tobą...”. Jaki poważny był Michael, kiedy wypowiadał te słowa... Ciekawe, co powiedzieliby tamci ludzie, gdyby wiedzieli, że Michael był półkrwi Żydem... Kapłan przeszedł nawą razem z ministrantem, który niósł misę z wodą. Duchowny zanurzał w wodzie dziwną rzecz, trochę podobną do szczotki do odkurzania, a trochę do dzwonka na długim drewnianym trzonku, i skrapiał wszystkich obficie, raz z jednej, raz z drugiej strony. Josie drgnęła, zaskoczona kontaktem z zimną wodą, zdziwiona, że na ich skórze nie wyskoczyły bąble, bo przecież nie należeli do wierzących. Oczy Michaela lśniły. Wtedy się zastanawiała, po co właściwie tam przyszedł, ten żydowski chłopak, którego dziadek uciekł przed nazistami, nie zabierając ze swojej ojczyzny nic poza tym, co miał na grzbiecie, lecz teraz już go rozumiała. Szukał wiary, nadziei, że tamten głąz usunął się, a Syn wyszedł z grobu, zwycięski i triumfujący. I że on sam któregoś dnia zostanie uwolniony z grobu, w którym powoli się замуrowywał.

Ogarnęła ją fala litości i współczucia, tak silna, że musiała zjechać na pobocze i przystanąć. Mijały ją samochody, a ona siedziała i usiłowała oddychać, rozluźnić napięcie w twardej jak kamień piersi. Dlaczego tego nie dostrzegła? Patrzyła tylko i myślała wyłącznie o tym, kiedy msza dobiegnie końca, a oni pójdą na lunch. Później, gdy przystanęli przed bocznym ołtarzem, Michael zapalił świeczkę, uklęknął i odmówił modlitwę przed piękną Maryją Dziewicą z wieńcem z

kwiatów na szyi. Josie wrzuciła dolara do puszki i też zapaliła świeczkę, ale była to tylko zabawa, nic więcej. Pomyślała o Madonnie, wiszącej nad jego łóżkiem w Los Feliz. Dlaczego Maryja Panna, a nie żydowski świecznik czy gwiazda? Zawsze uważała, że był to po prostu nieco kiczowaty obraz, lecz teraz wiedziała już, jak było naprawdę. Madonna była Matką, która miała czuwać nad jego niespokojnymi snami, kimś, kto kochałby go bezwarunkowo, w każdej chwili gotów uwolnić go od cierpienia. Nie tą matką, której geniusz prześladował go każdego dnia, która wychowała go jedną ręką tylko po to, aby drugą odebrać mu sens życia, która zamazywała wszystkie linie i granice, i tajnym przejściem wdzierając się w głąb jego duszy. Michael pragnął miłości czystej i prostej. Bez warunków, bez wyjątków, bez żadnych „ale”. I oto nawet ona nie umiała dać mu takiego uczucia. Ona także chciała czegoś od niego, ona również przede wszystkim brała.

Tak więc ona i Meredith, kobiety, które go zawiodły, zostały same ze swoimi grzechami, a gład nigdy nie odsłonił wyjścia... Josie siedziała i paliła papierosa, a łzy spływały jej po policzkach.

Za Redlands droga wypełzła na coś w rodzaju przełęczy, teren, który w ciemności wydawał się żyzny i zalesiony. Po drugiej stronie przełęczy dmuchnął mocny wiatr, który niemal zepchnął samochód Josie na drugie pasmo. Mijający ją buick ryknął klaksonem. W pierwszej chwili pomyślała, że coś jest nie w porządku z oponami. Sytuacja uspokajała się na minutę, dwie, pięć, już była pewna, że wszystko wróciło do normy, gdy nagle samochód znowu zaczął zjeżdżać na drugą stronę. Z trudem przedarła się przez zniszczoną, zaniedbaną Calimesę, miasto z lat czterdziestych, pełne furgonetek i niewielkich ciężarówek, z atmosferą typową dla małych miasteczek i centrum handlowym, pełniącym rolę centrum

nocnego życia. Calimesę otaczał płaski zachodni krajobraz, w oddali mrugały rozsiane tu i ówdzie światła. Josie rozumiała ludzi, którzy decydowali się na życie na tej surowej, wyjąłowanej ziemi, z dala od wszelkich wygód. Ludzi, którzy nie chcieli kochać sąsiadów tak jak samych siebie, czy też raczej rzeczywiście kochali sąsiadów mniej więcej tak samo jak siebie. Twardych ludzi, którzy czasem z trudem znosili swoje własne towarzystwo.

Zmagała się z wichurą przez godzinę i zanim zaparkowała przed barem U Denny'ego w Beaumont, ramiona miała obolałe, a nerwy napięte jak cienkie nitki. Była zadowolona, że może schronić się gdzieś na chwilę. Kiedy wysiadła z samochodu, ostry ziąb przejął ją do szpiku kości, zwłaszcza że przed wiatrem chroniły ją tylko brudne dżinsy, sweter i poszarpana przez psa skórzana kurtka. I dobrze... Nie potrzebowała futra za pięćset dolców ani długiej puchówki. Nie można otulać się gęsim puchem, kiedy chce się dotrzeć na sam koniec drogi. Było jej zimno, ciężko i źle, ale sama dokonała tego wyboru.

Hostessa jednym spojrzeniem ogarnęła jej fryzurę na punka i kurtkę i wskazała miejsce z dala od rodzinnych grup, przy oknie, z którego widać było oświetloną drogę i starego falcona Josie, ozdobionego nalepkami stu rozmaitych zespołów muzycznych. Kiedy do stolika podszedł kelner w muszce, Latynos koło pięćdziesiątki, Josie zamówiła burgera.

- Nie pochodzi pani z tej okolicy - powiedział. - Ciężka podróż?

Uśmiechnęła się wymijająco, nie chcąc wdawać się w rozmowę. Może myliła się co do tych ludzi, może myśląc o nich, myślała o sobie. Okna trzeszczały pod uderzeniami wiatru. Wyobraziła sobie, że szyby pękają na drobne kawałki, klienci wrzeszczą, poranieni odłamkami, krew tryska jak woda z gejzerów, tworząc kałuże na wykładzinie, jasna krew z

tętnicy. Czy Michael siedział tutaj, w tym barze w Beaumont, nad filiżanką słabej kawy, słuchając wycia wiatru i rytmicznych uderzeń kół przejeżdżających pociągów? Ten głuchy odgłos poruszał jakąś strunę w jej sercu, w jej krwi. Nigdy w życiu nie czuła się tak samotna jak w tym momencie, zasłuchana w odległy gwizd lokomotywy.

Przy stoliku naprzeciwko niej siedział ostrzyżony na jeża szpakowaty mężczyzna, trzymając w obu dłoniach filiżankę z kawą. Jego ciało było tutaj, ale oczy oglądały sceny rozgrywające się tysiąc kilometrów stąd. Zaczęła się zastanawiać, na czym zatrzymało się jego spojrzenie. Zjadła pół burgera, ale wcale nie była głodna. Po mięsie z piklami zrobiło jej się niedobrze. Przełknęła kilka frytek, popiła przyniesioną przez kelnera świeżą kawą, zapaliła papierosa i nadal obserwowała tego zszarzałego człowieka, trupa siedzącego w barze, w blasku jarzeniówek. Patrzyła na papierową strukturę jego pomarszczonej skóry, wpatrzona w pustkę szare oczy. Rozumiała, jak można stać się kimś takim. Rozumiała doskonale. Skończyła palić gauloise'a, który w tym barze wydawał się równie nie na miejscu, jak futro na koncercie z okazji Czwartego Lipca.

Za Banning nie było już żadnych miast, mniejszych ani większych. I żadnych lamp przy drodze, tylko światło reflektorów falcona, odbijające się od twardej jak skała ziemi, i ciemna ściana gór na tle nieba. Podmuchy wiatru obrzucały garściami piasku cienką skórę falcona. Księżyc wydobywał z ciemności godny horroru krajobraz gór, ich ostre, a jednocześnie jakby obciążone aksamitem krawędzie. Same góry nie wydawały się szczególnie groźne, ale podobnie jak szary mężczyzna były niepokojąco ciche, przerażająco smutne, nieosiągalnie dalekie. Między nimi rozciągała się dolina umarłych, mityczny świat podziemny, cienisty, lecz wyraźnie zarysowany szarą linią na szarym tle. Dziwne,

potargane drzewa o potężnych pniach wysysały życie z pustynnego podłoża.

Wiatr uderzał z lewej, zawsze z lewej, jak jednoręki bokser. W powietrzu fruwały kule z suchych gałązek i co jakiś czas uderzały w szkła reflektorów falcona. Mimo niesprzyjających warunków ciągle mijały ją samochody pędzące z prędkością 150, 180 kilometrów na godzinę, beemer, porsche, rolls, dwa mercedesy, cadillac, wszystkie jadące w stronę oaz Palm Springs i Palm Desert, Rancho Mirage. Bogaci ludzie, którzy wiedzieli, dokąd jadą, którzy podróżowali w swoich szybkich, bezpiecznych wozach, pewni, że niedługo dotrą do bezpiecznego, jasno określonego celu. Tyle że teraz Josie już wiedziała, że to wszystko jest iluzją. Sądziła, że mogą ukryć się w swoich tak comme il faut ubraniach, w odpowiednich uzdrowiskach, ale to właśnie tacy jak oni znikali z albumu ze zdjęciami Meredith, jedno po drugim, jedno po drugim. Myśleli, że znaleźli bezpieczne miejsce, odpowiednie miejsce, że wiedza, jak się ubrać i co zamówić w eleganckiej restauracji, uratuje ich od zagłady, lecz potem błędzili gdzieś po nocy, przeganiani z miejsca na miejsce wciąż tą samą olbrzymią ręką losu, i ostatecznie podążali w jakimś kierunku z niezrozumiałych dla nich samych powodów, nie wiadomo po co i dlaczego. Palm Springs nie mogło zapewnić im schronienia.

Eleganckie wozy skręcały na południe, ale Josie nadal podążała na wschód samym środkiem ponurej okolicy, mrocznej i otwartej jak księżyc. Krajobraz przypominał sceny z Castanedy, wiatr tworzył kształty tak ciemne, że prawie niewidoczne. I nagle na środku drogi pojawił się srebrzysty kojot. Szarpnęła kierownicą, żeby go wyminąć. Cholera jasna! Samochód dziko zamiótł tyłem w jedną i drugą stronę, Josie oczami wyobraźni widziała już siebie objającą się pod sufitem dachującego samochodu. Wyluzuj, poddaj się ruchowi

wozu, nie walcz z nim, usłyszała głos, chyba ojca, tak, na pewno jego. Nawet nie dotknęła hamulców, zaczekała, aż samochód wyjdzie na prostą. Serce waliło mocno, tłukło się jak szalone. Zatrzymałaby się, ale nie miała gdzie zjechać. Pieprzony kojot zniknął. Może powinna była go przejechać, pozbyć się go raz na zawsze...

Przed nią, w szerokiej dolinie, otworzyło się duże „U” ze świateł. Na tablicy zobaczyła napis DESERT HOT SPRINGS, a obok informację, której szukała wzrokiem od Pasadeny - HWY 62, JOSHUA TREE, 29 PALMS. Droga 62. Zjechała z autostrady na dwupasmówkę, która biegła przez niewielką miejscowość i dalej w noc.

Wyboista, wąska droga była do pewnego stopnia osłonięta od wiatru, lecz falcon zwolnił niebezpiecznie przy wjeździe na zbocze. Josie z niepokojem obserwowała wskaźnik temperatury wody w chłodnicy. Przed sobą nie widziała żadnych świateł, żadnego samochodu. Droga skojarzyła jej się z kartą Księżyc z talii tarota - jasne pasmo wiło się wśród ciemnych gór, końca nie było widać, księżyc zwieszał nad ziemią swoją tragiczną głowę. Żadnych świateł, żadnej perspektywy, tłoczące się, napierające z boków wzgórze, twarze niewyraźnie rysujące się w piaskowcu. Szpony słupów trakcji telefonicznej, groźne jak przednie odnóża insektów. Czowała metaliczny zapach własnego strachu. W każdej chwili mogła przedziurawić oponę, złamać ośkę, przegrzać silnik, zerwać pasek klinowy, ale żadna z tych rzeczy nie powinna jej powstrzymać, bo Michael także jechał tą drogą i czuł to samo. Właśnie to wybrał. Jak chory pies próbował znaleźć najbardziej odległe, nikomu nieznanne miejsce, aby tam umrzeć. Szczerze mówiąc, Josie trudno było sobie wyobrazić lepsze czy bardziej odpowiednie.

Z tyłu zahuczały nagle motocykle, ich światła rozjarzyły się we wstecznym lusterku. Czterech motocyklistów zbliżało

się szybko, coraz szybciej, aż w końcu otoczyli ją ze wszystkich stron. Długowłosi faceci na zniszczonych harleyach, ubrani w skórzane kurtki z logo miejscowego klubu. Nienazwane lęki jazdy w samotności zastąpił skoncentrowany strach przed ludźmi, którzy niespodziewanie okrążyli jej wóz. Przed zbiorowym gwałtem chronił ją teraz tylko ruch nieprzewidywalnego falcona. Wiedziała, jak zachowywać się w takich sytuacjach, od czasu, gdy skończyła dziesięć lat, nałożenie maski było więcej niż naturalne, bo najzwyczajniej w świecie konieczne. Przywołała na twarz znudzony, obojętny wyraz, tak jak robiła to każdego wieczoru, kiedy wracała do domu po pracy w Desert Hot Springs, gdzie sprzątała w hotelu. Znam cię, mówiło jej ciało. Robię zakupy w sklepie Stater Brothers, tam gdzie twoja żona. Kilka razy umówiłam się na randkę z twoim bratem Spiderem. Jeden z motocyklistów, ten, który jechał z przodu, uśmiechnął się i przesłał jej całusa. Podniosła znad kierownicy dwa palce w geście sąsiedzkiego pozdrowienia. Odjechali równie szybko, jak się pojawili, zostawiając ją samą na pustej drodze.

Spocona i drżąca, dotarła na szczyt wzgórza, szczęśliwie niezamieszkaany, i zaczęła zjeżdżać w kierunku małego miasteczka, otoczonego kępami pustynnych krzewów. WITAMY W MORONGO VALLEY, przeczytała. Marna, byle jaka osada. Poczwała nagłą sympatię do mieszkańców, zakopanych w tej dziurze pod szczytem. Była to kryjówka, schronienie dla ludzi ze złą historią, żyjących na granicy prawa albo takich, którzy zdążyli już tę granicę przekroczyć. Dla bigamistów i drobnych przestępców, dla kobiet, które uciekły przed brutalnymi mężami. Dla dziewczyn, które zabiły to, co kochały najmocniej. Nie zatrzymała się jednak przed motelem Blue Jay Inn, chociaż przy podjeździe wywieszono tablicę WOLNE POKOJE. Michael na pewno nie wynajął tutaj pokoju, żeby przeczekać zbliżającą się burzę. Miał inny

cel. Nie stracił go z oczu, więc ona także nie mogła tego zrobić.

Nadal zmagala się z wichurą, bolały ją ramiona, ale teraz wiatr już jej nie przeszkadzał, stał się kimś w rodzaju towarzysza podróży. Zmęczyła się, słuchając Patsy, więc włączyła radio, lecz złapała tylko lokalną stację i straszącego piekłem kaznodzieję z Hemet. Chwilę grzebała w stosie kaset na fotelu pasażera - Germs, X, Joan Jett... Miała ochotę posłuchać czegoś bluesowego, ale nie rozpaczliwie smutnego. Na pewno nie Pierrot Lunaire, Jezu, wszystko, tylko nie to... W końcu znalazła starego Lou Reeda i włączyła kasetę, bo na nic innego raczej nie mogła liczyć, „Holly przyjechała z Miami... Przez jeden dzień wydawało jej się, że jest Jamesem Deanem”...

Walczyła z wiatrem i słuchała Lou Reeda. Nieco cyniczny uśmiech nowojorczyka maskował ból serca transseksualisty, cierpienie, które Josie dopiero teraz potrafiła sobie wyobrazić. Wielkie kolczaste kule ściagały się z samo chodem, ciemne ramiona drzew błagalnie wyciągały się do sterylne go księżycy.

Zatrzymała się na stacji benzynowej w Yucca Valley. Nie było to miejsce, które przypadłoby do gustu Michaelowi - czteropasmowa droga, przecinająca miejscowość o charakterze przedmieścia, zupełnie inną niż przypadkowy zlepek budynków w Morongo Valley, biura różnych firm, parkingi samochodowe, supermarket, kawiarnie, restauracje. Teraz, o jedenastej w nocy, otwarte były już tylko stacje benzynowe. Zauważyła starą furgonetkę pomocy drogowej, zaparkowaną obok garażu, CZYNNIE CAŁĄ DOBĘ. W zatoczce stało kilka rozbitych samochodów przeznaczonych na złomowanie. Jakiś facet wyczołgał się spod jednego z nich, wytarł ręce w szmatę. Na kombinezonie mechanika nosił plaketkę z imieniem „Dale”. Wydał się jej podobny do wuja

Dave'a. Niski, umięśniony, z twardą twarzą, około trzydziestu pięciu lat, ale trzydziestu pięciu w kategoriach Bakersfield, gdzie chłopcy stawali się mężczyznami w wieku dwudziestu lat, a mężczyźni starzeli się zaraz po przekroczeniu czterdziestki. Zupełnie inny niż fotografowie, nauczyciele malarstwa i agenci aktorów z Los Angeles, których wiek bardzo trudno było określić.

Podniosła maskę, wysiadła i oparła się o samochód. Zapaliła papierosa, chociaż na najbliższym dystrybutorze widniał duży napis: NIE PALIĆ. Dale puścił radio i z warsztatu dobiegały teraz przytłumione uderzeniami wiatru dźwięki Folsom Prison Blues Johnny ego Casha.

Kiedy Dale wrócił, Josie zgasła papierosa i odsunęła się, żeby mógł obejrzeć silnik.

- Wytrzyma jeszcze trochę? - spytała.

- Może - odparł. - Wcale nie jest w złym stanie. Daleko pani jedzie?

- Do Twentynine Palms.

- To blisko. Proszę trzymać się środka drogi, nic nie powinno się stać. Sprawdzić opony? W taką noc lepiej nie złapać gumy...

Josie przytaknęła i Dale sprawdził opony. Okazały się miękkie, więc podpompował je trochę, niewiele mógł jednak poradzić na to, że były prawie łyse. Powiedział, że powinna dojechać na nich do celu podróży, byle tylko nie na zbyt dużej prędkości.

- Jeżeli będzie pani dłużej w tej okolicy, mogę skombinować nowy komplet - zaproponował.

Z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Jest tu gdzieś otwarty sklep monopolowy? Uśmiechnął się szeroko.

- Jedyne, który o tej porze jeszcze działa - rzekł. - Wszystkie inne są już zamknięte. Rzuciłem alkohol, więc teraz pracuję na nocne zmiany...

- Naprawdę? - zagadnęła uprzejmie, takim tonem, jakiego używał wujek Dave.

Wręczyła Dale'owi banknot, a on poszedł do głównego budynku, żeby wydać jej resztę.

Wiatr ryczał niczym bombowiec, szalał w rozległej, wysoko położonej dolinie. Obok Josie przemknęła ciężarówka ciągnąca przyczepę do przewozu czterech koni, pusta, rozkołysana wiatrem. Przed wyjazdem z warsztatu Josie poszukała Twentynine Palms na mapie. Na wschodzie rozciągało się ogromne pustkowie. Droga biegła aż do granicy stanu i cieniutkiej nitki Colorado River, wcześniej na mapie nie było żadnego miasta, jedynie wielka wojskowa baza na północy. Wszędzie tylko góry i doliny, o których nikt nigdy nie słyszał - Ward Valley, Sheep Hole Mountains, kilka od dawna nieczynnych kopalni - Virginia Dale, Lone Mine, Gold Standard, Rose of Peru... Wyobraziła sobie zagubionych w czasie brodatych poszukiwaczy złota, błakających się po dolinach z osiołkami, ponieważ ktoś zapomniał im powiedzieć, że gorączka złota już dawno się skończyła.

Miała nadzieję, że zdoła znaleźć motel Paradise Inn. Chyba powinna była poszukać adresu, upewnić się, że wie, dokąd jedzie, ale z drugiej strony miejscowość Twentynine Palms nie mogła być chyba bardzo duża, prawda? Cóż, zobaczy, jak będzie, gdy dotrze na miejsce, a jeśli sama nie znajdzie motelu, ludzie w pierwszym lepszym barze powiedzą jej, gdzie jest. Na pewno dalej gadają tam o samobójstwie, które popełnił chłopak z Los Angeles, więc w najgorszym razie zlokalizuje motel rano.

Podjechała pod sklep z alkoholami Jerrys Liquors. Dale miał rację, był to jedyny otwarty sklep w miasteczku. Jeny,

grubas koło czterdziestki, oglądał zapasy w telewizji. W środku panował duszny upał. Spojrzał na Josie, kiedy weszła, i zaraz znowu odwrócił się do telewizora.

- Ćwierćlitrowego smirnoffa poproszę - powiedziała. - I paczkę cameli.

Zero reakcji.

- Hej, sklep jest otwarty czy nie?

- Czytaj napisy, blondynko - machnął ręką, wskazując jedną z tysiąca tabliczek na ścianie za swoimi plecami.

Fałszywe dwudziestodolarowe banknoty, reklamujące piwo modelki z wielkimi piersiami, flaga amerykańska, flaga korpusu komandosów... O, to chyba to... „Zastrzegamy sobie prawo do odmowy obsłużenia dowolnej osoby, co odnosi się także do CIEBIE". I jeszcze raz to samo po hiszpańsku, na wypadek, gdyby ktoś nie zrozumiał. Jak to możliwe, że z nostalgią słuchała Folsom Prison Blues Casha, a wcześniej Patsy Cline i innego gówna?

- Na zapleczu powiesił pan swastykę? - zapytała. Spojrzał na nią, tym razem uważnie, spod zmrużonych powiek.

- Masz życzenie, żebym wyszedł z za lady i zrobił ci jeszcze parę dziurek w uszach, maleńka? Wynocha mi stąd, dziwaczko, to sklep dla uczciwych ludzi! Obsługuję prawdziwych Amerykanów, nie takich jak ty!

Tak, oto Ameryka...

- Spadaj, skurwysynu, siądź sobie na tym!

Pokazała mu środkowy palec i szybko wyszła ze sklepu, bo zerwał się ze stołka i ruszył w jej stronę.

Wyszła prosto w objęcia wiatru, wróciła do samochodu. Napompowane opony raźniej sunęły po nawierzchni, miała nawet wrażenie, że coś jest z nimi nie tak. Wyjechała na główną drogę i trzymała się środkowej żółtej linii, zgodnie z radą Dale'a. Nie miała alkoholu, ale cóż, trudno. Człowiek albo coś robi, albo nie. Próbuje się czegoś dowiedzieć albo

nie. Koniec z zamazanymi, rozmytymi granicami. Koniec z brakiem koncentracji, z rozczulaniem się nad sobą. Musi się skupić, musi być przytomna. Powinna podziękować staremu Jerry'emu za to, że okazał się takim faszystowskim kutasem.

Jak powiedział Dale, po mniej więcej dwudziestu minutach dotarła na szczyt wzniesienia, z którego zobaczyła rozsiane w oddali światła Twentynine Palms. A po prawej stronie drogi ujrzała parterowy motel w kształcie litery L - Paradise Inn. Zaparkowała obok tablicy z napisem WOLNE POKOJE.

34. RAJ

W zagięciu litery L znalazła drzwi ozdobione kartką: „Kierownik”. Światło przeświecało przez brudne zasłony, wydobywając z ciemności żółte framugi, ozdobione błyszczącymi kamykami, co chyba miało przydać budynkowi nieco domowego uroku. Josie pociągnęła za sznurek dzwonka. Drzwi stukały, poruszane ostrym wiatrem, a rosnące na wysypanym żwirem podwórku oleandry dygotały niczym zmarznięte psy. Drzewo z nagimi, suchymi gałęziami wibrowało, sztywne i obojętne tuż obok pustego basenu. Metalowy łańcuch wydzwaniał jakąś własną melodię. Jeżeli Michael przyjechał tutaj, wiedziony nadzieją znalezienia choćby odrobiny ciepła, to jak okropnie musiał się czuć, kiedy stał pod tymi drzwiami, kąsany zimnem bardziej dotkliwym niż jakakolwiek zła pogoda w Los Angeles.

Josie załomotała w drzwi.

- Hej!

Na tle zasłony pojawiła się sylwetka, czyjaś ręka odsunęła tkaninę. Dziewczyna w robionej na drutach czapce, zaskoczona i podejrzliwa. Wyglądała tak, jakby nie miała zielonego pojęcia, dlaczego ktoś stuka do drzwi motelu z tablicą WOLNE POKOJE o jedenastej trzydzieści w nocy. Po chwili twarz zniknęła, zamek zgrzytnął. Drzwi się otworzyły. Dziewczyna stała w nich bokiem, zwrócona twarzą w stronę kogoś w głębi pomieszczenia.

Była mniej więcej w wieku Josie, blada, z włosami koloru mysiej sierści i przestraszonymi oczami pod gęstymi, ciemnymi brwiami. Cofnęła się za sosnowy blat, nad którym wisiała tablica na klucze i kiczowaty kalendarz z barwną ilustracją przedstawiającą Montezumę oraz jego dwór w strojach z piórami. Za drzwiami, w następnym pomieszczeniu, na dwóch kanapach obitych tkaniną w kratę leżeli mężczyzna i kobieta. Mężczyzna, koło pięćdziesiątki, miał na łysej głowie

turkusową czapeczkę, także zrobioną na drutach. Kobieta, chyba najwyżej parę lat starsza od dziewczyny, zerknęła na Josie i powiedziała coś do mężczyzny, który zarechotał cicho.

- Szukam pokoju - odezwała się Josie do dziewczyny.

- Ile nocy?

- Jeszcze nie wiem. Proszę posłuchać, mniej więcej osiem tygodni temu był tutaj chłopak, który wpisał się do książki meldunkowej jako Oscar Wilde...

Dziewczyna rzuciła jej przerażone spojrzenie i natychmiast spuściła wzrok na kartkę, którą wyjęła z szuflady.

- Był tutaj, tak?

Dziewczyna bała się na nią popatrzeć. Mężczyzna powiedział coś do niej w obcym języku, chyba francuskim, a ona opowiedziała. Jakby ze złością.

Facet zwłóknął się z kanapy i wszedł do recepcji. Był na bani.

- Pokój dla młodej damy... - powiedział, zajmując miejsce dziewczyny za ladą.

Nie wyglądał na Francuza. Jego oczy były zdumiewająco błękitne. Coś było nie tak z tymi ludźmi, ciekawe tylko co... Kątem oka Josie widziała, jak dziewczyna przegląda karty meldunkowe, co jakiś czas obrzucając ją podejrzliwym spojrzeniem. Może prowadzili nielegalny biznes... I dlaczego dziewczyna nosiła rękawiczki bez palców w domu? Tłuścioch uśmiechnął się, oparł na ladzie, bardzo zadowolony z siebie, zupełnie jakby świetnie bawił się kosztem Josie. W pierwszej chwili wydawało jej się, że jest pijany, ale wcale nie śmierdziało od niego alkoholem. Tak czy inaczej, na pewno był na haju, naćpany po dziurki w nosie.

- Może i mamy jakiś pokój...

W innych okolicznościach Josie już dawno by wyszła, ponieważ cała ta trójka była jakaś dziwaczna, a ona nie lubiła, żeby ktoś robił sobie z niej żarty. Zastanawiała się, czy

Francuz tak samo zachowywał się wobec Michaela. Raczej nie. Michael mówił po francusku, potrafił się dogadać w każdym języku, potrafił wejść do tajskiej restauracji i pogadać z kelnerką. Michael wiedział o świecie wystarczająco dużo, żeby zetrzeć arogancki uśmiech z gęby tego gościa. Motel Paradise Inn znajdował się bardzo, bardzo daleko od Montmartre'u...

- Na ile nocy chce się pani zatrzymać? Pewnie tylko na jedną, pomyślała.

- Jakiś czas temu mieszkał u pana chłopak, który popełnił samobójstwo - powiedziała.

Sądziła, że jej słowa zgaszą jego uśmiech, ale pomyliła się. Zmrużył tylko niebieskie oczy. Dziewczyna, która grzebała w kartach meldunkowych, nadal starała się na nią nie patrzeć.

- Nie tutaj - odparł. - U nas ludzie są szczęśliwi, to prawdziwy Raj...

Otworzył szeroko dłonie, jakby chciał wypuścić z nich uwięzionego ptaka.

W drugim pokoju zachichotała kobieta. Dziewczyna w mitenkach rzuciła Josie nieodgadnione spojrzenie. Ona wiedziała. Gdyby tylko udało się pogadać z nią na osobności...

- Ile dni tu spędził? - spytała.

- Kto? - mężczyzna uniósł brwi.

- Ten chłopak. Ten, którego tu nie było.

Łysy odwrócił się do tablicy z kluczami, przesunął po nich palcami, jakby dotykał tybetańskich dzwoneczków. Zdjął z haczyka w najwyższym rzędzie klucz z czerwoną plastikową tabliczką, na której widniała cyfra 4.

- Na ile nocy chce pani wynająć pokój?

- Jeszcze nie wiem - wzięła klucz z jego ręki.

- Płaci pani kartą kredytową?

Popatrzyła na niego ze zniecierpliwieniem. Nie była dziewczyną, którą banki przyjmowałyby z otwartymi ramionami, już w drzwiach rzucając jej karty kredytowe pod nogi. Modelka. Aktorka, niezwiązana z żadną wytwórnią. Z drugiej strony ten motel z całą pewnością nie był hotelem Dyplomata w Sztokholmie...

- Trzydzieści pięć za noc - oznajmił facet.

Wyjęła z torby wymiętoszoną dwudziestkę, dziesiątkę i pięć jednodolarówek. Mężczyzna przeliczył je, sprawnie rozprostowując banknoty. Sprawiał wrażenie kogoś, kto przywykł do obchodzenia się z gotówką.

- Ma pani walizkę?

- W samochodzie.

Zabrała w podróż wszystkie niezbędne rzeczy - szczoteczkę do zębów, zmianę bielizny, dziewięć rodzajów środków uspokajających i niebieską gitarę. Wzięła klucz z lady i pochwyciła spojrzenie dziewczyny, która natychmiast pośpiesznie odwróciła wzrok.

Na ciemnym niebie wisiał Orion, wysmagany wiatrem i nadąsany przed obliczem oskarżycielskiego księżyca, jak mężczyzna złajany przez kobietę, obserwowany przez obojętną planetę - Wenus, a może Marsa. Pamiętała, jak w noc podobną do tej patrzyła w niebo przez potężny teleskop ustawiony na dachu obserwatorium. Wszystkie cztery planety, Merkury, Wenus, Mars i Jowisz, stały w rzędzie, niedopasowane jak źle dobrane chórzystki. Michael stał za jej plecami na drabinie, czuła jego oddech na karku. Jaki ogromny był wtedy ich ogród...

Więc to tutaj przyjechał, do tego gównianego motelu, skulonego pod uderzeniami wiatru, z żółtymi, odstraszającymi insekty lampkami nad drzwiami. Popatrzyła na planetę, która odpowiedziała obojętnym spojrzeniem. Wolałaby, żeby była to Wenus, jedyna planeta zdolna zrozumieć jej obecność w

tym dziwnym miejscu. Białe ślady po odrzutowcach drapały niebo długimi paznokciami, przeplatając się z nagimi gałęziami rosnącego nad basenem drzewa.

Josie wyjęła rzeczy z bagażnika i ruszyła w stronę swojego pokoju, wciąż od nowa zmagając się z wichurą. Nagle na ścieżce przed nią pojawił się pies, smukły, o gładkiej sierści. Przystanął dokładnie między nią i drzwiami. Josie przestraszyła się, że rzuci się na nią, ponieważ szeroką głowę miał wysoko uniesioną i czujnie wietrzył jej zapach.

- Dobry pies... - powiedziała z nadzieją, że się nie myli.

Wiatr uderzył ją mocniej, ale bała się ruszyć - teraz potrzebna jej była jeszcze tylko szarpana rana, nie ma co. Musiałyby w środku nocy szukać najbliższego szpitala.

- Do domu! - rzuciła bardziej zdecydowanym tonem. - Uciekaj!

W końcu pies pobiegł dalej, zniknął między basenem a skrzydłem motelu, gdzieś na pustyni.

Rozgniatając żwir butami, znalazła pokój 3, ale nie 4. Drzwi obok pokoju 3 były gołe, bez żadnego numeru. I dobrze, bo 4 nie była szczęśliwa. Była trudna i niezrozumiana, należała do planety nieoczekiwanych katastrof. Z drugiej strony, jakie miało znaczenie, czy zamieszka pod 3, czy pod 4? Już dawno zostawiła za sobą wszystkie te bzdury, wrzucanie monet do fontanny, drabiny, życzenia, szczęśliwe i pechowe liczby. Kiedy człowiekowi przydarzyło się to, co najgorsze, cała reszta okazywała się tylko materią i jej brakiem.

Stojąc pod żółtą lampką na ganku, włożyła klucz do zamka i otworzyła tanie metalowe drzwi. Jeszcze zanim włączyła światło, uderzył ją słodkawy zapach jakiegoś chemicznego środka. Nie dezynfekcyjnego, raczej czegoś w rodzaju proszku na mrówki czy grzyby.

Zapaliła światło. Goła żarówka patrzyła na smętny pokój z niebieską wykładziną, boazerią z udającej drewno płyty wiórowej, plastikowe krzesło, sprzęty ze sklejki. Nie spodziewała się niczego lepszego, ale jednak w głębi serca miała nadzieję... Nadzieję, że w swoich ostatnich godzinach na ziemi patrzył na coś innego.

Zamknęła drzwi i zorientowała się, że na drzwiach nie ma zasuwki ani łańcucha, tylko marny zamek pod klamką, jeden z takich, jakie Bo potrafił otwierać już w przedszkolu. Może tamten facet dał jej pokój numer 4 celowo, żeby złożyć jej wizytę w nocy... Możliwe, że często robił sobie tego rodzaju żarty.

Usiadła na ponurym pustkowiu łóżka, westchnęła, wpuszczając do płuc zatrute powietrze. Brudna narzuta w granatowo - rdzawy wzór. Lampka przy łóżku. Rdzawe zasłony z surówki, zasłaniające okno tylko do połowy, odór tego cholernego proszku na robale. Ani jednego obrazka. Nic, co mogłoby chociaż na chwilę odwrócić jego uwagę czy dać mu odrobinę pociechy. Jechał bite trzy godziny, żeby na końcu drogi znaleźć coś takiego, on, chłopak, który nienawidził prowadzić, nie znoził być częścią maszyny. Żeby znaleźć coś tak szpetnego... Dom na ostatnie chwile, rezydencję śmierci. Tak, tutaj można było siedzieć i myśleć: „Nie ma po co żyć, życie nie ma najmniejszego sensu”. Tutaj można było wmówić sobie, że śmierć jest jedynym rozwiązaniem.

W sąsiednim pokoju ktoś oglądał telewizję, zza cienkiej ściany dobiegał sygnał prognozy pogody. Facet z usztywnionymi lakierem włosami pokazywał coś na mapie, wskaźnikiem kreślił linie przebiegu zimowych frontów wysokiego i niskiego ciśnienia. Może był to ostatni dźwięk, jaki słyszał Michael, ten obojętny recital pogody na następny dzień... Na następny dzień, którego miał już nie oglądać.

Wiatr grzmotnął pięścią w okno, aż podskoczyła. Zakurzone zasłony zafalowały. Podniosła się i spróbowała je zaciągnąć, ale materiał był źle skrojony i obie połowy w naturalny sposób odstawały od siebie. Bez trudu wyobraziła sobie tego pieprzonego Francuza albo innego zboczeńca, jak stoją pod jej oknem i wałą konia. W torbie znalazła agrafkę i szepiła zasłony u dołu, lecz uczucie, że ktoś ją podgląda, pozostało. Wepchnęła niebieskie krzesło pod kłamkę, spróbowała otworzyć drzwi. Przesunęło się, więc zaklinowała je mocniej.

W łazience pociągnęła za sznurek, którym włączało się światło. Lustro otaczały popękane niebieskie płytki. Ktoś pomalował sedes, żeby robił lepsze wrażenie, ale farba odłaziła płatami, czepiała się ud Josie. Dobrze chociaż, że nie było mrówek. Myjąc ręce, popatrzyła na swoje odbicie. Zapadnięte oczy, na krawędzi górnej wargi rozogniona kolonia opryszczki, z którą wyglądała jak dzieciak przebrany za trupa na Halloween. Wyjęła z torby szczoteczkę i starannie wyszorowała zęby zasadową pustynną wodą, potem zaś umyła twarz i osuszyła ją małym szorstkim ręcznikiem.

Spokojnie usiadła na łóżku, słuchając wycia wiatru i łoskotu przejeżdżających co jakiś czas ciężarówek. Powoli zdierała warstwy kolejnych tygodni i godzin, wracała do dnia, kiedy Michael przyjechał do motelu Paradise Inn. Zaparkował wynajętego chevroleta, wziął klucz do pokoju, znalazł broń... Ale jak? Jak to się dzieje, że ktoś postanawia odebrać sobie życie? Jak to się dzieje, że ktoś kończy swoją podróż w miejscu takim jak Paradise Inn? I jak tu dociera?

Etapami, stopniowo, oto jak... Najpierw pozbywa się rzeczy, które kocha, czyli Błażeja, ciasta z guawą według przepisu Cioci Ono oraz Louisa Armstronga. Oscara Wilde'a i teatru cieni pana Rivière, krągłych kopuł Moskwy. Brahmsa i Schielego. Zapachu pralni i blasku księżyca na powierzchni

stawu w parku Echo. Pomarańczowych zachodów słońca, obserwowanych z Góry Dantego. Kochania się, gdy lekka bryza porusza cienkimi zasłonami...

Michael kochał świat całym sobą, kochał wszystko, co świat zawiera, lecz zdarł te rzeczy z siebie jedna po drugiej, jak striptizerka rzucając je na podłogę. Tak właśnie zrobił. Zostawił wszystko za sobą, nie chciał pamiętać. Wpuścił ciemność. Pozwolił, aby jego głowa stała się zapuszczonym, zachwaszczonym kwietnikiem, paskudnym i odrażającym niczym skarłowaciałe, zeschnięte krzaki na zboczu wzgórza, pulsujące rakowatym życiem czerwonozielone trujące liście, nagie, gruzłowate korzenie roślin, wystające nad powierzchnię ziemi. Czarne myśli kolonizowały człowieka jak choroba, a jeszcze mocniej atakował brak wiary.

Znalezienie drogi do takiego miejsca jak Paradise Inn było tylko jednym z ogniw łańcucha wyborów. Zanim ktoś dotarł do Twentynine Palms, jego świat już powoli zniknął.

Potem przychodził czas na inne, w pewnym sensie mniej istotne wybory, jeden po drugim, aż do ostatniego... Czy jednak nie było możliwe, że Michael chciał po prostu uciec od niej, od Meredith, od ich babskich planów, osądów, potrzeb nie do zaspokojenia, ich okropnej zaborczości? Od nich i od Cala, ojca, któremu nie mógł dorównać, który na miejscu Michaela postawił inne dzieci? Prześladowany koszmarem niepowodzenia, ponurymi myślami, które nie chciały go opuścić... Klęska wszędzie dookoła, niezdolność odszukania prawdziwego świata, zjednoczenia się z innymi ludźmi, osiągnięcia wielkości w wieku dwudziestu dwóch lat...

Więc przyjechał tutaj. Nie do Palm Springs czy Rancho Mirage, siedzib białych butów do golfa i starannie nawożonych trawników, ale do tego prymitywnego miejsca, gdzie rządy sprawowały wiatr, skały i kamień. Skręcił z

autostrady na dwupasmówkę, szukając surowej wersji samotności, jak biblijny prorok. Szukając ostatecznej prawdy.

Wyobraziła go sobie, siedzącego tutaj, przy tym rozchwianym stoliku, i robiącego notatki na motelowej papeterii. Ciemne krótkie loki, rozgorączkowana twarz z tygodniowym zarostem, z błyskiem bezsenności w oczach. Podeszła do niskiej szafki pod telewizorem. W szufladzie leżała tylko Biblia i cienka książka telefoniczna. Żadnej papeterii. Wzięła do ręki Biblię i otworzyła ją na ślepo, tak jak zrobiłby to Michael. „A ziemia tej krainy zaleje się łzami, podobnie jak wszyscy, którzy ją zamieszkują”, przeczytała. Zamknęła księgę i odłożyła ją na miejsce.

Na pewno poprosił o papier do pisania w recepcji. Tak, na pewno... Zależało mu na takim nagłówku - Paradise Inn. Było to do niego podobne, zameldował się jako Oscar Wilde, najwyraźniej postanowił pójść na całość. Josie wydawało się, że oznaki poczucia humoru dowodzą, iż człowiek nie zszedł na samo dno, ale nie miała racji. Michael dostrzegał zabawne aspekty życia nawet w chwilach, kiedy to życie wypruwało z niego flaki. Tak, teraz nie miała już co do tego cienia wątpliwości. A zwinięta w kłębek śmierć czekała w ciemności, gdzieś między percepcją i cierpieniem.

Więc nalał sobie drinka i zasiadł do pisania. Pił tequilę, może mescal. Uwielbiał wierzyć, że robi wszystko jak należy. Kiedy przygotowujesz się do popełnienia samobójstwa w Twentynine Palms, pij mescal w czasie sporządzania ostatnich notatek. Ciekawe, co napisał do Meredith i Cala...

Był wściekły. Zawsze, nawet na początku, chociaż wtedy jego gniew mieszkał poza granicami ich miłości. Josie nie miała pojęcia, że czaił się tam w ciemności, podobny do tygrysa, który cofa się przed blaskiem ognia. Wściekły na Meredith, wściekły na Cala, na swoją własną słabość. Poznała tę wściekłość i wiedziała, że wcale nie była ona mniejsza od

wściekłości Tyrellów. Przypominała ciemne pasmo w morzu jasności. Więc przyjechał tutaj, aby ukarać wszystkich za nieskończoną liczbę błędów, pomyłek i grzechów. Został swoim własnym zakładnikiem. Odepchnął Josie i uznał, że to ona odpycha jego. Zachował się jak jej ojciec, który zwykle wrzeszczał na całe gardło: „Nie podnoś na mnie głosu!”, zanim zdzielił któreś z dzieci pasem. Michael chciał zranić swoich bliskich, zemścić się na nich, odpłacić im za całe zło, jakie mu wyrządzili.

Przypomniała sobie wypadek z psem. Powiedziała wtedy, że chciała tylko potrząsnąć Michaelem, poruszyć go, ale była to jednocześnie prawda i straszliwe kłamstwo. Chciała go obudzić, lecz pragnęła go także zranić. Za to, że traktował ją jak śmiecia, że kulił się w sobie, kiedy go dotykała. Za to, że nazywał swoje życie morzem gówna, włączając w to morze również ją. Zależało jej, żeby zobaczył, co robi z ich miłością, ale skoro nie mogła osiągnąć tego celu, to pragnęła, żeby przynajmniej poznał smak bólu. Taka była prawda, z którą teraz powinna się zmierzyć.

W sąsiednim pokoju kobieta i mężczyzna wymieniali beznamienne uwagi na tle odgłosów z telewizora. Życia rozdzielone ścianami cienkimi jak kartki z ogłoszeniami w lokalnej gazecie. Życie było właśnie takie jak ludzie w motelu. Człowiek zatrzymywał się gdzieś na kilka nocy i przez ten krótki czas żył obok kogoś innego, słuchał obcych głosów na tle reklam, czyjegoś płaczu przez sen. Słyszał to wszystko, ale naprawdę nie wiedział, co dzieje się w sąsiednim pokoju. Mógł tylko słuchać i zgadywać, a kiedy przypadkiem spotykał swoich sąsiadów przed motelem, patrzył na nich obojętnie, podobnie jak oni na niego. I obie strony udawały, że nie słyszały płaczu ani krzyków. Byli jak równoległe linie, które spotykają się w punkcie tak odległym, że nie sposób go zobaczyć - tej prawdy uczy się raczkujących malarzy.

Co za okropne miejsce... Dziesięć razy gorsze niż hotel Sunnyvale w Bakersfield, gdzie kiedyś pracowała, pełny skąpych podróżników, emerytów i udających się na wakacje rodzin, komiwojażerów, którzy sprzedawali walizki i pneumatyczne podnośniki. Żaden komiwojażer nie zatrzymałby się w Paradise Inn, no, chyba że chciałby kupić prochy, tak dużo prochów, że opłacałoby mu się wydać trzydzieści pięć dolców za noc. Motel Paradise nadawał się tylko dla dziwek, ludzi, którym zepsuł się samochód i musieli poczekać na części, kierowców ciężarówek, którzy musieli przespać się parę godzin. Było to miejsce do planowania zbrodni albo nawiązania romansu, tyle że ten romans szybko by się skończył, bo miłość nie może kwitnąć w betonowym pokoju, cuchnącym środkiem insektobójczym, niezależnie od tego, jak wielkie pragnienie czują zauroczeni sobą kochankowie.

Niewątpliwie było to jednak miejsce, w którym śmiało można zebrać się na odwagę, aby włożyć sobie lufę pistoletu do ust. Ohydna narzuta we wzór z pseudo - Dzikiego Zachodu, oksydowane krawędzie plastikowej boazerii... Tu nikt i nic nie przeszkadzałoby ci w pisaniu listów, nikt nie zapukałby do drzwi, kiedy z pistoletem na kolanach przygotowywałbyś się na zatonięcie w ciemności... Nie było tu ani odrobiny piękna, która mogłaby odwieść cię od decyzji o odejściu...

Pistolet. Postanowiła, że rano pojedzie do miasteczka i odszuka skurwysyna, który sprzedał Michaelowi broń. Który zajrzał mu w twarz i wmówił sobie, że chłopak potrzebuje pistoletu, żeby poćwiczyć strzelanie do celu, bo przecież musi jakoś bronić się przed ewentualnym napadem. Znajdzie tego kutasa i rozwali mu nos. Co ty sobie właściwie myślałeś, cholerny durniu?! Wiedziała, co sobie myślał. Widziała tamtą scenę, dokładnie, ze szczegółami. Betonowy budynek na

obrzeżach miasta, niewielka strzelnica na pustkowiu za domem. Michael wahał się chwilę, powtórzył sobie ułożoną wcześniej historyjkę i wszedł do środka. Oglądałem wystawę, bo chcę kupić prezent dla przyjaciela... Z jakim zafascynowaniem i obrzydzeniem musiał rozglądać się po tym supermarkecie śmierci...

Właściciel zauważył go od razu. Twardy facet o twardej, obojętnej gębie, podobny do wuja Whiteya, który przypominał jej ojca, ale był kompletnie pozbawiony uroku Glenna Tyrella. Obserwował Michaela, gdy ten oglądał wystawione na półkach pistolety. Na pewno doskonale zdawał sobie sprawę, że gówniarz nigdy w życiu nie strzelał do celu, może nawet w ogóle nie trzymał broni w ręku. Błada cera prosto z miasta, sińce pod oczami, tweedowa marynarka, ot, chłopak z college'u, któremu można wyciągnąć trochę forsy z kieszeni. Facet zastanawiał się zimno, po co dzieciakowi broń, czy chce popełnić morderstwo, czy samobójstwo. Pomógł mu wybrać pistolet. W gruncie rzeczy chyba bardziej bolała go myśl o broni całymi latami leżącej w pudełku po butach na dnie szafy, nieczyszczonej, nieużywanej, zapomnianej.

Ułożył kilka rewolwerów i pistoletów na obitej pluszem ladzie. Kolty o długich lufach, zgrabne automaty, krótkie rewolwery. Michael zadał kilka inteligentnych pytań, więc właściciel, przyjemnie zaskoczony, pokazał mu swoją kolekcję skarbów - karabinki bojowe, pistolety do pojedynku, pamiątki z Wietnamu. I w końcu, po mniej więcej półgodzinie, przeszli do sedna sprawy. Josie zrobiło się niedobrze na myśl o tym, jak Michael ważył w ręku pistolety i rewolwery, jak zaglądał im do luf. Po paru chwilach podjął ostateczną decyzję, jak mężczyzna, który wybiera sobie dziwkę. Ten. Ale czym zapłacił? Skąd wziął pieniądze? Od Cala. Och, Jezu, oczywiście... Biedny Cal. Przypomniała sobie jego czerwone oczy tamtego popołudnia w barze Lotus Room,

wyobraziła sobie straszny ciężar, przygniatający przygarbione ramiona. Jasne, że o pieniądze poprosił Cala, przecież nie Meredith...

Facet na pewno zaproponował mu, żeby trochę postrzelał za budynkiem, żeby przyzwyczyił się do ciężaru broni.

Oczywiście wyobraźni zobaczyła Michaela w nausznikach, strzelającego do papierowej tarczy przypiętej do beli siana. Ciekawe, czy celnie strzelał... Pewnie tak. Całkiem prawdopodobne, że gościowi opadła szczeka. Przecież okłamał ją w tylu sprawach, więc zupełnie możliwe, że był doskonałym strzelcem. Tamtego dnia stał za sklepem z bronią w małym miasteczku i zabijał ich wszystkich po kolei, lecz ostatecznie odkrył, że łatwiej zabić ich w swojej własnej głowie.

Było już bardzo późno. Miała wielką ochotę łyknąć czerwoną pastylkę i popić ją wódką, ale skończyła już z tym głównym, teraz musiała dobrać do samego końca, do miejsca, gdzie stosy trupów leżą po obu stronach torów kolejowych. Dlaczego nigdy nie zwróciła uwagi na zakończenie utworu? Chciała myśleć tylko o złocistych kopułach Moskwy, o tysiącu i trzech dzwonnicach i siedmiu stacjach, lecz teraz pójdzie na całość. Przekreśli ten jego autoportret, który ciągle jej podsuwał, i dowie się, kim był i jak cierpiał. Będzie przy nim, chociaż zawiodła go za życia. Zasłużył na to. Nie będzie drugą Meredith, nie ucieknie do Frankfurtu, Hamburga, Salzburga i Wiednia, nie będzie sobie wmawiać, że zdoła zostawić daleko w tyle to, co się stało. Ucieczka nie ma końca. Kiedyś Josie kochała go dość mocno, aby pozwolić mu mieć tajemnice, teraz musiała kochać go na tyle szczerze, by poznać je wszystkie.

Była zmęczona, ale w pokoju panował lodowaty ziąb, więc nawet nie zdjęła kurtki. Podeszła do przytwierdzonego do ściany grzejnika, długiego i wąskiego, o zatkanych kurzem

starych metalowych przewodach. Przesunęła dłonią po pokrytej pajęczynami kracie. Ze środka wypływało gorące powietrze, które w ogóle nie ogrzewało pokoju. Ustawiła termostat na trzydzieści pięć stopni, z nadzieją, że może to poprawi trochę sytuację, ale zaraz przypomniała sobie dziewczynę w rękawiczkach bez palców.

Złożyła narzutę na pół i skuliła się pod nią, w kurtce i spodniach. Dygotała spazmatycznie, nie było jej ani odrobinę cieplej. W końcu wyciągnęła pikowaną matę spod prześcieradła, otuliła się nią, przykryła narzutą i zgasiła światło. Poczowała się trochę lepiej. Nie zamierzała spać, ale zapadła w drzemkę, słuchając wycia wiatru.

Śniło jej się, że stoi na placu Czerwonym. Była zima i barwne kopuły wielkiej cerkwi wznosiły się wysoko nad jej głową. Wiedziała, że jest małą Żaną, radosną i pełną nadziei.

Miała na sobie podniszczone futerko i kapelusik z piórkiem i ostrożnie brnęła przez śnieg, świadoma, jak łatwo jest poślizgnąć się i przewrócić. Miała się spotkać z kimś w cerkwi, ten ktoś miał jej coś przynieść. Bała się, była skrepowana. Pchnęła olbrzymie odrzwia z rzeźbionego drewna.

W środku było dużo ciemniej niż na zewnątrz, jasne migotanie śniegu i kolory fantastycznych kopuł zastąpił mrok. Przyćmione światło wydobywało się tylko z wysokich lamp z przydymionego szkła, złote ikony połyskiwały słabo. Powietrze przesycone było ciężkim zapachem dymu i kadzidła, sosnowej żywicy i naftaliny. Temperatura musiała być niewiele wyższa niż na dworze, bo oddech tworzył szarobiałe obłoczki. Święci z ikon patrzyli na nią z milczącym oburzeniem - ona, dziwka, obca i niewierząca, kalala świątynię samą swą obecnością.

Nagle zza ołtarza wyłonił się mnich. Jego zmatowiałe włosy zwisały wokół brodatej twarzy, długie i brudne, skóra

wydawała się ciemna od sadzy i pyłu. Ubrany był w czarny habit z grubego płótna, cuchnący pleśnią, a jego jasne oczy świeciły w mrocznej twarzy. Zęby miał kompletnie spróchniałe. Był to Michael. Poznała go, wstrząśnięta, że do tego stopnia zaniedbał zęby.

- Michael, to ja... - zaczęła niepewnie.

Starła się, aby jej głos brzmiał czule, miała nadzieję, że spojrzy jej w twarz i przypomni sobie, że dawniej ją kochał, że widział w niej dobrą, nieszkodliwą istotę, która stoi po stronie dobra.

Ale on nie pozwolił się objąć, chwycił ją za kark, zrzucając na podłogę kapelusz z piórkiem, i pociągnął w kierunku chrzcielnicy, w której stała brudna, zarośnięta algami święcona woda. Myślała, że Michael zwilży tylko wodą jej czoło, lecz on wepchnął jej głowę do chrzcielnicy. Walczyła i wyrywała się, ale był zbyt silny, nie miała szans, nie miała się czego uchwycić. Michael postanowił ochrzcić ją w mrocznej wodzie i było mu wszystko jedno, czy przy okazji ją utopi, czy nie.

35. Pokój NUMER 12

Josie wyrwała się z chrzcielnicy, otrząsnęła ze snu. W pokoju było ciemno i zimno. Usiadła, wciąż czując jego ręce na swojej głowie, odór zapleśniałej wody. Topił ją jak kota w stawie... Wiedział, że jest dziwką, że pogwałciła świętość jego schronienia swoją obecnością, swoim śmiesznym kapeluszem i futerkiem. Ale kto powierzył taką wspaniałą świątynię tym brudnym rękom o palcach z długimi paznokciami? Za długo żył w ciemności, hodując swoje pretensje i żale za ekranem złocistych ikon... Żanna nie była jedyną winną.

Zapaliła lampę. Brzydki, zimny pokój wibrował aurą złych snów. W pokoju za ścianą nadal mamrotał telewizor, sąsiedzi Josie poszli spać i zostawili włączony odbiornik. Co teraz? Potarła policzki, zimne jak gumowy worek z lodem, zapaliła papierosa i usiadła, osłaniając oczy przed rażącym światłem, bijącym z nagiej żarówki. Panująca wokół niej pustka była tak nieogarniona, tak przejmująca, jakby ktoś wywrócił świat na drugą stronę niczym kieszeń. Michael odszedł, został szalony mnich. Dotarła do końca drogi. Czego się spodziewała, co chciała znaleźć? Odpowiedź, olśnienie, wyjaśnienie? Coś w rodzaju komety ze świecącym ogonem? Nie znalazła nic. Był tylko chaos, szaleństwo, a Michael zniknął.

Wyjęła z torby kopertę z uspokajającymi pastylkami, przeliczyła je. Dziewięć. Mogłaby zażyć jedną i przespać resztę nocy. Mogła też połknąć wszystkie i po prostu zapaść w sen. Zrobić numer w stylu Marilyn, dlaczego niby nie, do cholery? Nawet Marilyn miała więcej powodów, żeby żyć. Jak długo można się tak szarpać, żyć od jednego oddechu do drugiego?

Me zgub swojej duszy. Szanuj się, dziewczyno.

Starła się, ale było jej strasznie ciężko. Niewyobrażalnie ciężko.

Na zewnątrz żwir zatrzeszczał pod czyjąś podszewą. Ktoś chodzi dookoła motelu? Francuz? Może ten zboczony dupek wyobraża sobie, że się trochę zabawi z nowym gościem... Niech lepiej ma się na baczności. Nie była jedną z tych dziewczyn, do jakich przywykł. Szybko zmiotła czerwone tabletki z powrotem do koperty i zgasiła światło. Rozpięła agrafkę, którą szepiła zasłony u dołu, i rozsunęła je leciutko. Na ganku, wyraźnie widoczna w żółtym świetle, stała dziewczyna z recepcji. Podskakiwała na piętach i obejmowała się ciasno ramionami w pasie, broniąc się przed zimnem. Była czwarta rano, może trochę później. Josie spięła zasłony, wyrwała krzesło spod klamki i otworzyła drzwi. Spróbowała się uśmiechnąć, ale mięśnie twarzy odmawiały jej współpracy, wymęczone potworną nocą.

- Hej... - odezwała się.

Dziewczyna zerknęła w stronę recepcji, potem przeniosła wzrok na Josie. Jej jasnoniebieskie oczy były wilgotne i przestraszone. Otworzyła usta i zaraz znowu je zamknęła.

- Wejdz - powiedziała Josie.

Dziewczyna wślizgnęła się do środka. Josie zatrzasnęła tandetne drzwi, włączyła światło. Spojrzenie dziewczyny obiegło pokój, spanikowane jak wiewiórka, która przypadkiem dostała się do domu przez drzwiczki dla psa. W końcu jej oczy zatrzymały się na zwiniętej na łóżku pościeli. Poczucie obowiązku pomogło jej się uspokoić i skupić.

- Zimno? - zagadnęła trwożliwie.

Josie rozwinęła kłęb i rozłożyła pościel na poplamionym materacu. Pieprzyć zimno. Nie chciała, żeby dziewczyna czuła się z jakiegokolwiek powodu winna.

- Nieważne - odparła. - Usiądź sobie...

Myszata przycupnęła na brzegu łóżka, splatając dłonie na pękatej torbie w hipisowskim stylu, uszytej chyba z kawałka chodnika.

- Zobaczyłam światło w oknie i...

Josie usiadła na plastikowym krześle. Starła się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, byle jeszcze bardziej nie wystraszyć nieszczęsnego stworzenia. Dziewczyna mocno ścisnęła torbę, jej dłonie przypominały małe pułapki.

- Nie śpię zbyt dobrze od czasu, kiedy Michael... - zaczęła Josie.

Nieco wylupiające niebieskie oczy uważnie zbadały jej twarz, tę rozdartą, zmęczoną twarz.

Malował się w nich wyraz prośby, może nawet błagania. Po chwili dziewczyna spuściła wzrok, utkwiała spojrzenie w swoich rękach.

- Dla mnie to Oscar - powiedziała cicho.

A więc poznała go, Josie miała rację. Ta dziwna, myszata dziewczyna... Dla niej Michael to był Oscar Wilde.

- Oscar Wilde to poeta - wyjaśniła. - On miał na imię Michael. Ale lubił poezję...

Dziewczyna skinęła głową, skubiąc tkaninę torby.

Josie nie chciała zadawać setek pytań, które kotłowały się w jej zmęczonej głowie, bała się, że wystraszony ptak ucieknie. Podniosła się bardzo powoli, podeszła do nocnego stolika, zapaliła papierosa. Tuż obok lampy leżała koperta z proszkami nasennymi. Teraz ogarnął ją wstyd, że w ogóle o tym pomyślała. Czy na świecie i bez tego nie było dosyć bólu? Wzięła kopertę i schowała ją do kieszeni.

- Tak, lubił poezję i stare płyty - podjęła. - I garażowe wyprzedaże. Grał na fortepianie...

Spokojnie wróciła na plastikowe krzesło, usiadła naprzeciwko dziewczyny w brudnej niebieskiej parce.

- Kochaliśmy się, ale on zapomniał o tym.

Policzki dziewczyny pobladły jeszcze bardziej.

- Ale dlaczego?! - wybuchnęła w końcu. - Dlaczego to zrobił?!

- Wszyscy zadawali sobie to pytanie.

- Rozmawialiście? - spytała Josie.

Myszata znowu kiwnęła głową, otarła oczy wierzchem rękawiczki bez palców. Była przerażająco blada, jeszcze bledsza niż Josie. Gdzie oni ją tu trzymali, chyba zamykali w piwnicy...

- Mówił po niemiecku... - uśmiechnęła się słabo, z wahaniem. - Jak wiedeńczyk...

Ach, więc w nocy w recepcji słyszała niemiecki, nie francuski... I nie jakiś tam niemiecki, tylko niemiecki z wiedeńskim akcentem... Bardzo w stylu Michaela... Cafe Central, Wiedeń.

Nie było mu dane poznać dziadka, ale zbudował mu kapliczkę z własnej krwi i kości.

- Jego matka, ojciec... - ciągnęła tamta. - Tęsknił za nimi. Byli alpinistami...

Teraz Josie wyraźnie słyszała niemiecki akcent, wcale nie francuski.

- Wysłali go do Ameryki na studia. Wspinali się wszędzie, wszędzie, na całym świecie...

Jak Godzilla i King Kong. Wymyślił taką historyjkę, żeby zyskać poczucie, że nie ma dokąd wracać, że nie ma nic własnego. Po to, żeby usprawiedliwić swoją obecność w tej zabitej dechami dziurze, gdzie okłamywał tę nieszczęsną dziewczynę, ale przede wszystkim by usprawiedliwić ostateczny cel swojego pojawienia się w Twentynine Palms. Stworzył samego siebie na podstawie jej umysłu, namalował taki obraz siebie, jaki pragnął oglądać w rzeczywistości. To nie pomaga, Michael. Potem ból jest jeszcze większy. Ciemność kłębiła się między tym, w co chciał, żeby wierzyły, a nim samym, tym, którym tak pogardzał. Czuł się coraz

bardziej samotny. Jak mogła go uratować, skoro nie pozwolił jej się poznać? Nie mogła, po prostu nie miała szans.

Ale przecież sama dobrze знаła ten sposób na życie. Piękna modelka, srebrzysta lilia. Sama także kłamała.

- Jak długo tu był?

- Prawie tydzień... Nie wiedziałam, że to robi...

Błagalne spojrzenie, czoło pofałdowane jak abażur lampy.

- Nie wiedziałam, musisz mi uwierzyć...

Tydzień. Josie odchyliła się do tyłu w krześle, utkwiała wzrok w nagiej żarówce, nierównym białym suficie. Ze wszystkich sił usiłowała nie płakać. Tydzień. Znaczyło to, że w ogóle nie pojechał do Meredith. Że tamtego dnia, kiedy pocałował ją na pożegnanie, doskonale wiedział, co zamierza zrobić. Tamtego dnia pocałowała trupa. Jezu Chryste...

- Tutaj był szczęśliwy. - Dziewczyna wychyliła się do przodu, jakby próbowała przekonać Josie, przekonać kogokolwiek. - Podobało mu się tu, bardzo, naprawdę. Dużo chodził. I ciągle rysował, popatrz...

Podtarła nos wierzchem rękawiczki i wyciągnęła z torby szkic wykonany na grubym papierze. Brzeg był nierówny, kartkę wyrwano z bloku. Josie podniosła ją, przechyliła pod takim kątem, aby światło wydobyło rysunek z mroku. Tusz i ołówek. Myszowata dziewczyna o przestraszonych oczach w załomie muru między dwoma skrzydłami motelu. Michael doskonale uchwycił emanującą z niej aurę niepewności, prawie desperacji. A może to swój nastrój próbował utrwalić w tym portrecie? Znakomity szkic, jego stworzenie zajęło mu pewnie z pięć minut... Co za szkoda... Ile piękna zamordował w tym parszywym motelu... Nigdy nie doceniał tego, co miał, dostrzegał tylko to, czego nie udało mu się osiągnąć.

A ona myślała o uspokajających tabletkach, które miała w kieszeni... O czym właściwie próbowała zapomnieć? Musisz zadbać o swoją duszę.

Gawędził z tą biedną dziewczyną, a jego starannie przemyślany i ukryty przed ludzkim wzrokiem plan cuchnął jak gnijący trup, ofiara zabójstwa. W każdej rozmowie pokazywał jej tylko fragment samego siebie, ten, który, jego zdaniem, chciałyby poznać.

Oddała rysunek dziewczynie, która utkwiała w nim pełne tęsknoty spojrzenie, zupełnie jakby umierała z pragnienia i nagle zobaczyła przed sobą szklanę wody.

- Takie schon, takie piękne... W Nowym Jorku nigdy nie jedź wyżej niż piąte piętro. Nikt nie wspina się na tak wysokie drabiny...

Josie przypomniała sobie wiersz, którego wersy dziewczyna nieudolnie cytowała. Windy wjeżdżające na piętro, gdzie szaleje pożar, automatycznie otwierające się drzwi... Lecz jeśli wspinasz się ponad siebie, jeśli masz zamiar roztrzaskać się o niebo, zapomnij o tych przestrojach... Jego Anne Sexton, wszyscy jego ukochani samobójcy, Plath, Rothko i van Gogh. Mówił tej dziewczynie, co chce zrobić, a jednocześnie nie mówił, ponieważ wiedział, że go nie zrozumie. Czuł, że jego tajemnice są bezpieczne, był jak człowiek, który siedzi na granacie.

- Ja... On... Dzięki niemu czułam się... Wert.

Tak, sprawił, że poczuła się warta zainteresowania. Na tym polegał jego dar. Gdyby dziewczyna nie była tak żałosna, Josie byłaby o nią zazdrosna. Zazdrościłaby nieszczęsnej ofierze wszystkiego, co przeżył z nią w ciągu tych kilku dni, od chwili, gdy wyszedł z ich domu.

- Czy mówił, że ma dziewczynę?

Ledwo zadała to pytanie, a już uświadomiła sobie, że mówi jak Cal tamtego dnia w barze. Czy mówił coś o mnie?

Dziewczyna spuściła oczy, utkwiała wzrok w splecionych dłoniach. Były zaskakująco piękne, o zdrowych, czystych paznokciach, wąskich i różowych.

- Pytałam, czy ma dziewczynę... - wzruszyła ramionami, jej policzki i uszy zalała fala rumieńca.

Ona także była w nim zakochana. Cóż, dlaczego nie? Niby gdzie i kiedy taka dziewczyna miała szansę spotkać podobnego do Michaela chłopaka, który rozmawiałby z nią, poświęcał jej uwagę i czas? Josie świetnie wiedziała, jak to jest. Sama czuła się wtedy jak w niebie. Pod tym względem niczym nie różniła się od tej biednej myszki.

Dziewczyna znowu wzruszyła ramionami. Podniosła dłoń do zaczerwienionej twarzy i odezwała się zza rękawiczki.

- Powiedział, że umarła. Na Syberii. W pociągu... Po zderzeniu. W jego ramionach... Ostatni oddech... - Opuściła rękę, odsłaniając drżące usta, pełne łez oczy. - Proszę, ja nie wiedziałam, nic nie wiedziałam... Skąd? Wierzyłam mu. We wszystko...

Patrząc w sufit, Josie liczyła grudy tynku, podobne do kulek brudnego śniegu. A więc tak skończyła się ich historia... Żanna zginęła w katastrofie kolejowej, skołała w ramionach Błażeja... Co tak naprawdę umarło, Michael? Jego miłość, jego wiara. Mała Żanna była dla niego nadzieją na miłość, na odnalezienie prawdziwego świata. Po jej odejściu została tylko wojna, cholera i nowy rewolwer...

Dziewczyna nerwowo skubała torbę, co jakiś czas wycierając nos rękawiczką. Josie chętnie podsunęłaby jej chusteczkę, ale motel był tak marny, że w pokoju nie było ani jednej. Skóra dziewczyny była wysuszona, na jej czole rysowały się drobne, lecz wyraźne zmarszczki. Josie podniosła się i z wahaniem, ostrożnie, żeby jej nie przestraszyć, usiadła obok niej na łóżku.

- Nikt z nas nie znał jego planów - powiedziała. - Trzymał je w tajemnicy...

Usta dziewczyny zadrgały, zaniósła się głębokim szlochem. Josie otoczyła ją ramieniem, ze zmieszaniem

pogłaskała po dzianinowej czapeczce, puchatych szarobrazowych warkoczach.

- Ciiii... - szepnęła. - Trudno jest z tym żyć, wiem... Dziewczyna przestała szlochać i spojrzała Josie prosto w oczy.

- To ja... Ja znalazłam...

To ona znalazła Michaela. Jej słowa dotarły do Josie, ale minęła dłuższa chwila, zanim rozwinęły się w jej świadomości niczym papierowy kwiat, wrzucony do szklanki z wodą. To ona znalazła Michaela, ta dziewczyna. Ona znalazła go po śmierci.

Myszata otarła oczy rękawiczką, którą na pewno zdażyła kompletnie przemoczyć.

- Poszłam zmienić pościel... Był w łóżku. Ściana... Ukryła twarz w dłoniach, ale było już za późno. Nie mogła odciąć się od tamtego widoku.

- Mein Gott... Mein Gott...

Objęły się mocno mocno mocno, Josie przycisnęła policzek do zalatującej brudną kocią sierścią dzierganej czapeczki. Oszczędzono jej przynajmniej tego, a przecież mogła znaleźć go tak w domu przy Lemoyne... Przyjechał tutaj specjalnie po to, aby ją przed tym uchronić.

- Krew, wszędzie tyle krwi... - podjęła dziewczyna. - Jak mógł to zrobić... Dopiero co widziałam go... Rozmawialiśmy... I nic nie powiedział, nic, nic...

- Wiem.

Tak to właśnie było. Rozmawiali, ot tak, po prostu. O projekcie rzeźby, obrazu, happeningu o zapiekanej fasolce. Można rozmawiać i zaraz potem ścierać z podłogi i ścian fragmenty mózgu oraz krople przed chwilą rozlanej krwi. Człowiek idzie na pogrzeb i mieszka w pustym domu, samotny jak pies, który całymi dniami czeka przy drzwiach na powrót swego pana.

- Później musiałam posprzątać... Kiedy policja już odjechała...

Ten pieprzony Francuz, Niemiec czy kimkolwiek tam był zmusił tę biedaczkę do wysprzątania pokoju, w którym zastrzelił się Michael. Co za skurwysyn. Josie pomyślała, że mogłaby go zabić. Chętnie by poszła do jego pokoju i rozwalila mu łeb cegłą. Oczami wyobraźni widziała krew na ścianie, mnóstwo krwi, gęstej, krzepnącej, i tę dziewczynę na kolanach, opartą na rękach obok wiadra, płaczącą. Na świecie nie było sprawiedliwości. Skąd ta mała miała tyle siły... Ale teraz szlochała tak gwałtownie, że Josie się przestraszyła, czy przypadkiem nie zwymiotuje. Objęła ją mocniej, tuliła w ramionach, dopóki tamta się nie uspokoiła, dopóki nie ucichła.

W końcu dziewczyna wyprostowała się i otarła oczy brudną rękawiczką.

- Chciałam ci powiedzieć, ale on mi nie pozwolił... - zmarszczyła gęste brwi. - Więc zaczekałam, aż usną... Patrz... - z hipisowskiej torby wyjęła czarny notatnik. - Nie dałam policji...

Jeden z dzienników Michaela. Skąd ona go wzięła, kurwa mać?! Może go ukradła, a może Michael sam jej dał. Ukryła go, na wszelki wypadek. Przed policją, przed Meredith, przed wszystkimi. Pewnie nigdy wcześniej nie zachowała się tak odważnie, ale na tym notatniku strasznie jej zależało... Przytuliła go do okrytej kurtką piersi tak namiętnie, jakby był to Michael. Oczy miała czerwone, nos także, lecz podbródek dumnie uniesiony, jakby rzucała Josie wyzwanie. I nagle podała go zdecydowanym ruchem.

- Weź... Tak lepiej...

Myszata wstała, a Josie nadal czuła ciepło jej ciała na czarnej okładce notatnika. Zawahała się i wyjęła z kieszeni coś jeszcze, jakiś mały, pobrzękujący cicho przedmiot. Klucz z czerwoną kartką. Uściskała Josie mocno, pośpiesznie.

- Odnieś, zanim on się obudzi... - szepnęła. Uśmiechnęła się słabo i wyszła prosto w noc.

Josie długo siedziała na łóżku, wpatrując się w klucz i notatnik. Na czerwonej kartce widniał napis: Pokój 12. Dwunastka, liczba Wisielca.

Na dworze zrobiło się jeszcze zimniej i bardziej ponuro. Bezpański pies leżał zwinięty pod murem patia, jakby wyczuwał ciepło bijące zza ściany, za którą oddychał człowiek. Josie szybkim krokiem przeszła wzdłuż ściany motelu. Połowa drzwi nie miała numerów, ale na ostatnich znalazła tabliczkę z numerem 12. Ostatni pokój, oczywiście... Zależy mi na cichym pokoju. Nie chciał, żeby ktokolwiek mu przeszkodził. Spojrzała przez ramię na zamknięte drzwi recepcji i wsunęła klucz do zamka. Weszła do środka, przekreśliła klucz, włączyła światło.

Pokój niczym się nie różnił od jej pokoju, tylko łóżko stało pod przeciwległą ścianą. Stół, niebieskie krzesło, naga żarówka. Dopiero po chwili zwróciła uwagę na panel u wezłowania łóżka, nie z przyciemnianego sosnowego drewna, ale jasny. Nowy. Zachwiała się, ciężko usiadła na niebieskim krześle. Chciałaś zobaczyć, więc masz...

Powietrze miało posmak jego krwi. Oddychała jego śmiercią, zamaskowaną odorem proszku na mrówki. Gdyby tylko wcześniej wiedziała, jak wielka rozpacz może dotknąć człowieka... Siedział tu, z lufą w ustach. Czuła smak metalu, zapach kordytu, szarpnięcie wystrzału. Dlaczego nie mógł po prostu powiedzieć im wszystkim, żeby się od niego odpieprzyli? Mógł przecież zniknąć, rozpocząć nowe życie. Nie musiał tego robić. Mógł przypomnieć sobie, jak pływali rowerem wodnym po stawie w parku Echo, jak grał na niebieskiej gitarze i śpiewał Just a Gigolo.

Ta dziewczyna sprzątnęła pokój, płuczac ścierkę w krwawej wodzie.

Więc tak to wyglądało. Wiedziała teraz wszystko, czego wcale nie chciała wiedzieć. Siedział w tym pokoju, napisał, co miał do napisania, i włożył sobie lufę do ust. Sam w tej ponurej klitce, zataczał coraz mniejsze kółka wokół samego siebie, aż w końcu nie miał się już gdzie podziać i mógł tylko uciekać. To on znalazł się w ślepych zaułku, nie ta dziewczyna. A teraz Josie była tutaj. Nie mogła cofnąć czasu, ale mogła być z nim, tuż obok niego.

Dziennik nosił numer XX. Nigdy wcześniej nie zaglądała do jego notatników i nawet teraz wydawało jej się to ostatnim pogwałceniem jego i jej wewnętrznego prawa. Wybacz mi, Michaelu.

Na kartkach kłębiły się rysunki wykonane tuszem i węglem, kleiste od lakieru do włosów. Josie była zaskoczona. Myślała, że znajdzie tu więcej notatek, a patrzyła na strony pokryte szkicami, głównie autoportretami. Michael z trojgiem oczu. Z jednym okiem. Z oczami z jednej strony głowy, jak u halibuta. Ze skróconym ciałem i drugą parą nóg w miejscu ramion, znikający za muszlą i ludzką czaszką. Głowy - twarze oplecione włosami. Fragmenty zdań, łańcuchy słów zapisane rozplywającym się w kleksach atramentem, pochyłym pismem, z „E” podobnymi do cyfry „3”. Nie mogę znowu dołączyć do maszerujących. Próbowałem nawet uczynić z tego zaletę. GDZIE JEST RÓŻANY OGRÓD, GDZIE, DO CHOLERY?! Ręka z sześcioma palcami, ucięta w przegubie, z krwią ściekającą na klawisze fortepianu. Całe serie uciętych dłoni, głów, ramion bez rąk, mężczyzna niosący własną głowę...

I jej imię. JosieJOSIEJosieJOSIE. Zapisane łańcuchami, słoneczkami. Dziesiątki, setki Josie. I jej twarz, jeden szkic obok drugiego, tak, potrafił rysować ją z pamięci. Nie zostawiaj mnie, proszę, Boże, nie zostawiaj mnie.

Jestem gównem, takim strasznym gównem. Brzydę się sobą. Jak możesz mnie kochać. Powinnaś odejść. Na twoim miejscu na pewno bym to zrobił. Wszystko, czego się tknę, zamienia się w gówno. Twoja miłość tylko pogarsza sytuację...

Zadrzała. Nie mogła powstrzymać drżenia, w pokoju było potwornie zimno. Jej miłość tylko pogarszała sytuację... Jak to możliwe? Nie mogła zrozumieć, o co mu chodziło. Dlaczego była taka strasznie tępa? Czytała i czytała, i dalej nic do niej nie docierało. Zaczęła bić się pięściami po czole, próbowała obudzić mózg, siłą wdusić to sobie do głowy, ale nadal nie rozumiała, jak coś takiego mogło się zdarzyć.

Me wiem, jak. Nie mam zielonego pojęcia o życiu, kurwa mać. Gdyby chociaż nie patrzyła na mnie z takim wyrazem oczu, jakbym zabijał jej ukochanego szczeniaka... Za kogo ona mnie ma, Jezu kochany? Jestem NICZYM. Jestem ZEREM. Nie mam NIC. PRZESTAŃ TAK NA MNIE PATRZEĆ. PRZESTAŃ MNIE TAK KOCHAĆ. NIE MOGĘ TEGO ZNIEŚĆ.

Josiejosiejosie, jesteś wszystkim, co mam. Jedyłą kroplą radości w moim życiu. Nie zostawiaj mnie tylko, Boże, Boże, błagam...

Czytała jego słowa raz po raz. Kochał ją. Jednak ją kochał.

Tyle tylko, że to wcale mu nie pomogło.

Kochał ją, ale mocniej nienawidził samego siebie.

Tyle cierpienia, tyle bólu. I uważał się za godnego pogardy, nienawiści, jakby cierpienie było czymś wstydliwym, ohydny. Jakby ból był przestępstwem. Dlaczego nie powiedział? Mogła mu pomóc, wystarczyło tylko, aby jej pozwolił, dopuścił do siebie. Jak mocno ją odepchnął... A zaraz potem prosił, aby go nie opuszczała, mówił, że jest wszystkim, co ma. Kochał ją, naprawdę ją kochał. I wiedział, że ona go kochała, wiedział, wiedział! Ale

to nie wystarczyło. Nie była w stanie wyobrazić sobie sytuacji, w której miłość nie wystarcza.

Kąciki jej ust wygięły się do dołu, lecz dalej przeglądała dziennik, próbując powstrzymać łzy, które spadały na papier, zostawiając na nim mokre plamy.

Zegary. Całe strony zegarów. Stojące, szafkowe zegary, narysowane gęstą kreską węglową. Zegarek na rękę z pękniętą tarczą. Zegar w kroczu Dawida Michała Anioła. Po co mi wszystkie moje tak zwane dary, zdolności? Wolałbym być parą ostrych szponów... **POŚPIESZ SIĘ, PROSZE, JUŻ CZAS.**

Po zegarach labirynty. Nadzy mężczyźni w ślepych zaułkach. Labirynt, który rozciąga się w nieskończoność, jakby pokrywał swą siecią cały świat. Labirynt na cmentarzu, z przejściami między grobami. Autoportret z labiryntem zamkniętym w rysach twarzy.

I narysowany piękną, staranną kreską martwy mężczyzna, spoczywający na kolanach olbrzymiej matki, w pozie Jezusa z Piety Michała Anioła, tyle że zamiast ludzkiej głowy miał głowę byka. Minotaur. Josie pamiętała historię królowej, która zakochała się w byku. Urodziło im się dziecko, pół człowiek, pół byk. Królowa wstydziła się go i trzymała w labiryncie pod pałacem. Minotaur stał się mordercą, król żywił go młodzieńcami z Grecji. Nakarm mnie, napisał Michael. Obedrę twoje kości z ciała.

I Josie, trzymająca w ręku kłębek nici. W tle czarny otwór jaskini, wejście do labiryntu. Żeby znaleźć wyjście, trzeba było stopniowo rozwijać nić - w ten sposób bohater po zabiciu Minotaura zdołał uciec. Ale Michael nie chciał chwycić końca nici, prawda? Nie był bohaterem mitu, który sam opowiadał. Był potworem. A labirynt był nie tylko więzieniem, lecz także pałacem, jego mrocznym domem.

Musiała zapalić, odetchnąć powietrzem, które nie cuchnęło śmiercią. Otworzyła drzwi, oparła się o framugę i wciągnęła nocne powietrze głęboko do płuc. Popatrzyła na gwiazdy, które wzniosły się teraz jeszcze wyżej. Nie wiemy, nie mamy takich problemów jak twoje. Kochał ją, a ona kochała jego, ale to nie wystarczyło. Ze wszystkich sił próbowała, jak to możliwe. Wiele wskazywało na to, że miłość wcale nie była tak wielka, tak wszechpotężna, jak sądziła. Istniały rzeczy większe. Miała wrażenie, że jakaś wielka pięść miażdży jej serce, które zaraz wyskoczy z ust jak winogrono. Powoli zamknęła drzwi i usiadła przy stole. Czarny notatnik nie zdradził jeszcze wszystkich swych czarnych tajemnic.

Na dwóch stronach narysował leżącego na łóżku mężczyznę w czarnych spodniach i białej koszuli, zwróconego stopami w kierunku patrzącego. Łóżko było metalowe, takie jak to, na którym Michael sypiał w swoim dawnym pokoju, z prętami u wezglowia i w nogach, do złudzenia przypominającymi więzienną kratę. Na ścianie za łóżkiem widniał wielki kleks, Michael musiał po prostu potrząsnąć piórem. Niżej napisał: Majakowski krytykował Jesienina. Kto może osądzić cierpienie drugiego człowieka?

Josie patrzyła na czarne kleksy i wierzchem dłoni ocierała łzy. Musiała wpatrywać się w te słowa, wpuścić je do swego serca i umysłu. Łatwo było powiedzieć: „Dlaczego nie mogłeś jeszcze trochę wytrzymać, dlaczego po prostu nie wyjechałeś gdzieś daleko i nie zacząłeś wszystkiego od nowa?”, trudniej uświadomić sobie, że nigdy się nie dowie, ile wycierpiał i co przeżył w tamtym miejscu, w labiryncie pod pałacem. Nawet gdyby powiedział jej wszystko, do samego końca, pewnie i tak by nie pojęła, jak głęboka była jego rozpacz. Zresztą gdyby zrozumiała, i tak nie zeszlaby z nim w tę głębię. Nie udałoby jej się pokonać z nim całej drogi. Próbowała przypominać mu,

że istnieje życie i wyjście z labiryntu, podała mu koniec nici, ale on tylko się wycofał, ukrył w ciemności.

Kto może osądzić cierpienie drugiego człowieka? Napisał to przed wypadkiem z psem czy po nim? Nigdzie nie umieścił dat, nie była to spisana przez Meredith kronika życia historycznej postaci. To, co działo się wewnątrz, nie wiązało się z datami. I ostatecznie jakie znaczenie miało to, czy napisał tamte słowa przed czy po... Nie miały nic wspólnego z tym, co ona zrobiła czy powiedziała, ani z tym, czego nie zrobiła i nie powiedziała. Potraktowała go w okrutny sposób, ale on wiedział, dlaczego tak się zachowała, wiedział, że go kochała i pragnęła mieć go przy sobie. Tamten dzień zawierał w sobie jeszcze jedno okropne zdarzenie, ale nie stworzył i nie przywołał ciemności.

Duże litery w stylu niemieckiego gotyku: Mauritz Freidrich Loewy, 1898 - 1956.

Ming.

Ale ona nie wierzyła w przeznaczenie, nie chciała w nie wierzyć. Nawet jeżeli kasyno zawsze wygrywa i gra jest ustawiona, nadal można grać, nie zważając na kolejne niepowodzenia.

Kto może osądzić?

Odwróciła kartkę i zobaczyła szalonego mnicha. Jezu Chryste... Otulony czarną peleryną, wychudzony, głodny, płonący wściekłością. Pod jego stopami Michael napisał: Przyjmuję cię, demonie.

Patrzyła w gorejące oczy przeklętego mnicha. Jakże go nienawidziła... Znowu czuła smak spleśniałej wody w chrzcielnicy. Jego demon. Demon Michaela. Zawsze jej się wydawało, że mnich ją oskarża i karze. Czuła się tak, jakby jej ciało zostało podziurawione, jak ciała tych Indian, których wieszano na ramionach wiatraków, wbijając haczyki w ich skórę. Michael przedstawiał na papierze swoje własne

szaleństwo, to, co go dręczyło, co go oskarżało. Me zrobiłeś przecież nic złego, więc o co chodziło, Michael? Na pewno nie o psa ani nawet nie o St. Tropez. Więc o co? Patrzyła prosto w wielkie, szalone oczy mnicha, widziała jego kościste ciało, spowite peleryną czarną jak zakurzone krucze skrzydło. O co go oskarżałeś?

GDZIE JEST TEN CHOLERNY RÓŻANY OGRÓD?
GDZIE JEST...

To także był cytat z wiersza. Na drodze, którąśmy nie poszli, ku drzwiom, których nie otworzyliśmy, do różanego ogrodu... Tylko tego chciał, niczego więcej. Zwyczajnego szczęścia. Ale szalony mnich torturował go, ponieważ Michael się na to zgadzał. Gardził sobą, drwił z siebie. Nie umiał pozwolić sobie na przekroczenie progu szczęśliwszego życia, nie wierzył, że jest to możliwe. To mnich go powstrzymywał. Ta kpiąca ze wszystkiego, zła istota o jego własnej twarzy.

Zasłoniła oczy dłońmi. Tęsknota, jaką czuła, ból, smagający ją przez wszystkie te dni od tamtego, kiedy dostała wiadomość, że ma stawić się w kostnicy... Od chwili, gdy ujrzała go leżącego na lodowatej płycie, niczym ogromny, drewniany manekin... Manekin z posiniaczoną twarzą i dłońmi brudnymi od węgla. Ten pieprzony, wściekły typ w czarnej pelerynie wygrał... Musiała być teraz wyjątkowo zadowolona. A wszystko to dlatego, że Michael chciał żyć, zapomnieć o udreće, jaką niesie geniusz i przeznaczenie, i po prostu cieszyć się szczęściem... Wściekły mnich w żadnym razie nie mógł na to pozwolić.

I Michael połknął kulkę z ugnieczonego, zatrutego chleba... Wydawało mu się, że śmierć jest jak czuła kochanka, która obsypuje pieszczotami, obiecuje spokój, przeczesuje włosy palcami i wsuwa język do ucha...

Mają tam drabiny, które sięgają wyżej, ale nikt się na nie nie wspina.

Ja weszłabym na najwyższą drabinę, Michael. Ale może jednak nie dałaby rady. Może musiałaby zatrzymać się w pewnej chwili, gdyby nie chciała razem z nim wejść w gęstą ciemność. Sama nie wiedziała już, w co może wierzyć, na czym się oprzeć. Tak czy inaczej, Michael nie chciał, żeby go uratowała. Ukrył się w swoim labiryncie, uciekł przed dotykiem jej dłoni.

Kręciło jej się w głowie od środka na mrówki, od duszącej mieszanki lęku i jego rozpacz, powleczonej warstwą śmiercionośnej słodyczy. Położyła się na łóżku, po jego stronie, zaraz jednak uświadomiła sobie, że Michael na pewno wybrał jej stronę, sięgając po ostatni skrawek pociechy i ciepła. Przesunęła się na prawą połowę materaca. Usiadła, podparła się poduszkami. Nalał sobie ostatni łyk wódki. Przepraszam. Chcę tylko, żeby to już się skończyło. I wetknął lufę do ust, poczuł kwaśny, dymny posmak. Chłód metalu. Josie włożyła sobie dwa palce do ust. Bardzo przepraszam... I pociągnął za spust.

36. SKAŁA

Świt zmienił odcień ciemności, rozjaśnił atramentowe niebo. Josie siedziała pod pokojem numer 4, owinięta narzutą, którą ściągnęła z łóżka, na odchylonym do tyłu krześle, opartym o ścianę. Zaciągnęła się gauloise'em. Zapach tytoniu ani odrobinę nie przyćmił odoru śmierci Michaela. Krajobraz gapił się na nią, uparty w swym milczeniu, ostry i wrogi jak pustynne drzewka, wyciągające pokręcone ramiona do sinego nieba.

Przypomniała sobie Michaela na ganku domku przy Lemoyne, trzymającego w dłoni melona jak czaszkę, z kpiąco - heroicznym wyrazem twarzy, w pozie Laurence'a Oliviera. Być albo nie być... Nawet nie wiedziała, że tematem wielkiego monologu jest samobójstwo. „To jedyne sensowne pytanie, naprawdę - powiedział Michael. - Zero albo jedyńka. Przyjmij albo odrzuć”. I wykonał ten ekspresyjny gest dłonią o długich palcach. A ona się roześmiała. Tak, parsknęła śmiechem. „Jedyne pytanie?” powtórzyła z rozbawieniem.

Nawet nie zaczęła jeszcze pojmować rozmiarów swojej głupoty, tak ogromnej, tak obezwładniająco wielkiej, że jej ciężar byłby zdolny zmiażdżyć cały wszechświat.

I oto w ich ogrodzie wykiełkowało zero. Małe, rosnące w ukryciu, mające rozkwitnąć w ogromną zimną nieobecność w miejscu, gdzie Michael wyrwał samego siebie z tkaniny świata. Zero - czerwona dziura w głowie. Zero - kształt, który utkwiał w jego mózgu. Kiedyś powiedział jej, że Arabowie wynaleźli zero, ponieważ byli ludem pustynnym, oswojonym z brakiem, nieobecnością. Teraz wiedziała już, że przyjechał tutaj, aby odpowiedzieć na pytanie, tutaj, na pustynię, do własnego grobu. To był jego krajobraz - ostre, kłujące zimno, zamieszkane tylko przez skały i dziwne, pozbawione liści drzewa, bez cienia miękkości, litości czy zieleni. Oczy bolały ją od pustki, w głębi serca czuła suchy, palący ból. Dlaczego

nie zaprotestowała, kiedy powiedział, że to jedyne sensowne pytanie...

Czekała na rano, oparta o nierówną ścianę, i cicho nuciła bluesa. Teraz wiedziała już, dlaczego tak lubił te stare bluesy. Zawarte w nich było wszystko, co kiedykolwiek przydarzyło się mężczyźnie czy kobiecie. Kiedy twoje życie waliło się w gruzy, wiedziałeś, że Lucille, Louis czy Bessie doświadczyli tego samego. Człowiek mógł uczyć się od nich sztuki przetrwania, mógł na nich liczyć. Był to lepszy przewodnik po labiryncie niż to, co Josie mogła zaproponować Michaelowi, coś znacznie skuteczniejszego od jej żalnego kłębka. W bluesie Michael mógł znaleźć mapę całego tego straszego miejsca, w którym na dobre utkwiał.

Linia horyzontu powoli stawała się coraz jaśniejsza. Na pozbawionym barw niebie zaczęły się pojawiać kredowobiałe linie. Bojowe odrzutowce z wojskowej bazy, pilotowane przez chłopców takich jak Jeff McCann i Steve Coty, futbolowe bożyszcza szkoły Bakersfield High, w których pustych głowach kołatały się wyłącznie myśli o oklaskach tłumów, ich własnych kutasach i najbardziej prymitywnym zarysie rzeczywistości. Cienie cieni, jej własna Góra Dantego. Tacy chłopcy nie chcieli pokazywać się publicznie z Josie Tyrell, ale chętnie zabierali ją na przejażdżkę za miasto i wypalali z nią skręta, aby mogła dalej pielęgnować złudzenie, że spotyka się z nią ktoś taki jak Jeff McCann. A jeśli dobrze obciągnęła mu fiuta, to mogła liczyć na to, że kiedyś bohater zamieni z nią parę słów, uśmiechnie się do niej na korytarzu w szkole, umówi się na randkę w jakiś wolny wieczór albo zatańczy z nią na balu absolwentów, oczywiście tylko raz. Bo przecież tak znakomicie nadawała się do tego, aby ją wykorzystać... Mam nadzieję, że znajdziesz kogoś...

Michael dał jej marzenie, sen, o jakim nikomu w Bakersfield nawet się nie śniło. Dzięki niemu poczuła, że jest

coś warta, tak jak ta nieszczęsna myszata dziewczyna z motelu. Na tym polegał jego największy dar - dostrzec coś więcej i uwierzyć w to tak mocno, że stawało się prawdą. Ale co dzieje się z osobą, która została przez kogoś wymyślona, gdy ten ktoś wycofuje się z życia? Co dzieje się z marzeniem, gdy nie ma już marzyciela? Mam nadzieję, że znajdziesz kogoś, kto będzie umiał spełnić twoje życzenia... Gdzie niby miała spotkać to zjawisko? Miała potrzeby i życzenia, o których istnieniu nie miała pojęcia, dopóki go nie poznała.

Któregoś dnia będziesz prała brudną bieliznę w przyczepie kempingowej gdzieś w Lancaster... Czy tego właśnie pragnęła? Nadal mogła jeszcze wyruszyć w drogę razem z Meredith, ale labirynt obejmował cały świat. Wszędzie, na całym świecie czyhało to, co okaleczyło biednego, kalekiego chłopca, to, co ogłuszyło głuchoniemego. Ciemna świątynia szalonego mnicha. Michaela nie było w Europie, w limuzynach z kierowcami, eleganckich futrach ani w hotelu Diplomat. Taki był krzyż, do którego został przybity.

Słońce wyczołgało się ponad linię horyzontu tak niemrawo, jakby miało za sobą złą noc i bało się przejścia nad krajobrazem. Chlusnęło jasnymi wymiocinami na ścianę motelu i ochlapało drzwi, na których powinna wisieć zbędnie złota cyfra „4”. Josie ciaśniej otuliła się narzutą i popatrzyła na dziedziniec, pusty basen i samotne pustynne drzewo. W promieniach słońca nie widziała pomalowanych białą farbą kamieni ani ogrodzenia, oddzielających teren motelu od pustyni.

Powietrze wypełniło ćwierkanie ptaków. Spomiędzy krzaków wybiegło stadko przepiórek. Ptaki przecięły parking, ich małe czapki podrygiwały zabawnie, podobne do kapelusika Żanny ze snu. Ten sam znak zapytania...

Josie zdusiła papierosa na ścianie i wstała, owijając się narzutą jak sztywną wieczorową kreacją. Minęła basen i ruszyła dalej, na pustynię.

Znalazła słabo widoczną ścieżkę w pyle, szlak, którym pewnie niekiedy przejeżdżały terenowe samochody. Dróżka ciągnęła się daleko, biegła ku coraz cieplejszemu horyzontowi. Dla niej nie miało wielkiego znaczenia, dokąd prowadzi ścieżka, nie była ciekawa, gdzie dotrze, potrzebowała tylko kierunku, drogi. Pokonała jedno wzniesienie, potem następne, co jakiś czas przystając, aby popatrzeć na swój cień, wysoki i chudy jak na obrazach Giacomettiego, rozciągnięty na jasnych skałkach i wyblakłej trawie. Jestem długim dżentelmenem tego świata... Za każdą skałą rysował się jej własny błękitnawy cień, wyraźny, ostry. Niebieskie i płowe wzgórza biegły niskimi falami po obu stronach doliny, ich zbocza były wyraźnie widoczne, każde odcinało się od poprzedniego i następnego. Wyglądało to trochę jak rysunek dziecka, taki z ponumerowanym górkami.

Szła przed siebie w lodowatym powietrzu, wlokąc za sobą tandetną narzutę, która ciągle zaczepiała się o kolczaste krzewy. Josie nigdy nie należała do wielbicieli przyrody, lubiła miasta, tłumy, wrażenie, że ciągle coś się dzieje. Uwielbiała muzykę, nocne życie, świadomość, że jest na liście gości, że jest dziewczyną, którą każdy chce poznać. Dawało to nadzieję na coś więcej niż brudne naczynia w zlewie, pieluchy i zakupy w supermarkecie. Jednak ostatnio nie chciała patrzeć na innych, zajętych własnym życiem. Wszystko wydawało jej się pozbawione sensu i celu, jak rozpaczliwe przebieranie nogami psa, którego potrącił samochód. Pomyślała, że chyba rozumie, co ludzie widzą w pustyni. Widzą to, czego nie ma, jak często mówił Phil Baby. Nie ma tłoczących się, rozpychających się łokciami ludzi, w których kłębiły się marzenia lub koszmary, pragnienia i tęsknoty, pożądania,

namiętności, nienawiść i nienasycone pragnienia. Nawet ich dobroć wiała się niebezpiecznie, jak demony we włosach Michaela z autoportretów. Tutaj było miejsce na śmierć, tu nieustępliwy uchwyt życia rozluźniał się, tu czekała lodowata prostota.

Szła dalej, skręcała bez celu i wlokła narzutę, chociaż szlak dawno zniknął, rozmył się w piasku. Niezależnie od tego, czym i kim byłeś, tu mogłeś się skupić na chwili obecnej i samym sobie. Pustynia rzucała cię na pastwę samotności, była ucieleśnionym zerem. Josie powinna chyba konać ze strachu, że zgubi się w tej pustce, zupełnie sama, jak w tym śnie z kojotem, ale był ranek i nie bała się ani trochę.

Odwróciła się i poszukała wzrokiem motelu, ale za plecami też miała tylko pustkę. Świat został zredukowany do zarysu, do abstraktu - widziała tylko kaktusy, pustynne drzewa, skały, ogromne niebo, dalekie błękitne góry. Przestrzeń, w której można zacząć zapominać. Próbowwała przypomnieć sobie, jak wyglądało jej życie przed Michaelem, ale miała wrażenie, że tamto życie należało do kogoś innego. Była taka zajęta, mieszkała w Popieprzonym Domu, jej dni pełne były kolorów i planów, noce kusiły wspaniałym blaskiem. Nie doceniała tego, ile wtedy miała. Może nie powinna była pozwolić, aby Michael ją obudził, nauczył czegoś lepszego, odmienił, bo przecież droga, którą jej pokazał, prowadziła na pustynię. Kończyła się niczym, zerem.

Teraz była zdana wyłącznie na siebie. Nie wiedziała, dokąd może pójść, nie miało to zresztą znaczenia. Europa, Los Angeles albo pustka... Śmierć była większa i potężniejsza od wszystkiego. Silniejsza niż miłość. Wielka jak wszechświat. Śmierć teraz lub później, oto było jedyne sensowne pytanie.

Przypominało to zamawianie dań w Atomic Cafe, tyle że tu wszystkie wymienione w menu dania były takie same, liczyło się tylko pytanie, jak długo chcesz czekać, ile masz

ćwierćdolarówek, które wrzucisz do grającej szafy. Liczył się ból, związany z przeżyciem następnego dnia, i jeszcze jednego. Jak długo chcesz tkwić, przykuty do skały, i patrzeć, jak obrzydliwe ptaszysko, którym jest życie, po kawałku wyszarpuje ci wątrobę...

Dostrzegła dużą kwadratową skałę na szczycie wzniesienia, wystawiającego blade, złociste zbocze pod promienie słońca, i ruszyła w tamtą stronę. Dobrze chociaż, że pustynia nie cuchnęła bagnem, gnijącym mięsem, mchem lub morzem... Nie było tu żadnych zaskakujących zapachów, które mogłyby doprowadzić człowieka do łez...

Kiedy wdrapała się na szczyt, przystanąła, nasycając czystą nicością swoją smutną, poszarpaną duszę. Usiadła na skale i wtedy zauważyła leżący blisko brzegu kanciasty kamyk. Było w nim coś dziwnego, w jakiś sposób nie pasował do tego miejsca. Podniosła się, nie odrywając oczu od kamienia, zupełnie jakby zasłuchiwała się w dobiegającą z oddali muzykę. Na kamyku leżał jeszcze jeden, mniejszy.

Kaczka. Ktoś oznaczył to wzgórze. Co za niesamowite uczucie... Ktoś był tu przed nią. Był tutaj, w tej cholernej pustce. Schylił się, zebrał te kamyki i ułożył z nich kaczkę. Chciał oznaczyć drogę, dać sygnał innej ludzkiej istocie, która mogła się tu pojawić, ale wcale nie musiała.

Albo zostawić po sobie ślad.

Czy człowiek, który zamierza unicestwić siebie, może zostawić po sobie ślad, jak ostatnią modlitwę?

Pustynia milczała pod spojrzeniem Josie, skały nie odpowiadały. Możliwe, że Michael był tutaj, na tym wzniesieniu. Ale równie dobrze mógł ustawić tu te kamyki jakiś wędrowiec pod wpływem impulsu. John był tutaj. Kilroy był tutaj.

Cechą zera była słabość. Nawet gdyby zero zapanowało nad całym wszechświatem, jak jakiś najpotężniejszy

pieprzony faszysta, jeden drobny gest mógł obrócić je wniwecz. Jeden ślad stopy, jeden atom. Nie trzeba być geniuszem, nie trzeba nawet wiedzieć, co się robi. Człowiek zostawia po sobie ślad. Zmienia coś. Pozostawiony znak mówi: „Był tutaj człowiek”. I zero zmienia się w jedynekę... Właśnie tak.

Tutaj, na tej pochłoniętej oczekiwaniem, wstrzymującej oddech pustyni. Znak w postaci dwóch najzwyklejszych kamyków. Ten znak był tutaj przez cały czas, połyskiwał w pierwszym świetle poranka. Michael stracił wiarę, że to możliwe, ale jednak zostawił po sobie ślad. To, czym był, nie umarło w pokoju numer 12. Nie zostało pożarte przez zero, nie zagubiło się w labiryncie. Nie przyczało się w domu w Los Feliz ani w hotelu Diplomat. Było w tym, co dał jej, Josie Tyrell z South Union Street, modelce, aktorce, dziewczynie, która jeszcze nie wie, kim będzie. To był jego dar, w ten sposób zostawił po sobie niezniszczalny ślad.

Josie położyła jeszcze jeden kamyk na tamtych dwóch i odwróciła się, żeby spojrzeć na swój błękitny cień, leżący na piasku. W oddali jakiś pies przebiegał od jednego krzaka do drugiego. Zatrzymał się na chwilę, aby nasikać na kulę z trawy i suchych gałęzi. Z prawej strony dolinę przeciął terenowy samochód. Zastłona okazała się taka cienka...

Josie siedziała na łóżku w pokoju numer 4 i paliła papierosa. Przez otwarte drzwi do środka wpadały jasne, zimne promienie słońca. Wiedziała, że musi już jechać. Nie miała tu nic więcej do zrobienia, powinna się spakować i ruszać w drogę powrotną do domu. Ale jak miała zostawić to miejsce, w którym Michael dotarł do końca swego życia. Oparła się o rozchwiane wezłowie, wydłubała z narzuty kilka suchych igieł i wrzuciła je do popielniczki. Na nic sztuczki, sztuczki na nic się już nie zdadzą... Może powinna zająć się robieniem na drutach? Czymś spokojnym i produktywnym.

Nie chciała wracać do domu, do pustego domu, w którym wszystko dalej było tak samo, zupełnie jakby Michael wpadł przez wyrąbaną w lodzie dziurę do jeziora i po prostu zniknął. Nie mogła jednak także ciągnąć przez wszystkie pozostałe jej dni jego śmierci. Michael dokonał wyboru i nie ciągnął już za sobą żadnego ciężaru. To nie była jej śmierć. Tak wyglądała smutna, czysta prawda. Jego śmierć miała pozostać z nią do końca, jak onyksowe serduszko na łańcuszku, noszone na nagiej skórze, ukryte pod ubraniem. Podobnie jak poczucie winy, wspomnienie pięknych chwil i wszystko. Nic się nie skończyło, to był dopiero początek.

Z miejsca gdzie siedziała, oparta o wezłowie ze sklejki, przez otwarte drzwi widziała recepcję. Myszata dziewczyna już nie spała, pracowała w pralni. Nieduża sylwetka, pochylająca się i prostująca w nieoświetlonym pomieszczeniu w kącie między dwiema ścianami motelu. Musiała być strasznie samotna w tym okropnym miejscu. Okropnym i tak zwyczajnym, brzydkim w swojej zwyczajności. Piekło na pewno było idealnie nieskomplikowane. Kilka ścian pośrodku niczego, i tyle. Po prostu jeszcze jedna część labiryntu.

Zsunęła narzutę z ramion, zgasła papierosa i wciągnęła buty. Czuła się dziwnie szczupła i czysta w jasnym zimowym słońcu, kiedy szła do pralni. Ten jedyny w swoim rodzaju zapach suszarki... Michael go uwielbiał. Wspomnienie było tak wyraźne, poraziło ją swą siłą. Wśliznęła się w ciepłą ciemność, położyła klucz do pokoju 12 na równym stosie ręczników, które dziewczyna właśnie skończyła składać.

- Przykro mi, że zostałam w to zamieszana... Chciałam ci podziękować.

Myszata chwyciła klucz, schowała go do kieszeni swetra. Nawet nie podniosła głowy, żeby spojrzeć na Josie.

- On niedługo wstanie, muszę odłożyć... - wyjąkała nerwowo, odwracając się w stronę drzwi. Josie położyła dłoń na jej ramieniu.

- Słuchaj, nie wiem, co jest tutaj grane, ale zaraz wyjeżdżam. Może pojechałabyś ze mną do Los Angeles?

Niemka popatrzyła na nią niepewnie.

- Do Los Angeles?

- Dlaczego nie?

Przez twarz dziewczyny przemknęła cała seria chmur.

- Ja... Ja nikogo nie znam. Co bym tam robiła? Zupełnie jakby w Los Angeles mieszkały tylko gwiazdy,

jakby nikt nie przyszywał rękawów do sukienek, nie piekł kurczaków ani nie sprzątał pokoiów w mieście liczącym osiem milionów mieszkańców.

- Możesz spać u mnie, na kanapie. Znajdziemy ci jakąś pracę.

Josie nigdy nie przyszłoby do głowy, że Niemka może jeszcze bardziej zblednąć, ale okazało się, że zabrakło jej wyobraźni.

- Bitte... Proszę... Ja nie mogę...

Zrzuciła dłoń Josie z ramienia i pobiegła do recepcji. Zamknęła za sobą drzwi.

Josie wtuliła twarz w miękką warstwę ciepłych ręczników, wciągnęła w nozdrza ten specyficzny zapach świeżo wysuszonej tkaniny. Chwilę czekała na myszatą, a gdy ta nie wróciła, poszła do swojego pokoju. Umyła twarz i zęby, spróbowała zrobić coś ze zmatowiałymi włosami, napluła na kawałek papieru toaletowego i oczyściła skórę wokół oczu z rozmazanego tuszu. Nic dziwnego, że mała Niemka nie chciała z nią jechać - Josie wyglądała na bezdomną, która sypia na ławkach w parku.

Zabrała gitarę i torbę, wygładziła narzutę na łóżku i rozwiesiła ręczniki w łazience. Przemyła ciemne okulary pod

kranem, rozsunała zasłony, wpuściła do pokoju poranne światło. Wiedziała, że nie ma żadnej kontroli nad tym, co stanie się z myszatką, podobnie jak nie była w stanie pomóc Michaelowi, Meredith ani nikomu innemu. Mogła tylko starać się, by poruszyć ciężki kamień. Czuła obecność dziewczyny za drzwiami z żółtymi szybami. Niemka ukrywała się przed nią i pewnie przeklinała godzinę, w której ta dziwna dziewczyna z dziką fryzurą zaproponowała jej ucieczkę z motelu, bo teraz tym mocniej odczuwała swoją bezradność i lęk.

Josie odczekała jeszcze kilka minut, brzdąkając Sr. Louis Blues na malutkiej gitarze, ale dziewczyna się nie zjawiała, a ona była głodna i gotowa do drogi. Zrobiła tu już wszystko, co mogła zrobić. Powinna jechać.

Zaniosła rzeczy do samochodu i wrzuciła do bagażnika. Drzwi recepcji wciąż były zamknięte, niegościnne jak ogrodzenie z kolczastego drutu. Trudno. Usiadła za kierownicą, włączyła starożytny, rozedrgany silnik i rozgrzała go. Dziewczyna nie miała zamiaru z nią jechać, musiała to sobie uświadomić. Ona także wybrała swój labirynt.

Włączyła radio, kanał, na którym leciał Buck Owens, cofnęła wóz i powoli ruszyła w dół podjazdu. Minęła bramę motelu, włączyła światło z lewej i wyjechała na szosę. Słońce miała za plecami, przed sobą zachód. Nie orientowała się, która jest godzina, ale na pewno nie było jeszcze ósmej. Niedzielny poranek. Pomyślała, że nawet jeżeli zatrzyma się na śniadanie w Banning, przed południem będzie w domu.

Przejechała już jakieś sto metrów, kiedy we wstecznym lusterku zobaczyła myszatkę. Wybiegła z podjazdu na drogę. Na ramieniu miała różową torbę, jej warkocze trzepotały. Wymachiwała rękami z takim zapałem, jakby Josie siedziała w kabinie samolotu, który trzeba bezpiecznie sprowadzić na ziemię. Josie włączyła wsteczny, dziewczyna wrzuciła torbę

na tylne siedzenie i siadła na fotel pasażera z przodu. Jej szara, przeciętna twarz jaśniała jak zapalona żarówka. Odwróciła się i długo patrzyła na znikający w tyle motel.

Potem spojrzała na Josie i rzuciła na deskę rozdzielczą zieloną książeczkę wielkości modlitewnika. Josie wzięła ją, oparła o udo i otworzyła. Reisepass. Republik Osterreich. Na zdjęciu dziewczyna wyglądała jak wystraszony pies, znieruchomiały z przerażenia w świetle reflektorów na środku drogi. Wilma Rutger. Wilma. Wilma i Josephine. No, dobrze, niech tak będzie. W porządku.

Podziękowania

Chciałabym podziękować osobom, które w czasie mojej pracy nad Pomaluj to na czarno okazały mi tyle troski, uczucia i zainteresowania. Muchos abrazos dla Trzech Muszkieterów oraz pisarzy: Davida Francisa, Julianne Ortale oraz Rity Williams, którzy niestrudzenie dodawali mi odwagi, starali się zrozumieć, co chcę przekazać i byli gotowi czytać kolejne fragmenty wciąż od nowa. Serdecznie dziękuję Trudie Arguelles, Charmaine Craig i Gusowi Reiningerowi, wspaniałym czytelnikom, którzy pomogli mi ujrzeć las, kiedy sama widziałam tylko liście i gałązki.

Najszczerze wyrazy wdzięczności należą się wszystkim, którzy dzielili się ze mną bogatą wiedzą: mieszkającemu w Brazylii pianiście Ilanowi Reichtmanowi oraz Peterowi Stumpfowi, pierwszemu wiolonczeliście Orkiestry Filharmonicznej Los Angeles; malarzom Enrique Martinezowi Celaya, Gregowi Colsonowi i Lucasowi Reinerowi; modelkom Nancy Keystone i Melindzie Ring; Warrenowi i Leroyowi z Diamond Towing; Lii Brody; ekipie Skirball Museum za niezwykłą wystawę „Wygnańcy do Raju”, dzięki której ujrzałam świat europejskich wygnańców w Los Angeles w latach trzydziestych i czterdziestych dwudziestego wieku; Anthony'emu Hernandezowi, szefowi Zakładu Medycyny Sądowej w Los Angeles; oraz wielu, wielu osobom, które przeżyły próby samobójcze i porozumiewały się ze mną przez internet, szczególnie 1000 Deaths.

Pragnę podziękować Williamowi Reissowi, mojemu agentowi, a także Asyi Muchnick i Michaelowi Pietschowi, moim redaktorom w wydawnictwie Little, Brown, którzy wspierali mnie w czasie całej długiej podróży, jaką była praca nad tą książką - po prostu brak mi słów. Przede wszystkim zaś dziękuję mojej córce Allison, która musiała dzień w dzień

radzić sobie z tak dziwaczną i wymagającą „siostrą”, jaką okazała się ta powieść - dziękuję Ci, że ze mną wytrzymałaś.